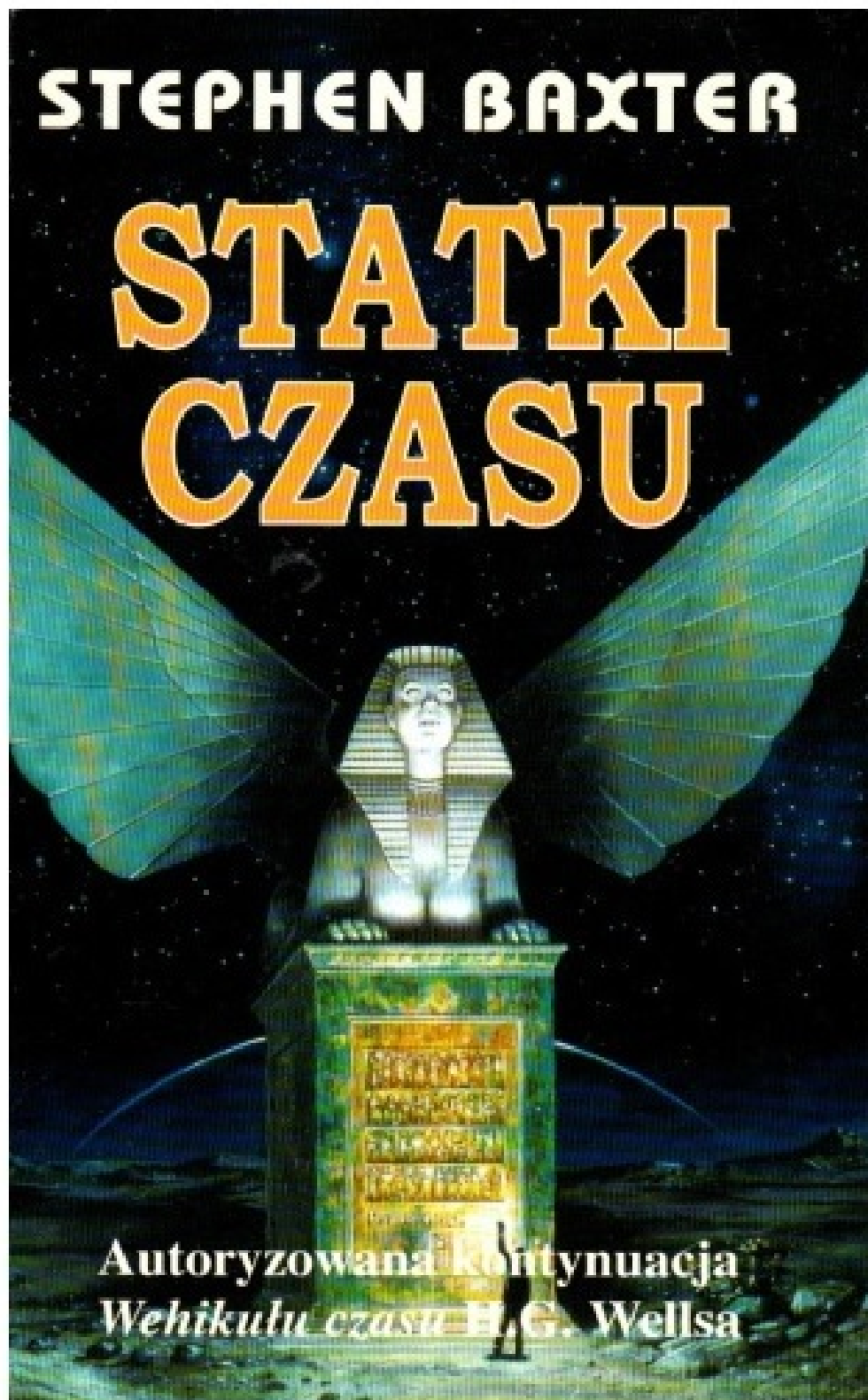


STEPHEN BAXTER

STATKI CZASU



**Autoryzowana kontynuacja
Wehikulu czasu H.G. Wellsa**

STEPHEN BAXTER

**STATKI
CZASU**

(The Time Ships)

Przełożył: Edward Szmigiel

ZYSKI S-KA
WYDAWNICTWO

1996

*Mojej żonie Sandrze
I pamięci H.G.*

Od wydawcy

Załączoną relację dostałem od właściciela małego antykwariatu mieszczącego się tuż przy Charing Cross Road w Londynie. Księgarz powiedział mi, że znalazł jaw formie rękopisu w nie opatrzonym etykietką pudle, pośród kolekcji książek, które otrzymał w spadku po śmierci przyjaciela; wiedząc o moim zainteresowaniu dziewiętnastowieczną beletrystyką spekulatywną, antykwariusz przekazał mi rękopis jako ciekawostkę, mówiąc: „Może coś pan z tego zrobi.”

Tekst napisany był na maszynie na zwykłym papierze, ale dopisana ołówkiem notatka potwierdzała, że został przepisany z oryginału, który „skreślono ręcznie na tak starym papierze, że pokruszył się i był nie do uratowania”. Oryginał ten, o ile w ogóle istniał, zaginął. Nie ma informacji ani o autorze, ani o pochodzeniu rękopisu.

Ograniczyłem poprawki redakcyjne do wygładzenia tekstu, zamierzając jedynie wyeliminować niektóre błędy i powtórzenia w rękopisie, który najwyraźniej spisano w pośpiechu.

Jak mamy go potraktować? Używając słów Podróżnika w Czasie, musimy „uznać go za kłamstwo... lub prorocstwo... Sądźcie, że długo rozmyślając nad przeznaczeniem naszej rasy, w końcu spłodziłem tę fikcję...”. Nie posiadając innych dowodów, musimy uważać to dzieło za fantazję – lub też wymyślny figiel –

ale jeśli w relacji zawartej na tych stronach jest choćby jedno ziarnko prawdy, to zaskakujące, nowe światło pada nie tylko na jedno z naszych najsłynniejszych dzieł fikcji literackiej (o ile to była fikcja!), lecz również na naturę naszego wszechświata i miejsca, które w nim zajmujemy.

Poniżej przedstawiam relację bez dalszych komentarzy.

Stephen Baxter styczeń, 1995

Prolog

W piątek rano, po powrocie z przyszłości obudziłem się późno, wynurzając się z bardzo głębokiego, pozbawionego snów stanu uśpienia.

Wstałem z łóżka i rozsunąłem zasłony. Słońce jak zwykle wznosiło się leniwie na niebie i przypomniałem sobie, jak szybko przeskakiwało po nim w przyspieszonej perspektywie Podróżnika w Czasie! Teraz jednak wydawało się, że znów znalazłem się we wlokącym się czasie, jak owad uwięziony w ściekającej żywicy.

Za oknem wzmogły się hałasy poranka w Richmond: tętent końskich kopyt, turkot kół na kocich łbach, trzaskanie drzwiami. Plujący dymem i iskrami tramwaj parowy przetaczał się niezdarnie wzdłuż Petersham Road, a w powietrzu unosiły się krzyki domokrażców przypominające mewie piski. Stwierdziłem, że moje myśli oddalają się od niesamowitych podróży w czasie i wracają do przyziemnych spraw: przejrzałem treść najświeższego wydania „Pall Mall Gazette” oraz notowania na giełdzie i z nadzieją oczekiwałem, że być może poranna poczta przyniesie „American Journal of Science”, który będzie zawierał moje rozważania na temat odkryć A. Michelsona i E. Morleya dotyczących pewnych osobliwych właściwości światła, przedstawionych w tym czasopiśmie przed czterema laty, w roku

1887...

I tak dalej! Szczegóły codziennego życia stłoczyły się w mojej głowie i na zasadzie przeciwności wspomnienie o mojej podróży w przyszłość zaczęło się wydawać fantazją, a nawet absurdem. Kiedy to teraz przemyślałem, wydało mi się, że całe to doświadczenie miało w sobie coś z halucynacji, nieomal że snu: było tam poczucie pospiesznego spadania, niejasności wszystkiego, co było związane z podróżowaniem w czasie, i na koniec moje wejście w koszmarny świat roku Pańskiego 802 701. Wpływ zwykłych spraw na naszą wyobraźnię jest doprawdy niezwykły. Stojąc tak w piżamie, lekka niepewność, która w końcu naszała mnie zeszłej nocy, powróciła i zacząłem powątpiewać w istnienie samego wehikułu czasu – pomimo bardzo wyraźnych wspomnień dwóch lat mojego życia, które spędziłem pośród śrubek i nakrętek przy jego konstrukcji, nie mówiąc już o dwóch poprzednich dekadach, podczas których z anomalii zaobserwowanych przeze mnie w trakcie studiów nad optyką fizyczną, wyłuskałem teorię podróży w czasie!

Wróciłem myślami do rozmowy z przyjaciółmi przy kolacji poprzedniego wieczora – jakimś cudem tamte kilka godzin wydawały się teraz znacznie wyraźniejsze od wszystkich dni, które spędziłem w świecie przyszłości – i przypomniałem sobie ich różnorodne reakcje na moją relację: wszyscy ucieszyli się z dobrej opowieści, a towarzyszyły temu wyrazy współczucia lub prawie że drwiny, zależnie od temperamentu poszczególnych osób. Przypomniałem sobie także nieomal powszechny sceptycyzm. Tylko jeden ze słuchaczy, mój bliski przyjaciel, którego na tych stronach nazwę Pisarzem, wydawał się przyjmować moje chaotyczne opisy z obcą innym dozą zrozumienia i zaufania.

Stojąc przy oknie, przeciągnąłem się i wątpliwości co do moich wspomnień doznały wstrząsu! Ból w plecach był nadto prawdziwy, ostry i palący, tak samo zresztą jak pieczenie w mięśniach nóg i ramion: protest mięśni już niezbyt młodego człowieka, którego zmuszono, wbrew jego zwyczajom, do wysiłku.

– No cóż – spierałem się głośno ze sobą – jeśli twoja podróż w przyszłość była naprawdę snem, w całości, łącznie z tą niewesołą nocą, kiedy walczyłeś z Morlokami w lesie, to skąd się wzięły te bóle i cierpienia? Czyżbyś hasał po swoim ogrodzie w jakimś lunatycznym delirium?

I wtedy właśnie zobaczyłem rzuconą bez ceregieli w kąt pokoju niewielką kupkę rzeczy: było to ubranie, które całkowicie znosiłem podczas wyprawy w przyszłość, i które nadawało się teraz tylko do wyrzucenia. Dostrzegłem plamy od trawy i ślady od nadpalenia; kieszenie były rozdarte i przypomniałem sobie, jak Weena wykorzystwała te płaty materiału jako improwizowane wazy, które wypełniła wyblakłymi kwiatami z przyszłości. Oczywiście, nie było butów – poczułem dziwny żal z powodu wygodnych, starych pantofli, które bezmyślnie zabrałem ze sobą we wrogą przyszłość, zanim porzuciłem je na pastwę niewyobrażalnego losu! – i na dywanie leżały brudne, pokrwawione resztki moich skarpet.

W jakiś sposób to właśnie istnienie tych skarpet – tych komicznych, poszarpanych skarpet! – przekonało mnie, bardziej niż wszystko inne, że nie postradałem jeszcze zmysłów, że mój lot w przyszłość nie był wcale snem.

Uznałem, że muszę wrócić do czasu; muszę zebrać dowody, że przyszłość jest tak realna jak Richmond roku 1891, żeby przekonać krąg moich przyjaciół i rywali w badaniach

naukowych, a także usunąć ostatnie ślady własnego zwątpienia.

Kiedy powziąłem to postanowienie, nagle zobaczyłem słodką, pustą twarz Weeny, tak żywą, jakby stała tam przede mną. Moje serce rozdarły smutek i poczucie winy z powodu własnej impulsywności. Weena, elojaska kobieta-dziecko, podążyła za mną do Pałacu z Zielonej Porcelany przez głębiny powstającego na nowo lasu tamtej odległej doliny Tamizy i zgubiła się podczas zamieszania związanego z pożarem oraz napaścią potwornych Morloków. Zawsze byłem mężczyzną, który najpierw działa, a dopiero potem zaczyna racjonalnie myśleć! W moim kawalerskim życiu ta skłonność nigdy jeszcze nie postawiła w poważnym niebezpieczeństwie nikogo z wyjątkiem mnie samego, teraz jednak, w bezmyślności i nierozważnym pośpiechu, naraziłem biedną, ufną Weenę na przerażającą śmierć w mrokach Ciemnej Nocy Morloków.

Moje ręce były splamione krwią, i to nie tylko posoką tych paskudnych, zdegenerowanych podludzi, Morloków. Postanowiłem, że muszę się zrehabilitować – jak tylko potrafię – za moje obrzydliwe potraktowanie biednej, ufnej Weeny.

Byłem bardzo zdecydowany. Moje przygody, fizyczne i intelektualne, jeszcze nie dobiegły końca!

Kazałem pani Watchets przygotować kąpiel i niezdarnie wszedłem do wanny. Pomimo poczucia konieczności szybkiego działania nie spieszyłem się, dogadzając swoim biednym, zmaltretowanym kościom; z zainteresowaniem zauważyłem pokryte pęcherzami i bliznami stopy oraz lekko poparzone ręce.

Po kąpeli pospiesznie ubrałem się. Pani Watchets przygotowała mi śniadanie. Z zapalem dobrałem się do jajek, grzybów i pomidorów, ale stwierdziłem, że trudno mi przełknąć

bekon i kielbaski: kiedy ugryzłem gruby płat mięsa, jego pełne soli i tłuszczu soki przepełniły mnie pewnym wstrętem.

Przypomnieli mi się Morlokwie i mięso, które na moich oczach konsumowali podczas swoich obrzydliwych uczt! Przypomniałem sobie również, że moje doświadczenia nie osłabiły przecież apetytu na baraninę podczas kolacji poprzedniego wieczora, ale byłem wtedy znacznie głodniejszy. Czy to możliwe, że swego rodzaju szok i niepewność, kiedy dochodziłem do siebie po niefortunnych wypadkach, jeszcze teraz przebijały się przez pokłady mojego umysłu?

Obfite śniadanie jest jednak moim zwyczajem, jestem bowiem przekonany, że porządna dawka peptonów, dostarczona z samego rana do arterii, niezbędna jest do skutecznego działania energicznej ludzkiej maszyny. A dzisiejszy dzień mógł być najbardziej wymagający w moim życiu. Dlatego odsunąłem na bok skrupuły i dokończyłem jedzenie, przeżuając z determinacją bekon.

Po skończeniu śniadania założyłem lekki lecz trwałe letni garnitur. Jak mi się zdaje, wspomniałem moim towarzyszom przy kolacji poprzedniego wieczora, że podczas mojej włości w czasie stało się dla mnie jasne, iż zima została usunięta ze świata roku Pańskiego 802 701 – czy to wskutek naturalnej ewolucji, geogonicznego planowania, czy też przekształceń samego Słońca, nie potrafiłem powiedzieć – tak więc w przyszłości nie powinienem potrzebować zimowych płaszczy i szali. Włożyłem kapelusz, żeby osłonić moje blade, angielskie czoło przed słońcem przyszłości i poszukałem najmocniejszych butów.

Chwyciłem mały plecak i zacząłem przetrząsać mieszkanie, plądrując szafy i komody w poszukiwaniu przedmiotów, które

uważałem za potrzebne podczas mojej drugiej podróży; ku wielkiej trwodze biednej, cierplivej pani Watchets, która – jestem pewien – już dawno uznała, iż jestem niepoczytalny! Zgodnie ze swoją naturą paliłem się do wyjazdu, jednak postanowiłem nie postępować tak impulsywnie jak za pierwszym razem, kiedy przebyłem osiem tysięcy wieków z zabezpieczeniem nie lepszym od pary pantofli i jednego pudełka zapalek.

Włożyłem do plecaka wszystkie zapalki, jakie zdołałem znaleźć w domu – właściwie wysłałem Hillyera do sprzedawcy wyrobów tytoniowych, aby zakupił więcej pudełek. Spakowałem kamforę oraz świece i odruchowo włożyłem kawałek mocnego szpagatu na wypadek, gdybym w sytuacji awaryjnej musiał spreparować nowe świece. (A propos, nie miałem za bardzo pojęcia, jak to zrobić, ale w jasnym świetle tego optymistycznego poranka nie wątpiłem w swoje zdolności do improwizacji.)

Zabrałem biały spirytus, kilka tabletek chininy i rolkę bandażu. Nie miałem broni – wątpię zresztą, czy bym ją wziął, nawet gdybym takową po siadał, bo na cóż broń, gdy amunicja do niej się wyczerpie? – ale wsunąłem do kieszeni składany nóż. Zapakowałem kilka narzędzi: śrubokręt, klucze o różnych rozmiarach, małą piłę z zapasowymi ostrzami, jak również asortyment wkrętów i prętów z niklu, mosiądzu i kwarcu. Postanowiłem sobie, że żaden błahy wypadek mogący przydarzyć się wehikułowi czasu nie postawi mnie w krytycznej sytuacji w jakiej koi wiek zwichrowanej przyszłości z powodu braku kawałka mosiądzu: pomimo przelotnego zamiaru zbudowania nowego wehikułu czasu, gdy mój oryginał został skradziony przez Morloków w roku 802 701, nie dostrzegłem w podupadłym świecie naziemnym żadnego dowodu, że

mógłbym znaleźć materiały do naprawienia choćby pękniętej śruby. Oczywiście Morlokowie zachowali pewne umiejętności w zakresie mechaniki, ale nie uśmiechała mi się perspektywa prowadzenia negocjacji z tymi wypłowiałymi robakami z powodu kilku śrub.

Znalazłem mojego kodaka i wygrzebałem urządzenie błyskowe. W aparacie znajdowała się nowa rolka z setką negatywowych klitek na zwoju papieru. Przypomniałem sobie, jak piekielnie drogi wydawał się ten sprzęt, kiedy go kupowałem podczas podróży do Nowego Jorku – kosztował ponad dwadzieścia pięć dolarów – ale gdybym wrócił ze zdjęciami przyszłości, każda z tych dwucalowych klitek filmowych byłaby cenniejsza od najwspanialszych obrazów.

Wreszcie zadałem sobie pytanie, czy jestem gotowy? Zwróciłem się do biednej pani Watchets o poradę, choć, oczywiście, nie powiedziałem jej, dokąd zamierzam się wybrać. Ta zacna kobieta – flegmatyczna, konserwatywna i wyjątkowo nieładna, ale o wiernym i spokojnym sercu – zajrzała do mojego wypchanego plecaka i uniosła wysoko jedną ze swoich wielkich brwi. Następnie poszła do mojego pokoju i wróciła ze skarpetkami i bielizną na zmianę oraz – miałem ochotę ją za to pocałować! – moją fajką, kompletem przetyczek i słoikiem tytoniu, który stał na gzymsie kominka.

Ze zwykłą dla siebie gorączkową niecierpliwością i bezgraniczną ufnością w dobrą wolę i zdrowy rozsądek innych, zdany wyłącznie na własną przeciętną inteligencję, byłem w końcu przygotowany do powrotu w czas.

Trzymając plecak pod jedną pachą i kodaka pod drugą, poszedłem do laboratorium, gdzie czekał mój wehikuł czasu.

Kiedy dotarłem do palarni, zaskoczony zobaczyłem, że mam gościa. Była to jedna z osób, które mnie odwiedziły poprzedniego wieczora, prawdopodobnie mój najbliższy przyjaciel Pisarz, o którym już wcześniej wspominałem. Stał na środku pokoju w źle dopasowanym garniturze, jego krawat był zawiązany bardzo niewprawnie, a ręce dyndały nieporadnie. Znowu przypomniałem sobie, że z kręgu przyjaciół i znajomych, których zaprosiłem po to, aby byli pierwszymi świadkami moich wyczynów, to właśnie ten poważny młodzieniec słuchał mnie z największą uwagą, a w jego milczeniu wyczuwało się zrozumienie i fascynację.

Odczułem niesłychaną radość na jego widok i wdzięczność za to, że przyszedł, że nie unikał mnie jako ekscentryka, tak jak niektórzy mogliby to robić po moim wystąpieniu poprzedniego wieczora. Roześmiałem się i, obciążony plecakiem oraz aparatem fotograficznym, wysunąłem łokieć; Pisarz uściśnął go z powagą.

– Jestem strasznie zajęty – odezwałem się. – Chodzi o tę maszynę, która jest w laboratorium.

Przyjrzał mi się dokładnie; wydawało mi się, że w jego bladoniebieskich oczach widać jakąś rozpaczliwą chęć przełamania niewiary.

– Czy nie jest to czasem jakaś mistyfikacja? Czyżbyś rzeczywiście podróżował w czasie?

– Rzeczywiście i naprawdę podróżuję – odparłem, wytrzymując jego spojrzenie tak długo, jak tylko potrafiłem, ponieważ chciałem, żeby dał się przekonać.

Był niskim, przysadzistym mężczyzną, miał wysuniętą dolną wargę, szerokie czoło, kudłate baczki i dość brzydkie uszy. Był młody – przypuszczam, że w wieku około dwudziestu pięciu lat,

dwadzieścia lat młodszy ode mnie – a jednak jego proste i gładkie włosy już zaczynały się przerzedzać nad czołem. Chodził sprężystym krokiem i widać w nim było pewną energię – podenerwowanie, jak u pulchnego ptaka – ale zawsze wyglądał niezdrowo: wiem, że od czasu do czasu cierpiał na krwotoki spowodowane kopnięciem w nerki podczas gry w piłkę nożną, kiedy pracował jako nauczyciel w jakiejś zapomnianej przez Boga prywatnej szkole w Walii. I dziś jego niebieskie oczy, choć zmęczone, jak zawsze były mądre i wyrażały troskę o moją osobę.

Mój przyjaciel pracował jako nauczyciel – w tamtym czasie nauczał korespondencyjnie – lecz mimo to był marzycielem. Podczas naszych przyjemnych czwartkowych kolacji w Richmond zwykł snuć domysły na temat przyszłości i przeszłości i dzielić się z nami swoimi najświeższymi przemyśleniami dotyczącymi znaczenia niewesołej, bezbożnej koncepcji Darwina oraz najróżniejszych innych rzeczy. Marzył o możliwości osiągnięcia doskonałości przez rasę ludzką; wiedziałem, że jest dokładnie takim typem człowieka, który pewnie całym sercem pragnie, aby moje opowieści o podróżach w czasie okazały się prawdą!

Przypuszczam, że „Pisarzem” nazywam go z życzliwości, gdyż o ile było mi wiadomo, opublikował jedynie kilka nieporadnych artykułów spekulatywnych w czasopismach szkolnych i tym podobnych periodykach; nie miałem jednak wątpliwości, że dzięki błyskotliwości wyrobi sobie sławę w świecie literackim i, co ważniejsze, on też w to nie wątpił.

Choć paliłem się do wyjazdu, przystanąłem na chwilę. Właściwie pisarz mógłby być świadkiem mojej nowej wyprawy; przyszło mi teraz do głowy, że być może już zamierza spisać

moje wcześniejsze przygody w jakimś górnolotnym stylu w celu ich opublikowania.

Cóż, miałyby moje błogosławieństwo!

– Potrzebuję tylko pół godziny. – Obliczyłem, że wystarczy jeden ruch dźwigni mojej maszyny, abym wrócił dokładnie w to samo miejsce i czas, bez względu na to, jak wiele czasu postanowię spędzić w przyszłości lub przeszłości. – Wiem, dlaczego przyszedłeś, to strasznie miło z twojej strony. Jest tu kilka czasopism. Jeśli zechcesz zostać na lunch, dam ci niezbite dowody na istnienie podróży w czasie, łącznie z konkretnymi przedmiotami. Czy darujesz mi, że cię teraz opuszczę?

Zgodził się. Skinąłem mu głową i bez dalszych ceregieli ruszyłem korytarzem do laboratorium.

Tak więc opuściłem świat roku 1891. Nigdy nie przywiązywałem się za bardzo do ludzi i nie lubię kwiecistych mów pożegnalnych, gdybym jednak wiedział, że już nigdy nie zobaczę Pisarza – przynajmniej osobiście – przypuszczam, iż zachowałbym się trochę bardziej wylewnie.

Wszedłem do laboratorium. Wyglądało tam trochę jak w warsztacie ślusarskim. Do sufitu przyczepione było urządzenie parowe, które za pomocą skórzanych pasów napędzało rozmaite maszyny do toczenia metali; na ustawionych wokoło stołach znajdowały się mniejsze tokarki, maszyna do tłoczenia blach, prasy, spawarka do spawania acetylenowego, imadła i tym podobne narzędzia. Na stole warsztatowym leżały metalowe części i rysunki, a porzucone owoce mojej pracy wały się na zakurzonej podłodze, gdyż z natury nie grzeszę schludnością; przykładowo pod nogami znalazłem teraz nikłowy pręt, który opóźnił moją pierwszą wyprawę w czas – ów pręt okazał się

dokładnie o jeden cal za krótki i musiałem go przerobić.

Naszła mnie refleksja, że wiele czasu z dwudziestu lat mojego życia spędziłem właśnie w tym pomieszczeniu. Dawniej była tam cieplarnia, która wychodziła na ogród. Zbudowano ją na szkielecie z cienkich, pomalowanych na biało prętów z kutego żelaza i kiedyś roztaczał się stamtąd ładny widok na rzekę, ale już dawno temu zabiłem okna deskami, żeby zapewnić sobie równomierne światło i zabezpieczyć się przed wścibskimi sąsiadami. Różne narzędzia i urządzenia majaczyły w tych oleistych ciemnościach i przypomniały mi teraz wielkie maszyny, które widziałem w jaskiniach Morloków. Zastanawiałem się, czy przypadkiem ja sam nie wykazuję chorobliwych objawów Morloka! Postanowiłem, że po powrocie zerwę deski i na powrót rozświetlę ten pokój, czyniąc go miejscem światła Elojów, a nie mroku Morloków.

Podszedłem do wehikułu czasu.

Masywna machina spoczywała przekrzywiona przy północno-zachodniej ścianie warsztatu – tam, gdzie w chwili odległej od terażniejszości o osiemset tysięcy lat zawlekli ją Morlokwie, próbując złapać mnie w pułapkę w piedestale białego sfinksa. Zaciągnąłem maszynę z powrotem do południowo-wschodniego narożnika laboratorium, do miejsca, gdzie ją zbudowałem. Następnie pochyliłem się i w półmroku rozpoznałem cztery chronometryczne tarcze, które odmierzały drogę maszyny przebywającej niezmienny ciąg dni historii; teraz oczywiście wszystkie wskazówki ustawione były na zerze, gdyż machina wróciła do własnego czasu. Obok rzędu tych tarcz znajdowały się dwie dźwignie, które napędzały bestię: jedna kierowała pojazd w przyszłość, druga – w przeszłość.

Wyciągnąłem rękę i odruchowo pogłaskałem dźwignię

przyszłości. Splątana masa metalu i kości słoniowej drgnęła jak żywa istota. Uśmiechnąłem się. Maszyna przypominała mi, że już nie jest z tej ziemi, z tej czasoprzestrzeni! Ze wszystkich materialnych przedmiotów wszechświata, z wyjątkiem tych, które ze sobą zabrałem, jedynie ta machina była o całe osiem dni starsza od swojego świata: dlatego, że spędziłem tydzień w erze Morloków, a wróciłem do dnia wyjazdu.

Położyłem plecak i aparat na podłodze w laboratorium i powiesiłem kapelusz na drzwiach. Pamiętając o tym, że Morlokwie grzebali przy maszynie, zabrałem się do jej sprawdzenia. Nie zwracałem sobie głowy ścieraniem rozmaitych brązowych plam i kawałków trawy oraz mchu, które nadal tkwiły przyklejone do poręczy maszyny; nigdy nie zwracałem uwagi na drobiazgi związane z wyglądem. Jedna poręcz była jednak zgięta, więc ją wyprostowałem, sprawdziłem śruby i naoliwiłem kwarcowe pręty.

Podczas tej pracy przypominałem sobie haniebną panikę, kiedy odkryłem, że wehikuł wpadł w ręce Morloków, i przeniknęła mnie fala głębokiego uczucia do brzydkiej maszyny. Wehikuł był odkrytą klatką skonstruowaną z niklu, mosiądzu, kwarcu, hebanu i kości słoniowej. Był dość skomplikowany – mniej więcej tak, jak mechanizm zegara kościelnego – a pośrodku tej całej maszynerii znajdowało się rowerowe siodełko, które wydawało się zupełnie niestosowne. Kwarc i kryształ górski, zalane plattnerytym, migotały na obrzeżach konstrukcji, przez co wehikuł sprawiał wrażenie nierealnego i krzywego.

Oczywiście, to wszystko byłoby niemożliwe, gdyby nie właściwości dziwnej substancji, którą nazwałem „plattneryt”. Przypominałem sobie, jak to w przypadkowy sposób wszedłem

w posiadanie próbki tego materiału: pewnej nocy, dwadzieścia lat temu, jakiś obcy zjawił się u moich drzwi i podał mi paczuszkę z tą substancją. Nazywał się Plattner, był masywny, sporo lat starszy ode mnie, z dziwną, szeroką głową o posiwiałych włosach i ubrany w strój w dziwacznych kolorach dżungli. Polecił mi zbadać silną substancję, którą przekazał mi w szklanej fiolce. Cóż, substancja przeleżała na półce ponad rok, podczas gdy ja zajmowałem się bardziej konkretną pracą. Ale wreszcie w któreś nudne niedzielne popołudnie zdjąłem fiolkę z półki...

I moje własne odkrycie doprowadziło w końcu do... tego!

To właśnie wlany do kwarcowych prętów plattneryt stanowił paliwo napędowe wehikułu czasu i umożliwił jego wyczyny. Pochlebiam sobie jednak myśląc, że to właśnie połączenie mojego analitycznego intelektu i siły wyobraźni pozwoliło odkryć i wykorzystać właściwości tej nadzwyczajnej substancji, podczas gdy ktoś mniej uzdolniony z pewnością mógłby zaprzepaścić sposobność.

Ponieważ dziedzina moich badań była tak niezwykła, nie chciałem publikować wyników bez eksperymentalnej weryfikacji. Obiecałem sobie, że bezpośrednio po powrocie, posiłkując się zdjęciami i dowodami rzeczowymi, przedstawię moje badania w artykule do „Philosophical Transactions”; będzie to sławny dodatek do siedemnastu referatów na temat fizyki światła, które już tam zamieściłem. Pomyślałem sobie, że to będzie zabawne, gdy dam referatowi jakiś nieciekawy tytuł, na przykład „Kilka refleksji na temat nienormalnych właściwości chronologicznych minerału o nazwie «plattneryt»,„ a w środku ujawnię sensacyjną wiadomość o możliwości podróżowania w czasie!

Wreszcie skończyłem sprawdzanie wehikułu. Ponownie nasunąłem kapelusz nisko na czoło, podniosłem plecak oraz aparat i umocowałem je pod siodełkiem. Potem nagle coś jeszcze przyszło mi do głowy, podszedłem więc do kominka w laboratorium i wziąłem pogrzebacz, który tam stał. Zważyłem ten duży przedmiot w rękę – mógł się okazać przydatny! – i umieściłem go w ramie maszyny.

Usiadłem na siodełku i położyłem rękę na białych dźwigniach startowych. Machina drgnęła, jak zwierzę czasu, którym się stała.

Rozejrzałem się po laboratorium, dostrzegając jego przyziemny charakter, i zdziwiłem się, że oboje tak bardzo tu teraz nie pasujemy, mimo że oboje w pewnym sensie byliśmy dziećmi tego miejsca: ja w moim stroju badacza-amatora oraz maszyna tchnąca innym światem i poznaczona plamami oraz zadrapaniami z przyszłości. Kusiło mnie, żeby przełożyć start. Cóż by szkodziło spędzenie jeszcze jednego dnia, tygodnia, roku, we własnym, wygodnym stuleciu? Mógłbym nabrać sił i wyleczyć rany. Czy znów postępowałem pochopnie, podejmując to nowe ryzyko?

Usłyszałem kroki na korytarzu, odgłos przekręcanej klamki. To na pewno Pisarz przyszedł do laboratorium.

Nagle powziąłem decyzję. Nawet jeśli pozostanę dłużej w tym nudnym, skostniałym dziewiętnastowiecznym czasie, to i tak nie nabiorę ani trochę więcej odwagi, a poza tym pożegnałem się z wszystkimi, na których mi zależało.

Pchnąłem dźwignię w skrajne położenie. Doznałem znów tego samego dziwnego uczucia wirowania, które pojawia się przy wyruszaniu w podróż w czasie, a potem doświadczyłem wrażenia bezradnego spadania głową naprzód. Chyba nawet krzyknąłem głośno pod wpływem tego nieprzyjemnego uczucia.

Zdaje mi się, że usłyszałem brzęk szkła; być może szyba świetlika wleciała do środka wskutek zasysania powietrza. Przez ułamek sekundy widziałem go w drzwiach: upiorną, niewyraźną sylwetkę Pisarza, który stał zjedną ręką uniesioną w moim kierunku, schwytyany w pułapkę czasu!

Potem zniknął, rozpląnął się w pędzie mojego lotu. Otaczające mnie ściany laboratorium rozmazały się i jeszcze raz olbrzymie skrzydła dnia i nocy zatrzepotały jak szalona karuzela wokół mojej głowy.

Księga Pierwsza

Ciemna Noc

Istnieją trzy wymiary przestrzeni, w których człowiek może się swobodnie poruszać. Czas jest niczym innym, jak tylko po prostu czwartym wymiarem: identyczny z pozostałymi, jeśli chodzi o wszystkie ważne cechy charakterystyczne, z wyjątkiem tego, że nasza świadomość zmuszona jest podróżować w nim z równomierną prędkością, tak jak stalówka mojego pióra po tej kartce.

W trakcie moich badań nad osobliwymi właściwościami światła snułem domysły, że gdyby tylko można było manipulować czterema wymiarami czasoprzestrzeni – wstawiając, powiedzmy, długość w miejsce trwania – wówczas człowiek mógłby spacerować korytarzami historii tak łatwo, jak wziąć taksówkę do West Endu!

Kluczem do działania wehikułu czasu był plattneryt umieszczony w szkielecie maszyny; dzięki plattnerytowi machina mogła obracać się w niezwykle sposób, wkraczając w nową konfigurację w strukturze czasoprzestrzeni. Dlatego świadkowie odlotu wehikułu czasu – jak na przykład Pisarz – widzieli, jak przed zniknięciem z historii maszyna wiruje z zawrotną szybkością; i dlatego kierujący – czyli ja – niezmiennie doznawałem zawrotów głowy spowodowanych siłą odśrodkową i siłą Coriolisa, przez co czułem, jakbym był spychany z wehikułu.

Pomimo jednak tych wszystkich skutków wirowanie spowodowane działaniem plattnerytu diametralnie różniło się od wirowania bąka lub powolnego obrotu Ziemi. Uczuciu wirowania przeczyło złudzenie, że podczas przechodzenia przez czas kierujący siedzi nieruchomo na siodełku – była to rotacja, która wynosiła maszynę poza samą czasoprzestrzeń.

Podczas przeskoków dni i nocy zniknął otaczający mnie rozmazany zarys laboratorium i znalazłem się na wolnym powietrzu. Ponownie przechodziłem przez tamten przyszły okres, w którym, jak się domyśliłem, laboratorium uległo zniszczeniu. Słońce przemykało po niebie jak kula armatnia, wtłaczając wiele dni w jedną minutę, i oświetlało niewyraźny szkielet otaczającego mnie rusztowania. Rusztowanie wkrótce zniknęło i otaczało mnie teraz otwarte zbocze pagórka.

Moja prędkość wzrosła. Migotanie dni i nocy stopiło się w ciemny błękit zmierzchu i ujrzałem Księżyc, wirujący poprzez swoje fazy jak dziecięcy bąk. Gdy podróżowałem tak coraz szybciej, przypominające armatnią kulę Słońce zlało się w łuk światła, który był rozciągnięty w przestrzeni, łuk, który kołysał się na niebie w górę i dół. Wokół mnie szybko zmieniała się pogoda: cykle śnieżnej bieli zastępowanej przez wiosenną zieleni wyznaczały pory roku. Wreszcie, z jeszcze większą prędkością, wszedłem w nowy, spokojny bezruch, w którym tylko coroczne rytmy samej Ziemi – przechodzenie paska słońca pomiędzy skrajnymi punktami jego przesilen – pulsowały jak bicie serca ponad zmieniającym się krajobrazem.

Nie jestem pewien, czy w mojej pierwszej relacji opisałem dziwną ciszę, w której zawieszony jest człowiek podczas podróżowania w czasie. Śpiew ptaków, odgłos turkotu kół

w oddali, tykanie zegarów, nawet delikatne oddechy tworzywa samego domu, tworzą złożone, nie zauważane tło naszego życia. Teraz jednak, kiedy byłem wyrwany z czasu, towarzyszyły mi jedynie odgłosy własnego oddechu oraz ciche piski wehikułu czasu, który skrzypiał pod moim ciężarem jak rower. Doznawałem niezwykłego uczucia osamotnienia – jakby mnie rzucono w jakiś nowy, dziki wszechświat, przez którego ściany widziało się nasz świat niczym przez brudne okna, ale w tym nowym wszechświecie byłem jedyną żywą istotą. Dezorientacja połączyła się z uczuciem przyprawiającego o zawrót głowy spadania, które towarzyszy wejściu w przyszłość i poczułem mdłości oraz przygnębienie.

Teraz jednak cisza została przerwana przez nie wiadomo skąd dochodzący niski pomruk, który zdawał się wypełniać moje uszy; był to szum, który przypominał odgłosy jakiejś ogromnej rzeki. Zauważyłem to już podczas mojej pierwszej podróży; nie miałem pewności co do przyczyny, ale wydawało mi się, że musi to być skutek mojego niestosownego przechodzenia przez majestatyczny postęp czasu.

Ależ się myliłem! Tak jak wielokrotnie wcześniej, kiedy pochośnie wysuwałem hipotezy.

Przyjrzałem się uważnie czterem tarczom chronometrycznym, stukając w nie paznokciem, aby się upewnić, czy funkcjonują. Wskazówka drugiej tarczy, która odmierzała ilość dni w tysiącach, już zaczęła się przesuwac.

Tarcze te – wierne, nieme sługi – przerobione były z manometrów kotłowych. Mierzyły pewne naprężenia ścinające w kwarcowym pręcie zalany platnerytem, naprężenia wywołane przez skręcanie występujące podczas podróży

w czasie. Tarcze liczyły dni – nie lata, miesiące, lata przestępne lub ruchome święta! – i zaprojektowane były w ten sposób celowo.

Gdy tylko zająłem się praktycznymi aspektami podróżowania w czasie, a zwłaszcza potrzebą pomiaru położenia mojej maszyny, strawiłem wiele czasu na próbach zbudowania praktycznego chronometru zdolnego do pokazywania zwykłych miar czasu: stuleci, lat, miesięcy i dni. Niebawem stwierdziłem, że to zadanie zajmie mi więcej czasu, niż pozostałe prace związane z wehikułem razem wzięte!

Straciłem cierpliwość do osobliwości naszego antycznego systemu kalendarzowego, który wyrósł z historii niewłaściwych ustaleń: prób ujednoczenia pory siania i zimowego przesilenia, sięgających początków zorganizowanych społeczeństw. Nasz kalendarz to historyczny nonsens, którego nawet nie usprawiedliwia dokładność – przynajmniej w kosmologicznych skalach czasowych, którym zamierzałem rzucić wyzwanie.

Napisałem z zapalem do „The Times”, proponując reformy, które pozwoliłyby nam funkcjonować właściwie i bez niejasności w skalach czasowych o autentycznej wartości dla nowoczesnego naukowca. Przede wszystkim, nawoływałem, odrzućmy ten cały bezsensowny bałagan z latami przestępnymi. Rok ma około trzysta sześćdziesiąt pięć i jedną czwartą dnia i to właśnie ta ćwiartka jest przyczyną tej całej niedorzecznej farsy związanej z latami przestępnymi. Zaproponowałem dwa alternatywne systemy gwarantujące likwidację tego absurdu. Moglibyśmy wziąć dzień jako podstawową jednostkę i ustalić regularne miesiące oraz lata w oparciu o wielokrotności dni: wyobraźcie sobie trzystudniowy rok liczący dziesięć miesięcy, każdy złożony z trzydziestu dni. Oczywiście, wraz z takim podziałem roku cykl

pór roku szybko by został zachwiany, ale – w cywilizacji tak rozwiniętej jak nasza – z pewnością niewielki byłby z tego powodu kłopot. Royal Observatory w Greenwich mogłoby na przykład publikować co roku biuletyny podające daty różnych pozycji słonecznych – punktów równonocy i tak dalej – tak jak w 1891 wszystkie biuletyny podawały daty ruchomych świąt kościoła katolickiego.

Z drugiej strony, gdyby za podstawową jednostkę przyjąć cykl pór roku, wówczas powinniśmy ustalić nowy dzień jako dokładny ułamek – powiedzmy, jedna setna – roku. To by naturalnie oznaczało, że doba, nasze okresy światła i ciemności, snu i czuwania, wypadałaby w różnych godzinach każdego nowego dnia. Ale co z tego? Argumentowałem, że wiele nowoczesnych miast funkcjonuje już zgodnie z dwudziestoczterogodzinnym harmonogramem. A jeśli chodzi o ludzi, prowadzenia prostego dziennika nietrudno się nauczyć; z pomocą odpowiednich rejestrów człowiek musiałby planować pory snu i czuwania z zaledwie kilkudniowym wyprzedzeniem.

Na koniec zaproponowałem, że powinniśmy myśleć przyszłościowo, nastawić się na dzień, kiedy ludzka świadomość wyzwoli się z dziewiętnastowiecznego zainteresowania wyłącznie terażniejszością, i rozważyć, jak sytuacja może wyglądać, gdy będziemy musieli ogarnąć umysłem dziesiątki tysięcy. Wyobrażałem sobie nowy kalendarz kosmologiczny oparty na precesji ekwinokcjów – to znaczy powolnym opadaniu osi naszej planety pod nierównym wpływem grawitacji Słońca i Księżyca – cyklu, który trwa dwadzieścia tysięcy lat. Mając wielki rok takiego rodzaju, moglibyśmy odmierzać swoje przeznaczenie dokładnie i jednoznacznie, teraz i zawsze.

Argumentowałem, że taka korekta miałaby symboliczne

znaczenie wykraczające poza względy praktyczne – byłby to odpowiedni sposób na zaznaczenie świtu nowej ery, wszyscy ludzie dowiedzieliby się bowiem, że rozpoczęła się nowa Era Naukowego Myślenia.

Zbyteczne dodawać, że moje pomysły zlekceważono, pomijając obraźliwe odpowiedzi w pewnych kręgach prasy popularnej, które postanowiłem zignorować.

Tak czy owak, po tym wszystkim zrezygnowałem z prób skonstruowania chronometru opartego na kalendarzu i powróciłem do prostego odliczania dni. Zawsze dobrze sobie radziłem z liczbami i nie miałem trudności, by w myśli zamieniać dni na lata. Podczas pierwszej podróży dotarłem do dnia 292 495 934, który – uwzględniając lata przestępne – okazał się datą w roku Pańskim 802 701. Wiedziałem, że teraz muszę poruszać się naprzód, aż na moich tarczach pokaże się dzień 292 495 940 – dokładnie ten sam, kiedy w płomieniach lasu straciłem Weenę oraz wiele szacunku do samego siebie!

Mój dom znajdował się w szeregowcu usytuowanym na Petersham Road – na odcinku poniżej Hill Rise, trochę powyżej rzeki. Ponieważ dom był już od dawna zniszczony, znalazłem się na otwartym stoku. Za moimi plecami wznosiła się skarpa Richmond Hill, masa osadzona w geologicznym czasie. Drzewa rozkwitały i przemieniły się w kikuty – ich wielowieczny żywot przemknął w ciągu kilku uderzeń mojego serca. Z Tamizy zrobił się pasek srebrnego światła, wygładzony w trakcie mojej podróży przez czas, i rzeka przebijająca sobie nowe koryto: wydawała się więc pośród krajobrazu niczym olbrzymia, powolna dżdżownica. Nowe budowle wznosiły się jak kłęby dymu: niektóre nawet wyrastały szybko wokół mnie, na terenie mojego starego domu.

Zdumiewały mnie rozmiary i estetyka tych budynków. Mostu Richmond z moich czasów już dawno nie było, ale zobaczyłem nowy, długi na jakąś milę łuk, który bez żadnego podparcia przecinał powietrze i biegł na drugą stronę Tamizy; wieże wznosiły się w kierunku migoczącego nieba, dźwigając olbrzymie masy na swoich smukłych przewężeniach. Chciałem wyjąć kodaka i sfotografować te ułudy, ale wiedziałem, że rozmazane wskutek podróży przez czas zjawy byłyby zbyt niedoświetlone, by wyjść na zdjęciach. Wydawało mi się, że architektonika, którą tu zobaczyłem, o tyle przerasta dziewiętnastowieczne możliwości, jak wielkie gotyckie katedry budowle Rzymian lub Greków. Z pewnością, dumałem, w tej przyszłej erze człowiek wyzwolił się do pewnego stopnia od nieubłaganej grawitacji. Bo jak inaczej można by wznieść te wspaniałe, wysokie budowle?

Niebawem jednak wielki łuk nad Tamizą zaplamiony był już brązem i zielenią: kolorami bezwzględного, niszczącego życia i – wydawało mi się, że w oka mgnieniu – łuk pękł na środku i runął, pozostawiając po sobie dwa gołe kikuty na brzegach. Przekonałem się, że tak jak wszystkie dzieła człowieka, nawet te wielkie budowle były tylko chimerami skazanymi na nietrwałość w porównaniu z chtoniczną cierpliwością lądu.

Poczułem się niezwykle odseparowany od świata, wyobcowany wskutek mojej podróży w czasie. Przypomniałem sobie ciekawość i ożywienie, które mnie naszły, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem te cuda przyszłej architektury; przypomniałem sobie, jak przez chwilę gorączkowo snułem domysły na temat osiągnięć tych przyszłych ras ludzi. Teraz byłem mądrzejszy, wiedziałem, że bez względu na te wielkie osiągnięcia ludzkość pod wpływem nieubłaganej presji ewolucji

nieuchronnie cofnie się w rozwoju, pogrąży się w stanie dekadencji i degradacji Ełojów oraz Morloków.

Zdumiewało mnie to, jak bardzo my, ludzie, nie jesteśmy lub nie chcemy być świadomi samego upływu czasu. Jakże krótkie jest nasze życie! I jak niewiele znaczą wypadki, które przytrafiają się naszym maluczkim postaciom, gdy spojrzeć na to z perspektywy wielkiego marszu historii. Znaczymy mniej niż jętki, jesteśmy bezradni w obliczu nieugiętych sił geologii i ewolucji – sił, które działają nieubłaganie, a jednak tak wolno, że w codziennym życiu nie jesteśmy nawet świadomi ich istnienia!

Wkrótce wyszedłem z Wieku Wielkich Budowli. Nowe domy i rezydencje, mniej ambitne, lecz nadal olbrzymie, pojawiły się wokół mnie niczym światła w całej dolinie Tamizy i w oczach Podróżnika w Czasie stały się nieprzezrocyste, co związane jest z długowiecznością. Odniosłem wrażenie, że łuk słońca, przesuwany się po ciemnoniebieskim niebie, pomiędzy skrajnymi punktami przesilen, zrobił się jaśniejszy i fala zieleni rozlała się po Richmond Hill i zawładnęła Ziemią, wypędzając brąz oraz biel zimy. Jeszcze raz wkroczyłem w erę, w której klimat był sprzyjający dla ludzkości.

Ogarnąłem wzrokiem krajobraz, który w efekcie mojej szybkości stał się statyczny; tylko najdłuższe zjawiska trwały dostatecznie długo, bym zdążył je zauważyć. Nie widziałem ludzi, zwierząt, a nawet przesuwanej się chmury. Tkwiałem zawieszony w dziwnym bezruchu. Gdyby nie oscylowanie słonecznej wstęgi i ciemny, nienaturalny błękit nieba będący mieszaniną barwy dnia i nocy, mógłbym pomyśleć, że siedzę samotnie w jakimś parku pod koniec lata.

Według wskazań tarcz jeszcze nie przebyłem jednej trzeciej części mojej wielkiej podróży – choć oddaliłem się od własnego stulecia już o ćwierć miliona lat – a jednak wydawało się, że wiek, w którym człowiek stawiał budowle na Ziemi, dobiegł już końca. Planeta przemieniła się w ogród, w którym przyszli Eloje

będą wieść swoje próżne, sielankowe życie; wiedziałem też, że protoplaści Morloków muszą już być uwięzieni pod ziemią i pewnie teraz drążą swoje ogromne, zapchane maszynami jaskinie. Niewiele się zmieni w ciągu półmilionowego odcinka, który miałem jeszcze do przebycia, wyjąwszy dalszą degradację ludzkości i tożsamość ofiar milionów maleńkich, strasznych tragedii, które od tej chwili będą wyznaczać los człowieka...

Jednakże – co zauważyłem, odrywając się od tych chorobliwych spekulacji – następowała jakaś zmiana, która powoli uwidaczniała się w krajobrazie. Zaniepokoiłem się, bo nie było to związane z normalnym kołysaniem się wehikułu czasu. Coś się zmieniło – być może coś w świetle.

Nie wstając z siodełka, spojrzałem na drzewa-widma, płaskie łąki wokół Petersham, ramię cierplivej Tamizy. Potem uniosłem głowę ku wygładzonemu przez czas niebu i wreszcie uświadomiłem sobie, że to słoneczna wstęga znieruchomiała. Ziemia nadal wirowała wokół własnej osi dostatecznie szybko, by nasza gwiazda podczas ruchu sprawiała wrażenie rozmazanej, a krążące gwiazdy były niewidoczne, ale wstęga słonecznego światła już nie przesuwiała się tam i z powrotem między punktami przesilen: tkwiła tak nieruchomo, jakby była betonową konstrukcją.

Mdłości i zawroty głowy powróciły do mnie w pełnym pędzie. Musiałem chwycić poręcz maszyn i przełknąłem ślinę, starając się zapanować nad własnym ciałem.

Trudno oddać wstrząs, jaki wywołała u mnie ta prosta zmiana w moim otoczeniu! Najpierw byłem zszokowany zuchwałą ingerencją techniczną związaną z likwidacją cyklu pór roku. Pory roku na Ziemi brały się z przechylenia osi obrotu planety w stosunku do płaszczyzny jej orbity. Teraz wydawało się, że na

Ziemi już nie będzie pór roku. Natychmiast uświadomiłem sobie, że mogło to oznaczać tylko jedno: najwyraźniej nachylenie osi planety zostało skorygowane.

Spróbowałem wyobrazić sobie, jak można było tego dokonać. Jakie wielkie maszyny musiały zostać zainstalowane na biegunach? Jakie podjęto środki bezpieczeństwa, aby w trakcie tego procesu powierzchnia Ziemi nie obluzowała się? Być może, snułem domysły, zastosowano jakieś ogromne urządzenie magnetyczne, które sterowało jądrem planety.

Zaniepokoiła mnie jednak nie tylko skala tej planetarnej inżynierii: jeszcze bardziej przerażał mnie fakt, że nie zaobserwowałem tej regulacji pór roku podczas mojego pierwszego wypadu w czas! Jak to możliwe, że przegapiłem tak ogromną i głęboką zmianę? Przecież jestem wyszkolonym naukowcem, moja praca polega na obserwacji.

Przetarłem twarz i spojrzałem na zawieszoną na niebie słoneczną wstęgę, która rzucała mi wyzwanie, bym uwierzył w jej bezruch. Od jej jaskrawości piekły mnie oczy i wydawało mi się, że wstęga robi się jeszcze jaśniejsza. Z początku zastanawiałem się, czy to nie wytwór mojej wyobraźni lub defekt wzroku. Opuściłem głowę, oślepiiony, ocierając rękawem łzy i mrugając, żeby się pozbyć z oczu chaotycznych plamek świetlnych.

Chociaż nie jestem prymitywem ani tchórzem, to jednak, siedząc tam i widząc dowód ogromnych wyczynów przyszłych ludzi, poczułem się jak dzikus z pomalowanym, nagim ciałem i kośćmi we włosach, który kuli się przed bogami na jaskrawym niebie. Poczułem, jak nieopisany strach o własne zdrowie psychiczne wynurza się z głębin mojej świadomości i chwyciłem się kurczowo wiary, że – jakimś cudem – po prostu nie

zauważyłem tego oszałamiającego zjawiska astronomicznego podczas mojego pierwszego przejścia przez te lata. Jedyna alternatywna hipoteza przerażała mnie do samego dna mojej duszy: zakładała, że nie byłem w błędzie podczas mojej pierwszej podróży; że regulacja osi Ziemi rzeczywiście tam nie zaistniała – że uległ zmianie sam bieg historii.

Nieomal że wieczny kształt stoku pozostał niezmienny – morfologia starożytnego lądu pozostała nietknięta przez ewoluujące światło na niebie – zobaczyłem jednak, że fala zieleni, która wcześniej zalała ląd, teraz wycofała się pod wpływem oślepiającego blasku rozjaśnionego Słońca.

Do mojej świadomości dotarło teraz odległe migotanie nad głową i podniosłem wzrok, osłaniając ręką oczy. Migotanie pochodziło od słonecznej wstęgi na niebie – lub tego, co przedtem nią było, gdyż uświadomiłem sobie, że jakimś cudem znów jestem w stanie śledzić ruch Słońca, kiedy na kształt kuli armatniej przelatywało po niebie, zataczając swoje codzienne koło; jego ruch już nie był dla mojego oka zbyt szybki i odkryłem, że powodem migotania jest cykliczna zmiana dnia i nocy.

Z początku myślałem, że moja maszyna musi tracić prędkość, kiedy jednak spojrzałem na tarcze, zobaczyłem, że wskazówki poruszają się tak żwawo jak dotychczas.

Jednolite, perłowszare światło rozplynęło się i gwałtowne zmiany dnia i nocy stały się wyraźne. Gorące, jasne, żółte słońce prześlizgiwało się po niebie, zmniejszając szybkość z każdą pokonywaną trajektorią łukową i wkrótce uświadomiłem sobie, że płonąca gwiazda potrzebuje wielu stuleci na wykonanie jednego pełnego obrotu wokół Ziemi.

Wreszcie Słońce zatrzymało się i spoczęło na zachodnim

horyzoncie – gorące, bezlitosne i niezmiennie. Rotacja Ziemi ustała; teraz planeta obracała się z jedną stroną zwróconą nieustannie do Słońca!

Dziewiętnastowieczni naukowcy przewidzieli, że wpływ pływów Słońca i Księżyca w końcu doprowadzi do tego, iż rotacja Ziemi zostanie zablokowana przez Słońce, tak jak Księżyc zmuszony był tkwić zwrócony jedną stroną do Ziemi. Sam byłem tego świadkiem, gdy po raz pierwszy odkrywałem przyszłość. Miało się to jednak zdarzyć nie prędzej niż za wiele milionów lat. A ja zastałem nieruchomą Ziemię po upływie zaledwie pół miliona lat!

Jeszcze raz uprzytomniłem sobie, że to efekt ingerencji ludzkiej ręki – odziedziczonych po małpie palców, które po wielu stuleciach miały uścisk godny bogów. Niezadowolony z pochylenia osi swojego świata, człowiek zwolnił prędkość obrotu samej Ziemi, likwidując w końcu odwieczny cykl dni i nocy.

Rozejrzałem się po nowej, angielskiej pustyni. Kraina została ogołocona z trawy, którą zastąpiła wysuszona glina. Tu i ówdzie dostrzegłem ślady jakichś odpornych krzewów-przypominających kształtem oliwki – które usiłowały przeżyć pod bezlitosnym słońcem. Potężna Tamiza, która przesunęła swoje koryto o jakąś milę, zwęziła się do takiego stopnia, że już nie widziałem odbłasku jej wód. Wcale nie uważałem, że te najnowsze zmiany wyszły krainie na lepsze: w świecie Morloków i Elojów przynajmniej zachowane zostały najistotniejsze cechy angielskiego krajobrazu, na który składały się zieleń i woda; kiedy teraz o tym myślę, jawi mi się to niczym odholowanie Wysp Brytyjskich do tropiku.

Wyobraziłem sobie biedną planetę, której jedna strona

pogrążona jest na zawsze w świetle słonecznym, a druga – ciągle pozostaje odwrócona od Słońca. Na równiku, w centrum strony dziennej musiało być dostatecznie ciepło, by człowiekowi przypalała się skóra. I powietrze musiało uciekać z przegrzanej słonecznej strony, by w postaci wielkich wiatrów popędzić w kierunku chłodniejszej półkuli i przemienić się tam w tlenowo-azotowy śnieg nad skutymi lodem oceanami. Gdybym teraz zatrzymał maszynę, być może zostałbym strącony przez te wielkie wiatry, ostatnie wydechy płuc planety! Proces mógł dobiec końca tylko wtedy, gdy strona dzienna będzie wysuszona, bezwietrzna i całkowicie pozbawiona życia, a ciemna strona pogrzebana pod cienką skorupą zamrożonego powietrza.

Z narastającą zgrozą uświadomiłem sobie, że nie mogę teraz wrócić do domu! Aby zawrócić, musiałbym zatrzymać wehikuł, a gdybym to zrobił, zostałbym nagle wyrzucony w krainę próżni i spiekoty, równie pośępną co powierzchnia Księżyca. Ale czy miałem odwagę kontynuować wędrówkę w nieznaną przyszłość i żywić nadzieję, że gdzieś w otchłani czasu znajdę świat, w którym mógłbym zamieszkać?

Obecnie nabrałem pewności, że coś jest nie tak z moimi spostrzeżeniami, lub wspomnieniami, z podróżowania w czasie. Mogłem bowiem wyobrazić sobie, że podczas mojej pierwszej wyprawy w przyszłość przeoczyłem likwidację pór roku – choć trudno mi było w to uwierzyć – nie mogłem się jednak pogodzić z tym, że nie zauważyłem zmniejszenia szybkości obrotu Ziemi.

Nie było co do tego żadnych wątpliwości: podróżowałem przez wydarzenia zdecydowanie różne od tych, których byłem świadkiem w trakcie mojej pierwszej wyprawy.

Z natury jestem człowiekiem skorym do rozmyślań i na ogół potrafię w mig sformułować kilka hipotez, ale w tym momencie

doznałem takiego szoku, że nie potrafiłem zliczyć do trzech. Czuję się tak, jakby moje ciało nadal brnęło w czas, lecz mózg pozostał w tyle, gdzieś w kleistej przeszłości. Wydawało mi się, że wcześniej odznaczałem się odwagą, bo miałem świadomość, ba, pewność, iż choć kierowałem się ku niebezpieczeństwu, było to w gruncie rzeczy niebezpieczeństwo, z którym już kiedyś się zetknąłem. Teraz nie miałem pojęcia, co mnie czeka w tych korytarzach czasu!

Zaabsorbowany tymi chorobliwymi myślami, uświadomiłem sobie, że na niebie ciągle zachodzą zmiany – jak gdyby burzenie naturalnego porządku rzeczy jeszcze nie zaszło dość daleko! Słońce robiło się coraz jaśniejsze. I – trudno było stwierdzić to na pewno, gdyż blask był tak oślepiający – wydało mi się, że ulega teraz zmianie sam kształt gwiazdy. Słońce rozmazywało się na niebie, tworząc eliptyczną plamę światła. Zastanawiałem się, czy jakimś cudem nie wiruje szybciej i tym samym nie zostało spłaszczone przez rotację...

A potem – całkiem niespodziewanie – Słońce eksplodowało.

Kule światła wybuchnęły z biegunów gwiazdy niczym olbrzymie flary. W ciągu kilku uderzeń serca Słońce otoczyło się jaskrawym płaszczem światła. Żar i blask znów zalały zmaltretowaną Ziemię.

Krzyknąłem i ukryłem twarz w dłoniach, nadal jednak docierało do moich oczu światło powiększonego Słońca, przedzierając się nawet przez moje palce i odbijając od niklowych oraz mosiężnych części wehikułu czasu.

A potem, tak szybko jak się zaczęła, burza świetlna ustała – jakaś skorupa zamknęła się wokół Słońca, jak gdyby olbrzymie usta połykały gwiazdę – i zanurzyłem się w ciemności!

Opuściłem ręce i znalazłem się w kompletnej czerni, niezdolny nic zobaczyć, choć plamki świetlne nadal tańczyły mi w oczach. Czułem pod sobą twarde siodełko wehikułu czasu i kiedy wyciągnąłem rękę, znalazłem powierzchnie czołowe małych tarcz; machina nadal się kołysała, brnąc przez czas. Zacząłem się zastanawiać – obawiać! – czy nie utraciłem wzroku.

Wezbrała we mnie rozpacz, czarniejsza od ciemności na zewnątrz. Czy moja druga wielka przygoda w czasie miała się skończyć tak szybko, tak haniebnie? Wyciągnąłem rękę, szukając po omacku dźwigni sterujących, a mój rozgorączkowany mózg zaczął wymyślać plany, w których tłukłem szklane osłony chronometrycznych tarcz i, być może za pośrednictwem dotyku,

kierowałem się do domu.

...A potem odkryłem, że nie jestem ślepy: coś widziałem.

Pod pewnymi względami był to jak dotąd najdziwniejszy aspekt całej podróży – tak dziwny, że z początku wcale nie odczuwałem strachu.

Przede wszystkim zobaczyłem błyskawicę w ciemności. Był to niewyraźny, rozległy rozbłysk przypominający wschód słońca, tak słaby, że nie miałem pewności, czy moje obolałe oczy nie płatają mi jakiegoś figła. Zdawało mi się, że wszędzie wokół widzę gwiazdy, były jednak niewyraźne, a ich światło przyćmione, jakbym patrzył na nie przez mroczne okno witrażowe.

I nagle, w tym przyćmionym blasku zobaczyłem, że nie jestem sam!

Przed wehikułem czasu stała jakaś istota lub raczej unosiła się swobodnie w powietrzu. Była to kula ciała: coś w rodzaju wiszącej głowy, szerokiej na cztery stopy, z dwoma pękami macek, które zwisały jak groteskowe palce. Usta istoty były podobne do mięsistego dzioba i, o ile mogłem się zorientować, stwór nie miał nozdrzy. Dostrzegłem teraz, że dwoje dużych i ciemnych oczu stwora przypomina oczy człowieka. Wydawało mi się, że stworzenie wydaje z siebie jakiś odgłos – niski, mruczący bełkot podobny do szumu rzeki – i z ukłuciem strachu uświadomiłem sobie, że to właśnie ten dźwięk słyszałem wcześniej w trakcie ekspedycji, a nawet podczas mojej pierwszej wyprawy w czas.

Czy ten stwór – ten Obserwator, jak go nazwałem – towarzyszył mi, niewidoczny, w trakcie moich obu podróży przez czas?

Stwór nagle ruszył w moim kierunku. Zamajaczył nie dalej niż

metr od mojej twarzy!

W końcu nie wytrzymałem nerwowo. Krzyknąłem i nie dbając o konsekwencje, szarpnąłem dźwignię.

Wehikuł czasu przewrócił się – Obserwator zniknął – i zostałem ciśnięty w powietrze!

Straciłem przytomność; na jak długo, nie potrafię powiedzieć. Przyszedłem powoli do siebie i stwierdziłem, że twarz mam przyciśniętą do twardej, piaszczystej powierzchni. Wydawało mi się, że czuję gorący oddech na karku, szept, otarcie miękkich włosów o policzki, ale kiedy jęknąłem i usiłowałem wstać, wrażenia te zniknęły.

Byłem pogrążony w atramentowej ciemności. Nie czułem ani ciepła, ani zimna. Siedziałem na jakimś twardym, piaszczystym podłożu. W nieruchomym powietrzu unosił się nieświeży zapach. Głowa bolała mnie od uderzenia i zgubiłem kapelusz.

Wyciągnąłem ramiona i zacząłem nimi badać przestrzeń we wszystkich kierunkach. Ku mojej wielkiej uldze prawie od razu zostałem wynagrodzony łagodnym zderzeniem z płataniną kości słoniowej i mosiądzu: był to wehikuł czasu, tak jak ja ciśnięty w tę ciemną pustynię. Wyciągnąłem obie ręce i pomacałem palcami poręcze oraz śruby maszyny. Leżała przewrócona i nie potrafiłem stwierdzić w mroku, czy jest uszkodzona.

Oczywiście potrzebowałem światła. Sięgnąłem do kieszeni po zapalki i... nic nie znalazłem, jak skończony głupiec zapakowałem cały zapas do plecaka! Uległem chwilowej panice, zdołałem ją jednak przezwyciężyć, wstałem drżący i podszedłem do wehikułu czasu. Pomacałem go ręką, szukając między pogiętymi poręczami, aż znalazłem plecak, nadal schowany bezpiecznie pod siodełkiem. Zniecierpliwiony, szarpnięciem otworzyłem torbę i pośpiesznie ją przetrząsałem. Znalazłem

dwa pudełka zapalek i włożyłem je do kieszeni marynarki, a potem wyjąłem zapalną i potarłem o zaryskę.

... Z mroku wychynęła jakaś twarz, nie dalej niż dwie stopy ode mnie, pobłyskując w świetlnym kręgu zapalną: zobaczyłem niewyraźnie białą skórę, lniane włosy, opadające z czaszki, i szerokie, szaroczerwone oczy.

Stworzenie wydało dziwny, bulgoczący krzyk i zniknęło w ciemności poza kręgiem mojego światła.

To był Morlok!

Zapalną przypaliła mi palce i upuściłem ją i poszukałem w pośpiechu kolejnej i w panice prawie że upuściłem moje cenne pudełko.

Moje nozdrza wypełnił ostry, siarczany zapach zapalek i wycofałem się po piaszczystym podłożu, aż dotknąłem kręgosłupem mosiężnych prętów wehikułu czasu. Po kilku minutach opanowałem przerażenie i przypomniałem sobie, że mam w plecaku świeczkę. Trzymałem ją przy twarzy i gapiłem się w jej żółty płomień, niepomny na ciepły воск, który spływał mi po palcach.

Stopniowo zacząłem dostrzegać jakąś strukturę w otaczającym mnie świecie. Zobaczyłem splątany mosiądz i kwarc przewróconego wehikułu czasu, pobłyskujący w blasku świeczki, oraz jakiś posąg – przypominający dużą statwę lub budowlę – który majaczył, blady i olbrzymi, niedaleko od miejsca, w którym stałem. Kraina nie była całkowicie pozbawiona światła. Być może Słońce zniknęło, ale nade mną nadal świeciły gwiazdy, choć czas poprzestawiał je z konstelacji, które znałem z dzieciństwa. Nie było śladu naszego przyjaznego Księżyca.

Jednakże w jednej części nieba nie świeciły żadne gwiazdy: na zachodzie znajdowała się spłaszczona elipsa – wystająca ponad czarnym horyzontem i nie skażona przez gwiazdy – która zajmowała całą ćwiartkę nieba. To było Słońce, spowite swoją zdumiewającą skorupą!

Kiedy pozbyłem się już ostatecznie strachu, postanowiłem, że przede wszystkim muszę sobie zabezpieczyć drogę powrotną do

domu: muszę naprawić wehikuł czasu. Tyle że nie mogłem tego zrobić w ciemności! Uklęknąłem i pomacałem ręką po ziemi. Piasek był twardy, a ziarna gęsto upakowane. Wbiłem w niego kciuk i zrobiłem małe zagłębienie; włożyłem w ten zaimprovizowany uchwyt świeczkę, ufny, że za chwilę stopi się dostateczna ilość wosku, by ją mocniej przytrzymać. Teraz miałem stałe światło i wolne ręce.

Zacisnąłem zęby, wziąłem oddech i zacząłem się mocować z ciężką machiną. Wsunąłem ręce i kolana pod jej podstawę, próbując poderwać wehikuł z ziemi – jego konstrukcja miała zapewniać solidność, a nie łatwość obsługi – aż wreszcie maszyna ustąpiła pod moim naporem i przewróciła się. Jeden nikłowy pręt dość boleśnie uderzył mnie w ramię.

Położyłem rękę na siodełku i poczułem miejsce, w którym jego skórzana powierzchnia była podrapana przez piasek tej nowej przyszłości. Poruszając się we własnym cieniu, wyciągnąłem rękę i koniuszkami palców znalazłem chronometryczne tarcze – jedno szkiełko pękło, ale sama tarcza wydawała się sprawna – i dwie białe dźwignie, za pomocą których mogłem się przenieść do domu. Kiedy dotknąłem dźwigni, machina zadrżała jak duch, przypominając mi, że ona – i ja – nie jesteśmy z tego czasu: że w dowolnej chwili muszę jedynie wsiąść na moje urządzenie, aby powrócić do bezpiecznego roku 1891, nie ryzykując niczym poza trochę urażoną dumą.

Uniosłem świeczkę z dołka w piasku i przytrzymałem ją nad tarczami. Odkryłem, że jest dzień 239 354 634, a zatem, jak obliczyłem, znalazłem się w roku Pańskim 657 208. Moje najśmielsze domysły dotyczące zmienności przeszłości i przyszłości musiały być prawidłowe, ponieważ ten zaciemniony stok pagórka znajdował się sto pięćdziesiąt tysięcy lat przed

narodzinami Weeny i nie mogłem sobie wyobrazić sposobu, w jaki tamten zalany światłem słonecznym ogrodowy świat mógłby powstać z tego pozbawionego promieni słonecznych mroku!

Pamiętam, że w odległym dzieciństwie mój ojciec zabawiał mnie prymitywną zabawką zwaną „Rozpływający się widok”. Prymitywnie pokolorowane obrazki rzucone były na ekran przez podwójny układ soczewek. Obrazek wyświetlany był najpierw przez prawą soczewkę urządzenia, potem światło przestawiane było na lewą stronę, aby rzucany z prawej strony obraz zanikał, podczas gdy drugi stawał się coraz jaśniejszy. Będąc dzieckiem, duży wpływ wywierało na mnie to, w jaki sposób jaskrawa rzeczywistość przemieniała się w zjawę, zastępowaną przez następny obraz, który było najpierw widać jako niewyraźny zarys. Zdarzały się wtedy radosne chwile, kiedy oba obrazy znajdowały się w równowadze i trudno było ustalić, które szczegóły są następującą, a które ustępującą rzeczywistością, lub czy którakolwiek część całego obrazu jest naprawdę „rzeczywista”.

I kiedy tak teraz stałem pośród tego zaciemnionego krajobrazu, czułem, i to z większą dezorientacją niż jasnością, że niewzruszony obraz stworzonego na mój własny użytek świata staje się mglisty i wątki, i zastąpiony zostaje przez goły szkielet następcy!

Rozbieżność bliźniaczych historii, których byłem świadkiem – w pierwszej budowa ogrodowego świata Elojów, a w drugiej wygaszenie Słońca i ustanowienie tej planetarnej pustyni – była dla mnie niezrozumiała. Jak coś mogło być, a potem nie być?

Przypomniałem sobie słowa Tomasza z Akwinu: że „Bóg nie może sprawić, by cokolwiek, co jest przeszłością, mogło nie

istnieć. To o wiele bardziej niemożliwe od wskrzeszania umarłych...” Ja też w to wierzyłem! Nie interesują mnie za bardzo spekulacje filozoficzne, ale zawsze uważałem przyszłość za kontynuację przeszłości: za ustaloną i niezmienną, nawet dla Boga – aż pewnością dla człowieka. W moim umyśle przyszłość była jak olbrzymi pokój, trwały i statyczny. A mój wehikuł czasu miał mnie wieść na odkrycie mebli tej przyszłości.

Teraz jednak wydawało się, że dowiedziałem się, iż przyszłość być może wcale nie jest czymś ustalonym, lecz zmiennym! Jeśli tak, dumałem, to jakie znaczenie można przypisać ludzkiemu życiu? Niepokoiła mnie myśl, że wszystkie osiągnięcia człowieka stracą znaczenie wskutek erozji czasu – akurat ja wiedziałem o tym bardzo dobrze! – ale przynajmniej człowiek miałby zawsze poczucie, że jego wiekopomne odkrycia i rzeczy, które kochał, w ogóle kiedyś istniały. Jeśli jednak historia zdolna była wszystko wymazać i zmienić, to jaką wartość można było przypisać jakimkolwiek ludzkim działaniom?

Rozważając te zaskakujące możliwości, poczułem, jakby stabilność mojego myślenia i stałość mojego rozumienia świata rozpływały się. Zapatrzyłem się w płomień świecy, szukając konturów nowego zrozumienia.

Zdecydowałem, że się nie poddam; uciszyłem lęki, a mój umysł znów stał się giętki i silny. Zbadam ten dziwaczny świat i zrobię moim kodakiem takie zdjęcia, jakie zdołam, a potem wrócę do roku 1891. Tam filozofowie lepsi ode mnie będą mogli się głowić nad tą łamigłówką dwóch wykluczających się przyszłości.

Sięgnąłem do prętów wehikułu czasu, odkręciłem małe dźwignie przenoszące mnie w czas i schowałem je bezpiecznie w kieszeni. Potem pomacałem ręką, aż znalazłem mocny pogrzebacz, który ciągle tkwił tam, gdzie go umieściłem, w ramie

machiny. Chwyciłem jego mocną rączkę i zważyłem pręt w rękę. Nabrałem większej pewności, kiedy wyobraziłem sobie, jak rozbijam kilka miękkich czaszek Morloków za pomocą tego prymitywnego wytworu ludzkiej techniki. Wsunąłem pogrzebacz za pas. Zwisał tam trochę niezgrabnie, ale swoim ciężarem i solidnością, a także wspomnieniem mojego domu i kominka ogromnie dodawał mi pewności siebie.

Uniosłem świeczkę. Upiorny posąg lub budynek, który dostrzegłem w pobliżu maszyny, rzucał cienie. Rzeczywiście był to jakiś pomnik – ogromna figura wyrzeźbiona z jakiegoś białego kamienia, o kształcie trudnym do rozróżnienia w migoczącym świetle świeczki.

Poszedłem w kierunku posągu. Wydało mi się, że kątem oka dostrzegam parę szeroko rozwartych szaroczerwonych oczu i białe plecy, które oddaliły się po piaszczystym podłożu, wydając odgłos szurania gołych stóp. Położyłem rękę na mosiężnym łomie zatkniętym za pas i szedłem dalej.

Posąg był umieszczony na piedestale, który wydawał się wykonany z brązu i ozdobiony głęboko wykutymi, filigranowymi płytkami. Piedestał znaczyły plamy, jakby kiedyś zaatakowała go śniedz, która już dawno temu zaschła. Sam posąg wykonany był z białego marmuru. Z lwiego ciała wyrastały wielkie skrzydła, które zwisały nade mną. Zastanawiałem się, na czym wspierają się te wielkie kamienne płyty, ponieważ nie widziałem żadnych podpór. Dumalem, że być może jest tam jakaś metalowa rama lub też pewne umiejętności opanowania grawitacji, które założyłem hipotetycznie podczas podróży przez Wiek Wielkich Budowli, przetrwały w tej wyludnionej erze. Oblicze tej marmurowej bestii było ludzkie i zwrócone w moim kierunku;

czułem, jakby te puste, kamienne oczy obserwowały mnie, a na smaganych przez pogodę ustach igrał sardoniczny i okrutny uśmieszek...

I nagle z dreszczem podniecenia rozpoznałem tę budowlę i gdyby nie strach przed Morlokami, krzyknąłbym z radości na jej widok. Był to posąg, który nazwałem białym sfinksem – budowla, z którą się zaznajomiłem, dokładnie w tym samym miejscu, podczas mojego pierwszego lotu w przyszłość. To było prawie jak przywitanie starego przyjaciela!

Przeszedłem się po piaszczystym stoku tam i z powrotem obok maszyny, przypominając sobie, jak to wszystko kiedyś wyglądało. W tym miejscu rósł trawnik otoczony przez fiołkowo-różowe i fioletowe rododendrony – krzaki, które zarzuciły mnie swoim kwieciem podczas mojej pierwszej podróży. A nad tym wszystkim majaczyła – niewyraźna na początku podczas tej burzy gradowej – okazała postać tego sfinksa.

Cóż, znów tu byłem, sto pięćdziesiąt tysięcy lat przed tamtą datą. Krzaki i trawnik zniknęły – podejrzewałem, że już nigdy nie wyrosną. Tamten oświetlony przez słońce ogród zastąpiony został przez tę ponurą, mroczną pustynię i teraz istniał tylko w zakamarkach mojego umysłu. Ale sfinks tu był, trwał jak życie i wydawało się – prawie niezniszczalny.

Poklepałem brązowe płyty piedestału sfinksa z uczuciem bliskim niemalże czułości. Jakimś cudem istnienie sfinksa, przypominające mi moją poprzednią wizytę, uspokoiło mnie, że to wszystko nie jest wytworem mojej wyobraźni, że nie tracę zmysłów zaszyty w jakimś ciemnym zakątku mojego domu w roku 1891! To wszystko było obiektywnie realne i – bez wątplenia tak jak reszta Stworzenia – zgadzało się z jakimś logicznym wzorem. Biały sfinks należał do tego wzoru i tylko

z powodu mojej ignorancji oraz ograniczeń umysłu nie potrafiłem dostrzec reszty. Poczuliem się pokrzepiony i wstąpiła we mnie nowa stanowczość, by kontynuować badania.

Odruchowo podszedłem do bocznej powierzchni piedestału, która znajdowała się najbliżej wehikułu czasu, i przy świetle świeczki przyjrzałem się zdobionej brązowej płycie. Przypomniałem sobie, że to właśnie tu Morlokowie – w tamtej alternatywnej Historii – otworzyli wydrążone wewnątrz sfinksa i zaciągnęli wehikuł czasu do piedestału, zamierzając złapać mnie w pułapkę. Podszedłem wtedy do sfinksa z kamieniem i waliłem w tę płytę – dokładnie tutaj; przesunąłem palcami po zdobieniach. Rozpłaszczyłem wtedy kilka zwojów płyty, choć bezskutecznie. Cóż, teraz stwierdziłem, że zwoje, które dotykam palcami są twarde i okrągłe, prawie jak nowe. Dziwna to była myśl, że te zwoje nie spotkają się z wściekłością mojego kamienia jeszcze przez wiele tysięcy lat – a może nawet nigdy.

Postanowiłem odejść od maszyny i kontynuować badania. Obecność sfinksa jednakże przypomniała mi o chwilach grozy, kiedy straciłem wehikuł czasu i zdobyli go Morlokowie. Poklepałem się po kieszeni – chociaż bez moich małych dźwigni nie można było uruchomić wehikułu, to przecież te obrzydliwe stwory mogły zacząć pełzać po mojej maszynie z chwilą, gdy od niej odejdę, być może znów ją demontując lub rozkradając.

A zresztą, jak miałem się ustrzec przed zgubieniem się w tej krainie ciemności? Skąd miałem mieć pewność, że odnajdę maszynę, gdy odejdę od niej na kilka metrów?

Przez jakiś czas łamałem sobie nad tym głowę, a moje pragnienie prowadzenia dalszych badań walczyło z niepokojem. Potem przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Otworzyłem plecak i wyjąłem świeczki oraz kostki kamfory. Pośpiesznie

wepchnąłem te przedmioty w szpary w skomplikowanej konstrukcji wehikułu czasu. Następnie obszedłem maszynę z zapalonymi zapalnikami, aż zajaśniały wszystkie kostki i świece.

Odsunąłem się od swojego płonącego dzieła z pewną dumą. Płomienie świeczek odbijały się od wypolerowanego niklu i mosiądzu, tak iż wehikuł czasu był rozświetlony niczym choinka. W zaciemnionym krajobrazie i z maszyną ustawioną na tym ogołocnym stoku wzgórza mogłem widzieć mój sygnał świetlny z oddali. Przy odrobinie szczęścia ogień powstrzyma Morloków – a jeśli nie, to od razu zobaczę wygaszenie płomieni i będę mógł przybiec z powrotem, żeby walczyć.

Dotknąłem palcami ciężkiego uchwytu pogrzebacza. Sądzę, że częściowo żywiłem taką nadzieję; poczułem łaskotanie w rękach i przedramionach, przypominając sobie dziwne uczucie miękkości, kiedy grzmociłem pięściami twarze Morloków!

W każdym razie byłem teraz przygotowany do wyprawy. Wziąłem kodaka, zapaliłem lampę oliwną i ruszyłem na drugą stronę wzgórza, przystając co kilka kroków, by się upewnić, czy wehikuł czasu stoi w spokoju.

Uniosłem lampę, ale jej blask padał na odległość zaledwie kilku metrów. Wszędzie panowała cisza – nie słyhać było ani szmeru wiatru, ani chlupotu wody; zastanawiałem się, czy Tamiza jeszcze płynie.

Z braku konkretnego celu postanowiłem pójść w kierunku wielkiego gmachu zjedzeniem, który pamiętałem z czasów Weeny. Budowla znajdowała się na północnym zachodzie, kawałek dalej na stoku wzgórza za białym sfinksem, tak więc jeszcze raz podążyłem tą ścieżką, powtarzając w przestrzeni, lecz nie w czasie, mój pierwszy spacer w świecie Weeny.

Przypomniałem sobie, że gdy ostatnio odbywałem tę małą podróż, pod stopami miałem trawę, która – mimo iż nie dogładana i nie przycięta – była równa, krótka i nie zachwaszczona. Kiedy teraz stąpałem po wzgórzu, moje buty grzęzły w miękkim żwirze.

Mój wzrok przyzwyczajał się do tego nocnego, pstrokatego światła gwiazd, lecz mimo iż wokół stały budowle, których sylwetki majaczyły na tle nieba, nie dostrzegłem mojego gmachu. Pamiętałem go bardzo wyraźnie: był to szary budynek, olbrzymi i podniszczony, z ciosanego kamienia, z rzeźbionymi, zdobnymi drzwiami. Kiedy przeszedłem wtedy pod rzeźbionym łukiem nad wejściem, otoczyli mnie mali Eloje, ładni i delikatni, z bladymi rękami i w zwiewnych tunikach.

Wkrótce zaszedłem tak daleko, że wiedziałem, iż musiałem minąć miejsce, w którym stała budowla. Najwidoczniej – w przeciwieństwie do białego sfinksa i Morloków – pałac nie przetrwał w tej historii. Lub może nigdy go nie zbudowano, pomyślałem z dreszczem; być może spacerowałem, spałem, a nawet jadłem w nie istniejącym budynku.

Ścieżka zaprowadziła mnie do studni; pamiętałem ten element krajobrazu z pierwszej wyprawy. Zgodnie z moimi wspomnieniami konstrukcja była okuta brązem i zabezpieczona przed opadami atmosferycznymi małą, dziwnie delikatną kopułą. Wokół kopuły skupiła się jakaś roślinność. W świetle gwiazd była czarna jak węgiel. Przyglądałem się temu wszystkiemu z pewnym strachem, gdyż te wielkie szyby służyły Morlokom do wychodzenia z piekielnych jaskiń na słoneczny świat Elojów.

Ze studni nie dochodził żaden dźwięk. Zdziwiło mnie to, ponieważ pamiętałem, że z tamtych studni docierały do mnie głuchoe odgłosy wielkich silników Morloków, głęboko schowanych w podziemnych pieczarach.

Usiadłem przy studni. Zauważona przeze mnie roślinność wydawała się jakąś odmianą porostu; był miękki i suchy w dotyku, ale nie badałem go dalej ani nie próbowałem ustalić jego budowy. Uniosłem lampę, chcąc potrzymać ją nad otworem studni, żeby zobaczyć, czy nie pojawi się odbicie światła w wodzie; płomień jednak zamigotał, jakby się znalazł w jakimś silnym przeciągu, i wpadając na chwilę w panikę na myśl o ciemności, szybko cofnąłem lampę.

Wsunąłem głowę pod kopułę i przechyliłem się nad krawędzią studni. Ciepłe, wilgotne powietrze buchnęło mi w twarz – jak po otwarciu drzwi do łaźni tureckiej – całkiem niespodziewanie

w tamtej upalnej i suchej nocy przyszłości. Miałem wrażenie, że jest tam bardzo głęboko i wydawało mi się, że moje przywykłe do ciemności oczy dostrzegły na dnie czerwony poblask. Pomimo pozornego podobieństwa ta studnia była zupełnie inna niż studnia pierwszych Morloków. W ścianie nie widać było żadnych wystających metalowych haczyków, które pomagałyby przy wychodzeniu ze studni, i nadal nie słyszałem – tak jak poprzednio – hałasu maszyn. Odnosiłem też dziwne, niemożliwe do zweryfikowania wrażenie, że ta studnia jest znacznie głębsza od wywierconych przez tamtych Morloków.

Dla kaprysu podniosłem kodaka i wyjąłem lampę błyskową. Napełniłem korytko lampy *blitzlichtpulverem*, uniosłem aparat i zalałem studnię światłem magnezowym. Jego odbicia oślepiły mnie i była to jasność, jakiej być może nie widziano na Ziemi od czasu zakrycia Słońca, sto lub więcej tysięcy lat wcześniej. To powinno odstraszyć Morloków! Zacząłem wymyślać zabezpieczenia, które polegałyby na podłączeniu lampy błyskowej do nie pilnowanego wehikułu czasu, tak aby zapalała się przy każdym dotknięciu maszyny.

Wstałem i spędziłem kilka minut na ładowaniu lampy i błyskaniu w różnych miejscach na stoku wokół studni. Niebawem uniosła się wokół mnie chmura gęstego, białego dymu. Pomyślałem, że być może będę miał szczęście i ku zdumieniu ludzkości uwiecznię na zdjęciu zadek uciekającego, przerażonego Morloka!

Kawałek za przeciwległą krawędzią studni, nie dalej niż metr od miejsca, w którym stałem, rozległo się delikatne, uporczywe skrobanie.

Z krzykiem sięgnąłem do pasa, szukając pogrzebacza. Czy Morlokwie napadli na mnie, kiedy śniłem na jawie?

Z pogrzebaczem w rękę ruszyłem ostrożnie naprzód. Uświadomiłem sobie, że chrobotanie dochodzi z kępy porostów; coś się przemieszczało w równym tempie przez te ciemne roślinki. Nie zauważyłem żadnego Morloka, więc opuściłem pogrzebacz i pochyliłem się nad grządką porostu. Zobaczyłem małe, podobne do kraba stworzenie, nie szersze od mojej dłoni; skrobanie, które usłyszałem, spowodowane było ocieraniem się jedyne go, bardzo dużego pazura kraba o porost. Skorupa kraba wydawała mi się czarna jak węgiel i stworzonko nie miało oczu, przypominając jakiegoś ślepego mieszkańca głębin oceanu.

A więc, pomyślałem sobie, obserwując to małe przedstawienie, walka o przeżycie trwa, nawet w tych nocnych ciemnościach. Uderzyło mnie to, że w trakcie całej mojej eskapady nie dostrzegłem oznak życia – z wyjątkiem widoku Morloka – z dala od tej studni. Nie jestem biologiem, ale wydawało mi się jasne, że to źródło ciepłego, wilgotnego powietrza z pewnością musi przyciągać życie na tym przemienionym w pustynię świecie, tak jak przyciągnęło tego ślepego kraba-farmera i jego plony w postaci porostów. Podejrzywałem, że ciepło musi pochodzić z płynnego jądra Ziemi, którego wulkaniczny żar, tak widoczny w moich czasach, nie ostygł znacząco w ciągu minionych sześciuset tysięcy lat. Być może również wilgoć pochodziła z formacji wodonośnych, które nadal istniały pod ziemią.

Snulem domysły, że być może cała powierzchnia planety usiana jest takimi studniami i kopułami. Ich celem jednak nie jest otwarcie dostępu do wewnętrznego świata Morloków – tak jak w tamtej alternatywnej Historii – lecz zapewnienie ujścia wewnętrznym zasobom energetycznym ziemi w celu ogrzania i zwilżenia tej pozbawionej słońca planety; i właśnie takie formy życia, ocalałe po potwornej ingerencji technicznej, której byłem

świadkiem, gromadziły się teraz wokół tych źródeł ciepła i wilgoci.

Nabierałem coraz większej pewności siebie – odkrywanie sensu rzeczy to potężny środek tonizujący dla mojej odwagi i po tym fałszywym alarmie z krabem nie czułem się już zagrożony – i usiadłem ponownie na krawędzi studni. Miałem w kieszeni fajkę i tytoń; napełniłem główkę po brzegi i zapaliłem. Zacząłem rozważać, jak bardzo ta historia może się różnić w porównaniu z pierwszą, której byłem świadkiem. Najwidoczniej istniały między nimi jakieś podobieństwa – byli tu Morlokwie i Eloje – ale ich przerażająca dwoistość znalazła swoje rozwiązanie w minionych wiekach.

Zastanawiałem się, dlaczego miałyby dojść do takiej międzyrasowej konfrontacji, gdyż Morlokwie, na swój własny, ohydny sposób, zależni byli od Elojów tak samo, jak ci od Morloków, i ten układ charakteryzował się pewnego rodzaju stabilnością.

Domyśliłem się, jak mogło do tego dojść. Morlokwie zaliczali się przecież do gorszej gatunkowo grupy ludzi, a logiczne postępowanie nie leży w naturze człowieka. Morlok musiał wiedzieć, że jego istnienie zależy od Eloja; musiał się nad nim litować i nim pogardzać – jako swoim dalekim kuzynem, którego status mimo to został zredukowany do roli bydła. A jednak...

A jednak, jakież to wspaniałe porannek złożył się na krótkie życie Elojów! Ci mali ludzie śmiali się, kochali i tańczyli na powierzchni świata przekształconego w ogród, natomiast Morlokwie musieli harować w śmierdzących trzewiach Ziemi, aby zapewnić Elojom luksusowe życie. Zakładając nawet, że Morlok był tak uwarunkowany i bez wątplenia odwróciłby się ze wstrętem od słonecznego światła Elojów oraz czystej wody

i owoców, nawet gdyby mu to zaproponowano – czyż nie mógł na swój ponury i przebiegły sposób zazdrościć Elojom ich przyjemnego trybu życia?

Być może elojskie ciało nabierało niedobrego smaku w obrzydliwych ustach Morloka, nawet gdy je gryzł w swojej obskurnej jaskini.

Wyobraziłem sobie wtedy, jak Morlokowie – lub część z nich – wychodzą pewnej nocy ze swoich podziemnych tuneli i napadają na Elojów, wykorzystując swoją broń i umięśnione ramiona. Dochodzi do wielkiej czystki i tym razem nie jest to kontrolowane zbieranie żniwa elojskich ciał, lecz gwałtowny atak w jednym, bezmyślnym celu: ostatecznego wyniszczenia Elojów.

Jak wiele krwi musiało spłynąć po trawnikach i pałacach zjedzeniem, i jak te starożytne kamienie musiały rozbrzmiewać echem dziecinnych krzyków Elojów!

W takiej walce, oczywiście, mógł być tylko jeden zwycięzca. Wąтли ludzie przyszłości, szalenie piękni i apetyczni, nie mogli się absolutnie obronić przed napaścią zorganizowanych, morderczych Morloków.

Ujrzałem to wszystko przed oczami, a przynajmniej tak mi się wydawało! Morlokowie, którzy w końcu zatriumfowali, odziedziczyli Ziemię. Nie widząc już pożytku z ogrodowej krainy Elojów, pozwolili jej popaść w ruinę; wyszli z ziemi i – w jakiś sposób – przynieśli ze sobą stygijskie ciemności, by zakryć Słońce! Przypomniałem sobie, jak bardzo ziomkowie Weeny bali się nocy, gdy Księżyc był w nowiu; Weena nazywała je Ciemnymi Nocami. Wydawało mi się, że teraz Morlokowie doprowadzili do nastania ostatecznej ciemnej nocy, by na zawsze pogrążyć w niej Ziemię. Morlokowie w końcu zamordowali ostatnie prawdziwe

dzieci Ziemi i nawet zamordowali samą Ziemię.

Taka była wtedy moja hipoteza: szalona i przejaskrawiona, i błędna pod każdym względem!

I uświadomiłem sobie – prawie z fizycznym wstrząsem – że w trakcie tych wszystkich historycznych spekulacji całkiem zapomniałem o regularnym kontrolowaniu pozostawionego wehikułu czasu.

Wstałem i z niepokojem spojrzałem na przeciwległą stronę stoku wzgórza. Szybko dostrzegłem blask oświetlonej świeczkami maszyny, ale rozpalone przeze mnie światła migotały i drgały, jakby wokół wehikułu poruszały się jakieś nieprzezroczyste kształty.

To mogli być tylko Morłokowie!

Zdjęty strachem – i, muszę przyznać, przepełniony żądzą krwi, która pulsowała w mojej głowie – ryknąłem, uniosłem pogrzebacz i popędziłem ścieżką z powrotem. Przez nieuwagę upuściłem kodaka; usłyszałem za plecami cichy odgłos pękającego szkła. O ile wiem, aparat nadal tam leży – jeśli mogę użyć takiego wyrażenia – porzucony w ciemności.

Kiedy zbliżyłem się do maszyny, zobaczyłem, że są to rzeczywiście Morlokowie – co najmniej tuzin tych istot brykał wokół maszyny. Wydawało się, że moje światła na przemian przyciągają ich i odpychają, dokładnie tak, jak w przypadku ciem wokół świeczki. Były to te same małe istoty, które pamiętałem z pierwszej podróży. Być może tylko trochę mniejsze. Miały długie, lniane włosy na głowie i plecach, ciastowato białe skóry, długie jak u małpy ramiona i przerażające, czerwonoszare oczy. Pohukiwały i paplały do siebie w swoim dziwacznym języku. Z pewną ulgą zauważyłem, że jeszcze nie tknęły wehikułu czasu, ale wiedziałem, że to tylko kwestia czasu, nim te niesamowite palce – jak u małpy, ale zręczne niczym ludzkie – wyciągną się w kierunku błyszczącego mosiądzu i niklu.

Nie mieli jednak na to czasu, gdyż zaatakowałem Morloków jak anioł zemsty.

Machałem dookoła pogrzebaczem i pięściami. Morlokowie zaczęli coś paplać, piszczeli i usiłowali uciec. Chwyciłem jednego

z nich, kiedy obok mnie przebiegał, i znów poczułem glistowate zimno morłokowego ciała. O grzbiet mojej dłoni otarły się podobne do pajęczej sieci włosy i zwierzę ugryzło mnie swoimi drobnymi ząbkami w palce, ale nie uległem. Machnąłem maczugą i poczułem, jak miękka, wilgotna istota pada na mnie.

Szaroczerwone oczy rozwarły się szeroko, a potem zamknęły.

Wydawało mi się, że jakaś niewielka część mojego mózgu obserwuje to wszystko z oddali. Całkiem zapomniałem o moich planach powrotu z dowodem na podróżowanie w czasie, a nawet odnalezienia Weeny: podejrzewałem w tamtej chwili, że to właśnie dlatego powróciłem w czas – dla tej chwili zemsty, za Weenę, za zamordowanie Ziemi, a także z powodu własnej wcześniejszej niegodziwości. Odepchnąłem Morloka – nieprzytomny lub martwy, był tylko kupą sierści i kości – i ruszyłem na jego towarzyszy, wymachując pogrzebaczem.

Potem usłyszałem jakiś głos – na pewno należał do Morloka, ale pod względem tonu i głębi był zupełnie niepodobny do innych – który nakazującym tonem wypowiedział jedną sylabę. Odwróciłem się, z ramionami skąpanymi we krwi aż po łokcie marynarki, i przygotowałem się do dalszej walki.

Zagroził mi teraz drogę Morlok, który nie uciekał przede mną. Choć był nagi jak reszta, jego sierść wydawała się wyszczotkowana i wypielęgowana, tak że wyglądał jak zadbany pies, którego nauczono przybierać wyprostowaną postawę człowieka. Zrobiłem duży krok naprzód, ściskając oburącz moją maczugę.

Morlok uniósł spokojnie prawą rękę – coś w niej błysnęło – i zobaczyłem zielony błysk, a potem poczułem, jak świat umyka mi spod nóg, ciskając mnie obok mojej jarzącej się maszyny i ogarnęła mnie ciemność absolutna.

Odzyskiwałem powoli przytomność, jakbym wynurzał się z głębokiego, spokojnego snu. Leżałem na plecach i miałem zamknięte oczy. Było mi tak wygodnie, że przez chwilę wyobrażałem sobie, iż muszę leżeć we własnym łóżku, w moim domu w Richmond, i że różowa poświata przebijająca się przez moje powieki musi być porannym słońcem, które przesącza się przez szpary w zasłonach...

Wtedy jednak uświadomiłem sobie, że powierzchnia pod mną – choć sprężysta i dość ciepła – nie odznacza się miękkością materaca. Nie czułem ani prześcieradła pod sobą, ani kocy nade mną.

Potem wszystko w jednej chwili do mnie powróciło: mój drugi lot przez czas, zaciemnienie Słońca i moje spotkanie z Morlokami.

Ogarnął mnie strach, od którego zeszywniały mi mięśnie i ścisnęło mnie w żołądku. Zostałem pojmany przez Morloków! Otworzyłem gwałtownie oczy...

I od razu oślepiło mnie jaskrawe oświetlenie. Pochodziło z odległej tarczy intensywnego, białego światła, bezpośrednio nade mną. Krzyknąłem i zasłoniłem oczy ramieniem. Przekulnąłem się na brzuch, przyciskając twarz do podłogi.

Z trudem podniosłem się na klęczki. Podłoga była ciepła i miękka jak skóra. Z początku w oczach tańczyły mi obrazy

tamtej płonącej tarczy, ale wreszcie byłem w stanie rozpoznać własny cień pode sobą. A potem, nadal na czworakach, dostrzegłem najdziwniejszą jak dotąd rzecz: powierzchnią pode mną była przejrzysta, jakby wykonano jaz jakiegoś elastycznego szkła, i – w miejscach, gdzie mój cień odcinał dostęp światła – całkiem wyraźnie widziałem gwiazdy przez podłogę. Umieszczono mnie zatem na jakiejś przezroczystej platformie, pod którą rozciągała się ta gwiazdna diorama: wyglądało to tak, jakby przyprowadzono mnie do jakiegoś odwróconego planetarium.

Dostałem potwornych mdłości, ale mogłem wstać. Musiałem ręką osłonić oczy przed padającym z góry, ciągłym blaskiem; żałowałem, że zgubiłem kapelusz, który przywiozłem z sobą z roku 1891! Nadal miałem na sobie lekki garnitur, choć teraz poplamiony był od piasku i krwi, zwłaszcza na rękawach, choć z zaskoczeniem zauważyłem, że dołożono pewnych starań, by mnie oczyścić: na moich dłoniach oraz ramionach nie było śladu morlokowej krwi, śluzu oraz posoki. Pogrzebacz zniknął i nie dostrzegłem plecaka. Pozostawiono mi zegarek, który zwisał na łańcuszku z kamizelki, ale w kieszeniach nie było ani zapalek, ani świeczek. Zniknęła też moja fajka i tytoń, i poczułem się z tego powodu nedorzecznie rozżalony – w trakcie tych wszystkich tajemniczych i niebezpiecznych wydarzeń!

Przeraziłem się – moje ręce powędrowały szybko do kieszeni kamizelki i znalazły tam bliźniacze dźwignie wehikułu czasu. Odetchnąłem z ulgą.

Rozejrzałem się. Stałem na płaskiej, równej podłodze ze skóropodobnej, przejrzystej materii, którą już opisałem. Znajdowałem się w pobliżu epicentrum snopu światła, szerokiego na jakieś trzydzieści jardów, rzucanego na tę

tajemniczą podłogę przez źródło nade mną. W powietrzu unosiło się dość dużo kurzu, więc łatwo było dostrzec promienie światła, które mnie zalewały. Musicie wyobrazić sobie, jak stoję w świetle, jakby na dnie jakiegoś zakurzonego szybu kopalni, mrugając w południowym świetle. I faktycznie to wyglądało jak światło słoneczne, ale nie mogłem zrozumieć, jak Słońce można było odsłonić, ani jak mogło ono zawisnąć nade mną w nieruchomej pozycji. Moja jedyna hipoteza była taka, że w czasie, gdy byłem nieprzytomny, przeniesiono mnie w okolice równika.

Walcząc z narastającą paniką, chodziłem wokół kręgu światła. Byłem zupełnie sam, a podłoga była pusta, z wyjątkiem dwóch tac, które leżały jakieś dziesięć stóp od miejsca, gdzie mnie położono. Spojrzałem w otaczający mnie mrok, ale nie mogłem nic dostrzec, nawet gdy osłoniłem sobie oczy przed światłem. Nie widziałem żadnych ścian ograniczających to pomieszczenie. Klasnąłem w dłonie, wywołując taniec drobinek kurzu w oświetlonym powietrzu. Dźwięk skonał i nie odezwało się żadne echo. Albo ściany znajdowały się niemożliwie daleko, albo wyłożono je jakąś dźwiękochłonną substancją; tak czy owak, nie miałem żadnej wskazówki co do ich odległości.

Po wehikule czasu nie było śladu.

Na tej równinie miękkiego szkła doznałem uczucia głębokiego, osobliwego strachu; poczułem się nagi i bezbronny, nie było miejsca, gdzie mógłbym się schronić, kąta, z którego mógłbym uczynić sobie bezpieczną kryjówkę.

Podszedłem do tac. Zerknąłem na pojemniki i uniosłem ich wieka: było tam jedno duże, puste wiadro i miska z czymś, co wyglądało na czystą wodę, a na ostatnim półmisku leżały cegiełki wielkości pięści, które uznałem za jedzenie, była to jednak

żywność przerobiona na gładkie żółte, zielone oraz czerwone kawałki, więc jej pochodzenia nie sposób było się domyślić. Niechętnie trąciłem jedzenie koniuszkiem palca: cegiełki były zimne i gładkie, przypominały ser. Nie miałem nic w ustach od chwili, gdy zjadłem przyrządzone przez panią Watchets śniadanie – a odtąd upłynęło już wiele godzin mojego powikłanego życia – i czułem wzrastające parcie w pęcherzu: parcie, któremu, jak przypuszczałem, miało ulżyć puste wiadro. Nie widziałem powodu, dla którego Morlokowie, utrzymawszy mnie tak długo przy życiu, mieliby mnie otruć, ale i tak nie miałem zamiaru przyjąć ich gościnności, a jeszcze bardziej nie chciałem stracić godności, korzystając z wiadra!

Obszedłem więc tacę oraz krąg światła, węsząc jak jakieś zwierzę wietrzące pułapkę. Nawet podniosłem kartony i tace, żeby zobaczyć, czy zdołam z nich zrobić jakąś broń – być może mógłbym z nich wykuć ostrze – ale tace wykonane były ze srebrzystego metalu, przypominającego trochę aluminium, tak cienkiego i miękkiego, że gniótł się w moich rękach. Równie dobrze mógłbym dźgnąć Morloka kartką papieru.

Zdziwiło mnie, że ci Morlokowie zachowywali się niezwykle łagodnie. Wystarczyłaby zaledwie chwila, by mnie wykończyć, kiedy leżałem nieprzytomny, ale oni powstrzymali swoje zwierzęce ręce, a nawet – wydawało się, że z zadziwiającą zręcznością – postarali się mnie oczyścić.

Oczywiście, od razu nabrałem podejrzeń. Dlaczego mnie nie uśmiercili? Czy zamierzali utrzymać mnie przy życiu po to, żeby wydobyć ze mnie – obojętne jakimi ohydnyimi metodami – tajemnicę wehikułu czasu?

Rozmyślnie odwróciłem się od jedzenia i wyszedłem poza krąg światła, wkraczając w otaczającą mnie ciemność. Serce waliło mi

jak młot; nie było tam żadnej konkretnej rzeczy, która powstrzymałaby mnie przed opuszczeniem tego snopu światła, ale równie skutecznie zatrzymywały mnie niepokój i pragnienie pozostania w oświetlonym miejscu.

Na koniec wybrałem kierunek na chybił trafił i ruszyłem w ciemność, z opuszczonymi rękami i zaciśniętymi pięściami. Liczyłem kroki – osiem, dziewięć, dziesięć... Oddalwszy się od światła, dopiero teraz wyraźniej widziałem gwiazdy, które ukazywały mi swoją odwrotną półkulę; znów poczułem się, jakbym stał na dachu jakiegoś planetarium. Odwróciłem się i zobaczyłem pełen kurzu słup światła, który wznosił się w nieskończoność, a na gołej podłodze na jego dnie leżały rozrzucone półmiski i jedzenie.

To było dla mnie zupełnie niepojęte!

Gdy nie kończąca się podłoga zaczęła znikać pod moimi stopami, przestałem niebawem liczyć kroki. Jedynym światłem był blask tej wąskiej wiązki świetlnej na środku i słabe lśnienie gwiazd pode mną, dzięki którym chociaż rozpoznawałem zarys własnych nóg; jedynym odgłosem był mój charczący oddech i ciche kłapięcia moich butów na szklistej powierzchni.

Przeszedłszy jakieś sto metrów, zawróciłem i zacząłem kroczyć ścieżką wokół świetlnej iglicy. Nadal nie napotkałem nic prócz ciemności i gwiazd pod stopami. Zastanawiałem się, czy w tej całej czerni nie spotkam się z tymi dziwnymi, fruującymi Obserwatorami, którzy towarzyszyli mi podczas mojej drugiej podróży przez czas.

Kiedy tak błądziłem, rozpacz zaczęła się wkradać do mojej duszy i wkrótce zacząłem pragnąć, by przetransportowano mnie z tego miejsca do ogrodowego świata Weeny lub choćby tego nocnego krajobrazu, w którym mnie schwytano – do

jakiegokolwiek miejsca, gdzie są skały, rośliny i zwierzęta oraz rozpoznawalne niebo! Co to było za miejsce? Czy znajdowałem się w jakiejś komorze, pogrzebany głęboko w wydrążonej ziemi? Jakież to straszne tortury wymyślali dla mnie Morlokwie? Czy byłem skazany na spędzenie reszty życia w tej obcej, jałowej krainie?

Przez pewien czas byłem całkowicie wytrącony z równowagi z powodu separacji i uczucia, że znalazłem się w prawdziwych kłopotach. Nie wiedziałem, gdzie jestem, ani gdzie się znajduje wehikuł czasu, i nie spodziewałem się, że jeszcze kiedyś zobaczę swój dom. Byłem dziwną istotą pozostawioną na mieliźnie w obcym świecie. Krzyczałem w ciemności, na przemian rzucając groźby i prośby o litość lub uwolnienie, bezskutecznie grzmociłem pięściami w delikatną, nieustępliwą podłogę. Szlochałem, biegałem i przeklinałem się za własną głupotę, że uciekłem kiedyś z rąk Morloków, by niezwłocznie dać się złapać w tę samą pułapkę!

W końcu wrzeszczałem chyba jak sfrustrowane dziecko, opadłem z sił i całkiem wyczerpany klapnąłem w ciemności na podłogę.

Chyba przez chwilę drzemałem. Kiedy się ocknąłem, moja sytuacja nie uległa żadnej zmianie. Wstałem. Mój gniew i szal wypaliły się i – choć nigdy w życiu nie czułem się taki opuszczony – dałem upust prostym, ludzkim potrzebom ciała: głód i pragnienie zajmowały wśród nich czołowe miejsca.

Wyczerpany, powróciłem do snopu światła. Parcie w moim pęcherzu narastało. Z uczuciem rezygnacji podniosłem wiadro, zaniósłem je kawałek dalej w ciemny zakątek – z powodu wstydlivosti, ponieważ wiedziałem, że Morlokwie muszą mnie

obserwować – i kiedy się załatwiłem, pozostawiłem je w niewidocznym miejscu.

Przyjrzałem się żywności Morloków. Tworzyła ponurą perspektywę: jedzenie nie wyglądało bardziej apetycznie niż poprzednio, ale byłem bardzo głodny. Wziąłem miskę z wodą – była wielkości talerza do zupy – i uniosłem ją do ust. Nie był to przyjemny napój – letni i pozbawiony smaku, jak gdyby wydestylowano z niego wszystkie związki mineralne – ale był czysty i odświeżył moje usta. Potrzymałem płyn na języku przez kilka chwil, wahając się, po czym z rozmysłem przełknąłem go.

Odczekałem kilka minut, nie odczułem żadnych szkodliwych skutków i napiłem się jeszcze. Namoczyłem również chusteczkę w półmisku i przetrąłem sobie czoło oraz ręce.

Skierowałem uwagę na samo jedzenie. Podniosłem zielonawy kawałek. Oderwałem jeden narożnik: odłamał się z łatwością, był cały zielony i kruszył się jak cheddar. Ugryzłem cegielkę. Jeśli chodzi o smak, to jeżeli kiedykolwiek jedliście zielone warzywo, powiedzmy brokuły lub kielki, prawie rozgotowane, to macie pojęcie, jak smakowało; członkowie mniej wykwintnych londyńskich klubów rozpoznają objawy! Ale wgryzłem się w kawałek, aż zjadłem go do połowy. Potem podniosłem pozostałe kawałki, by je spróbować; choć były w różnych kolorach, ich struktura i smak nie różniły się ani trochę.

Ledwie kilka kęsów starczyło, bym poczuł się syty, więc wrzuciłem resztki na tacę, którą odepchnąłem.

Usiadłem na podłodze i zerknąłem w ciemność. Poczułem ogromną wdzięczność, że Morlokowie zapewnili mi przynajmniej to oświetlenie, gdyż wyobrażałem sobie, że gdyby mnie pozostawiono na tej pustej, nijakiej powierzchni w ciemności, rozświetlonej jedynie przez widniejące pode mną

gwiazdne obrazy, mógłbym całkowicie postradać zmysły. A jednak równocześnie wiedziałem, że Morlokowie stworzyli ten krąg światła w konkretnym celu, jako skuteczny środek zatrzymania mnie w tym miejscu. Byłem prawie bezradny, uwięziony w snopie zwykłego światła!

Ogarnęło mnie wielkie znużenie. Nie chciałem ponownie tracić przytomności – i pozostawać bezbronny – ale wiedziałem, że w końcu nie zdołam oszukać snu. Wyszedłem z kręgu światła i wkroczyłem w ciemność, czując się przynajmniej jakoś zabezpieczony dzięki pokrywie nocy. Zdjąłem marynarkę i zrobiłem z niej poduszkę pod głowę. Powietrze było dość ciepłe, a miękka podłoga też wydawała się podgrzewana, więc nie powinienem zziębnąć.

Wyciągnąłem się ponad gwiazdami i zasnąłem.

Obudziłem się po czasie, którego nie potrafiłem zmierzyć. Uniosłem głowę i rozejrzałem się dokoła. Byłem sam w ciemności i wszystko wydawało się niezmiennione. Poklepałem się po kieszeni w kamizelce – dźwignie wehikułu czasu nadal bezpiecznie tam spoczywały.

Kiedy próbowałem się poruszyć, moje nogi i plecy przeszył ból spowodowany zeszywnieniem. Usiadłem niezdarnie, po czym wstałem, odczuwając brzemień swojego wieku; dziękowałem Bogu, że nie muszę teraz ruszać do akcji, by odpędzić plemię rabujących Morloków! Wykonałem kilka niemrawych ćwiczeń, żeby rozluźnić mięśnie, po czym podniosłem marynarkę, wyglądając jej zmarszczki, i założyłem ją.

Ruszyłem w krąg światła.

Stwierdziłem, że tace z kartonami żywności i wiadrem zostały wymienione. A więc rzeczywiście obserwowali mnie! Cóż, spodziewałem się tego. Zdjąłem wieka z kartonów, znajdując jedynie te same przygnębiające kawałki nieznanego jada. Przyrzuciłem sobie śniadanie z wody i zielonkawej substancji. Strach mnie opuścił i zastąpiło go paraliżujące uczucie nudy: to niezwykle, jak szybko ludzki umysł potrafi się przystosować do najbardziej niezwykłych okoliczności. Czyż taki miał być od teraz mój los? Nuda, twarde łóżko, letnia woda i dieta złożona z kawałków gotowanej kapusty? Przyszła mi do głowy ponura

myśl, że przypomina to pobyt w szkole.

– *Pan.*

Jedna, wymówiona cichym głosem sylaba zabrzmiała w moich uszach tak głośno w tamtej ciszy, jak wystrzał armatni.

Wykrzyknąłem, zerwałem się na nogi i wyciągnąłem przed siebie cegielki jedzenia. Było to niedorzeczne, ale nie miałem żadnej innej broni. Odgłos doszedł zza moich pleców i odwróciłem się na pięcie, a moje buty zaskrzypiały na podłodze.

Tuż za skrajem świetlnego kręgu stał Morlok, w połowie oświetlony. Stał wyprostowany – nie chodził na ugiętych kolanach niczym mała, tak jak istoty, które napotkałem poprzednio – i nosił gogle, które tworzyły zasłonę z niebieskiego szkła zakrywającego jego olbrzymie oczy, przez co wydawały mi się one czarne.

– *Tik. Pan* – zbulgotała dziwacznie zjawa.

Cofnąłem się, następując z brzękiem na tacę. Uniosłem pięści.

– Nie podchodź do mnie.

Morlok zrobił jeden krok naprzód, zbliżając się do snopu światła; pomimo gogli wzdrygnął się lekko przed jasnością. Uświadomiłem sobie, że to jeden z nowej rasy bardziej rozwiniętych Morloków, z których jeden mnie ogłuszył; wydawał się nagi, ale blade włosy pokrywające jego plecy i głowę były przycięte i uczesane – celowo – w dość surowym stylu, wyrównane na klatce piersiowej i ramionach, przez co sprawiały wrażenie munduru. Miał małą, pozbawioną podbródka twarz, która przypominała oblicze brzydkiego dziecka.

Powróciło do mnie wspomnienie tego słodkiego uczucia, kiedy czaszka Morloka pękła po ciosie mojej maczugi. Rozważyłem możliwość ataku na tego niespodziewanego gościa i powalenia go na ziemię. Lecz cóż by mi to dało? W ciemności na pewno

czaiła się niezliczona armia innych. Nie miałem broni, nawet mojego pogrzebacza, i przypomniałem sobie, jak kuzyn tego jegomościa uniósł jakąś dziwną broń, powalając mnie bez trudu na ziemię.

Postanowiłem czekać.

A zresztą – co może wydawać się dziwne! – stwierdziłem, że mój gniew przemienia się w niewytłumaczalne rozbawienie. Ten Morlok, pomimo zwykłej dla jego rasy glistowatej bladości skóry, naprawdę wyglądał komicznie: wyobraźcie sobie orangutana, którego sierść przycięto i pofarbowano na blady odcień żółci zmieszanej z bielą, a potem nakłoniono do przyjęcia wyprostowanej pozycji i noszenia pary wielkich gogli, a będziecie mieli obraz tej postaci.

– *Tik. Pan* – powtórzył stwór.

Zrobiłem krok w jego kierunku.

– Cóż ty do mnie mówisz, bestio?

Stwór odskoczył – wydawało mi się, że zareagował na mój ton, a nie słowa – a potem wskazał na cegielki jedzenia w moim ręku.

– *Tik* – powiedział. – *Pan*.

Zrozumiałem.

– Wielkie nieba! – wykrzyknąłem – Ty naprawdę próbujesz do mnie przemówić, co?

Uniosłem kawałki żywności.

– *Tik. Pau. Raz. Dwa. Czy mówisz po angielsku? Raz. Dwa...*

Morlok przechylił głowę – tak jak to czasami robi pies – a potem powiedział, nie mniej wyraźnie niż ja: *Raz, dwa.*”

– O to właśnie chodzi. I jest tego więcej: *raz, dwa, trzy, cztery...*

Morlok wszedł w krąg światła, choć zauważyłem, że trzyma się poza zasięgiem moich ramion. Wskazał na miskę z wodą.

– *Agua?* – Zabrzmiało to jak łacina, choć filologia klasyczna nie

była nigdy moją mocną stroną.

– Woda – odparłem.

Morlok znów słuchał w milczeniu, z przekrzywioną głową.

Tak brnęliśmy dalej. Morlok wskazywał na zwykłe rzeczy – części garderoby lub ciała, takie jak głowa lub kończyna – i podawał jakieś nazwy. Niektórych wypowiedzianych przez niego słów zupełnie nie rozumiałem, a niektóre brzmiały po niemiecku, lub być może po staroangielsku, i odwzajemniałem się nowoczesną wymową. Kilkakrotnie próbowałem nakłonić go do dłuższej rozmowy – nie przypuszczałem, by ta prosta wymiana rzeczowników doprowadziła nas zbyt daleko – ale on tam tylko stał, dopóki nie umilkłem, a potem kontynuował własną, cierpliwą grę dopasowywania słów. Próbowałem na nim przetestować to, co pamiętałem z języka Weeny – tego uproszczonego, melodycznego języka dwusłownych zdań – ale Morlok znów stał cierpliwie, dopóki nie poniechałem prób.

Trwało to kilka godzin. W końcu Morlok bezceremonialnie odszedł – po prostu zniknął w ciemności. Nie poszedłem za nim („Jeszcze nie teraz!” – powiedziałem sobie ponownie). Posiliłem się i przespałem, a kiedy się obudziłem, powrócił i podjęliśmy lekcje.

Kiedy chodził po mojej świetlnej klatce, wskazując i podając nazwy różnych rzeczy, poruszał się płynnie i dość wdzięcznie, a jego gesty zdawały się wyraziste; uświadomiłem sobie wtedy, jak bardzo w codziennym życiu człowiek polega na interpretacji ruchów innych ludzi. Absolutnie nie mogłem zastosować tej metody w odniesieniu do tego Morloka. Niemożliwością było stwierdzić, co myśli lub czuje. Czy bał się mnie? Czy był znudzony? W rezultacie poczułem, że jestem w bardzo niekorzystnym położeniu.

Pod koniec naszej drugiej sesji językowej Morlok cofnął się i powiedział:

– To powinno wystarczyć. Czy rozumiesz mnie?

Wlepiłem w niego wzrok, oszołomiony jego nagłą znajomością mojego języka! Wymowa Morloka była niewyraźna – wydaje się, że ten „płynny” morlokowy głos nie jest przeznaczony do wymawiania ostrzejszych spółgłosek i spółgłosek zwartych języka angielskiego – ale słowa brzmiały całkiem zrozumiale.

Ponieważ nie odpowiedziałem, powtórzył:

– Czy rozumiesz mnie?

– Ja... tak. To znaczy: tak, rozumiem cię! Ale jak tego dokonałeś? Jak zdołałeś nauczyć się mojego języka z tak niewielu słów? – Obliczałem bowiem, że przerobiliśmy zaledwie pięćset słów, z których większość to były rzeczowniki pospolite i proste czasowniki.

– Mam dostęp do katalogu wszystkich starożytnych języków ludzkości – w takiej postaci, jak je zrekonstruowano – od nostratycznego do rodziny języków indoeuropejskich i jej prototypów. Niewielka ilość kluczowych słów wystarcza, by odtworzyć odpowiedni wariant. Musisz mi powiedzieć, jeśli którekolwiek wypowiedziane przeze mnie słowo będzie niezrozumiałe.

Zrobiłem ostrożnie krok naprzód.

– Starożytnych? A skąd niby wiesz, że zaliczam się do starożytnych?

Olbrzymie powieki zasłoniły ukryte za goglami oczy.

– Budowa twojego ciała jest archaiczna. Podobnie jak zawartość twojego żołądka, co stwierdziliśmy po analizie.

Wzdrygnął się, najwyraźniej na myśl o resztkach śniadania, które przyrządziła mi pani Watchets. Byłem zdumiony: miałem

przed sobą wybrednego Morloka!

– Jesteś poza swoim czasem – ciągnął. – Jeszcze nie rozumiemy, w jaki sposób trafiłeś na Ziemię. Ale na pewno się dowiemy.

– A tymczasem – powiedziałem dość obcesowo – trzymacie mnie w tej... tej świetlnej klatce. Jakbym był zwierzęciem, a nie człowiekiem! Każecie mi spać na podłodze i załatwiać się do wiadra...

Morlok nie odezwał się; obserwował mnie beznamiętnie.

Frustracja i zażenowanie, które odczuwałem od chwili przybycia w to miejsce, przybrały na sile – gdy teraz mogłem je wyrazić słowami – i zdecydowałem, że dość już tych żartów.

– Skoro możemy ze sobą rozmawiać – powiedziałem – to powiesz mi, gdzie, u licha, znajduję się. I gdzie ukryliście mój wehikuł. Kapujesz, kolego, czy mam ci to może przetłumaczyć?

Wyciągnąłem rękę, chcąc chwycić go za kępki włosów na klatce piersiowej.

Kiedy podszedłem do niego na dwa kroki, uniósł rękę. I to wszystko. Zapamiętałem dziwny, zielony błysk – nie zauważyłem do tamtej chwili urządzenia, które musiał trzymać przez cały czas, kiedy przy mnie był – a potem upadłem nieprzytomny na podłogę.

Przyszedłem do siebie, znów leżąc jak długi na podłodze i gapiąc się w to przekłęte światło.

Podniosłem się na łokciach i przetarłem oślepienie oczy. Mój przyjaciel Morlok nadal tam był, stojąc tuż poza kręgiem światła. Wstałem w niewesołym nastroju. Uświadomiłem sobie, że ci Nowi Morlokwie przysporzą mi nie lada kłopotu.

Morlok wkroczył w światło, jego niebieskie gogle pobłyskiwały. Odezwał się, jak gdyby nic nie zakłóciło naszej rozmowy:

– Nazywam się – ponownie przeszedł na normalny, rozwlekły sposób mówienia Morloków – Nebogipfel.

– Nebogipfel? No dobrze.

Z kolei ja mu wyjawiałem swoje nazwisko; po kilku minutach potrafił je powtórzyć dokładnie i wyraźnie.

Uprzytomniłem sobie, że jest to pierwszy Morlok, którego nazwisko poznałem – pierwszy Morlok wyróżniający się spośród mrowia tamtych stworów, z którymi walczyłem; pierwszy, który posiada atrybuty osoby.

Usiadłem po turecku obok tac i roztarłem skórę poznaczoną sińcami, które nabiłem sobie na ramieniu podczas ostatniego upadku.

– A więc, Nebogipfelu – powiedziałem – zostałeś wyznaczony na mojego dozorcę w tym ZOO.

– ZOO. – Zająknął się przy tym słowie. – Nie zostałem wyznaczony. Zgłosiłem się na ochotnika do pracy z tobą.

– Do pracy ze mną?

– Ja... my... chcemy zrozumieć, jak tu dotarłeś?

– Na Jowisza, doprawdy? – Wstałem i zacząłem chodzić wokół świetlnej klatki. – A co, gdybym ci powiedział, że przybyłem tu w maszynie, która potrafi przenosić człowieka w czasie? – Uniosłem rękę. – I że to ja sam zbudowałem taką maszynę, tymi prymitywnymi rękami? Co wtedy?

Wydawało się, że Morlok przetrawia moje słowa.

– Twoje czasy, zgodnie z ustaleniami na podstawie twojej mowy i budowy ciała, są bardzo odległe od naszych. Jesteś zdolny do osiągnięć w dziedzinie zaawansowanej techniki – dowodem tego twoja maszyna, obojętne, czy zgodnie z twoimi twierdzeniami przenosi cię ona w czasie, czy nie. Twoje ubranie, ręce i stan uzębienia wskazują na wysoki poziom rozwoju cywilizacji.

– To mi pochwala – powiedziałem z pewnym podenerwowaniem – ale jeśli uważasz, że jestem zdolny do takich rzeczy, że jestem człowiekiem, a nie małpą, to dlaczego jestem uwięziony w tej klatce?

– Ponieważ – odparł spokojnie – już próbowałeś mnie zaatakować, z zamiarem zrobienia mi krzywdy. A na Ziemi wyrządziłeś duże szkody...

Poczułem, jak wściekłość znów we mnie wzbiera. Ruszyłem w kierunku Morloka.

– Twoje mały grzebały przy mojej maszynie – krzyknąłem. – Czego się spodziewałeś? Bronilem się. Ja...

– To były dzieci.

Jego słowa przebiły się przez moją furję. Próbowałem

zachować resztki gniewu, ale już mnie opuszczały.

– Co powiedziałaś?

– Dzieci. To były dzieci. Po ukończeniu Sfery Ziemia stała się... żłobkiem, miejscem, gdzie dzieci mogą sobie hasać. Zaciekawiała ich twoja machina i to wszystko. Nie wyrządziłyby świadomie żadnej szkody ani tobie, ani jej. Ty jednak zaatakowałeś je bardzo brutalnie.

Odsunąłem się od Nebogipfela. Przypomniałem sobie – teraz dopuściłem to do swoich myśli – że Morlokowie, którzy brykali wokół mojego wehikułu, wydawali mi się mniejsi od tych, których spotkałem poprzednio. I nie próbowali mnie skrzywdzić... z wyjątkiem schwytanego przeze mnie biedactwa, które ugryzło mnie w rękę, nim zdzieliłem je w twarz!

– Czy ten... to, które uderzyłem, przeżyło?

– Obrażenia cielesne były do naprawienia. Ale...

– Tak?

– Urazy wewnętrzne, urazy psychiki mogą się nigdy nie zagoić.

Spuściłem głowę. Czy to mogła być prawda? Czy byłem tak zaślepiiony odrazą do Morloków, że nie potrafiłem dostrzec, iż tamte stworzenia wokół wehikułu nie były szczuropolodnymi, złośliwymi stworami ze świata Weeny, lecz nieszkodliwymi dziećmi?

– Chyba mnie nie zrozumiesz, ale czuję się, jakbym został schwyty w pułapkę jeszcze jednego z tamtych „Rozpływających się widoków”...

– Jest ci wstyd – stwierdził Nebogipfel.

Wstyd... Nigdy nie myślałem, że usłyszę i przyjmę taką wymówkę od Morloka! Spojrzałem na niego buntowniczo.

– Tak. Niech będzie! I czy w twoich oczach jestem z tego powodu bardziej czy mniej ludzki?

Nie odpowiedział.

Jeszcze w tej samej chwili, kiedy zmagalem się wewnątrznie z tą zgrozą, jakaś analityczna część mojego umysłu rozważała coś, co powiedział Nebogipfel: „Po ukończeniu Sfery Ziemia stała się żłobkiem...”

– Co to za Sfera?

– Musisz się jeszcze wiele o nas dowiedzieć.

– Opowiedz mi o tej Sferze!

– To Sfera wokół Słońca.

Te cztery proste słowa zaskoczyły mnie! A jednak... Oczywiście! Ewolucja Słońca, którą obserwowałem na szybko zmieniającym się niebie, odcięcie światła słonecznego od Ziemi...

– Rozumiem – powiedziałem do Nebogipfela. – Obserwowałem budowę Sfery.

Wydawało się, że kiedy Morlok to usłyszał, otworzył szerzej oczy, czyniąc to w sposób zbliżony do ludzkiego.

Teraz inne aspekty mojej sytuacji stawały się dla mnie jasne.

– Powiedziałeś: „Na Ziemi wyrządziłeś duże szkody...”, czy coś w tym guście – rzekłem do Nebogipfela, a potem pomyślałem, że dziwnie to zabrzmiało. Jeśli nadal przebywam na Ziemi! Uniosłem głowę i pozwoliłem, by światło zalało mi twarz. – Nebogipfelu, co widać przez tę przezroczystą podłogę pod moimi stopami?

– Gwiazdy.

– Nie są to ich odwzorowania, nie jest to jakieś planetarium...

– Gwiazdy.

Skinąłem głową.

– A to światło z góry...

– To światło słoneczne.

Myszę, że już wcześniej o tym wiedziałem. Stałem w świetle

Słońca, które codziennie tkwiło w górze dwadzieścia cztery godziny na dobę; stałem na podłodze nad gwiazdami...

Miałem wrażenie, jakby świat przesuwał się wokół mnie; poczułem się rozkojarzony, a w moich uszach rozbrzmiało ciche dzwonięcie. Moje przygody już poprowadziły mnie przez pustynie czasu, lecz teraz – dzięki temu, że dostałem się w ręce tych zdumiewających Morloków – zostałem przeniesiony przez przestrzeń. Już nie byłem na Ziemi – zostałem przetransportowany do słonecznej Sfery Morloków!

Rozmowa z Morlokiem

– Powiedziałeś, że przybyłeś tu w wehikule czasu.

Przeszedłem na drugą stronę tarczy światła, uwięziony w klatce, niespokojny.

– Dokładnie tak się nazywa. To machina, która może się poruszać we wszystkich kierunkach w czasie i z dowolną względną prędkością, zależnie od decyzji kierującego.

– A więc twierdzisz, że przyleciałeś tu tą machiną z odległej przeszłości – machiną, którą znaleziono przy tobie na Ziemi.

– Właśnie – warknąłem.

Wydawało się, że Morlokowi nie przeszkadza to, iż podczas przeprowadzania przesłuchania godzinami stoi prawie nieruchomo. Ja jednak jestem człowiekiem nowoczesnego pokroju i nasze nastroje były rozbieżne.

– Niech to licho porwie, chłopie – powiedziałem. – Przecież sam zauważyłeś, że jestem istotą archaiczną. Jeśli nie podróżowałem w czasie, to jak inaczej wytłumaczysz moją obecność tutaj, w roku Pańskim 657 208?

Nebogipfel powoli zmrużył olbrzymie, podobne do zasłon powieki.

– Jest kilka możliwości – odparł. – Większość z nich jest bardziej wiarygodna od podróży w czasie.

– Na przykład? – nie dałem mu spokoju.

– Genetyczna resekwencja.

– Genetyczna? – zdziwiłem się.

Nebogipfel podał mi więcej szczegółów i pojąłem ogólny sens.

– Mówisz o mechanizmie działania dziedziczności, dzięki któremu cechy charakterystyczne przekazywane są z pokolenia na pokolenie – podsumowałem.

– Możliwe jest stworzenie wizerunków archaicznych form poprzez odtworzenie kolejnych mutacji.

– A zatem myślisz, że jestem tylko wizerunkiem, który zrekonstruowano jak skamieniały szkielet jakiegoś megatera w muzeum? Tak?

– Istnieją precedensy, choć żaden z nich nie dotyczy ludzkich form z twoich czasów. Tak, to jest możliwe.

Poczułem się obrażony.

– A w jakimż to celu miałbym być odtworzony w ten sposób?

Znów zacząłem chodzić po klatce. Najbardziej denerwującą cechą tego posępnego miejsca był brak ścian i moje nieustanne, pierwotne poczucie, że nie mam osłony od strony pleców. Wolałbym, żeby mnie wtrącono do jakiejś więziennej celi z moich czasów – bez wątpienia prymitywnej i obskurnej, niemniej otoczonej murami.

– Nie dam się wziąć na przynętę – oświadczyłem. – To bzdury. Zaprojektowałem i zbudowałem wehikuł czasu, i przybyłem tu w nim. I nie mówmy więcej na ten temat!

– Potraktujemy twoje wyjaśnienie jako roboczą hipotezę – powiedział Nebogipfel. – A teraz zechciej opisać mi zasady działania wehikułu.

Nadal chodziłem tam i z powrotem. Stałem przed dylematem. Gdy tylko uświadomiłem sobie, że w przeciwieństwie do wcześniej poznanych Morloków Nebogipfel jest sprawny werbalnie i inteligentny, spodziewałem

się podobnego przesłuchania; przecież gdyby Podróżnik w Czasie ze starożytnego Egiptu zjawiał się w dziewiętnastowiecznym Londynie, walczyłbym o to, żeby się znaleźć w komisji, która by go przesłuchiwała. Ale czy powinienem dzielić się tajemnicą mojej maszyny – mojej jedynej przewagi w tym świecie – z tymi Nowymi Morlokami?

Po krótkiej analizie uświadomiłem sobie, że nie mam większego wyboru. Nie wątpiłem, że Morlokwie mogą wydobyć ze mnie informacje siłą, gdyby tylko chcieli. A zresztą, Morlokwie nie mogli skonstruować kolejnych wehikułów czasu, nie znając tajemnicy produkcji plattnerytu – której nie mogłem im zdradzić, bo sam byłem w tym względzie ignorantem. Ponadto, gdybym porozmawiał z Nebogipfelem, być może mógłbym go zbyć, podczas gdy szukałbym jakiegoś wyjścia z mojej trudnej sytuacji. Nadal nie miałem pojęcia, gdzie przetrzymywano wehikuł, a już zupełnie nie wiedziałem, jak do niego dotrzeć i wrócić do domu.

Lecz również – i to była szczerą prawdą – myśl o brutalnym potraktowaniu przeze mnie dzieci Morloków na Ziemi nadal mi ciążyła! Nie chciałem, aby Nebogipfel uznał mnie – ani pokolenia ludzkości, które siłą rzeczy reprezentowałem – za dzikusów. Dlatego, jak dziecko pragnące się przypodobać, chciałem pokazać Nebogipfelowi, jaki jestem bystry, jaki biegły w dziedzinie mechaniki i nauki: jak bardzo ludzie tacy jak ja przewyższyli mały.

Mimo to po raz pierwszy ośmieliłem się przedstawić własne żądania.

– No dobrze – powiedziałem. – Ale wpierw...

– Tak?

– Posłuchaj, warunki, w których mnie trzymacie, są trochę

prymitywne, prawda? Już nie jestem taki młody i męczy mnie to wystawanie przez cały dzień. Co powiesz na krzesło? Czy to niedorzeczna prośba? A co z kocami, którymi będę mógł się przykryć, skoro muszę tu zostać?

– Krzesło... – Odpowiedział dopiero po chwili, jakby sprawdzał hasło w jakimś niewidzialnym słowniku.

Przeszedłem do kolejnych żądań. Powiedziałem, że potrzebuję więcej wody i jakiś odpowiednik mydła; i poprosiłem – spodziewając się odmowy – o nożyk do zgolenia szczeciny.

Nebogipfel zniknął na pewien czas. Powrócił z kocami i krzesłem; po moim następnym okresie snu zobaczyłem, że do dwóch tac z prowiantem dołączono trzecią, z wodą.

Koce były z jakiegoś miękkiego materiału, zbyt misternie wykonanego, bym mógł wykryć ślady tkania. Sądząc po ciężarze, krzesło – prosty, pionowy mebel – mogło być wykonane z lekkiego drzewa, ale jego czerwona powierzchnia była gładka i bez spojeń, i nie mogłem zdrapać paznokciem farby, ani wykryć żadnych śladów złącz, gwoździ, śrub lub listewek; jakby je wytłoczono w całości w drodze jakiegoś nieznanego procesu. Jeżeli chodzi o moją toaletę, to dodatkowa woda pojawiła się bez mydła i nie chciała się też pienić, ale ciecz była delikatna w dotyku i podejrzewałem, że dodano do niej jakiegoś detergentu. Jakimś cudem woda była ciepła i utrzymywała stałą temperaturę bez względu na to, jak długo stała.

Nie dostałem jednak żadnego nożyka – wcale mnie to nie zdziwiło!

Gdy później Nebogipfel mnie zostawił, rozebrałem się i zmyłem kilkudniowy pot, jak również ślady krwi Morloków; skorzystałem też ze sposobności, by przeprać bieliznę i koszulę.

Tak więc moje życie w świetlnej klatce stało się trochę bardziej

cywilizowane. Jeśli wyobrazicie sobie wyposażenie taniego pokoju hotelowego zwalone na środku jakiejś ogromnej sali balowej, będziecie mieli obraz tego, jak wtedy żyłem. Kiedy zsunąłem do kupy krzesło, tace i koce, miałem coś w rodzaju przytulnego gniazdka i nie czułem się taki wystawiony na widok publiczny; przyzwyczailem się do układania marynarki-poduszki pod krzesłem i spania z głową i ramionami ochranianymi przez tę małą twierdzę. Przeważnie potrafiłem zapomnieć o panoramie gwiazd pod moimi stopami – wmawiałem sobie, że światła w podłodze to jakaś wymyślna iluzja – ale czasami wyobraźnia płatała mi figle i czułem się jakby zawieszony nad bezdenną otchłanią, przed którą zabezpieczała mnie jedynie ta krucha podłoga.

To wszystko było, oczywiście, pozbawione logiki; jestem jednak człowiekiem i ulegam, czy chcę, czy nie, instynktownym potrzebom oraz obawom typowym dla mojej natury!

Nebogipfel obserwował to wszystko. Nie potrafiłem stwierdzić, czy jego reakcją była ciekawość, czy dezorientacja, czy może jakieś inne, bardziej niezrozumiałe dla mnie uczucie – być może takie, jakiego sam bym doznał, obserwując błazeństwa ptaka, który buduje sobie gniazdo.

Tak oto minęło kilka dni – chyba pięć lub sześć – kiedy wreszcie zdecydowałem się opisać Nebogipfelowi mechanizm działania wehikułu czasu, a jednocześnie próbowałem delikatnie wydobyć z niego szczegóły na temat historii, w której się znalazłem.

Opisałem prace badawcze w dziedzinie optyki fizycznej, które doprowadziły mnie do odkrycia możliwości podróżowania w czasie.

– Powszechnie wiadomą rzeczą staje się – lub stawało w moich czasach – to, że rozchodzące się światło wykazuje anomalie – powiedziałem. – Prędkość światła w próżni jest niezwykle duża – rzędu setek tysięcy mil na sekundę – ale skończona. I co ważniejsze, jak wykazali bardzo dobitnie Michelson i Morley kilka lat przed moim wyjazdem, prędkość ta jest izotropowa...

Staralem się dość dokładnie wyjaśnić tę dziwną sprawę. Istota tego zjawiska polega na tym, że światło – gdy przemieszcza się w przestrzeni – nie zachowuje się jak przedmioty materialne, takie jak na przykład pociąg ekspresowy.

Wyobraźcie sobie, jak promień światła z jakiejś odległej gwiazdy wymija Ziemię w, powiedzmy, styczniu, gdy nasza planeta pokonuje swoją orbitę wokół Słońca. Prędkość Ziemi na orbicie wynosi jakieś siedemdziesiąt tysięcy mil na godzinę. Można by się spodziewać – gdyby zmierzyć prędkość tego promienia gwiazdowego światła widzianego z Ziemi – że wynik będzie pomniejszony o te siedemdziesiąt kilka tysięcy mil na godzinę.

I odwrotnie, w lipcu Ziemia znajdzie się po przeciwnej stronie swojej orbity: teraz będzie biec w kierunku tego wiernego promienia światła gwiazdy. Przy ponownym pomiarze prędkości promienia spodziewalibyście się, że zarejestrowana prędkość będzie zwiększona o prędkość Ziemi.

Cóż, gdyby przyjeżdżały do nas pociągi parowe z gwiazd, bez wątplenia tak by było. Ale Michelson i Morley udowodnili, że w przypadku gwiazdowego światła tak wcale nie jest. Prędkość gwiazdowego światła, gdy ją mierzyć z Ziemi – obojętne czy wymijamy promień, czy zdążamy w jego kierunku – jest dokładnie taka sama!

Obserwacje te zgadzały się ze zjawiskiem, które kilka lat

wcześniej zauważyłem w odniesieniu do plattnerytu – choć nie opublikowałem wyników moich eksperymentów – i postawiłem hipotezę.

– Trzeba tylko popuścić wodze wyobraźni – zwłaszcza w kwestii wymiarów – by zobaczyć, jakie elementy mogą się składać na wyjaśnienie. Jak mierzymy prędkość? Tylko za pomocą przyrządów, które rejestrują odstępy w różnych wymiarach: pokonywaną w przestrzeni odległość mierzymy za pomocą prostej linijki, a odstęp w czasie za pomocą zegara.

– Tak więc – ciągnąłem – jeśli weźmiemy eksperymentalny dowód Michelsona i Morleya za dobrą monetę, to musimy uznać prędkość światła za wielkość stałą, a wymiary za wielkości zmienne. Wszechświat dostosowuje się, aby nasze pomiary prędkości światła były stałe.

– Zrozumiałem – mówiłem dalej – że można to przedstawić geometrycznie, jako skrócenie wymiarów. – Uniosłem rękę, ustawiając dwa palce i kciuk pod kątem prostym względem siebie. – Jeśli żyjemy w konstrukcji czterowymiarowej... cóż, wyobraź sobie obrócenie tego całego kramu w ten sposób... – Skręciłem nadgarstek. – ...tak iż długość wchodzi na miejsce szerokości, a szerokość na miejsce wysokości. I rzecz najważniejsza, trwanie i wymiar przestrzeni zamieniają się miejscami. Rozumiesz? Oczywiście, nie potrzeba by było pełnej transpozycji – tylko pewnego pomieszania obu wymiarów, aby wyjaśnić twierdzenie Michelsona-Morleya.

– Zatrzymałem te spekulacje dla siebie – kontynuowałem. – Nie jestem zbyt sławny jako teoretyk. A zresztą, nie chciałem publikować moich odkryć bez weryfikacji eksperymentalnej. Ale są – byli – inni, którzy myśleli podobnie. Wiem o Fitzgeraldzie w Dublinie, Lorentzu w Leiden i Henri Poincare we Francji –

i z pewnością już niebawem sformułowana zostanie teoria traktująca o tej względności płaszczyzn odniesienia...

– Cóż, to właśnie istota mojego wehikułu czasu – zakończyłem.
– Machina obraca wokół siebie przestrzeń i czas, i tym samym przemienia czas w wymiar przestrzenny. I wówczas można przemieszczać się w przeszłość lub przyszłość tak łatwo, jak na rowerze!

Wyprostowałem się na krześle; powiedziałem sobie, że zważywszy na niewygodne warunki tego wykładu, spisałem się nadzwyczaj dobrze.

Ale ten Morlok nie zaliczał się do wdzięcznej publiczności. Stał w miejscu i obserwował mnie zza swoich niebieskich gogli. A potem w końcu przemówił:

– No dobrze, ale jak to dokładnie działa?

Wyjście z klatki

Ta reakcja rozdrażniła mnie ogromnie!

Wstałem z krzesła i zacząłem chodzić po mojej klatce. Podszedłem do Nebogipfela, ale udało mi się opanować odruch, by nie zacząć mu wygrażać jak mała. Kategorycznie odmówiłem odpowiedzi na dalsze pytania, dopóki nie pokaże mi swojego świata-Sfery.

– Posłuchaj – powiedziałem – czy nie uważasz, że jesteś trochę niesprawiedliwy? W końcu przebyłem sześćset tysięcy lat, żeby zobaczyć twój świat. A jak dotąd zobaczyłem tylko zaciemniony stok w Richmond i – wskazałem ręką na otaczającą mnie ciemność – to, a także słyszę twoje nie kończące się pytania!

– Spójrz na to w ten sposób, Nebogipfelu – ciągnąłem. – Wiem, że chcesz pewnie, abym ci złożył pełne sprawozdanie z mojej podróży przez czas oraz z tego wycinka historii, który widziałem, kiedy zmierzałem do twojej teraźniejszości. Jak mogę ci o tym opowiedzieć, skoro nie mam pojęcia o rezultacie tej historii? Nie mówiąc już o tej drugiej historii, której byłem świadkiem.

W tym momencie przerwałem, żywiąc nadzieję, że uczyniłem wystarczająco wiele, by go przekonać.

Uniósł rękę do twarzy; cienkimi, bladymi palcami poprawił swoje gogle, jak dżentelmen poprawiający binokle.

– Poradzę się w tej sprawie – odezwał się wreszcie. – Jeszcze porozmawiamy.

I odszedł. Patrzyłem, jak cicho stąpa gołymi stopami po miękkiej, gwiazdzistej podłodze.

Po mojej kolejnej drzemce Nebogipfel powrócił. Uniósł rękę i skinął; był to sztywny, nienaturalny gest, jak gdyby Morlok dopiero niedawno się go nauczył.

– Chodź ze mną – powiedział.

Z ożywieniem – zabarwionym niemałym strachem – porwałem marynarkę z podłogi.

Razem z Nebogipfelem wszedłem w ciemność, która otaczała mnie przez tak wiele dni. Snop słonecznego światła coraz bardziej pozostawał za mną w tyle. Odwróciłem się i spojrzałem na małą plamkę, która była moim niegościnnym domem, na pozostawione w nieładzie tace, z ułożonymi na kupę kocami i krzesłem – być może jedynym krzesłem na świecie! Nie powiem, że patrzyłem na ten widok z nostalgią, gdyż czułem się nieszczęśliwy i przestraszony podczas całego pobytu w tamtej świetlnej klatce, ale zastanawiałem się, czy kiedykolwiek znów ją zobaczę.

Pod naszymi stopami wieczne gwiazdy wisiały jak milion lampionów unoszonych na powierzchni niewidocznej rzeki.

Podczas drogi Nebogipfel wyciągnął niebieskie gogle, bardzo podobne do tych, które nosił. Wziąłem je, ale zaprotestowałem:

– Po co mi one? Nie jestem tak oślepiony jak ty...

– Nie są przeznaczone dla światła, lecz ciemności. Załóż je.

Uniosłem gogle ku twarzy. Wspierały się na dwóch obręczach z jakiegoś giętkiego materiału, który opasał też niebieskie szkiełka samych gogli; kiedy uniosłem gogle ku twarzy, obręcze oplotły z łatwością moją głowę i zacisnęły się lekko.

Obróciłem głowę. Pomimo zabarwienia gogli nie miałem

wrażenia niebieskości. Snop słonecznego światła wydawał się tak jasny jak zawsze, a obraz Nebogipfela był równie wyraźny jak przedtem.

– Chyba nie działają – orzekłem.

Zamiast odpowiedzi Nebogipfel opuścił głowę.

Zrobiłem to samo – i zachwiałem się, gdyż pod moimi stopami i pod miękką podłogą gwiazdy dosłownie płonęły. Te światła już nie były przyćmione z powodu połysku podłogi lub kiepskiego przystosowania się mojego wzroku do ciemności; wyglądało to tak, jakbym stał nieruchomo w nocy nad jakimś gwiazdzistym niebem w górach Walii lub Szkocji! Czy możecie sobie wyobrazić, jak ogromnych doznałem wówczas zawrotów głowy?!

Dostrzegłem teraz oznakę zniecierpliwienia u Nebogipfela – wydawało się, że bardzo chce iść dalej. Szliśmy w milczeniu.

Wydawało mi się, że po kilku krokach Nebogipfel zwolnił tempo i zobaczyłem teraz, dzięki goglom, że kilka stóp przed nami jest ściana. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej czarnej jak sadza powierzchni, ale odznaczała się tylko taką samą miękką, ciepłą strukturą jak podłoga. Nie mogłem zrozumieć, jakim cudem tak szybko dotarliśmy do skraju tej komory. Zastanawiałem się, czy aby nie znajdowaliśmy się na jakimś ruchomym chodniku, który pomagał nam iść, Nebogipfel nie podał mi jednak żadnych wyjaśnień.

– Powiedz mi, co to za miejsce, zanim je opuścimy – odezwałem się.

Odwrócił ku mnie swoją głowę o lnianych włosach.

– Pusta komora.

– Jak szeroka?

– Na około dwa tysiące mil.

Próbowałem ukryć zdumienie. Dwa tysiące mil?! Czy

znajdowałem się sam w więziennej celi dostatecznie dużej, by pomieścić ocean?

– Macie tu sporo miejsca – powiedziałem spokojnie.

– Sfera jest rzeczywiście duża – odrzekł. – Jeśli jesteś przyzwyczajony tylko do odległości planetarnych, może być ci trudno ocenić, jak duża. Sfera wypełnia orbitę pierwotnej planety, którą nazywaliście Wenus. Ma powierzchnię prawie trzysta milionów razy większą niż powierzchnia Ziemi...

– Trzysta milionów?

Moje zdumienie spotkało się jedynie z beznamiętnym spojrzeniem Morloka, a także kolej na oznakę tego bliżej nie sprecyzowanego zniecierpliwienia. Rozumiałem jego niepokój, a jednak czułem się urażony, a także trochę zażenowany. Dla tego Morloka byłem czymś w rodzaju irytującego Afrykanina przybyłego do Londynu, który musi pytać o cel i pochodzenie najprostszyc rzeczy, takich jak widelec lub para spodni!

Dla mnie Sfera była szokującą konstrukcją, jak piramidy dla jakiegoś neandertalczyka! Dla tego zadowolonego z siebie Morloka Sfera wokół Słońca była częścią historycznego umeblowania świata, nie bardziej godną uwagi niż krajobraz ujarzmiony w trakcie tysiącletniego rozwoju rolnictwa.

Otworzyły się przed nami jakieś drzwi – rozumiecie, nie odsunęły się, lecz odskoczyły tak, jak migawka w aparacie fotograficznym – i ruszyliśmy naprzód.

Straciłem dech i prawie się cofnąłem. Nebogipfel obserwował mnie ze swoim zwykłym, analitycznym spokojem.

W wielkim jak świat, wyściełanym gwiazdami pokoju zwróciło na mnie swe oczy milion morłokowych twarzy.

Morlokowie ze sfery

Musicie sobie wyobrazić to miejsce: jedno olbrzymie pomieszczenie bez ścian, z dywanem gwiazd i zawile skonstruowanym sufitem, które ciągnęły się w nieskończoność. Oprócz czarnego i srebrnego nie było tam żadnego innego koloru. Podłoga poprzedzielana była przegrodami sięgającymi klatki piersiowej, choć nie wzniesiono tam ścian działowych: nigdzie nie było żadnych zamkniętych obszarów, nic, co by przypominało nasze biura lub domy.

I znajdowali się tam Morlokowie, garstka bladych istot, które rozproszyły się na całej przezroczystej podłodze; ich twarze przypominały szare płatki śniegu, rozsiane na gwiazdzistym dywanie. W całym pomieszczeniu słychać było ich głosy: zalała mnie fala nieprzerwanego, płynnego paplania, które przypominało szmer oceanu i bardzo różniło się od ludzkiej mowy, a także od suchego tonu, którego Nebogipfel przywykł używać w moim towarzystwie.

W miejscu zetknięcia się dachu z podłogą biegła nie kończąca się linia, całkowicie prosta i lekko rozmazana z powodu kurzu i mgiełki. Nie zakrzywiała się łukowato, jak to człowiek czasami widzi, gdy przygląda się bacznie oceanowi. Trudno to opisać – wydawać się może, że takie rzeczy wykraczają poza ludzką intuicję, dopóki się ich nie doświadczy – ale w tamtej chwili, kiedy tam stałem, wiedziałem, że nie znajduję się na powierzchni

żadnej planety. W oddali nie było żadnego horyzontu, za którym szeregi Morloków znikałyby jak oddalające się statki pełnomorskie; wiedziałem natomiast, że zwarcie zarysowane kontury Ziemi są bardzo daleko. Posmutniałem i byłem dość przestraszony.

Podszedł do mnie Nebogipfel. Zdjął gogle i odniosłem wrażenie, że zrobił to z ulgą.

– Chodź – powiedział łagodnie. – Boisz się? Chciałeś to zobaczyć. Przejdziemy się. I porozmawiamy sobie.

Z ogromnym wahaniem – zrobienie kroku naprzód, co oznaczało oddalenie się od mojej olbrzymiej celi więziennej, było dla mnie autentycznym wysiłkiem – ruszyłem za Morlokiem.

Wywołałem spore poruszenie wśród morlokowej ludności. Zewsząd otoczyły mnie ich małe twarze, z olbrzymimi oczami i bez podbródków. Podczas drogi cofałem się przed nimi, gdyż odżył we mnie strach przed ich zimnymi ciałami. Niektórzy wyciągali ku mnie swoje długie, owłosione ramiona. Poczułem ich zapach: nader znajomy, słodki, stęchły zaduch. Większość z nich chodziła w pozycji wyprostowanej, jak człowiek, choć niektórzy woleli biegać susami jak orangutany, muskając knykciami podłogę. Wielu z nich miało włosy – zarówno na czaszce jak i plecach – rozmaicie uczesane; niektórzy, tak jak Nebogipfel, nosili je ułożone bardzo prosto i prymitywnie, inni zaś fantazyjnie i ozdobnie. Znalazło się jednak kilku, których włosy były postrzępione i potargane tak jak u Morloków napotkanych przeze mnie w świecie Weeny, i z początku podejrzewałem, że ci osobnicy są nadal dzicy, nawet tutaj, w tym pokoju-mieście; zachowywali się jednak równie swobodnie jak reszta i postawiłem hipotezę, że te rozwichrzone czupryny to po prostu kwestia gustu – tak jak człowiek czasami zapuszcza sobie

długą brodę.

Zdałem sobie sprawę z tego, że mijam Morloków niezwykle szybko – znacznie szybciej, niż pozwalało na to moje tempo. Prawie się potknąłem, gdy to sobie uświadomiłem. Spojrzałem w dół, ale nie dostrzegłem nic, co by odróżniało odcinek przezroczystej podłogi, po której stąpałem, od jakiegokolwiek innego; wiedziałem jednak, że muszę się znajdować na jakimś ruchomym chodniku.

Tłok, blade twarze Morloków, brak kolorów, płaskość horyzontu, moja nienaturalna prędkość przechodzenia przez ten dziwny krajobraz – a nade wszystko złudzenie, że płynę nad bezdenną studnią gwiazd – to wszystko stwarzało pozory snu! Ale potem jakiś ciekawski Morlok podchodził zbyt blisko, aż do moich nozdrzy docierał jego nieprzyjemny zapach – i ponownie przywoływany byłem do rzeczywistości.

To nie był sen: uświadomiłem sobie, że jestem zagubiony, zdany na łaskę losu w tym morzu Morloków, i znów musiałem się zмагаć, by iść pewnym krokiem, by nie zaciskać pięści i nie walić nimi w zaciekawione twarze, które zewsząd na mnie napierały.

Zobaczyłem Morloków przy ich tajemniczych zajęciach. Niektórzy spacerowali, inni rozmawiali, a jeszcze inni jedli mdłą, nieokreśloną papkę, którą mi zaserwowano. Wszyscy zachowywali się tak spontanicznie jak kocięta. Ta obserwacja, w połączeniu z całkowitym brakiem jakichkolwiek zamkniętych przestrzeni, pozwoliła mi zrozumieć, że Morlokowie ze Sfery nie potrzebują prywatności, nie w takim sensie, jak my ją rozumiemy.

Wydawało się, że większość Morloków pracuje, lecz nie potrafiłem zgłębić tego, co robią. W powierzchniach niektórych

ich przegród zainstalowano szyby z niebieskiego, lśniącego szkła i Morlokowie dotykali tych szyb swoimi cienkimi, glistowatymi palcami lub z przejęciem do nich mówili. W odpowiedzi na szklanych płytach pojawiały się wykresy, obrazy i napisy. W niektórych miejscach ta niezwykła maszyna była trochę bardziej rozwinięta i zobaczyłem skomplikowane modele – nie potrafiłem powiedzieć, co przedstawiały – które zjawiały się nagle w powietrzu. Na rozkaz Morloka model obracał się lub rozwierał, ukazując swoje wnętrze, lub rozpadał się w zanikających układach fruujących kostek kolorowego światła.

I na dodatek to wszystko odbywało się przy nieustannym potoku płynnej, gardłowej mowy Morloków!

Minęliśmy miejsce, w którym z podłogi wyłoniła się nowa przegroda. Wzniosła się w całkowitej i skończonej postaci, jak coś, co wynurza się z kadzi z rtęcią; kiedy przestała rosnąć, stała się cienką, wysoką na mniej więcej cztery stopy płytą, w której pojawiły się trzy niebieskie okna. Kiedy przykucnąłem, żeby zerknąć przez przezroczystą podłogę, niczego nie dostrzegłem pod powierzchnią: żadnej skrzynki czy podnośnika. To było tak, jakby przegroda powstała z niczego.

– Skąd ona się wzięła? – zapytałem Nebogipfela.

Odpowiedział po namyśle, najwidoczniej dobierał słowa:

– Sfera ma pamięć. Posiada maszyny, które umożliwiają jej magazynowanie tej pamięci. A forma bloków danych – miał na myśli przegrody – przechowywana jest w pamięci Sfery, by zgodnie z życzeniami można ją było odtwarzać w tej materialnej postaci.

Aby mnie zabawić, Nebogipfel spowodował kolejne ekstruzje: na jednym filarze zobaczyłem wyłaniającą się tacę zjedzeniem

i wodą, jakby zastawił ją jakiś niewidzialny majordom!

Zdumiała mnie idea ekstruzji z jednorodnej i niczym się nie wyróżniającej podłogi. Przypomniała mi o platońskiej teorii idei, objaśnionej przez kilku filozofów: mianowicie każda rzecz posiada, w jakiejś sferze bytu, idealną formę – jest nią na przykład esencja krzesła, suma stołowości i tak dalej – i kiedy jakaś rzecz tworzona jest w naszym świecie, znajduje swoje odbicie we wzorach zmagazynowanych w platońskim nadświecie.

Cóż, oto znalazłem się w urzeczywistnionym platońskim wszechświecie: ta olbrzymia, opasująca Słońce Sfera „zalana” była sztuczną, boską pamięcią – pamięcią, której pokoje przemierzałem nawet podczas naszej rozmowy. A w tej pamięci zmagazynowany był ideał każdej rzeczy, której mogłaby zapragnąć dusza, przynajmniej dusza Morloka.

Cóż to by była za wygoda móc zgodnie z potrzebami sprawiać, by aparatura i sprzęt powstawały i znikały! Uświadomiłem sobie, że mój wielki, przewiewny dom w Richmond można by zredukować do jednego pokoju. Rano można by rozkazać, aby meble w sypialni wtopiły się w dywan i zostały zastąpione wyposażeniem łazienki, a potem stołem kuchennym. Jak przy pomocy czarów można by sprawić, aby różne przyrządy mojego laboratorium wypływały ze ścian i sufitu, aż będę gotowy do pracy. I wreszcie wieczorem mógłbym zawezwać stół jadalny wraz z kominkiem i tapetą, które stwarzałyby miłą atmosferę; być może również istniała możliwość stworzenia stołu pełnego jedzenia!

Uświadomiłem sobie, że wszystkie nasze zawody – budowniczych, hydraulików, cieśli i tym podobnych – zniknęłyby w jednej chwili. Gospodarz domu – właściciel takiego

inteligentnego pokoju – musiałyby zatrudniać jedynie perypatetyczną sprzątaczkę (choć pewnie i tę sprawę pokój mógłby też załatwić!), i być może mechaniczna pamięć pokoju byłaby od czasu do czasu uzupełniana, aby dotrzymywać kroku najnowszym modom...

Tak pracowała moja płodna wyobraźnia, jak zawsze pozostająca poza kontrolą.

Wkrótce zacząłem odczuwać zmęczenie. Nebogipfel zaprowadził mnie do wolnej przestrzeni – choć wszędzie wokół widziałem Morloków w oddali – i tupnął nogą w podłogę. Wynurzyło się coś w rodzaju schronienia: miało jakieś cztery stopy wysokości i dość duży dach wsparty na czterech grubych filarach, przypominało solidny stół. Pod tym schronieniem wyrosły koce i podstawek zjedzeniem. Z wdzięcznością wszedłem do tej chaty – to była pierwsza zamknięta przestrzeń, którą mogłem się cieszyć od chwili przybycia na Sferę – i wyraziłem uznanie za to, że Nebogipfel mi ją zapewnił. Posiliłem się wodą i zielonkawą, serowatą substancją, zdjąłem gogle – ogarnęła mnie nieskończona ciemność morlokowego świata – i zasnąłem, składając głowę na zwiniętym kocu.

To dziwne, małe schronienie było moim domem przez kilka następnych dni, gdy z Nebogipfelem kontynuowałem obchód miasta-komory Morloków. Za każdym razem gdy wstawałem, Nebogipfel kazał podłodze wchłonąć schronienie i powodował jego powstanie w każdym miejscu, gdzie się zatrzymywaliśmy – tym samym nie musieliśmy dźwigać bagażu! Zauważyłem, że Morlokwie nie śpiąją, i przypuszczam, że moje błazeństwa w chacie były źródłem sporej fascynacji dla mieszkańców Sfery – chyba tak, jak wybryki orangutana przyciągają oko

cywilizowanego człowieka – i kiedy próbowałem zasnąć, biały lud tłoczył się wokół mnie, przybliżając swoje małe okrągłe twarze, tak iż spoczynek byłby niemożliwy, gdyby Nebogipfel nie pozostawał przy mnie i nie zapobiegał takim przejawom zainteresowania.

W ciągu wszystkich tych dni, kiedy Nebogipfel oprowadzał mnie po świecie Morloków, nie napotkaliśmy nigdy ściany, drzwi lub innej poważniejszej bariery. O ile mogłem się zorientować, przez cały czas znajdowaliśmy się w jednej komorze: była to jednak komora o zdumiewających rozmiarach i sprawiała wrażenie jednolitości, gdyż wszędzie widziałem ten sam obraz Morloków wykonujących swoje tajemnicze zadania. Najprostsze kwestie praktyczne takich środowisk były dość zaskakujące; na przykład zastanawiałem się nad prozaicznymi problemami z utrzymaniem stałej i stabilnej atmosfery – gdy temperatura, ciśnienie i wilgotność pozostają na równym poziomie – na takim wielkim obszarze. A jednak Nebogipfel dał mi do zrozumienia, że to tylko jedna z wielu mozaikowo porozmieszczanych komór, które łączą Sferę między biegunami.

Niebawem pojąłem, że w tej Sferze nie ma miast w nowoczesnym tego słowa znaczeniu. Populacja Morloków zajmowała wszystkie te ogromne komory i nigdzie nie było stałych miejsc dla jakiegokolwiek działalności. Jeśli Morlokowie chcieli stworzyć teren do pracy – lub go uprzętnąć, aby robić tam coś innego – odpowiednie urządzenia można było wytłoczyć bezpośrednio z podłogi lub je doń wtłoczyć. Dlatego zamiast miast znajdowały się tam skupiska ludności o większym zagęszczeniu – skupiska, które zgodnie z potrzebą przesuwały się

i migrowały.

Budząc się pewnego razu, wygramoliłem się ze schronienia i usiadłem po turecku, popijając wodę. Nebogipfel pozostał w pozycji stojącej, sprawiając wrażenie, że go to nie męczy. Potem zobaczyłem, jak podchodzi do nas dwóch Morloków, na widok których zbyt szybko przełknąłem wodę; zakrztusiłem się i krople wody opryskały mi marynarkę oraz spodnie.

Przypuszczałem, że owa para to byli rzeczywiście Morlokwie, tyle że różnili się od tych, których do tej pory widziałem: podczas gdy Nebogipfel miał trochę poniżej pięciu stóp wzrostu, ci wyglądali jak karykatury z kreskówki – mierzyli jakieś dwanaście stóp! Jeden z wysokich stworów dostrzegł mnie i przybiegł susami, brzęcząc metalowymi łubkami na nogach; przeskakiwał przegrody niczym jakaś olbrzymia gazela.

Pochylił się i zerknął na mnie. Jego czerwonoszare oczy były wielkości talerzy i cofnąłem się przed nim ze strachu. Czuć było od niego przypalonymi migdałami. Miał długie i krucho wyglądające kończyny, a jego skóra wydawała się naciągnięta na tym powiększonym szkielecie: dostrzegłem profil pieszczeli – osadzonej w jednym goleniu i całkiem widocznej przez mocno naciągniętą skórę – której długość wynosiła co najmniej cztery stopy. Do tych długich nóg przyczepione były jakieś elastyczne, metalowe łubki, które najwidoczniej miały zapobiegać ich pękaniu. Wydawało się, że ta chuda bestia nie ma więcej torebek włosowych od przeciętnego Morloka, więc jej włosy były rozsiane na tym rozciągniętym szkielecie bardzo szkaradnie.

Stwór zamienił kilka płynnych sylab z Nebogipfelem, po czym przyłączył się do swego towarzysza i – rzucając mi przez ramię zaciekawione spojrzenia – poszedł własną drogą.

Odwróciłem się oszołomiony do Nebogipfela; po tamtej wizji

on wydawał się oazą normalności.

– To są... – tu Nebogipfel wymówił płynnie słowo, którego nie potrafiłem powtórzyć – z wyższych szerokości geograficznych. – Spojrzał za naszymi dwoma gośćmi. – Pewnie zauważyłeś, że nie są przyzwyczajeni do tego obszaru równikowego. Łubki pomagają im chodzić i...

– Wcale tego nie zauważyłem – wtrąciłem. – Czym się różnią wyższe szerokości geograficzne?

– Grawitacją – odparł.

Zaczynałem go powoli rozumieć.

Sfera Morloków – jak już powiedziałem – była tytaniczną konstrukcją, która wypełniała orbitę zajmowaną niegdyś przez Wenus. I – jak Nebogipfel powiedział mi teraz – obracała się wokół osi. Kiedyś rok wenusjański trwał dwieście pięćdziesiąt pięć dni. Obecnie – powiedział Nebogipfel – wielka Sfera obraca się w ciągu zaledwie siedmiu dni i trzynastu godzin!

– I dlatego rotacja... – zaczął Nebogipfel.

– ...powoduje siłę odśrodkową, która na równiku symuluje grawitację ziemską. Tak, rozumiem.

Byliśmy przyczepieni do tej podłogi dzięki wirowaniu Sfery. Ale z dala od równika okrąg cyrkulacji punktu wokół osi obrotu był mniejszy i dlatego grawitacja realna ulegała zmniejszeniu: w rzeczywistości na biegunach Sfery siła ciężenia kurczyła się do zera. I to właśnie w tych niezwykłych, rozległych obszarach niskiej grawitacji żyły i przystosowały się do niej takie nadzwyczajne zwierzęta jak tamci dwaj skaczący Morlokwie.

Uderzyłem się grzbietem dłoni w czoło.

– Czasami myślę, że jestem największym głupcem w historii! – wykrzyknąłem do ogłupionego Nebogipfela. Przecież nigdy nie pomyślałem, żeby zapytać o źródło mojego „ciężaru” tutaj, na

Sferze. Cóż to za naukowiec, który nie zakwestionował – a nawet nie zaobserwował właściwie – grawitacji, która pod nieobecność czegoś tak wygodnego jak planeta przytrzymywała go przy powierzchni tej Sfery? Zastanawiałem się, jak wiele innych cudów nie dostrzegam po prostu dlatego, że nie przyszło mi na myśl o nie zapytać – a jednak dla Nebogipfela takie osobliwości stanowiły jedynie część świata, były nie bardziej dziwne od wschodu słońca lub skrzydła motyla.

Wyciągnąłem z Nebogipfela szczegóły na temat życia Morloków. To było trudne, gdyż nie bardzo wiedziałem, jak w ogóle sformułować pytania. Może się to wydawać dziwnym oświadczeniem, ale jak miałem na przykład zapytać o maszynę, która podierała tę przekształcającą się podłogę? Wątpliwe, czy mój język zawierał pojęcia niezbędne nawet do sformułowania pytania, tak jak neandertalczykowi brakowałyby narzędzi językowych, by zapytać o działanie zegara. A jeśli chodzi o uwarunkowania społeczne i inne zwyczaje, które w niewidoczny sposób rządziły życiem milionów Morloków w tej ogromnej komorze, pozostawałem takim ignorantem, jakim mógłby być dzikus – świeżo przybyły ze środkowej Afryki do Londynu – w kwestiach ruchów społecznych, sieci telefonicznych i telegraficznych, poczty i tym podobnych. Nawet ich urządzenia kanalizacyjne pozostawały dla mnie tajemnicą!

Zapytałem Nebogipfela, jaki system rządów funkcjonuje u Morloków.

Wyjaśnił mi – pomyślałem, że trochę protekcjonalnym tonem – że Sfera jest dostatecznie duża dla kilku narodów Morloków. Te narody różniły się między sobą głównie formą rządów, jakie wybierali. Prawie u wszystkich postępowały jakieś procesy

demokratyczne. W niektórych obszarach parlament przedstawicielski był wybierany drogą Powszechnego Prawa Głosu, podobnie jak nasz parlament Westminsterki. Gdzie indziej prawo głosu ograniczone było do elitarnej podgrupy złożonej z tych, których z racji usposobienia lub wykształcenia uważano za szczególnie zdolnych do rządzenia: myślę, że najbliższymi wzorcami w naszej filozofii są klasyczne republiki lub być może idealna forma republiki w wyobrażeniu Platona; i przyznaję, że to podejście przemawiało do moich instynktów.

Ale w większości rejonów maszyna Sfer umożliwia formę prawdziwego Powszechnego Prawa Głosu, w której mieszkańcy nadążali za bieżącymi debatami za pośrednictwem niebieskich okien w swoich przegrodach, a potem niezwłocznie tą samą drogą podawali swoje preferencje dotyczące każdej sprawy. Tym sposobem zarządzanie odbywało się po kawałku, a wszystkie ważniejsze decyzje zależne były od zbiorowego kaprysu ludności.

Nie ufałem takiemu systemowi.

– Ale chyba jest kilka osób, którym nie wolno dawać takiej władzy! A co z chorymi lub słabymi na umyśle?

Spojrzał na mnie z wyższością.

– Nie mamy takich słabości.

Miałem ochotę rzucić wyzwanie temu utopiście – nawet tutaj, w sercu jego urzeczywistnionej Utopii!

– A jak udaje wam się to zapewnić?

Nie odpowiedział mi od razu. Zamiast tego ciągnął:

– Każdy członek naszej dorosłej populacji jest rozumny i zdolny do podejmowania decyzji w imieniu innych – i ufa się mu, że tak postępuje. W takich okolicznościach najczystsza forma demokracji jest nie tylko możliwa, lecz również wskazana, gdyż

wspólnota wielu umysłów podejmuje decyzje lepsze od decyzji jednostki.

Zachnąłem się.

– Co w takim razie z tymi wszystkimi innymi parlamentami i senatami, które opisałeś?

– Nie wszyscy zgadzają się, że rozwiązania w tej części Sfery są idealne – przytaknął. – Czyż nie jest to istotą wolności? Nie wszyscy z nas są dostatecznie zainteresowani mechanizmami rządu, by chcieć w nich uczestniczyć, i dla niektórych powierzenie władzy innym poprzez przedstawicielstwo – lub nawet bez żadnego przedstawicielstwa – jest bardziej pożądane. Jest to uzasadniony wybór.

– Świetnie. Ale co się dzieje, gdy takie wybory są w sprzeczności?

– Mamy dużo miejsca – odparł poważnie. – Nie wolno ci o tym zapominać; nadal myślisz w kategoriach planety. Każdy dysydent może odejść i ustanowić konkurencyjny system gdzie indziej...

Te narody Morloków były płynne, jednostki przyłączały się i odchodziły zgodnie z bieżącymi upodobaniami. O ile mogłem się zorientować, nie było ustalonych terytoriów i majątków, a nawet stałych granic; narody były zwykłymi grupami osób przebywających ze sobą dla własnej wygody, zbiorowiskami rozsianymi na całej Sferze.

U Morloków nie było wojen.

Długo trwało, nim w to uwierzyłem, ale w końcu dałem się przekonać. Nie było powodów do wojen! Dzięki mechanizmom podłogi nie brakowało żywności, więc żaden naród nie mógł wysuwać argumentów nakazujących podbój z powodów ekonomicznych. Dzięki wielkości Sfery puste tereny były dostępne w stopniu prawie nieograniczonym, a więc konflikty

terytorialne nie miały sensu. I co najważniejsze, umysłów Morloków nie toczył rak religii, która na przestrzeni wieków wywołała tyle sporów.

– A zatem nie macie Boga – powiedziałem do Nebogipfela z pewnym dreszczykiem; choć sam mam pewne skłonności do religii, wyobraziłem sobie, jak bym zszokował duchownych z moich czasów, zdając im relację z tej rozmowy!

– Nie potrzebujemy Boga – odparł Nebogipfel.

Morlokowie uważali nastawienie religijne – w przeciwieństwie do podejścia racjonalnego – za dziedziczną cechę, która nie posiada znaczenia większego od niebieskich oczu lub kasztanowych włosów.

Im bardziej Nebogipfel objaśniał mi tę koncepcję, tym większy to miało dla mnie sens.

Która koncepcja Boga przetrwała całą mentalną ewolucję ludzkości? Ba, dokładnie taka forma, której wyczarowanie z wyobraźni odpowiadało ludzkiej próżności: Bóg bardzo potężny, a jednak zaabsorbowany błahymi sprawami człowieka. Któż mógłby czcić surowego Boga – nawet wszechmogącego – gdyby On w ogóle nie interesował się bagatelnymi zmaganiem ludzi?

Można by sobie wyobrażać, że w jakimkolwiek sporze między ludźmi kierującymi się rozumem i tymi, którzy bazują na religii, ci pierwsi powinni zwyciężyć. To przecież dzięki rozumowi wynaleziono proch strzelniczy! A jednak – przynajmniej aż do naszego dziewiętnastego wieku – nastawienie religijne na ogół odnosiło zwycięstwo, a naturalna selekcja funkcjonowała tak, iż mieliśmy społeczeństwo religijnie nastawionych owiec, które – tak mi się czasem zdawało – dawały się oszukać byle jakiemu, gładko wysławiającemu się kaznodziei.

Wyjaśnienie tego paradoksu jest takie, że religia daje ludziom jakiś cel, o który mogą walczyć. Religijny człowiek skropi kawałek „świętej” ziemi swoją krwią, poświęcając znacznie więcej niż tylko ekonomiczną lub inną wartość tej krainy.

– Ale my już uporaliśmy się z tym paradoksem – powiedział mi Nebogipfel. – Opanowaliśmy nasze dziedzictwo: już nie rządzą nami dyktaty przeszłości, ani w kwestii naszych ciał, ani umysłów...

A jednak nie poszedłem śladem tej intrygującej koncepcji – oczywiste pytanie brzmiało: „Zatem pod nieobecność Boga jaki jest cel waszego życia?” – gdyż zachwyciło mnie wyobrażenie, jak Sir Darwin, tak powszechnie krytykowany przez Kościół w swoich czasach, nie posiadałby się z radości, widząc ten ostateczny triumf swych idei nad fanatyzmem religijnym!

Właściwie – jak się okazało – prawdziwy cel cywilizacji Morloków zrozumiałem dopiero znacznie później.

Byłem jednak pod wrażeniem wszystkiego, co ujrzałem w tym sztucznym świecie Morloków – nie jestem pewien, czy mój pełen szacunku podziw został oddany w mojej relacji. Ten gatunek Morloków faktycznie opanował swoje odziedziczone słabości; odstawili na bok dziedzictwo dzikusa – spadek po nas! – i skutkiem tego osiągnęli stabilność oraz zdolności prawie niewyobrażalne dla człowieka z roku 1891: dla człowieka takiego jak ja, który dorósł w świecie rozdieranym codziennie przez wojny, chciwość i nieudolność.

I to opanowanie ich własnej natury zdumiewało jeszcze bardziej z powodu kontrastu z tamtymi drugimi Morlokami – Morlokami Weeny – którzy, pomimo swoich uzdolnień w kierunku mechaniki oraz innych kierunków, najwidoczniej popadli w konflikt z tkwiącym w nich dzikusiem.

Konstrukcje i rozbieżności

Omówiłem z Nebogipfelem konstrukcję Sfery.

– Wyobrażam sobie wielkie projekty inżynieryjne, które pozwoliły rozbić olbrzymie planety... Jowisz, Saturn... i...

– Nie – zaprzeczył Nebogipfel. – Nie było żadnego takiego projektu, pierwotne planety, od Ziemi na zewnątrz, nadal krążą po orbicie wokół jądra Słońca. Wszystkie planety razem wzięte nie zapewniłyby dostatecznej ilości materiału, by nawet rozpocząć konstrukcję takiego tworu jak ta Sfera.

– A zatem jak...?

Nebogipfel opisał mi, jak Słońce zostało okrążone przez wielką flotę statków kosmicznych dźwigających olbrzymie magnesy, których konstrukcji – obejmującej obwody elektryczne, których oporność w jakiś nie znany sposób zmniejszono do zera – nie potrafiłem zgłębić. Statki okrążały Słońce z coraz większą prędkością i pas magnetyczny zacieśnił się wokół mierzącej milion mil „przepony” Słońca. I – jakby ta wielka gwiazda była miękkim owocem pochwyconym w miażdżący uścisk dłoni – ogromne strumienie materii słonecznej, która już sama w sobie jest namagnesowana, zostały oderwane od równika, by trysnąć z biegunów gwiazdy.

Potem kolejne floty statków kosmicznych zajęły się tą olbrzymią chmurą uniesionej materii, formując ją wreszcie w otaczającą Słońce skorupę; następnie skorupa ta została ścieśniona – ponownie przy użyciu ukształtowanych pól magnetycznych – i przekształcona w lite struktury, które widziałem wokół siebie.

Otoczone skorupą Słońce nadal świeciło, gdyż nawet ogromne, oderwane masy niezbędne do konstrukcji tego wielkiego tworu, były zaledwie niewidocznym ułamkiem całkowitej masy Słońca; i wewnątrz Sfery Słońce świeciło wiecznie nad ogromnymi kontynentami, z których każdy mógłby połączyć miliony rozplaszczonych Ziemi.

– Planeta taka jak Ziemia – powiedział Nebogipfel – może przechwycić jedynie znikomy ułamek energii Słońca, podczas gdy reszta marnuje się i znika w otchłani kosmosu. Teraz cała energia słoneczna jest wychwytywana przez otaczającą Sferę. I jest to główne uzasadnienie konstrukcji Sfery: wykorzystaliśmy gwiazdę...

Nebogipfel powiedział mi, że za milion lat Sfera przechwyci dość dodatkowej materii słonecznej, by uzyskać pogrubienie swojej warstwy o jedną dwudziestopiątą cala – znikomo małą warstwę, ale obejmującą zdumiewająco duży obszar! Przetworzoną materię słoneczną wykorzystywano do dalszej budowy Sfery. Tymczasem część energii słonecznej wykorzystywana była do tego, aby zapewnić funkcjonowanie Wnętrza Sfery i dać Morlokom energię, której potrzebowali do rozmaitych projektów.

Z pewnym podnieceniem opisałem Nebogipfelowi, co widziałem podczas mojej podróży przez przyszłość: rozjaśnienie Słońca i te strumienie przy biegunach i jak Słońce potem

zniknęło w czerni, gdy okryła je Sfera.

Zdawało mi się, że Nebogipfel spojrział na mnie z pewną dozą zazdrości.

– A więc – odezwał się – faktycznie obserwowałeś budowę Sfery. Trwało to dziesięć tysięcy lat...

– Dla mnie jednak, gdy siedziałem w wehikule, minęło zaledwie kilka chwil.

– Powiedziałaś mi, że to twoja druga wyprawa w przyszłość. I że podczas pierwszej dostrzegłeś jakieś różnice.

– Owszem. – Jeszcze raz stanąłem oko w oko z tą intrygującą tajemnicą. – Różnice w rozwoju historii... Nebogipfelu, kiedy wybrałem się w przyszłość po raz pierwszy, waszej Sfery w ogóle nie zbudowano!

Streściłem mu, jak poprzednim razem zawędrowałem znacznie dalej od tego roku Pańskiego 657 208. Podczas tamtej pierwszej podróży byłem świadkiem, jak ląd skolonizowała fala bogatej zieleni, gdy zima została wyrugowana z Ziemi i Słońce z niewyjaśnionych powodów stało się jaśniejsze. Ale – w przeciwieństwie do mojej drugiej podróży – nie dostrzegłem oznak regulacji osiowego pochylenia Ziemi, ani nie byłem świadkiem spowolnienia jej rotacji. I – co było najbardziej zdumiewającą różnicą – bez budowy osłaniającej Słońce Sfery Ziemia pozostała jasna, a nie została wygnana w stygijskie ciemności Morloków.

– Tak więc – powiedziałem Nebogipfelowi – przybyłem do roku Pańskiego 802 701 – odległego od twojej teraźniejszości o sto pięćdziesiąt tysięcy lat – a jednak nie mogę uwierzyć, że gdybym zawędrował tak daleko tym razem, zastałbym ponownie taki sam świat!

Streściłem Nebogipfelowi to, co zobaczyłem w świecie Weeny,

zamieszkałym przez Elojów i zwyrodniałych Morloków. Nebogipfel zastanowił się nad tym.

– W całej ewolucji ludzkości nie odnotowano takiego stanu rzeczy, w całej zarejestrowanej historii... mojej historii – stwierdził. – A ponieważ Sfera po zbudowaniu jest samowystarczalna, trudno sobie wyobrazić, aby w naszej przyszłości możliwa była taka barbaryzacja.

– A więc sam widzisz – zgodziłem się. – Podróżowałem w dwóch, wykluczających się wersjach historii. Czy historia może być jak glina, którą można wiele razy lepić?

– Być może – wymamrotał Nebogipfel. – Czy po powrocie do własnej ery – do roku 1891 – miałeś przy sobie jakieś dowody swoich podróży?

– Niewiele – przyznałem. – Przywiozłem jednak kilka kwiatów – ładnych, białych, podobnych do malw – które Weena... które pewna Elojka włożyła mi do kieszeni. Moi przyjaciele zbadali je. Nie potrafili rozpoznać, do którego rzędu roślin te kwiaty należą, i pamiętam, jak komentowali owocolistki...

– Przyjaciele? – zapytał ostrym tonem Nebogipfel. – Zostawiłeś relację z podróży przed ponownym wyruszeniem w przyszłość?

– Nic na piśmie. Ale zdałem dość obszerną relację kilku przyjaciółom przy kolacji. – Uśmiechnąłem się. – O ile znam jednego z nich, to cała sprawa bez wątpienia została w końcu spisana w jakiejś popularnej, sensacyjnej formie – być może przedstawiona w książce beletrystycznej...

Nebogipfel podszedł do mnie.

– A więc właśnie w tym – jego cichy głos przybrał dziwnie dramatyczny ton – tkwi twoje wyjaśnienie.

– Wyjaśnienie?

– Rozbieżności historii.

Stałem naprzeciw niego, przerażony tym, co zaczęło mi świtać w głowie.

– Chcesz powiedzieć, że moją relacją – moim proroctwem – zmieniłem historię?!

– Tak. Ostrzeżonej ludzkości udało się uniknąć degradacji i konfliktu, które w rezultacie doprowadziły do prymitywnego, okrutnego świata Ełojów i Morloków. Zamiast tego nadal się rozwijaliśmy; wykorzystaliśmy Słońce.

Czułem się niezdolny stawić czoło konsekwencjom tej hipotezy, choć jej prawda i jasność od razu mnie uderzyły.

– Ale niektóre rzeczy nie uległy zmianie! – wykrzyknąłem. – Wy, Morlokowie, nadal chowacie się w ciemnościach!

– Nie jesteśmy Morlokami – powiedział łagodnie Nebogipfel. – W każdym razie nie takimi, jakich zapamiętałeś. A jeśli chodzi o ciemności, to po cóż nam potrzebna powódź światła? Wybraliśmy ciemność. Nasze oczy są doskonałymi przyrządami zdolnymi do postrzegania wielu pięknych rzeczy. Bez brutalnie oślepiającego blasku słońca możemy dostrzec wszystkie niuanse nieba...

Drażnienie Nebogipfela nie było w stanie odciągnąć mojego umysłu od prawdy i musiałem spojrzeć jej w oczy. Spuściłem wzrok na swoje ręce – duże, zmalretowane, poznaczone bliznami od wieloletniej pracy. Moim jedynym celem, któremu poświęciłem wysiłek tych rąk, było zgłębianie czasu! Ustalenie, jak sprawy się rozwiną na kosmologicznej skali wykraczającej poza moje niewiele znaczące, kilkudziesięcioletnie życie. Wydawało się jednak, że osiągnąłem znacznie więcej.

Mój wynalazek był czymś znacznie potężniejszym od zwykłej maszyny podróżującej w czasie: był wehikułem historii, niszczycielem światów!

Byłem mordercą przyszłości: uświadomiłem sobie, że zdobyłem większą władzę niż sam Bóg (o ile wierzyć św. Tomaszowi z Akwinu). Zakłócając funkcjonowanie mechanizmu historii, unicestwiłem biliony przyszłych pokoleń – ludzi, którzy się nigdy nie urodzą.

Trudno mi było żyć z tą świadomością. Zawsze żywiłem nieufność do władzy jednostkowej – nie spotkałem ani jednego człowieka dość mądrego, by mu ją powierzyć – lecz teraz zagarnąłem większą władzę, niż jakikolwiek człowiek, który kiedykolwiek żył!

Obiecałem sobie wtedy, że jeśli kiedykolwiek odzyskam mój wehikuł czasu, to wrócę do przeszłości, aby wprowadzić jedną, ostateczną, rozstrzygającą poprawkę do historii, i nie dopuszczę do tego, bym kiedykolwiek wynalazł tę piekielną maszynę.

I uświadomiłem sobie, że nigdy nie zdołam odzyskać Weeny. Gdyż nie tylko spowodowałem jej śmierć – okazało się teraz, że nie dopuściłem do tego, by w ogóle mogła zaistnieć!

W mojej emocjonalnej rozterce ból z powodu tej straty rozbrzmiewał jak słodki i wyraźny dźwięk oboju w hałasie jakiejś wielkiej orkiestry.

Życie i śmierć u Morloków

Któregoś dnia Nebogipfel zaprowadził mnie do miejsca, które prawdopodobnie było najbardziej niepokojącą rzeczą, jaką widziałem w ciągu całego pobytu w tamtym mieście-komorze.

Zbliżyliśmy się do obszaru o powierzchni mniej więcej pół mili kwadratowej, gdzie przegrody wydawały się niższe niż gdzie indziej. Gdy się tam zbliżaliśmy, uświadomiłem sobie, że słyszę coraz większy hałas – paplaninę dobywającą się z elastycznych gardeł – i znacznie wyraźniejszy odór Morloków, ich charakterystyczną stęchłą, mdlącą słodycz. Nebogipfel kazał mi zaczekać na skraju polanki.

Przez gogle mogłem zobaczyć, że powierzchnia oczyszczonego obszaru żyje. Pulsowały na niej kwilące, wierzące się, drepczące pędraki. Tysiące tych morlokowych niemowląt przewracały się, rączkami i stopkami chwytając się nawzajem za kępki rozwichrzonych włosów. Kulały się jak młode małpki i szturchały mniejsze przegrody informacyjne, które już wcześniej opisałem, lub wpychały sobie jedzenie do swoich czarnych ust; tu i ówdzie przechadzali się w tym tłumie dorośli, podnosząc niemowlę, które upadło, rozstrzygając jakiś drobny spór, uspokajając łkające dziecko.

Rozejrzałem się po tym morzu niemowląt z zaintrygowaniem. Być może ktoś – lecz nie ja, zatwardziały kawaler – mógłby uznać widok takiego zbiorowiska ludzkich dzieci za urzekający, lecz to byli Morlokwie... Musicie pamiętać, że ze swoją glistowatą bladością skóry, chłodem ciała i splątanymi niczym pajęczyna włosami, Morlok – nawet jako dziecko – nie wywiera przyjemnego wrażenia na człowieku. Jeśli pomyślicie o olbrzymim blacie stołu zajęтым przez roje wijących się larw, będziecie mieli niejakię pojęcie o uczuciu, jakiego wtedy doznałem!

Zwróciłem się do Nebogipfela.

– A gdzie są ich rodzice?

Zawahał się, jakby szukał odpowiedniego sformułowania.

– Nie mają rodziców. To farma rozrodcza. Gdy niemowlaki dostatecznie dorosną, zostaną przetransportowane do żłobka, albo na Sferze, albo...

Przestałem go jednak słuchać. Zmierzyłem Nebogipfela od stóp do głów, ale włosy Morloka maskowały kształt jego ciała.

Z nagłym zaskoczeniem dostrzegłem teraz jeszcze jedną z rzeczy, których – mimo iż rzucały mi się w oczy od chwili, kiedy tu przybyłem – moja inteligencja nie pozwoliła mi zauważyć: nie było tu śladu odmienności seksualnej, ani w Nebogipfelu, ani w żadnym spotkanym przeze mnie Morloku, ani nawet w moich dostosowanych do niskiej grawitacji gościach, których ciała pokrywała rzadka sierść i których można było tak łatwo podejrzeć. Przeciętny Morlok zbudowany był jak dziecko, bez różnic płciowych, z tym samym brakiem podkreślonych krągłości bioder i piersi... Uświadomiłem sobie zszokowany, że nic nie wiem – nawet wręcz nie pomyślałem, żeby zapytać – o miłości i narodzinach Morloków!

Nebogipfel opowiedział mi trochę o wychowaniu i edukacji młodych Morloków.

Morlok zaczynał swoje życie na tych farmach rozrodczych i kontynuował je w żłobkach – z bólem przypominałem sobie, że cała Ziemia jest taka – i tam, oprócz podstaw cywilizowanego zachowania, młodzieńca uczono jednej zasadniczej umiejętności: zdolności uczenia się. To tak, jakby zamiast wbijania do głowy biednemu dziewiętnastoletniemu uczniowi mnóstwa bzdur na temat greki i łaciny oraz niejasnych twierdzeń geometrycznych uczono go, jak się skupić i korzystać z bibliotek oraz wchłaniać wiedzę – jak, nade wszystko, myśleć. Po tym szkoleniu nabywanie wszelkiej konkretnej wiedzy zależało od bieżących potrzeb i skłonności jednostki.

Kiedy Nebogipfel streścił mi tę metodę, jej logika uderzyła mnie nieomalże siłą fizyczną. Oczywiście! – powiedziałem sobie – to tyle, jeśli chodzi o szkoły! Cóż to za kontrast z ignorancją i niekompetencją, które składały się na mój własny, nieodżałowany okres szkolny!

Zaprzagnąłem zapytać Nebogipfela o jego własny zawód.

Wyjaśnił mi, że z chwilą, gdy data moich urodzin została ustalona, został ekspertem – korzystając z dokumentów swego ludu – w zakresie moich czasów oraz ich zwyczajów; i zdał sobie sprawę z kilku ważnych różnic między normami naszych ras.

– Nasze zajęcia nie są takie wyczerpujące jak wasze – powiedział. – Mam dwa zamiłowania – dwa powołania. – Oczywiście Morloka były niewidoczne, przez co jeszcze trudniejsza stawała się interpretacja jego uczuć. Wyjaśnił: – Fizyka i szkolenie młodych.

Wszelkiego rodzaju edukacja i szkolenie trwały przez cały okres życia Morloka i często się zdarzało, że jednostka podążała

drogą trzech lub czterech „karier”, jak moglibyśmy je nazwać, kolejno lub nawet równolegle. Odniosłem wrażenie, że ogólny poziom inteligencji Morloka znacznie przewyższa poziom ludzi z mojego stulecia.

Mimo to Nebogipfel zaskoczył mnie wyborem swoich powołań; do tamtej pory myślałem, że Morlok musi się specjalizować wyłącznie w fizyce, bo taką miał zdolność rozumienia moich, czasami chaotycznych relacji na temat teorii wehikułu czasu oraz rozwoju historii.

– Powiedz mi – odezwałem się lekkim tonem – która z twoich zdolności sprawiła, że zostałeś moim nadzorcą? Znajomość fizyki, czy umiejętność niańczenia?

Wydało mi się, że jego czarne usta, za którymi kryły się małe zęby, rozciągnęły się w uśmiechu.

Potem uderzyła mnie prawda – i poczułem, że zaczyna mnie przygniatać pewne upokorzenie na tę myśl. Jestem wybitną jednostką na tle moich czasów, a jednak trafiłem w ręce kogoś, kto bardziej niż czymkolwiek innym zajmuje się niańczeniem dzieci!

A jednak, uświadomiłem sobie, czym było moje błędzenie, kiedy po raz pierwszy przybyłem do roku 657 208, jeśli nie działaniami dziecka?

Teraz Nebogipfel zaprowadził mnie do narożnika strefy dziecięcej. To szczególne miejsce zakrywała konstrukcja, której wielkość i kształt przypominały małą oranżerię wykonaną z bladego, przeświecającego materiału podłogi – właściwie była to jedna z niewielu części tego miasta-komory, które było zakryte. Nebogipfel zaprowadził mnie do wnętrza. W pomieszczeniu nie było ani mebli, ani aparatury, z wyjątkiem kilku przegród z pobłyskującymi ekranami, które zauważyłem

już gdzie indziej. Na środku podłogi znajdowało się coś, co przypominało małą paczkę – być może z ubraniami – którą wytłoczono ze szkła.

Zauważyłem, że Morlokowie, którzy doglądali tego miejsca, byli poważniejsi od tych, którzy pilnowali dzieci. Na swoje blade włosy mieli zarzucone luźne fartuchy – podobne do kamizelek z wieloma kieszeniami – wypchane narzędziami, których przeznaczenie było dla mnie przeważnie niepojęte. Niektóre narzędzia pobłyskiwały niejasno. Pomyślałem, że ta najnowsza rasa Morloków ma coś w sobie z inżyniera: to był dziwny atrybut w tym morzu niemowlaków; i choć rozpraszała ich moja obecność, inżynierowie obserwowali ten mały pakunek na podłodze i co jakiś czas przesuwali nad nim przyrządy.

To rozbudziło moje zainteresowanie i ruszyłem w kierunku pakunku na środku. Nebogipfel pozostał z tyłu, pozwalając mi iść w pojedynkę. Dziecko miało zaledwie kilka cali długości i nadal tkwiło do połowy w szkle, jak rzeźba wyciosana z jakiegoś skalistego podłoża. Właściwie wyglądało trochę jak posąg: pomyślałem, że tu są zaczątki dwóch ramion, a tam coś, co może przemienić się w twarz – powleczone włosami i rozcięta cienkimi ustami tarcza. Wytłaczanie pakunku wydawało się powolne i zastanawiałem się, jaką trudność sprawia ukrytym urządzeniom wyprodukowanie tego konkretnego tworu. Może był on szczególnie skomplikowany?

A potem – był to moment, który będzie mnie prześladował do końca życia – te usteczka otworzyły się! Usta rozwarły się z delikatnym puknięciem i rozległo się kwilenie – słabsze od piszczenia maleńkiej kotki; i miniaturowa twarzyczka zmarszczyła się, jakby coś ją lekko zaniepokoiło.

Cofnąłem się zszokowany, jakby ktoś mnie uderzył.

Wydawało się, że Nebogipfel przewidział moją reakcję. Powiedział:

– Musisz pamiętać, że przemieściłeś się w czasie o pół miliona lat: odstęp między nami jest równy dziesięciokrotnemu wiekowi twojego gatunku...

– Nebogipfelu, czy rzeczywiście jest prawdą, że wasze młode – że ty sam – jesteście wytłaczani z tej podłogi, produkowani w nie bardziej godny sposób niż filiżanka wody?

Pomyślałem, że Morlokowie faktycznie „opanowali swoje genetyczne dziedzictwo” – gdyż zlikwidowali płęć i odrzucili narodziny.

– Nebogipfelu – zaprotestowałem – to jest... nieludzkie.

Przekrzywił głowę; najwyraźniej to słowo nic dla niego nie znaczyło.

– Nasza polityka ma na celu zoptymalizowanie potencjału ludzkiej formy – my też jesteśmy ludźmi – powiedział poważnym tonem. – Tę formę narzuca kolejność miliona genów i tym samym ilość ewentualnych jednostek ludzkich – mimo że wielka – jest skończona. I wszystkie te jednostki mogą być – zawahał się – wyobrażone przez inteligencję Sfery.

Powiedział mi, że pogrzebami również zajmuje się Sfera, przekazując opuszczone ciała zmarłych do podłogi bez ceremonii czy szacunku, do rozbioru i powtórnego wykorzystania ich materiału.

– Sfera gromadzi materiały wymagane do obdarzenia życiem wybraną jednostkę i...

– Wybraną? – Stałem oko w oko z Morlokiem i gniew oraz gwałtowność, które wypędziłem ze swoich myśli już tak dawno temu, znów zalały moją duszę. – Jakież to rozumne. I cóż jeszcze wyrozumowałeś, Morloku? A co z czułością? Co z miłością?!

Decyzja i odejście

Wyszedłem z tej ponurej chaty rozrodczej i rozejrzałem się po olbrzymim mieście-komorze, gdzie rzędy cierpliwych Morloków wykonywały swoje niezrozumiałe zadania. Miałem ochotę na nich krzyknąć, zdruzgotać ich obrzydliwą doskonałość; wiedziałem jednak, nawet w tej mrocznej chwili, że nie mogę sobie pozwolić, by ich postrzeganie mojego zachowania ponownie przyjęło zły obrót.

Chciałem uciec nawet od Nebogipfela. Uświadomiłem sobie, że okazał mi pewną uprzejmość i względy: większe, niż być może na to zasługiwałem, i prawdopodobnie większe, niż ludzie z moich czasów okazaliby jakiemuś dzikusowi z okresu pół miliona lat przed narodzeniem Chrystusa. Mimo to jednak wyczułem, że Morlok był zafascynowany i rozbawiony moimi reakcjami na proces narodzin. Być może spreparował ten niezwykle pokaz po to, by wywołać u mnie właśnie takie skrajne emocje! Cóż, jeśli Nebogipfel miał taki zamiar, to udało mu się. Teraz jednak moje uczucie upokorzenia i ślepego gniewu tak się spotęgowało, że prawie nie mogłem patrzeć na jego twarz porośniętą ozdobnie ufryzowanymi włosami.

Nie miałem jednak dokąd pójść! Wiedziałem, że czy mi się to podoba, czy nie, Nebogipfel to mój jedyny punkt odniesienia w tym dziwnym świecie Morloków: jedyna żywa istota, której imię znałem, i – o ile orientowałem się w polityce Morloków –

mój jedyny obrońca.

Być może Nebogipfel do pewnego stopnia wyczuł te sprzeczne uczucia, które mną targały. Tak czy owak, nie narzucił mi się ze swoim towarzystwem; zamiast tego odwrócił się i jeszcze raz wytłoczył z podłogi moją chatkę do spania. Wszedłem do środka i usiadłem w najciemniejszym kącie, oplatając się ramionami – skuliłem się jak jakieś leśne zwierzę, które przywieziono do Nowego Jorku!

Przebywałem tam przez kilka godzin – być może spałem. Wreszcie poczułem, że częściowo doszedłem do siebie; trochę zjadłem i zrobiłem pobieżną toaletę.

Myślę, że przed incydem z farmą rozrodczą intrygowało mnie to, co widziałem w świecie Nowych Morloków. Zawsze uważałem się przede wszystkim za racjonalnie myślącego człowieka i fascynowała mnie wizja, w jaki sposób społeczeństwo myślących istot może się urządzić – w jaki sposób można wykorzystać naukę i technikę do zbudowania lepszego świata. Na przykład duże wrażenie wywarła na mnie tolerancja Morloków dla różnych podejść do polityki i kwestii rządzenia. Ale widok tamtej do połowy sformowanej istotki wytrącił mnie całkowicie z równowagi. Być może moja reakcja pokazuje, jak głęboko zakorzenione są podstawowe wartości i instynkty naszego gatunku.

Jeżeli prawdą było, że Nowi Morlokwie opanowali swoje dziedzictwo genetyczne, usunęli skazę starożytnych oceanów, to w tamtej chwili wewnętrznego wzburzenia zazdrościłem im spokoju!

Wiedziałem, że muszę uciec od towarzystwa Morloków – może mnie tolerowano, ale nie było tu dla mnie miejsca tak, jak go nie

ma dla goryla w hotelu w Mayfair – i powziąłem nowe postanowienie.

Wynurzyłem się ze schronienia. Nebogipfel już tam czekał, jakby w ogóle nie oddalił się od chatki. Przesunął ręką po piedestale i schronienie rozplynęło się na powrót w podłódze.

– Nebogipfelu – odezwałem się z ożywieniem – musi być dla ciebie oczywiste, że nie pasuję do tego miejsca tak, jak jakieś zwierzę, które zbiegło z ZOO i włóczy się po mieście.

Nie odpowiedział; jego spojrzenie wydawało się obojętne.

– Jeżeli nie jest waszym zamiarem przetrzymywanie mnie w charakterze więźnia lub okazu w jakimś laboratorium, to nie chcę tu zostać. Proszę o dopuszczenie mnie do mojego wehikułu czasu, abym mógł wrócić do moich czasów.

– Nie jesteś więźniem – zaprzeczył. – To słowo nie ma odpowiednika w naszym języku. Jesteś istotą rozumną i jako taka masz prawa. Jedyne ograniczenia odnośnie twojego zachowania są takie, abyś więcej nie krzywdził innych swoimi działaniami...

– Które to ograniczenia przyjmuję – wtrąciłem sztywno.

– ...i – ciągnął – nie odjechał w swoim wehikule.

– A więc to tyle, jeśli chodzi o moje prawa – warknąłem do niego. – Więc jednak jestem tu więźniem i to więźniem w czasie!

– Choć teoria podróżowania w czasie jest dość jasna, a konstrukcja twojego urządzenia oczywista, nie rozumiemy jeszcze zasad jego działania – odrzekł Morlok.

Pomyślałem, że musi to oznaczać, iż jeszcze nie pojęli wagi plattnerytu.

– Ale – ciągnął Nebogipfel – uważamy, że ta technika mogłaby przynieść wielkie korzyści naszemu gatunkowi.

– Nie wątpię w to!

Wcześniej byłem skłonny współpracować z Nebogipfelem – do

pewnego stopnia – bo próbowałem zapewnić sobie korzystną pozycję. Teraz jednak, gdy tyle się dowiedziałem o Morlokach, zdecydowany byłem przeciwstawić się im. Wyobraziłem sobie, jak ci Morlokowie, wraz ze swoimi czarodziejskimi urządzeniami i zadziwiającą bronią, wracają odpowiednio przystosowanymi wehikułami czasu do Londynu roku 1891.

Morlokowie zapewniliby mojej ludzkości bezpieczeństwo i dobrobyt. Przewidywałem jednak, że nowoczesny człowiek, pozbawiony swojej duszy i, być może, swoich dzieci, nie przeżyłby dłużej niż przez kilka pokoleń!

Zgroza, którą przejęła mnie ta perspektywa, spowodowała gwałtowny przepływ krwi przez moje tętnice szyjne – a jednak nawet w tamtej chwili jakiś odległy, racjonalny zakątek mojego umysłu wskazywał mi pewne trudności związane z tym obrazem. „Słuchaj” – powiedziałem sobie – „gdyby wszyscy nowocześni ludzie zostali zniszczeni w ten sposób – a nowoczesny człowiek jest przecież przodkiem Morloka – to, po pierwsze, Morlokowie nie mogliby nigdy powstać, a tym samym przechwycić mojej maszyny i powrócić przez czas... To paradoks, prawda? Bo nie może być i tak, i tak”. Musicie pamiętać, że nie rozwiązany problem mojego drugiego lotu przez czas – wraz z rozbieżnością historii, której byłem świadkiem – nadal kotłował się w jakiejś odległej części mojego mózgu i w głębi duszy wiedziałem, że moje rozumienie filozofii kryjącej się za tym podróżowaniem w czasie jest nadal, w najlepszym razie, ograniczone.

Ale odsunąłem od siebie te wszystkie myśli, kiedy stałem oko w oko z Nebogipfelem.

– Nigdy. Przenigdy nie pomogę wam nauczyć się podróżować w czasie.

Nebogipfel zmierzył mnie wzrokiem.

– A zatem, w granicach, które ci wyznaczyłem, możesz swobodnie podróżować do wszystkich miejsc w naszych światach.

– W takim razie proszę, abys mnie zabrał do miejsca – obojętne, gdzie może się ono znajdować w tym sztucznie przerobionym Układzie Słonecznym – gdzie nadal żyją tacy ludzie jak ja.

Myślę, że rzuciłem mu to wyzwanie spodziewając się, iż zaprzeczy, jakoby to było możliwe. Ale, ku mojemu zdziwieniu, Nebogipfel ruszył w moim kierunku.

– Niezupełnie są tacy jak ty – odrzekł. – Ale mimo to... chodź.

I po tych słowach ruszył ponownie przez tamtą olbrzymią, zaludnioną równinę. Pomyślałem sobie, że jego ostatnie słowa były bardziej okrutne niż złowieszcze, ale nie potrafiłem zrozumieć, co miał na myśli – tak czy inaczej nie miałem innego wyboru, jak tylko za nim podążać.

Dotarliśmy do pustego obszaru o szerokości mniej więcej ćwierć mili. Już dawno temu przestałem się orientować w tym olbrzymim mieście-komorze. Nebogipfel założył gogle, ja nadal miałem na nosie swoje.

Nagle – bez ostrzeżenia – promień światła trysnął z dachu i przebił nas jak szpikulec. Podniosłem głowę i spojrzałem w ciepłe, żółte światło, dostrzegając drobinki kurzu, które opadały kaskadą w powietrzu; przez chwilę myślałem, że zaprowadzono mnie z powrotem do mojej świetlnej klatki.

Czekaliśmy przez kilka sekund – nie zauważyłem, czy Nebogipfel wydał jakieś rozkazy niewidocznym maszynom, które sprawowały nadzór nad tym miejscem – ale potem podłoga pod

moimi stopami gwałtownie drgnęła. Potknąłem się, gdyż przypominało to niewielkie trzęsienie ziemi i było zupełnie niespodziewane, ale szybko odzyskałem równowagę.

– Co to było?

Nebogipfel pozostawał niewzruszony.

– Może powinienem był cię ostrzec. Zaczęliśmy się wznosić.

– Wznosić?

Zobaczyłem teraz, że szeroka na mniej więcej ćwierć mili tarcza ze szkła uniosła się z podłogi i dźwigała Nebogipfela oraz mnie w górę. To było tak, jakbym stał na szczycie jakiegoś olbrzymiego filara, który wystrzelił z podłoża w górę. Już wznieśliśmy się na wysokość około dziesięciu stóp i nasze tempo wydawało się wzrastać; poczułem powiew wietrzyku na czole.

Poszedłem kawałek w kierunku skraju tarczy i obserwowałem, jak pode mną roztacza się olbrzymia, urozmaicona równina Morloków. Jak okiem sięgnąć, komora rozciągała się we wszystkich kierunkach, idealnie płaska, równomiernie zaludniona. Podłoga wyglądała jak jakaś skomplikowana mapa, przedstawiająca być może konstelacje, wymalowana srebrnymi nitkami na tle czarnego atlasu – i zakrywająca prawdziwą panoramę gwiazdną pod spodem. Kilka srebrzystych twarzy zwróciło się w naszym kierunku, kiedy podążaliśmy w górę, ale większość Morloków wydawała się całkiem obojętna.

– Nebogipfelu, dokąd jedziemy?

– Do Wnętrza – odparł spokojnie.

Uświadomiłem sobie, że światło uległo zmianie. Wydawało się znacznie jaśniejsze i bardziej rozproszone – już nie było ograniczone do jednego promienia, który można by widzieć na

dnie studni.

Wyciągnąłem szyję. Tarcza światła nade mną poszerzała się przez cały czas, kiedy patrzyłem, i tym samym mogłem teraz dostrzec pierścień nieba wokół środkowej tarczy Słońca. To niebo było błękitne i pocętkowane wysoko stojącymi, pierzastymi chmurami, ale odznaczało się dziwną strukturą, kolorową plamistością, którą z początku przypisywałem moim goglom.

Nebogipfel odwrócił się ode mnie. Tupnął nogą w podstawę naszej platformy i wytłoczony został pewien przedmiot. Na początku nie potrafiłem go rozpoznać – był to płytki półmisek, z którego środka wystawał kij. Dopiero gdy Nebogipfel go podniósł i ustawił nad głową, rozpoznałem, co to jest: zwykły parasol do osłonięcia jego bladego ciała przed słońcem.

Tak przygotowani, wznieśliśmy się w światło – snop poszerzył się – i moja dziewiętnastowieczna głowa znalazła się na trawiastej równinie!

We wnętrzu

– Witamy we Wnętrzu – oznajmił Nebogipfel, który wyglądał komicznie ze swoim parasolem.

Nasz szeroki na ćwierć mili filar ze szkła pokonał ostatnie jardy drogi bezdźwięcznie. Czułem się, jakbym się unosił niczym jakiś pomocnik iluzjonisty na scenie. Zdjąłem gogle i osłoniłem oczy rękami.

Platforma zatrzymała się i jej krawędź zlała się z łąką porośniętą krótką, szczeciniastą trawą, która była tak gładka, jak gdyby stanowiła wylany betonowy fundament. Mój cień wyglądał jak wyraźna, ciemna plama, wyrastająca bezpośrednio przede mną. Było tu oczywiście południe; codziennie i przez cały dzień w całym Wnętrzu było południe! Oślepiające słońce padało na moją głowę i kark – podejrzewałem, że wkrótce nabawię się poparzeń – ale w tym momencie przyjemny dotyk tego „pojmanego” światła słonecznego wart był poświęcenia.

Obróciłem się, przyglądając się krajobrazowi.

Trawa – niczym nie wyróżniająca się jej połąć – rosła wszędzie, do samego horyzontu, tylko że na tym spłaszczonym świecie nie było żadnego horyzontu. Spojrzałem do góry, spodziewając się, że zobaczę, jak świat ulega naturalnemu skrzywieniu: w końcu nie byłem już przyklejony do zewnętrznej powierzchni takiej skalistej kulki jak Ziemia, lecz stałem we wnętrzu olbrzymiej, wydrążonej skorupy. Nie było jednak

takiego efektu optycznego; zobaczyłem jedynie dalsze połacie trawy i być może kilka kęp drzew lub krzewów w oddali. Niebo stanowiło błękitną płaszczyznę usianą wysoko zawieszonymi, jasnymi chmurami, które stapiały się z lądem na płaskim szwie mgiełki i kurzu.

– Czuję się, jakbym stał na jakimś olbrzymim blacie stołu – powiedziałem do Nebogipfela. – Myślałem, że będzie to przypominać ogromny krajobraz w kształcie półmiska. Cóż to za paradoks, że nie potrafię stwierdzić, czy jestem wewnątrz jakiejś ogromnej Sfery, czy na zewnętrznej powierzchni gigantycznej planety!

– Istnieją sposoby, by to stwierdzić – odparł Nebogipfel spod swojego parasola. – Spójrz do góry.

Odchyliłem głowę do tyłu. Z początku widziałem tylko niebo i słońce – mogło to być jakiegokolwiek niebo Ziemi. Potem stopniowo zacząłem dostrzegać coś poza chmurami. Była to ta plamistość nieba, którą zaobserwowałem, kiedy się wznosiliśmy, lecz nieoczekiwany efekt przypisałem wadzie gogli. Plamy przypominały akwarelowe malowidła w oddali, w niebieskim, szarym i zielonym kolorze, lecz z podkreślonymi szczegółami, tak iż największe łaty wydawały się pomniejszone na tle najmniejszych skrawków chmur. Przypominało to mapę lub kilka map nałożonych na siebie i oglądanych z dużej odległości.

I to właśnie ta analogia doprowadziła mnie do prawdy.

– To druga strona Sfery, poza Słońcem... Przypuszczam, że kolory, które widzę, to oceany, kontynenty i łańcuchy górskie, a być może nawet miasta!

To był nadzwyczajny widok – jak gdyby skaliste powłoki tysięcy rozłożonych Ziemi rozwieszono niczym futerka wielu królików. Ogrom Sfery sprawiał, że nie widać było krzywizny.

Czułem się raczej, jakby wciśnięto mnie między dwie warstwy, między tę spłaszczoną trawiastą prerię i wieko w postaci utkanego nieba, ze Słońcem zawieszonym pośrodku niczym latarnia i z otchłanią kosmosu w odległości zaledwie kilku mil pod moimi stopami!

– Pamiętaj, że kiedy patrzysz na drugą stronę Wnętrza, sięgasz wzrokiem poza orbitę Wenus – ostrzegł mnie Nebogipfel. – Z takiej odległości sama Ziemia zmniejsza się do wielkości zwykłego punktu światła. Wiele tutejszych elementów topograficznych zbudowano na znacznie większą skalę od samej Ziemi.

– Muszą tu być oceany, które mogłyby połączyć Ziemię! – rozważałem na głos. – Przypuszczam, że siły geologiczne w takiej strukturze są...

– Nie ma tu żadnej geologii – wtrącił Nebogipfel. – Wnętrze i jego krajobrazy to twór sztuczny. Wszystko, co tu widzisz, zaprojektowano w zasadzie tak, aby miało obecną postać – i z pełną świadomością utrzymywane jest w takiej formie. – Wydawało się, że popadł w niezwykle refleksyjny nastrój. – Wiele rzeczy w tej historii różni się od tamtych, które opisałeś. Ale niektóre rzeczy pozostają niezmiennie: to jest świat, na którym bez przerwy panuje dzień – w przeciwieństwie do mojego świata, gdzie króluje noc. Rzeczywiście rozdzieliliśmy się na dwa skrajnie różne gatunki, światła i ciemności, tak jak w tamtej alternatywnej Historii.

Nebogipfel zaprowadził mnie teraz do krawędzi naszej szklanej tarczy. Pozostał na platformie, z parasolem przekrzywionym nad głową; ja jednak ruszyłem śmiało na otaczającą nas trawę. Ziemia pod moimi stopami była twarda, ale po wielu dniach stąpania po miękkiej, giętkiej podłodze,

z przyjemnością poczułem dotyk odmiennej powierzchni. Choć krótka, trawa była ostra i szczeciniasta, z gatunku powszechnie spotykanych w pobliżu wybrzeży morskich; kiedy się pochyliłem i wbiłem palce w podłoże, stwierdziłem, że gleba jest dość piaszczysta i sucha. W jednym z małych wyżłobień wyrytych przez moje palce pojawił się mały chrząszcz, który pospiesznie zniknął z widoku, zakopując się głębiej w piasku.

Nad trawą rozległ się szmer wiatru. Zauważyłem, że nie ma ptasiego śpiewu; nie usłyszałem również odgłosów żadnego innego zwierzęcia.

– Gleba nie jest zbyt żyzna – zawołałem do Nebogipfela.

– Tak – potwierdził. – Ale – użył niewyraźnego słowa, którego nie potrafiłem rozpoznać – dochodzi powoli do siebie.

– Co powiedziałaś?

– Chodzi mi o złożony system roślin, owadów i zwierząt, które razem funkcjonują we wzajemnej zależności. Minęło dopiero czterdzieści tysięcy lat od wojny.

– Jakiej wojny?

Nebogipfel tylko wzruszył ramionami – jego ramiona wzdrygnęły się, powodując, że włosy na jego ciele zaszeleściły – w geście, który mógł skopiować jedynie ode mnie!

– Kto wie? Jej powody poszły w niepamięć, a kombatanci – narody i ich dzieci – nie żyją.

– Powiedziałaś mi przecież, że nie ma tu wojen – oskarżyłem go.

– Nie ma wśród Morloków – odrzekł. – Ale we Wnętrzu... Ta spowodowała wiele zniszczeń. Zrzucano wielkie bomby. Tutejsza Ziemia została zniszczona, a całe życie unicestwione.

– Z pewnością jednak rośliny, mniejsze zwierzęta...

– Wszystko. Nie rozumiesz. Wszystko na przestrzeni miliona

mil kwadratowych umarło, z wyjątkiem trawy i owadów. I dopiero od niedawna jest na tym lądzie bezpiecznie.

– Nebogipfelu, jacy tu żyją ludzie? Czy są podobni do mnie?

Przerwał na chwilę.

– Niektórzy przypominają twoją archaiczną postać. Są jednak nawet starsze formy – wiem o pewnej kolonii zrekonstruowanych neandertalczyków, którzy ponownie wynaleźli religie tamtego wymarłego ludu... I są też tacy, którzy rozwinęli się bardziej od ciebie: którzy różnią się od ciebie tak jak ja, choć pod innymi względami. Sfera jest naprawdę duża. Jeśli chcesz, zabiorę cię do kolonii tych, którzy są podobni do twojego gatunku...

– Och, nie jestem pewien, czego chcę! – odparłem. – Myślę, że przytłacza mnie to miejsce, ten świat światów, Nebogipfelu. Chcę zobaczyć go w całości, zanim zdecyduję, gdzie spędzę moje życie. Czy możesz to zrozumieć?

Nie rozważał mojej propozycji; wydawało się, że bardzo chce się wydostać ze światła słonecznego.

– No dobrze. Kiedy będziesz chciał się ze mną ponownie zobaczyć, wróć na platformę i zawołaj moje imię.

W ten sposób zaczął się mój samotny pobyt we Wnętrzu Sfery.

W tym świecie wiecznego południa nie było cyklu dnia i nocy, według którego można by liczyć upływ czasu. Miałem jednak swój zegarek kieszonkowy: pokazywany przez niego czas oczywiście nic nie znaczył wskutek moich przemieszczeń w czasie i przestrzeni, ale służył do wyznaczania dób.

Nebogipfel wytłoczył z platformy schronienie – prostą, kwadratową chatkę z małym oknem i rozszerzającym się drzwiami, które już wcześniej opisałem. Pozostawił mi tacę

z wodą i jedzeniem i pokazał mi, jak mogę uzyskać więcej: wystarczyło wepchnąć tacę z powrotem w powierzchnię platformy – było to dziwne uczucie – i po kilku sekundach wysuwała się nowa, w pełni zaopatrzona taca. Ten nienaturalny proces przyprawiał mnie o mdłości, ale nie miałem innego źródła jedzenia i przezwyciężyłem skrupuły. Nebogipfel zademonstrował również, jak wepchnąć przedmioty w platformę, by je oczyścić, tak jak czyścił nawet własne palce. Skorzystałem z tego, by wyczyścić ubranie i buty, i choć spodnie wróciły bez jednej zmarszczki, nie mogłem się przemóc, by wsunąć w ten sposób część własnego ciała. Myśl o wepchnięciu ręki lub nogi – lub jeszcze gorzej, twarzy – w tę miękką powierzchnię przekraczała moje możliwości i nadal myłem się w wodzie.

Nawiasem mówiąc, nadal nie miałem sprzętu do golenia, moja broda była więc długa i bujna, stanowiła przygnębiającą, zwartą masę szarych jak żelazo włosów.

Nebogipfel pokazał mi, jak mogę poszerzyć zakres stosowania gogli. Dotykając ich powierzchni w pewien sposób, mogłem sprawić, by powiększały obrazy odległych przedmiotów, przybliżając i wyostrając je tak, jakbym je oglądał z bliska. Natychmiast założyłem gogle i zogniskowałem je na odległym cieniu, który uważałem za kępę drzew; okazał się on jednak zwykłym skupiskiem skał, które wyglądały na mocno skruszałe lub stopione.

Przez kilka pierwszych dni wystarczyło mi po prostu tam być, na tamtej zmaltretowanej łące. Zacząłem regularnie chodzić na długie spacery; zdejmowałem buty, ciesząc się dotykiem trawy i piasku pieszczących mnie między palcami stóp, i często rozbierałem się do majtek w gorącym świetle słonecznym.

Wkrótce zbrązowiałem jak jagoda i choć czubek mojego łysiejącego czoła uległ poparzeniu, to było jak kuracja w Bognorze!

Wieczorami wycofywałem się do mojej chatki. Po zamknięciu drzwi było tam dość przytulnie i spałem dobrze: marynarka służyła mi za poduszkę, a ciepła, miękka platforma pode mną spełniała rolę pośłania.

Większość czasu spędzałem na penetrowaniu Wnętrza za pomocą moich powiększających gogli. Siadywałem na obrzeżu platformy lub kładłem się na skrawku miękkiej trawy, z głową wspartą na zrolowanej marynarce, i rozglądałem się po mocno zróżnicowanym krajobrazie nieba.

Część nieba, która znajdowała się naprzeciw mnie, za Słońcem, musiała leżeć na równiku Sfery; spodziewałem się więc, że ten rejon będzie najbardziej podobny do Ziemi – gdzie grawitacja była najsilniejsza, a powietrze sprężone. Ten środkowy pas był względnie wąski – liczył nie więcej niż jakieś dziesiątki milionów mil szerokości. (Mówię dość niefrasobliwie „nie więcej”, ale oczywiście wiedziałem, że Ziemia byłaby znikomą cząstką, zwykłym pyłkiem na tym ogromnym tle!) Za tym środkowym pasem powierzchnia wydawała się monotonicznie szara, trudna do rozróżnienia przez filtr błękitnego nieba i widziałem jedynie niewiele szczegółów. W jednym z tych rejonów na dużej szerokości geograficznej znajdowała się srebrno-biała plama pocętkowana szarymi kształtami morskimi, która przypominała mi nieco Księżyc; w innym była to łąka w żywym pomarańczowym kolorze – o dość dokładnym kształcie eliptycznym – której natury w ogóle nie potrafiłem pojąć. Przypomniałem sobie szczupłych Morloków, którzy przyszli z zewnętrznych rejonów o niskiej grawitacji, położonych z dala

od równika, i zastanawiałem się, czy w tych odległych światach o niskiej grawitacji na mapie wyższych szerokości geograficznych Wnętrza nie żyją być może zdeformowani ludzie.

Kiedy przyjrzałem się temu wewnętrznemu, podobnemu do Ziemi, środkowemu pasowi, to nawet on wydawał się słabo zaludniony; dostrzegłem lśniące w nieustannym świetle słonecznym olbrzymie oceany i pustynie, które mogłyby wchłonąć światy. Te nieużytki lądowe i wodne oddzielały wyspiarskie światy: regiony urozmaicone i niewiele większe od Ziemi, gdyby ją rozłożyć na tamtej powierzchni.

W jednym miejscu zobaczyłem świat trawy i lasów, z miastami pełnymi pobłyskujących budynków wznoszących się ponad drzewami. Gdzie indziej rozpoznałem świat skuty lodem, którego mieszkańcy musieli radzić sobie z przetrwaniem jak moi przodkowie w epokach lodowych w Europie. Zastanowiłem się, czy być może nie schłodzono go poprzez umieszczenie na jakiejś olbrzymiej platformie, która miała go wynieść poza atmosferę. Na niektórych z tych światów dostrzegłem piętno przemysłu: złożoną strukturę miast, przypominający mgłę dym fabryk, nitkowate mosty przerzucone nad zatokami, piórkowate kilwatery statków na otoczonych lądem morzach i czasami smugi dymu rozchodzące się w górnych partiach atmosfery, które według moich wyobrażeń musiały być wytwarzane przez jakieś latające pojazdy.

Tak wiele rzeczy wydawało się dość znajomych, a równocześnie niektóre światy całkowicie przekraczały moją zdolność pojmowania.

Dostrzegłem miasta, które po prostu unosiły się w powietrzu, ponad własnymi cieniami, olbrzymie budynki – chiński mur musiał wydawać się przy nich karzełkiem – które rozciągały się

na przestrzeni sztucznie stworzonych krajobrazów... Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jacy ludzie muszą żyć w takich miejscach.

W niektóre dni budziłem się we względnej ciemności. Wielka powłoka chmur opadała na ląd i niebawem zaczynał padać ulewny deszcz. Przyszło mi do głowy, że pogoda w tym Wnętrzu musiała zostać wyregulowana – tak jak bez wątpienia wszystkie inne czynniki środowiskowe – gdyż bez trudu mogłem sobie wyobrazić olbrzymie wyładowania cykloniczne, które mogły się wyzwać wskutek szybkiego wirowania tego ogromnego świata. Trochę spacerowałem podczas tej pogody, rozkoszując się wonią świeżej wody. W takie dni, kiedy intrygującą, drugą stronę Wnętrza i jej wątpiwy horyzont skrywały deszcz oraz chmury, to miejsce znacznie bardziej przypominało Ziemię.

Po długich oględzinach za pośrednictwem teleskopowych gogli stwierdziłem, że trawiasta równina wokół mnie jest rzeczywiście tak monotonna jak wtedy, gdy spojrzałem na nią po raz pierwszy. Pewnego dnia – było jasno i gorąco – postanowiłem spróbować dotrzeć do wspomnianego już zgrupowania skał, które stanowiło jedyne urozmaicenie zamglonego horyzontu, nawet w najbardziej pogodny dzień. Zapakowałem trochę jedzenia i wody do torby, którą zrobiłem na oczekaniu z mojej wytrzymałej marynarki, i ruszyłem w drogę; doszedłem tak daleko, jak tylko zdołałem, nim zmogło mnie zmęczenie, a potem położyłem się, żeby spróbować się przespać. Nie mogłem jednak znaleźć sobie wygodnej pozycji w słońcu i po kilku godzinach zrezygnowałem ze snu. Poszedłem kawałek dalej, ale zgrupowanie skał wcale się nie przybliżało i zacząłem się bać, ponieważ byłem tak daleko od platformy. A co, jeżeli się zmęcę

lub przytrafi mi się coś złego? Nigdy nie zdołam zawołać Nebogipfela i utracę szansę powrotu do własnych czasów: prawdę mówiąc, umrę w trawie jak jakaś zraniona gazela. I to z powodu spaceru do nieznanych skał!

Czując się idiotycznie, zawróciłem do mojej platformy.

Kilka dni po tym wydarzeniu obudziłem się, wynurzyłem się z chatki i uświadomiłem sobie, że światło jest trochę jaśniejsze niż zwykle. Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że dodatkowe oświetlenie pochodzi od ostro świecącego punktu w odległości kilku radianów od nieruchomego Słońca. Porwałem gogle i przyjrzałem się nowej gwiazdzie.

Była to płonąca wyspa-świat. Kiedy ją obserwowałem, wielkie eksplozje druzgotały jej powierzchnię, wysyłając w górę chmury, które rozkwitały jak urocze, martwe kwiaty. Pomyślałem, że wyspa-świat musi już być pozbawiona życia, gdyż nic nie mogło przeżyć pożaru, którego byłem świadkiem, lecz eksplozje nadal mnożyły się na jej powierzchni. A wszystko to odbywało się w dziwnej ciszy!

Wyspa-świat płonęła przez kilka godzin jaśniej od Słońca i wiedziałem, że obserwuję wielką tragedię, której sprawcą jest człowiek lub jego potomkowie.

Wszędzie na moim skalistym niebie – teraz zacząłem tego intensywnie szukać – dostrzegałem piętno wojny.

Znalazłem świat, w którym wielkie obszary lądowe wydawały się pogrążone w stanie wycieńczającej i niszczycielskiej wojny: zobaczyłem brązowe ścieżki rozrytego krajobrazu, ogromne transzeje, szerokie na setki mil, w których – jak sobie wyobrażałem – ludzie walczyli i umierali rok po roku. Gdzie

indziej było płonące miasto, nad którym biegły łukowate smugi białych oparów i zastanawiałem się, czy użyto tam jakiejś broni powietrznej. Odkryłem też świat potwornie spustoszony przez wojnę, kontynenty były poczerńnięte i wyjałowione, z konturami miast ledwie widocznymi przez przetaczające się kłęby czarnych chmur.

Zastanawiałem się, jak wiele tych nieszczęść nawiedziło Ziemię po moim wyjeździe!

Po kilku dniach zacząłem regularnie zdejmować gogle na dłuższe okresy czasu. Zacząłem odczuwać, że ten podniebny dach, zabarwiony wszędzie kolorami wojny, jest nieznośnie przygnębiający.

Niektórzy ludzie z moich czasów wysuwali argumenty za wojną – przypuszczam, że powitaliby ją radością jako, na przykład, rozluźnienie napięcia między wielkimi mocarstwami. Ludzie uważali wojnę – zawsze następną – za wielką czystkę, za ostatnią wojnę, którą trzeba przeprowadzić. Ale widziałem teraz, że tak nie jest: ludzie prowadzili wojny z powodu wciąż tkwiącego w nich dzikusa, a wszelkie usprawiedliwienia były zwykłym racjonalistycznym wytłumaczeniem, podsuwanym nam przez nasze nadmiernie rozrośnięte mózgi.

Wyobraziłem sobie, jak by to było, gdyby gdzieś tu umieszczono Wielką Brytanię i Niemcy w postaci dwóch kolejnych kolorowych plam na tle tego skalistego nieba. Pomyślałem o tych dwóch narodach, które z mojej szerokiej perspektywy wydawały mi się teraz pogrążone w stanie bezsensownego chaosu gospodarczego i moralnego. I powątpiewałem, czy w 1891 roku w którymkolwiek z tych krajów żył człowiek, który wówczas potrafiłby mi wskazać zalety wojny, bez względu na jej wynik! I jak absurdalny oraz

bezcelowy wydawałby się taki konflikt, gdyby Brytanię i Niemcy rzeczywiście umieszczono we Wnętrzu tej monstrualnej Sferze.

Miliony niezastąpionych ludzi w całej Sferze ginęły w konfliktach – dla mnie tak odległych i nic nie znaczących jak malowidła na suficie katedry – i można by pomyśleć, że ludzie, którzy żyją w Sferze – i widzą tysiąc wyspiarskich światów podobnych do własnego – zrezygnują ze swoich czczych ambicji i dostrzegą to, co ja teraz rozumiałem. Wydawało mi się jednak, że tak nie jest; nadal dominowały pierwotne instynkty ludzkie, nawet w roku Pańskim 657 208. Tutaj, w Sferze, nawet codzienna lekcja w formie tysiąca, miliona wojen, toczących się na całym żelaznym niebie, najwidoczniej nie była wystarczająca, by ludzie zdali sobie sprawę z daremności i okrucieństwa tego wszystkiego!

Stwierdziłem, że na zasadzie kontrastu moje myśli kierują się w stronę Nebogipfela i jego ludu oraz ich racjonalnie myślącego społeczeństwa. Nie będę udawał, że nie poczułem pewnej odrazy na myśl o Morlokach i ich nienaturalnych praktykach, ale teraz rozumiałem, że wynikało to z moich prymitywnych uprzedzeń i niefortunnych doświadczeń w świecie Weeny, które nie mogły stanowić podstawy do oceny Nebogipfela.

Mając czas na kontemplację, zdołałem się domyślić, jak mogło dojść do zatarcia różnic płciowych u Morloków. Rozważyłem, jak to jest u ludzi z lojalnością wobec bliźnich. Przede wszystkim człowiek musi walczyć o siebie i swoje dzieci. Potem walczy o rodzeństwo – chociaż chyba jednak mniej zaciekle, ponieważ wspólny spadek musi być podzielony. W następnej kolejności są dzieci rodzeństwa oraz dalsi krewni, o których walka byłaby coraz słabsza.

Tym samym działania i lojalność ludzi można przewidzieć

z przygnębiającą dokładnością, gdyż tylko przy takiej hierarchii wierności – w nękanym niedostatkiem i niestabilnym świecie – można ocalić spadek dla przyszłych pokoleń.

Ale spadek Morloków był już zabezpieczony i to nie przez dzieci lub rodzinę, lecz wielkie, wspólne źródło, którym była Sfera. Tak więc odróżnianie i specjalizacja płci stały się nieważne, a nawet szkodliwe dla uporządkowanego postępu.

To ironia, pomyślałem, że taką właśnie diagnozę – o zanikaniu płci w świecie, który jest stabilny, dostatni i spokojny – postawiłem w odniesieniu do przepięknych i zdemoralizowanych Elojów, a teraz przekonałem się tutaj, że – w tej wersji wydarzeń – to ich szkaradni kuzyni, Morlokwie, osiągnęli ten odległy cel!

Przetrawiłem te wszystkie myśli w umyśle i powoli – trwało to kilka dni – dojrzała we mnie decyzja co do mojej przyszłości.

Nie mogłem pozostać we Wnętrzu; po tym, jak pod wpływem Nebogipfela otwarła się przede mną boska perspektywa, nie mogłem poświęcać życia i energii na żaden z bezsensownych konfliktów, które nękały te olbrzymie równiny niczym przemieszczające się pożary. Nie mogłem też pozostać z Nebogipfelem i jego Morlokami, gdyż nie jestem Morlokiem i gdybym miał żyć tak jak Nebogipfel, moje podstawowe ludzkie potrzeby uczyniłyby to życie nie do zniesienia.

Ponadto – jak już powiedziałem – nie mógłbym żyć, wiedząc, że nadal istnieje mój wehikuł czasu, machina zdolna do zniszczenia historii!

Zacząłem układać plan, który miał to wszystko rozwiązać, i wezwałem Nebogipfela.

– Po skonstruowaniu Sfery – powiedział Nebogipfel – doszło do rozłamu. Ci, którzy pragnęli żyć tak, jak ludzie żyli zawsze,

wyemigrowali do Wnętrza. A ci, którzy chcieli odrzucić odwieczną dominację genów...

– ...stali się Morlokami. I tym samym wojny – bezsensowne i nieustanne – przetaczają się jak fale po tej nieograniczonej powierzchni Wnętrza.

– Tak.

– Nebogipfelu, czy celem Sfery jest utrzymywanie przy życiu tych pseudoludzi, tych nowych Elojów, aby dać im teren do prowadzenia wojen, nie niszcząc równocześnie ludzkości?

– Nie. – Uniósł parasol w dostojny sposób, który już nie wydawał mi się komiczny. – Oczywiście, że nie. Sfera jest przeznaczona dla Morloków, jak nas nazywasz: ma nam udostępniać energię gwiazdy w celu nabywania wiedzy. – Zamrugał swoimi olbrzymimi oczami. – Gdyż jaki cel mogą mieć inteligentne istoty, jeśli nie zbieranie i magazynowanie wszystkich dostępnych informacji?

Powiedział, że pamięć Sfery jest jak ogromna biblioteka, w której zmagazynowana jest mądrość rasy, zgromadzona na przestrzeni pół miliona lat; wiele zaobserwowanych przeze mnie cierpliwych wysiłków Morloków poświęconych było dalszemu zbieraniu informacji lub klasyfikowaniu i reinterpretowaniu zgromadzonych już danych.

Ci Nowi Morlokwie byli rasą uczonych! Całą energię Słońca poświęcono rozwojowi – cierpliwemu, przypominającemu rozmnażanie się koralu – wielkiej Biblioteki!

Potarłem się po brodzie.

– Rozumiem. Przynajmniej motyw. Przypuszczam, że nie odbiega on tak bardzo od pobudek, które zdominowały moje życie. Czy nie obawiasz się jednak, że pewnego dnia wasze poszukiwania dobiegną końca? Co zrobicie, kiedy, przykładowo,

matematyka zostanie doprowadzona do perfekcji i przedstawiona zostanie ostateczna teoria na temat fizycznego kształtu wszechświata?

Pokręcił głową – kolejny gest, którego Nebogipfel nauczył się ode mnie.

– To niemożliwe. Pierwszą osobą, która to wykazała, jest człowiek z twoich czasów: Kurt Gödel.

– Kto taki?

– Kurt Gödel, matematyk, który urodził się jakieś dziesięć lat przed twoją wyprawą w czas...

Ten Gödel – dowiedziałem się z zaskoczeniem, kiedy Nebogipfel ponownie wykazał się głęboką znajomością moich czasów – wykaże w latach trzydziestych dwudziestego wieku, że matematyki nie można nigdy doprowadzić do końca; zamiast tego jej systemy logiczne muszą być zawsze wzbogacane poprzez udowadnianie prawdy lub fałszywości nowych aksjomatów.

– Myślenie o tym przyprawia mnie o ból głowy! Mogę sobie wyobrazić, jak potraktowano tego biednego Gödela, kiedy ogłosił tę wiadomość światu. Ba, mój stary nauczyciel algebry wyrzuciłby go z sali.

– Gödel wykazał – powiedział Nebogipfel – że nasze dążenia do zdobycia wiedzy i zrozumienia nigdy nie ustaną, bo nie istnieje coś takiego jak kres poznania.

Zrozumiałem go.

– Dał wam nieskończony cel.

Uświadomiłem sobie teraz, że Morlokowie przypominają świat mnichów, którzy niestrudzenie usiłują zrozumieć działanie mechanizmów naszego wielkiego wszechświata.

Wreszcie – u Końca Czasu – ta wielka Sfera, ze swoim maszynowym Umysłem i Morlokami – jego cierpliwymi sługami,

stanie się czymś w rodzaju Boga, ogarniającego swym zasięgiem Słońce i nieskończoną wiedzę.

Zgodziłem się z Nebogipfelem, że nie może być wyższego celu dla inteligentnego gatunku!

Przećwiczyłem sobie w myśli następne słowa i wypowiedziałem je ostrożnie.

– Nebogipfelu, chcę wrócić na Ziemię. Pomogę wam przy moim wehikule czasu.

Spuścił głowę.

– Cieszę się. To niezmiernie pomoże nam w jego zrozumieniu.

Omówiliśmy dokładniej moją propozycję, ale nie musiałem go dalej przekonywać, gdyż Nebogipfel wydawał się nic nie podejrzewać i nie wypytywał mnie.

Przygotowałem się pospiesznie do opuszczenia tej bezsensownej prerii. Kiedy to robiłem, nie zdradzałem swoich myśli.

Wiedziałem, że Nebogipfel – pomimo swojego zapału, by poznać technikę podróżowania w czasie – zaakceptuje moją propozycję. I w świetle mojego zrozumienia godności Nowych Morloków poczułem pewien ból, że muszę go okłamać!

Rzeczywiście, chciałem wrócić na Ziemię z Nebogipfelem, nie miałem jednak zamiaru tam pozostawać, ponieważ z chwilą, gdy dopadnę mojej maszyny, zamierzałem nią uciec w przeszłość.

Przekroczenie przestrzeni międzyplanetarnej

Zmuszony byłem czekać przez trzy dni, nim Nebogipfel oznajmił, że jest gotowy do wyjazdu; powiedział, że to kwestia odczekania, aż Ziemia i nasza część Sfery ustawią się względem siebie w odpowiedniej pozycji.

Skierowałem myśli ku czekającej mnie podróży z niepokojem – ale nie obawą, bo przecież już przeżyłem jedną taką przeprawę przez przestrzeń międzyplanetarną, choć byłem wtedy nieprzytomny – a równocześnie z narastającym zainteresowaniem. Snułem domysły na temat napędu kosmicznego jachtu Nebogipfela. Pomyślałem o tym, jak Verne kazał swoim lubiącym dyskutować kanonierom z Baltimore wystrzelić z tamtej absurdalnej armaty kulę wypełnioną ludźmi, która miała przelecieć z Ziemi na Księżyc. Wystarczyło jednak kilka obliczeń w myśli, by wykazać, że przyspieszenie potrzebne do wystrzelenia pocisku z prędkością pozwalającą mu umknąć grawitacji ziemskiej byłoby zarazem tak duże, iż moje biedne ciało i ciało Nebogipfela zostałyby rozbryzgane wewnątrz metalowej skorupy jak dżem truskawkowy.

A więc jak?

Powszechnie wiadomo, że przestrzeń międzyplanetarna jest pozbawiona powietrza; nie moglibyśmy zatem polecieć na Ziemię jak ptaki, gdyż one poruszają się na zasadzie prucia powietrza skrzydłami. Bez powietrza nie mogło być prucia! Rozważałem możliwość, że być może mój jacht kosmiczny napędzany będzie przez jakiś nowoczesny silnik raketowy, gdyż rakietą, która leci dzięki wyrzucaniu za siebie olbrzymich ilości spalanego paliwa, mogłaby funkcjonować w próżni kosmicznej, gdyby umieszczono w niej tlen do podtrzymywania procesu spalania...

Były to jednak proste teorie, które wynikały z mojego dziewiętnastowiecznego rozumowania. Skąd mogłem wiedzieć, co będzie możliwe w roku Pańskim 657 208? Wyobraziłem sobie jachty halsujące w strefie grawitacji słonecznej, jakby poruszały się pod wpływem jakiegoś niewyczuwalnego wiatru, lub, pomyślałem, można będzie w jakiś sposób manipulować polem magnetycznym lub innymi polami.

Konstruowałem tak w myślach kolejne teorie, aż przyszedł Nebogipfel, by po raz ostatni zabrać mnie z Wnętrza.

Kiedy opadaliśmy w ciemność Morloków, stałem z odchyloną do tyłu głową i patrzyłem na oddalające się światło słoneczne, i – tuż przed założeniem gogli – obiecałem sobie, że następnym razem, kiedy poczuję na twarzy ciepło gwiazdy ludzkości, będzie to już w moim stuleciu!

Spodziewałem się, że zostanę przetransportowany do jakiegoś morlokowego odpowiednika portu, gdzie wielkie, hebanowe jachty kosmiczne będą przycumowane do Sfery jak liniowce przy nabrzeżu.

Cóż, niczego podobnego tam nie było; zamiast tego Nebogipfel

zaprowadził mnie – przemierzyliśmy nie więcej niż kilka mil za pośrednictwem ruchomej podłogi – do obszaru, który wyróżniał się jedynie brakiem przedmiotów i przegród oraz tym, że przebywało tam niewielu Morloków. Na środku tego obszaru znajdowała się mała, trochę wyższa ode mnie komora z przezroczystymi ścianami – podobna do kabiny dźwigu – która spoczywała na usianej gwiazdami podłodze.

Na znak Nebogipfela wszedłem do kabiny. Morlok podążył moim śladem i drzwi w kształcie membrany zamknęły się szczelnie za nami z syczącym odgłosem. Kabina była w przybliżeniu prostokątna; dzięki zaokrąglonym narożnikom i krawędziom wyglądała trochę jak podłużna pastylka. Nie było tam mebli, ale co kawałek przymocowano pionowe pręty.

Nebogipfel objął swoimi bladymi palcami jeden z nich.

– Powinieneś się przygotować. Przy starcie nastąpi nagła zmiana w ciężeniu.

Te spokojne słowa zaniepokoiły mnie! Oczy Nebogipfela, czarne pod osłoną gogli, patrzyły na mnie ciekawie i badawczo; jak zwykle wprawiało mnie to w zakłopotanie i zobaczyłem, jak Morlok zaciska palce na słupku.

A potem – nastąpiło to szybciej, niż potrafię opisać – podłoga rozsunęła się. Kabina wypadła ze Sfery, a wraz z nią ja i Nebogipfel!

Wykrzyknąłem i chwyciłem pręt jak dziecko trzymające się kurczowo nogi swojej matki.

Spojrzałem w górę i zobaczyłem, że powierzchnia Sfery przemieniła się teraz w olbrzymi, czarny dach, który zasłaniał mi połowę wszechświata. Na środku tego sufitu dostrzegłem trochę jaśniejszy, prostokątny kształt: były to drzwi, przez które

wypadliśmy i które zmniejszały się w miarę, gdy się od nich oddalaliśmy, a zresztą już i tak zamykały się nad nami. Drzwi znikwały z majestatyczną powolnością, podkreślając fakt, że nasza kabina-kapsuła rzeczywiście zaczyna spadać w przestrzeń kosmiczną. Wiedziałem dokładnie, co się stało: każdy uczeń może uzyskać ten sam efekt, jeśli rozbuja nad głową nanizany na sznurek kasztan, a potem go puści. Cóż, „sznurek”, który przytrzymał nas w obracającej się Sferze – spoistość jej podłogi – teraz zniknął i zostaliśmy bezceremonialnie wyrzuceni w przestrzeń kosmiczną.

A pode mną – prawie nie byłem w stanie patrzeć w dół – znajdowała się wypełniona gwiazdami jama, bezdenna jaskinia, w którą bez końca spadałem wraz z Nebogipfelem.

– Nebogipfelu, na miłość boską, cóż się nam przydarzyło? Czy nastąpiła jakaś katastrofa?

Spojrzał na mnie. Jego stopy niepokojąco unosiły się kilka cali nad podłogą kapsuły, gdyż wraz z jej spadaniem w otchłań kosmosu my też oderwaliśmy się od podłoża jak ziarnka grochu w pudełku od zapalek!

– Zostaliśmy wypuszczeni ze Sfery. Skutki jej wirowania są...

– Rozumiem to wszystko – wtrąciłem. – Ale dlaczego? Czy będziemy spadać do samej Ziemi?

Przeraziła mnie jego odpowiedź.

– W zasadzie tak – odparł.

A potem nie miałem już siły zadawać dalszych pytań, ponieważ uświadomiłem sobie, że też zaczynam fruwać w tej małej kabinie jak balon i równocześnie musiałem walczyć z mdłościami, które mnie ogarnęły na wiele minut.

Powoli odzyskałem panowanie nad własnym ciałem.

Kazałem Nebogipfelowi wytłumaczyć mi zasady tego lotu na

Ziemię. I kiedy już to uczynił, uświadomiłem sobie, jak elegancko i ekonomicznie Morlokwie rozwiązali kwestię podróżowania między Sferą i jej kordonem planet, które przetrwały. Powinienem był to odgadnąć i porzucić wszelkie bezsensowne domysły na temat rakiet – a jednak, oto był kolejny przykład odczłowieczenia morlokowej duszy! Zamiast lotu w pretensjonalnym jachcie kosmicznym, który sobie wyobrażałem, miałem przelecieć z orbity Wenus na Ziemię w czymś tak niewyszukanym jak ta trumna w kształcie pastylki.

Niewielu ludzi z moich czasów zdawało sobie sprawę z tego, jak duża część wszechświata to próżnia, z rzadka usiana pływającymi w niej oazami ciepła i życia, i tym samym jak wielkie prędkości potrzebne są do tego, aby pokonać międzyplanetarne odległości w jakimś sensownym odstępie czasowym. Ale Sfera Morloków w strefie równikowej już poruszała się z ogromną szybkością. A więc Morlokwie nie potrzebowali ani rakiet, ani armat, aby osiągnąć prędkości międzyplanetarne. Po prostu wypuszczali kapsuły ze Sfery i pozwalali, by rotacja załatwiła resztę.

Tak samo postąpili z nami. Nebogipfel powiedział mi, że przy takiej prędkości powinniśmy dotrzeć w okolicę Ziemi w ciągu zaledwie czterdziestu siedmiu godzin.

Rozejrzałem się po kapsule, ale nie dostrzegłem śladu rakiet ani żadnej innej siły napędowej. Fruwałem w tej małej kabinie i czułem się jak niezdarny olbrzym; broda unosiła mi się przed twarzą, tworząc szarą chmurę, a marynarka ciągle marszczyła mi się na wysokości łopatek.

– Rozumiem zasady startu – powiedziałem do Nebogipfela. – Ale jak ta kapsuła jest sterowana?

Wahał się przez kilka sekund.

– Nie jest. Czy nie rozumiałeś tego, co ci powiedziałem? Kapsuła nie potrzebuje żadnej siły napędowej, ponieważ prędkość, którą nadaje jej Sfera...

– Tak tak – wtrąciłem ze zniecierpliwieniem – rozumiałem to wszystko. Ale co by było, gdybyśmy teraz odkryli, że wskutek jakiegoś błędu przy starcie zbaczamy z prawidłowego kursu, że nie trafimy na Ziemię?

Uświadomiłem sobie bowiem, że bardzo nieznaczny błąd na Sferze, równy nawet ułamkowi radiana, mógłby – z powodu niezmiernych odległości międzyplanetarnych – sprawić, iż miniemy Ziemię w odległości milionów mil. A wtedy prawdopodobnie dryfowalibyśmy do końca życia w próżni między gwiazdami, zwalając na siebie winę, dopóki nie skończyłoby nam się powietrze!

Nebogipfel wydawał się zmieszany.

– Nie było żadnego błędu.

– Mimo to – podkreśliłem – gdyby takowy zaistniał, być może wskutek wady mechanicznej, to jak, znajdując się w tej kapsule, mielibyśmy skorygować tor naszego lotu?

Zastanawiał się przez chwilę, nim odpowiedział.

– Błędy nigdy się nie zdarzają – powtórzył. – Dlatego ta kapsuła nie musi mieć napędu korekcyjnego, co sugerujesz.

Z początku nie dawałem temu wiary i kazałem Nebogipfelowi kilkakrotnie to powtórzyć, nim zaakceptowałem prawdę. Więc to prawda! Po wystrzeleniu statek leciał między planetami tak bezwładnie, jak ciśnięty kamień: moja kapsuła przemierzała przestrzeń kosmiczną tak bezradnie jak księżycowa kula armatnia Verne'a.

Kiedy zaprotestowałem przeciw głupocie takiego rozwiązania, odniosłem wrażenie, że Morlok doznaje szoku – jakbym zmuszał

jakiegoś pastora o rzekomo otwartym umyśle do przyjęcia dyskusyjnego poglądu o wątpliwej wartości moralnej – i dałem sobie spokój.

Kapsuła obracała się powoli, przez co odległe gwiazdy i olbrzymia ściana w postaci Sfery wirowały wokół nas; myślę, że bez tej rotacji mógłbym sobie wyobrazić, iż jestem bezpieczny i odpoczywam, być może podczas jakiejś nocy na pustyni; spadanie jednak nie pozwalało zapomnieć, że znajduję się w kruchej klatce, która zlatuje swobodnie, bez zabezpieczenia i środków do jej kierowania. Przez kilka pierwszych godzin spędzonych w tej kapsule byłem sparaliżowany ze strachu! Nie mogłem się przyzwycząić ani do przezroczyistości otaczających nas ścian, ani do tego, że w trakcie tego lotu nie byliśmy w stanie nią sterować. Pod pewnymi względami podróż przypominała koszmar – spadanie w nieskończonej ciemności, bez możliwości, by coś zmienić w celu ocalenia życia. I oto w największym skrócie możecie zobaczyć zasadniczą różnicę między umysłem Morloka i człowieka. Bo któryż człowiek powierzyłby życie pojazdowi, który przemierza międzyplanetarne odległości w pocisku balistycznym, pozbawionym steru? Tak jednak postępowali Nowi Morlokowie: mając za sobą pół miliona lat ciągłego udoskonalania techniki, Morlok bez namysłu powierzał swoje życie maszynom, gdyż jego maszyny po prostu nigdy go nie zawodziły.

Aleja nie byłem Morlokiem!

Stopniowo jakoś odzyskałem spokój. Poza tym, że kapsuła powoli spadała przez całą drogę na Ziemię, godziny mijały w ciszy, którą przerywał jedynie cichy odgłos oddechu mojego towarzysza. W pojeździe było znośnie ciepło i tym samym całkowicie wygodnie. Ściany wykonano z tego samego materiału,

co podatną na wytłaczanie podłogę i za pośrednictwem dotyku Nebogipfel dostarczał mi jedzenia, picia oraz innych potrzebnych rzeczy, choć wybór był mniejszy niż w Sferze, która posiadała większą pamięć od naszej kapsuły.

Tak więc żeglowaliśmy z całkowitą łatwością przez tę wielką katedrę międzyplanetarnej przestrzeni kosmicznej. Zacząłem się czuć, jakbym był bezcielesny i ogarnął mnie nastrój absolutnej obojętności oraz niezależności. Nie było to jak podróż, a nawet – po tych pierwszych godzinach – koszmar; zamiast tego zaczęło to przypominać sen.

Moja relacja o odległej przyszłości

W drugim dniu naszego lotu Nebogipfel zapytał mnie ponownie o moją pierwszą podróż w przyszłość.

– Udało ci się wydostać wehikuł z rąk Morloków – zachęcił mnie. – I poleciałeś dalej w przyszłość tamtej Historii...

– Przez długi czas po prostu trzymałem się swojego wehikułu – przypominałem sobie – tak jak teraz kurczowo ściskam te drągi, nie dbając o to, dokąd zmierzam. Wreszcie zmusiłem się, by spojrzeć na moje chronometryczne tarcze i stwierdziłem, że wskazówki przeskakują z ogromną prędkością w przyszłość.

– Musisz uzmysłowić sobie – powiedziałem mu – że w tamtej Historii oś Ziemi i jej rotacja nie zostały skorygowane. Dzień i noc nadal trzepotały nad Ziemią jak skrzydła i Słońce wciąż przemieszczało się między punktami przesilen podczas zmian pór roku. Stopniowo jednak docierała do mojej świadomości zmiana: że pomimo mojej stałej prędkości przechodzenia przez czas migotanie dnia i nocy powróciło i stało się wyraźniejsze.

– Rotacja Ziemi uległa spowolnieniu – stwierdził Nebogipfel.

– Tak. W końcu dni rozciągnęły się w wieki. Słońce przemieniło się w olbrzymią i gniewną kopułę, która błyszczała swoim pomniejszonym żarem. Od czasu do czasu płonęło

jaśniejszym światłem; to były spazmy przypominające jego wcześniejszą jasność. Za każdym razem wracało jednak do swojej ponurej purpury. Zacząłem zwalniać prędkość przechodzenia przez czas...

Kiedy się zatrzymałem, krajobraz przypominał ten, który zawsze wyobrażałem sobie na Marsie. Olbrzymie, nieruchome słońce wisiało nad horyzontem, a nad przeciwną połową nieba nadal świeciły podobne do kości gwiazdy. Rozsiane na całej planecie skały jaśniały zjadliwą czerwienią i na każdej zwróconej w kierunku zachodnim płaszczyźnie poplamione były intensywną zielenią, jakby zaatakowane przez porosty.

Mój wehikuł stał na plaży, która opadała ku morzu, tak spokojnemu, iż mogło się wydawać pokryte taflą szkła. Powietrze było chłodne i dość rzadkie; czułem się jakby zawieszony na szczycie jakiejś odległej góry. Dolina Tamizy w niewielkim stopniu przypominała znajomą topografię; wyobraziłem sobie, jak powłoka lodu i powolny oddech mórz musiały wymazać wszelkie ślady krajobrazu, który znałem – i wszelkie ślady ludzkości...

Nebogipfel i ja nadal wisieliśmy w powietrzu, zawieszeni w przestrzeni kosmicznej w naszej błyszczącej klatce, a ja szeptem zdawałem mu relację o odległej przyszłości; w tej spokojnej atmosferze odkryłem dodatkowe szczegóły, których nie opowiedziałem moim przyjaciołom w Richmond.

– Zobaczyłem coś, co przypominało kangura – przypomniałem sobie. – Miało jakieś trzy stopy wzrostu... było przysadziste i obdarzone ciężkimi kończynami oraz zaokrąglonymi ramionami. Sadziło susami przez plażę. Przypominam sobie, że wyglądało na zdesperowane i uderzało słabo łapą w skały, najwyraźniej próbując wyrwać kilka garści porostów.

Wyczuwało się w nim wielkie zwyrodnienie. A potem zobaczyłem ze zdziwieniem, że zarówno przednie jak i tylne łapy tego czegoś miały po pięć kruchych palców... I istota miała wypukłe czoło oraz patrzące wprost przed siebie oczy. Jej podobieństwo do człowieka było w najwyższym stopniu nieprzyjemne!

– Ale potem poczułem, że coś dotyka mojego ucha – ciągnąłem – jakby głaskał mnie jakiś włos, i odwróciłem się w siodełku. Tuż za machiną znajdowała się jakaś istota. Była podobna do stonogi, ale miała szerokość trzech lub czterech, a długość być może trzydziestu stóp, i jej ciało było rozczłonkowane, a purpurowe, chitynowe łuski szeleściły, gdy się poruszała. Wilgotne rzęski o długości stopy kiwały się w powietrzu i to właśnie jedna z nich mnie dotknęła. Teraz ta bestia uniosła swoją badyłowatą głowę i rozwarła szeroko swoje szerokie usta, machając oślinionymi szczękami; miała rozstawione w sześciokąt oczy, które się obracały i wpatrywały we mnie.

– Dotknąłem dźwigni – mówiłem dalej – i oddaliłem się w czasie od tego potwora. Wyłoniłem się na tej samej plaży, ale teraz dostrzegłem mrowie przypominających stonogi stworzeń, które z chrzęstem swoich odwłoków ociężale właziły na siebie. Wyposażone były w ogromną liczbę nóg, na których pełzały, skręcając swe ciała w pętlę podczas ruchu. W środku tego roju dostrzegłem niski i zakrwawiony wzgórek i pomyślałem o smutnym, kangurzym stworzeniu, które zaobserwowałem wcześniej.

– Nie mogłem znieść tej rzezi! – kontynuowałem. – Nacisnąłem na dźwignie i skoczyłem o milion lat. Nadal istniała ta straszna plaża. Teraz jednak, kiedy odwróciłem się od morza, w oddali na wyjałowionym zboczu za sobą zobaczyłem stworzenie podobne

do ogromnego, białego motyla, który migotał i trzepotał skrzydłami na tle nieba. Jego tors przypominał wielkością tułów małej kobiety, a blade i przezroczyste skrzydła były olbrzymie. Jego głos był ponury – dziwnie ludzki – i poczułem się strapiony na duszy.

– Po chwili zauważyłem jakiś ruch w pobliżu – podjąłem opowieść. – To przypominało skupisko czerwonych jak na Marsie skał, które przesuwały się na piasku w moim kierunku. Był to jakiś krab: istota o wielkości sofy, która pokonywała plażę na swoich kilku nogach i kiwała do mnie szarawoczerwonymi oczami na słupkach, które podobne były do ludzkich. Jej usta, skomplikowane jak jakaś maszyna, drgały i oblizywały się, kiedy istota się poruszała, a jej metaliczny kadłub poplamiony był zielenią niewzruszonych porostów. Kiedy szkaradny i kruchy motyl przefrunął nade mną, krab wyciągnął ku niemu swoje wielkie pazury. Chybił, ale wydaje mi się, że dostrzegłem skrawki bladego ciała pochwycone w uścisk jego wielkiej łapy.

– Kiedy później rozmyślałem o tamtym widoku – powiedziałem Nebogipfelowi – zaprawiony goryczą niepokój utwierdził się w moim umyśle. Wydaje mi się, że ten układ silnego drapieżcy i słabej ofiary może być konsekwencją stosunku łączącego Elojów i Morloków, który zaobserwowałem wcześniej. Ale ich formy tak się różniły: stonogi, a potem kraby...

– Na tak wielkich przestrzeniach czasu – upierałem się – ewolucyjna presja jest taka, że formy gatunków są dość plastyczne – tak uczy nas Darwin – a zoologiczna retrogresja jest siłą dynamiczną. Pamiętaj, że ty i ja – a także Eloje i Morlokowie jeśli spojrzeć na to z dość szerokiej perspektywy – jesteśmy tylko kuzynami w obrębie tej samej antycznej rodziny, która wywodzi się z błotnistych ryb.

Snułem przypuszczenia, że być może Eloje wznieśli się w powietrze w rozpaczliwej próbie ucieczki przed Morlokami, a ci drapieżcy wyszli ze swoich jaskiń, porzucając wreszcie wszelkie symulacje mechanicznych wynalazków, i pełzali teraz po tych zimnych plażach, czekając, aż jakiś motylowaty Eloi zmęczy się i spadnie z nieba. Tym sposobem ten odwieczny konflikt, zakorzeniony w społecznym upadku, został w końcu zredukowany do swoich bezmyślnych podstaw.

– Podróżowałem dalej w przyszłość – powiedziałem Nebogipfelowi – wykonując tysiącletnie kroki. Nadal jednak ten sam tłum skorupiaków pełzał wśród porostów i skał. Słońce się rozszerzało i ciemniało.

– Po raz ostatni – ciągnąłem – zatrzymałem się w momencie odległym o trzydzieści milionów lat, gdy Słońce przemieniło się w kopułę, która zdominowała szeroki pas nieba. Spadł śnieg: nieprzyjemny, bezlitosny deszcz ze śniegiem. Zadrżałem i musiałem wsunąć ręce pod pachy. Dostrzegłem teraz śnieg na szczytach wzgórz, blady w świetle gwiazd, a olbrzymie góry lodowe dryfowały na wiecznych morzach.

– Kraby zniknęły – dodałem – ale żywa zieleń rozległych porostów pozostała. Wydało mi się, że na mieliźnie morskiej dostrzegłem jakiś czarny przedmiot, który według moich domniemań wykazywał niemrawe oznaki życia.

– Zaćmienie – kontynuowałem – wskutek przejścia jakiejś wewnętrznej planety przez tarczę słoneczną, spowodowało teraz, że na Ziemię padł cień. Nebogipfelu, może ty czułbyś się swobodnie w tamtej krainie, ale mnie przejęła wielka zgroza i zszedłem z maszyny, żeby dojsć do siebie. A potem, kiedy pierwsza łukowata łuna purpurowego słońca wróciła na niebo, zobaczyłem, że ten stwór na mieliźnie faktycznie się rusza. To

była kula mięsa; przypominała odciętą od tułowia głowę o szerokości mnie więcej jarda i miała dwie garście macek, które bujały się na mieliźnie. Stwór miał usta w kształcie dzioba i brakowało mu nosa. Jego duże i ciemne oczy wydawały się niemal ludzkie...

Już w chwili opisywania stwora cierpliwemu Nebogipfelowi dostrzegłem podobieństwo między tą wizją przyszłości i moim dziwnym towarzyszem podczas drugiej podróży przez czas – unoszącą się w powietrzu, płonąca zielonym blaskiem istotą, którą nazwałem Obserwatorem. Umilkłem. Czy to możliwe, zastanawiałem się, że mój Obserwator był jedynie istotą, która przyszła mnie odwiedzić z samego końca czasu wszechświata?

– Tak więc – podjąłem wreszcie – wdrapałem się ponownie na wehikuł – ogromnie się bałem, że pozostanę tam na zawsze, leżąc bezradnie w tamtym strasznym zimnie – i wróciłem do własnego stulecia.

Mówiłem szeptem. Olbrzymie oczy Nebogipfela wpatrywały się we mnie nieruchomo i dostrzegłem w nich szczątkowe przebłyski typowego dla ludzi zaciekawienia oraz zdumienia.

Wydaje się, że tych kilka dni w przestrzeni kosmicznej ma niewielki związek z resztą mojego życia; czasami okres, który spędziłem fruując w tamtej kabinie, jest jak chwilowa przerwa, krótsza od jednego uderzenia serca w trakcie mojego dłuższego życia, a innymi razy czuję się, jakbym spędził w tamtej kapsule wieczność, dryfując między światami. To było tak, jakbym został „wyplątany” z własnego życia i mógł na nie spojrzeć z zewnątrz, jakby było ono niekompletną powieścią. Oto zobaczyłem, jak w młodości poświęcam cały czas eksperymentom, dziwnym wynalazkom i plattnerytowi, i w swoich dążeniach do

nieosiągalnej perfekcji zrozumienia gardzę możliwością nawiązywania stosunków towarzyskich, a także poznania życia, miłości, polityki i sztuki – gardzę nawet snem! Wydawało mi się nawet, że zobaczyłem się po zakończeniu tej międzyplanetarnej podróży, kiedy już mam gotowy plan oszukania Morloków i ucieczki do własnej ery. Musicie zrozumieć, że nadal zamierzałem zrealizować ten plan, ale to było tak, jakbym obserwował poczynania jakiejś innej, mniejszej ode mnie postaci.

Wreszcie przyszło mi do głowy, że staję się czymś, co wykracza nie tylko poza mój rodzimy świat, lecz również poza wszystkie istniejące światy, a także przestrzeń i czas. Czym miałem się stać we własnej przyszłości, jeśli nie jeszcze raz drobinką świadomości targaną przez wichry czasu?

Dopiero gdy Ziemia była już dość blisko i stanowiła ciemniejszą plamę na tle przestrzeni kosmicznej, a światło gwiazd odbijało się wokół niej wyraźnie, powróciłem myślami do zwykłych trosk ludzkich i ponownie szczegóły moich planów – a także nadzieje i obawy związane z moją przyszłością – zaczęły mi się kołatać w głowie.

Nigdy nie zapomniałem tego krótkiego międzyplanetarnego epizodu i czasami – tuż przed zaśnięciem – wyobrażam sobie, że znów dryfuję między Sferą i Ziemią, i w trakcie tej wędrówki towarzyszy mi jedynie jakiś cierpliwy Morlok.

Nebogipfel zastanawiał się nad moją wizją odległej przyszłości.

– Powiedziałeś, że przebyłeś trzydzieści milionów lat.

– Albo i więcej – odparłem. – Być może zdołam przypomnieć sobie chronologię dokładniej, jeśli...

Zbył to machnięciem ręki.

– Coś tu nie pasuje. Twój opis rozwoju Słońca jest wiarygodny, ale według naszej nauki zniszczenie tej gwiazdy powinno nastąpić nie za kilkadziesiąt milionów, lecz za wiele tysięcy milionów lat.

Poczułem chęć, by się bronić.

– Zrelacjonowałem tylko to, co widziałem, uczciwie i dokładnie.

– Nie wątpię – powiedział Nebogipfel. – Ale nasuwa się jedyny wniosek, że w tej drugiej Historii – tak jak i w mojej – rozwój Słońca nie przebiegał bez ingerencji.

– To znaczy...

– To znaczy, że ktoś niezdarnie próbował wpłynąć na intensywność lub długowieczność Słońca, lub nawet, tak jak my, wydobywać z gwiazdy budulce.

Nebogipfel postawił hipotezę, że być może Eloje i Morlokwie nie stanowili całej ludzkości w tamtej marnej, zaginionej historii. Nebogipfel przypuszczał, że być może jakaś rasa inżynierów opuściła Ziemię i próbowała zmodyfikować Słońce, tak jak przodkowie Morloka.

– Ale próba nie udała się – stwierdziłem przerażony.

– Tak. Inżynierowie nie wrócili nigdy na Ziemię, która tym samym została wydana na pastwę powoli postępującej tragedii Elojów i Morloków. Równowaga Słońca została zachwiana, a okres jego trwania skrócony.

Byłem taki przerażony, że nie mogłem dalej o tym mówić. Przywarłem do pręta i zatopiłem się w myślach.

Znów pomyślałem o tamtej opuszczonej plaży, o ohydnych, zdegenerowanych formach ze śladami dawnego człowieczeństwa i kompletnym brakiem inteligencji. Już kiedy

uznałem to za ostateczne zwycięstwo nieubłaganej presji ewolucji oraz retrogresji nad marzeniem umysłu człowieka, wizja ta była dość nieprzyjemna, ale teraz na dodatek zobaczyłem, że to być może sama ludzkość, kierując się swoją wygórowaną ambicją, doprowadziła do zachwiania równowagi między tymi dwiema wrogimi siłami i przyspieszyła proces samozagłady!

Ziemia przechwyciła nas w sposób bardzo dokładny. Musieliśmy wytracić prędkość o kilka milionów mil na godzinę, aby dopasować się do ruchu Ziemi wokół Słońca.

Kilkakrotnie okrążyliśmy brzuch planety po coraz mniejszej spirali. Nebogipfel powiedział mi, że kapsuła zostaje sprzężona z grawitacyjnym i magnetycznym polem planety – sprzężenie to wspomagały pewne materiały w kadłubie oraz manipulacja satelitami: sztucznymi księżycami, które krążyły po orbicie Ziemi i regulowały jej naturalne siły oddziaływania. Zrozumiałem, że w istocie wymieniamy się prędkością z Ziemią, która od tej pory już zawsze będzie obiegać Słońce w trochę większej odległości i trochę szybciej.

Trzymałem się blisko ściany kapsuły i obserwowałem, jak wyłania się ciemny krajobraz Ziemi. Tu i ówdzie dostrzegłem blask większych studni grzewczych Morloków. Zauważyłem kilka olbrzymich, smukłych wież, które zdawały się wystawać ponad samą atmosferę. Nebogipfel wyjaśnił mi, że z wież korzystają kapsuły podróżujące z Ziemi do Sfery.

Zobaczyłem pełzające po tych wieżach plamki światła: były to międzygwiazdne kapsuły z Morlokami, którzy mieli zostać przeniesieni do Sfery. Uświadomiłem sobie, że to właśnie za pomocą takiej wieży zostałem wystrzelony – nieprzytomny –

w przestrzeń kosmiczną i zawieszony do Sfery. Wieże funkcjonowały jak windy wychodzące poza atmosferę i każda kapsuła wyrzucana była w kosmos wskutek działania serii manewrów sprzęgających – wykonywanych w odwrotnej kolejności, jeśli mnie rozumiecie – i podobnych do tych, które przeprowadzono w naszym przypadku.

Prędkość nabierana przez kapsuły przy wystrzeleniu nie dorównywała szybkości nadawanej przez rotację Sfery i dlatego podróż z Ziemi trwała dłużej niż powrót. Ale po przybyciu do Sfery pola magnetyczne wyłapywały kapsuły bez trudu i przyspieszały ich prędkość tak, że połączenie odbywało się w dość płynny sposób.

Wreszcie zanurzyliśmy się w atmosferze Ziemi. Kadłub zapłonął od ciepła spowodowanego tarciem i kapsuła zadrżała – był to pierwszy ruch, jaki poczułem od wielu dni – ale Nebogipfel mnie ostrzegł i byłem przygotowany, zapierając się o podporowe drągi.

Płonąc jak meteoryt, wytraciliśmy międzyplanetarną prędkość do reszty. Z pewnym niepokojem obserwowałem ciemny krajobraz, który roztaczał się pod nami podczas spadania – wydało mi się, że widzę szeroką, krętą wstęgę Tamizy – i zacząłem się zastanawiać, czy po przebyciu tej całej odległości w końcu nie grzmotnę w bezlitosne skały Ziemi!

Ale potem...

Moje doznania z ostatniego etapu chybotliwego lądowania są niejasne i fragmentaryczne. Wystarczy powiedzieć, że pamiętam jakiś pojazd podobny do ogromnego ptaka, który runął z nieba i w jednej chwili znaleźliśmy się w jego uścisku, jakby nas połknął. W ciemności poczułem duży wstrząs, kiedy pojazd stawiał opór powietrzu, wytracając prędkość. Potem nasze dalsze

lądowanie było nad wyraz łagodne.

Kiedy ponownie zobaczyłem gwiazdy, po ptasim pojeździe nie było śladu. Nasza kapsuła osiadła na suchej, jałowej ziemi Richmond Hill, mniej niż sto jardów od białego sfinksa.

Na Richmond Hill

Nebogipfel otworzył kapsułę i wyszedłem, zakładając pospiesznie gogle. Od razu zobaczyłem wyraźnie nocny krajobraz i po raz pierwszy mogłem dostrzec kilka szczegółów tego świata roku Pańskiego 657 208.

Niebo błyszczało od gwiazd, a ciemna szrama utworzona przez Sferę znajdowała się w oddali i była mocno widoczna. Z wszechobecnego piasku unosił się zgniły zapach i dochodziła pewna wilgoć, jakby od mchu i porostów; i wszędzie powietrze było gęste od słodkawego zapachu Morloków.

Odczułem ulgę, że wydostałem się z pastylkowatej kabiny i poczułem twardy grunt pod stopami. Ruszyłem pod górę do pokrytego brązowymi płytami piedestału sfinksa i stanąłem tam, w połowie drogi na szczyt Richmond Hill, w miejscu, które – wiedziałem – było kiedyś moim domem. Trochę wyżej na wzgórzu stała nowa budowla: mała, przysadzista chata. Nie dostrzegłem żadnych Morloków. Był to ostry kontrast w stosunku do mojego pierwszego pobytu w tym miejscu, kiedy potykając się w ciemnościach odnosiłem wrażenie, że są wszędzie.

Po moim wehikule czasu nie było śladu – pozostały tylko wyryte głęboko w piasku rowki i dziwne, wąskie ślady stóp charakterystyczne dla Morloków. Czy wehikuł znów został zawleczony do wnętrza sfinksa? Tak więc historia się powtórzyła! A przynajmniej tak pomyślałem. Poczułem, że

zaciskam bezwiednie pięści, tak szybko prysnął mój podniosły, międzyplanetarny nastrój; i zawładnęła mną trwoga. Uspokoilem się. Czyżbym był głupcem, skoro spodziewałem się, że wehikuł czasu będzie na mnie czekał zaraz po wyjściu z kapsuły? Nie mogłem uciec się do przemocy – nie teraz! Nie, gdy mój plan ucieczki był taki bliski realizacji. Nebogipfel dołączył do mnie.

– Wygląda na to, że jesteśmy tu sami – odezwałem się.

– Dzieci zostały usunięte z tego obszaru.

Znów poczułem wstyd.

– Czy jestem taki... niebezpieczny? Powiedz mi, gdzie jest mój wehikuł?

Zdjął gogle, ale nie potrafiłem nic wyczytać z tych szaro-czerwonych oczu.

– Jest bezpieczny. Został przeniesiony w bardziej dogodne miejsce. Jeśli chcesz, możesz go sprawdzić.

Poczułem, jakby z wehikułem czasu łączył mnie jakiś stalowy kabel, który mnie teraz przyciągał! Pragnąłem pognać do maszyny i wskoczyć na jej siodło, skończyć z tym światem ciemności i Morlokami i wyruszyć w przeszłość! Musiałem być jednak cierpliwy. Usiłując mówić spokojnym głosem, odparłem:

– To nie jest konieczne.

Nebogipfel poprowadził mnie w górę do małego budynku, który zauważyłem wcześniej. Był tak samo skonstruowany jak pozostałe budowle Morloków: prosto i bez spojeń; przypominał dom dla lalek i posiadał drzwi na zawiasach oraz pochyły dach. Wewnątrz znajdował się barłóg służący za łóżko, na którym leżał koc, krzesło i tacka z wodą oraz jedzeniem; wszystko to wyglądało pokrzepiająco solidnie. Mój plecak leżał na łóżku.

Odwróciłem się do Nebogipfela.

– To bardzo uprzejmie z waszej strony – podziękowałem

szczerze.

– Szanujemy twoje prawa.

Wyszedł z mojej chatki. Kiedy zdjąłem gogle, jego postać przemieniła się w cień.

Zamknąłem drzwi z pewną ulgą. Przyjemnie było znów znaleźć się przez chwilę we własnym, ludzkim towarzystwie. Zawstydziłem się, że tak perfidnie planowałem oszukać Nebogipfela i jego lud! Ale dzięki mojemu planowi już pokonałem setki milionów mil – zbliżyłem się do wehikułu czasu na odległość kilkuset jardów – i nie mogłem znieść myśli o porażce w tym momencie.

Wiedziałem, że jeśli będę musiał skrzywdzić Nebogipfela, by uciec, uczynię to!

Po omacku otworzyłem plecak, znalazłem i zapaliłem świeczkę. Przyjemne żółte światło i kręta wstążka dymu przemieniły to nieludzkie pudełeczko w dom. Morlokowie zatrzymali mój pogrzebacz – mogłem się tego spodziewać – ale pozostawili mi większość pozostałych rzeczy. Znalazłem nawet mój składany nóż. Wykorzystując morlokową tacę jako prymitywne lustro, ściałem za pomocą tego noża drażniącą mnie brodę i ogoliłem się tak dokładnie, jak tylko zdołałem. Zrzuciłem z siebie starą bieliznę i założyłem świeżą – nigdy bym się nie spodziewał, że założenie czystych skarpetek sprawi mi taką fizyczną przyjemność! – i pomyślałem czule o pani Watchets, która zapakowała mi te bezcenne rzeczy.

Na koniec – i to z największą przyjemnością – wyjąłem z plecaka fajkę, nabiłem ją tytoniem i zapaliłem od płomienia świeczki.

I w tym stanie, mając wokół siebie ten skromny dobytek oraz czując bogaty aromat mojego najwyborniejszego tytoniu,

położyłem się na małym łóżku, naciągnąłem na siebie koc i zasnąłem.

Obudziłem się w ciemności.

Dziwne to było uczucie budzić się i nie widzieć światła dziennego – jakby wyrwano człowieka ze snu we wczesnych godzinach porannych – i nigdy nie czułem się pokrzepiony snem, przez cały czas, gdy przebywałem w Ciemnej Nocy Morloków; to było tak, jakby moje ciało nie potrafiło rozpoznać pory dnia.

Powiedziałem Nebogipfelowi, że chciałbym obejrzeć wehikuł czasu i byłem bardzo niespokojny, kiedy w pośpiechu robiłem toaletę i jadłem śniadanie. Mój plan miał niewiele wspólnego ze strategią: chciałem po prostu zabrać maszynę przy najbliższej okazji! Liczyłem na to, że po obcowaniu przez wiele tysięcy lat ze skomplikowanymi maszynami, które mogły zmieniać kształt, Morlokwie nie poznają się na urządzeniu tak prymitywnie skonstruowanym jak mój wehikuł czasu. Myślałem, że nie będą się spodziewać, iż taka prosta czynność jak przyłączenie dwóch dźwigni przywróci wehikułowi zdolność działania, a przynajmniej modliłem się oto!

Wyszedłem z chaty. Po moich wszystkich przygodach dźwignie do wehikułu czasu nadal spoczywały bezpiecznie w wewnętrznej kieszeni marynarki.

Nebogipfel ruszył w moim kierunku. Jego wąskie stopy pozostawiły za sobą odciski podobne do śladów leniwca; ręce miał puste. Zastanawiałem się, jak długo stał w pobliżu, czekając, aż wyjdę.

Poszliśmy razem wzdłuż zbocza Richmond Hill, zmierzając na południe w kierunku Richmond Park. Wyruszyliśmy bez żadnych wstępów, gdyż Morlokwie nie zwykli prowadzić

zbędnych rozmów.

Już powiedziałem, że mój dom stał na Petersham Road, na odcinku poniżej Hill Rise. Znajdował się w połowie drogi na zboczu prowadzącym na Richmond Hill, kilkaset jardów od rzeki, dając niezły widok od zachodniej strony – lub tak by przynajmniej było, gdyby panoramy nie przesłaniały drzewa – i mogłem częściowo zobaczyć łąki na Petersham za rzeką. No cóż, w roku Pańskim 657 208 wszystkie zasłaniające przeszkody zostały usunięte i patrząc w dół zbocza mogłem zobaczyć pogłębioną dolinę aż do miejsca, gdzie Tamiza płynęła w swoim nowym korycie, pobłyskując w świetle gwiazd. Tu i ówdzie dostrzegłem rozżarzone jak węgle otwory grzewczych studni Morloków, które cętkowały ciemny łąd. Duża część zbocza pokryta była piaskiem lub porośnięta mchem; widziałem jednak łąaty czegoś, co wyglądało podobnie jak zaścielające Sferę miękkie szkło, które migotało we wzmocnionym świetle gwiazd.

Sama rzeka wyrzeźbiła sobie nowy kanał, oddalony o mniej więcej milę od swojego dziewiętnastowiecznego koryta; wydawała się odbiegać łukiem od Hampton do Kew, tak iż Twickenham i Teddington znajdowały się teraz po jej wschodniej stronie i odniosłem wrażenie, że dolina jest znacznie głębsza niż za moich czasów lub też Richmond Hill zostało uniesione wskutek jakiegoś procesu geologicznego. Przypomniałem sobie podobne przesunięcie Tamizy podczas mojej pierwszej wyprawy w czas. Tym samym wydało mi się, że rozbieżności ludzkiej historii to zwykła błahostka; powolne procesy geologiczne i erozyjne będą kontynuować swe cierpliwe dzieło bez względu na nie.

Poświęciłem chwilę, by spojrzeć w górę w kierunku Richmond Park, gdyż zastanawiałem się, jak długo te bardzo stare tereny

leśne i stada danieli przetrwały wichry zmiany. Teraz park nie mógł być niczym więcej jak ciemną pustynią, zaludnioną jedynie kaktusami i garstką drzew oliwnych. Poczułem, jak serce się we mnie burzy. Być może ci Morlokowie byli mądrzy i cierpliwi – być może ich wytrwałe dążenia do wiedzy na Sferze należało oklaskiwać – ale to, że zaniedbali starożytną Ziemię, zasługiwało na potępienie!

Dotarliśmy w okolice Park's Richmond Gate, niedaleko Star and Garter, może pół mili od miejsca, w którym stał mój dom. Na płaskim odcinku ziemi ustawiono prostokątną platformę z miękkiego szkła, która migotała w łaciatym świetle gwiazd. Wydawało się, że zrobiono ją z tej samej cudownej, szklistej substancji co podłogę Sfery; z jej powierzchni wzniesiono rozmaite podesty oraz przegrody, które rozpoznałem jako charakterystyczne konstrukcje Morloków. Teraz były one opuszczone; znajdowałem się tam tylko ja i Nebogipfel. I właśnie tam – na samym środku platformy – zobaczyłem przysadzistą i brzydką konstrukcję złożoną z mosiądzu i niklu, z elementami z kości słoniowej, które lśniły w świetle gwiazd jak wypłowiałe kości, z rowerowym siodłem na środku: to był mój wehikuł czasu, najwyraźniej nietknięty i gotowy zabrać mnie z powrotem do domu!

Poczułem, jak krew napływa mi do mózgu; stwierdziłem, że trudno mi iść spokojnie za Nebogipfelem, tym niemniej szedłem. Wsunąłem ręce do kieszeni marynarki i chwyciłem dwie dźwignie sterownicze. Znajdowałem się już dość blisko wehikułu, by zobaczyć śruby, na których musiałem zamontować dźwignie, aby machina zadziałała. Zamierzałem jak najszybciej uruchomić maszynę i wydostać się z tego miejsca!

– Widzisz – powiedział Nebogipfel – wehikuł jest nie uszkodzony. Przenieśliśmy go, ale nie próbowaliśmy grzebać w jego mechanizmach...

Próbowałem odciągnąć jego uwagę od tego tematu.

– Powiedz mi: jakie odnosisz wrażenie po dokładnych oględzinach wehikułu i wysłuchaniu moich teorii na ten temat?

– Twoja machina to nadzwyczajne osiągnięcie – wyprzedza czasy, w których została zbudowana.

Nigdy nie miałem zbytnej cierpliwości do komplementów.

– Ale to plattneryt umożliwił mi skonstruowanie jej – powiedziałem.

– Tak. Chciałbym dokładniej zbadać ten „plattneryt”. – Założył gogle i przyjrzał się migoczącym prętom kwarcowym przy maszynie. – Rozmawialiśmy... trochę... o równoległych historiach, o możliwości istnienia kilku wersji świata. Sam byłeś świadkiem dwóch...

– Historii Elojów i Morloków oraz historii Sfery.

– Musisz traktować te wersje historii jako równoległe korytarze, które się przed tobą rozciągają. Twoja maszyna pozwala ci przemieszczać się tam i z powrotem wzdłuż korytarza. Korytarze istnieją niezależnie od siebie: patrząc przed siebie z dowolnego punktu, człowiek spoglądający wzdłuż jednego korytarza będzie widział kompletną i spójną historię – niczego nie może się dowiedzieć o innym korytarzu ani korytarze nie mogą na siebie wpływać. Ale w niektórych korytarzach warunki mogą być bardzo odmienne. W niektórych nawet prawa fizyki mogą być różne...

– Mów dalej.

– Powiedziałeś, że działanie twojej maszyny zależy od przekręcenia wymiarów przestrzeni i czasu – ciągnął. – Od przemienienia podróży w czasie w podróż przez przestrzeń. Cóż, zgadzam się z tym: rzeczywiście tak funkcjonuje plattneryt. Ale jak to się dokonuje?

– Wyobraź sobie teraz – mówił dalej – wszechświat, inną Historię, w której to przekręcenie czasu i przestrzeni jest bardzo wyraźne.

Opisał mi wariant wszechświata, którego nieomal że nie mogłem sobie wyobrazić: w którym rotacja wpleciona jest w samą strukturę wszechświata.

– Rotacja obejmuje wszystkie punkty czasu i przestrzeni. Obserwator widziałby, że kamień rzucony z dowolnego miejsca na zewnątrz leci po spirali: jego bezwładność działałaby jak kompas, wirując wokół punktu startowego. Niektórzy nawet uważają, że być może nasz wszechświat poddany jest takiej rotacji, ale odbywa się to niezwykle powoli: jeden pełny obrót trwa tysiąc milionów lat... Koncepcja obracającego się

wszechświata przedstawiona została po raz pierwszy kilkadziesiąt lat po twojej epoce... Właściwie, jej twórcą jest Kurt Gödel.

– Gödel? – Chwilę trwało, nim przypomniałem sobie to nazwisko. – Ten, który wykazał nieskończoność matematyki?

– Ten sam.

Obeszliśmy wehikuł, a ja ścisnąłem sztywnymi palcami dźwignię. Zamierzałem ustawić się w najdogodniejszym miejscu, by dotrzeć do wehikułu.

– Powiedz mi, w jaki sposób to wyjaśnia działanie mojego wehikułu.

– Jest to związane ze skręceniem osi. W obracającym się wszechświecie możliwe jest podróżowanie przez przestrzeń i docieranie przy tym do przeszłości lub przyszłości. Nasz wszechświat obraca się, ale tak wolno, że taka trasa miałaby długość stu tysięcy milionów lat świetlnych, a jej pokonanie zabrałoby bez mała milion milionów lat!

– A zatem to niezbyt praktyczne.

– Ale wyobraź sobie wszechświat o gęstości większej od naszego: wszechświat, który wszędzie byłby tak gęsty jak jądro atomu materii. Wówczas pełen obrót trwałby zaledwie kilka ułamków sekundy.

– Ale my nie jesteśmy w takim wszechświecie. – Machnąłem ręką w pustej przestrzeni. – To oczywiste.

– Być może jednak ty jesteś! Przez ułamki sekund dzięki twojej maszynie, lub przynajmniej jej plattnerytowemu składnikowi. Moja hipoteza jest taka, że z powodu jakiejś właściwości plattnerytu twój wehikuł czasu przemyka do tego ultragęstego wszechświata i wyskakuje z niego, i przy każdym przejściu wykorzystuje to skręcenie osi rzeczywistości, aby przemieszczać

się wzdłuż serii pętli w przeszłość lub przyszłość! Tak więc poruszasz się spiralnie przez czas...

Rozważyłem te koncepcje. Były naprawdę niezwykle! Wydawało mi się jednak, że nie bardziej niż trochę nieprawdopodobne wnioski, które wysnułem z moich pierwszych myśli o przeplataniu się czasu i przestrzeni oraz płynności ich osi. Ponadto moje subiektywne wrażenia dotyczące podróżowania w czasie wiązały się z uczuciem skręcania – rotacji.

– Te hipotezy są zaskakujące – powiedziałem Nebogipfelowi. – Przypuszczam jednak, że oparłyby się nawet wnikliwej analizie.

Spojrzał na mnie.

– Wykazujesz imponującą elastyczność umysłu jak na człowieka z twojej rewolucyjnej ery.

Prawie nie usłyszałem jego końcowej uwagi. Znajdowałem się teraz dość blisko wehikułu. Nebogipfel ostrożnie dotknął palcem poręczy maszyny. Pojazd zamigotał i delikatnie zadrżał, przecząc swojej masie, i wietrzyk zmierzwił włosy na ramieniu Nebogipfela. Morlok szybko cofnął rękę. Spojrzałem na śruby, powtarzając w myśli prostą czynność, która polegała na wyjęciu dźwigni z kieszeni i zamontowaniu ich na śrubach. To potrwa niespełna sekundę! Czy zdążę to zrobić, nim Nebogipfel za pomocą swoich zielonych promieni pozbawi mnie przytomności?

Otaczała mnie ciemność, a odór Morloka był silny. Za chwilę, pomyślałem w przypływie niepohamowanej energii, może ucieknę od tego wszystkiego.

– Czy coś się stało?

Nebogipfel obserwował mnie swoimi wielkimi, ciemnymi oczami, a jego ciało było wyprostowane i naprężone. Najwyraźniej coś podejrzewał! Czy się zdradziłem? Wiedziałem,

że w otaczających mnie ciemnościach już uniesiono w moim kierunku lufy niezliczonych karabinów, miałem zaledwie kilka sekund, by uciec śmierci!

Krew łomotała mi w uszach – wyjąłem dźwignie z kieszeni – i z okrzykiem rzuciłem się do wehikułu. Wcisnąłem małe pręty na śruby i jednym ruchem szarpnąłem dźwignie do tyłu. Wehikuł zadrżał – w tej ostatniej chwili świadomości ujrzałem zielony błysk i pomyślałem, że przepadłem! – a potem gwiazdy zniknęły i wokół mnie zapanowała cisza. Doznałem niezwykłego uczucia skręcania, a potem tego straszego spadania, powitałem jednak tę niewygodę z radością, ponieważ było to znajome uczucie podróżowania w czasie!

Ryknąłem z całych sił. Udało mi się – podróżowałem z powrotem w czasie – byłem wolny!

... A potem poczułem na gardle jakiś chłód, coś miękkiego, jakby jakiś owad tam usiadł i zaszeleścił.

Uniosłem rękę do szyi i dotknąłem włosów Morloka!

Księga Druga

Paradoks

Zacisnąłem rękę na obejmującym mnie chudym przedramieniu i oderwałem je od szyi. Włochate ciało leżało rozwalone na niklowych i mosiężnych elementach wehikułu obok mnie, przy policzku miałem drobną twarz z goglami na oczach. Słodkawy, stęchły zapach Morloka był niezwykle silny!

– Nebogipfel!

Mówił słabym i zdławionym głosem, a jego pierś gwałtownie unosiła się i opadała. Czy był przestraszony?

– A więc uciekłeś. I to z taką łatwością...

Kiedy tak trzymał się kurczowo mojego wehikułu, wyglądał jak lalka ze szmat i końskiego włosia. Był przypomnieniem koszmarnego świata, z którego uciekłem. Jestem pewien, że mógłbym go zrzucić w jednej chwili, a jednak powstrzymałem rękę.

– Być może wy, Morlokowie, nie doceniliście mojej zdolności do działania – warknąłem do niego. – Ale ty, ty coś podejrzewałeś, prawda?

– Tak. W ostatniej chwili... Sądzę, że nauczyłem się interpretować nieświadomy język twojego ciała. Uświadomiłem sobie, że zamierzasz uruchomić maszynę, ledwie zdążyłem do ciebie dotrzeć, nim...

– Czy myślisz, że moglibyśmy się wyprostować? – szepnął po chwili. – Jest mi trochę niewygodnie i boję się, że spadnę

z maszyny.

Patrzył na mnie, kiedy rozważałem tę propozycję. Czułem, że muszę powziąć jakąś decyzję; czy miałem go zaakceptować jako drugiego pasażera wehikułu, czy też nie?

Nie byłbym w stanie zrzucić go, znałem samego siebie na tyle dobrze, by to wiedzieć!

– W porządku.

Tak więc my obaj, Czasowi Argonauci, wykonaliśmy akrobacje w płataninie części mojego wehikułu. Trzymałem Nebogipfela za ramię – by uchronić go przed upadkiem i dopilnować, aby nie próbował sięgnąć do urządzeń sterowniczych wehikułu – i obróciłem się, aż usiadłem wyprostowany na siodełku. Nawet w młodości nie odznaczałem się zwinnością, więc kiedy już udało mi się osiągnąć ten cel, byłem zziębnięty i rozdrażniony. Tymczasem Nebogipfel usadowił się w wygodnym miejscu na moim wehikule.

– Dlaczego za mną poszedłeś, Nebogipfelu?

Morlok zapatrzył się w ciemność, na rozcieńczony krajobraz – efekt podróżowania w czasie – i nic nie odrzekł.

Mimo to pomyślałem, że go rozumiem. Przypomniałem sobie jego ciekawość i zdumienie, kiedy mu opisałem przyszłość podczas naszej wspólnej międzyplanetarnej podróży w kapsule. Morlok wdrapał się za mną odruchowo – by odkryć, czy podróżowanie w czasie jest naprawdę możliwe – i był to odruch spowodowany ciekawością, którą tak jak ja odziedziczył po małpie! Poczułem się tym jakoś wzruszony i nastawiłem się bardziej życzliwie do Nebogipfela. Ludzkość bardzo się zmieniła w ciągu dzielących nas lat, ale oto miałem dowód, że ciekawość, ten nieubłagany pęd do wiedzy – i towarzysząca mu lekkomyślność – nie wymarła całkowicie.

A potem wskoczyliśmy w światłość – zobaczyłem nad głową demontaż Sfery – wehikuł zalało nagie światło słoneczne i Nebogipfel zawył.

Odrzuciłem gogle. Odsłonięte Słońce z początku nieruchomo wisiało na niebie, ale niebawem zaczęło dryfować ze swojej ustalonej pozycji; coraz szybciej przesuwało się łukiem na nieboskłonie i na Ziemię powróciło trzepotanie dni i nocy. Wreszcie Słońce przemykało po niebie zbyt szybko, by je śledzić, przemieniło się we wstęgę światła, a zmianę dni i nocy zastąpił jednorodny, dość zimny, perlisty blask. Regulacja osi i rotacja Ziemi zostały „cofnięte”.

Morlok skulił się, przyciskając twarz do piersi. Miał na oczach gogle, ale ich ochrona wydawała się niewystarczająca; próbował zagrzebać się we wnętrzu wehikułu i jego plecy odbijały się białym kolorem w rozproszonym świetle słonecznym.

Nie mogłem się powstrzymać od śmiechu. Przypomniałem sobie, jak zapomniał mnie ostrzec, kiedy nasza kapsuła wypadła ze Sfery w przestrzeń kosmiczną: cóż, oto była kara!

– Nebogipfelu, to tylko światło słoneczne.

Nebogipfel podniósł głowę. W rozjaśnionym świetle jego gogle ściemniały tak, że były prawie nieprzenikliwe; włosy na jego twarzy były splątane i wydawały się wilgotne od łez. Ciało Morloka, widoczne przez włosy, pobłyskiwało szaro-białą barwą.

– Nie chodzi tylko o moje oczy – wyjaśnił. – Nawet takie rozproszone światło sprawia mi ból. Kiedy się wyłonimy w pełnym blasku słońca...

– Poparzenie słoneczne! – wykrzyknąłem. Po tylu latach ciemności ten Morlok był bardziej bezbronny, nawet w słabym słońcu Anglii, niż najbledszy rudzielec byłby w tropiku. Zdjąłem

marynarkę. – Proszę – powiedziałem. – To powinno ci pomóc.

Nebogipfel okrył się moją częścią garderoby, kuląc się pod jej fałdami.

– A zresztą – dodałem – kiedy zatrzymam wehikuł, dopilnuję, żebyśmy przybyli w nocy, aby znaleźć dla ciebie schronienie.

Kiedy o tym pomyślałem, uświadomiłem sobie, że przybycie w nocy i tak będzie dobrym pomysłem: świetnie bym wyglądał, pojawiając się na Richmond Hill z tym potworem z przyszłości, w środku tłumu gapiących się spacerowiczów!

Wieczna zieleń wycofała się ze zbocza wzgórza i wróciliśmy do cyklu pór roku. Rozpoczęliśmy powrotne przejście przez Wiek Wielkich Budowli, który opisałem już wcześniej. Z marynarką narzuconą na głowę Nebogipfel patrzył z jawną fascynacją, gdy mosty i słupy przesunęły się nad migoczącym krajobrazem jak mgiełka. Jeśli chodzi o mnie, czułem ogromną ulgę, że zbliżamy się do mojego stulecia.

Nagle Nebogipfel syknął – był to dziwny, koci odgłos – i przycisnął się bardziej do wehikułu. Jego olbrzymie oczy patrzyły przed siebie nieruchomo.

Odwróciłem się od niego i zdałem sobie sprawę, że niezwykle efekty optyczne, które zaobserwowałem podczas wyprawy do roku Pańskiego 657 208, znów stają się wyraźne. Wydawało mi się, że widzę gwiazdne pola, jaskrawe i zatłoczone, które próbują się przebić przez otaczającą mnie zewsząd rozcieńczoną powierzchnię materii... I nagle, kilka jardów przed wehikułem zawisł Obserwator: mój niewiarygodny towarzysz. Utkwił we mnie wzrok i chwyciłem się poręczy. Spojrzałem na tę karykaturę ludzkiej twarzy i zwisające macki i znów uderzyło mnie podobieństwo do sflaczałego stworzenia, które widziałem na plaży odległej w czasie o trzydzieści milionów lat.

To dziwne, ale moje gogle, które były takie przydatne w ciemnościach Morloków, w ogóle mi nie pomagały, kiedy przyglądałem się temu stworowi; nie widziałem go wyraźniej, niż gdybym oglądał go gołym okiem.

Do mojej świadomości dotarło ciche mamrotanie przypominające skowyt. Pochodziło od Nebogipfela, który trzymał się kurczowo swojego miejsca w wehikule, okazując jednoznacznie swoje cierpienie.

– Nie musisz się bać – powiedziałem trochę niezręcznie. – Już ci mówiłem o moim spotkaniu z tą istotą w drodze do twojego stulecia. To dziwny widok, ale stwór wydaje się nieszkodliwy.

Drżąc i skomląc, Nebogipfel powiedział:

– Nie rozumiesz. To, co widzimy, jest przecież niemożliwe. Twój Obserwator najwyraźniej potrafi przekraczać korytarze – przechodzić między potencjalnymi wersjami historii... a nawet wkraczać w trajektorie podróżującego wehikułu czasu. To jest po prostu niemożliwe!

Potem – z taką łatwością jak powstał – gwiazdny blask zniknął i mój Obserwator stał się niewidzialny, a wehikuł pomknął dalej w przeszłość.

W końcu powiedziałem ostro do Morloka:

– Musisz to zrozumieć, Nebogipfelu: po tej ostatniej podróży nie mam zamiaru więcej wracać do przyszłości.

Zacisnął długie palce na rozporkach wehikułu.

– Wiem, że nie mogę wrócić – powiedział. – Wiedziałem to już wtedy, gdy rzuciłem się na maszynę. Nawet gdybyś zamierzał wrócić do przyszłości...

– Tak?

– Ponowny powrót twojej maszyny przez czas musi spowodować kolejną, nieprzewidywalną deformację Historii. –

Odwrócił się do mnie, ukazując olbrzymie oczy za goglami. – Rozumiesz? Moja historia, mój dom przepadły, być może uległy zniszczeniu. Stałem się uciekinierem w czasie... Tak jak ty.

Jego słowa zmroziły mnie. Czy to możliwe, że ma rację? Czy to możliwe, że tą nową ekspedycją wyrządzam kolejną szkodę strupieszalej Historii, nawet kiedy tu siedzę?

Umocniłem się w postanowieniu, by to wszystko naprawić – by położyć kres destrukcyjności wehikułu czasu!

– Ale jeśli o tym wszystkim wiedziałeś, to twoje lekkomyślne podążanie moim śladem było ogromnym szaleństwem...

– Być może. – Mówił przytłumionym głosem, gdyż chował głowę pod ramionami. – Ale widoki, które już zobaczyłem – podróżowanie w czasie – zgromadzenie takich informacji... Nikt z mojego gatunku nie miał nigdy takiej okazji!

Umilkł i nabrałem do niego większej sympatii. Zastanawiałem się, jak sam bym zareagował, gdyby mi dano choćby cień takiej szansy – tak jak temu Morlokowi.

Chronometryczne tarcze dalej biegły wstecz i zauważyłem, że zbliżamy się do mojego stulecia. Świat przybrał bardziej swojskie kształty: Tamiza była mocno osadzona w swoim starym korycie, a nad nią wyrosły mosty, które wydały mi się znajome.

Popchnąłem dźwignie. Słońce stało się odrębnym obiektem, który przelatywał nad naszymi głowami jak żarząca się kula, a mijanie nocy przemieniło się w dostrzegalne migotanie. Dwie chronometryczne tarcze już znieruchomiały; tylko tysiące dni – zaledwie kilka lat – pozostały do pokonania.

Uświadomiłem sobie, że wokół mnie okrzepło Richmond Hill, mniej więcej w takiej postaci, jaką pamiętałem z własnych czasów. Dzięki temu, że wskutek mojej podróży przesłaniające widok drzewa zostały zredukowane do przejściowej,

przezroczystej zasłony, dość dobrze zobaczyłem łąki Petersham i Twickenham, które pocętkowane były kępami starożytnych drzew. To wszystko było pokrzepiające i znajome, chociaż moja prędkość przez czas była nadal taka duża, iż nie mogłem rozpoznać ludzi, jeleni, krów, czy innych mieszkańców wzgórza, a migotanie dni i nocy nadawało całemu krajobrazowi nienaturalny blask. Pomijając to wszystko, byłem prawie w domu!

Obserwowałem tarcze, kiedy wskazówka z tysięcy zbliżyła się do zera – przy zerze znajdował się mój dom i potrzeba było całej mojej determinacji, by nie zatrzymać wehikułu w tamtym momencie, ponieważ w najwyższym stopniu pragnąłem powrócić do własnego roku – ale trzymałem dźwignie przyciśnięte wstecz i obserwowałem, jak tarcze obracają się dalej w kierunku ujemnym.

Wokół mnie migotało wzgórze za dnia i nocy, tu i ówdzie pojawiała się kolorowa plama, gdy jakaś grupa piknikowa pozostawała na trawie dość długo, bym mógł ją zobaczyć. Wreszcie przy odczycie na tarczy sześć tysięcy pięćset sześćdziesiąt dni przed moim wyjazdem znów napałem na dźwignie.

Zatrzymałem wehikuł czasu w odmętach pochmurnej, bezksiężycowej nocy. Jeśli dobrze obliczyłem, wylądowałem w lipcu 1873 roku. Przez morłokowe gogle na oczach zobaczyłem zbocze wzgórza i brzeg rzeki, a także pobłyskującą na trawie rosę; zobaczyłem też, że – pomimo tego, iż Morłokowie ustawili mój wehikuł na otwartej przestrzeni zbocza wzgórza, pół mili od mojego domu – nie było żadnego świadka mojego przybycia. Zalały mnie dźwięki i zapachy mojego stulecia: ostry aromat

drewna płonącego gdzieś na jakimś ruszcie w piecu, odległy szmer Tamizy, szelest wiatru przebiegającego przez drzewa, zapach płonących lamp naftowych przy wózkach domokrążców. To wszystko było rozkoszne, znajome i niezwykle uspokajające!

Nebogipfel wstał ostrożnie. Już wcześniej wsunął ręce w rękawy mojej marynarki i teraz ta ciężka część garderoby wisiała na nim jakby był dzieckiem.

– Czy to rok 1891? – zapytał.

– Nie – odparłem.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że cofnąłem nas dalej w czasie. – Zerknąłem na wzgórze w kierunku mojego domu. – Nebogipfelu, w tamtym laboratorium zuchwały młodzieniec rozpoczyna serię eksperymentów, które w końcu doprowadzą do stworzenia wehikułu czasu...

– Chcesz powiedzieć...

– Że jest rok 1873 i spodziewam się, że wkrótce spotkam samego siebie w młodości!

Jego twarz, w goglach i bez podbródka, obróciła się w moim kierunku z czymś, co wydawało się zdumieniem.

– A teraz chodź, Nebogipfelu, i pomóż mi znaleźć kryjówkę dla tej maszyny.

Nie potrafię opisać, jak dziwne wydawało mi się spacerowanie nocą wzdłuż Petersham Road i na koniec dotarcie do własnego domu z Morlokiem przy boku!

Dom był stojącym na skraju szeregowcem, z wielkimi, wykuszowymi oknami, mało ambitnymi rzeźbami wokół futryny i werandą z pseudogreckimi filarami. Na przodzie znajdował się mały placyk ze schodami biegnącymi do piwnicy, odgradzony cienkimi, pomalowanymi na czarno, metalowymi barierkami. Przypominało to imitację naprawdę wspaniałych domów na Green lub w Terrace na szczycie Hill; pomimo to jednak był to duży, przestronny, wygodny dom, który kupiłem okazji w młodości i z którego nie chciałem się odtąd w ogóle wyprowadzać.

Minąłem frontowe drzwi i poszedłem na zaplecze domu. Na tyłach znajdowały się balkony z delikatnymi, żelaznymi, pomalowanymi na biało pilastrami, dając widok na zachodnią stronę. Rozpoznałem okna palarni i jadalni, które były teraz ciemne (przyszło mi do głowy, że nie jestem pewien, jaka jest pora nocy), ale uświadomiłem sobie, że czegoś brakuje na tyłach palarni. Chwilę trwało, nim przypomniałem sobie, co tu powinno być – niespodziewaną nieobecność czegoś znacznie trudniej wykryć od niestosownej obecności. Chodziło o łazienkę, którą miałem tu wybudować później. Tutaj, w roku 1873, nadal byłem

zmuszony myć się w niasiadówce, którą przynosił mi do sypialni służący!

W nieproporcjonalnej cieplarni wystającej z zaplecza domu znajdowało się moje laboratorium, gdzie – jak zobaczyłem z dreszczykiem oczekiwania – nadal płonęło światło. Wszyscy zaproszeni na obiad goście już poszli i służący również dawno udali się na spoczynek; mimo to jednak on – ja! – nadal pracował.

Doznałem mieszanych uczuć, których, jak sobie wyobrażam, nie poznał przede mną jeszcze nikt; oto był mój dom, a jednak nie mogłem rościć sobie do niego żadnych praw!

Powróciłem do frontowych drzwi. Nebogipfel stał trochę dalej na pustej drodze; wydawało się, że nie ma ochoty zbliżyć się do schodów, gdyż prowadziły one do czeluści, która była czarna jak sadza, nawet gdy miało się gogle.

– Nie musisz się bać – powiedziałem. – To całkiem normalne, że w takich domach kuchnie i tym podobne pomieszczenia znajdują się pod ziemią... Schody i poręcze są dość mocne.

Nebogipfel, nieprzenikniony za swoimi goglami, sprawdził podejrzliwie schody. Przypuszczałem, że jego ostrożność wynika z niewiedzy na temat solidności dziewiętnastowiecznej techniki – zapomniałem, jak dziwna musiała mu się wydawać moja prymitywna era – tym niemniej coś w jego postawie zaniepokoiło mnie.

Przypomniał mi się i wprowadził mnie w zakłopotanie dziwny epizod z dzieciństwa. Dom, w którym dorastałem, był duży i rozbudowany – właściwie niepraktyczny – i posiadał podziemne przejścia, które biegły od domu do stajni, spiżarni i tym podobnych: takie przejścia są dość powszechnie spotykane w takich wiekowych domach. W przerwach powstawiano w ziemię kraty: czarne, okrągłe płyty, które zakrywały szyby

wentylacyjne prowadzące do tych przejść. Przypomniałem sobie teraz, jak w dzieciństwie bałem się tych zamkniętych w ziemi jam. Może to i były zwykłe kanały wentylacyjne, ale co by się stało – podpowiadała mi moja dziecięca wyobraźnia – gdyby jakaś koścista ręka wysunęła się wijącym ruchem spod tych szeroko rozstawionych prętów i złapała mnie za kostkę?

Przyszło mi teraz do głowy – przypuszczam, że powodem tego wszystkiego była ostrożność Nebogipfela – że między tamtymi szybami w ziemi z mojego dzieciństwa i złowieszczymi studniami Morloków istnieje jakieś podobieństwo... Czy to właśnie dlatego zaatakowałem tamto morlokowe dziecko w roku Pańskim 657 208?

Nie jestem człowiekiem, który lubi analizować swoją naturę! Toteż bez uzasadnienia warknąłem do Nebogipfela:

– A zresztą, myślałem, że wy, Morlokanie, żyjecie w ciemności!

Odwróciłem się od niego i podszedłem do frontowych drzwi.

Wszystko było takie znajome, a jednak niepokojąco inne. Już na pierwszy rzut oka dostrzegłem tysiąc drobnych zmian, które nastąpią w ciągu następnych osiemnastu lat mojego życia. Na przykład było tam wygięte w dół nadproże, które później wymieniłem, i wolne miejsce, w którym za namową pani Watchets zamontowałem kiedyś łukowatą oprawę lampową.

Znów uświadomiłem sobie, cóż to była za niezwykła sprawa z tym podróżowaniem w czasie! Człowiek mógłby się spodziewać dramatycznych zmian – i właśnie takie odkryłem – podczas wyprawy przez tysiące wieków, ale nawet po tym małym skoku, niespełna dwadzieścia lat wstecz, rzeczywistość wydawała się anachroniczna.

– Co mam zrobić? Zaczekać na ciebie?

Spojrzałem na Nebogipfela, który do tej pory stał w milczeniu obok mnie. Z goglami na oczach i nadal okutany w moją marynarkę wyglądał komicznie, a równocześnie jakoś przerażająco!

– Sądzę, że bezpieczniej będzie, jeśli nie pozostaniesz na zewnątrz. Co by było, gdyby zauważył cię policjant? Mógłby cię uznać za jakiegoś dziwnego włamywacza. – Bez swojej morlokowej maszynerii Nebogipfel był całkowicie bezbronny; wybrał się w podróż po historii tak samo nie przygotowany, jak ja to zrobiłem podczas mojego pierwszego wypadu. – A co z psami i kotami? – Ciekawe, jak przeciętny kocur z siedemdziesiątych lat dziewiętnastego wieku potraktowałby Morloka. Pewnie zrobiłby sobie z niego świetną ucztę... – Nie, Nebogipfelu. Uważam, że w sumie byłoby bezpieczniej, gdybyś pozostał przy mnie.

– A ten młody człowiek, którego chcesz odwiedzić? Jak zareaguje?

Westchnąłem.

– No cóż, zawsze słyszałem z otwartego i elastycznego umysłu. A przynajmniej tak lubię o sobie myśleć! Być może wkrótce się o tym przekonani. Zresztą, twoja obecność może przekonać mnie – jego – o prawdziwości mojej relacji.

I nie wahając się ani chwili dłużej, pociągnąłem za dzwonek.

Z wnętrza domu dobiegł mnie odgłos zatraskiwanych drzwi i rozdrażniony krzyk: „W porządku otworzę!” a potem stukot kroków na krótkim korytarzu łączącym moje laboratorium z resztą domu.

– To ja – syknąłem do Nebogipfela. – On. Musi już być późno. Służący śpią.

Rozległ się szcęk klucza w zamku.

– Twoje gogle – syknął Nebogipfel.

Szybko zdjąłem rażące anachronizmem okulary i wepchnąłem je do kieszeni w spodniach, dokładnie w chwili, gdy otworzyły się drzwi.

Przed nami stał młodzieniec; jego twarz, w świetle świeczki, którą trzymał w ręku, lśniła jak księżyc. Obrzucił mnie pobieżnym spojrzeniem, a Nebogipfelowi poświęcił jeszcze mniej uwagi. (To tyle, jeśli chodzi o zdolność obserwacji, którą tak wysoko sobie ceniłem!)

– Czegóż to, u diabła, chcecie? Jest już po pierwszej nad ranem.

Otworzyłem usta, żeby się odezwać, ale krótka mowa wstępna, którą sobie wcześniej przećwiczyłem, wyleciała mi z głowy.

Tak oto stanąłem oko w oko ze sobą, gdy miałem dwadzieścia sześć lat!

Przekonałem się, że wszyscy bez wyjątku wykorzystujemy lustro do tego, by się oszukiwać. Oglądane w nim odbicie jest w tak dużym stopniu pod naszą kontrolą: patrzymy łaskawym okiem na swoje zalety, nawet nieświadomie, a złe nawyki korygujemy w taki sposób, że nawet nasz najbliższy przyjaciel by nas nie poznał. No i oczywiście nic nas nie zmusza do tego, byśmy patrzyli na siebie z mniej korzystnych stron: na przykład od tyłu lub z profilu, gdy nasz wydatny nos widać w całej okazałości.

No cóż, oto miałem przed sobą odbicie, które w ogóle nie było pod moją kontrolą – i wywołało to u mnie niepokój.

Był naturalnie mojego wzrostu: z zaskoczeniem stwierdziłem, że jedyna drobna różnica między nami polegała na tym, iż w ciągu osiemnastu dzielących nas lat trochę się skurczyłem. Miał dziwne czoło: osobliwie szerokie, co wielu ludzi wytykało mi nieżyczliwie przez całe życie, i pokryte rzadkimi, mysimi włosami, które jeszcze nie zaczęły się cofać ani wykazywać śladów siwizny. Jego oczy były jasnoszare, nos prosty, szczęki silne – ale nigdy nie zaliczałem się do przystojniaków. Był z natury blady, co spotęgowało się wskutek godzin, które od szkolnych lat spędził w bibliotekach, gabinetach, klasach i laboratoriach.

Poczułem bliżej nie sprecyzowaną odrazę: rzeczywiście było

we mnie coś z Morloka! I czy zawsze miałem takie odstające uszy?

Mój wzrok jednak przyciągnęło ubranie. Ubranie!

Miał na sobie coś, co pamiętałem jako strój dandysa: krótką, jaskrawoczerwoną marynarkę, żółto-czarną kamizelkę z ciężkimi, mosiężnymi guzikami, wysokie żółte buty i bukiet dla ozdoby w klapie marynarki.

Czyja rzeczywiście kiedykolwiek nosiłem takie rzeczy? Musiałem! Ale trudno mi było wyobrazić sobie cokolwiek, co bardziej by odbiegało od mojego aktualnego stonowanego stylu ubierania się.

– Niech to licho porwie – nie mogłem się powstrzymać – ubrał się pan jak cyrkowy klaun!

Wydawał się zbity z tropu – najwidoczniej dostrzegł coś dziwnego w mojej twarzy – ale odpowiedział dość rezolutnie:

– Być może powinienem zamknąć panu drzwi przed nosem. Czy wdrapał się pan na to wzgórze tylko po to, żeby mi ubliżyć z powodu ubrania?

Dostrzegłem, że jego bukiet jest dość przywiedły i wydawało mi się, że wyczuwam w jego oddechu zapach brandy.

– Czy dziś jest czwartek? – zapytałem.

– To bardzo dziwne pytanie. Powinienem...

– Tak?

Uniósł świeczkę i spojrzał mi w twarz. Tak był zafascynowany mną – własnym ja, które niezbyt jasno pojmował – że zignorował Morloka: człekopodobną istotę z odległej przyszłości, która stała nie dalej niż dwa jardy od niego! Zastanawiałem się, czy w tej scenie nie kryje się jakaś niezdarna metafora: czy w ostatecznym rozrachunku nie wyruszyłem w czas tylko po to, by odnaleźć samego siebie?

Nie miałem jednak czasu na ironię i poczułem się dość zakłopotany, że w ogóle sformułowałem taką literacką myśl!

– Tak się składa, że dziś jest czwartek. A raczej był, bo teraz mamy wczesne godziny piątku. I co z tego? I przede wszystkim, dlaczego pan o tym nie wie? Kim pan w ogóle jest?

– Powiem panu, kim jestem – odparłem. – I – wskazałem Morloka, na co nasz niechętny gospodarz otworzył szerzej oczy – kim on jest. I dlaczego nie mam pewności, która jest godzina, czy nawet jaki jest dziś dzień. Najpierw jednak... Czy możemy wejść do środka? Chętnie bym skosztował pańskiej brandy.

Stał w miejscu przez około pół minuty. Knot świeczki w kałuży wosku sypał iskry. Usłyszałem westchnienie Tamizy w oddali, gdy rzeka mijała ospale mosty w Richmond. W końcu odpowiedział:

– Powinienem wyrzucić was na ulicę! Ale...

– Wiem – powiedziałem łagodnie. Popatrzyłem na mojego młodszego odpowiednika z pobłażaniem; zawsze byłem skory do snucia gorączkowych domysłów i mogłem sobie wyobrazić, jakie to szalone hipotezy już kiełkują w tamtym płodnym, niezdyscyplinowanym umyśle!

Powziął decyzję. Odsunął się od drzwi.

Dałem znak Nebogipfelowi, żeby ruszył naprzód. Morlok, którego stopy były gołe z wyjątkiem warstwy włosów, stąpał cicho po parkiecie w holu. Mój młodszy odpowiednik popatrzył na Morloka – Nebogipfel odwzajemnił spojrzenie z zainteresowaniem – i powiedział:

– Jest... eee... późno. Nie chcę budzić służących. Chodźcie do jadalni; tam jest prawdopodobnie najcieplej.

W holu panowała ciemność; dolna część ściany o charakterze cokołu była właśnie malowana, a powyżej znajdował się rząd

wieszaków na kapelusze. Światło świeczki powodowało, że szeroka czaszka naszego niechętnego gospodarza wyglądała jak ciemny kontur, kiedy wprowadzał nas przez drzwi do palarni. W jadalni nadal żarzyły się węgle w kominku. Nasz gospodarz zapalił świeczki od tej, którą niósł, i w pomieszczeniu zrobiło się jasno, gdyż znajdowało się tam kilkanaście świec: dwie w pojedynczych, mosiężnych świecznikach na gzymsie, między którymi wygodnie stał sobie pękaty słoik z tytoniem, a reszta w lichtarzach.

Rozejrzałem się po tym ciepłym i wygodnym pokoju – tak znajomym, a jednak tak odmiennym z powodu bardzo subtelnych zmian w ustawieniu mebli i wystroju! Przy drzwiach stał stolik ze stosem gazet – bez wątpienia obfitujących w ponure analizy najnowszych oświadczeń pana Disraeli, lub być może jakieś strasznie nudne artykuły na temat kwestii wschodniej – a w pobliżu kominka stał mój niski i wygodny fotel. Ale po moim komplecie ośmiokątnych stolików i lampkach żarowych ze srebrnymi ozdobami w kształcie lilii nie było śladu.

Gospodarz podszedł do Morloka. Pochylił się do przodu, opierając ręce na kolanach.

– Co to jest? Wygląda jak jakaś mała lub zdeformowane dziecko. Czy to coś ma na sobie pańską marynarkę?

Obruszyłem się, słysząc taki ton i zdziwiłem się, że tak zareagowałem.

– „To coś” – powiedziałem – to prawdę mówiąc „on”. I potrafi sam za siebie mówić.

– Doprawdy? – Zwrócił twarz w kierunku Nebogipfela. – Naprawdę potrafisz? Na wielkiego Scotta!

Patrzył dalej na owłosioną twarz biednego Nebogipfela, a ja stałem na dywanie w jadalni i usiłowałem nie zdradzać oznak

zniecierpliwienia – by nie rzec zażenowania – z powodu tego niegrzecznego zachowania.

Przypomniał sobie o obowiązkach gospodarza.

– Och – powiedział – przepraszam. Usiądźcie, proszę.

Opatulony swoją marynarką Nebogipfel stał na środku dywaniku przed kominkiem. Zerknął na podłogę, a potem rozejrzał się po pokoju. Wydawało się, że na coś czeka i po chwili zrozumiałem, o co chodzi. Morlok był tak przyzwyczajony do techniki swoich czasów, że czekał, aż mebel zostanie wytłoczony z dywanu! Choć później w trakcie naszej znajomości Morlok miał się wykazać sporą wiedzą i elastycznością umysłu, w tamtej chwili był tak zaskoczony, jak ja mógłbym być, gdybym szukał lamp gazowych na ścianie jakiejś jaskini w epoce kamiennej.

– Nebogipfelu – odezwałem się – to są prymitywniejsze czasy. Przedmioty są trwałe. – Wskazałem na stół jadalny i krzesła. – Musisz sobie wybrać jedno z nich.

Mój młodszy odpowiednik słuchał tych wyjaśnień z wyraźnym zainteresowaniem.

Po kilku sekundach dalszego wahania Morlok ruszył do jednego z masywniejszych krzeseł.

Znalazłem się tam przed nim.

– Właściwie nie to, Nebogipfelu – powiedziałem łagodnie. – Chyba nie byłoby ci wygodnie na tym krześle, widzisz, mogłoby spróbować zrobić ci masaż, a nie jest przystosowane do twojej wagi...

Gospodarz spojrział na mnie zaskoczony.

Pod moim kierunkiem – czułem się jak niezdarny rodzic, kiedy krzątałem się przy Morloku – Nebogipfel wysunął proste krzesło z pionowym oparciem i wdrapał się na nie; siedział na nim ze zwisającymi nogami, jak jakieś włochate dziecko.

– Skąd pan wiedział o moich aktywnych krzesłach? – zapytał gospodarz. – Pokazałem je zaledwie kilku przyjaciołom. Konstrukcja nawet nie jest jeszcze opatentowana...

Nie odpowiedziałem. Jedynie popatrzyłem mu dość długo w oczy. Dostrzegłem, że niezwykle odpowiedź na jego pytanie już kielkuje mu w umyśle.

Odwrócił spojrzenie.

– Niech pan usiądzie – powiedział do mnie. – Proszę. Przyniosę brandy.

Siedziałem z Nebogipfelem – przy własnym przeobrażonym stole jadalnym, w towarzystwie Morloka! – i rozglądałem się. W jednym narożniku jadalni na trójnogu stał stary, gregoriański teleskop, który przyniosłem z domu rodziców – prosty przyrząd, który dawał jedynie zamglony obraz, a jednak w dzieciństwie stanowił dla mnie okno na wspaniałe światy na niebie i na intrygujące cuda fizyki optycznej. A za tym pokojem znajdowało się ciemne przejście do laboratorium; drzwi do niego pozostawiono niedbale otwarte. Zaglądając w to przejście, zobaczyłem kuszący widok samego warsztatu: bezładnie leżącą aparaturę na stołach, rozłożone na podłodze arkusze rysunkowe i rozmaite narzędzia oraz urządzenia.

Powrócił do nas gospodarz; niósł niezdarnie trzy kieliszki do brandy i karafkę. Nalał trzy spore porcje; alkohol skrzył się w świetle świec.

– Proszę – powiedział. – Czy jest wam zimno? Czy mam rozpalić ogień?

– Nie – odrzekłem. – Dziękuję.

Uniosłem kieliszek, powąchałem brandy, a potem wziąłem alkohol na język.

Nebogipfel nie wziął swojego kieliszka. Zanurzył blady palec

w płynie, wyjął go i zlizął kroplę z koniuszka. Wydawało się, że zadrżał. Następnie odsunął delikatnie kieliszek od siebie, jakby znajdował się w nim najbardziej niezdrowy trunek, jaki można sobie wyobrazić!

Gospodarz obserwował to z zaciekawieniem, a potem, z wyraźnym wysiłkiem, odwrócił się do mnie.

– Jestem w niekorzystnym położeniu. Nie znam pana. Wygląda jednak na to, że pan mnie zna.

– Tak. – Uśmiechnąłem się. – Mam jednak pewien dylemat: nie wiem, jak mam pana nazywać.

Zmarszczył brwi i wyglądał na zaniepokojonego.

– Nie widzę w tym żadnego problemu. Nazywam się...

Uniosłem rękę; przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

– Nie. Będę stosował – za pozwoleniem – imię Moses.

Pociągnął spory łyk brandy i spojrzał na mnie z autentycznym gniewem w swoich szarych oczach.

– Skąd pan o tym wie?

Moses – moje znienawidzone pierwsze imię. Bez końca mi dokuczano w szkole z jego powodu i trzymałem je w tajemnicy, odkąd opuściłem dom!

– Nieważne – odrzekłem. – Nie zdradzę pańskiego sekretu.

– Niech pan posłucha, męczą mnie już te gierki. Zjawia się pan tu z pańskim... towarzyszem... i ubliża mi z powodu mojego ubrania. I nadal nie znam pańskiego nazwiska.

– Hmm – mruknąłem. – Być może jednak zna je pan.

Zacisnął długie palce wokół kieliszka. Wiedział, że dzieje się coś dziwnego i niezwykłego, tylko co? Bardzo wyraźnie zobaczyłem na jego twarzy mieszaninę podniecenia, niecierpliwości i lekkiego strachu, których tak często doznawałem w obliczu nieznanego.

– Proszę posłuchać – odezwałem się – jestem gotowy powiedzieć panu wszystko, co chce pan wiedzieć, tak jak obiecałem. Ale najpierw...

– Tak?

– Czułbym się zaszczycony, gdybym mógł zobaczyć pańskie laboratorium. I pewien jestem, że Nebogipfela też by to zaciekało. Proszę mi coś opowiedzieć o sobie – zaproponowałem. – Równocześnie dowie się pan o mnie.

Siedział przez chwilę, ściskając w ręku kieliszek. A potem szybkim ruchem napełnił ponownie nasze kieliszki, wstał i wziął świecę z gzymsu.

– Chodźcie za mną.

Niosąc świecę wysoko, poprowadził nas zimnym przejściem do laboratorium. Tych kilka sekund utkwiło mi żywo w pamięci: światło świecy rzucające olbrzymie cienie szerokiej czaszki Moseśa i jego marynarka oraz buty pobłyskujące w niepewnym świetle. Za moimi plecami stąpał cicho Morlok i w zamkniętej przestrzeni jego słodkawo-zgniły odór był silny.

W laboratorium Moses obszedł ściany i stoły, zapalając świece i lampy żarowe. Wkrótce zrobiło się tam jasno. Ściany były bielone i pozbawione ozdób – z wyjątkiem kilku notatek Moseśa, które przypinano tam w prymitywny sposób – a jedyna biblioteczka zapchana była czasopismami, tekstami norm i tomami tablic matematycznych oraz pomiarów fizycznych. Było tam zimno; będąc w samej koszuli, stwierdziłem, że drzę, i oplotłem się ramionami.

Nebogipfel podreptał do biblioteczki. Przykucnął i przyjrzał się badawczo podniszczonym grzbietom książek. Zastanawiałem się, czy umie czytać po angielsku, gdyż w Sferze nie widziałem śladu książek lub gazet, a napisy na wszechobecnych tam panelach z niebieskiego szkła były dla mnie obce.

– Nie mam specjalnej ochoty przedstawiać mojego życiorysu – odezwał się Moses. – Ani też – dodał ostrzejszym tonem – nie rozumiem jeszcze, dlaczego tak się mną pan interesuje. Chętnie jednak zagram w pańską grę. Przypuśćmy, że przedstawię panu

moje najnowsze eksperymentalne odkrycia. Co pan na to?

Uśmiechnąłem się. Jakie to było zgodne z moim – jego – charakterem: poświęcanie całej swojej uwagi bieżącej zagadce!

Podszedł do stołu, na którym stały bezładnie stojaki do retort, lampy, kraty i soczewki.

– Byłbym wdzięczny, gdyby niczego pan tu nie dotykał. To może się wydawać bezładem, ale zapewniam, że jest w tym pewna metoda! Mogę panu powiedzieć, że muszę się piekielnie starać, by nie dopuszczać tu pani Penforth z jej ścierkami oraz szczotkami.

Pani Penforth? Chciałem odruchowo zapytać o panią Watchets, przypomniałem sobie jednak, że pani Penforth była poprzedniczką pani Watchets. Zwolniłem ją jakieś piętnaście lat przed moją wyprawą w czas, po tym, jak ją przyłapałem na podkradaniu przemysłowych diamentów z moich niewielkich zapasów. Pomyślałem odruchowo, żeby ostrzec przed tym Moseśa, ale kradzież nie wyrządziła mi poważniejszej szkody. I – pomyślałem z dziwnie ojcowskim nastawieniem wobec mojego młodszego wcielenia – Moses prawdopodobnie odniesie korzyść z tego, że od czasu do czasu bardziej się zainteresuje sprawami domowymi, a nie zostawi wszystkiego przypadkowi!

– Moją dziedziną jest fizyka optyczna – ciągnął Moses – to znaczy fizyczne właściwości światła, które...

– Wiemy – wtrąciłem łagodnie.

Zmarszczył czoło.

– W porządku. No cóż, ostatnio zaprzęta mi głowę dziwna łamigłówka. Chodzi o pewien minerał, którego próbkę zdobyłem przypadkowo przed dwoma laty. – Pokazał mi zwykłą ośmiuncjową fiolkę z podziałką, zatkaną gumowym korkiem. Buteleczka była do połowy wypełniona miłkim, zielonkawym

proszkiem, który dziwnie lśnił.

– Czy widzi pan, jak ta substancja słabo prześwieca, jakby żarzyła się od wewnątrz?

I faktycznie materiał świecił, jakby się składał z drobinek szkła.

– Ale gdzie – ciągnął Moses – jest źródło energii tego świecenia? Tak więc rozpocząłem badania – z początku w wolnych chwilach, gdyż mam inne prace na głowie. Zależny jestem od datków i prowizji, które z kolei zależne są od wyników moich badań. Nie mam czasu gonić za chimerami... Ale później – przyznał – ten plattneryt zaczął mi zabierać coraz większą część mojego czasu, gdyż tak właśnie postanowiłem nazwać tę substancję, na cześć tajemniczego jegomościa, który mi ją podarował – Gottfrieda Plattnera.

– Nie jestem chemikiem – mówił dalej. – Nawet w zakresie trzech podstawowych gazów moja praktyczna wiedza chemiczna zawsze była trochę powierzchowna. Mimo to zabrałem się ochoczo do pracy. Kupiłem próbówki, butlę gazową i palniki, papierek lakmusowy i całą resztę kuchennego oprzyrządowania. Wsypałem zielony proszek do probówek, zalałem go wodą i kwasami – siarkowym, azotowym i solnym – ale niczego się nie dowiedziałem. Następnie wysypałem to wszystko na płytkę i potrzymałem nad palnikiem gazowym. – Potarł sobie nos. – Wybuch, który nastąpił, rozbił świetlik i strasznie poharatał jedną ścianę.

Chodziło o południowo-zachodnią ścianę i teraz – nie mogłem się od tego powstrzymać – zerknąłem w tamtym kierunku, ale nie było żadnych śladów, gdyż naprawę przeprowadzono gruntownie. Moses dostrzegł moje spojrzenie z zaciekawieniem, gdyż nie powiedział, która ściana została uszkodzona.

– Po tym niepowodzeniu – kontynuował – nadal nie zbliżyłem się do odkrycia tajemnicy plattnerytu. Jednak potem – ożywił się – zacząłem podchodzić do sprawy trochę bardziej logicznie. Przeświecanie to przecież zjawisko optyczne. Tak więc – rozumowałem – być może kluczem do tajemnicy plattnerytu nie były właściwości chemiczne, lecz optyczne.

Poczułem osobliwe zadowolenie – pewnego rodzaju szacunek dla samego siebie – kiedy usłyszałem to podsumowanie własnych procesów myślowych! I zobaczyłem, że Mosesowi sprawia przyjemność własna narracja: zawsze lubiłem opowiadać dobrą historię, obojętne jakiej publiczności; myślę, że jest we mnie coś z showmana.

– Tak więc odsunąłem na bok sprzęt do szkolnych eksperymentów chemicznych – ciągnął Moses – i rozpocząłem nową serię testów. I bardzo szybko natrafiłem na zaskakujące anomalie: dziwaczne wyniki dotyczące współczynnika załamania plattnerytu – który, o czym być może pan wie, zależy od prędkości światła w danej substancji. I okazało się, że zachowanie promieni świetlnych przechodzących przez plattneryt jest wysoce osobliwe. – Odwrócił się do stołu, na którym przeprowadzał eksperyment. – Proszę spojrzeć, oto najbardziej wyraźna demonstracja optycznych osobliwości plattnerytu, jaką zdołałem wymyślić.

Moses wykorzystał do testu trzy przedmioty ustawione w jednej linii. Znajdowała się tam lampa elektryczna z zakrzywionym lusterkim i, być może w odległości jarda, biały ekran utrzymywany w pionowej pozycji przez stojak do retorty; między nimi, przytrzymywany przez zaciski do innej retorty, stał arkusz z tektury, który nosił ślady drobnych nacięć. Obok lampy leżały przewody, które ciągnęły się do ogniwa

elektromotorycznego pod stołem.

Cały układ był bardzo prosty: zawsze dążyłem do jak najprostszej demonstracji jakiegokolwiek nowego zjawiska, aby bardziej skupić uwagę na samym zjawisku, a nie na ułomnościach wyposażenia wykorzystywanego przy eksperymencie lub – zawsze jest to możliwe – jakimś oszustwie eksperymentatora.

Teraz Moses zwarł włącznik i zapaliła się lampa, w oświetlonym przez świecę pomieszczeniu przypominała żółtą gwiazdkę. Tekturowy arkusz osłaniał ekran przed światłem, z wyjątkiem przyćmionego, centralnego blasku, który rzucały promienie przepuszczane przez szczeliny w arkuszu.

– Światło sodowe – wyjaśnił Moses. – Ma prawie czysty kolor, w przeciwieństwie do, powiedzmy, białego światła słonecznego, które jest mieszaniną wszystkich kolorów. To zwierciadełko za lampą jest paraboliczne i dlatego rzuca całe światło lampy w kierunku ustawionej pośrodku tektury.

Pokazał palcem tory promieni świetlnych biegnące w kierunku tektury.

– Na tekturze naciąłem dwie szczeliny. Szczeliny oddalone są od siebie o ułamek cala, ale struktura światła jest tak drobna, że i tak szczeliny oddalone są od siebie o jakieś trzysta długości fali. Promienie wyłaniają się z dwóch szczelin – nadal pokazywał palcem – i biegną dalej do ekranu. Teraz promienie z dwóch szczelin nakładają się na siebie – ich grzbiety i doliny wzajemnie się wzmacniają i kasują w kolejnych miejscach. – Spojrzał na mnie niepewnie. – Wie pan, o co chodzi? Podobny efekt można by uzyskać, upuszczając dwa kamienie do spokojnej wody w stawie i obserwując, jak rozszerzające się fale łączą się ze sobą...

– Rozumiem.

– No cóż, tak samo te fale światła – drobne fale w eterze – nakładają się na siebie i tworzą wzór, który można zaobserwować tutaj, na tym ekranie. – Wskazał na łatę żółtego światła, które docierało do ekranu za szczelinami. – Widzi pan? Właściwie potrzeba lupy – w samym środku można zobaczyć jasne i ciemne prążki, które ułożone są na przemian co kilka dziesiątych cala. Cóż, są to miejsca, gdzie łączą się promienie z dwóch szczelin.

Moses wyprostował się.

– Ta interferencja to dobrze znany efekt. Taki eksperyment często jest stosowany w celu ustalenia długości fali światła sodowego – jest równa jednej pięćdziesiątysięcznej części cala, jeśli to pana interesuje.

– A co z plattnerytem? – zapytał Nebogipfel.

Moses wzdrygnął się, słysząc płynne dźwięki mowy Morloka, ale z entuzjazmem kontynuował pokaz. Z innej części stołu przyniósł szkiełko o powierzchni jakichś sześciu cali kwadratowych, utrzymywane w pionowej pozycji przez stojak. Szkiełko wydawało się zabarwione na zielono.

– Mam tutaj trochę plattnerytu – właściwie są to dwa złączone ze sobą szkiełka, między którymi umieszczono plattneryt. Widzicie? A teraz patrzcie, co się stanie, kiedy wstawię plattneryt między tekturę i ekran...

Musiał się trochę natrudzić, ale ustawił wszystko tak, że jedna ze szczelin w tekturze pozostała wolna, a drugą zakrywało szkiełko z plattnerytem. W ten sposób jedna z dwóch interferujących wiązek promieni musiała przechodzić przez plattneryt przed dotarciem do ekranu.

Obraz interferencyjnych prążków na ekranie uległ osłabieniu

– miał zielony odcień – a wzór był przesunięty i zniekształcony.

– Oczywiście, promienie są przez to mniej czyste – powiedział Moses. – Część sodowego światła zostaje rozproszona przez sam plattneryt i tym samym ma długości fal odpowiednie dla bardziej zielonej części widma. Mimo to jednak dostateczna część pierwotnego światła sodowego przechodzi przez plattneryt nie rozproszona, dzięki czemu występuje zjawisko interferencji. Czy widzicie jednak, jakie to wywołało zmiany?

Nebogipfel pochylił się do przodu; światło sodowe odbijało się od jego gogli.

– Przesunięcie kilku plamek światła na tekturce może wydawać się laikowi błahostką – ciągnął Moses – ale zjawisko to ma ogromne znaczenie, jeśli je uważnie przeanalizować, ponieważ – i mogę to matematycznie udowodnić – wskazał bez przekonania na stos notatek na podłodze – promienie świetlne, przechodząc przez plattneryt, ulegają czasowemu zniekształceniu! Efekt jest bardzo mały, ale daje się zmierzyć – ujawnia się w zniekształceniu wzoru interferencyjnego.

– „Czasowe zniekształcenie”? – zapytał Nebogipfel, podnosząc wzrok. – To znaczy...

– Tak. – Skóra Mosesa przybrała blady kolor w sodowym świetle. – Przypuszczam, że gdy promienie świetlne przechodzą przez plattneryt, zostają przeniesione przez czas.

Spojrzałem z zachwytem na żarówkę, tekturę i stojaki, które wykorzystane zostały do tej prymitywnej demonstracji. To był początek – to właśnie od tego pierwszego, naiwnego doświadczenia zaczynała się długa i trudna droga eksperymentów i snucia kolejnych teorii, która w końcu doprowadziła do budowy wehikułu czasu!

Oczywiście, nie mogłem zdradzić, ile wiem, i dołożyłem starań, żeby udać zdziwienie i szok.

– No cóż – odezwałem się niezdecydowanie. – Na wielkiego Scotta...

Spojrzał na mnie niezadowolony. Najwidoczniej uznał mnie za głupca bez wyobraźni. Odwrócił się i zaczął majstrować przy swojej aparaturze.

Skorzystałem ze sposobności, by odciągnąć Nebogipfela na stronę.

– Co o tym sądzisz? Zmyślna demonstracja.

– Tak – przyznał – ale dziwię się, że nie zauważył radioaktywności twojej dziwnej substancji. Google pokazuje wyraźnie...

– Radioaktywności?

Spojrzał na mnie.

– Czy to nieznany termin? – zapytał.

Objął mi pokrótce fenomen zjawiska, w którym – jak się wydaje – chodzi o rozpad materii na części pierwsze. Według Nebogipfela cała materia robi to w mniej lub bardziej dostrzegalnym tempie; niektóre jej rodzaje, na przykład rad, rozpadają się w sposób na tyle widowiskowy, by można to było zmierzyć, jeśli człowiek wie, czego szukać!

To wszystko wywołało u mnie pewne wspomnienia.

– Pamiętam zabawkę zwaną spintaryskopem – powiedziałem Nebogipfelowi – w której rad przysuwany jest do ekranu powleczonego siarczkiem cynkowym...

– I ekran fluoryzuje. Tak. Powodem tego jest rozpad jąder atomów radu – wyjaśnił.

– Ale atom jest niepodzielny... a przynajmniej tak wszyscy uważają...

– Struktura subatomowa zostanie przedstawiona przez Thomsona w Cambridge, nie dalej niż za kilka lat – o ile dobrze pamiętam – po twojej wyprawie w czas.

– Struktura subatomowa... przedstawiona przez Thomsona! Ba, sam kilka razy widziałem się z Josephem Thomsonem. Zawsze uważałem go za dość pompatycznego niedołęgę. Jest młodszy ode mnie o zaledwie kilka lat...

Nie po raz pierwszy głęboko pożałowałem, że tak pochopnie wyruszyłem w czas! Gdybym tylko pozostał, by uczestniczyć w takim ożywieniu intelektualnym – nawet bez eksperymentów z podróżowaniem w czasie mógłbym się znaleźć w centrum wydarzeń – z pewnością byłaby to przygoda, która wystarczyłaby mi w każdym życiu.

Moses skończył pracę i wyciągnął rękę, żeby wyłączyć lampę sodową, ale szybko ją cofnął z krzykiem.

Nebogipfel dotknął palców Mosesa własną, bezwłosą dłonią.

– Przepraszam – powiedział.

Moses potarł rękę, jakby próbował ją oczyścić.

– Pański dotyk – powiedział. – Jest taki... zimny.

Popatrzył na Nebogipfela, jakby po raz pierwszy dostrzegł jego dziwność.

Nebogipfel znów go przeprosił.

– Nie chciałem pana przestraszyć, ale...

– Tak? – podchwyciłem.

Morlok wyciągnął jeden glistowaty palec i wskazał szkiełko z plattnerytem.

– Spójrzcie.

Razem z Mosesem pochyliliśmy się i spojrzeliśmy przymrużonymi oczami w oświetlone szkiełko.

Z początku nie widziałem nic oprócz cętkowanego odbicia żarówki sodowej, połysku drobinek kurzu na powierzchni szkiełek... A potem zobaczyłem coraz większą jasność, blask dochodzący z głębi samego plattnerytu: zielone światło, które błyszczało, jakby szkiełko było małym oknem do innego świata.

Światło rozjarzyło się jeszcze bardziej i zaczęło się odbijać migotliwie w probówkach, szkiełkach i innych urządzeniach w laboratorium.

Wycofaliśmy się do jadalni. Ogień zgasł już wiele godzin temu i w pokoju panował chłód, ale Moses jakby tego nie dostrzegał. Podał mi kolejną brandy i przyjąłem od niego cygaro. Nebogipfel poprosił o czystą wodę. Zapaliłem cygaro z westchnieniem, podczas gdy Nebogipfel obserwował mnie z czymś, co uznałem za tępe zdumienie – zapomniał o wszystkich ludzkich manierach, których do tej pory nabrał!

– No cóż – odezwałem się. – Kiedy zamierza pan opublikować te niezwykle odkrycia?

Moses podrapał się po głowie i poluźnił jaskrawy krawat.

– Nie jestem pewien – odparł szczerze. – Wie pan, właściwie to mam tylko zbiór obserwacji dotyczących anomalii substancji, której pochodzenie jest niepewne. Mimo to być może są ludzie bystrzejsi ode mnie, którzy mogliby coś z tym zrobić... może

odkryć, jak wyprodukować więcej plattnerytu...

– Nie – zaprzeczył Nebogipfel. – Środki do produkcji materiałów radioaktywnych zostaną wynalezione dopiero za kilkadziesiąt lat.

Moses spojrzał z zaciekawieniem na Morloka, ale nie podjął tematu.

– Ale pan nie zamierza tego publikować – powiedziałem bez ogródek.

Mrugnął do mnie konspiracyjnie – kolejny drażniący nawyk! – i powiedział:

– Wszystko w odpowiednim czasie. Pod pewnymi względami nie jestem podobny do prawdziwego naukowca... No wie pan, chodzi mi o ostrożnego, małego faceta, który w końcu dostaje się do gazet jako „wybitny naukowiec”. Widzi pan, jak taki facet wygłasza pogadankę, na przykład o jakimś tajemniczym aspekcie toksycznych alkaloidów, i może się panu wydać, że w ciemności podczas wyświetlania przezroczy słyszy pan to, czego ten facet nie dopowiedział. I być może dostrzega pan okulary w złotych oprawkach oraz płóciennie buty porozcinane z powodu odcisków...

– Ale pan... – powiedziałem.

– Och, nie zamierzam potępiać cierpliwych wołów roboczych tego świata! Przypuszczam, że w najbliższych latach mnie też czeka harówka. Ale jestem także niecierpliwy. Widzi pan, zawsze chcę się dowiedzieć, jak sprawy się potoczą. – Pociągnął łyk brandy. – Mam już w dorobku parę publikacji, włącznie z jedną w *Philosophical Transactions*, i przeprowadziłem kilka badań, z których powinny powstać artykuły. Ale badania plattnerytu...

– Tak?

– Mam dziwną koncepcję, jeśli chodzi o tę sprawę. Chcę

zobaczyć, jak daleko sam zdołam ją posunąć...

Pochyliłem się do przodu. Zobaczyłem, jak w bąbelkach w jego kieliszku odbija się światło świec i jak jego twarz ożywia się. Była to pora, kiedy panuje największy spokój, i wydawało się, że widzę wszystkie szczegóły, słyszę tykanie wszystkich zegarów w domu, z nadnaturalną przejrzystością.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

Wygładził swoją śmieszoną marynarkę dandysa.

– Już panu mówiłem o moich domysłach, że promień światła, który przechodzi przez plattneryt, zostaje przeniesiony w czasie. Mam tu na myśli to, że ten promień przemieszcza się między dwoma punktami w przestrzeni i nie towarzyszy temu żaden odstęp w czasie. Wydaje mi się jednak – dodał powoli – że jeśli światło może pokonywać te odstępy czasowe w taki sposób, to, być może, mogą temu ulec również przedmioty materialne! Mam koncepcję, że gdyby zmieszać plattneryt z jakąś odpowiednią substancją krystaliczną – może kwarcem lub jakąś krystaliczną skałą – wówczas...

Zdawało się, że odzyskał panowanie nad sobą. Odłożył kieliszek na stolik obok swojego krzesła i pochylił się do przodu. Jego szare oczy zdawały się lśnić w świetle świec, sprawiając wrażenie bladych i żywych.

– Nie jestem pewien, czy chcę dalej mówić! Niech pan posłucha: byłem z panem bardzo szczery. Teraz nadszedł czas, żeby pan był wobec mnie równie szczery. Czy pan to robi?

Zamiast odpowiadać, spojrzałem mu w twarz – w oczy, które, mimo iż otoczone gładszą skórą, niezaprzeczalnie były moimi własnymi, oczy, które codziennie widziałem w lustrze podczas golenia!

Najwidoczniej nie mogąc odwrócić wzroku, syknął:

– Kim pan jest?!

– Pan wie, kim jestem, prawda?

Chwila ciszy przeciągała się. Morlok przypominał ducha, którego obaj prawie nie dostrzegaliśmy.

W końcu Moses odparł:

– Tak. Chyba wiem.

Chciałem mu dać czas, żeby to wszystko przetrawił. Dla Mosesa realność podróżowania w czasie – jakiegokolwiek przedmiotu bardziej konkretnego od promienia świetlnego – nadal pozostawała w sferze fantazji! Taka nagła konfrontacja z fizycznym dowodem – a co gorsza, spotkanie z własnym wcieleniem z przyszłości – musiała być olbrzymim wstrząsem.

– Być może powinien pan uważać moją obecność tutaj za nieuniknioną konsekwencję własnych badań – podsunąłem. – Czy takie spotkanie nie jest koniecznością, jeśli pójdzie pan dalej ścieżką eksperymentów, którą pan sobie wytyczył?

– Być może...

Teraz jednak uświadomiłem sobie, że jego reakcja – daleka od lęku połączonego z podziwem, którego mogłem się spodziewać – wydawała się świadczyć o mniejszym szacunku. Wydawało się, że Moses poddaje mnie ponownej ocenie; obejrzał taksująco moją twarz, włosy, ubranie.

Spróbowałem zobaczyć się oczami tego zuchwałego dwudziestosześcioletka. To niedorzeczne, ale poczułem się onieśmielony; zaczesalem ręką włosy do tyłu – nie czesałem ich od roku Pańskiego 657 208 – i wciągnąłem brzuch, który już nie był taki płaski jak kiedyś. Na twarzy Mosesa pozostał jednak wyraz dezaprobaty.

– Niech pan się przyjrzy – powiedziałem z emocją. – Tak

będzie pan wyglądał w przyszłości!

Pogładził się po podbródku.

– Nie ćwiczysz pan zbyt często, prawda?

Wskazał kciukiem na Morloka.

– A on... Nebogipfel... czy on...?

– Tak – odparłem. – To człowiek z przyszłości, z roku Pańskiego 657 208. Znacznie się różni od obecnych ludzi. Sprowadziłem go w moim wehikule czasu: w wehikule, którego pierwsze, nie dopracowane plany już pan sporządza!

– Kusi mnie, żeby zapytać, jak potoczy się moje życie. Czy odniosę sukces, czy się ożenię, i tak dalej. Podejrzewam jednak, że lepiej dla mnie będzie, jeśli nie będę tego wiedział. – Spojrzał na Nebogipfela. – Ale przyszłość gatunku to całkiem inna sprawa.

– Wierzy mi pan, prawda?

Wziął swój kieliszek, zobaczył, że jest pusty i odstawił go.

– Nie wiem. Każdy może z łatwością wejść do domu i powiedzieć, że jest czyimś odpowiednikiem z przyszłości...

– Ale pan już sam pomyślał o możliwości podróżowania w czasie. I... proszę spojrzeć na moją twarz!

– Przyznaję, że istnieje pewne powierzchowne podobieństwo. Ale istnieje możliwość, że to wszystko jest jakąś psotą, którą spreparowano – być może z jakimś złośliwym zamiarem – aby ukazać mnie jako szarlatana. – Spojrzał na mnie surowym wzrokiem. – Jeżeli pan jest tym, za kogo się podaje – jeśli pan jest mną! – to z pewnością przybył pan tu w jakimś celu.

– Tak. – Usiłowałem opanować złość; usiłowałem pamiętać, że porozumienie z tym trudnym i dość aroganckim młodzieńcem to sprawa najwyższej wagi. – Tak. Mam misję do spełnienia.

Pociągnął się za podbródek.

– To dramatyczne słowa. Dlaczego jednak to ja miałbym

odgrywać taką ważną rolę? Jestem naukowcem... a prawdopodobnie nawet nie; jestem partaczem, dyletantem. Nie jestem ani politykiem, ani prorokiem.

– Tak. Ale jest pan – lub będzie – wynalazcą najpotężniejszej broni, jaką można stworzyć. Chodzi mi o wehikuł czasu.

– Co chce mi pan przez to powiedzieć?

– Że musi pan zniszczyć plattneryt i znaleźć sobie jakiś inny kierunek badań. Pod żadnym pozorem nie wolno panu skonstruować wehikułu czasu. To niemal rozkaz!

Złączył dłonie i spojrzał na mnie.

– No cóż. Najwidoczniej ma mi pan coś do powiedzenia. Czy to będzie długa opowieść? Czy chce pan jeszcze brandy? Czy może herbaty?

– Nie, dziękuję. Będę się streszczał.

I zacząłem opowieść, przedstawiając pokrótce odkrycia, które w końcu doprowadziły mnie do skonstruowania wehikułu. Opowiedziałem, jak po raz pierwszy wsiadłem do niego i wyruszyłem w historię Elojów i Morloków i co odkryłem, kiedy powróciłem i ponownie wybrałem się w czas.

Przypuszczam, że mówiłem ze znużeniem – nie pamiętałem, ile godzin upłynęło od chwili, kiedy ostatnio spałem – ale w miarę, gdy opowiadałem dalej, ożywiłem się i utkwilem wzrok w szczerzej, okrągłej twarzy Mojżesza w jasnym kręgu światła świec. Z początku zdawałem sobie sprawę z obecności Nebogipfela, gdyż siedział cicho w trakcie mojego opowiadania i czasami – na przykład podczas opisu mojego pierwszego spotkania z Morlokami – Mojżesz odwracał się do niego, jakby w celu potwierdzenia jakiegoś szczegółu.

Ale po pewnym czasie zaprzestał nawet tego i patrzył jedynie w moją twarz.

Kiedy skończyłem, wczesny, letni świt już rozlewał się po niebie.

Moses siedział na krześle. Nadal się we mnie wpatrywał, podpierając ręką podbródek.

– Cóż – odezwał się w końcu, jakby chciał przerwać zakłęcie. – No cóż.

Wstał, przeciągnął się i przeszedł przez pokój do okien; otworzył je, odsłaniając chmurne, lecz rozjaśniające się niebo.

– To niezwykła relacja.

– To coś więcej – dodałem ochryłym głosem. – Czy pan tego nie widzi? Podczas drugiej podróży w przyszłość wszedłem w inną Historię. Wehikuł czasu to burzyciel historii – niszczyciel światów i gatunków. Czy pan naprawdę nie widzi, dlaczego nie wolno go zbudować?

Moses zwrócił się do Nebogipfela:

– Jeżeli jest pan człowiekiem z przyszłości, to co pan ma do powiedzenia na ten temat?

Krzesło Nebogipfela nadal znajdowało się w cieniu, ale Morlok kulił się przed wdzierającym się światłem dziennym.

– Nie jestem człowiekiem – powiedział zimnym, spokojnym tonem. – Ale pochodzę z przyszłości – jednej z, być może, nieskończonej liczby możliwych wariantów. I wydaje się to prawdą – z pewnością jest to logicznie możliwe – że wehikuł

czasu może zmieniać bieg Historii, a tym samym doprowadzić do zaistnienia nowych wariantów wydarzeń. Właściwie, wydaje się, że wehikuł, dzięki właściwościom plattnerytu, działa na zasadzie wchodzenia do innej, równoległej Historii.

Moses podszedł do okna i wschodzące słońce uwydatniło jego profil.

– Ale porzucenie moich badań na podstawie waszych nie popartych dowodami twierdzeń...

– Twierdzeń?! Uważam, że zasługuję na trochę więcej szacunku – powiedziałem z narastającym gniewem. – W końcu jestem tobą! Jesteś taki uparty. Przeprowadziłem człowieka z przyszłości... Jaką jeszcze mam zastosować perswazję?

Pokręcił głową.

– Proszę posłuchać – odparł. – Jestem zmęczony. Nie spałem przez całą noc i brandy też mi niewiele pomogła. Wy dwaj też wyglądacie, jakby przydało wam się trochę odpoczynku. Mam wolne pokoje, zaprowadzę was...

– Znam drogę – wtrąciłem trochę oziębłym tonem.

Przyjął to z pewną dozą humoru.

– Każę pani Penforth przynieść wam śniadanie... albo – ciągnął, spoglądając ponownie na Nebogipfela – być może każę je przynieść tutaj.

– Chodźcie – powiedział. – Losy rasy mogą poczekać przez kilka godzin.

Spałem głęboko, nadzwyczaj głęboko. Obudził mnie Moses, który przyniósł mi dzbanek gorącej wody.

Moje rzeczy złożone były na krześle; po moich przygodach w czasie wyglądały dość marnie.

– Chyba nie mógłby mi pan pożyczyć ubrania, prawda?

– Jeśli pan chce, może pan wziąć szlafrok. Przepraszam, staruszkule, ale nie sądzę, by którakolwiek z moich rzeczy pasowała na pana!

Rozzłościła mnie jego arogancja.

– Pewnego dnia pan też się postarzeje. I mam nadzieję, że wówczas przypomni pan sobie... a zresztą mniejsza z tym! – warknąłem.

– Proszę posłuchać, każę służącemu wyczyścić pańskie ubranie i załatać największe dziury. Proszę zejść, kiedy będzie pan gotowy.

W jadalni śniadanie podano w formie bufetu. Moses i Nebogipfel już tam byli. Moses miał na sobie ten sam strój co poprzedniego dnia – lub przynajmniej identyczną jego kopię. W jasnym, porannym słońcu papuzie kolory jego marynarki wydawały się jeszcze straszniejsze. Jeżeli chodzi o Nebogipfela, Morlok był ubrany – jakże komicznie wyglądał! – w krótkie spodnie i podniszczony blezer. Miał czapkę, spod której spozierała owłosiona twarz z goglami na oczach, i stał cierpliwie przy bufecie.

– Powiedziałem pani Penforth, żeby tu nie przychodziła – odezwał się Moses. – Jeżeli chodzi o Nebogipfela, to ta pańska podniszczona marynarka – a propos, wisi na tamtym krześle – wydawała się raczej za duża dla niego. Wygrzebałem więc stary mundurek szkolny – jedyny pasujący na niego ubiór, jaki zdołałem znaleźć: pański towarzysz cuchnie teraz naftaliną, ale wydaje się trochę szczęśliwszy.

– No dobrze. – Podeszedł do Nebogipfela. – Pomogę panu. Co by pan chciał? Widzi pan, że mamy boczek, jajka, tosty, kiełbaski...

Swoim płynnym, cichym tonem Nebogipfel zapytał Mosesa o pochodzenie tych rozmaitych potraw. Moses wyjaśnił wszystko

obrazowo: wziął, na przykład, kawałek boczku na widelec i opisał świnię.

Kiedy Moses skończył wyjaśnienia, Nebogipfel wziął jeden owoc – jabłko – i poszedł z nim oraz szklanką wody do najciemniejszego kąta w pokoju. Jeżeli chodzi o mnie, to po takiej długiej diecie złożonej z mdłego jedzenia Morloków nie mógłbym bardziej rozkoszować się śniadaniem, nawet gdybym wiedział – a nie wiedziałem – że jest to mój ostatni posiłek w dziewiętnastym wieku!

Po śniadaniu Moses zaprowadził nas do palarni. Nebogipfel usadowił się w najciemniejszym kącie, natomiast ja i Moses usiedliśmy w fotelach naprzeciwko siebie. Moses wyjął fajkę, nabił ją tytoniem z woreczka, który nosił w kieszeni, i zapalił.

Obserwowałem go, wrząc z gniewu. Był tak irytująco spokojny!

– Czy nie ma pan nic do powiedzenia? Przyniosłem panu straszne ostrzeżenie z przyszłości... z kilku przyszłości... które...

– Tak – powiedział. – To bardzo dramatyczne. Ale – ciągnął, nabijając fajkę – nadal nie jestem przekonany...

– Nie jest pan przekonany? – wykrzyknąłem, zrywając się na równe nogi. – Jakiego jeszcze dowodu... jakiej perswazji... panu potrzeba?

– Wydaje mi się, że w pańskim rozumowaniu jest kilka luk. Och, niechże pan usiądzie.

Usiadłem, czując się osłabiony.

– Luk?

– Proszę spojrzeć na to z mojej strony. Twierdzi pan, że jestem panem, a pan mną. Tak?

– Właśnie. Jesteśmy dwoma kawałkami jednej,

czterowymiarowej całości, wziętymi z różnych miejsc i ustawionymi obok siebie dzięki wehikułowi czasu.

– No dobrze. Ale rozważmy rzecz następującą: jeżeli kiedyś pan był mną, to powinien pan mieć takie same wspomnienia jak ja.

– Ja... – zacząłem i umilkłem.

– A zatem – ciągnął Moses z nutą triumfu – jakie ma pan wspomnienia dotyczące dość tęgiego, obcego mężczyzny i jego dziwnego towarzysza, którzy pewnej nocy zjawili się tutaj?

Naturalnie, odpowiedź – to przerażające! Niemożliwe! – była taka, że nie miałem żadnych wspomnień. Wzburzony zwróciłem się do Nebogipfela.

– Dlaczego nie przyszło mi to do głowy? Oczywiście, moja misja jest niemożliwa. Zawsze taką była. Nie mógłbym nigdy przekonać młodego Moseśa, ponieważ nie mam wspomnień o tym, jak to z kolei ja, kiedy byłem Mosesem, zostałem przekonany!

– Gdy i sinieją wehikuły czasu, przyczyna i skutek to pojęcia dość niezręczne.

– A oto jeszcze jedna zagadka dla pana – powiedział Moses z jeszcze bardziej nieznośną zarozumiałością. – Przypuśćmy, że się z panem zgadzam. Przypuśćmy, że akceptuję pańską opowieść o podróżach w czasie, wersjach historii i tak dalej. Przypuśćmy, że zgadzam się zniszczyć wehikuł czasu.

Domyśliłem się, do czego zmierza.

– Wówczas, gdyby wehikuł czasu nie został nigdy zbudowany... – zacząłem.

– Nie mógłby pan wrócić w czasie, aby położyć kres jego budowie... – powiedział Moses.

– ...i tym samym wehikuł i tak zostałby w końcu zbudowany...

– ...i wróciłby pan w czasie, by ponownie przerwać budowę, i powtarzałoby się to w kółko, przypominając wiecznie obracającą się karuzelę! – wykrzyknął, wykonując szeroki gest.

– Tak – potwierdził Nebogipfel. – To patologiczna pętla przyczynowa. Wehikuł czasu musi zostać zbudowany, aby mógł położyć kres własnej budowie...

Ukryłem twarz w dłoniach. Oprócz rozpacz z powodu tego, że moja sprawa upadła, odnosiłem nieprzyjemne wrażenie, że młody Moses jest znacznie inteligentniejszy ode mnie. Powinienem był dostrzec te trudności natury logicznej! Być może to straszna prawda, że inteligencja, tak jak bardziej prymitywna sprawność fizyczna, pogarsza się z wiekiem.

– Ale pomimo tego całego sporu o drobiazgi, to prawda – szepnąłem. – I wehikuł nie może być nigdy zbudowany.

– A zatem niech pan wyjaśni następującą rzecz – powiedział Moses z mniejszą sympatią. – „Być albo nie być” – wydaje się, że teraz to już nie jest pytanie. Jeśli jest pan mną, to przypomni pan sobie, jak został zmuszony do zagrania roli ojca Hamleta w koszmarnej inscenizacji w szkole.

– Pamiętam to dobrze.

– Wydaje mi się, że pytanie raczej brzmi: jak coś może być i równocześnie nie być?

– Ale to prawda – wtrącił Nebogipfel. Przesunął się kawałek do przodu, wchodząc w krąg światła, i spojrzał na nas po kolei. – Wydaje mi się, że musimy stworzyć wyższą logikę... Taką, która uwzględni wzajemne oddziaływanie wehikułu czasu i historii, która poradzi sobie z wielorakością historii...

I wtedy – w momencie, kiedy przeżywałem największy kryzys niepewności – usłyszałem ryk, podobny do warkotu jakiegoś olbrzymiego silnika, który odbił się echem na całym wzgórzu,

poza domem. Wydawało się, że ziemia drży – jakby kroczył po niej jakiś potwór – i usłyszałem krzyki oraz – choć to było niemożliwe, aby coś takiego zdarzyło się w sennym Richmond wczesnie rano! – terkot karabinu!

Moses i ja zdziwieni spojrzeliśmy na siebie.

– Na wielkiego Scotta! – krzyknął Moses. – Co to jest?

Odniosłem wrażenie, że znów słyszę klekot broni maszynowej, natomiast krzyk przeszedł we wrzask, który nagle się urwał.

Wybiegliśmy razem z palarni na korytarz. Moses otworzył drzwi – zasuwka była już podniesiona – i wyskoczyliśmy na ulicę. Była już tam pani Penforth, chuda i sroga, oraz Poole, aktualny służący Mosesa. Pani Penforth trzymała w ręku jasnożółtą ściereczkę i ścisnęła ramię Poole’a. Obrzucili nas pobieżnym spojrzeniem, po czym odwrócili wzrok, ignorując Morloka, jakby nie przedstawiał ani trochę dziwniejszego widoku niż Francuz lub Szkot!

Na Petersham Road znajdowało się sporo ludzi, którzy stali i gapili się. Moses dotknął mojego rękawa i pokazał palcem na drogę w kierunku miasta.

– Tam – powiedział. – Oto pańska anomalia.

Wyglądało to tak, jakby jakaś wielka fala uniosła pancernik z powierzchni morza i posadziła go wysoko na Richmond Hill, jakieś dwieście jardów od domu. Była to wielka metalowa skrzynia, która leżała na Petersham Road jak jakiś olbrzymi, żelazny owad o długości co najmniej osiemdziesięciu stóp.

Nie był to jednak żaden wyrzucony na brzeg potwór. Zobaczyłem teraz, że obiekt pełźnie w naszym kierunku, powoli, lecz zdecydowanie, i pozostawia za sobą ciąg nacięć na powierzchni drogi, jak spacerujący po ziemi ptak. Górna powierzchnia pancernika pocętkowana była zawile

rozmieszczonymi otworami – uznałem je za otwory strzeleckie lub teleskopowe.

Pojazdy musiały ustąpić miejsca pancernikowi: dwa dwukołowe powoziki leżały przewrócone przed nim na drodze, tak samo jak wóz do przewożenia beczek piwa – przestraszony koń nadal był uwięziony między dyszlami, a piwo wylewało się z rozbitych beczek.

Jakiś lekkomyślny młodzieniec w czapce wyrwał z ziemi kamień polny i rzucił go w metalowe poszycie pancernika. Kamień odbił się od kadłuba, nie pozostawiając na nim nawet rysy, ale kolos zareagował: zobaczyłem, jak z jednego z górnych otworów wysuwa się lufa karabinu, który hałaśliwie wystrzelił do młodzieńca.

Chłopiec upadł i znieruchomiał na ziemi.

Tłum szybko się rozproszył i umilkły wrzaski. Pani Penforth wypłakiwała się w szmatkę; Poole odprowadził ją do domu.

Właz na przodzie lądowego pancernika otworzył się ze szczękiem – przez chwilę widziałem ciemne wnętrze – i zobaczyłem, jak czyjaś twarz (wydała mi się zamaskowana) wygląda w naszym kierunku.

– Ten pojazd jest spoza czasu – oświadczył Nebogipfel. – I przyjechał po nas.

– Zaiste. – Odwróciłem się do Mosesa. – No i cóż? – zapytałem go. – Czy teraz już pan mi wierzy?

Uśmiech Mosesa był niepewny i powściągliwy, jego twarz bledsza niż zwykle, a szerokie czoło pokryte potem.

– Najwyraźniej nie jest pan jedynym Podróżnikiem w Czasie!

Ruchoma forteca – gdyż tym właśnie był ten kolos – wlokła się pod górę w kierunku mojego domu. Była to długa, płaska skrzynia, która trochę przypominała pokrywkę na półmisek. Pomalowano ją w zielone i brązowe łaty. Wokół podstawy biegła metalowa osłona, być może po to, by ochronić delikatniejsze części przed kulami i szrapnelami wrogów. Na moje oko forteca poruszała się z prędkością około sześciu mil na godzinę i – dzięki jakiejś nowatorskiej metodzie napędu, którego szczegółów nie mogłem zobaczyć z powodu osłony – trzymała się prawie że w poziomej pozycji pomimo pochyłości wzgórza.

Z wyjątkiem nas trzech – i nieszczęsnego konia przy wozie – na drodze nie było teraz żywej duszy i panowała cisza, przerywana jedynie głębokimi pomrukami silników fortecy i przerażonym rżeniem uwięzionego konia.

– Nie przypominam sobie tego – powiedziałem Nebogipfelowi.

– Nic podobnego nie zdarzyło się w moim roku 1873!

Morlok obserwował nadjeżdżającą fortecę przez gogle.

– Jeszcze raz – odrzekł spokojnie – musimy rozważyć możliwość wielorakości Historii. Widziałeś kilka wersji roku Pańskiego 657 208: wygląda na to, że teraz przeżyjesz nowe

warianty własnego stulecia.

Forteca zatrzymała się; jej silnik burczał jak jakiś olbrzymi brzuch. Zobaczyłem twarze w maskach, które spoglądały na nas z różnych otworów, a nad kadłubem powiewał ospale proporzec.

– Czy myśli pan, że moglibyśmy uciec? – syknął Moses.

– Wątpię – odparłem. – Widzi pan lufy karabinów, które wystają z tamtych otworów? Nie wiem, o co tu chodzi, ale ci ludzie najwyraźniej mają środki i chęć, by nas zatrzymać. Zachowajmy się z godnością. Podejdźmy bliżej. Pokażmy, że się nie boimy.

I tak ruszyliśmy wyłożoną kocimi łbami Petersham Road w kierunku fortecy.

Podczas drogi byliśmy na muszce rozmaitych karabinów i cięższej artylerii, a ludzie z zamaskowanymi twarzami – niektórzy korzystali z lornetek – śledzili nas przez cały czas.

Kiedy zbliżyliśmy się do fortecy, mogłem lepiej zobaczyć jej zewnętrzną budowę. Jak już powiedziałem, miała ponad osiemdziesiąt stóp długości i jakieś dziesięć wysokości; powierzchnie boczne wyglądały na zrobione z grubego spiżu armatniego, choć otwory i teleskopy na obrzeżu w górnej części fortecy sprawiały, że wydawała się podziurawiona. Z tylnej części maszyny tryskały strumienie pary. Wspomniałem już o wysokiej na stopę osłonie, która otaczała podstawę; teraz zobaczyłem, że osłona jest uniesiona nad ziemią, a maszyna stoi nie na kołach, jak przypuszczałem, ale na nogach! Były płaskie i szerokie, w kształcie stóp słonia, lecz znacznie większe; z wgłębien, które pozostawiały na drodze, mogłem wywnioskować, że spody tych stóp muszą być żłobkowane w celu uzyskania dobrej przyczepności. Uświadomiłem sobie, że

to właśnie dzięki takiej konstrukcji stóp forteca utrzymuje się mniej więcej w poziomej pozycji na pochyłej drodze.

Na przodzie fortecy przymocowane było urządzenie podobne do cepa: składało się ze zwojów ciężkiego łańcucha przymocowanego do bębna, który wysunięto na dwóch metalowych ramach przed dziób fortecy. Bęben był zawieszony nad ziemią, tak iż łańcuchy wisiały w powietrzu jak baty woźniców i dziwnie pobrzękiwały w czasie jazdy fortecy, ale najwyraźniej można go było opuszczać, by łańcuchy uderzały o ziemię, gdy pojazd posuwał się naprzód. Nie potrafiłem zgłębić przeznaczenia tego urządzenia.

Zatrzymaliśmy się jakieś dziesięć jardów przed tęnym czubem maszyny. Strzelcy ciągle mierzyli do nas z karabinów. Zbłąkany wietrzyk przywiał do nas obłok pary.

Byłem głęboko przerażony ostatnimi wydarzeniami, których nie pamiętałem. Wydawało się, że teraz nawet moja przeszłość już nie jest pewna i stabilna: nawet ona mogła się zmieniać zgodnie z kapryсами Podróżników w Czasie! Nie miałem dokąd uciec przed skutkami wywieranymi przez wehikuł czasu: to było tak, jakby z chwilą wynalezienia tej maszyny jej odgałęzienia sięgały w przeszłość i przyszłość niczym fale powstałe po wrzuceniu kamienia do spokojnej rzeki czasu.

– Sądzę, że jest brytyjski – odezwał się Moses, przerywając moje rozmyślenia.

– Co? Dlaczego pan tak myśli?

– Czy ten znak nad osłoną to nie przypadkiem emblemat pułkowy?

Przyjrzałem się dokładniej; widocznie Moses miał ostrzejszy wzrok ode mnie. Nigdy nie interesowały mnie zbytnio militaria, ale wyglądało na to, że Moses może mieć rację.

Teraz odczytywał inne, czarne napisy namalowane szablonem na tym groźnym kadłubie.

– „Środki bojowe” – odczytał. – „Wlot paliwa”. Pochodzi albo z kolonii brytyjskich, albo z Ameryki, i przybył z niedalekiej przyszłości, w której język nie uległ zbyt dużej zmianie.

Rozległ się dźwięk metalu trącego o metal. Zobaczyłem, że umieszczone z boku koło obraca się. Gdy zostało całkowicie obrócone, otworzył się właz – jego wypolerowane, metalowe obrzeże lśniło na tle ciemnego kadłuba – i dostrzegłem mroczne wnętrze, które przypominało jaskinię ze stali.

Spuszczono drabinkę sznurową, po której zszedł jakiś żołnierz i ruszył drogą w naszym kierunku. Miał na sobie ciężki, jednoczęściowy, brezentowy strój, który był rozpięty pod szyją i zobaczyłem podszewkę z materiału w kolorze khaki. Żołnierz miał na ramionach olbrzymie, metalowe epolety. Nosił czarny beret, do którego przyczepiono z przodu emblemat pułkowy. Z przodu zwisał mu pistolet w parcianej kaburze; nad tym miał woreczek, najwidoczniej na amunicję. Dostrzegłem, że kabura jest otwarta, a żołnierz ani na moment nie oddala od niej rąk w rękawicach.

I – co najdziwniejsze z tego wszystkiego – twarz żołnierza oraz głowa pod beretem ukryte były pod bardzo niezwykłą maską, która posiadała szerokie, przyciemnione gogle oraz zakrywający usta pysk podobny do muszej trąbki.

– Na wielkiego Scotta! – szepnął do mnie Moses. – Co za wizja.

– Zaiste – powiedziałem ponuro, gdyż od razu zrozumiałem znaczenie tego stroju. – Ma kombinezon, który go chroni przed gazem... Widzi pan? Ani jeden cal kwadratowy jego ciała nie jest odsłonięty. A te epolety mają go chronić przed strzałami, być może nawet zatrutymi. Ciekaw jestem, jakie inne warstwy

ochronne ma na sobie pod tym grubym brezentowym skafandrem. W jakimż to stuleciu ludzie uważają za konieczne wysyłać takie zwierzę ludzkie w przeszłość do niewinnego roku 1873? Moses, ta forteca przybywa do nas z bardzo mrocznej przyszłości, przyszłości pogrążonej w wojnie!

Żołnierz podszedł do nas trochę bliżej. Urywanyymi słowami – które przytłumione były przez maskę, lecz poza tym tonem całkowicie charakterystycznym dla oficerów – rzucił nam wyzwanie w języku, którego z początku nie rozpoznałem.

Moses pochylił się w moim kierunku.

– Powiedział to po niemiecku! I to z cholernie kiepskim akcentem. O cóż, u licha, w tym wszystkim chodzi?

Wystąpiłem z uniesionymi rękami.

– Jesteśmy Anglikami. Rozumiesz?

Nie widziałem twarzy żołnierza, ale odniosłem wrażenie, że w jego postawie dostrzegam oznakę pewnej ulgi. Jego głos brzmiał młodo. Uświadomiłem sobie, że jest to młody człowiek schwytyany w sidła wojny.

– No dobrze – powiedział energicznie. – Proszę za mną.

Wydawało się, że nie mamy większego wyboru.

Młody żołnierz stanął obok fortecy, trzymając ręce na kolbie pistoletu, kiedy wchodziliśmy po drabince do środka.

– Proszę mi powiedzieć jedną rzecz – zagadnął Moses żołnierza. – Do czego służy to urządzenie z łańcuchami i bębniem z przodu pojazdu?

– To przeciwminowy cep – odparł zamaskowany jegomość.

– Przeciwminowy?

– Gdy „Raglan” porusza się do przodu, łańcuchy uderzają w ziemię. – Zademonstrował to przy pomocy rąk w rękawicach,

choć przez cały czas bacznie obserwował Moseesa. Najwidoczniej był Anglikiem i myślał, że my możemy być Niemcami! – Widzi pan? Chodzi o to, żeby zdetonować zakopane miny, zanim na nie najedziemy.

Moses to przemyślał, po czym wszedł za mną do fortecy.

– Czarujący przykład brytyjskiej pomysłowości – powiedział do mnie. – I spójrzcie tylko na grubość tego kadłuba! Kule ześlizgiwałyby się po tym poszyciu jak krople deszczu. Z pewnością tylko działo polowe zdołałoby powstrzymać takiego potwora.

Ciężki właz został zasunięty za nami; zamknął się z głuchym odgłosem i został uszczelniony za pomocą gumowych nakładek.

W ten sposób zostaliśmy odcięci od światła dziennego.

Odprowadzono nas na środek platformy, która biegła wokół wnętrza fortecy. W tej zamkniętej przestrzeni warkot silników był głośny i głęboki. W powietrzu unosił się zapach oleju silnikowego i benzyny oraz lekki odór kordytu. Było tam niezwykle gorąco i poczułem, jak z miejsca pojawia się pot przy moim kołnierzyku. Jedyne światło dochodziło z dwóch lamp elektrycznych – nie wystarczających, by oświetlić tę podłużną, ciasną przestrzeń.

Wnętrze fortecy jawiło mi się niczym mozaika półświatła i cieni. Widziałem kontury ośmiu wielkich kół – każde o średnicy dziesięciu stóp – które rozmieszczone były po bokach fortu i osłonięte wewnątrz kadłuba. Na przodzie fortecy, w dziobie, siedział jeden żołnierz na wysokim, brezentowym krześle; otoczony był dźwigniami, tarczami i czymś, co wyglądało jak soczewki peryskopów; uznałem go za kierowcę. Tylne przedziały zajmowały silnik i przekładnia. Tam dostrzegłem niezgrabną maszynę; w ciemności silniki przypominały bardziej wyląg

wielkich bestii niż jakikolwiek wytwór ludzkiej ręki. Wokół maszyn krzatali się żołnierze, w maskach i ciężkich rękawicach, jota w jotę przypominając dozorców, którzy służą jakimś idolom z metalu.

Z długiego sufitu zwisały ciasne, małe kabiny, które wyglądały na niewygodne. W każdej z tych kabin widziałem niewyraźny profil żołnierza. Każdy żołnierz nosił różną broń i przyrządy optyczne – nie znałem konstrukcji większości z nich – które wystawały na zewnątrz z kadłuba statku. Musiały tam być dwa tuziny tych strzelców i techników – wszyscy nosili maski i charakterystyczne brezentowe stroje oraz berety i wszyscy bez wyjątku gapili się na nas. Możecie sobie wyobrazić, jak Morlok przyciągał ich wzrok!

Było to posępne, zastraszające miejsce: ruchoma świątynia poświęcona ślepej sile. Nie mogłem się powstrzymać, by nie porównać tego z subtelną inżynierią Morloków Nebogipfela.

Podszedł do nas nasz młody żołnierz; po szczelnym zamknięciu fortecy zdjął maskę – wisiała mu na szyi jak zdarta twarz – i zobaczyłem, że rzeczywiście jest dość młody, a jego policzki otacza krąg kropelek potu.

– Zechciejcie podejść bliżej – powiedział. – Kapitan chciałby was powitać na pokładzie.

Pod jego kierownictwem utworzyliśmy szereg i zaczęliśmy ostrożnie iść – mierzeni bezlitosnym spojrzeniem milczących żołnierzy – w kierunku dziobu fortecy. Podłoga była rozwarta i musieliśmy gramolić się wąskimi, metalowymi chodnikami; gołe stopy Nebogipfela prawie nie wydawały dźwięku, kiedy dreptał po metalowych żebrach.

W pobliżu dziobu tej lądowej łodzi, tuż za kierowcą, znajdowała się kopuła z mosiądzu i żelaza, która wystawała

ponad dach. Pod tą kopułą stała jakaś osoba – w masce i z rękami zaplecionymi za plecami – która zachowywała się jak dowódca tego pojazdu. Kapitan miał na sobie podobny beret i kombinezon jak żołnierz, który nas powitał, oraz metalowe epolety i broń ręczną przy pasie; jednak ten wyższy oficer nosił również siatkowy pas skórzany, z biegnącym przez ramię paskiem i żabką, a także inne insygnia oficerskie, włącznie z płóciennymi odznakami formacji i patkami. Pierś kapitana udekorowana była licznymi wstążkami za udział w różnych kampaniach.

Moses rozglądał się z ogromną ciekawością. Wskazał drabinę nad kapitanem.

– Spójrzcie – powiedział. – Założę się, że kapitan może kazać opuścić drabinę za pomocą tych dźwigni w szynie za jego plecami... Widzicie? A potem wznieść się do tej kopuły powyżej. W ten sposób może rozejrzeć się po terenie wokół fortecy, aby lepiej kierować technikami i strzelcami.

Wydawało się, że jest pod wrażeniem pomysłowości, którą włożono w tę potworną maszynę wojenną.

Kapitan ruszył naprzód; widać było, że kuleje. Zdjął maskę, odsłaniając twarz. Zobaczyłem, że jest całkiem młody, najwidoczniej dość zdrowy – choć nadzwyczaj blady – i przypomina typ, który kojarzy się z marynarką wojenną: czujny, spokojny, inteligentny – w najwyższym stopniu kompetentny. Zdjął rękawicę i wyciągnął do mnie rękę. Uścisnąłem ją – była mała jak u dziecka i zniknęła w mojej dłoni – i spojrzałem w tę jasną twarz ze zdumieniem, którego nie potrafiłem ukryć.

– Nie spodziewałam się takiego tłumu pasażerów – powiedziała pani kapitan. – Chyba nie wiedzieliśmy, czego się spodziewamy, ale wszyscy jesteście tu mile widziani i dopilnuję,

żeby was dobrze traktowano. – Powiedziała to przyjaznym tonem, ale musiała przekrzykiwać warkot silników. Obrzuciła Mosea i Nebogipfela spojrzeniem bladoniebieskich oczu z pewną dozą humoru. – Witajcie na pokładzie „Lorda Raglana”. Nazywam się Hilary Bond i jestem kapitanem w dziewiątym batalionie Królewskiego Pułku Molochów.

To była prawda! Kapitan – doświadczony, ranny żołnierz i dowódca bardziej zabójczej maszyny bojowej, niż kiedykolwiek mogłem sobie wyobrazić – był kobietą.

8

Odnowienie starej znajomości

Uśmiechnęła się, ukazując bliznę na podbródku, i zobaczyłem, że nie ma więcej niż dwadzieścia pięć lat.

– Proszę posłuchać, kapitanie – odezwałem się – chcę się dowiedzieć, jakim prawem nas zatrzymujecie.

Zachowała spokój.

– Moja misja to sprawa najwyższej wagi dla bezpieczeństwa państwa. Przykro mi, jeśli...

I wtedy Moses wysunął się naprzód; w swoim krzykliwym stroju dandysa wyglądał dziwnie nie na miejscu w tym brunatnym, wojskowym wnętrzu.

– Pani kapitan, w roku 1873 nie ma zagrożenia bezpieczeństwa państwa.

– Ale jest w roku 1938. – Zobaczyłem, że pani kapitan jest całkiem nieugięta; promieniowała od niej niewzruszona władza.

– Moją misją jest zabezpieczenie doświadczeń naukowych, które przeprowadzane są w tym domu na Petersham Road, a w szczególności zniechęcenie kogokolwiek do anachronicznych zakłóceń ich prawidłowego rozwoju.

Moses zrobił grymas.

– „Anachroniczne zakłócenia”. Rozumiem, że mówi pani

o Podróżnikach w Czasie.

Uśmiechnąłem się.

– Urocze słowo to „zniechęcenie”. Czy przywieźliście ze sobą dość broni, by skutecznie „zniechęcać”?

Teraz wystąpił Nebogipfel.

– Kapitanie Bond – powiedział powoli Morlok. – Z pewnością zauważyła pani, że pani misja to logiczny nonsens. Czy pani wie, kim są ci ludzie? Jak może pani zabezpieczyć badania, kiedy ich główny twórca – wskazał owłosioną ręką na Mosea – jest właśnie uprowadzany z własnych czasów?

W tym momencie Bond popatrzyła na Morloka przez dłuższą chwilę, a potem skierowała uwagę na Mosea – i na mnie – i wydało mi się, że po raz pierwszy dostrzegła podobieństwo między nami! Nieprzyjemnym tonem zadała nam wszystkim pytania, które miały potwierdzić prawdziwość uwagi Morloka i tożsamość Mosea. Nie zaprzeczałem – i tak widziałem w tym niewielką korzyść dla nas – a być może, kalkulowałem sobie, będziemy traktowani uprzejmiej, jeśli zostaniemy uznani za historycznie ważne osoby; starałem się jednak jak najbardziej nie podkreślać mojej tożsamości z Mosesem.

W końcu Hilary Bond przekazała szeptem instrukcje żołnierzowi, który następnie poszedł do innej części pojazdu.

– Powiadomię o tym ministerstwo lotnictwa, kiedy wrócimy. Jestem pewna, że będą wami bardzo zainteresowani i będziecie mieli wiele okazji, by po naszym powrocie omówić sprawę z władzami.

– Powrocie?! – warknąłem. – To znaczy do roku 1938?

Wyglądała na podenerwowaną.

– Obawiam się, że paradoksy podróżowania w czasie trochę mnie przerastają; bez wątpienia mądrale w ministerstwie

rozplaczą ten cały mętnik.

Uświadomiłem sobie, że stojący obok mnie Moses wybucha śmiechem – głośnym, z domieszką hysterii.

– A to dobre! – powiedział. – Och, to naprawdę dobre. Teraz nie muszę wcale budować wehikułu czasu!

Nebogipfel spojrział na mnie ponuro.

– Obawiam się, że liczne ciosy zadane przyczynowości oddalają nas coraz bardziej od pierwotnej wersji historii – tej, która istniała przed pierwszym zadziałaniem wehikułu czasu...

Teraz kapitan Bond nam przerwała.

– Rozumiem waszą konsternację. Mogę was jednak zapewnić, że nie stanie wam się żadna krzywda. Wręcz przeciwnie, moja misja polega na tym, żeby was chronić. A także – powiedziała z wdziękiem – zadałam sobie trud, żeby sprowadzić kogoś, kto pomoże wam w adaptacji do naszych czasów. Można powiedzieć, że to rodak z waszej epoki.

Z ciemnej, tylnej części przejścia podszedł do nas powoli jakiś człowiek. Nosił wszechobecne tutaj epolety, broń ręczną i maskę, która zwisała mu u pasa. Na mundurze jednak – nijakim, czarnym – nie było żadnych wojskowych insygniów. Ta nowa osoba poruszała się powoli, z dość dużym trudem, po niewygodnych chodnikach, dając wszelkie świadectwa swego wieku. Zobaczyłem, jak tkanina munduru napina jej się na obwisłym brzuchu.

Mówił słabym głosem, ledwie słyszalnym w hałasie silników.

– Dobry Boże, to ty – zawołał do mnie. – Jestem uzbrojony po zęby z powodu Niemców, ale wiesz, po ostatnim czwartkowym spotkaniu nie spodziewałem się, że się jeszcze kiedykolwiek zjawisz i to w takich okolicznościach!

Kiedy wszedł w krąg światła, doznałem kolejnego szoku. Gdyż

– mimo iż jego oczy były zamglone, plecy zgarbione i nie zostało prawie nic z rudego koloru w czuprynie jego siwych włosów, i choć czoło tego człowieka szpeciła paskudna szrama, jakby uległ poparzeniu, był to bez wątpienia Filby we własnej osobie.

– Niech mnie lichu porwie – powiedziałem do niego.

Filby zachichotał nieprzyzwoicie, kiedy do mnie podchodził. Chwyciłem jego rękę – była wåtła i poznaczona plamami wątrobowymi – i oceniłem go na nie mniej niż siedemdziesiąt pięć lat.

– Niech ciebie porwie lichu. Być może porwie nas wszystkich! Ale i tak dobrze znów cię zobaczyć.

Obdarzył Mosea dziwnym spojrzeniem. Nic dziwnego, pomyślałem!

– Filby, na wielkiego Scotta, człowieka, chcę ci zadać mnóstwo pytań.

– Nie wątpię. Dlatego wywlekli mnie z domu rodziców w kopule Bournemouth. Jestem odpowiedzialny za aklimatyzację, jak to nazywają – mam pomagać rodowitym mieszkańcom swojej epoki przystosować się... Rozumiesz?

– Ale Filby, wydaje się, jakby to było zaledwie wczoraj. W jaki sposób spotkało cię...

– To? – Pokazał na swoje zwiędłe ciało zdawkowym, cynicznym gestem. – Jak mnie to spotkało? Czas, mój przyjacielu. To z powodu tej cudownej rzeki, na której powierzchni, według ciebie, można się ślizgać niczym wioślarz. No cóż, czas nie jest przyjacielem zwykłego człowieka. Ja podróżowałem przez czas bardzo niewygodnie i oto co ta podróż uczyniła ze mnie. Dla mnie minęło czterdzieści siedem lat od tamtego ostatniego spotkania w Richmond i twoich sztuczek z wehikułem czasu.

Pamiętasz? Oraz od twojego zniknięcia w przyszłości.

– Nadal ten sarn, stary Filby – powiedziałem z przejęciem i chwyciłem go za ramię. – Nawet ty musisz w końcu przyznać, że miałem rację co do podróżowania w czasie!

– Akurat wiele korzyści z tego odnieśliśmy – mruknął.

– A teraz – powiedziała pani kapitan – jeśli zechcecie mi wybaczyć, panowie. Muszę dowodzić molochem. Będziemy gotowi do startu za kilka minut.

Robiąc ukłon w kierunku Filby'ego, odwróciła się do załogi.

Filby westchnął.

– Chodź – powiedział. – Z tyłu jest miejsce, gdzie możemy usiąść. Jest tam trochę mniej hałaśliwie i brudno niż tutaj.

Ruszyliśmy w kierunku tylnej części fortecy.

Kiedy przemierzaliśmy środkowe przejście, mogłem przyjrzeć się dokładniej mechanizmom napędowym. Pod środkowymi chodnikami dostrzegłem układ długich półosi, które obracały się wokół wspólnej osi, mając pod sobą metalową podłogę; półosie przyczepione były do olbrzymich kół. Słoniowate stopy, które dostrzegliśmy wcześniej, zwisały z kół na przysadzistych nogach. Koła wrzucały błoto i kawałki wyrywanej nawierzchni drogi do wnętrza maszyny. Zobaczyłem, że za pomocą półosi koła można było podnosić lub opuszczać względem kadłuba pojazdu, i wydawało się, że stopy i nogi też można było podnosić na pneumatycznych tłokach. To właśnie dzięki temu układowi można było uzyskać zmienne nachylenie fortecy, które umożliwiało jej przemieszczanie się po najbardziej nierównej drodze lub utrzymywanie w poziomej pozycji na stromych zboczach.

Moses wskazał na solidną, pudełkowatą, stalową kratownicę,

która wzmacniała podstawę fortecy.

– Niech pan spojrzy – powiedział cicho do mnie. – Czy widzi pan coś dziwnego w tamtej części? I w tamtej? Pręty, które przypominają kwarc. Trudno dociec, jaka jest ich funkcja.

Przyjrzałem się baczniej. W świetle elektrycznych lamp nie miałem pewności, ale wydało mi się, że widzę dziwne, zielone przeświecanie w kwarcowych i niklowych elementach, przeświecanie, które wyglądało bardzo znajomo!

– To plattneryt – syknąłem do Mosesa. – Pręty zostały napełnione... Moses, jestem przekonany, nie mogę się mylić, pomimo słabego oświetlenia, że to są części zabrane z mojego laboratorium: części zapasowe, prototypy i odpady, które powstały podczas budowy mojego wehikułu czasu.

Moses skinął głową.

– A zatem przynajmniej wiemy, że ci ludzie nie nauczyli się jeszcze sami produkować plattnerytu.

Morlok podszedł do mnie i wskazał na coś, co ustawiono w ciemnym zakątku w sektorze silnikowym. Musiałem wyteńczyć wzrok, ale rozpoznałem, że ten duży przedmiot to mój własny wehikuł czasu! Cały i nie uszkodzony, najwidoczniej zabrany z Richmond Hill i przyniesiony do tej fortecy: jego poręcze nadal były poplamione od trawy. Maszynę obwiązano sznurami i wyglądała, jak uwięziona w pajęczej sieci.

Na widok tego symbolu bezpieczeństwa poczułem ogromną chęć, by uwolnić się od tych żołnierzy – jeśli to możliwe – i popędzić do mojego wehikułu. Być może zdołałbym dotrzeć do domu, nawet teraz...

Wiedziałem jednak, że byłaby to bezskuteczna próba, i uspokoiłem się. Nawet gdybym zdołał dotrzeć do wehikułu – a nie byłem w stanie, gdyż żołnierze od razu by mnie zastrzelili –

nie zdołałbym odnaleźć domu. Po tym ostatnim incydencie żadna wersja roku 1891, do której zdołałbym dotrzeć, nie byłaby ani trochę podobna do bezpiecznego i pomyślnego roku, który tak lekkomyślnie opuściłem. Znalazłem się na mieliźnie w czasie!

Dołączył do mnie Filby.

– Co myślisz o tej maszynerii? – Puknął mnie pięścią w ramię, dając świadectwo słabości starego człowieka. – To wszystko zaprojektował sir Albert Stern, który jest fachowcem w tej dziedzinie od początków wojny. Interesuję się tymi bestiami i ich rozwojem na przestrzeni lat... Wiesz, że zawsze fascynowały mnie urządzenia mechaniczne. Spójrz na to. – Wskazał w kierunku zakamarków części silnikowej. – Cały rząd silników Rolls-Royce’a „Meteor”! I przekładnia Merrit-Browna. Widzisz ją? Mamy zawieszenie Horstmann’a, z trzema wózkami jezdnyymi po obu stronach...

– Tak – wtrąciłem. – Ale, drogi stary Filby, po co właściwie to wszystko?

– Po co? Oczywiście po to, żeby prowadzić wojnę. – Filby zatoczył ręką koło. – To moloch klasy Kitchenera, jeden z najnowszych modeli. Głównym celem molochów jest przerwanie oblężenia Europy. Mogą zwinnie pokonywać wszystkie okopy z wyjątkiem najszerszych, choć są kosztowne, łatwo się psują i brak im odporności na pociski. „Raglan” to właściwa nazwa, nie sądzisz? Ponieważ lord Fitzroy Raglan to ten drań, który tak się rozprawił z oblężeniem Sewastopola na Krymie. Być może biedny, stary Raglan zdołałby...

– Oblężenie Europy?!

Spojrzał na mnie smutnym wzrokiem.

– Przepraszam – powiedział. – Może nie powinni byli mnie przysyłać. Ciągle zapominam, jak mało wiesz! Obawiam się, że

zrobił się ze mnie straszny, stary niedołęga! Słuchaj, muszę ci powiedzieć, że od 1914 roku prowadzimy wojnę.

– Wojnę? Z kim?

– Cóż, oczywiście z Niemcami. Bo z kim innym? I naprawdę zrobił się straszny bałagan...

Słowa te, ledwie pobieżny wgląd w przyszłą Europę pogrążoną w mrokach dwudziestoczteroletniej wojny, zmroziły mnie do szpiku kości!

Doszliśmy do komory o powierzchni jakichś dziesięciu stóp kwadratowych. Była niewiele większa od metalowego pudełka przyśrubowanego do wewnętrznej ściany molocha. Na suficie paliła się jedna żarówka, a ściany wyłożone były skórą, która łagodziła wrażenie metalowej posępności fortecy i tłumiała hałas silników, choć wyczuwało się głębsze pulsowanie. Było tam sześć prostych krzeseł z oparciem, przykręconych śrubami do podłogi, które stały naprzeciwko siebie i wyposażone były w skórzane uprząże. Znajdowała się tam również niska szafka.

Filby nakazał nam ręką, żebyśmy usiedli i zaczął się krzątać przy szafce.

– Powinienem przypiąć was pasami – powiedział. – Ten nonsens z przekraczaniem czasu przyprawia o całkiem niezły zawrót głowy.

Moses i ja usiedliśmy naprzeciwko siebie. Przypiąłem się luźno pasami; Nebogipfel miał kłopoty z klamrami, a pasy zwisały wokół niego, dopóki Moses nie pomógł mu ich napiąć.

Powłóczęc nogami, Filby podszedł do mnie z jakimś przedmiotem w rękę; była to filiżanka herbaty na popękany, porcelanowym podstawku, na którym znajdował się również mały biszkopt. Nie mogłem się powstrzymać od śmiechu.

– Filby, zmienne koleje losu nigdy nie przestają mnie zdumiewać. Oto mamy za chwilę wyruszyć w czas w tej groźnej,

ruchomej fortecy, a ty podajesz nam herbatę i biszkopty!

– No cóż, to dość ciężka przeprawa, nawet bez życiowych wygod. Sam wiesz to najlepiej!

Pociągnąłem łyk herbaty; była letnia i dość mocna. Tak pokrzepiony stałem się – niestosownie – dość złośliwy. Po namyśle doszedłem do wniosku, że mój stan psychiczny był trochę chwiejny i nie chciałem stanąć oko w oko z własną przyszłością lub straszną perspektywą tego 1938 roku.

– Filby – dokuczałem mu – czy nie dostrzegasz nic... Hm... dziwnego w moich towarzyszach?

– Dziwnego?

Przedstawiłem go Mosesowi. Biedny Filby zagapił się, przez co herbata zaczęła mu ściekać po brodzie.

– To właśnie tym naprawdę szokuje podróżowanie w czasie – powiedziałem do Filby’ego gwałtownie. – Zapomnij o początku gatunku i przeznaczeniu ludzkości. Dopiero gdy stajesz twarzą w twarz ze sobą jako młodym człowiekiem, uświadamiasz sobie, co to znaczy doznać szoku!

Filby wypytywał nas drobiazgowo o naszą tożsamość – pocziwy, stary Filby, sceptyczny do samego końca!

– Myślałem, że widziałem w życiu dość zmian i cudów, nawet bez tego podróżowania w czasie. Ale teraz... no cóż!

Westchnął i wydało mi się, że zobaczył w swoim długim życiu trochę za dużo, biedaczek. Nawet w młodości był podatny na coś w rodzaju przemęczenia mózgu.

Pochyliłem się do przodu, na tyle, na ile pozwalały mi pasy.

– Filby, nie mogę uwierzyć, że ludzie tak nisko upadli, tak oślepli. Ba, z mojej perspektywy widzę, że ta wasza przeklęta przyszła wojna wygląda na koniec cywilizacji.

– Dla ludzi z naszych czasów – odrzekł poważnie – być może

rzeczywiście tak jest. Ale to młodsze pokolenie, które poznało w swoim życiu jedynie wojnę, które nigdy nie czuło na twarzy ciepła słońca, nie obawiając się jednocześnie powietrznych torped... Cóż! Myślę, że przywykło do tego, to tak, jakby przemieniało się w podziemny gatunek.

Nie mogłem się powstrzymać, by nie spojrzeć na Morloka.

– Filby, po co odbywamy tę podróż przez czas?

– Nie chodzi tak bardzo o ciebie, lecz o wehikuł – zaczął. – Widzisz, musieli się upewnić co do budowy wehikułu czasu. Technika podróży w czasie jest zasadniczą sprawą w tej wojnie. A przynajmniej tak uważają niektórzy z nich. Z twoich zapisków dowiedzieli się dość dużo o twoich badaniach, choć nigdy nie opublikowałeś niczego na ten temat. Pozostała jedynie kwestia dziwnej relacji o twojej pierwszej wyprawie w odległą przyszłość, którą nam pozostawiłeś po powrocie na krótki czas. Tak więc wysłano „Raglana”, żeby chronił twój dom przed jakimkolwiek najazdem Podróżnika w Czasie... Takiego jak ty...

Nebogipfel uniósł głowę.

– Dalsze pogmatwanie przyczynowości – powiedział. – Widocznie naukowcy z 1938 roku nie zaczęli jeszcze pojmować koncepcji wielorakości... tego że nie można niczego zapewnić, jeśli chodzi o przeszłość: że nie można zmienić Historii, że można jedynie doprowadzić do powstania nowych wersji...

Filby spojrział na niego – na tę trajkoczącą zjawę w szkolnym mundurku, której zewsząd wyrastały włosy!

– Nie teraz – powiedziałem do Nebogipfela. – Filby, ciągle mówisz: oni. Kim są „oni”?

Wydawał się zaskoczony pytaniem.

– To oczywiście rząd.

– Która partia? – warknął Moses.

– Partia? Och, to wszystko należy już do przeszłości.

Przekazał nam tę mrozącą krew w żyłach wiadomość – o śmierci demokracji w Brytanii – tymi kilkoma zdawkowymi słowami!

– Chyba wszyscy spodziewaliśmy się – ciągnął – że zastaniemy tu *Die Zeitmaschine*, która będzie się przetaczać po Richmond Park i wyczekiwać okazji, by dokonać skrytobójstwa... – Przybrał żałobny wyraz twarzy. – Wiesz, to przez Niemców. Przekłęci Niemcy! To oni robią ten straszny bałagan... Tak jak zawsze!

Dokładnie po tych słowach, przy przyćmionym świetle jednej żarówki, usłyszałem ryk silników. Doznałem uczucia znajomego, bezradnego spadania, które uświadomiło mi, że „Raglan” jeszcze raz wysyła mnie w czas.

Księga Trzecia

WOJNA Z NIEMCAMI

Moja najnowsza podróż przez czas była nieprzyjemna i bardziej dezorientująca niż zwykle – oceniłem, że to z powodu nierównomiernego rozłożenia szczątkowych ilości plattnerytu wokół molocha. Nie trwała jednak długo i uczucie spadania szybko zniknęło.

Filby siedział ze skrzyżowanymi ramionami i głową przyciśniętą do piersi, stanowiąc idealny obraz nieszczęśnika. Teraz zerknął na coś, co uznałem za zegar ścienny, i klepnął się w kościste kolano.

– Ha! Jesteśmy na miejscu. Ponownie mamy szesnastego lipca 1938 roku.

Zaczął odpinać pasy.

Wstałem z krzesła i przyjrzałem się dokładniej temu zegarowi. Stwierdziłem, że mimo iż wskazówki nadawały mu konwencjonalny wygląd, urządzenie posiadało również kilka chronometrycznych tarcz. Zachnąłem się i puknąłem palcem w szklaną osłonę. Powiedziałem do Mosesa:

– Niech pan spojrzy! To zegar chronometryczny, ale pokazuje lata i miesiące. To przerost, Moses, charakterystyczny dla rządowych projektów. Dziwię się, że w zegarze nie zamontowano laleczek w nieprzemakalnych płaszczach i przeciwsłonecznych kapeluszach, które pokazywałyby zmianę pór roku!

Po kilku minutach dołączyli do nas kapitan Hilary Bond oraz

młody żołnierz, który zabrał nas z Richmond Hill (nazywał się Harry Oldfield, jak nam powiedziała Bond). W małym pomieszczeniu zrobiło się tłoczno.

– Otrzymałam rozkazy co do was – odezwała się kapitan Bond.
– Mam was dowieźć do Imperial College, gdzie prowadzone są badania związane z wykorzystaniem skoków w czasie w działaniach wojennych.

Nie słyszałem o tym college’u, ale o nic nie pytałem.

Oldfield miał przy sobie pudełko z maskami przeciwgazowymi i metalowymi epoletami.

– Proszę – powiedział do nas – lepiej je załóżcie.

Moses podniósł maskę przeciwgazową z niesmakiem.

– Chyba nie oczekujecie, że włożę na głowę coś takiego.

– Musi pan – powiedział z niepokojem Filby i zobaczyłem, że już zapina własną wokół swojej kościstej twarzy. – Wie pan, musimy przejść kawałek na otwartej przestrzeni. A jest niebezpiecznie. Niebezpiecznie!

– Niech pan da spokój – powiedziałem do Mosesa, biorąc ponuro maskę i epolety dla siebie. – Obawiam się, staruszk, że już nie jesteśmy w domu.

Epolety były ciężkie, ale z łatwością przypięły się do mojej marynarki. Jednak maska, którą dał mi Oldfield, choć obszerna i dobrze dopasowana, była nadzwyczaj niewygodna. Stwierdziłem, że szkła gogli prawie od razu zaszły mgłą, a przy gumowo-skórzanych obramowaniach wkrótce pojawił się pot.

– Nigdy się do tego nie przyzwyczaję – powiedziałem.

– Mam nadzieję, że nie będziemy tu aż tak długo – syknął z emocją Moses; jego głos był przytłumiony przez maskę.

Zwróciłem się do Nebogipfela. Biedny Morlok – już okutany w szkolny mundurek – miał teraz na sobie absurdalną maskę,

która była o kilka numerów za duża dla niego: kiedy poruszał głową, owadzi filtr na przodzie dosłownie chybotął się we wszystkie strony.

Poklepałem go po głowie.

– Przynajmniej teraz wmieszasz się w tłum, Nebogipfelu!

Powstrzymał się od odpowiedzi.

Wynurzyliśmy się z metalowego łona „Raglana” w jasny, letni dzień. Była mniej więcej druga po południu i światło słoneczne odbijało się od brunatnego kadłuba molocha. Od razu zaparowały mi szkła i oblałem się potem. Bardzo pragnąłem zdjąć tę ciężką i ciasną maskę.

Niebo nad głową było bezkresne, ciemnobłękitne i bezchmurne – choć tu i ówdzie dostrzegłem cienkie, białe linie i zakrętasy, smugi pary lub kryształków lodu, które biegły w poprzek firmamentu. Na końcu jednej takiej pręgi zobaczyłem błysk – może było to światło słoneczne, które odbijało się od jakiejś metalowej latającej maszyny.

Moloch usadowił się na wersji Petersham Road, która znacznie się różniła od roku 1873, czy nawet 1891. Rozpoznałem większość domów z moich czasów: nawet mój własny nadal stał za barierką, która zardzewiała i pokryta była śnieżką. Jednakże ogrody i trawa obramiająca grządki wydawały się wszędzie rozryte i zarośnięte roślinami, których nie znałem. Zobaczyłem też, że wiele domów było zrujnowanych. Po niektórych pozostały jedynie wywieszki, gdyż ich dachy i wewnętrzne ściany pozapadały się. Tu i ówdzie widziałem budynki poczerniałe i wypalone w środku, inne zamieniły się w stos gruzów. Nawet mój własny dom był pogruhotany, a laboratorium całkowicie zburzone. Zniszczenia nie były świeże: nowo powstające życie,

zielone i pełne energii, przywłaszczyło sobie wnętrza wielu domów; mech i młode rośliny pokrywały resztki salonów i korytarzy, a ziejące okna przesłonięte były bluszczem, który tworzył dziwaczne firany.

Zobaczyłem, że drzewa nadal porastają to samo lesiste zbocze opadające ku Tamizie, ale nawet na nich widać było ślady zniszczenia: dostrzegłem kikuty po odłamanych gałęziach, przypalone pnie i tym podobne świadectwa jakiejś katastrofy. Wyglądało to tak, jakby przeszedł tu jakiś cyklon lub pożar. Molo nie było uszkodzone, ale po moście Richmond pozostały jedynie podpory, pocerniałe i ścięte, a przęsło uległo całkowitemu zniszczeniu. Dużą część łąk nad brzegiem rzeki w kierunku Petersham porastała ta sama osobliwa roślinność, która rozpleniła się w ogrodach, a w samej rzece pływały jakieś brązowe szumowiny.

Nigdzie nie ujrzałem żadnego człowieka, żadnego ruchu. Chwasty przebijały się przez popękana powierzchnię dróg. Nie słyszałem śmiechu czy krzyków, gwaru bawiących się dzieci i jakichkolwiek odgłosów zwierząt: rżenia koni czy śpiewu ptaków.

Z wesołości, która kiedyś cechowała czerwcowe popołudnie w tym miejscu – błysk wioseł, śmiech wycieczkowiczów płynących łódką po rzece – nie pozostało dosłownie nic.

To wszystko zniknęło w tym ponurym roku, może na zawsze. To było opuszczone Richmond, miejsce absolutnie martwe. Przypomniały mi się wspaniałe ruiny w ogrodowym świecie roku Pańskiego 802 701. Myślałem wtedy, że to wszystko jest bardzo daleko ode mnie. Nigdy nie wyobrażałem sobie, że zobaczę własną, znajomą Anglię w takim stanie!

– Wielki Boże – odezwał się Moses. – Co za katastrofa... Co za

ruina! Czy wszyscy porzucili Anglię?

– Ależ skąd – wtrącił żywo Oldfield. – Ale w takich miejscach jak to już nie jest bezpiecznie. Chodzi o gaz i powietrzne torpedy. Większość ludzi skryła się pod kopułami.

– Ale to wszystko jest w takim opłakanym stanie, Filby – zaprotestowałem. – Co się stało z duchem naszych obywateli? Gdzie chęć, by zabrać się do roboty i naprawić to wszystko? Wiesz, można by to zrobić...

Filby położył mi rękę na ramieniu.

– Pewnego dnia, kiedy to nieszczęście już się skończy, ożywimy ten kraj na nowo. I będzie tak jak dawniej. Ale na razie... – Urwał i żałowałem, że nie mogę zobaczyć wyrazu jego twarzy. – Chodźmy – powiedział. – Lepiej znikajmy z tej otwartej przestrzeni.

Pozostawiliśmy „Raglana” za sobą i pospieszyliśmy drogą w kierunku centrum miasta: Moses, Nebogipfel, ja, Filby i dwaj żołnierze. Nasi towarzysze z 1938 roku szli przygarbieni, rzucając bez przerwy niespokojne spojrzenia na niebo. Znów zauważyłem, że Bond wyraźnie kuleje na lewą nogę.

Odwróciłem głowę i spojrzałem tęsknie na molocha, gdyż wiedziałem, że wewnątrz niego znajduje się wehikuł czasu – moja jedyna możliwość powrotu do domu, ucieczki z tego rozwijającego się koszmaru wielu historii – wiedziałem też jednak, że nie ma widoków, by dotrzeć teraz do maszyny; mogłem jedynie czekać na rozwój wydarzeń.

Poszliśmy wzdłuż Hill Street, po czym skręciliśmy w George Street. Nie widać było krzątania i elegancji, które cechowały tę ulicę handlową za moich czasów. Domy towarowe, takie jak Goslinga i Wrighta, zabite były deskami, i nawet deski, które

zakrywały ich okna, wyblakły od światła słonecznego padającego na nie od wielu lat. Dostrzegłem, że jeden narożnik okna u Goslinga został wyważony, najwidoczniej przez grabieżców; dziura wyglądała tak, jakby ją wyżarł jakiś szczur o ludzkich rozmiarach. Minęliśmy przysadziste schronienie z groźnie zwisającym dachem oraz stojącym obok słupem z oznakowaniem w kształcie szachownicy i szklaną powierzchnią czołową, która teraz była popękana. To miejsce też wyglądało na opuszczone, a jaskrawa, żółto-czarna farba na słupie złuszczyła się w wielu miejscach.

– To schron przeciwlotniczy – wyjaśnił Filby w odpowiedzi na moje pytanie. – Wczesna konstrukcja. Zupełnie nieudana. Gdyby kiedykolwiek trafił w nią pocisk... No cóż! A ten znak na słupie oznacza ambulatorium, które wyposażone jest w respiratory i maski gazowe. Rzadko z niego korzystano, nim zaczął się wielki odwrót do kopuł.

– Schron przeciwlotniczy... To nie jest szczęśliwy świat, Filby, jeśli utworzono takie nowe terminy.

Westchnął.

– Widzisz, oni mają powietrzne torpedy. Mówię o Niemcach. Mają latające maszyny, które mogą przelecieć dwieście mil, zrzuć bombę i wrócić! I to wszystko odbywa się mechanicznie, bez udziału człowieka. To świat cudów, bo wojna to wspaniała motywacja dla pomysłowych umysłów. Spodoba ci się tu!

– Niemcy... – odezwał się Moses. – Odkąd pojawił się Bismarck, mamy z nimi same kłopoty. Czy ten stary łotr jeszcze żyje?

– Nie, ale ma zdolnych następców – odparł ponuro Filby.

Nie skomentowałem tego. Z mojej perspektywy, tak odległej teraz od widzenia Moseśa, wydawało się, że nawet ktoś taki brutalny jak Bismarck nie może usprawiedliwiać śmierci choćby

jednego człowieka.

Filby opowiedział mi z zapartym tchem o kolejnych niesamowitych osiągnięciach techniki wojennej tego nieoświeconego wieku: o najeźdźczych, przeznaczonych do prowadzenia walk gazowych łodziach podwodnych, które miały prawie nieograniczony zasięg i zawierały pół tuzina pocisków rakietowych zaopatrzonych w zastraszającą liczbę bomb gazowych; o mnogości pojazdów pancernych, które według moich wyobrażeń przedzierały się wszędzie przez zmaltretowane równiny Europy; o kolejnych molochach, które mogły zanurzyć się pod wodą, pływać, lub zakopać się w ziemi. I temu wszystkiemu przeciwstawiony był równie straszny arsenał min i dział najróżniejszego rodzaju.

Unikałem wzroku Nebogipfela. Nie mogłem stanąć oko w oko z jego oceną! Gdyż to nie był wycinek na podniebnej Sferze, zaludniony przez odległych ode mnie potomków ludzkości: to był mój świat, moja własna rasa, która pogrążyła się w szaleństwie wojny! Jeśli chodzi o mnie, zachowałem część szerszej perspektywy, którą nabrałem we wnętrzu tamtego większego tworu. Ledwie znosiłem widok własnego narodu pogrążonego w takim szaleństwie i doznawałem bólu, słysząc uwagi Moseśa, które świadczyły o drobnych uprzedzeniach jego czasów. Nie mogłem go winić! Jednak niepokoiła mnie myśl, że moja wyobraźnia była kiedykolwiek tak ograniczona, tak podatna na wpływy i sugestie innych.

Dotarliśmy do prymitywnej stacji kolejowej. Nie była to jednak stacja, z której korzystałem w 1891 roku, by przejechać z Richmond do Waterloo przez Barnes. Ta nowa konstrukcja znajdowała się z dala od centrum miasta, tuż za Kew Road. I sprawiała dziwne wrażenie: nie było tam kas biletowych i rozkładów jazdy, a peron stanowił goły betonowy pas. Nowa linia kolejowa była bardzo prymitywna. Czekał na nas pociąg: była to nijaka, ciemna lokomotywa, która żałobnie buchała parą z poplamionego sadzą kotła, i stał tam jeden wagon. Lokomotywa nie miała żadnych świateł ani emblematów spółki kolejowej, do której należała.

Oldfield otworzył drzwi do wagonu; były ciężkie i miały gumową uszczelkę. Widoczne pod goglami oczy Oldfielda prześlizgnęły się szybko po okolicy. W słoneczne popołudnie roku 1938 Richmond nie było bezpiecznym miejscem!

Wagon zaliczał się do zwykłych: stały tam jedynie rzędy twardych, drewnianych ławek bez żadnych obić czy zdobień. Pomalowano go na jednolity, nijaki, brązowy kolor. Okna były szczelnie zamknięte i znajdowały się tam żaluzje, które można było opuszczać.

Zajęliśmy miejsca, siadając dość sztywno naprzeciwko siebie. Upał w wagonie w to letnie popołudnie był nie do wytrzymania.

Gdy Oldfield zamknął drzwi, pociąg niezwłocznie ruszył

z szarpnięciem.

– Najwidoczniej jesteście jedynymi pasażerami – wymamrotał Moses.

– Cóż, to dziwny pociąg – powiedziałem. – Niezbyt wygodny, prawda, Filby?

– Nie jest to wiek, który sprzyja wygodom, staruszk.

Przebyliśmy kilka mil i krajobraz na tym odcinku był równie opustoszały jak w Richmond. Wydało mi się, że ten obszar jest prawie w całości rolniczy i w przeważającej części słabo zaludniony, choć tu i ówdzie dostrzegłem kilka osób, które harowały na polu. Przypominało to scenę z piętnastego, a nie dwudziestego wieku – z wyjątkiem zniszczonych i zbombardowanych domów, które zaśmiecały krajobraz, tu i ówdzie pocętkowany był okazałymi dachami schronów przeciwlotniczych: wielkich, betonowych skorup wpuszczonych do połowy w ziemię. Uzbrojeni żołnierze patrolowali okolice wokół tych schronów, spoglądając groźnie na świat przez gogle swoich owadzych masek przeciwgazowych, jak gdyby chcieli powiedzieć wszelkim uchodźcom: „Tylko się odważ!”

W pobliżu Mortlake zobaczyłem czterech ludzi, którzy wisieli na słupach telegraficznych przy drodze. Ich ciała były wiotkie i poczerniałe, z pewnością powyżerane przez ptaki. Zwróciłem uwagę Filby’emu na ten przerażający widok – on i żołnierze nawet nie zauważyli obecności zwłok – na co mój przyjaciel rzucił mętne spojrzenie w tamtym kierunku i wymamrotał coś o tym, że „z pewnością przyłapano ich na kradzieży rzepy szwedzkiej lub podobnym przewinieniu”.

Zrozumiałem, że w tej wersji Anglii roku 1938 takie widoki są na porządku dziennym.

Wtedy – zupełnie bez ostrzeżenia – pociąg zjechał po

pochyłości do tunelu. Zapaliły się dwie elektryczne żarówki na suficie i siedzieliśmy w ich żółtym świetle, spoglądając na siebie ze zmarszczonymi czołami.

– Czy to kolej podziemna? – zapytałem Filby’ego. – Przypuszczam, że jesteśmy na jakimś przedłużeniu linii Metropolitan.

Filby wydawał się zmieszany.

– Och, przypuszczam, że ta linia ma jakiś numer...

Moses zaczął majstrować przy swojej masce.

– Przynajmniej możemy zdjąć te straszne aparaty – powiedział.

Bond położyła mu rękę na ramieniu.

– Nie – zaprzeczyła. – Nadal jest niebezpiecznie.

Filby skinął głową na znak potwierdzenia.

– Gaz przedostaje się wszędzie. – Wydawało mi się, że zadrżał, ale trudno było mieć pewność, kiedy miał na sobie ten nijaki, luźny strój. – Jeśli człowiek tego nie przeszedł...

Po czym pokrótce, obrazowymi słowami, opisał nalot gazowy, którego był świadkiem na początku wojny, w Knightsbridge, kiedy bomby nadał zrzucano ręcznie z balonów, a ludzie jeszcze nie byli przyzwyczajeni do całego tego koszmaru.

Filby sugerował, że obecnie takie przerażające sceny nie były niczym niezwykłym w tym świecie pogrążonym w niekończącej się wojnie!

– Dziwię się, że nie doszło do całkowitego upadku morale, Filby.

– Wydaje się, że ludzie wcale nie są tacy słabi. Są wytrzymali. Oczywiście, zdarzały się chwile rozpacz – ciągnął. – Na przykład pamiętam sierpień 1918 roku... Był to moment, kiedy wydawało się, że po tak długim czasie zachodni sojusznicy wreszcie

pokonają przeklętych Niemców i zakończą tę wojnę. Ale potem doszło do Bitwy Kajzera – *Kaiserschlachtu*, wielkiego zwycięstwa Ludendorffa, który wdarł się między angielskie i francuskie linie obronne... Po czterech latach wojny w okopach był to dla nich wielki przełom. Poza tym strasznie zaszkodziło nam zbombardowanie Paryża, w którym zginęło wielu członków francuskiego dowództwa...

Kapitan Bond skinęła głową.

– Szybkie zwycięstwo na zachodzie umożliwiło Niemcom skierowanie uwagi na Rosjan na wschodzie. A potem, w 1925 roku...

– W 1925 roku – wtrącił Filby – przekłęci Niemcy utworzyli swoją wymarzoną *Mitteleuropa*.

Filby i Bond opisali mi z grubsza sytuację. *Mitteleuropa*: europejska oś, jeden rynek rozciągający się od wybrzeża Atlantyku aż poza Ural. W 1925 roku kajzer kontrolował tereny od Atlantyku po Bałtyk, poprzez rosyjską Polskę aż po Krym. Francja stała się słabym zapleczem pozbawionym wielu swoich zasobów. Z Luksemburga utworzono siłą niemiecki kraj federalny. Belgię i Holandię zmuszono do oddania swych portów do dyspozycji Niemców. Kopalnie we Francji, Belgii i Rumunii wykorzystano do wspierania dalszej ekspansji Rzeszy na wschód. Słowianie zostali odepchnięci, a miliony nierosyjskich obywateli uwolnione spod zwierzchnictwa Moskwy...

I tak dalej, usłyszałem kolejne, nic nie znaczące szczegóły.

– A potem, w 1926 roku – powiedziała Bond – sojusznicy – Brytania ze swoim Imperium i Ameryka – ponownie utworzyli front na zachodzie. To była inwazja Europy: największy wodny i powietrzny transport wojsk i sprzętu, jaki kiedykolwiek widziano. Na początku wszystko szło dobrze. Ludność Francji

i Belgii powstała i Niemcy zostali wyparci...

– Ale niezbyt daleko – wtrącił Filby. – Wkrótce nastąpiło ponownie to samo, co w 1915 roku. Dwie olbrzymie armie ugrzęzły w bagnach Francji i Belgii.

Tak się zaczęło oblężenie. Teraz jednak zasoby potrzebne do prowadzenia wojny były znacznie większe: z jednej strony zjednoczone siły brytyjskiego Imperium i kontynentu amerykańskiego, a z drugiej *Mitteleuropą*, zostały wlane w ten straszny tygiel wojny.

A potem działania wojenne przeniosły się z całym impetem na ludność cywilną: powietrzne torpedy, naloty gazowe...

– „Wojny zwykłych ludzi będą straszniejsze od wojen królów” – zacytował ponuro Moses.

– Ale ludzie, Filby, co z ludźmi!

Jego głos, przytłumiony przez maskę, był zarazem znajomy i oddalony ode mnie.

– Były powszechne protesty... pamiętam, zwłaszcza pod koniec lat dwudziestych. Potem jednak uchwalono ustawę 1305, która uznała strajki, lokauty i inne formy protestu za nielegalne. I tak to się skończyło! Od tamtej pory... no cóż, przypuszczam, że po prostu godzimy się z tym stanem rzeczy.

Dostrzegłem, że ściany tunelu odsunęły się od okna, jak gdyby tunel się poszerzył. Wydawało się, że wjeżdżamy do dużej, podziemnej komory.

Bond i Oldfield odpięli maski z wyrazem ulgi na twarzy. Filby też poluźnił paski i kiedy jego biedna, stara głowa uwolniona została z wilgotnego więzienia, zobaczyłem białe ślady na jego podbródku, w miejscach, gdzie maska wbijała się w jego skórę.

– Tak znacznie lepiej – powiedział.

– Czy teraz jesteśmy bezpieczni?

– Teoretycznie tak – odparł. – Tak jak wszędzie indziej!

Odpiąłem maskę i ściągnąłem ją z głowy. Moses szybko zdjął własną, po czym pomógł Morlokowi. Po odsłonięciu twarzy Nebogipfela Oldfield, Bond i Filby wgapili się w niego ze zdziwieniem – nie mogłem ich za to winić! – aż Moses pomógł mu z powrotem założyć czapkę i gogle.

– Gdzie jesteśmy? – zapytałem Filby’ego.

– Nie rozpoznajesz tego miejsca?

Machnął rękaw kierunku ciemności za oknem.

– Ja...

– To Hammersmith, staruszk. Właśnie przekroczyliśmy rzekę.

– To Hammersmith Gate – wyjaśniła mi Hilary Bond. – Dotarliśmy do londyńskiej kopuły.

Londyńska kopuła!

W moich czasach nie widziałem niczego, co dałoby się porównać z tym zdumiewającym osiągnięciem w dziedzinie techniki budowlanej. Wyobraźcie sobie wielką, głęboką, odwróconą misę z betonu i stali o szerokości prawie dwóch mil, rozciągającą się nad miastem od Hammersmith do Stepney i od Islington do Clapham... Z ulic wystawały wszędzie słupy, rozporki i przypory, które powbijane były w gliniaste podłoże Londynu i górowały nad ludźmi oraz wytyczały im granice egzystencji niczym nogi tłumu olbrzymów.

Pociąg minął Hammersmith i Fulham, wjeżdżając głębiej do kopuły. Gdy mój wzrok przyzwyczał się do półmroku, po światłach ulicznych zacząłem rozpoznawać Londyn z moich czasów.

– Za tym płotem jest Kensington High Street! Czy to Holland Park?

Pomimo jednak wszystkich znanych punktów orientacyjnych i nazw ulic zobaczyłem, że jest to nowy Londyn. Londyn, w którym nastąpiła wieczna noc, miasto, które nie może się nigdy cieszyć blaskiem czerwcowego nieba, lecz również Londyn, który według słów Filby'ego zaakceptował to wszystko jako cenę ocalenia. Gdyż bomby i torpedy ześlizgiwały się po tym masywnym dachu lub wybuchały w powietrzu, nie czyniąc

żadnych szkód i pozostawiając to miasto, które Cobbett nazwał Kolosem, w nienaruszonym stanie.

Filby powiedział mi, że wszystkie miasta – kiedyś płonące światłem i przemieniające się w nocy w błyszczący klejnot – osłonięte zostały podobnymi skorupami odcinającymi je od świata. Obecnie ludzie prawie wcale nie podróżowali do innych wielkich kopuł-miast – woleli kulić się w swej sztucznej ciemności.

Wydawało się, że nasza nowa linia kolejowa biegnie w poprzek dawnych ulic. Mijane przez nas drogi były dość zatłoczone. Ludzie chodzili pieszo lub jeździli rowerami. Nie dostrzegłem ani powozów, ani pojazdów mechanicznych, które spodziewałem się zobaczyć. Były tam nawet riksze – lekkie powozy sterowane przez spoconych, chudych Londyńczyków, którzy omijali przeszkody w postaci słupów kopuły!

Obserwując tłumy przez okno zwalniającego pociągu, wyczułem, że pomimo ogólnej krzątaniny i zaaferowania, ludzie są przybici, przygnębieni, rozczarowani. Zobaczyłem pochylone głowy, przygarbione ramiona i pokryte bruzdami, zmęczone twarze. Wydawało mi się, że dostrzegam w tych ludziach pewien upór, ale – nic dziwnego – niewiele radości.

Zdziwiło mnie, że nigdzie nie było widać dzieci. Bond wyjaśniła mi, że szkoły znajdują się przeważnie pod ziemią, aby lepiej je ochronić przed ewentualnym bombardowaniem, natomiast rodzice pracują w fabrykach broni lub na olbrzymich lotniskach, które powstały w okolicach Londynu: w Balham, Hackney i Wembley. Może rzeczywiście takie rozwiązanie gwarantowało większe bezpieczeństwo, ale cóż to było za ponure miejsce bez śmiechu biegających dzieci, co nawet ja, zatwardziały kawaler, skłonny byłem przyznać. I cóż to za

przygotowanie biednych, podziemnych maluchów do życia?

Znów pomyślałem, że moje podróże przywiodły mnie do świata ciemności – świata, który spodobałby się Morlokom. Jednak ludzie, którzy skonstruowali tę wielką budowlę, nie byli Morlokami. Należeli do mojego gatunku, który przerażony wojną wyrzekł się prawa do światła, przysługującemu mu z tytułu urodzenia! Popadłem w głębokie, nieustające przygnębienie – nastrój, który miał mnie nie opuszczać przez większą część pobytu w roku 1938.

Tu i ówdzie dostrzegłem bardziej bezpośrednie dowody okropności wojny. Na Kensington High Street zobaczyłem jakiegoś człowieka – szczupłą, młodą kobietą przy jego boku musiała mu pomagać iść – który miał cienkie, szerokie wargi i paciorkowate, zapadłe oczy. Szara skóra jego twarzy poznaczona była fioletowymi i białymi plamami.

Kiedy zwróciłem na to uwagę, Filby pociągnął nosem.

– Poparzenia wojenne – odrzekł. – Zawsze wyglądają tak samo... To prawdopodobnie pilot myśliwca, młody gladiator, którego wyczyny wszyscy podziwiamy, kiedy rozgłaszają je paplające maszyny! A jednak dokąd mogą potem pójść? – Zerknął na mnie i położył przywiedłą rękę na moim ramieniu. – Nie chcę, żebyś mnie uznał za nieczułego, drogi przyjacielu. Nadal jestem Piłbym, którego znałeś. Po prostu... Boże! Człowiek musi się zahartować.

Wydawało się, że większość starych budynków Londynu ocalała, choć dostrzegłem, że niektóre wyższe budowle zburzono, aby umożliwić budowę betonowej skorupy. Zastanawiałem się, czy kolumna Nelsona nadal stoi! Nowe budynki były małe i szare, pokryte groźnie zwisającymi dachami. Pozostały tam jednak blizny po początkowych wojennych zniszczeniach, nim

ukończono budowę kopuły: wielkie leje po bombach, podobne do pustych oczodołów, oraz zwały gruzów, których nikt nie usunął, bo nie przyszło to nikomu do głowy lub nie starczyło na to sił.

Kopuła wznosiła się w najwyższym punkcie do wysokości mniej więcej dwustu stóp bezpośrednio nad Westminsterem w centrum Londynu. Kiedy zbliżyliśmy się do śródmieścia, zobaczyłem promienie jaskrawego światła, które migotało z centralnych ulic i padało na ten wszechobecny dach. Wszędzie z ulic Londynu oraz ogromnych tratw na rzece wyrastały te słupy: grubo ciosane, liczne, o rozłożystych i wzmocnionych podstawach – dziesięć tysięcy betonowych Atlasów wspierających dach, słupy, które przemieniły Londyn w olbrzymią, mauretańską świątynię.

Zastanawiałem się, czy złożone z kredy i miękkiej gliny podłoże, na którym spoczywał Londyn, wytrzyma ten olbrzymi ciężar! A co, gdyby to wszystko zatopiło się w błocie, wciągając ze sobą miliony cennych istnień ludzkich? Z pewną tęsknotą pomyślałem o tamtym przyszłym Wieku Budowli, kiedy opanowanie grawitacji uczyni z takiej konstrukcji jak ta kopuła błahostkę...

Jednak mimo prymitywności tej budowli i oczywistego pośpiechu, w jakim ją wykonano, mimo jej ponurego celu, stwierdziłem, że kopuła wywiera na mnie duże wrażenie. Mimo że wyciosano ją z prostego kamienia i umocowano w gliniastym podłożu Londynu z fachowością nie większą niż w moim własnym stuleciu, ta budowla była dla mnie bardziej niezwykła niż wszystkie cuda, które widziałem w roku Pańskim 657 208!

Jechaliśmy dalej, ale najwidoczniej zbliżyliśmy się do celu naszej podróży, gdyż pociąg poruszał się z prędkością niewiele

większą od spacerowego kroku. Zobaczyłem otwarte sklepy, ale w ich oknach nie paliło się światło. Dojrzałem manekiny poubierane w rzeczy o nijakich kolorach tamtych czasów i kupujących, którzy spoglądali przez posklejane szyby. Wydawało się, że w tej długiej i pełnej goryczy wojnie nie pozostało zbyt wiele z luksusu.

Pociąg zatrzymał się.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiła Bond. – To Canning Gate, zaledwie kilka minut drogi od Imperial College.

Oldfield popchnął drzwi wagonu, które otworzyły się z wyraźnym trzaskiem, jakby ciśnienie w tej kopule było wysokie. Wokół nas podniósł się hałas. Zobaczyłem kolejnych żołnierzy, ubranych w zszarzałe oliwkowe mundury polowe piechoty, którzy czekali na nas na peronie.

Chwytnąjąc pożyczoną maskę przeciwgazową, wyszedłem na zewnątrz i znalazłem się w londyńskiej kopule.

Hałas był zdumiewający! Takie było moje pierwsze wrażenie. Przypominało to przebywanie w jakiejś ogromnej krypcie, w której znajdują się miliony innych ludzi. Gwar głosów, skrzypienie kół pociągów i warkot tramwajów dźwięczały pod tym olbrzymim, zaciemnionym dachem, i zalewały mnie. Było bardzo gorąco, goręcej niż w „Raglanie”. Rozchodziły się różne zapachy, nie wszystkie były przyjemne. Czuć było woń: gotowanego jedzenia, ozonu z jakiejś maszyny, pary i oleju z pociągu, a przede wszystkim zapach milionów ludzi, którzy oddychali i pocili się w tej wielkiej, zamkniętej przestrzeni.

Tu i ówdzie w samej kopule rozmieszczono światła, które nie wystarczały, by oświetlić ulice, lecz pozwalały rozróżnić jej kształt. Zobaczyłem małe stworzenia, które przelatywały między światłami. Filby powiedział mi, że są to londyńskie gołębie, które

przeżyły, choć zbladły wskutek wieloletniego przebywania w ciemności. Oprócz gołębi fruwało tam kilka kolonii nietoperzy, które w niektórych dzielnicach nie były zbyt mile widziane.

W jednym narożniku dachu na północy odbywał się jakiś pokaz świetlny. Usłyszałem też echa wzmocnionego głosu z tamtego kierunku. Filby nazwał to „paplającą maszyną”. Doszedłem do wniosku, że to coś w rodzaju publicznego kinematografu. Był jednak zbyt daleko, bym mógł rozpoznać jakiegokolwiek szczegóły.

Zobaczyłem, że naszą nową linię kolejową dość prymitywnie wyłobiono w powierzchni starej drogi. I że ta stacja stanowiła nie więcej niż betonową plamę na środku Canning Place. Wszystkie zmiany w tym nowym świecie świadczyły o pośpiechu i panice.

Żołnierze otoczyli nas formacją w kształcie rombu i poszliśmy ze stacji przez Canning Place w kierunku Gloucester Road. Moses miał zaciśnięte pięści. W jaskrawym stroju dandysa wyglądał na przestraszonego i bezbronnego, i poczułem się winny, że sprowadziłem go do tego bezwzględного świata metalowych epoletów i masek przeciwgazowych.

Zerknąłem wzdłuż De Vere Gardens w kierunku Kensington Park Hotel, gdzie w szczęśliwszych czasach zwykłem jadać kolacje. Otoczone kolumnami portyki hotelu nadal stały, ale przód budynku zmarniał i wiele okien zabitych było deskami, a sam hotel wydawał się częścią nowego dworca kolejowego.

Skręciliśmy w Gloucester Road. Wielu ludzi przechodziło tu chodnikiem i ulicą, a dźwięk rowerowych dzwonków stanowił radosny kontrpunkt dla ogólnego nastroju przygnębienia. Naszą zwartą grupę – a zwłaszcza Mosesa w jego krzykliwym stroju – obrzucano wieloma przeciągłymi spojrzeniami, lecz nikt się do

nas nie zbliżał i z nami nie rozmawiał. Wokół kręciło się wielu żołnierzy w szarawych mundurach, podobnych do tych, które nosiła załoga molocha, lecz większość ludzi miała na sobie stroje, które choć dość brzydkie i źle skrojone, nie raziłyby w roku 1891. Kobiety nosiły delikatne spódnice i bluzki, proste i funkcjonalne, a szokowało jedynie to, że większość spódnic kończyła się trzy lub cztery cale poniżej kolan, tak iż na tym krótkim odcinku drogi napatrzyłem się na więcej łydek i kostek niż kiedykolwiek w życiu! (W obliczu tak wielu zmian nie byłem tym zbytnio zainteresowany, ale najwyraźniej zafascynowało to Mosesa i zobaczyłem, że się gapi w sposób niegodny dżentelmena.)

Wszyscy piesi nosili jednak te dziwne, metalowe epolety, i pomimo letniego upału wszyscy taszczyli ciężkie, parciane torby z maskami przeciwgazowymi.

Wszyscy żołnierze z naszej eskorty mieli otwarte kabury. Uświadomiłem sobie, że to nie my byliśmy tego powodem, gdyż zobaczyłem ich zwężone oczy, kiedy obserwowali ciżbę otaczających nas ludzi.

Skręciliśmy na wschód, w Queen's Gate Terrace. Była to część Londynu, którą znałem. Szliśmy szeroką, elegancką ulicą. Po obu jej stronach stały wysokie szeregowce i dostrzegłem, że tutejsze domy są nienaruszone przez ząb czasu. Na frontonach tych domów nadal znajdowały się kiczowate grecko-rzymskie ozdoby, które pamiętałem – kolumny z rzeźbionymi wzorami roślinnymi i tym podobne – a po obu stronach chodnika biegły te same bariereki pomalowane na czarno.

Bond kazała się nam zatrzymać przy jednym z tych domów, w połowie ulicy. Wspięła się po schodach do frontowych drzwi i zastukała w nie ręką w rękawicy. Kolejny żołnierz – szeregowiec w mundurze polowym – otworzył je od wewnątrz.

– Jakiś czas temu wszystkie tutejsze domy zostały zarekwirowane przez Ministerstwo Lotnictwa. Będziecie mieli wszystko, czego wam potrzeba. Po prostu pytajcie szeregowców. I Filby pozostanie z wami.

Moses i ja wymieniliśmy spojrzenia.

– Ale co mamy robić teraz? – zapytałem.

– Po prostu czekajcie – odparła. – Odświeżcie się, prześpijcie. Bóg tylko wie, która jest teraz godzina według waszych organizmów! Dostałam polecenia z Ministerstwa Lotnictwa. Bardzo chcę was poznać – powiedziała mi. – Jakiś naukowiec z Ministerstwa przejmie waszą sprawę. Przyjdzie się z wami zobaczyć rano. Cóż, powodzenia. Być może kiedyś znów się spotkamy.

Po tych słowach po męsku uścisnęła mi, a potem Mosesowi, rękę i zawołała Oldfielda. Ponownie poszli wzdłuż Mews, dwoje młodych, wyprostowanych, dzielnych żołnierzy, ale równie bezbronnych jak tamten poparzony nieszczęśnik, którego widziałem wcześniej na Kensington High Street.

4

Dom Na Queen's Gate Terrace

Filby oprowadził nas po domu. Pokoje były duże, czyste i jasne, choć zasłony zaciągnięto. Dom urządzone wygodnie, lecz prosto, w stylu, który nie raziłby w roku 1891. Główna różnica polegała na mnogości nowych elektrycznych gadżetów, zwłaszcza rozmaitych lamp i innych urządzeń, takich jak duża kuchenka, zamrażalniki, wentylatory i grzejniki.

Podszedłem do okna w jadalni i odsunąłem ciężką zasłonę. Okno składało się z dwóch warstw szkła, uszczelnionych na obrzeżu gumą i skórą. Były też uszczelki wokół futryn. A na zewnątrz, w ten angielski czerwcowy wieczór, panowała tylko ciemność kopuły, przerywana odległym migotaniem wiązek światła na dachu. Pod oknem znalazłem skrzynkę, zamaskowaną przez inkrustowany wzór, w której mieściła się półka z maskami przeciwgazowymi.

Mimo to, przy zaciągniętych zasłonach i jasnych światłach można było na chwilę zapomnieć o posępności świata za tymi ścianami!

W mieszkaniu znajdowała się również palarnia, dobrze zaopatrzona w książki i gazety. Nebogipfel przyjrzał się im, najwidoczniej niepewny co do ich przeznaczenia. Była tam

również duża szafa z kratownicą na przodzie. Moses otworzył ją, znajdując zdumiewający krajobraz zaworów, zwojów i stożków poczerńiałego papieru. Urządzenie okazało się fonografem. Było wielkości i kształtu holenderskiego zegara, a z przodu znajdowały się elektryczne wskaźniki barometryczne, elektryczny zegar i kalendarz oraz okienka na informacje o umówionych spotkaniach. Fonograf mógł zapisywać mowę, a nawet muzykę, i odtwarzał to wszystko z dużą wiernością za pośrednictwem jakiegoś skomplikowanego radiotelegrafu z moich czasów. Razem z Mosesem spędziłem trochę czasu przy tym aparacie, eksperymentując z regulatorami. Za pomocą nastawnego kondensatora – to pomysłowe urządzenie umożliwiało słuchaczowi wybieranie częstotliwości rezonansowej strojonego obwodu – można go było dostroić tak, aby odbierał fale radiowe o różnych częstotliwościach. Okazało się, że istnieje nadzwyczaj wiele stacji radiofonicznych – co najmniej trzy lub cztery!

Filby przyrządził sobie whisky z wodą i z pobłażaniem obserwował nasze eksperymenty.

– Fonografio wspaniała rzecz – powiedział. – Jednoczy wszystkich ludzi, nieprawdaż? Choć wszystkie stacje naturalnie podlegają pod MI.

– MI?

– Ministerstwo Informacji. – Filby spróbował zainteresować nas opowieścią o rozwoju nowego typu fonografu, który mógł przekazywać obrazy. – To był bżiczek przed wojną, ale nie przyjął się z powodu dystorsji kopuła. Jeśli człowiek chce pooglądać obrazy, może zawsze pójść na seans paplającej maszyny. Oczywiście, tam też nadają program MI, ale jeśli człowiek lubi płomienne mowy polityków i żołnierzy oraz

budujące kazania Wielkiego Dobroczyńcy, to dobrze trafił! – Pociągnął łyk whisky i skrzywił się. – Ale czegoż można się spodziewać? Przecież jest wojna!

Mosesa i mnie wkrótce znużył płynący z fonografu strumień suchych wiadomości oraz muzyki dość kiepskich orkiestr. Wyłączyliśmy urządzenie.

Każdy z nas dostał osobną sypialnię. Dla wszystkich była bielizna na zmianę – nawet dla Morloka – choć rzeczy najwyraźniej podobierano w pośpiechu i nie pasowały na nas. Pewien szeregowiec o wąskiej twarzy, chłopiec o nazwisku Puttick, miał z nami pozostać w domu. Choć za każdym razem widziałem go w mundurze polowym, całkiem dobrze się spisywał jako służący i kucharz. Przed domem i na Terrace zawsze stali inni żołnierze. Było jasne, że jesteśmy strzeżeni... lub więzieni!

Okolo siódmej Puttick zawołał nas do jadalni na kolację. Nebogipfel nie przyłączył się do nas. Poprosił jedynie o wodę i talerz surowych warzyw. Nie zdejmując gogli, pozostał w palarni. Słuchał fonografu i przeglądał czasopisma.

Posiłek okazał się niewyszukany, ale smaczny. Głównym daniem było coś, co wyglądało na rostbef z ziemniakami, kapustą i marchewką. Skubnąłem mięso. Rozeszło się dość łatwo, a jego włókna były krótkie i miękkie.

– Co to jest? – zapytałem Filby’ego.

– Soja.

– Co takiego?

– Soja. Rośnie w całym kraju, poza kopułami. Nawet boisko krykietowe Oval oddano pod jej uprawę! Ostatnio niełatwo jest zdobyć mięso. Wiesz, trudno jest nakłonić owce i bydło do noszenia masek przeciwgazowych! – Odciął plaster tej

przetworzonej rośliny i wsunął go sobie do ust. – Spróbuj! Jest dość smaczna. Nowocześni technolodzy żywności są bardzo pomysłowi.

Potrawa było sucha i kruszyła się w ustach, a jej smak przywiódł mi na myśl wilgotną teksturę.

– Nie jest taka zła – stwierdził odważnie Filby. – Przyzwyczaisz się.

Nie potrafiłem wymyślić żadnej odpowiedzi. Popiłem to coś winem, które smakowało jak przyzwoite Bordeaux, choć powstrzymałem się od pytania o jego pochodzenie. Reszta posiłku przebiegła w milczeniu.

Wziąłem krótką kąpiel – z kurków płynęła gorąca woda, której było pod dostatkiem – a potem, po wypiciu brandy i wypaleniu cygara, udaliśmy się na spoczynek. Czuwał jedynie Nebogipfel, gdyż Morlokwie nie śpią tak jak my. Poprosił o papier i kilka ołówków (trzeba mu było pokazać, jak się używa przyrządu do ostrzenia i gumki do mazania).

Położyłem się na wąskim łóżku. Było mi gorąco, gdyż okna w moim pokoju szczelnie zamknięto i robiło się coraz duszniej. Za oknami odgłosy tego zdewastowanego przez wojnę Londynu rozlegały się wewnątrz kopuły i przez szpary w zasłonach dostrzegłem migotanie tych nowych dziwnych lamp, które świeciły do późna w nocy.

Usłyszałem Nebogipfela poruszającego się w palarni. Może się to wydawać dziwne, ale znalazłem pewną pociechę w odgłosie stąpania wąskich stóp Morloka oraz niezdarnego skrobienia ołówków po papierze.

W końcu zasnąłem.

Na stoliku przy łóżku stał mały zegar, który poinformował

mnie, że obudziłem się o siódmej rano, choć naturalnie nadal panowała ciemność nie mniejsza niż na zewnątrz.

Dźwignąłem się z łóżka. Założyłem podniszczony, lekki strój, który był świadkiem już tylu wydarzeń, i wyjąłem świeżą bielizną oraz koszulę i krawat. Mimo wczesnej pory powietrze było wilgotne. Czułem się otumaniony i ociężały.

Odsunąłem zasłonę. Paplająca maszyna Filby'ego nadal wyświetlała obrazy na dachu. Wydawało mi się, że słyszę urywki jakiejś rytmicznej muzyki podobnej do marsza. Z pewnością miała ona zachęcić niechętnych robotników do dalszego wysiłku na rzecz wojny.

Zszedłem do jadalni. Nie było tam nikogo poza mną i Puttickiem, żołnierzem-służącym, który podał mi śniadanie złożone z grzanki, kiełbasek (wypchanych jakimś niezidentyfikowanym substytutem mięsa) oraz – Puttick dał mi do zrozumienia, że to prawdziwy rarytas – smażonego jajka.

Po jedzeniu, z ostatnim kawałkiem grzanki w ręku, ruszyłem do palarni. Zastałem tam Moseśa i Nebogipfela, którzy siedzieli zgarbieni nad książkami i stosem papierów na dużym biurku. Na całym blacie stały filiżanki z zimną herbatą.

– Żadnego śladu Filby'ego? – zapytałem.

– Jeszcze nie – odrzekł Moses. Mój młodszy odpowiednik miał na sobie szlafrok. Był nieogolony, a jego włosy sterczały w nieładzie.

Usiadłem przy biurku.

– Niech to licho porwie, Moses, wygląda pan, jakby w ogóle nie spał.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu i przeczesał ręką włosy nad szerokim czołem.

– Owszem, nie spałem. Po prostu nie mogłem zasnąć. Chyba za

wiele przeszedłem i miałem zamęt w głowie... Wiedziałem, że Nebogipfel nie poszedł spać, więc tu zszedłem. – Popatrzył na mnie zaczerwienionymi i podkrążonymi oczami. – To była pasjonująca noc. Pasjonująca! Nebogipfel wprowadził mnie w tajemnice mechaniki kwantowej.

– Czego?

– Rzeczywiście – odezwał się Nebogipfel. – A Moses uczył mnie czytać po angielsku.

– Diabelnie szybko się uczy – stwierdził Moses. – Wystarczył mu alfabet i krótki przegląd zasad fonetyki, i zaraz zaczął czytać.

Przejrzałem pobieżnie papiery na biurku. Było tam kilka kartek papieru listowego zapisanych dziwnymi, tajemniczymi symbolami. Domyśliłem się, że to pismo Nebogipfela. Kiedy podniosłem kartkę, zobaczyłem, jak nieporadnie korzystał z ołówków. W kilku miejscach papier był rozerwany. Cóż, biedaczek nigdy przedtem nie musiał używać takich prymitywnych przyrządów jak pióro lub ołówek. Zastanawiałem się, jak ja dałbym sobie radę z krzemiennymi narzędziami moich przodków, którzy oddaleni byli ode mnie w czasie mniej niż Nebogipfel od roku 1938!

– Dziwię się, że nie słuchał pan fonografu – powiedziałem do Mosesa. – Czy nie interesują pana szczegóły świata, w którym się znajdujemy?

– Większość nagrań to albo muzyka – odparł Moses – albo literatura, i to z gatunku umoralniającej, której – jak pan wie – nigdy nie lubiłem. Ponadto znużył mnie potok błahostek, które udają prawdziwe wiadomości. Człowiek chce się zająć ważnymi sprawami, takimi jak pytania: Gdzie jesteśmy? Skąd się tu wzięliśmy? Dokąd zmierzamy? Zamiast tego zalewa go strumień bzdur o spóźnieniach pociągów, brakach w racjach

żywnościowych i szczątki niejasnych szczegółów kampanii wojennych, które w ogólnym zarysie powinien już znać.

Poklepałem go po ramieniu.

– A czego się pan spodziewał? Proszę posłuchać: zagłębiamy się w historii jak turyści czasowi. Ludzi na ogół interesują prozaiczne sprawy. I mają rację! Jak często we własnych czasach stykał się pan z artykułami będącymi wnikliwą analizą przyczyn rządzących historią? Ile uwagi poświęca pan w rozmowach wyjaśnieniu ogólnego modelu życia w roku 1873?

– Przyznaję panu rację – powiedział z rezygnacją.

Nie wykazał zbytniego zainteresowania dalszą rozmową. Wydawało się, że nie chce poświęcać zbyt dużo uwagi otaczającemu go światu.

– Niech pan posłucha – odezwał się po chwili. – Muszę pana poinformować, co pański morlokowy przyjaciel powiedział na temat tej nowej teorii.

Jego oczy rozpromieniły się, a głos stał się dźwięczny. Dostrzegłem, że ten temat bardziej mu odpowiada – przypuszczałem, że pozwala mu oderwać się od naszej skomplikowanej sytuacji i uciec w jasno sprecyzowane tajemnice nauki.

Postanowiłem dostroić się chwilowo do jego nastroju. W najbliższych dniach będzie jeszcze miał dość czasu, by stanąć oko w oko ze swoim losem.

– Wnioskuje, że ma to pewien wpływ na naszą obecną, dość trudną sytuację...

– Owszem – potwierdził Nebogipfel. – Przesunął krótkimi, grubymi palcami po skroniach. Zrobił to bardzo podobnie do człowieka, okazując wyraźnie, że jest znużony. – Mechanika kwantowa to szkielet, na którym muszę stworzyć podstawy do

zrozumienia doświadczanej przez nas wielorakości historii.

– To niezwykle postępową teorią – zachwycił się Moses. – Nikt jej nie przewidział w moich czasach, a nawet w ogóle sobie nie wyobrażał! To zdumiewające, że porządek rzeczy można tak szybko zburzyć.

Odłożyłem kartkę Nebogipfela.

– Chętnie posłucham – powiedziałem.

Nebogipfel już miał się odezwać, lecz Moses uniósł rękę.

– Nie – powiedział. – Pozwólcie, że ja to wyjaśnię. Chcę zobaczyć, czy dobrze wszystko zrozumiałem. Wyobraża pan sobie, że świat składa się z atomów, prawda? Nie zna pan budowy tych cząstek, gdyż są za małe, by je zobaczyć, ale tak to mniej więcej wygląda. Wiele twardych cząstek obija się o siebie jak kule bilardowe.

Zmarszczyłem brwi, słysząc to zbyt uproszczenie.

– Chyba powinien pan pamiętać, do kogo mówi.

– Och, niech pan mi pozwoli to zrobić po swojemu! Proszę mnie teraz uważnie słuchać, ponieważ muszę panu powiedzieć, że takie rozumowanie jest pod każdym względem błędne.

Zmarszczyłem czoło.

– Jak to?

– Przede wszystkim może pan odstawić na bok swoje cząstki, gdyż nic takiego nie istnieje. Okazuje się, że pomimo niezachwianego przekonania Newtona nie można dokładnie określić, gdzie cząstka się znajduje lub dokąd zmierza.

– Ale gdyby istniały dość precyzyjne mikroskopy, które umożliwiałyby obserwację cząstki z taką dokładnością, jakiej człowiek by zapragnął...

– Niech pan o tym zapomni! – rozkazał. – W pomiarach tkwi fundamentalne ograniczenie – to się chyba określa mianem

zasady nieoznaczoności – które wyznacza dolny próg dla dokładności takich badań. Widzi pan, musimy zapomnieć o jakiegokolwiek wyrazistości świata. Musimy myśleć w kategoriach prawdopodobieństwa, szansy znalezienia przedmiotu materialnego w takim a takim miejscu, o takiej a takiej prędkości, i tak dalej. Wszystko jest w pewnym sensie zamazane...

– Ale proszę posłuchać – powiedziałem bez ogródek. – Przypuśćmy, że przeprowadzę pewien eksperyment. Zmierzę w jakiejś chwili położenie cząstki, za pomocą mikroskopu o ustalonej przeze mnie dokładności. Mam nadzieję, że nie zaprzeczy pan wiarygodności takiego eksperymentu. Tak więc nie ulega wątpliwości, że dokonałem pomiaru! Gdzież tu nieoznaczoność?

– Chodzi jednak o to – wtrącił Nebogipfel – że istnieje możliwość, iż gdybyś mógł się cofnąć i powtórzyć eksperyment, znalazłbyś cząstkę w innym miejscu, być może bardzo daleko od pierwotnego położenia...

Obaj kontynuowali ten wywód przez jakiś czas.

– Dość – przerwałem. – Zgadzam się wyłącznie w celu podtrzymania dyskusji. Ale jakie to ma dla nas znaczenie?

– Istnieje – a właściwie dopiero zostanie sformułowana – nowa filozofia o nazwie „Teoria wielu światów na podstawie ustaleń mechaniki kwantowej” – odrzekł Nebogipfel, a jego dziwny, płynny głos wypowiadający takie niezwykle zdanie sprawił, że poczułem ciarki na plecach. – Przełomowe artykuły zostaną opublikowane dopiero za dziesięć lub dwadzieścia lat. Przypominam sobie nazwisko Everett...

– Sprawa przedstawia się następująco – powiedział Moses. – Przypuśćmy, że ma pan cząstkę, która może być w dwóch

miejskach... powiedzmy tu lub tam... i każde z tych miejsc określone jest pewnym prawdopodobieństwem. Raz spojrzysz pan przez mikroskop i znajdzie ją tutaj...

– Według koncepcji wielu światów – wtrącił Nebogipfel – podczas przeprowadzania takiego eksperymentu historia rozszczepia się na dwie części. W drugiej historii istnieje inna wersja ciebie, która znalazła przedmiot tam, a nie tutaj.

– Inna historia?

– Tak samo rzeczywista i spójna jak ta – wtrącił Moses i uśmiechnął się szeroko. – Istnieje inna wersja pana, istnieje nieskończona liczba wersji pana, które rozrastają się w każdej chwili niczym króliki!

– Cóż za przerażająca myśl – powiedziałem. – Myślałem, że dwie to aż nadto wystarczająca liczba. Ale posłuchaj, Nebogipfelu, czy nie moglibyśmy stwierdzić, czy jesteśmy rozszczepieni w ten sposób?

– Nie – odparł – ponieważ każdy taki pomiar, obojętne, w której historii, musiałby nastąpić po rozszczepieniu. Niemożliwe byłoby zmierzenie skutków samego rozszczepienia.

– Czy można by wykryć, czy istniały te inne historie? Lub czy mogłem tam dotrzeć i spotkać inną wersję bliźniaczych osobowości, które według ciebie posiadam?

– Nie – zaprzeczył Nebogipfel. – To niemożliwe. Chyba że...

– Tak?

– Chyba że niektóre założenia mechaniki kwantowej okażą się fałszywe.

– Teraz widzi pan, dlaczego te koncepcje mogłyby nam pomóc w rozwikłaniu paradoksów, które odkryliśmy – powiedział Moses. – Jeśli rzeczywiście może istnieć wiele historii...

– Wówczas zachwiania przyczynowości można z łatwością

wytłumaczyć – dokończył Nebogipfel. – Posłuchaj: przypuśćmy, że wróciłeś w czasie z pistoletem i zastrześliłeś Moseśa. – Mój młodszy odpowiednik trochę zbladł. Nebogipfel ciągnął: – Mamy tu klasyczny paradoks przyczynowości w najprostszej postaci. Jeśli Moses umrze, nie zbuduje wehikułu czasu i nie stanie się tobą. Tym samym nie będzie mógł wrócić w czasie, by dokonać morderstwa. Ale jeśli morderstwo nie zostanie popełnione, Moses będzie żył, zbuduje wehikuł, powróci i zabije swojego młodszego odpowiednika. I wtedy nie będzie mógł zbudować wehikułu i morderstwo nie będzie mogło dojść do skutku, i...

– Starczy – powiedziałem. – Chyba rozumiem.

– To patologiczny defekt przyczynowości – podsumował Nebogipfel. – Nie kończąca się pętla. Ale jeśli koncepcja wielu światów jest słuszna, to nie istnieje żaden paradoks. Historia rozszczepia się na dwie wersje: w jednej Moses żyje, a w drugiej umiera. Ty, jako Podróżnik w Czasie, po prostu przeszedłeś z jednej historii do drugiej.

– Rozumiem – powiedziałem zdumiony. – I na pewno to zjawisko wielu światów jest tym, czego byliśmy świadkami, Nebogipfelu, i ja... my już zaobserwowaliśmy rozwój kilku historii...

To wszystko bardzo mnie uspokoiło. Po raz pierwszy dostrzegłem, że być może jest pewna logika w chaosie sprzecznych historii, które mąciły mi się w głowie od chwili drugiej wyprawy w czas! Znalezienie jakiejś teoretycznej podwaliny, umożliwiającej wyjaśnienie porządku rzeczy, było dla mnie tak ważne, jak dla tonącego człowieka znalezienie gruntu. Choć nadal nie mogłem sobie wyobrazić, jakie praktyczne skutki mogłoby dla nas mieć to odkrycie.

Przyszło mi też do głowy, że jeśli Nebogipfel ma rację, to być

może nie jestem odpowiedzialny za całkowite zniszczenie historii Weeny. Może w pewnym sensie ta historia nadal istniała! Poczułem, że pod wpływem tej myśli część mojego poczucia winy i smutku ustępuje.

W tym momencie drzwi otworzyły się hałaśliwie i do palarni wpadł Filby. Nie minęła jeszcze dziewiąta rano. Filby był nie umyty i nie ogolony, a podniszczony szlafrok przylegał szczelnie do jego ciała.

– Masz gościa – powiedział do mnie. – To ten naukowiec z Ministerstwa Lotnictwa, o którym wspominała Bond...

Odepchnąłem krzesło do tyłu i wstałem. Nebogipfel powrócił do swoich badań, a Moses, z potarganymi włosami, podniósł na mnie wzrok. Spojrzałem na niego z pewnym zatroskaniem. Zaczynało do mnie docierać, że przejmuje się tym całym przemieszczeniem w czasie.

– Proszę posłuchać – powiedziałem do niego. – Chyba muszę iść do pracy. Może pójdzie pan ze mną? Byłbym wdzięczny za pańskie wnikliwe obserwacje.

Uśmiechnął się smutno.

– Moje wnikliwe obserwacje to przecież również pańskie wnikliwe obserwacje – powiedział. – Nie jestem panu potrzebny.

– A jednak chciałbym, aby pan mi towarzyszył... W końcu może chodzić o pańską przyszłość. Czy nie uważa pan, że odrobina zaangażowania wyjdzie panu na dobre?

Miał zamyślony wzrok i wydawało mi się, że dostrzegam u niego pragnienie powrotu do domu, które było u mnie tak silne.

– Nie dzisiaj – odrzekł. – Nadejdzie czas... być może jutro. – Skinął mi głową. – Niech pan uważa na siebie.

Nie znalazłem żadnych innych argumentów.

Pozwoliłem, by Filby zaprowadził mnie do holu. Człowiek, który czekał na mnie przy otwartych frontowych drzwiach, był wysoki i niezgrabny, z grzywą nastroszonych, siwiejących włosów. Na ulicy stał za nim żołnierz.

Gdy ten wysoki jegomość mnie zobaczył, ruszył naprzód, z chłopcą niezdarnością, która razila u takiego dużego mężczyzny. Zwrócił się do mnie po imieniu i uściśnął mi dłoń. Miał silne, dość zniszczone ręce i uświadomiłem sobie, że jest to praktyk – być może człowiek mojego pokroju!

– Cieszę się, że mogę pana poznać... Tak się cieszę – powiedział.

– Pracuję na zlecenie dla RWWSC – to Rada Wojny z Wykorzystaniem Skoków w Czasie, w Ministerstwie Lotnictwa.

Miał prosty nos i drobne rysy, a jego spojrzenie zza okularów w drucianych oprawkach świadczyło o szczerości. Widać było, że jest cywilem, gdyż pod epoletami i torbą z maską przeciwgazową nosił zwykły, niemodny garnitur oraz pasiasty krawat i żółknącą koszulę. W klapie marynarki tkwiła oznaka z numerem. Miał jakieś pięćdziesiąt lat.

– Miło mi – powiedziałem. – Choć obawiam się, że nie rozpoznaję pańskiej twarzy...

– A czemuż to, u licha, miałby pan ją rozpoznać? Miałem zaledwie osiem lat, kiedy pański prototyp PPC wyruszył w przyszłość... Przepraszam, to skrót od Pojazdu Przenoszącego się w Czasie. Może połapie się pan w tych naszych wszystkich akronimach, a być może nie! Mnie się to nigdy nie udało. Powiadają też, że sam lord Beaverbrook ma kłopoty z zapamiętaniem wszystkich rad podlegających jego ministerstwu. Nie jestem nawet w przybliżeniu tak sławny jak pan! Do niedawna pracowałem jako zwykły asystent głównego

konstruktora w spółce Vickersa-Armstronga, w bunkrze Weybridge. Kiedy moje propozycje dotyczące wojny czasowej zaczęto zauważać, oddelegowano mnie do dowództwa RWWSC, tutaj w Imperialu. Niech pan posłucha – powiedział poważnie. – Naprawdę się cieszę, że pan tu jest. Zesłał tu pana nadzwyczajny przypadek. Wierzę, że my – pan i ja – moglibyśmy stworzyć związek partnerski, który mógłby zmienić historię, który mógłby załatwić sprawę tej wojny raz na zawsze!

Mimowolnie zadrzałem, gdyż już wystarczająco pozmieniałem historię. I to gadanie o wojnie czasowej – myśl o moim wehikule, który już wyrządził takie szkody, który celowo przeznaczono do dokonywania zniszczeń! Ta koncepcja przeraziła mnie i nie wiedziałem, jak postąpić.

– Gdzie moglibyśmy porozmawiać? – zapytał. – Czy chciałby pan pójść do mojego pokoju w Imperialu? Mam kilka referatów, które...

– Później – odparłem. – Proszę posłuchać. To może się panu wydać dziwne, ale ciągle jestem tu przybyszem i byłbym wdzięczny, gdybym mógł się trochę bardziej rozejrzeć po pańskim świecie. Czy jest to możliwe?

Rozpromienił się.

– Naturalnie! Możemy porozmawiać po drodze.

Spojrzał przez ramię na żołnierza, który skinął głową na znak zgody.

– Dziękuję – powiedziałem – panie...

– Nazywam się Wallis – przedstawił się. – Doktor Barnes Wallis.

Okazało się, że Imperial College położony był w South Kensington, kilka minut drogi od Queen's Gate Terrace. College założono krótko po moich czasach, w 1907 roku. Jego trzon stanowiły trzy połączone college'e, które znałem. Były to Royal College of Chemistry, Royal School of Mines and City oraz Guilds College. Tak się złożyło, że za młodu trochę uczyłem w Normal School of Science, która to szkoła też weszła w skład college'u Imperial. Wkraczając teraz w South Kensington, przypomniałem sobie, jak spędzałem większość czasu w Londynie, odwiedzając takie urocze miejsca jak Empire czy Leicester Square. W każdym razie, dobrze się zaznajomiłem z tą okolicą – lecz cóż za odmienny widok teraz zobaczyłem!

Poszliśmy Queen's Gate Terrace w stronę College'u, a potem skręciliśmy w Queen's Gate w kierunku Kensington Gore, na południowym skraju Hyde Parku. Eskortowało nas pół tuzina żołnierzy – dość dyskretnie, gdyż otaczali nas kręgiem, który mniej więcej przypominał koło – ale zastanawiałem się nad wielkością oddziału, który mógłby się przy nas zjawić, gdyby cokolwiek się stało. Nie upłynęło zbyt wiele czasu, gdy zacząłem tracić siły z powodu dusznego upału – przypominało to przebywanie w dużym, nagrzanym budynku. Zdjąłem marynarkę i poluźniłem krawat. Za radą Wallisa przypiąłem ciężkie epolety do koszuli i powtórnie przyczepiłem torbę

z maską przeciwgazową do pasa.

Ulice bardzo się zmieniły i uderzyło mnie to, że nie wszystkie zmiany w porównaniu z moją epoką wyszły na złe. Usunięcie niehigienicznych koni, dymów z kominów na domach oraz wyziewów samochodów – dla polepszenia jakości powietrza wewnątrz kopuły – w pewnym stopniu odświeżyło to miejsce. Na głównych arteriach powierzchnie dróg pokryte były nowym, bardziej elastycznym, szklistym materiałem, utrzymywanym w czystości przez brygadę robotników, którzy pchali wózki wyposażone w szczotki i spryskiwacze. Na drogach tłoczyły się rowery, riksze i elektryczne tramwaje poruszające się wzdłuż drutów, które syczały i rzucały niebieskie iskry w półmroku. Były tam jednak nowe drogi dla pieszych, zwane rzędami, które biegły przed domami na wysokości pierwszego piętra, a w niektórych miejscach na wysokości drugiego lub nawet trzeciego. W niedużych odstępach postawiono lekkie, ładne mosty, które łączyły rzędy po przeciwnych stronach ulic. Londyn wyglądał przez to – nawet w tych egipskich ciemnościach – jak włoskie miasto.

Moses później obejrzał miasto trochę dokładniej niż ja. Opowiedział mi o sklepach w West Endzie, w których – pomimo niedostatku związanego z wojną – panował duży ruch. Opisał mi również nowe teatry wokół Leicester Square, które miały fasady ze wzmocnionej porcelany i całe błyszcząły w odbitym świetle oraz jarzyły się podświetlonymi reklamami. Moses jednak narzekał, że wystawiane sztuki były nudne, z gatunku edukacyjnych lub umoralniających. W dwóch teatrach ciągle grano sztuki Szekspira.

Wallis i ja minęliśmy Royal Albert Hall, który zawsze uważałem za potworną budowlę – różowe pudło na kapeluszu!

W mroku kopuły halę oświetlał rząd jaskrawych promieni (Wallis powiedział, że z reflektorów), dzięki którym ta słynna kopuła wydawała się jeszcze bardziej groteskowa. Potem weszliśmy do parku przez Alexandra Gate, cofnęliśmy się do Albert Memorial i ruszyliśmy wzdłuż Lancaster Walk na północ. Przed nami wiązki świetlne paplającej maszyny migotały na dachu i usłyszałem dudnienie wzmocnionych głosów w oddali.

Wallis przez całą drogę trajkotał. Dość dobrze się czułem w jego towarzystwie i zaczynałem sobie uświadamiać, że faktycznie jest osobą, którą – w innej historii – mógłbym nazwać przyjacielem.

W moich wspomnieniach Hyde Park był cywilizowanym miejscem: ładnym i spokojnym, z szerokimi drogami dla pieszych i z rzadka rosnącymi drzewami. Niektóre charakterystyczne elementy krajobrazu parku pozostały. Rozpoznałem miedzianozieloną muszlę estrady, gdzie usłyszałem chór walijskich górników, którzy z energią śpiewali unisono hymny. Ale w tej wersji park był miejscem cieni, pocętkowanych wyspami światła wokół latarni. Trawa zniknęła – z pewnością obumarła, gdy tylko Słońce zostało przesłonięte – a duża część gołej ziemi była zakryta deskami. Zapytałem Wallisa, dlaczego nie wybetonowano parku. Dał mi do zrozumienia, że Londyńczycy wierzą, iż pewnego dnia szkaradną skorupę będzie można bezpiecznie zburzyć i ich dom odzyska dawną piękność – wraz z parkami i całą resztą.

Jedną część parku, w pobliżu estrady, przeznaczono na dzielnicę dla ubogich. Stały tam setki namiotów skupionych wokół prymitywnych betonowych budynków, które okazały się publicznymi kuchniami i łazienkami. Dorośli, dzieci i psy ostrożnie stąpali po suchej, ubitej ziemi między namiotami, wykonując nie

kończące się, nudne czynności codziennego życia.

– W ostatnich latach biedny, stary Londyn został zalany przez falę uchodźców – wyjaśnił Wallis. – Gęstość zaludnienia jest znacznie większa niż dawniej... A jednak znalazła się pożyteczna praca dla tych wszystkich ludzi. Cierpią w tych namiotach, ale nie ma dla nich innego miejsca.

Teraz zboczyliśmy z Lancaster Walk i zbliżyliśmy się do Okrągłego Stawu na środku parku. Kiedyś było to ładne, nie zaśmiecone miejsce, które dawało świetny widok na Pałac Kensington. Staw nadal tam był, ale odgradzono go płotem. Wallis powiedział mi, że jezioro służy za zbiornik wodny, który ma zaspokajać potrzeby ludności napływowej. Z pałacu pozostał jedynie szkielet konstrukcji. Najwidoczniej opuszczono go po zbombardowaniu.

Zatrzymaliśmy się przy straganie, gdzie podano nam dość ciepłą lemoniadę. Wokół nas falował tłum. Niektórzy ludzie jeździli na rowerach. W jednym narożniku odbywał się mecz piłki nożnej. Ułożone w stos maski przeciwgazowe służyły za słupki. Gdzieniegdzie usłyszałem nawet śmiech. Wallis powiedział mi, że ludzie nadal chodzą do Miejsca dla Mówców, aby posłuchać przedstawicieli Armii Zbawienia, Narodowego Towarzystwa Świeckiego, Bractwa Katolickich Dowodów, Ligi Zwalczenia Piątej Kolumny (która prowadziła kampanię przeciwko szpiegom, zdrajcom i wszystkim ludziom sprzyjającym wrogowi) i tak dalej.

Byli to najszczęśliwsi ludzie, jakich dotąd widziałem w tych mrocznych czasach. Gdyby nie wszechobecne epolety i maski – i obumarła ziemia pod naszymi stopami oraz ten straszny, mający dach nad głową – można by pomyśleć, że jest to tłum, który zgromadził się w święto bankowe w jakiegokolwiek epoce,

i po raz kolejny zdumiała mnie elastyczność ludzkiego ducha.

Na północnym brzegu Okrągłego Stawu poustawiano obskurne brezentowe leżaki dla tych, którzy chcieli obejrzeć wiadomości wyświetlane na dachu nad nami. Prawie wszystkie miejsca były zajęte. Wallis zapłacił dozorczy – metalowymi żetonami, które były znacznie mniejsze od monet z moich czasów – i usadowiliśmy się na leżakach, odchylając głowy do tyłu.

Nasi milczący wojskowi opiekunowie otoczyli nas kręgiem, obserwując zarówno nas, jak i tłum.

Snopy światła, w których widać było drobinki kurzu, biegły w górę z reflektorów, umiejscowionych (według słów Wallisa) na Portland Place, i rzucały szare oraz białe barwy na dach. Wzmocnione głosy i muzyka zalewały tłum biernych słuchaczy. Dach był tu bielony i dlatego kinematograficzne obrazy cechowała dość duża ostrość. Pierwsza sekwencja pokazywała chudego mężczyznę o wyglądzie dzikusa, który wymieniał z kimś uścisk dłoni, a potem pozował przy czymś, co wyglądało na stos cegieł. Głosy nie były zgrane z ruchem warg, ale muzyka wywierała duże wrażenie i w sumie można się było zorientować, o co chodzi.

Wallis pochylił się w moim kierunku.

– Mamy szczęście! Wyświetlają film o college’u Imperial. To Kurt Gödel, młody naukowiec z Austrii. Być może pozna go pan.

Niedawno udało nam się wydostać go z Rzeszy. Chciał uciec, ponieważ ubzdurał sobie, że kajzer nie żyje i został zastąpiony przez uzurpatora... Mówiąc między nami, to dość dziwny facet, ale wielki umysł.

– Gödel? – zainteresowałem się. – Ten od niekompletności matematyki i tych wszystkich rzeczy?

– No tak! – Wallis spojrział na mnie z zaciekawieniem. – Skąd pan o tym wie? To się nie wydarzyło w pańskich czasach. Cóż, to nie z powodu swoich osiągnięć w dziedzinie teoretycznej matematyki jest dla nas taki ważny. Skontaktowaliśmy go z Einsteinem w Princeton... – Nie zapytałem, kim jest ten Einstein – ...i rozpocznij badania, które prowadził w Rzeszy. Mamy nadzieję, że dzięki temu uzyskamy nowy sposób podróżowania w czasie. To był prawdziwy przełom... przypuszczam, że chłopcy kajzera są na siebie wściekli...

– A ta ceglana konstrukcja obok niego? Co to jest?

– Eksperyment. – Rozejrzał się ostrożnie. – Nie powinienem za wiele mówić. Paplająca maszyna napomyka o tym tylko po to, żeby wzbudzić trochę sensacji. Ma to związek z rozszczepieniem atomów... Mogę wyjaśnić to panu później, jeśli jest pan zainteresowany. Gödel aż się pali, żeby z tym poeksperymentować. Prawdę mówiąc, przypuszczam, że już rozpoczęto próby.

Teraz zobaczyliśmy gromadę starszawych ludzi w źle dopasowanych mundurach polowych, którzy szczyrzyli się do kamery. Kamerzysta wybrał chudego mężczyznę, który wyglądał na dość silnego.

– To Straż Krajowa... kobiety i mężczyźni, którzy nie nadają się do służby czynnej, lecz mimo to wykonują pewne obowiązki żołnierskie na wypadek, gdyby kiedykolwiek doszło do inwazji

Anglii. To Orwell, George Orwell. Niezły pisarz... chyba pan go nie zna.

Wiadomości dobiegły końca i nad naszymi głowami pojawiło się nowe widowisko. Okazało się, że jest to film rysunkowy: ożywione rysunki ze skoczną muzyką w podkładzie. Główną postacią był Zdesperowany Dań, który mieszkał w prymitywnie naszkicowanym Teksasie. Po zjedzeniu olbrzymiego krowiego placka Dań spróbował zrobić sobie sweter z drutów telegraficznych, wykorzystując słup telegraficzny jako szydełko. Przez przypadek wyszedł mu z tego łańcuch. Kiedy go wyrzucił do morza, łańcuch zatonął. Dań go wyciągnął i stwierdził, że wyłowił nie mniej niż trzy niemieckie molochy podwodne. Oficer marynarki wojennej, który to zobaczył, dał Danowi nagrodę w wysokości pięćdziesięciu funtów... i tak dalej.

Przypuszczałem, że to przedstawienie nadaje się tylko dla dzieci, ale zobaczyłem, że dorośli dość szczerze się z niego śmieją. Uznałem to za prymitywną i ordynarną propagandę, i zdecydowałem, że potoczna nazwa „paplająca maszyna” znakomicie pasuje do tego kinematograficznego widowiska.

Po tym pokazie uraczono nas kolejnymi luźnymi wiadomościami. Zobaczyłem płonące miasto – mogło to być Glasgow lub Liverpool – gdzie nocne niebo rozjaśniał blask, a płomienie były olbrzymie. Potem pojawiły się zdjęcia dzieci ewakuowanych z zawalonej kopuły do środkowych hrabstw Anglii. Uśmiechając się szeroko do kamery, wyglądały mi na typowe dzieci miejskie, brudne i odziane w zbyt duże buty – przybłędy, całkiem bezradne w nawałnicy tej wojny.

Potem zobaczyliśmy część spektaklu pod tytułem „Dopisek”. Najpierw pojawił się wizerunek króla. Z zażenowaniem zobaczyłem, że jest nim chudy facet o imieniu Egbert, który

okazał się dalekim krewnym starej królowej, którą pamiętałem. Ten Egbert był jednym z niewielu członków rodziny, którzy przeżyli zuchwałe niemieckie ataki na początku wojny. Tymczasem aktor o wyśmienitym głosie czytał w podkładzie wiersz:

*... Wszystko będzie dobrze,
I wszystko się ułoży,
Kiedy języki płomieni
zostaną poskromione
W zwieńczony koroną węzeł ognia,
A ogień i róża staną się jednością...*

I tak dalej! O ile mogłem się zorientować, fragment ten porównywał wojnę do czyścica, który w końcu oczyści dusze ludzi. Pomyślałem sobie, że kiedyś, być może, zgodziłby się z taką interpretacją, ale po moim pobycie we Wnętrzu Sfery chyba zacząłem uważać wojnę za ponurą narośl, skazę ludzkiej duszy. I wszelkie jej usprawiedliwienia były właśnie tym: usprawiedliwieniem po fakcie.

Domyśliłem się, że Wallis nic nie pojmuję. Wzruszył ramionami.

– Eliot – powiedział, jakby to miało wszystko wyjaśnić.

Teraz pojawił się obraz pewnego człowieka: stroskanego staruszka z wystającymi kośćmi policzkowymi i zmierzwionym wąsem, z oczami wyrażającymi zmęczenie oraz brzydkimi uszami. Starzec zachowywał się dziko i wyglądał na sfrustrowanego. Siedział przy kominku z fajką w ręku – widać było, że fajka nie jest zapalona – i słabym głosem zaczął komentować wydarzenia dnia. Ten jegomość wyglądał mi

znajomo, ale z początku nie mogłem go rozpoznać. Wydawało się, że wysiłki Rzeszy nie robią na nim wrażenia.

– Ta ich wielka maszyna nie może dać iskierki poezji działania, która odróżnia wojnę od masowych morderstw. To maszyna i dlatego nie ma duszy.

Nawoływał nas wszystkich do jeszcze większych wysiłków. Odwoływał się do mitów angielskiego krajobrazu.

– ...Zielone wzgórza, które rozpływają się w mglistym błękicie nieba... – i prosił nas, żebyśmy wyobrazili sobie rozdartą Anglię – ...by ujawnić stary flandryjski front, okopy i kratery po bombach, zniszczone miasta, poznaczony bliznami krajobraz, buchające śmiercią niebo oraz twarze mordowanych dzieci... – Wydawało mi się, że końcową sekwencję wypowiedział z czymś w rodzaju apokaliptycznej radości.

Nagle przypomniałem go sobie. To był mój stary przyjaciel Pisarz, który przemienił się w zwiędłego staruszka!

– Ba, czyż to nie jest pan...? – zapytałem, wymieniając jego nazwisko.

– Tak – odparł Wallis. – Czy pan go znał? Przypuszczam, że to możliwe... Oczywiście, że tak! Przecież to on napisał tę popularną opowieść o pańskich podróżach w czasie. O ile sobie przypominam, ukazała się w odcinkach w „The New Review”. A potem wydano ją w formie książkowej. Wie pan, to był dla mnie punkt zwrotny... Biedaczek oczywiście jakoś sobie teraz radzi – chyba nigdy nie cieszył się zbyt dobrym zdrowiem – a jego twórczość moim zdaniem już nie jest taka jak kiedyś.

– Nie?

– Za dużo tam wykładów, a za mało akcji. Fan wie, o co mi chodzi! Mimo to jego dzieła popularnonaukowe i historyczne zostały dobrze przyjęte. Jest dobrym przyjacielem Churchilla – to

znaczy Pierwszego Lorda Admiralicji – i podejrzewam, że pański przyjaciel ma duży wpływ na rządowe projekty co do oblicza kraju po zakończeniu wojny, no wie pan, kiedy dotrzemy do „Świetlanej Przyszłości” – powiedział Wallis, podając cytaty z jakiejś innej przemowy mojego dawnego przyjaciela. – W tej chwili pracuje nad Deklaracją Praw Człowieka czy czymś podobnym, której po wojnie wszyscy będziemy musieli przestrzegać. Na pewno zna pan marzenia tego rodzaju. Ale nie jest taki skuteczny jako mówca. Jeśli chodzi o przemowy, moim ulubieńcem jest Priestley.

Przez kilka minut słuchaliśmy oracji Pisarza. Cieszyłem się, że mój stary przyjaciel zachował życie pomimo zmiennych kolei tej przerażającej historii, a nawet znalazł dla siebie znaczącą rolę, ale zasmuciłem się tym, co czas uczynił z energicznym młodzieńcem, którego kiedyś znałem! Jak przy spotkaniu z Filby’em, teraz też zdjęła mnie litość dla tłumów anonimowych ludzi, osadzonych w powoli płynącym czasie i skazanych na nieubłagany proces podupadania na zdrowiu. Uznałem to za straszną ironię, że mężczyzna, który tak silnie wierzył w możliwość osiągnięcia doskonałości przez człowieka, przez większą część życia był świadkiem największej wojny w historii.

– Chodźmy – powiedział z ożywieniem Wallis. – Przejdźmy się jeszcze trochę. Pokazy i tak wkrótce zaczną się powtarzać...

Wallis opowiedział mi więcej o swojej przeszłości. Pracując dla spółki Vickersa-Armstronga w bunkrze Weybridge, zyskał sobie pewną reputację jako konstruktor urządzeń aeronautycznych – według jego własnych słów, znano go jako „naukowca-czarodzieja.”

W czasie długoletniej wojny jego płodny umysł zajął się tym,

jak można przyspieszyć jej koniec. Wallis na przykład zastanawiał się, jak można by zniszczyć źródła energii wroga – zbiorniki wodne, kopalnie i tym podobne punkty strategiczne – za pomocą potężnych materiałów wybuchowych zrzuconych ze stratosfery przez latające maszyny o nazwie „potworne bombowce”. W tym celu rozpoczął badania nad zależnością prędkości wiatru od wysokości, widzialnością przedmiotów z dużej wysokości, wpływem fal sejsmicznych na kopalnie i tak dalej.

– Dostrzega pan możliwości, prawda? Potrzeba tu tylko odpowiedniej wyobraźni. Dziesięcioma tonami materiałów wybuchowych można by zmienić bieg Renu!

– Jak zareagowano na te propozycje?

Westchnął.

– W czasie wojen środki są zawsze bardzo ograniczone, nawet dla projektów priorytetowych – a dla takich nie sprawdzonych, ryzykownych przedsięwzięć jak moje... Nazwali to „urojeniami”, „nieopisanymi banialukami”, i wojskowi dużo gadali o „wynalazcach”, takich jak ja, którzy „szastają” życiem „ich chłopców”. – Zauważyłem, że to wspomnienie jest dla niego bolesne. – Pan wie, że ludzie tacy jak my muszą być przygotowani na sceptycyzm... a jednak!

Wallis jednak kontynuował badania i wreszcie dostał pozwolenie na budowę swojego „potwornego bombowca”.

– Nazywa się „Zwycięstwo” – powiedział. – Z ładunkiem dwudziestu tysięcy funtów bomb i pułapem czterdziestu tysięcy stóp, bombowiec może lecieć z prędkością ponad trzystu mil na godzinę i ma zasięg czterech tysięcy mil. Przy starcie robi imponujące wrażenie, gdy z jego sześciu silników marki Herkules buchają płomienie. Potrzebuje co najmniej dwóch

trzecich mili, by wznieść się w powietrze... A bomby sejsmiczne, które może zrzucić, już zaczęły siać spustoszenie na terenie Rzeszy!

Jego głębokie, ładne oczy błyszczały za zakurzonymi okularami.

Przez kilka lat Wallis zajmował się udoskonalaniem maszyny powietrznej „Zwycięstwo”. Potem jednak zmienił kierunek zainteresowań, gdyż natrafił na relację o moich podróżach w czasie i od razu dostrzegł możliwości przystosowania mojego wehikułu do celów wojennych.

Tym razem jego pomysły zostały szybko rozpatrzone – miał wysoką pozycję i nie trzeba było wielkiej wyobraźni, by dostrzec nieograniczone możliwości militarne wehikułu czasu – i utworzono Radę Wojny z Wykorzystaniem Skoków w Czasie, z Wallisem jako cywilnym szefem pionu naukowo-badawczego. Pierwszym posunięciem RWWSC była sekwestracja mojego starego domu, który stał opuszczony w Richmond od chwili, gdy wyruszyłem w czas, i odgrzebanie pozostałości po moich badaniach.

– Ale czego ode mnie chcecie? Macie już przecież wehikuł czasu – molocho, który mnie tu sprowadził.

Założył ręce za siebie, robiąc posępną, poważną minę.

– „Raglana”. Oczywiście, ale sam pan widział tę bestię. Jeśli chodzi o jej możliwości podróżowania w czasie, skonstruowano ją wyłącznie z wykorzystaniem resztek, które znaleziono w ruinach pańskiego laboratorium. Z kwarcowymi i mosiężnymi kawałkami zalany platynem – niemożliwymi do zrównoważenia lub skalibrowania – „Raglan” jest niezgrabną bestią, która może oddalić się od teraźniejszości o zaledwie półwiecze. Odważyliśmy się narazić molocho jedynie na takie

ryzyko, które nie pozwalało nam dopuścić do anachronicznej ingerencji naszych wrogów w rozwój pańskiej pierwotnej maszyny. Teraz jednak – przypadkowo! – moloch sprowadził nam pana.

– Naturalnie, obecnie potrafimy dużo więcej – ciągnął. – Usunęliśmy plattneryt z pańskiego starego wehikułu i umieściliśmy kadłub w Imperialnym Muzeum Wojny. Czy chciałby pan go zobaczyć? Muzeum będzie zaszczycone.

Poczułem ból na myśl o takim losie mojego wiernego rydwana i niepokój z powodu niemożliwości wydostania się z 1938 roku! Pokręciłem sztywno głową.

– Potrzebujemy pana – mówił dalej Wallis – żeby wyprodukować więcej, tony substancji, którą nazwał pan plattnerytem. Proszę nam pokazać, jak to zrobić!

A więc Wallis najwyraźniej myślał, że to ja wyprodukowałem plattneryt... Nie zapytałem go o to wprost.

– Chcemy poznać i rozwinąć technologię pańskiego wehikułu czasu – ciągnął Wallis. – Wykorzystać ją do celów, o których się panu nie śniło... Mając PPC, można by zbombardować historię i zmienić jej bieg, tak jak w moim projekcie zmiany kierunku Renu! Czemu nie? Jeśli istnieje taka możliwość, to należy z niej skorzystać. To najbardziej ekscytujące wyzwanie techniczne, jakie można sobie wyobrazić, a ponadto może przesądzić o wyniku tej wojny.

– Zbombardować historię?

– Niech pan pomyśli. Można by wrócić i zadziałać interwencyjnie na początkowym etapie wojny. Lub dokonać zamachu na życie Bismarcka. – Czemu nie? Cóż to by była za psota – i nie dopuścić do powstania Niemiec! Czy pan to widzi? Wehikuł czasu to broń, przed którą nie ma obrony. Ten, kto

pierwszy rozwinięciem technikę Skoków w Czasie, będzie władcą świata. I musi nim być Brytania!

Oczy Wallisa błyszczały nienaturalnie i zaczął mnie niepokoić jego niezmierny zapał do tego, by zawładnąć tą potęgą i dokonać tych wszystkich zniszczeń.

Dotarliśmy do Lancaster Walk i ruszyliśmy z powrotem do południowego obrzeża parku. Po bokach nadal eskortowali nas żołnierze, którzy zachowywali się dyskretnie.

– Proszę mi opowiedzieć coś więcej o tym, co się stanie, gdy Brytania i jej alianci wygrają tę wojnę. Proszę mi opowiedzieć o waszej „Świetlanej Przyszłości”.

Potarł się po nosie i zrobił niepewną minę.

– Nie jestem politykiem. Nie umiem...

– Ależ nie. Proszę to opisać własnymi słowami.

– No dobrze.

Spojrzał na kopułę.

– Trzeba zacząć od tego, że ta wojna pozbawiła nas wielu naiwnych złudzeń.

– Czyżby?

Uznałem to za złowieszczy wstęp i moje obawy niebawem się potwierdziły.

– Po pierwsze okazało się, że demokracja to ułuda. Widzi pan, teraz już jest jasne, że nie warto pytać ludzi, czego chcą. Jeśli społeczeństwo ma zostać uratowane, to trzeba raczej wpierv rozważyć, czego powinni chcieć. Następnie trzeba im wmówić, czego chcą i dopilnować, żeby to dostali.

– Wiem, że człowiekowi z pańskiej epoki może się to wydawać dziwne – ciągnął – ale na tym polega nowoczesne myślenie

i słyszałem z fonografu, że pański sławny przyjaciel głosi podobne poglądy, a przecież pochodzi z pańskich czasów, prawda? Niewiele wiem na temat historii, ale wydaje mi się, że nowoczesne państwo, które tworzymy w Brytanii i Ameryce – model, który zamierzamy rozpropagować na całym świecie – bardziej przypomina starożytne republiki: kartagińską, ateńską, rzymską, które zasadniczo były arystokratyczne. Nadal mamy członków parlamentu, ale już nie są wybierani taką prymitywną metodą jak powszechne głosowanie.

– A ten cały stary kram z opozycją... No cóż! – mówił dalej. – Zrezygnowaliśmy z tego wszystkiego. Ludzie tacy jak pan i ja wiedzą, że na temat większości spraw nie może być dwóch trafnych i zarazem przeciwnych poglądów. Istnieje tylko jedna słuszna i mnóstwo niewłaściwych dróg. Rząd albo próbuje iść tą właściwą drogą, albo popełnia przestępstwo. I to wszystko. W przeszłości opozycja przeważnie po prostu tamowała postęp. Akty sabotażu muszą się skończyć.

– Niektórzy przedstawiciele młodszego pokolenia – kontynuował – posuwają się jeszcze dalej w swoim myśleniu o przyszłości. Twierdzą na przykład, że koncepcja rodziny zanika. W ciągu całej naszej rolniczej przeszłości była to podstawowa komórka społeczna. Teraz jednak, w naszym nowoczesnym świecie, rodzina traci swój odrębny charakter i rozpływa się w relacjach międzyludzkich o szerszym zasięgu. Wszyscy nasi młodzi ludzie, włącznie z kobietami, są coraz mniej przywiązani do domu.

W tym momencie przyszła mi na myśl kapitan Hilary Bond.

– Ale co ma zastąpić rodzinę?

– Cóż, jeszcze tego wyraźnie nie sprecyzowano, ale młodzi mówią o renukleacji społeczeństwa z podziałem na różne typy:

nauczycieli, pisarzy, mówców, którzy wprowadzą nas na nowe tory myślenia – zlikwidują tę starą organizację szczepową i zastąpią ją czymś lepszym.

– Zaiste, prawdziwie świetlana wizja.

Wątpiłem, czy Wallis sam doszedł do większości – lub choćby któregośkolwiek – z tych poglądów. Mój rozmówca był po prostu odzwierciedleniem swoich czasów, jego sądy ukształtowali opiniotwórcy z rządu i innych kręgów.

– A jak pan sam się na to wszystko zapatruje?

– Ja? – Roześmiał się samokrytycznie. – Jestem za stary, by się zmienić. A poza tym – dodał niespokojnie – nie chciałbym stracić córek... Ale nie chcę też widzieć, jak dorastają w świecie takim jak ten! – Wskazał ręką na kopułę, martwy park i żołnierzy. – Jeśli oznacza to zmianę zapatrywań, to niech tak będzie.

– Czy teraz rozumie pan, dlaczego potrzebujemy pańskiej współpracy? – zapytał. – Z taką bronią jak PPC, czyli wehikuł czasu, utworzenie tego nowoczesnego państwa – choć nadal nie będzie to łatwe – stanie się bardziej osiągalne. A jeśli doznamy niepowodzenia...

– Tak?

Zatrzymał się. Znajdowaliśmy się teraz w pobliżu południowego muru parku i było tam niewielu ludzi.

– Krążą pogłoski, że Niemcy budują własny wehikuł czasu – powiedział cichym głosem. – Jeśli uda im się to przed nami... jeśli Rzesza będzie zdolna do prowadzenia Wojny z Wykorzystaniem Skoków w Czasie...

– Tak?

Przedstawił mi zwięzły, lecz przerażający opis przyszłej wojny czasowej, który z pewnością zaczerpnął z propagandy rozwiniętej w ciągu wielu lat. Bezwzględni oficerowie sztabowi

starego kajzera będą rozważać, jak wysłać do naszej szlachetnej historii swoich na wpół odurzonych, szalonych chłopców – swych Wojowników Czasu. Wallis przedstawił tych żołnierzy, jakby byli chodzącymi bombami. Wedrą się gromadnie w sto naszych dawnych bitew jak śmiercionośne marionetki...

– Zniszczą Anglię, uduszą ją w kolebce. I to właśnie do tego nie możemy dopuścić – powiedział do mnie. – Pan to widzi, prawda? Pan to rozumie?

Spojrzałem na jego wyrazistą, szczerą twarz i nie potrafiłem mu odpowiedzieć.

Wallis odprowadził mnie do domu na Queen's Gate Terrace.

– Nie chcę pana zmuszać do współpracy ze mną, staruszk. Wiem, jakie to wszystko musi być dla pana trudne, bo przecież to nie pańska wojna, ale czasu jest niewiele. Nawiasem mówiąc, cóż znaczy pojęcie „czasu” w takich okolicznościach?

Dołączyłem do moich towarzyszy w palarni. Przyjąłem whisky z wodą od Filby'ego i rzuciłem się na krzesło.

– Na zewnątrz jest tak niewiele miejsca – odezwałem się. – Przez tę przekłętą kopułę człowiek się czuje jak w Birmie! Czyż to nie dziwne? Na zewnątrz panuje gęsta ciemność, a mamy dopiero porę lunchu.

Moses podniósł wzrok znad książki, którą czytał.

– „Liczy się intensywność, a nie czas trwania przeżycia” – zacytował, po czym uśmiechnął się do mnie. – Czyż nie byłoby to doskonałe epitafium dla Podróżnika w Czasie? Intensywność... tylko to się liczy.

– Kto to napisał?

– Thomas Hardy. Żył w pańskiej epoce, prawda?

– Nie czytałem go.

Moses sprawdził w przedmowie.

– Cóż, już nie żyje... zmarł w 1928 roku.

Zamknął książkę.

– Czego się pan dowiedział od Wallisa? – zapytał.

Streściłem im moją rozmowę.

– Ulżyło mi, kiedy się z nim pożegnałem – zakończyłem. – Cóż za mieszanka propagandy i nie do końca przemyślanej polityki... nie mówiąc już o pogmatwanym widzeniu przyczynowości i tak dalej.

Wiedziałem, że gdybym był obywatelem tego nowego, nowoczesnego państwa, które chcieli stworzyć, wkrótce stałbym się jednym z opozycjonistów wijących się w jego bezlitośnie dobroczynnym uścisku.

Jeszcze w trakcie tych rozważań zacząłem się zastanawiać w głębi serca, do jakiego stopnia przyjąłbym sposób myślenia Wallisa – o tym nowoczesnym państwie z jego planami i metodami *zarządzania* – nim podróżowanie w czasie otworzyło mi oczy na ograniczenia ludzkości.

– A propos, Nebogipfelu – powiedziałem – natrafiłem na ślad naszego starego przyjaciela... Kurta Gödela.

Morlok wybełkotał dziwne słowo we własnym języku. Obrócił się gwałtownie i zwinnie zerwał z krzesła, przez co wydawał się bardziej zwierzęciem niż człowiekiem. Filby zbladł, a Moses zacisnął palce na książce, którą trzymał w ręku.

– Gödel? Czy on tu jest?

– Tak, jest pod kopułą. Właściwie nie dalej niż ćwierć mili od tego miejsca, w Imperial College.

Opisałem pokaz paplającej maszyny, który widziałem.

– Reaktor jądrowy. To jest to – syknął Nebogipfel. – Teraz rozumiem. Gödel jest kluczem do wszystkiego. To musi być jego sprawka. Ze swoją wiedzą na temat obracających się

wszechświatów...

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– Posłuchaj. Czy chcesz uciec z tej okropnej historii?

Naturalnie, że chciałem! Było ku temu tysiąc powodów: pragnąłem uciec od tego straszego konfliktu, spróbować wrócić do domu, położyć kres podróżowaniu w czasie przed początkiem szaleństwa wojny czasowej...

– Ale w tym celu musimy odnaleźć wehikuł czasu.

– Tak. Dlatego musisz nas zaprowadzić do Gödela. Musisz. Teraz widzę prawdę.

– Jaką prawdę?

– Barnes Wallis pomylił się co do Niemców. Ich wehikuł czasu to coś więcej niż tylko groźba. Już go zbudowali!

Teraz wszyscy zerwaliśmy się na równe nogi i zaczęliśmy równocześnie mówić.

– Co takiego? Co chcesz przez to powiedzieć? Jak...

– Już jesteśmy w wersji historii, którą zmienili Niemcy.

– Skąd wiesz? – zapytałem.

– Przypomnij sobie, że studiowałem waszą erę w mojej historii – odparł. – I w mojej historii nie było żadnej kilkudziesięcioletniej wojny w Europie. W mojej historii była wojna, która wybuchła w 1914 roku, lecz zakończyła się w 1918 zwycięstwem aliantów nad Niemcami. Nowa wojna wybuchła w 1939 roku, ale w Niemczech był już inny rząd. I...

Poczułem się dziwnie oszołomiony, wyciągnąłem rękę, żeby znaleźć krzesło, i usiadłem.

Filby wyglądał na przerażonego.

– Ci przekłęci Niemcy. Mówiłem wam, że narobią kłopotu!

– Zastanawiam się, czy ta ostatnia bitwa, którą opisał Filby... „Kaiserschlacht”... nie została w jakiś sposób zmieniona na

korzyść Niemców. Być może zamach na życie dowódcy wojsk alianckich mógł spowodować...

– Bombardowanie Paryża – podsunął zdeorientowany Filby. –
Może o to chodzi.

Przypomniałem sobie przerażające opisy Wallisa, który opowiedział mi, jak podobni do robotów niemieccy żołnierze wdzierają się w brytyjską historię.

- Co mamy zrobić? Musimy powstrzymać tę wojnę czasową!
- Zaprowadź nas do Gödela – powiedział Morlok.
- Ale dlaczego?
- Bo tylko on mógł wyprodukować plattneryt dla Niemców!

Wallis wezwał mnie ponownie po lunchu. Od razu zaczął mnie naciskać, bym się zdecydował, czy wezmę udział w jego projekcie wojny czasowej.

Poprosiłem o zaprowadzenie mnie do Imperiał College w odwiedziny do Kurta Gödela. Wallis robił na początku trudności.

– Gödel to trudny człowiek. Nie wiem, co mógłby pan uzyskać ze spotkania z nim. Jest dość pilnie strzeżony...

Ale uparłem się i Wallis niebawem ustąpił.

– Proszę mi dać pół godziny – powiedział – a załatwię sprawę.

Budynek Imperiał College wydawał się prawie nie naruszony przez osiemnastoletni okres czasu i przeróbkę związaną z połączeniem składowych college'ów, które pamiętałem. Oto zobaczyłem Queen's Tower, stojący na środku zabytek z białego ciosanego kamienia z lwami po bokach, otoczony dość staroświeckimi budynkami z czerwonej cegły, które tworzyły to funkcjonalne miejsce nauki. Zobaczyłem jednak, że niektóre sąsiednie budynki zostały przyłączone do college'u dla szerszej pojętych celów związanych z wojną. Również Muzeum Nauki oddano Radzie Wojny z Wykorzystaniem Skoków w Czasie i na kampusie pojawiło się kilka nowszych budowli – przeważnie przysadzistych, prostych i najwyraźniej skleconych w pośpiechu

oraz bez większej dbałości o niuanse architektoniczne. Wszystkie te nowe budynki połączone były siecią krytych, naziemnych tuneli, które znaczyły cały kampus jak ziemia wydalona przez dżdżownice.

Wallis zerknął na zegarek.

– Mamy jeszcze trochę czasu, nim Gödel będzie gotowy nas przyjąć – powiedział. – Proszę tędy. Mam zezwolenie, by coś panu pokazać. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu, wyglądał jak podniecony młodzieniec. – To nasza chluba!

Zaprowadził mnie do sieci wyłobionych korytarzy. Ściany były wyłożone betonem. Świeciły się tam z rzadka rozmieszczone, pojedyncze żarówki. Przypominam sobie, jak chyboczące światło uwydatniało niezgrabne ramiona Wallisa i jego niezdarny chód, kiedy prowadził mnie w głąb tamtego labiryntu. Przeszliśmy przez kilka bram. Przy każdej kontrolowano oznakę w klapie marynarki Wallisa, kazano mu pokazać rozmaite dokumenty, sprawdzano jego odciski palców, porównywano jego twarz ze zdjęciami i tak dalej. Mnie też porównywano ze zdjęciami i dwukrotnie przeszliśmy rewizję osobistą.

Podczas drogi kilkakrotnie skręcaliśmy, ale uważnie śledziłem nasze położenie i naszkicowałem sobie w głowie mapę różnych przybudówek College'u.

– College został dość szeroko rozbudowany – wyjaśnił Wallis. – Obawiam się, że utraciliśmy Royal College of Music, College of Art, a nawet Muzeum Historii Naturalnej. To przez tą cholerną wojnę. Niech pan zauważy, że oczyszczono znaczną część terenu, żeby dać miejsce tym nowym budynkom. Nadal istnieje dość sporo ośrodków naukowych, które rozsiane są po całym kraju, łącznie z fabrykami Royal Ordnance w Chorley i Woolwich,

zakładami Vickersa-Armstronga w Newcastle, Barrow, Weybridge, Burnhill i Crawford, Royal Aircraft Establishment w Farnborough, Armament and Aeronautical Experimental Establishment w Boscombe Down... i tak dalej. Większość z tych zakładów przeniesiono do bunkrów i kopuł. Tym niemniej Imperiał – w takiej rozbudowanej postaci – stał się głównym brytyjskim ośrodkiem badań naukowych nad techniką wojskową.

Po kolejnych kontrolach bezpieczeństwa weszliśmy do jasno oświetlonego hangaru, w którym unosił się mocny zapach smaru silnikowego, gumy i przypalonego metalu. Na poplamionej, betonowej podłodze stały pojazdy mechaniczne w różnych stadiach montażu. Wśród nich poruszali się ludzie w kombinezonach, niektórzy pogwizdywali pod nosem. Przygnębienie, które odczuwałem wskutek przebywania pod kopułą, trochę zelżało. Często zdarzało mi się zaobserwować, że niewiele rzeczy niepokoi człowieka, który ma okazję popracować fizycznie.

– To – oznajmił Wallis – jest nasz dział rozwoju PPC.

– PPC? Ach! – Przypomniałem sobie: Pojazd Przenoszący się w Czasie.

Ci radośni robotnicy w tym hangarze budowali wehikuły czasu i wydawało się, że robią to na skalę przemysłową!

Wallis zaprowadził mnie do jednego z tych pojazdów, który wyglądał na prawie ukończony. Ten samochód czasu – tak go nazwałem – miał około pięciu stóp wysokości i kształt kanciastego pudełka. Na oko kabina mogła pomieścić czterech lub pięciu ludzi i spoczywała na trzech parach kół, wokół których biegły gąsienice. Pojazd upstrzony był lampami, wspornikami i innymi urządzeniami. W każdym narożniku kadłuba

przykręcono szklaną kolbę o szerokości kilku cali. Kolby te były najwyraźniej wydrążone, gdyż miały nakrętki. Całość była nie pomalowana, a od armatniego spżu wykończenia odbijało się światło.

– Trochę się różni od pańskiego prototypu, nieprawdaż? – zapytał Wallis. – Prawdę mówiąc, opiera się na standardowym pojeździe wojskowym – uniwersalnym transporterze – i oczywiście funkcjonuje również jako samochód osobowy. Niech pan spojrzy. Oto silnik Ford V8, który napędza gąsienice za pośrednictwem tych zębatek koła łańcuchowego. Widzi pan? I można kierować tym pojazdem za pomocą przesuwania tego urządzenia zwrotnego z przodu... – Pokazał to rękami – ...w ten sposób. A jeśli trzeba wykonać ostry skręt, można spróbować hamowania gąsienicami. Cały pojazd jest dość solidnie opancerzony...

Chwyciłem się za podbródek. Zastanawiałem się, ile bym zobaczył z odwiedzanych przeze mnie światów, gdybym niespokojnie spoglądał na nie z wnętrza takiego opancerzonego monstrum!

– Oczywiście, zasadniczym elementem jest plattneryt – ciągnął Wallis – ale nie uważamy za konieczne zalewanie części maszyny tą substancją tak, jak pan to zrobił. Powinno wystarczyć wypełnienie tych kolb surowym materiałem. – Odkręcił korek w jednym narożniku, żeby mi pokazać. – Widzi pan? A potem można sterować pojazdem w czasie, o ile sterowanie to właściwe słowo, z wnętrza kabiny.

– I wypróbowaliście go?

Przejechał włosy palcami, przez co wiele z nich stanęło w pionowej pozycji.

– Oczywiście, że nie! Bo nie mamy plattnerytu. – Klepnął mnie

w ramię. – I tu zaczyna się pańska rola.

Wallis zabrał mnie do innej części tego kompleksu. Po kolejnych kontrolach weszliśmy do długiej, wąskiej komory w kształcie korytarza. Komora miała jedną szklaną ścianę, za którą dostrzegłem większe pomieszczenie o wielkości mniej więcej kortu. To większe pomieszczenie było puste. W naszej węższej komorze siedziało sześciu lub siedmiu naukowców przy biurkach. Każdy miał na sobie typowy, brudny, biały fartuch, w którym wydaje się rodzić każdy eksperymentator, i wszyscy pochylali się nad tarczami oraz przełącznikami. Naukowcy spojrzeli na mnie, kiedy weszliśmy – troje z nich było kobietami – i uderzyły mnie ich wymizerowane twarze. Widać w nich było pewne zmęczenie połączone z podenerwowaniem, mimo że wyglądali na młodych ludzi. Przez cały czas, kiedy tam byliśmy, niektóre urządzenia bez przerwy trzaskały. Wallis powiedział mi, że to odgłos liczników promieniowania.

Większa komora za szybą była prostym, betonowym pudełkiem z nie pomalowanymi ścianami. Było tam prawie pusto, jedynie na środku stał nieruchomo kwadratowy, ceglany monolit wysoki na jakieś dziesięć i szeroki na sześć stóp. Cegły były dwojakiemu rodzaju: jasne i ciemnoszare, ułożone równo na przemian. Ten monolit utrzymywała nad podłogą warstwa grubszych płyt, od których ciągnęły się przewody do uszczelnionych otworów w ścianie pomieszczenia.

Wallis spojrział przez szybę.

– To nadzwyczajne, prawda? Że coś tak szkaradnego, tak prostego, wiąże się z taką potęgą. Powinniśmy tu być bezpieczni. To szkło ołowiowe. A zresztą reakcja jest w tej chwili osłabiona.

Rozpoznałem reaktor z pokazu paplającej maszyny.

– Czy to wasza maszyna do przeprowadzania rozszczepiania?

– To drugi reaktor grafitowy na świecie – odrzekł Wallis. – W dużym stopniu kopia pierwszego, który Fermi zbudował na Uniwersytecie Chicago. – Uśmiechnął się. – O ile się orientuję, skonstruował go na boisku do squasha. To niezwykła historia.

– Tak – powiedziałem, popadając w rozdrażnienie. – Ale co reaguje z czym?

– Ach – odpowiedział, zdjął okulary i przetaił szkła końcówką krawata. – Spróbuję to wyjaśnić...

Zbyteczne wydaje się dodawać, że nie spieszył się, lecz udało mi się wydobyć od niego tyle, by zrozumieć właściwą istotę.

Już dowiedziałem się od Nebogipfela, że atom ma substrukturę i że Thomson uczynił pierwszy krok ku jej zrozumieniu. Teraz dowiedziałem się, że tę substrukturę można zmienić. Może to nastąpić przez złączenie się jednego jądra atomowego z drugim, lub być może spontanicznie przez rozbitcie dużego atomu. Ten rozpad nazywa się rozszczepieniem atomów.

A ponieważ substruktura określa tożsamość atomu, rezultat takich zmian to nic innego jak oczywiście przekształcenie się jednego elementu w inny – odwieczne marzenie alchemików!

– Nie zdziwi pewnie pana – powiedział Wallis – że przy każdym rozpadzie atomów wyzwala się pewna energia, gdyż atomy zawsze szukają bardziej stabilnego stanu o niższej energii. Czy jest to dla pana jasne?

– Oczywiście.

– Tak więc w tym reaktorze mamy sześć ton karolinu, pięćdziesiąt ton tlenku uranu i czterysta ton bloków grafitowych... Dostarcza to mnóstwo energii, nawet teraz, kiedy na to patrzymy.

– Karolinu? Nic o nim nie słyszałem.

– To nowy, sztuczny pierwiastek powstały wskutek bombardowania atomów. Jego okres połowicznego rozpadu wynosi siedemnaście dni. To znaczy, traci w tym czasie połowę swojego zapasu energii.

Znów spojrzałem na tę nijaką kupę cegieł. Wyglądała tak zwyczajnie, tak nieprzyjemnie! A jednak, pomyślałem, jeśli to, co Wallis powiedział o energii rdzenia atomowego, jest prawdą...

– Jakie są zastosowania tej energii?

Założył okulary.

– Widzimy trzy szerokie zakresy zastosowania. Po pierwsze, dostarczanie energii z małego źródła: wyobrażamy sobie, że mając taki reaktor na pokładzie, podwodne molochy mogłyby spędzać wiele miesięcy pod powierzchnią oceanu, bez potrzeby uzupełniania paliwa, lub moglibyśmy zbudować bombowce, które mogłyby latać na dużej wysokości i okrążyć Ziemię kilkadziesiąt razy, nim musiałyby wylądować. I tak dalej. Po drugie, wykorzystujemy reaktor do napromieniowania różnych materiałów. Możemy wykorzystać produkty uboczne rozszczepiania uranu do transmutacji innych materiałów. Prawdę mówiąc, w tej chwili odbywają się próby wielu związków, które służą jakimś tajemniczym eksperymentom profesora Gödela. Oczywiście, nie można ich zobaczyć, bo buteleczki z próbkami znajdują się wewnątrz reaktora...

– A trzecie zastosowanie?

– Ach... – odezwał się i jego oczy znów nabrały obcego, zamyślnego spojrzenia.

– Już wiem – powiedziałem ponuro. – Ta energia jądrowa świetnie się nadaje do stworzenia bomby.

– Naturalnie, trzeba rozwiązać tylko kilka praktycznych problemów – odrzekł. – Produkcja właściwych izotopów

w wystarczających ilościach... Synchronizacja wstępnych eksplozji... Ale tak. Wygląda na to, że istnieje możliwość zbudowania bomby dostatecznie potężnej, by zrównała całe miasto z powierzchnią ziemi – wraz z kopułą i wszystkimi innymi zabezpieczeniami, bomby tak niewielkiej, by zmieściła się w walizce.

Przemierzyliśmy kolejne wąskie, betonowe korytarze, wynurzając się wreszcie w głównym biurowcu College'u. Dotarliśmy do korytarza wyłożonego pluszową wykładziną, z portretami wybitnych osobistości z przeszłości na ścianach. Na pewno wyobrażacie sobie takie miejsce: mauzoleum martwych naukowców! Otaczali nas żołnierze, ale zachowywali się dyskretnie.

To właśnie tutaj przydzielono Kurtowi Gödelowi biuro.

Wallis przedstawił mi życie Gödela zwięźle i treściwie. Profesor urodził się w Austrii i uzyskał stopień naukowy z dziedziny matematyki w Wiedniu. Pod wpływem tamtejszych pozytywistów logicznych (sam nigdy nie miałem zbyt wiele czasu na filozofowanie) Gödel zainteresował się logiką i podstawami matematyki.

W roku 1931 – miał wtedy zaledwie dwadzieścia pięć lat – Gödel opublikował swoją zaskakującą rozprawę na temat nieskończoności matematyki.

Później zainteresował się nowo powstałą dziedziną badań nad czasem i przestrzenią i przedstawił w artykułach swoje spekulacje na temat podróżowania w czasie. (Pomyślałem, że to musiały być reopublikowane prace, do których odwoływał się Nebogipfel.) Niebawem, pod naciskiem Rzeszy, przeniesiono go do Berlina, gdzie rozpoczął prace nad wykorzystaniem podróży

w czasie dla celów wojskowych.

Dotarliśmy do drzwi, na których umieszczono mosiężną tabliczkę z nazwiskiem Gödela – chyba zupełnie niedawno, bo na dywanie dostrzegłem wiórki drewna po wierceniu.

Wallis ostrzegł mnie, że będę miał tylko kilka minut. Zapukał do drzwi.

– Wejść! – odezwał się cienki, wysoki głos.

Weszliśmy do przestronnego biura o wysokim sklepieniu, z ładnym dywanem i bogato zdobioną tapetą oraz biurkiem, które pokryte było zieloną skórą. Uświadomiłem sobie, że kiedyś ten pokój musiał być bardzo jasny, gdyż szerokie okna – teraz zasłonięte – wychodziły na zachód, dokładnie w kierunku Terrace, gdzie mnie zakwaterowano.

Kiedy weszliśmy, człowiek przy biurku nadal pisał. Zasłaniał ręką kartkę, najwidoczniej po to, żebyśmy jej nie widzieli. Był niskim, chudym, niezdrowo wyglądającym człowiekiem, z wysokim, delikatnym czołem. Miał na sobie wełniany, pognieciony garnitur. Ocenilem, że jest po trzydziestce.

Wallis spojrzał na mnie z uniesionymi brwiami.

– To dziwny facet – szepnął – ale niezwykle umysł.

Wokół pokoju biegły regały, choć w tej chwili były puste. Na dywanie stały stosy skrzyń, a książki i czasopisma – przeważnie w języku niemieckim – rozsypywały się na boki. W jednej skrzyni dostrzegłem naukowe wyposażenie oraz rozmaite buteleczki z próbkami i w jednej z tych skrzyń zobaczyłem coś, od czego mocniej zabiło mi serce!

Odwróciłem się gwałtownie od skrzyni i próbowałem ukryć podniecenie.

W końcu człowiek przy biurku odrzucił z rozdrażnieniem pióro, które uderzyło z trzaskiem w ścianę, i zmiął w rękę

zapisane kartki, nim wyrzucił je – wszystko, co napisał – do kosza!

Podniósł wzrok, jakby dopiero teraz dostrzegł, że tu jesteście.

– Ach – powiedział. – Wallis.

Schował ręce za biurkiem i wydawało się, że skurczył się w sobie.

– Profesorze Gödel, to miło, że zechciał się pan z nami zobaczyć. To jest... – Przedstawił mnie.

– Ach – powtórzył Gödel i uśmiechnął się szeroko, ukazując nierówne zęby. – Oczywiście.

Wstał niezgrabnie, obszedł biurko i wyciągnął rękę. Chwyciłem ją; była chuda, koścista i zimna.

– Miło mi – powiedział. – Spodziewam się, że przeprowadzimy wiele interesujących rozmów.

Mówił dobrze po angielsku, z lekkim niemieckim akcentem.

Wallis przejął inicjatywę i wskazał nam fotele przy oknie.

– Mam nadzieję, że znajdzie pan dla siebie miejsce w tym nowym wieku – powiedział do mnie szczerze Gödel. – Pewnie jest to świat trochę dziwszy od tego, który pan pamięta, ale być może tak jak ja, będzie pan tolerowany jako pożyteczny ekscentryk. Czyż nie?

Wallis wtrącił hałaśliwie:

– Niech pan da spokój, profesorze...

– Ekscentryk – warknął. – *Ekkentros*... Poza centrum. – Spojrzał na mnie. – Podejrzewam, że to właśnie tacy obaj jesteście. Trochę poza środkiem spraw. Słuchaj, Wallis, wiem, że wy, solidni Brytyjczycy, uważacie mnie za dziwaka.

– No cóż...

– Biedny Wallis nie może się przyzwycząić do tego, że w nieskończoność przepisuję swoje notatki – powiedział do mnie

Gödel. – Czasami robię to kilkanaście razy... a potem i tak w końcu wyrzucam swoją twórczość do kosza, tak jak pan to widział! Czyż to nie dziwne? No cóż. Niech tak będzie!

– Musi pan trochę żałować, że opuścił pan swój dom, profesorze – powiedziałem.

– Wcale nie. Musiałem uciec z Europy – odrzekł niskim, konspiracyjnym głosem.

– Dlaczego?

– Oczywiście z powodu kajzera.

Barnes Wallis rzucił mi ostrzegawcze spojrzenie.

– Wie pan, mam dowody – powiedział z zapalem Gödel. – Proszę wziąć dwie fotografie, powiedzmy jedną z 1915 i jedną z bieżącego roku, człowieka, który podaje się za kajzera Wilhelma. Jeśli zmierzy pan długość nosa i weźmie jej stosunek do odległości od czubka nosa do skraju podbródka, stwierdzi pan, że jest inny!

– Ja... ach... na wielkiego Scotta!

– W rzeczy samej. I z takim substytutem kajzera przy sterze władzy, któż wie, dokąd zmierzają Niemcy?

– Właśnie – wtrącił pospiesznie Wallis. – W każdym razie bez względu na pańskie pobudki cieszymy się, że przyjął pan zaproponowaną przez nas profesurę w tym college'u, i że wybrał pan Brytanię na swój nowy dom.

– Tak – potwierdziłem. – Czy nie mógł pan znaleźć sobie miejsca w Ameryce? Może w Princeton lub...

Wyglądał na zszokowanego.

– Z pewnością mogłem. Ale to było całkowicie niemożliwe. Całkowicie.

– Dlaczego?

– Oczywiście z powodu konstytucji!

Po czym ten niezwykły człowiek wdał się w długi i obszerny wywód o tym, jak odkrył w amerykańskiej konstytucji lukę umożliwiającą legalne wprowadzenie dyktatury!

Wallis i ja siedzieliśmy w milczeniu i przetrwaliśmy to do końca.

– No i cóż pan o tym sądzi? – zapytał Gödel po wyłuszczeniu swojego wywodu.

Wallis rzucił mi kolejne srogie spojrzenie, ale postanowiłem dać szczerą odpowiedź.

– Nie mogę nic zarzucić logice pańskiego rozumowania – rzekłem – ale uważam jej zastosowanie za skrajnie dziwaczne.

Zachnął się.

– Cóż... być może! Ale tylko logika się liczy. Nie sądzi pan? W metodzie aksjomatycznej tkwi ogromna siła. – Uśmiechnął się.

– Mam również ontologiczny dowód na istnienie Boga. Moim zdaniem jest niezbity i ma zaszczytnych poprzedników, których historia sięga osiem wieków wstecz, do czasów arcybiskupa Anzelma. Widzi pan...

– Może innym razem, profesorze – wtrącił Wallis.

– Ach tak. No dobrze. – Spojrzał po kolei na nas. Jego wzrok był przenikliwy, wręcz obezwładniający. – A więc porozmawiajmy o podróżowaniu w czasie. Naprawdę panu zazdroszczę.

– Podróżowania?

– Tak. Ale nie tego całego nużącego skakania po historii.

Miał załzawione oczy, które błyszczały w silnym świetle elektrycznym.

– A zatem czego?

– Oglądania innych światów, innych możliwości. Czy pan mnie rozumie?

Poczułem dreszcz. Zdolność pojmowania Gödela wydawała się

nadzwyczajna, prawie telepatyczna.

– Proszę powiedzieć, co pan ma na myśli.

– Realność innych światów, które posiadają znaczenie wykraczające poza doświadczenie naszego krótkiego istnienia, jest dla mnie oczywista. Każdy, kto przeżył cud matematycznego odkrycia, musi wiedzieć, że prawdy matematyczne istnieją niezależnie od umysłów, w których tkwią, że te prawdy to okruchy myśli jakiegoś wyższego intelektu...

– Proszę posłuchać – ciągnął. – Nasze życie tutaj, na Ziemi, ma wątpliwe znaczenie. A zatem jego prawdziwy sens musi tkwić gdzieś poza tym światem. Rozumie pan? To zwykła logika. Koncepcja, że wszystko na świecie ma jakieś nadrzędne znaczenie, to dokładna analogia zasady, że wszystko ma przyczynę – zasady, na której opiera się cała nauka. Wynika z tego, że gdzieś poza naszą historią znajduje się ostateczny świat – świat, w którym wyjaśnione jest całe znaczenie.

– Już z samej swojej natury – mówił dalej – podróżowanie w czasie jest powodem zakłócenia historii, a przez to powstania lub odkrycia światów innych od naszego. Dlatego zadaniem Podróżnika w Czasie jest prowadzenie poszukiwań... nieustannych poszukiwań aż do chwili, gdy ostateczny świat zostanie znaleziony – lub zbudowany!

Po wyjściu od Gödela zagłębiłem się w myślach. Postanowiłem, że już nigdy więcej nie będę drwił z matematykow-filozofów, gdyż ten dziwny człowieczek, nie opuszczając swojego biura, zawędrował dalej w czasie, przestrzeni i rozumieniu, niż mnie się to kiedykolwiek udało w moim wehikule czasu! I wiedziałem, że wkrótce znów będę musiał odwiedzić Gödela... gdyż byłem pewien, że w jego skrzyni dostrzegłem buteleczkę z plattnerem.

Nowy porządek świata

Powróciłem do naszej kwatery około szóstej. Znalazłem resztę moich towarzyszy w palarni. Morlok nadal ślęczał nad swoimi notatkami – wydawało się, że próbuje odtworzyć tę przyszłą naukę, mechanikę kwantową, z własnej, niedoskonałej pamięci. Podskoczył, gdy wszedłem.

– Znalazłeś Gödela?

– Tak. – Uśmiechnąłem się do niego. – Miałeś rację. – Zerknąłem na Filby’ego, ale biedny staruszek drzemał nad czasopismem i nas nie słyszał. – Gödel chyba ma trochę plattnerytu.

– Ach. – Twarz Morloka była jak zwykle bez wyrazu, ale wykonał zdecydowanie ludzki gest – uderzył pięścią w dłoń. – A więc jest nadzieja.

Teraz podszedł do mnie Moses. Podał mi szklankę whisky z wodą. Wypiłem drinka z wdzięcznością, gdyż przez cały dzień było tak samo gorąco jak rano.

Moses przysunął się do mnie i pochylając ku sobie głowy, we trójkę zaczęliśmy cicho rozmawiać.

– Ja też doszedłem do pewnego wniosku – zaczął Moses.

– Jakiego?

– Że faktycznie musimy się stąd wydostać, obojętne jak!

Moses opowiedział mi, czego się dowiedział. Znudzony uwięzieniem, zagaił rozmowę z młodymi żołnierzami, którzy nas

strzegli. Oprócz szeregowców znajdowało się tam kilku oficerów. Wszyscy żołnierze wyznaczeni do naszej ochrony i innych obowiązków na terenie tego miasteczka uniwersyteckiego byli na ogół inteligentni i starannie wykształceni. Polubili Mosea i zaprosili go do pobliskiego zajazdu – Queen’s Arms na Queen’s Gate Mews – a potem pojechali rykszami do West Endu. Po kilku drinkach ci młodzi ludzie ochoczo zabrali się do przekonywania obcego przybysza z przeszłości do swoich idei i koncepcji ich nowego, nowoczesnego państwa.

Ucieszyłem się, że Moses zaczął przełamywać swoją nieśmiałość i zainteresował się światem, w którym się znajdowaliśmy. Z zafascynowaniem słuchałem tego, co miał do powiedzenia.

– Ci wszyscy młodzieńcy są przesympatyczni – oznajmił Moses.
– Kompetentni, praktyczni, odważni. Ale ich poglądy!

Moses dowiedział się, że wielką koncepcją przyszłości miało być planowanie. Po utworzeniu nowoczesnego państwa, kierowanego przez zwycięską Brytanię i jej sojuszników, wszystkie porty, kopalnie węgla, szyby naftowe, elektrownie i inne kopalnie znajdą się pod nadzorem działu kontroli powietrznej i morskiej. W podobny sposób dział kontroli transportowej przejmie stocznie na całym świecie i zmieni ich profil produkcji z okrętów wojennych na stalowe statki towarowe. Dział kontroli wspólnych zapasów rozwinie produkcję żelaza, stali, gumy, metali, bawełny, wełny i substancji roślinnych. A dział kontroli żywności...

– No cóż! – powiedział Moses. – Rozumie pan, o co chodzi. To koniec prywatnej własności. Wszystkie te zasoby znajdą się w posiadaniu nowego, zjednoczonego państwa – świata. Wszystkie środki zostaną połączone i docelowo wykorzystane do

tęgo, by odbudować spustoszone przez wojnę kraje, a potem poprawić sytuację ludzkości. Wszystko będzie zaplanowane przez genialnych, wszytkowiedzących członków związku, którzy, nawiasem mówiąc, sami się wybiorą!

– Poza tym ostatnim aspektem brzmi to nie najgorzej – stwierdziłem.

– Być może, ale to planowanie ma objąć nie tylko zasoby naturalne planety, lecz również ludzi. I tu się pojawiają problemy. Przede wszystkim kwestia norm społecznych – Spojrzał na mnie znacząco. – Ci młodzieńcy nie odnoszą się przychylnie do naszych czasów. Powiedziano mi, że cierpimy na „całkowite rozprzężenie obyczajów”! To nowe społeczeństwo poszło inną drogą, w kierunku surowego trybu życia, zwłaszcza w kwestii popędu płciowego. Na porządku dziennym są przyzwoite zajęcia!

Opanowała mnie bolesna tęsknota.

– Przypuszczam, że to nie wróży nic dobrego dla przyszłości imperium, Leicester Square.

– Leicester Square już zamknięto! Zburzono! Aby zrobić miejsce dla biura planowania sieci kolejowej. I tak samo jest wszędzie. W następnej fazie będzie się wnosić jeszcze więcej zmian. Będziemy świadkami bezbolesnej eliminacji „żałosnych osób niedorozwiniętych umysłowo”. To nie moje słowa! A także sterylizacji niektórych ludzi, którzy w przeciwnym razie przekazywaliby potomkom skłonności, cytuję, Jednoznacznie niepożądane”. Wygląda na to, że w niektórych częściach Brytanii ten proces oczyszczania już się rozpoczął. Mają jakiś gaz o nazwie Kinetogens Pabsta... Widzi pan, że zaczynają sterować dziedzicznością rasową ludzkości.

– Hm... – zamyśliłem się. – Czuję głęboką nieufność do takiego

procesu sprowadzania społeczeństwa do normalności. Czy to naprawdę takie pożądane, aby przyszłość gatunku ludzkiego przepuszczać przez filtr tolerancji Anglików z roku 1938? Czy to właśnie ich długi cień ma paść na przyszłe miliony lat istnienia świata?

– To wszystko związane jest z planowaniem – powiedział Moses. – I twierdzą, że jedynym rozwiązaniem alternatywnym jest ponowne pogrążenie się w stanie chaotycznego barbarzyństwa aż do ostatecznego wymarcia.

– Czy ludzie – nowocześni ludzie – są zdolni do takich epokowych czynów?

– Z pewnością poleje się krew i dojdzie do konfliktów na nie spotykaną dotychczas skalę – nawet oceniając według kryteriów tej bezmyślnej, straszliwej wojny – gdy większość narodów świata nie zgodzi się, by ci sprzymierzeni technokraci narzucili im z gruntu spaczony plan.

Napotkałem wzrok Mosesa i dostrzegłem w nim słuszny gniew i wściekłość na głupotę ludzkości, które kiedyś kierowały również moją własną, młodszą duszą. Chcąc nie chcąc, zawsze odnosiłem się z nieufnością do postępu cywilizacji, gdyż uważałem go za niestabilny budynek, który kiedyś musi runąć na głowy swych głupich twórców. Z wyjątkiem obecnej wojny, to nowoczesne państwo wydawało się największym szaleństwem, z jakim się zetknąłem od dłuższego czasu! Odniosłem wrażenie, jakbym widział myśli Mosesa w jego szarych oczach – wyzwolił się od strachu i stał się młodszą, bardziej zdecydowaną wersją mojej osoby – i poczułem, że jeszcze nigdy od chwili naszego spotkania nie był mi bliższy.

– A zatem – podsumowałem – sprawa postanowiona. Nie sądzę, by którykolwiek z nas mógł tolerować taką przyszłość.

Moses z zapalem skinął głową, Nebogipfel także wydawał się z tym zgadzać, a jeżeli chodzi o mnie, to ponownie postanowiłem raz na zawsze położyć kres podróżowaniu w czasie.

– Musimy uciec – oświadczyłem. – Tylko jak...

W tym momencie, zanim zdążyłem dokończyć pytanie, dom zadrżał.

Przewróciłem się, prawie uderzając głową o biurko. Rozległ się huk – dudnienie wewnątrz ziemi, podobne do odgłosu zatrzaskiwania drzwi. Lampy zamigotały, ale nie zgasły. Wokół mnie podniosły się krzyki – biedny Filby jęknął – i usłyszałem brzęk szkła oraz łoskot upadających mebli.

Budynek znieruchomiał. Kaszłąc, gdyż podniosły się tumany kurzu, wstałem z trudem.

– Czy nikomu nic się nie stało? Moses? Nebogipfel?

Moses już pomagał Morlokokowi, który nie był ranny, ale został przygnieciony przez przewrócony regał.

Zostawiłem ich i poszukałem Filby'ego. Staruszek miał szczęście; nawet nie spadł z krzesła. Wstał i podszedł do okna, które było pęknięte w poprzek.

Dotarłem do niego i położyłem ręce na jego przygarbionych ramionach.

– Filby, stary przyjacielu, chodźmy stąd.

Zignorował mnie. Z kaprawymi oczami i twarzą pokrytą skorupą kurzu uniósł zakrzywiony palec w kierunku okna.

– Spójrz – powiedział.

Zbliżyłem się do szyby, osłaniając twarz dłonią, żeby nie widzieć odbitego światła elektrycznych lamp. Reflektory paplającej maszyny pogasły, tak jak i wiele lamp ulicznych. Zobaczyłem zdesperowanych, biegających ludzi, porzucony rower, żołnierza z maską na twarzy, który strzelał w powietrze...

A trochę dalej dostrzegłem pionowy snop jaskrawego światła, na tle którego unosiły się drobinki kurzu. Słup światła obejmował skrzyżowanie ulic, domy i narożnik Hyde Parku. Ludzie stali w jego blasku, mrugając jak sowy i osłaniając twarze rękami.

Jaskrawy snop był światłem dziennym. W kopule powstała wyrwa.

Napaść Niemców na Londyn

Drzwi wyjściowe wisiały na zawiasach, najwidoczniej wyrwane pod wpływem wstrząsu. Zniknęli żołnierze, którzy nas strzegli – nawet wierny Puttick. Przed domem na Terrace usłyszeliśmy stukot szybkich kroków, wrzaski i gniewne krzyki oraz pisk gwizdków. Poczuliśmy zapach kurzu, dymu i kordytu. Wycinek jaskrawego i ostrego światła czerwcowego dnia zawisł nad wszystkim. Mieszkańcy pokrytego skorupą Londynu mrugali jak zaniepokojone sowy, zaskoczeni i przerażeni.

Moses poklepał mnie po ramieniu.

– Ten chaos nie potrwa długo. Teraz mamy szansę.

– Dobrze. Przyprowadzę Nebogipfela i Filby’ego, a pan niech zabierze jakieś zapasy z domu...

– Zapasy? Jakie?

Zirytowałem się. Jakiż głupiec wyruszałby w czas, nie mając nic oprócz szlafroka i pantofli?

– Świeczki – wyjaśniłem mu. – I zapalki! Tyle, ile zdoła pan znaleźć. Przyda się każdy rodzaj broni, nawet nóż kuchenny, jeśli nie będzie nic lepszego. – Zastanawiałem się, co jeszcze. – Kamforę, jeśli jest. Bieliznę! Niech pan to wepchnie sobie nawet do kieszeni...

Skinął głowę.

– Rozumiem. Zapakuję to wszystko do tornistra.

Odwrócił się od drzwi i ruszył do kuchni.

Pognałem do palarni. Nebogipfel już założył szkolną czapkę. Zebrał swoje notatki i wsuwał je do tekturowej teczki. Filby – biedny staruszek! – klęczał pod ramą okienną. Przycisnął kolana do zapadłej piersi i zakrył twarz rękoma, jakby przyjął obronną pozycję boksera.

Uklęknąłem przed nim.

– Filby, stary przyjacielu... – Wyciągnąłem do niego rękę, ale odsunął się ode mnie. – Musisz z nami pójść. Tu nie jest bezpiecznie.

– Bezpiecznie? A z wami będzie bezpieczniej? Ty... magiku, ty szarlatan. – Jego oczy, zażawione od kurzu, błyszczały jak okienne szyby i obrzucił mnie tymi słowami, jakby to była najcięższa obelga, jaką można sobie wyobrazić. – Pamiętam cię... kiedy przestraszyłeś nas wszystkich na śmierć tą swoją upiorną sztuczką, w tamto Boże Narodzenie. Nie dam się oszukać po raz drugi!

Powstrzymałem się, by nim nie potrząsnąć.

– Pomyśl logicznie, człowieku! Podróżowanie w czasie to nie żadna sztuczka... i na pewno nie jest nią też ta wasza zażarta wojna!

Poczułem dotyk na ramieniu. To była ręka Nebogipfela; jego blade palce wydawały się jarzyć w odpryskach światła wpadającego przez okno.

– Nie możemy mu pomóc – powiedział łagodnie.

Filby ukrył głowę w drżących rękach poznaczonych wątrobowymi plamami i byłem przekonany, że już mnie nie słyszy.

– Przecież nie możemy go tak zostawić!

– A co zrobisz? Sprowadzisz go z powrotem do roku 1891? 1891 rok, ten który pamiętasz, już nawet nie istnieje... może jedynie w jakimś nieosiągalnym wymiarze.

Do palarni wpadł Moses z małym, wypchanym plecakiem w rękę. Założył epolety i do pasa miał przypiętą maskę przeciwgazową.

– Jestem gotowy – wysapał. Nebogipfel i ja nie odpowiedzieliśmy od razu i Moses po kolei na nas spojrzał. – o co chodzi? Na co czekacie?

Wyciągnąłem rękę i uściśnąłem ramię Filby'ego. Przynajmniej nie wzbraniał się i uznałem to za ostatnią, szczątkową oznakę przyjaźni między nami.

Już nigdy więcej go nie widziałem.

Wyjrzeliśmy na ulicę. Zgodnie z moimi wspomnieniami była to względnie spokojna część Londynu, ale dzisiaj ludzie tłoczyli się na Queen's Gate Terrace, biegając, potykając się i wpadając na siebie. Mężczyźni i kobiety po prostu wylewali się z domów i miejsc pracy. Większość z nich nosiła maski przeciwgazowe, ale na twarzach, które zdołałem dojrzeć, zobaczyłem ból, cierpienie i strach.

Wszędzie widać było dzieci – przeważnie w szarawych mundurkach szkolnych, z małymi maskami przeciwgazowymi dopasowanymi do twarzy – gdyż szkoły najwidoczniej pozamykano. Dzieci włóczyły się po ulicy, wołając rodziców. Wyobraziłem sobie udrękę matki szukającej dziecka w olbrzymim mrowisku, którym stał się Londyn i wzdrygnąłem się na tę myśl.

Niektórzy ludzie dźwigali atrybuty roboczego dnia: aktówki

i torebki, znajome i bezużyteczne, a inni już zapakowali swój dobytek i nieśli go w wypchanych walizach lub tobołkach sporządzonych z zasłon i prześcieradeł. Zobaczyliśmy jednego chudego, energicznego człowieka, który potykał się, pchając ogromny kredens kuchenny wypełniony bez wątpienia cennymi przedmiotami i wsparty na kierownicy oraz siodełku roweru. Koło roweru obijało się o plecy i nogi ludzi idących przed nim.

– Dalej! Naprzód! – wołał ten człowiek.

Nie dostrzegłem żadnych przedstawicieli władz, nikt nie panował nad tym chaosem. Jeżeli byli tam policjanci lub żołnierze, musieli zostać zasypani lub zdarli odznaki i przyłączyli się do tłumu. Jakiś człowiek w mundurze Armii Zbawienia stał na schodach i wrzeszczał:

– Wieczność! Wieczność!

– Proszę spojrzeć. – Moses wskazał ręką. – Wyrwa w kopule biegnie w kierunku wschodnim, ku Stepney. To tyle, jeżeli chodzi o niezniszczalność tej cudownej kopuły!

Miał rację. Wyglądało to tak, jakby potwornie silna bomba zrobiła olbrzymią dziurę w betonowej skorupie, blisko horyzontu na wschodzie. Ponad tym głównym uszkodzeniem kopuła pękła niczym skorupka jajka i widać było wielką, koślawą wstęgę błękitnego nieba, która ciągnęła się aż do punktu znajdującego się bezpośrednio nad moją głową. Dostrzegłem, że to jeszcze nie koniec, gdyż gruzy – niektóre wielkości domów – spadały na cały ten obszar miasta, i wiedziałem, że zniszczenia na ziemi i straty w ludziach muszą być olbrzymie.

W oddali – chyba na północy – usłyszałem serię głuchych, dudniących odgłosów podobnych do kroków jakiegoś olbrzyma. Wycie syren rozdarło powietrze, a pękająca nad nami kopuła głośno skrzypiała.

W wyobraźni spojrzałem z powierzchni kopuły na Londyn, który w ciągu kilku sekund przekształcił się z wylęknętego, lecz funkcjonującego miasta, w siedlisko chaosu i przerażenia. Na wszystkich drogach prowadzących na zachód, północ lub południe, z dala od wylomu w kopule, utworzyły się łańcuchy uchodźców, a każdym ogniwem tych łańcuchów był człowiek, znikoma część fizycznego cierpienia i nieszczęścia – czy to zagubione dziecko, czy małżonek lub rodzic, którzy stracili bliskie osoby.

Moses musiał przekrzyczeć hałas na ulicy.

– Ta przeklęta kopuła lada chwila zwali się na nas wszystkich!

– Wiem. Musimy dotrzeć do Imperial College. Chodźcie, rozpychajcie się łokciami! Nebogipfelu, pomagaj nam w miarę możliwości.

Wyszliśmy na środek zatłoczonej ulicy. Musieliśmy iść na wschód, pod prąd. Oślepiiony przez światło dzienne Nebogipfel został prawie przewrócony przez biegnącego mężczyznę o okrągłej twarzy, który ubrany był w roboczy garnitur i miał epolety na ramionach. Mężczyzna pogroził Morlokowi pięścią. Po tym incydencie Moses i ja ustawiliśmy Nebogipfela między sobą i trzymaliśmy go mocno za chude ramiona. Zderzyłem się z rowerzystą, który nieomal spadł z roweru. Wrzasnął na mnie i machnął kościstą pięścią. Zrobiłem unik. Rowerzysta, z krawatem przewieszonym przez ramię, ruszył chwiejnie w dalszą drogę, wjeżdżając w tłum ludzi za mną. Teraz natknęliśmy się na grubą kobietę, która z trudem wycofywała się w górę ulicy, wlokąc za sobą zwinięty dywan. Miała spódnicę zadartą nad kolana, a jej łydki pokryte były smugami kurzu. Co kilka metrów inni uchodźcy przydeptywali jej dywan lub przejeżdżali po nim rowerzyści i kobieta potykała się. Przez gogle

maski widziałem łzy, które płynęły jej z oczu, kiedy zmagala się z tym absurdalnym, nieporęcznym przedmiotem, który był dla niej tak ważny.

Gdy widziałem twarz człowieka, nie było tak źle, gdyż czułem więz z tym urzędnikiem o zaczerwienionych oczach, czy tamtą zmęczoną ekspedientką, natomiast w maskach przeciwgazowych i w tamtym na przemian jasnym i przyćmionym świetle tłum był anonimowy i przypominał rój owadów. Poczulem się, jakby jeszcze raz przetransportowano mnie z Ziemi na jakąś odległą planetę koszmarów.

Rozległ się nowy dźwięk – cienki, przenikliwy gwizd przeszył powietrze. Wydawało mi się, że dochodzi z tamtej wyrwy na wschodzie. Otaczający nas ludzie przestali się przepychać, jakby nasłuchując, co to jest. Moses i ja spojrzeliśmy po sobie, nie wiedząc, co ten nowy, groźny dźwięk oznacza.

Potem gwizd ucichł.

W grobowej ciszy ktoś wykrzyknął:

– Pocisk! To przeklęty pocisk...

Teraz domyśliłem się, co oznaczały tamte odległe kroki olbrzyma na północy: salwy artylerii.

Cisza została przerwana. Wokół nas wybuchła panika, jeszcze straszliwsza niż dotychczas. Wyciągnąłem rękę nad Nebogipfelem i chwyciłem Mosego za ramię. Bezceremonialnie zepchnąłem ich obu na ziemię. Potem zakryła nas warstwa ciepłych, wijących się ciał ludzkich. W tamtej ostatniej chwili, kiedy uderzyły mnie w twarz kończyny innych ludzi, usłyszałem cienki głos członka Armii Zbawienia, który nadal wykrzykiwał:

– Wieczność! Wieczność!

Potem nastąpił błysk, którego jasność dotarła nawet pod warstwę zwalonych na siebie ciał, i ziemia zadrżała. Zostałem

wyrzucony w górę – zderzyłem się głową z innym człowiekiem –
po czym upadłem z powrotem na ziemię i straciłem na chwilę
przytomność.

Bombardowanie

Ocknąłem się i zobaczyłem, że Moses chwycił mnie pod pachy i wyciąga spod leżących ciał. Stopa zaplątała mi się w coś – chyba ramę roweru – i krzyknąłem. Moses dał mi chwilę czasu, bym uwolnił nogę, a potem oswobodził mnie.

– Nic się panu nie stało?

Dotknął mojego czoła koniuszkami palców i pozostała na nich krew. Zobaczyłem, że zgubił plecak.

Byłem oszołomiony i wydawało mi się, że ogromny ból tylko czyha, by zaatakować moją głowę. Wiedziałem, że kiedy minie mi to chwilowe odrętwienie, faktycznie będę cierpiał. Nie było jednak czasu.

– Gdzie Nebogipfel? – zapytałem.

– Tutaj.

Morlok stał na ulicy, nie doznał żadnych obrażeń. Stracił jednak czapkę, a jego gogle znaczyła siateczka pęknięć po uderzeniu jakiegoś odłamka. Jego notatki wskutek rozerwania teczki leżały porozrzucane i Nebogipfel obserwował, jak podmuch wiatru porywa kartki.

Wskutek wybuchu i wstrząsu ludzie byli rozrzućeni jak kręgle. Leżeli wokół nas w niewygodnych pozycjach, zwaleni na siebie, z wyciągniętymi ramionami, poskręcanyimi stopami, otwartymi ustami, wytrzeszczonymi oczami; starzy przykrywali ciała młodych kobiet, jakieś dziecko spoczywało na plecach żołnierza.

Powstało spore poruszenie i rozległo się wiele jęków, kiedy ludzie z trudem usiłowali wstać. Przyszła mi na myśl gromada owadów, które wiją się jedno na drugim. Tu i ówdzie zobaczyłem plamy krwi, ciemne na tle ciał i ubrań.

– Mój Boże – powiedział Moses z przejęciem. – Musimy pomóc tym ludziom. Czy pan widzi...?

– Nie – warknąłem. – Nie możemy. Jest ich zbyt wielu. Nie możemy nic zrobić. Mamy szczęście, że żyjemy. Czy pan tego nie rozumie? Teraz, gdy działa mają odpowiedni zasięg... Chodźmy! Musimy się trzymać planu. Musimy stąd uciec i wyruszyć w czas.

– Nie mogę tego znieść – jęknął Moses. – Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

Podszedł do nas Morlok.

– Obawiam się, że zobaczymy jeszcze gorsze widoki, nim to pańskie stulecie dobiegnie końca – oznajmił ponuro.

Ruszyliśmy. Szliśmy chwiejnie drogą, która zrobiła się śliska od krwi i odchodów. Minęliśmy jęczącego, bezradnego chłopca, który najwidoczniej miał strzaskaną nogę. Pomimo moich wcześniejszych upomnień Moses i ja nie mogliśmy zignorować jego rozdzierającego płaczu i wołania o pomoc. Leżał obok zwłok mleczarza. Podnieśliśmy go i posadziliśmy przy ścianie. Z tłumu wynurzyła się jakaś kobieta, zobaczyła cierpienie chłopca i podeszła do niego. Zaczęła wycierać jego twarz chusteczką.

– Czy to jego matka? – zapytał mnie Moses.

– Nie wiem. Ja...

Za naszymi plecami rozległ się ten dziwny, płynny głos, przypominający wezwanie z innego świata.

– Chodźcie już.

Poszliśmy dalej i w końcu dotarliśmy do narożnika Queen's Gate Terrace. Najwyraźniej było to epicentrum wybuchu.

– Przynajmniej nie ma gazu – odezwałem się.

– Tak – powiedział Moses podenerwowany. – Ale... O Boże!... To i tak wystarcza!

W nawierzchni drogi wyżłobiony był krater o szerokości kilku stóp. Drzwi domów zostały wepchnięte do środka i ani jedno okno nie pozostało w nienaruszonym stanie. Zasłony zwisały bezużytecznie. W chodnikach i ścianach widniały pomniejsze kratery, które powstały wskutek uderzeń odłamków.

A ludzie...

Czasami język nie jest w stanie oddać całej grozy sytuacji, czasami przekazywanie zapamiętanych wydarzeń, które stanowi podstawową cechę naszego społeczeństwa, jest niemożliwe. To była właśnie jedna z takich sytuacji. Nie mogłem przekazać grozy tej londyńskiej ulicy nikomu, kto tego nie widział.

Były tam poodrywane głowy. Jedna leżała sobie wygodnie na chodniku obok małej walizki. Wszędzie wały się urwane ręce i nogi, przeważnie w ubraniu. W jednym miejscu zobaczyłem wyciągnięte ramię z zegarkiem na rękę – zastanawiałem się, czy zegarek nadal działa! – a w innym, niedaleko krateru, oderwaną dłoń z podwiniętymi do góry palcami przypominającymi płatki kwiatu. Taki opis wydaje się absurdalny, niemal komiczny! Nawet w tamtej chwili musiałem się zmuszać, by pamiętać, że z tych oderwanych części ciała kilka minut temu składały się świadome istoty ludzkie, z których każda miała własne życie i nadzieje. Ale te szczątki stygnącego ciała wydawały mi się nie bardziej ludzkie od kawałków rozszarpanego roweru, które widziałem porzrucane na ulicy.

Nigdy przedtem nie widziałem niczego podobnego. Czuję się odseparowany od tego wszystkiego, jakbym poruszał się w krajobrazie ze snu. Wiedziałem jednak, że w głębi duszy

zawsze będę powracał do tej rzezi. Przypomniałem sobie Wnętrze Sfery Morloków i wyobraziłem ją sobie jako czasę wypełnioną milionami miejsc grozy i cierpienia, z których każde było równie straszne jak to. I myśl, że takie szaleństwo mogło przytrafić się Londynowi – mojemu Londynowi – zadała mi udrękę, która wywołała autentyczne uczucie bólu w gardle.

Moses był blady, a jego skóra pokryta lśniąca warstwą potu zmieszanego z kurzem. Rozglądał się szeroko rozwartymi oczami. Spojrzałem na Nebogipfela. Jego duże oczy, ukryte za goglami, patrzyły bez mrugnięcia powiek na tę straszną rzeź. Zastanawiałem się, czy nie zaczyna czasem podejrzewać, że przenieśliem go nie do przeszłości, lecz do jakiegoś niższego piętra piekła.

Mina rotacyjna

Z trudem przebrnęliśmy ostatnie kilkadziesiąt jardów do murów Imperial College. Ku mojemu przerażeniu zobaczyliśmy, że drogę zagradza nam zamaskowany żołnierz z karabinem. Odważny, ale najwyraźniej pozbawiony wyobraźni, pozostał na posterunku, podczas gdy ulica przed nim spływała krwią. Na widok Nebogipfela otworzył szeroko oczy ukryte za ochronnymi okularami.

Nie rozpoznał mnie i zdecydowanie odmówił nam przejścia bez odpowiedniego upoważnienia.

W powietrzu rozległ się kolejny gwizd. Wszyscy skuliliśmy się – nawet żołnierz przycisnął broń do piersi jak totemiczną tarczę – ale tym razem pocisk spadł w znacznej odległości od nas. Nastąpił błysk, rozległ się brzęk tłuczonego szkła i zadrżała ziemia.

Moses podszedł do żołnierza z zaciśniętymi pięściami. Rozpacz z powodu bombardowania przekształciła się u niego w złość.

– Słyszałeś to, ty przeklęty fagasio w mundurze?! – ryknął. – I tak wszystko ogarnął chaos! Czego strzeżesz? Jaki to ma jeszcze sens? Czy nie widzisz, co się dzieje?

Strażnik wycelował karabin w pierś Mosesa.

– Ostrzegam cię, kolego...

– Nie, on tego nie widzi.

Stanąłem między Mosesem i żołnierzem. Przeraził mnie

ewidentny brak samokontroli u niego, bez względu na przenikającą go rozpacz i smutek.

– Może znajdziemy inną drogę – odezwał się Nebogipfel. – Jeżeli mury college’u są podziurawione...

– Nie – oświadczyłem z determinacją. – To droga, którą znam. Podszedłem do żołnierza.

– Posłuchaj, żołnierzu, nie mam upoważnienia, by tu wejść, ale mogę cię zapewnić, że odgrywam ważną rolę w tej wojnie.

Żołnierz zwięził oczy.

– Zadzwoń – upierałem się. – Poślij po doktora Wallisa. Lub profesora Gödela. Poręczą za mnie, jestem tego pewien! Przynajmniej sprawdź, proszę.

W końcu – z wycelowaną w nas bronią – żołnierz cofnął się w drzwiach i zdjął lekką słuchawkę telefoniczną ze ściany.

Przeprowadzenie rozmowy zabrało mu kilka minut. Czekałem z narastającą udręką. Nie mogłem znieść myśli, że moja ucieczka w czas nie dojdzie do skutku z takiego błahego powodu – po pokonaniu tylu dotychczasowych przeszkód! W końcu powiedział niechętnie:

– Macie iść do biura doktora Wallisa.

Po tym oświadczeniu dzielny żołnierz odsunął się na bok i weszliśmy, pozostawiając za sobą chaos panujący na ulicy i wkraczając do dość spokojnego wnętrza Imperial College.

– Zgłosimy się u pana Wallisa – powiedziałem mu. – Proszę się nie martwić. Dziękuję!

Wkroczyliśmy w labirynt krytych tuneli, które już wcześniej opisałem.

Moses odetchnął z ulgą.

– Takie to już nasze szczęście – powiedział – że trafiliśmy na jedyne go żołnierza w całym przeklętym Londynie, który nie

zszedł z posterunku! Beznadziejny głupiec...

– Jak może się pan tak pogardliwie o nim wyrażać? – warknąłem. – To zwykły człowiek, który jak najlepiej stara się wykonywać swoje obowiązki w trakcie tego całego... szaleństwa, do którego nie przyłożył ręki! Czegóż jeszcze pan chce od człowieka?

– A co z wyobraźnią? Ze sprytem, inteligencją, inicjatywą...

Zatrzymaliśmy się, stając twarzą w twarz.

– Panowie – odezwał się Nebogipfel. – Czy to odpowiednia pora na takie spory?

Spojrzelśmy obaj na Morloka, a potem na siebie. Dostrzegłem w twarzy Moseśa strach połączony z bezbronnością, którą ukrył pod maską gniewu. W jego oczach malował się wyraz przerażenia. Skinąłem do niego głową, próbując go uspokoić.

Po chwili odsunęliśmy się od siebie.

– Oczywiście, ty się nigdy nie spierasz, prawda, Nebogipfelu? – zapytałem, próbując rozładować napięcie.

– Tak – odparł lekkim tonem Morlok. – Po prostu to nie leży w mojej naturze.

Ruszyliśmy pospiesznie w dalszą drogę. Dotarliśmy do głównego biurowca i zaczęliśmy szukać pokoju Wallisa. Szliśmy korytarzami wyłożonymi dywanem, mijając rzędy drzwi z mosiężnymi tabliczkami. Światła nadal się paliły – przypuszczałem, że College ma własne, zabezpieczone źródło energii elektrycznej – a dywan tłumił odgłos naszych kroków. Nie zauważyliśmy nikogo w pobliżu. Drzwi do niektórych biur były otwarte i widać było oznaki pospiesznej ucieczki, takie jak rozlana herbata, papieros dopalający się w popielniczce, papiery porozrzucone po całej podłodze.

Trudno było uwierzyć, że w odległości zaledwie

kilkudziesięciu jardów od tego miejsca dokonywano rzezi!

Doszliśmy do otwartych drzwi, z których wydobywało się migotliwe, niebieskawe światło. Kiedy stanęliśmy w wejściu, jedyna osoba zajmująca to pomieszczenie – Wallis – siedziała na rogu biurka.

– Ach... to pan. Nie spodziewałem się pana ponownie zobaczyć.

Na jego nosie tkwiły okulary w drucianej oprawce i był ubrany w tweedową marynarkę, pod którą zwisał wełniany krawat. Miał przyczepiony jeden epolet, a jego maska przeciwgazowa leżała obok niego na biurku. Najwyraźniej przygotowywał się do ewakuacji z budynku wraz z resztą pracowników, ale postanowił pozostać chwilę dłużej.

– To tragiczna sprawa – powiedział. – Tragiczna!

Spojrzał na nas uważnie.

– Dobry Boże, jesteście w okropnym stanie!

Weszliśmy do pokoju i zobaczyłem, że migotanie pochodzi z ekranu małego pudełka ze szklaną taflą na przodzie. Na ekranie widać było dość ziarnisty obraz odcinka rzeki, przypuszczalnie Tamizy.

Moses pochylił się do przodu, opierając ręce na kolanach, żeby lepiej zobaczyć mały aparat.

– Ostrość jest dość kiepska – stwierdził – ale to zupełna nowość.

Pomimo pośpiechu mnie również zaintrygowało to urządzenie. Najwidoczniej była to zdolna do przekazywania obrazów, udoskonalona wersja fonografu, o której wspominał Filby.

Wallis nacisnął przełącznik na biurku i obraz się zmienił. Widać było tę samą rzekę, która wiała się pośród rozmaitych budowli, ale w trochę jaśniejszym świetle.

– Proszę spojrzeć – powiedział. – Oglądam ten film w kółko od chwili, kiedy to się stało. Naprawdę nie mogę uwierzyć własnym oczom... No cóż, jeśli my potrafimy wyobrazić sobie takie rzeczy, to przypuszczam, że oni też!

– Kto? – zapytał Moses.

– Oczywiście Niemcy. Przekłęci Niemcy! Spójrzcie. To widok z kamery umieszczonej na szczycie kopuły. Mamy widok na wschód, poza Stepney. Widać krzywiznę rzeki. A teraz popatrzcie tutaj. Oto nadlatuje...

Zobaczyliśmy latającą maszynę, czarny pojazd w kształcie krzyża, który sunął nisko nad lśniąca rzeką. Zbliżał się od wschodu.

– Rozumiecie, niełatwo jest zbombardować kopułę – wyjaśnił Wallis. – Rzecz jasna o to właśnie chodzi. Cała konstrukcja to solidna robota murarska, trzyma się w kupie zarówno dzięki grawitacji, jak i stali. Wszelkie małe wyrwy same się zasklepiają...

Teraz latająca maszyna upuściła mały przedmiot w kierunku wody. Obraz był niewyraźny, ale przedmiot przypominał kształtem walec i błyszczał w świetle słonecznym, jakby wirował podczas spadania.

– W zasadzie odłamki po wybuchu w powietrzu po prostu odbijają się od betonu – ciągnął Wallis. – Nawet bomba upuszczona bezpośrednio na powierzchnię kopuły nie może w normalnych przypadkach wyrządzić jej szkody, ponieważ zbyt duża część siły wybuchu rozchodzi się w powietrzu. Widzicie? Ale istnieje jeden sposób. Wiedziałem! Mina rotacyjna, czyli torpeda powierzchniowa... Sam złożyłem taki projekt, ale nie przeszedł, a ja nie miałem siły przebicia, tak jak w przypadku Wojny z Wykorzystaniem Skoków w Czasie... Jak widzicie,

w miejscu zetknięcia się kopuły z rzeką pancierz sięga pod powierzchnię wody. Ma to na celu zapobiec atakowi okrętów podwodnych i tak dalej. Z punktu widzenia konstrukcji całość przypomina tamę. Jeśli uda się umieścić bombę w pobliżu części kopuły, która znajduje się pod wodą... – Wallis rozłożył duże ręce uczonego, by to pokazać – ...wówczas woda okaże się pomocą, gdyż skumuluje siłę wybuchu i skieruje ją w kopułę.

Na ekranie przedmiot – niemiecka bomba – uderzył w wodę i odbił się od niej, wzbijając mgłę srebrzystych kropli, a następnie pomknął dalej w kierunku kopuły, podskakując na powierzchni wody. Latająca maszyna przechyliła się w prawo i odleciała z wdziękiem, pozostawiając za sobą minę rotacyjną, która w podskokach posuwała się w kierunku kopuły.

– Ale jak dokładnie nakierować bombę do takiego niedostępnego miejsca? – zastanawiał się Wallis. – Nie można jej ot tak, po prostu upuścić. Nie trafi do celu... Przy spuszczeniu miny nawet z niewielkiej wysokości, powiedzmy piętnastu tysięcy stóp, krzyżujące się wiatry o prędkości zaledwie dziesięciu mil na godzinę spowodują niedokładność rzędu dwustu jardów.

– Potem jednak przyszło mi do głowy rozwiązanie – kontynuował po chwili. – Wystarczy nadać bombie odwrotny pęd wirowy i będzie się ona mogła odbijać od wody. Niewielką liczbą eksperymentów można ustalić prawa rządzące rykoszetem i zapewnić dokładność trafienia... Czy mówiłem wam o moich eksperymentach związanych z tym zjawiskiem, które przeprowadziłem w domu przy użyciu szklanych kulek mojej córki? Mina zbliża się w podskokach do podstawy kopuły, a potem ześlizguje się po jej powierzchni pod wodę, aż dociera na wymaganą głębokość... I oto znajduje się w doskonałym

położeniu!

Rozpromienił się. Z grzywą siwych włosów i w przekrzywionych okularach wyglądał na dobrego wujaszka.

Moses zmrużył oczy, przyglądając się niewyraźnym obrazom.

– Ale wygląda mi na to, że tej bombie się nie powiedzie... Na pewno po tych podskokach utraci swoją... ach.

Teraz z tylnej części miny rotacyjnej buchnął dym, bardzo jasny, nawet na kiepskim ekranie. Bomba ruszyła po wodzie jakby z nową siłą.

Wallis uśmiechnął się.

– Ci Niemcy... Jestem pełen podziwu. Nawet ja nigdy nie pomyślałem o tym drobiazgu...

Z nadal płonącym silnikiem rakietowym mina rotacyjna ześlizgnęła się po łukowatej powierzchni kopuły i zniknęła z pola widzenia kamery. A potem obraz zadrżał i na ekranie pojawiły się bezkształtne plamy niebieskiego światła.

Barnes Wallis westchnął.

– Wygląda na to, że nas załatwili.

– A co z niemieckim bombardowaniem? – zapytał Moses.

– Działa? – Wallis wydawał się mało zainteresowany. – To prawdopodobnie lekkie działa czterdziestodwumilimetrowe o zasięgu stu pięciu mil, zrzucone przez oddziały desantowe. Jestem pewien, że to zapowiada inwazję morską i powietrzną.

Zdjął okulary i zaczął je czyścić krawatem.

– Jeszcze nie jesteśmy przegrani. Ale to tragiczna sytuacja. Jest rzeczywiście bardzo kiepsko...

– Doktorze Wallis – powiedziałem. – A co z Gödelem?

– Z kim? – Spojrzał na mnie dużymi, zmęczonymi oczami. – Ach, Gödel. Jak to co?

– Czy on tu jest?

– Tak myślę. W swoim biurze.

Moses i Nebogipfel ruszyli do drzwi. Moses pokazał mi ze zniecierpliwieniem, że powinienem z nimi pójść. Uniosłem rękę.

– Doktorze Wallis, czy nie pójdzie pan z nami?

– Po co?

– Możemy zostać zatrzymani, nim dotrzemy do Gödela. Musimy go znaleźć.

Roześmiał się i założył z powrotem okulary.

– Nie wydaje mi się, by względy bezpieczeństwa miały jeszcze jakiegokolwiek znaczenie. Czy pan jest odmiennego zdania? W każdym razie, proszę to wziąć. – Sięgnął ręką do klapy marynarki i odpiął znaczek z numerem. – Proszę powiedzieć, że daję wam upoważnienie, o ile spotkacie kogokolwiek na tyle obłąkanego, by nadal stał na posterunku.

– Mógłby się pan zdziwić – powiedziałem z emocją.

– Słucham?

Odwrócił się z powrotem do odbiornika telewizyjnego. Teraz widać było na ekranie różne, przypadkowe sceny, które najwyraźniej docierały z kamer rozmieszczonych w całej kopule. Zobaczyłem latające maszyny wznoszące się w powietrze niczym czarne komary oraz pokrywy ziemne, które odsunięto, ukazując chmarę molochów wysuwających się z trudem z ziemi i plujących parą. Molochy ustawiły się w szeregu, który ciągnął się od Leytonstone do Bromley. Cała ta horda ruszyła naprzód, rozkopując ziemię, by wyjść na spotkanie niemieckim najeźdźcom. Potem jednak te obrazy apokalipsy zniknęły, kiedy Wallis nacisnął przełącznik i odtworzył ponownie zapis ataku miny rotacyjnej.

– Tragiczna sprawa – powiedział. – Mogliśmy ją mieć pierwsi! Ale cóż to za cudowny postęp... Nawet ja nie byłem pewny, czy

można tego dokonać.

Utkwił wzrok w ekranie, a z jego oczu nie można było niczego wyczytać, gdyż odbijały się w nich migoczące obrazy.

Tak go pozostawiłem. Doznając dziwnego uczucia litości, cicho zamknąłem drzwi jego biura.

Kurt Gödel stał z założonymi rękami przy nie zasłoniętym oknie w swoim biurze.

– Przynajmniej nie ma jeszcze gazu – powiedział bez wstępu. – Kiedyś widziałem skutki ataku gazowego. Tak się składa, że była to napaść angielskich bombowców na Berlin. Szedłem ulicą Unter der Linden i Sieges Allee i tam to zobaczyłem... To było takie niegodne! Wie pan, ciało psuje się tak szybko. – Odwrócił się i uśmiechnął do mnie smutno. – Gaz jest bardzo demokratyczny, nie uważa pan?

Podszedłem do niego.

– Profesorze Gödel, proszę... Wiemy, że ma pan trochę plattnerytu. Widziałem go.

W odpowiedzi podszedł żwawo do szafy. Mijając Nebogipfela w odległości zaledwie trzech stóp, Gödel nawet na niego nie spojrzał. Z wszystkich ludzi, których spotkałem w roku 1938, Gödel reagował najbardziej obojętnie na Morloka. Wyjął z szafy szklany słoik z substancją, która lśniła zielono i wydawała się zatrzymywać światło.

– To plattneryt – wysapał Moses.

– W rzeczy samej. Nadzwyczajnie łatwy do uzyskania drogą syntezy z karolinu – jeśli ktoś zna receptę i ma dostęp do reaktora jądrowego, by napromieniować substancję.

W jego oczach pojawiły się figlarne błyski.

– Chciałem, żeby pan go zobaczył – powiedział do mnie. – Miałem nadzieję, że pan go rozpozna. Z rozkoszną łatwością ucieram nosa pompatycznym Anglikom, którzy potworzyli te swoje wszystkie Rady, a nie potrafiliby rozpoznać skarbu, nawet gdyby go mieli pod nosem! A teraz dzięki niemu wydostanie się pan z tego padołu łez, czyż nie?

– Mam nadzieję – odrzekłem z zapalem.

– A zatem chodźmy! – krzyknął. – Do warsztatu PPC.

Uniósł słoik z plattnerem, trzymając go w powietrzu jak latarnię, i wyprowadził nas z biura.

Jeszcze raz weszliśmy do labiryntu betonowych korytarzy. Wallis miał rację: wszyscy strażnicy opuścili posterunki. Choć natknęliśmy się na kilku naukowców lub może techników w białych kitlach, którzy przemierzali pospiesznie korytarze, żaden z nich nie próbował nas zatrzymać, czy nawet zapytać, dokąd idziemy.

A potem rozległ się huk od uderzenia kolejnego pocisku.

Światła elektryczne zgasły, a korytarz zatrzęsł się i przewróciłem się na ziemię. Uderzyłem twarzą w zakurzoną podłogę. Z nosa zaczęła mi cieknąć ciepła krew – moja twarz musiała już wtedy okropnie wyglądać – i poczułem, jak jakieś lekkie ciało, chyba Nebogipfela, zderzyło się z moją nogą.

Drżenie fundamentów ustało po kilku sekundach, ale światła się nie zapaliły.

Dostałem ataku kaszlu, gdyż w powietrzu unosiło się sporo betonowego pyłu, i odżył we mnie dawny paniczny strach przed ciemnością. Potem usłyszałem syk zapalanej zapalniczki, dostrzegłem szeroką twarz Moseesa, który przyłożył zapalniczkę do knota świeczki. Uniósł świeczkę, osłaniając płomień dłonią. Żółte

światło rozlało się w korytarzu. Moses uśmiechnął się do mnie.

– Zgubiłem plecak, ale przezornie włożyłem do kieszeni trochę zapasów, które zalecał pan wziąć – wyjaśnił.

Gödel wstał trochę sztywno. Z ulgą zauważyłem, że tuli plattneryt do piersi, a słoik nie uległ uszkodzeniu.

– Przypuszczam, że ten pocisk musiał spaść na terenie College'u. Możemy się cieszyć, że żyjemy, bo te mury mogły z łatwością na nas runąć.

Poszliśmy dalej mrocznymi korytarzami. Dwukrotnie drogę zagraadzały nam gruzy, ale przy odrobinie wysiłku zdołaliśmy przez nie przejść. Straciłem całkowicie orientację, ale Gödel, który szedł przede mną ze słoikiem jarzącego się plattnerytu pod pachą, posuwał się pewnie naprzód.

Po kilku minutach dotarliśmy do przybudówki, którą Wallis nazwał Działem Rozwoju PPC. Moses uniósł świeczkę wyżej i światło rozeszło się w wielkim warsztacie. Z wyjątkiem braku świateł i jednego długiego, krętego pęknięcia, które biegło po przekątnej na suficie, warsztat pozostał mniej więcej w takim stanie, w jakim go zapamiętałem. Wszystkie przedmioty charakterystyczne dla warsztatu: części silników, zapasowe koła i gąsienice, kanistry z olejem i paliwem, szmaty i kombinezony, leżały na całej podłodze. Z wielokrążków przymocowanych do uchwyty na suficie zwisały łańcuchy, które rzucały długie, zawiłe cienie. Na środku podłogi dostrzegłem kubek nie dopitej herbaty, który najwyraźniej ustawiono tam celowo. Powierzchnię napoju pokrywała cienka warstwa betonowego pyłu.

Na środku stał prawie ukończony samochód czasu; jego poszycie ze spiżu armatniego lśniło w świetle świeczki Mosesa. Moses podszedł do pojazdu i przesunął ręką po obrzeżu

pudełkowatej kabiny dla pasażerów.

– I to jest właśnie to?

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

– Szczyt techniki lat trzydziestych. Wallis nazwał go „uniwersalnym transporterem.”

– Nie jest zbyt elegancki – stwierdził Moses.

– Chyba nie chodzi tu o elegancję – powiedziałem. – To broń do celów wojskowych, a nie statek wycieczkowy czy pojazd naukowo-badawczy.

Gödel zbliżył się do samochodu czasu, postawił słoik z plattnerytem na podłodze i zabrał się do odkręcania jednego ze stalowych pojemników przy spawanych do kadłuba pojazdu. Zacisnął ręce wokół dużej nakrętki i stęknął z wysiłku, ale nie mógł jej ruszyć. Odsunął się zdyszany.

– Musimy naładować kadłub plattnerytem – wyjaśnił. – Albo...

Moses postawił świeczkę na półce, przejrzał stosy narzędzi i przyniósł duży klucz francuski.

– Spróbuję tym otworzyć – zaproponował.

Zacisnął klucz wokół nakrętki i z pewnym wysiłkiem odkręcił ją.

Gödel wziął słoik i wlał plattneryt do pojemnika. Moses obszedł samochód czasu, odkręcając nakrętki pozostałych pojemników.

Podszedłem do tylnej części pojazdu, gdzie znalazłem drzwi zabezpieczone metalowym kołkiem. Wyjąłem kołek, opuściłem klapę i wszedłem do kabiny. W środku były dwie drewniane ławki, obie dość szerokie, by pomieścić po dwie lub trzy osoby, oraz pojedyncze składane siedzenie na przodzie, przed którym znajdowało się okno w kształcie szczeliny. Usiadłem na składanym siedzeniu dla kierowcy.

Przede mną była prosta kierownica – położyłem na niej rękę – oraz mały pulpit sterowniczy wyposażony w tarcze, przełączniki, dźwignie i gałki. Z podłogi również wychodziły dźwignie, najwyraźniej wprawiane w ruch nogą. Urządzenia sterownicze wyglądały na prymitywne i niewykończone. Tarcze i przełączniki nie miały oznaczeń, a z tylnej części pulpitu wystawały druty i dźwignie napędu mechanicznego.

Nebogipfel przyłączył się do mnie w kabinie i stanął przy moim ramieniu. W tej zamkniętej przestrzeni silny, słodkawy zapach Morloka był obezwładniający. Przez wąskie okno zobaczyłem Gödela i Mosesa, którzy napełniali pojemniki.

– Czy pan rozumie zasadę działania PPC? – zawołał profesor. – To oczywiście projekt Wallisa, ja miałem niewiele wspólnego z konstrukcją tego pojazdu...

Przysunąłem twarz do wąskiego okna.

– Jestem przy urządzeniach sterowniczych – powiedziałem. – Ale nie są oznaczone. I nie widzę nic, co przypominałoby licznik czasu.

Gödel nie podniósł głowy, nadal nalewał ostrożnie plattneryt.

– Podejrzewam, że takie niuanse, jak tarcze chronometryczne nie zostały jeszcze zamontowane. W końcu to niekompletny prototyp. Czy to pana niepokoi?

– Muszę przyznać, że perspektywa utraty orientacji w czasie za bardzo mi się nie uśmiecha – odparłem. – Ale to właściwie nie ma większego znaczenia... zawsze można zapytać rodowitych mieszkańców!

– Zasada działania PPC jest dość prosta – powiedział Gödel. – Plattneryt zalewa ramy pomocnicze pojazdu poprzez sieć rurek. Tworzy to pewnego rodzaju obwód... Po zamknięciu obwodu człowiek wyrusza w czas. Rozumie pan? Większość urządzeń

sterowniczych, które pan widzi, służy do obsługi silnika benzynowego, układu napędowego i tak dalej, gdyż samochód czasu spełnia również rolę pojazdu mechanicznego. Ale do zamykania obwodu czasowego służy niebieska dźwignia kolankowa na tablicy rozdzielczej. Widzi ją pan?

– Tak.

Moses przykręcił ostatnią nakrętkę i obszedł samochód. Wgramolił się do środka, położył klucz na podłodze i uderzył pięścią w ściany kabiny.

– Dobra, mocna konstrukcja – stwierdził.

– Chyba jesteśmy gotowi do drogi – oznajmiłem.

– Ale dokąd... do jakiego momentu w czasie... polecimy?

– Czy to ważne? Liczy się tylko to, żeby uciec z dala od tego miejsca. W przeszłość, aby spróbować wszystko naprawić... Moses, skończyliśmy z dwudziestym wiekiem. Teraz musimy wykonać kolejny skok w nieznane. Nasza przygoda jeszcze nie dobiegła końca!

Wyraz niepewności zniknął z jego twarzy i jego miejsce zajęła determinacja połączona z lekkomyślnością. Zacisnął szczęki.

– A więc zrobmy to albo niech nas licho porwie!

– Myślę, że prawdopodobnie właśnie to nas spotka – odezwał się Nebogipfel.

– Profesorze Gödel – zawołałem – proszę wsiąść do samochodu.

– Ależ nie – odparł i uniósł ręce. – Moje miejsce jest tutaj.

Moses wepchnął się do kabiny za mną.

– Ale mury Londynu walą się wokół nas, niemieckie działa są bardzo blisko... Tu jest niebezpiecznie, profesorze!

– Rzecz jasna, zazdroszczę wam – odrzekł Gödel – że opuszczacie ten straszny świat, którym targa okrutna wojna...

– A więc niech pan jedzie z nami – powiedziałem. – Niech pan poszuka tego ostatecznego świata, o którym pan mówił...

– Mam żonę – wyjaśnił. W świetle świeczki jego twarz wyglądała jak blada smuga.

– Gdzie ona jest?

– Straciłem ją. Nie udało nam się uciec razem. Przypuszczam, że jest w Wiedniu... Nie sądzę, by zrobili jej krzywdę w odwecie za moją ucieczkę...

Mówił niepewnym głosem i uświadomiłem sobie, że ten nadzwyczaj logicznie myślący człowiek patrzy na mnie w tej pełnej napięcia chwili, oczekując ode mnie najbardziej nielogicznych słów zapewnienia!

– Naturalnie – powiedziałem. – Jestem pewien, że ona...

Ale nie zdążyłem dokończyć zdania, gdyż – nawet bez ostrzegawczego gwizdu w powietrzu – spadł kolejny pocisk i ten trafił najcelniej ze wszystkich!

W ostatnim migotliwym blasku naszej świeczki, w ułamku sekundy nie dłuższym niż błysk flesza, zobaczyłem, jak zachodnia ściana warsztatu zapada się do wewnątrz – ot tak, po prostu. W czasie krótszym niż jedno uderzenie serca przeobraziła się z gładkiej, równej powierzchni w kłębiasty obłok złożony z gruzów i pyłu.

Ogarnęła nas ciemność.

Samochód zakołysał się, Moses krzyknął: „Na ziemię!”, rzuciłem się na podłogę i grad śmiercionośnych odłamków uderzył w skorupę samochodu czasu.

Nebogipfel przeczołgał się do przodu, poczułem jego słodkawego odór. Chwycił mnie miękką ręką za ramię.

– Zamknij obwód – powiedział.

Wyjrzałem przez wąskie okno i mój wzrok oczywiście napotkał całkowitą ciemność.

– A co z Godelem? – zawołałem. – Profesorze!

Nie było odpowiedzi. Usłyszałem złowieszcze, głośnie skrzypienie nad samochodem i łomot kolejnych spadających kamieni.

– Zamknij obwód! – powtórzył nagłaco Nebogipfel. – Nie słyszysz, co mówię? Dach się wali, przygniecie nas!

– Pójdę po niego – zaproponował Moses.

W ciemności usłyszałem, jak jego buty ciężko stąpają po podłodze samochodu, kiedy przedzierał się na tył kabiny.

– Poradzę sobie... Mam jeszcze kilka świeczek...

Jego głos ucichł, kiedy Moses dotarł na tyły kabiny, a potem usłyszałem chrzęszczący odgłos jego kroków na pokrytym gruzem podłożu.

Nagle rozległ się bardzo głośny jęk podobny do groteskowego sapnięcia i odgłos bieganiny w górze. Usłyszałem krzyk Mosesa.

Obróciłem się, zamierzając wyskoczyć z kabiny za Mosesem, i poczułem na wewnętrznej stronie dłoni uszczypnięcie małych ząbków – ząbków Morloka!

W tamtej chwili, kiedy zewsząd napierała na mnie śmierć i ponownie pogrążony byłem w pierwotnej ciemności, nie mogłem znieść obecności Morloka, jego ząbków wbitych w moje ciało, jego włosów ocierających się o moją skórę! Ryknąłem i walnąłem pięścią w miękką twarz Morloka.

Ale Nebogipfel nie krzyknął. Gdy go uderzyłem, poczułem, jak przelatuje obok mnie w kierunku tablicy rozdzielczej.

Ciemność ustąpiła przed moimi oczami, ryk spadających odłamków betonu całkowicie ucichł i stwierdziłem, że znów pogrążony jestem w szarym świetle charakterystycznym dla

podróży w czasie.

Wejście w czas

Samochód czasu zakołysał się. Wyciągnąłem rękę w kierunku składanego siedzenia, ale zostałem ciśnięty na podłogę, uderzając głową i ramionami w drewnianą ławkę. Ręka bolała mnie od rany, którą Morlok zadał mi zębami.

Kabinę zalało białe światło, tryskając na nas w bezgłośniejszej eksplozji. Usłyszałem krzyk Morloka. Miałem zamglony wzrok, który pogarszała zakrzepła krew na moich policzkach i brwiach. Przez tylne drzwi i rozmaite szczelinowe okna do drżącej kabiny wsączało się jednobarwne, blade, połyskujące światło. Zastanawiałem się, czy nie wydarzyła się jakaś nowa katastrofa. Być może warsztat trawiły płomienie...

Potem jednak zorientowałem się, że to niemożliwe, bo światło jest zbyt jednostajne, zbyt spokojne. Zrozumiałem, że już wykroczyliśmy daleko poza tamto wojenne laboratorium.

Blask był oczywiście światłem dziennym, które niczym się nie wyróżniało i było mdłe z powodu pomieszania dnia z nocą, zbyt szybkie, by je śledzić. Rzeczywiście wpadliśmy w czas. Ten samochód – choć prymitywny i źle wyważony – funkcjonował prawidłowo. Nie potrafiłem stwierdzić, czy lecimy w przyszłość czy przeszłość, ale samochód już nas zabrał do okresu, w którym nie istniała londyńska kopuła.

Podparłem się rękami i spróbowałem wstać, ale na dłoniach miałem krew – swoją lub Morloka – i ręce ześlizgnęły mi się.

Upadłem z powrotem na twardą podłogę, uderzając ponownie głową o ławkę.

Ogarnęło mnie ogromne, paraliżujące zmęczenie. Ból, którego doznałem obijając się podczas bombardowania, złagodzony na pewien czas przez rozpaczliwe próby ratowania życia, dopiekl mi teraz z całą siłą. Oparłem głowę o metalowe żebra podłogi i zamknąłem oczy.

– Po co to wszystko? – rzuciłem pytanie w przestrzeń. Moses zginął... przepadł wraz z profesorem Gödelem pod tonami gruzów w zburzonym laboratorium. Nie miałem pojęcia, czy Morlok żyje, ale też w ogóle mnie to nie obchodziło. Niech samochód czasu zawiezie mnie do przyszłości lub przeszłości. Niech mknie bez końca, aż rozbije się na kawałki o ściany nieskończoności i wieczności! Niech to się wreszcie skończy. Nie mogłem zrobić nic więcej.

– Gra nie warta świeczki – wymamrotałem. – Nie warta świeczki...

Poczułem dotyk miękkich rąk na dłoniach, włosy ocierające się o moją twarz, ale zaprotestowałem i ostatnim wysiłkiem odepchnąłem te ręce.

Pogrążyłem się w głębokiej, pozbawionej snów, niewygodnej ciemności.

Obudziły mnie silne wstrząsy.

Obijałem się o podłogę w kabinie. Pod moją głową leżało coś miękkiego, ale wysunęło się i uderzyłem czaszką o twardy narożnik ławki. Pod wpływem tego powtórnego ataku bólu odzyskałem przytomność i dość niechętnie usiadłem.

Głowa bolała mnie straszliwie, a ciało wydawało się maltretowane jakby po meczu bokserskim. To paradoks, ale

byłem w lepszym nastroju. Śmierć Moseśa nadal mi ciążyła – ważne wydarzenie, któremu z czasem będę musiał stawić czoło – ale po tych kilku chwilach zbawiennej nieprzytomności mogłem o niej zapomnieć, tak jak człowiek może odwrócić wzrok od oślepiającego światła słonecznego i zastanowić się nad innymi sprawami.

Przyćmione, perłowe światło mieszaniny dnia i nocy nadal zalewało wnętrze samochodu. Było nadzwyczaj zimno. Poczułem, że drzę, a z moich ust wydobywała się para. Nebogipfel siedział na fotelu pilota, zwrócony do mnie plecami. Badał białymi palcami przyrządy na prymitywnej desce rozdzielczej i sprawdzał, dokąd biegną druty zwisające z kolumny kierownicy.

Wstałem. Z powodu kołysania się samochodu i stłuczeń, których doznałem w roku 1938, trzymałem się niepewnie na nogach. Żeby odzyskać równowagę, musiałem chwycić uźebrowaną ramę kabiny. Stwierdziłem, że metal, którego dotknąłem gołymi rękami, jest zimny jak lód. Zobaczyłem, że miękki przedmiot pod moją głową to blezer Morloka. Złożyłem go i położyłem na ławce. Dostrzegłem również ciężki klucz na podłodze, który Moses wykorzystał do otwarcia pojemników na plattneryt. Podniosłem go koniuszkami palców. Były na nim plamy krwi.

Nadal miałem na sobie ciężkie epolety. Zdegustowany tymi kawałkami pancerza, oderwałem je od ubrania i rzuciłem na podłogę. Upadły z brzękiem.

Słyszając ten hałas, Nebogipfel podniósł wzrok i zobaczyłem, że jego gogle są pęknięte na pół i jedno oko stanowi krwawą miazgę.

– Przygotuj się – powiedział stłumionym głosem.

– Na co? Ja...

Kabina pogrążyła się w ciemności.

Cofnąłem się chwiejnie i znów prawie upadłem. Wielkie zimno wysssało resztkę ciepła z kabiny i z mojego ciała. I znów uderzyłem się w głowę. Objąłem rękami tułów.

– Co się stało ze światłem dziennym?

W czerni, połączonej z kołysaniem, głos Morloka wydawał się prawie szorstki.

– To potrwa zaledwie kilka sekund. Musimy wytrzymać...

Ciemność zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, i do kabiny ponownie wsączyło się szare światło. Ostry chłód trochę zelżał, ale nadal drżałem jak galareta. Uklęknąłem na podłodze obok siedzenia Nebogipfela.

– Co się dzieje? Co to było?

– Lód – odparł. – Przechodzimy przez epokę okresowych oblodzeń. Powłoki lodowe i lodowce zsuwają się z północy i zakrywają ląd – grzebiąc nas przy tym pod swoją skorupą – a potem topnieją. Zaryzykowałbym twierdzenie, że czasami znajdujemy się pod warstwą stu stóp.

Wyjrzałem przez wąskie okna w czołowej płycie samochodu. Zobaczyłem dolinę Tamizy, która przemieniła się w ponurą tundrę zamieszkaną jedynie przez odporną trawę, buntowniczy, jaskrawofioletowy wrzos oraz z rzadka rozsiane drzewa. Te ostatnie przechodziły swe roczne cykle zbyt szybko, bym mógł je prześledzić, ale wyglądały mi na odporniejsze odmiany: dąb, wierzbę, topolę, wiąz i głóg. Nie było śladu Londynu. Nie zobaczyłem nawet cienia szybko znikających budynków i w tym całym szarym krajobrazie nie było ani jednego dowodu istnienia ludzi, ani żadnych oznak żyjących zwierząt. Nawet ukształtowanie krajobrazu, wzgórze i doliny, wydawało mi się

nieznajome, kiedy zmieniało się wielokrotnie wskutek aktywności lodowców.

Po jakimś czasie ponownie pojawił się wielki lód, który zobaczyłem w postaci krótkotrwałej powodzi białej jasności, nim nas zakrył. Zakląłem w ciemności i wsunąłem ręce pod pachy. Zdrętwiały mi palce rąk i nóg i zacząłem się obawiać odmrożenia. Kiedy lodowce ponownie ustąpiły, pozostawiły po sobie krajobraz zamieszkały przez bardzo podobne do poprzednich odmiany odpornych roślin, ale o zmienionych kształtach. Najwidoczniej przerwy w epokach lodowcowych zmieniały krajobraz, choć nie potrafiłem powiedzieć, czy zdążamy w przyszłość, czy w przeszłość. Kiedy tak patrzyłem, wydawało się, że głązy większe od człowieka przemieszczają się w granicach tego obszaru, ślizgając się powoli lub tocząc. Był to najwyraźniej jakiś dziwny efekt erozji lądu.

– Jak długo byłem nieprzytomny?

– Niedługo. Może pół godziny.

– Czy samochód czasu zabiera nas w przyszłość?

– Penetrujemy przeszłość – odparł Morlok. Odwrócił się do mnie twarzą i zobaczyłem, jak jego sprężyste ruchy przemieniły się w sztywne z powodu ciosów pięścią, które mu wcześniej zadałem. – Jestem tego pewny. Dostrzegłem kilkakrotnie recesję Londynu... jego cofnięcie się do historycznych początków... Z odstępów między oblodzeniami wnioskuję, że co minutę przebywamy jakieś dziesięć tysięcy lat.

– Może powinniśmy wykalkulować, jak powstrzymać ten żywiołowy pęd samochodu w czas. Jeżeli znajdziemy spokojny wiek...

– Nie sądzę, byśmy mogli przerwać lot samochodu.

– Co takiego?

Morlok rozłożył ręce – zobaczyłem lekkie oblodzenie na włosach porastających grzbiety jego dłoni, a potem znów pogrążyliśmy się w ciemnym, lodowym grobie, a jego głos dochodził z mroku.

– Nie zapominaj, że to prymitywny, nie dokończony pojazd prototypowy. Wiele urządzeń sterowniczych i wskaźników jest rozłączonych. Te, które są podłączone, przeważnie nie działają. Nawet gdybyśmy wiedzieli, jak zmienić mechanizmy, nie uszkadzając przy tym pojazdu, nie widzę sposobu, w jaki moglibyśmy się wydostać z kabiny, by dotrzeć do mechanizmu wewnętrznego.

Ponownie wynurzyliśmy się z epoki lodu w znajomą, przeobrażoną tundrę. Nebogipfel obserwował krajobraz z pewnym zafascynowaniem.

– Pomyśl o tym. Skandynawskie fiordy jeszcze nie zostały wyłobione, a europejskie i północnoamerykańskie jeziora – powstałe wskutek topniejącego lodu – to złudzenia przyszłości. Już minęliśmy świt historii człowieka. W Afryce moglibyśmy znaleźć rasę australopiteków – niektórzy z nich byłiby niezdarni, inni smukli, a jeszcze inni mięsożerni, ale wszyscy chodziliby na dwóch nogach i mieliby cechy małpy: małe czaszki i duże szczęki oraz zęby...

Poczułem wielką, zimną samotność. Przyszło mi do głowy, że chociaż już kiedyś byłem zagubiony w czasie, to jednak nigdy nie czułem się taki wyizolowany! Czy to była prawda – czy to mogła być prawda – że Nebogipfel i ja, w naszym uszkodzonym samochodzie czasu, stanowiliśmy jedyny płomyk inteligencji na całej planecie?

– A więc nie mamy nad tym pojazdem żadnej kontroli – powiedziałem. – Być może nie zatrzymamy się, dopóki nie

dotrzemy do początków czasu...

– Wątpię, czy do tego dojdzie – oświadczył Nebogipfel. – Plattneryt nie może mieć nieograniczonych możliwości. Nie może bez końca przenosić nas głębiej w czas. W końcu się wyczerpie. Musimy się modlić, żeby to nastąpiło, nim przekroczymy okres ordowicki i kambryjski, zanim dotrzemy do wieku, w którym nie będzie tlenu.

– Wesoła perspektywa – zadrwiłem. – I przypuszczam, że może być jeszcze gorzej.

– Jak to?

Wysunąłem zeszywniałe nogi przed siebie i usiadłem na zimnej, uźbrowanej, metalowej podłodze.

– Nie mamy żadnych zapasów. Ani wody, ani żywności. I obaj jesteśmy ranni. Nie mamy nawet ciepłej odzieży! Jak długo możemy przeżyć w tej mroźnej barce czasu? Kilka dni? Mniej?

Nebogipfel nie odpowiedział.

Nie jestem człowiekiem, który łatwo poddaje się zrządzeniom losu i poświęciłem trochę energii na to, żeby przyjrzeć się dokładnie urządzeniom sterowniczym i przewodom. Szybko stwierdziłem, że Nebogipfel ma rację. Nie było sposobu, bym z tej plątaniny części zdołał zbudować sterowny pojazd i moja energia, już i tak bardzo nadwątłona, niebawem się wyczerpała. Popadłem ponownie w pewnego rodzaju tępą apatię.

Przebrnęliśmy przez jeszcze jeden krótki, brutalny okres oblodzenia, a potem weszliśmy w długą, posępną zimę. Pory roku nadal przynosiły przemijający śnieg i lód, ale wiek stałej pokrywy lodowej należał teraz do przyszłości. W ciągu mijających tysiącleci dostrzegłem niewielkie zmiany w krajobrazie. Być może struktura rozmazanej zieleni pokrywającej wzgórze powoli się wzbogacała. Niedaleko

samochoodu czasu na ziemi pojawiła się ogromna czaszka, która przypominała mi słoniową. Była wyblakła, goła i pokruszona. Leżała tam dostatecznie długo, bym mógł rozeznaczyć jej kontury, w ciągu mniej więcej sekundy, nim zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.

– Nebogipfelu, jeżeli chodzi o twoją twarz, to ja... Musisz zrozumieć...

Spojrzał na mnie zdrowym okiem. Zobaczyłem, że ponownie zaczął się zachowywać jak Morlok, zapominając o ludzkich gestach, które sobie przyswoił.

– Co? Co muszę zrozumieć?

– Nie chciałem cię zranić.

– Teraz mnie nie raniś – powiedział z precyzją chirurga. – Ale wtedy tak. Przeprosiny są daremne, niedorzeczne. Jesteś tym, kim jesteś... Jesteśmy różnymi gatunkami, tak odmiennymi od siebie jak ty od australopiteków.

Poczułem się jak niezdarne zwierzę, z moimi olbrzymimi pięściami ponownie splamionymi krwią Morloka.

– Zawstydzasz mnie – powiedziałem.

Pokręcił krótko głową.

– Wstyd? To pojęcie nie ma w tym kontekście żadnego znaczenia.

Zrozumiałem, że chodzi mu o to, iż nie powinienem odczuwać wstydu bardziej niż jakieś dzikie zwierzę z dżungli. Zaatakowany przez takie stworzenie, czy spierałbym się z nim o kwestie moralne? Nie. Bezrozumne zwierzę nie może nic poradzić na swoje zachowanie. Powinienem tylko zająć się efektami jego działań.

W oczach Nebogipfela okazałem się – znów! – istotą niewiele lepszą od niezdarnych brutali z afrykańskich równin,

prekursorów ludzi w tej wyludnionej epoce.

Wycofałem się do drewnianych ławek. Położyłem się tam, kładąc obolałą głowę na zgiętym ramieniu, i obserwowałem migotanie stuleci za ciągle otwartymi drzwiami samochodu.

Posępny, zimowy chłód minął i niebo zrobiło się bardziej zróżnicowane, pocętkowane nieregularnymi plamami. Od czasu do czasu kołyszącą się wstęgę słoneczną przesłaniała na chwilę ciemna chmura. W tym łagodniejszym klimacie kwitły nowe odmiany drzew z gatunku zrzucających liście. O ile mogłem się zorientować, były tam klony, dęby, topole, cedry i inne. Czasami te antyczne lasy wyrastały wokół samochodu, pogrążając nas w półmroku, który rozjaśniało migotanie światła zabarwionego zielenią i brązem, a potem wycofywały się, jakby ktoś odsuwał zasłonę.

Nebogipfel powiedział, że wkroczyliśmy w okres potężnych ruchów tektonicznych Ziemi. Ze skorupy ziemskiej wypychane były Alpy i Himalaje, a olbrzymie wulkany wypluwały popiół i pył, przesłaniając niebo nieraz na okres wielu lat. Morlok wyjaśnił, że w oceanach pływają ogromne rekiny o zębach jak sztylety, a w Afryce przodkowie ludzkości powracają do prymitywnego stanu rozwoju umysłowego. Ich mózgi kurczą się, chodzą zgarbieni i mają krótkie, grube, niezgrabne palce.

Przemierzaliśmy tę długą, dziką epokę przez około dwanaście godzin.

Gdy stulecia i lasy migotały przed kabiną, próbowałem ignorować głód i pragnienie, które ścisnęły mi żołądek. To była

najdłuższa podróż przez czas, jaką podjąłem od chwili pierwszej wyprawy do odległej przyszłości po epoce Weeny, i wraz z upływem kolejnych godzin czułem się coraz bardziej przygnębiony daremnością tego wszystkiego. Krótkotrwały rozkwit ludzkości już był odległym odpryskiem światła oddalonym w czasie. Nawet odległość między człowiekiem i Morlokiem – obojętne jakim – stanowiła zaledwie ułamek długiej drogi, którą przebyłem.

Przytłoczyły mnie ogrom czasu oraz małość człowieka i jego osiągnięć. Moje troski wydawały się absurdalne i całkowicie nieważne. Historia ludzkości wydawała się błahostką, chwilowym błyskiem w mrocznych, bezmyślnych otchłaniach wieczności.

Skorupa Ziemi falowała jak pierś duszącego się człowieka i samochód czasu unosił się lub opadał wraz z ewoluującym krajobrazem. Przypominało to rejs po wzburzonym morzu. Roślinność zrobiła się bardziej bujna i zielona. Nowe lasy tłoczyły się wokół samochodu czasu – wydawało mi się, że są to również drzewa z gatunku zrzucających liście, choć wskutek naszej prędkości kwiaty i liście tworzyły jednobarwną, zieloną plamę; a powietrze ociepliło się.

Wreszcie przestałem odczuwać ból w palcach spowodowany zimnem, trwającym eony. Zrzuciłem marynarkę i rozpiąłem koszulę. Zdjąłem buty i rozmasowałem palce u nóg, przywracając w nich krążenie krwi. Z kieszeni marynarki wypadł znaczek z numerem, który dostałem od Wallisa. Podniosłem ten mały symbol podejrzliwości człowieka w stosunku do bliźnich. W tamtym otoczeniu pierwotnej zieleni chyba nie mogłem znaleźć lepszego symbolu ciasnoty umysłowej i absurdalności, na które ludzie marnują tyle swojej energii!

Rzuciłem znaczek w ciemny kąt samochodu.

Długie godziny pośród zielonego gąszczy mijały wolniej niż dotąd i zasnąłem. Po przebudzeniu otaczająca mnie zieleń zmieniła się – była bardziej świecąca, o odcieniu trochę podobnym do plattnerytu. Wydawało mi się, że znajduję się w środku czegoś w rodzaju gwiazdnych pól: przypominało to bardziej przebywanie wśród szmaragdów niż liści.

I wtedy go zobaczyłem. Unosił się w wilgotnym powietrzu mrocznej kabiny, odporny na kołysanie samochodu, z ogromnymi oczami, mięsistymi ustami w kształcie litery „V” i palczastymi mackami, które zwisały, lecz nie dotykały podłogi. To nie była żadna ułuda. Jego ciało uniemożliwiało mi dostrzeżenie szczegółów lasu za nim. Był tak realny jak ja, Nebogipfel czy buty, które postawiłem na ławce.

Obserwator patrzył na mnie badawczo.

Nie czułem strachu. Wyciągnąłem ku niemu rękę, ale odskoczył. Nie miałem żadnych wątpliwości, że utkwiał szare oczy w mojej twarzy.

– Kim jesteś? – zapytałem. – Czy możesz nam pomóc?

Nawet jeśli słyszał, nie odpowiedział. Jednak oświetlenie już się zmieniało, powracał zielony kolor roślinności. Potem dostrzegłem, że stwór wprawił się w ruch wirowy – obracając się wokół własnej osi, ta wielka głowa przypominała jakąś nieprawdopodobną zabawkę – i w chwilę później zniknął.

Nebogipfel podszedł do mnie, ostrożnie stawiając długie stopy na żebrach podłogi. Już wcześniej zdjął ubranie pochodzące z dziewiętnastego wieku i chodził goły, z wyjątkiem stłuczonych gogli na nosie i białych włosów, teraz długich i splątanych, na plecach.

– Co się stało? – zapytał. – Czy jesteś chory?

Powiedziałem mu o Obserwatorze, ale Morlok go nie widział. Położyłem się z powrotem na ławce, nie mając pewności, czy to, co zobaczyłem, było rzeczywistością, czy powtarzającym się snem.

Upał był uciążliwy, a powietrze w kabinie duszne.

Pomyślałem o Gödelu i Mosesie.

Ten niesympatyczny człowiek, Gödel, wydedukował istnienie wielorakich historii, opierając się wyłącznie na przesłankach ontologicznych, natomiast ja, biedny głupiec, potrzebowałem kilku podróży w czasie, nim taka możliwość w ogóle przyszła mi do głowy! Teraz jednak ten człowiek, który roił wspaniałe sny o ostatecznym świecie, gdzie wyjaśnione jest całe znaczenie, leżał przygnieciony kupą gruzów, zabity przez ciasnotę umysłową i głupotę swoich bliźnich.

Jeżeli chodzi o Mosesa, to po prostu bolałem nad nim. Przypuszczam, że było to podobne do uczucia pustki, którego człowiek doznaje po śmierci dziecka lub młodszego brata. Moses zginął w wieku dwudziestu sześciu lat, a jednak ja – ta sama osoba – nadal żyłem w wieku czterdziestu czterech! Moja przeszłość została jakby wycięta spode mnie, jakby ziemia wyparowała, pozostawiając mnie zawieszzonego w powietrzu. Ale poznałem Mosesa, choć była to krótka znajomość, jako osobę posiadającą własne cechy charakteru. Był wesoły, ekscentryczny, impulsywny, trochę śmieszny – tak jak ja! – i przesympatyczny.

Byłem odpowiedzialny za śmierć kolejnego człowieka!

Żadne mgliste wywody Nebogipfela o wielorakości historii – żadne argumenty, że Moses, którego znałem, nie miał nigdy stać się mną, lecz tylko jakimś innym wariantem mojej osoby – nie były w stanie złagodzić smutku, jakiego doznawałem po jego stracie.

Myśli zaczęły mi się plątać. Usilnie starałem się nie zamykać oczu, gdyż miałem obawę, że już nigdy się nie obudzę, ale dręczony uczuciem żalu i zamętem w głowie, ponownie zasnąłem.

Obudził mnie dźwięk własnego imienia, które wypowiedziane zostało dziwnym, płynnym, gardłowym głosem Morloka. Powietrze było takie paskudne jak dotychczas i nowe pulsowanie, wywołane upałem i brakiem tlenu, walczyło o miejsce w mojej czaszce z bólem z powodu wcześniejszych obrażeń.

W tamtym leśnym półmroku zmaltretowane oczy Nebogipfela wydawały się olbrzymie.

– Rozejrzyj się – powiedział.

Zieleń tłoczyła się wokół nas tak uporczywie jak dotychczas, a jednak zaszła w niej jakaś zmiana. Stwierdziłem, że patrząc uważnie, jestem w stanie śledzić ewolucję pojedynczych liści na gęsto porośniętych gałęziach. Każdy liść powstawał w szybkim tempie z pyłu, przechodził proces pewnego rodzaju odwrotnego wędnięcia i zwijał się w pączek. Odbywało się to w czasie krótszym od jednej sekundy, ale mimo to...

– Zwalniamy – wysapałem.

– Tak. Przypuszczam, że plattneryt traci swoją moc.

Odmówiłem modlitwę dziękczynną, gdyż odzyskałem dość sił, by już nie pragnąć śmierci na jakiejś bezwietrznej, skalistej równinie u zarania dziejów Ziemi!

– Czy wiesz, gdzie jesteśmy?

– Gdzieś w epoce paleoceńskiej. Podróżowaliśmy przez dwadzieścia godzin. Znajdujemy się mniej więcej pięćdziesiąt milionów lat przed teraźniejszością...

– Czyją teraźniejszością? Moją, roku 1891, czy twoją?

Dotknął twarzy, którą nadal pokrywała zakrzepła krew.

– W takich skalach czasowych to nie ma większego znaczenia.

Liście i kwiaty kwitły teraz bardzo wolno, prawie majestatycznie. Pojawiło się migotanie i chwile głębszej ciemności, które nakładały się na zielony półmrok.

– Rozróżniam już dzień i noc – powiedziałem. – Zwalniamy.

– Tak.

Morlok usiadł na ławce naprzeciwko mnie i chwycił jej krawędź długimi palcami. Zastanawiałem się, czy się boi, miał ku temu wszelkie prawo! Wydawało mi się, że podłoga samochodu się rusza i wybrzusza łagodnie pod ławką Nebogipfela.

– Co powinniśmy zrobić?

Pokręcił głową.

– Możemy jedynie czekać na rozwój wydarzeń. Nie panujemy nad sytuacją...

Trzepotanie dni i nocy stało się jeszcze wolniejsze, aż zaczęło równomiernie pulsować wokół nas niczym bicie serca. Podłoga zaskrzypiała i w jej stalowych płytach pojawiły się wzgórki...

Nagle zrozumiałem!

– Uważaj! – krzyknąłem, wstałem, wyciągnąłem ręce i chwyciłem Nebogipfela za ramiona. Nie stawiał oporu. Uniosłem go, jakby był chudym, włochatym dzieckiem, i cofnąłem się chwiejnie...

Przede mną wyrosło drzewo, rozdzierając metalowe poszycie samochodu jak papier. Ogromna gałąź przesunęła się w kierunku urządzeń sterowniczych niczym ramię olbrzymiego, drewnianego człowieka, który celowo tam sięga, i przebiła płytę czołową obudowy.

Widocznie wylądowaliśmy w miejscu zajmowanym przez to drzewo w tej odległej erze!

Upadłem do tyłu na ławkę, ochraniając ramionami Nebogipfela. Drzewo trochę się skurczyło, kiedy przybliżyliśmy się do chwili jego narodzin. Trzepotanie dni i nocy stało się jeszcze bardziej ślamazarne. Pień zrobił się znacznie cieńszy, a potem rozległ się ogłuszający trzask i kabina rozpadła się na pół jak skorupka jajka.

Nebogipfel wypadł mi z rąk i wraz z gradem drewnianych i metalowych odłamków obaj runęliśmy na miękką, wilgotną ziemię.

Księga Czwarta

Paleocenske Morze

Leżałem na plecach, wpatrując się w drzewo, które rozdarło nasz samochód czasu, kiedy podróż dobiegła końca. Słyszałem w pobliżu płytki oddech Nebogipfela, ale nie widziałem Morloka.

Nasze drzewo, które zastygło teraz w bezruchu, łączyło się wysoko nade mną z innymi, tworząc gęsty i jednolity baldachim. Z ziemi wokół jego podstawy i pomiędzy potrzaskanymi częściami samochodu wyrastały pędy i odrośle. Upał był ogromny, powietrze wilgotne i męczące dla moich płuc, a świat wokół wypełniony odgłosami kasłania, trelami oraz westchnieniami dżungli. Tłem tych wszystkich dźwięków było niskie, głębsze dudnienie i dlatego podejrzewałem, że w pobliżu znajduje się duży zbiornik wody, albo rzeka – jakaś pierwotna wersja Tamizy – albo morze.

Przypominało to bardziej tropik niż Anglię!

Kiedy tak leżałem i patrzyłem, jakieś zwierzątko zeszło po pniu w naszym kierunku. Miało mniej więcej dziesięć cali długości i przypominało wiewiórkę, ale jego sierść była rzadka i długa, zwisająca na ciałku jak płaszcz. Trzymało w małych szczękach jakiś owoc. Dziesięć stóp nad ziemią stworzenie dostrzegło nas. Przekrzywiło ostro zakończoną główkę, otworzyło mordkę – upuszczając owoc – i syknęło. Zobaczyłem, że końcówki jego siekaczy wyglądają jak grzebyki o pięciu ząbkach. Potem zwierzątko odskoczyło od pnia. Szeroko

rozłożyło przednie i tylne nóżki, a jego porośnięta sierścią skóra rozwinęła się z trzaskiem, upodabniając zwierzątko do pokrytego futerkiem latawca. Odleciało w górę, wtapiając się w cień i znikając z pola mojego widzenia.

– Niezłe powitanie – wysapałem. – Ten stwór przypominał latającego lemura. Ale czy zauważyłeś jego ząbki?

Nebogipfel, nadal poza zasięgiem mojego wzroku, odrzekł:

– To było *planetaterium*. A to drzewo nazywa się *dipterocarps* i niewiele się różni od gatunku, który będzie rosnąć w lasach W twoich czasach.

Wepchnąłem ręce w ściółkę leśną pode mną – była dość zgniła i śliska – i spróbowałem się obrócić, żeby go widzieć.

– Nebogipfelu, czy jesteś ranny?

Morlok leżał na boku, ale miał przekrzywioną głowę, tak iż patrzył w niebo.

– Nie – szepnął. – Proponuję, abyśmy zaczęli szukać...

Aleja nie słuchałem go dalej, gdyż tuż za jego plecami dostrzegłem zakończoną dziobem głowę wielkości końskiej, która przepychała się przez listowie i pochylała w kierunku wątego ciała Morloka!

Przez chwilę byłem sparaliżowany wskutek szoku. Haczykowaty dziób otworzył się z mlaśnięciem, a okrągłe oczy patrzyły na mnie z wszelkimi oznakami inteligencji.

Wielki łeb opadł ciężko i dziób zacisnął się wokół nogi Morloka. Nebogipfel wrzasnął i wbił małe palce w ziemię. Skrawki liści przywarły do jego sierści.

Odczołgałem się do tyłu, kopiąc liście, aż oparłem się plecami o pień drzewa.

Rozległ się trzask łamanych gałęzi. Bestia przedarła się przez

zielen i ukazała moim oczom. Pokryty czarnymi, łuskowatymi piórami zwierz miał jakieś siedem stóp wzrostu, grube nogi, stopy zakończone pazurami i obwisłe, żółte cielsko. Trzepotał szcążkowymi skrzydłami, które były nieproporcjonalnie małe w stosunku do olbrzymiego tułowia. Ten ptasi potwór cofnął łeb i biedny Morlok został odciągnięty po papkowatym podłożu.

– Nebogipfelu!

– To diatryma – wysapał. – *Diatryma gigantea*. Ja... och!

– Mniejsza o jej filogenezę – zawołałem – Uciekaj od niej!

– Obawiam się... że nie mam jak... Och!

Ponownie jego głos przeszedł we wrzask wyrażający udrękę. Teraz stwór kiwał łbem z boku na bok. Domyśliłem się, że stara się rozbić czaszkę Morloka o pień drzewa. Miał to być niewątpliwie wstęp do uczty złożonej z bladego ciała Nebogipfela!

Potrzebowałem jakiejś broni i przyszedł mi na myśl jedynie klucz Moseśa. Wstałem i wgramoliłem się do wraka naszego samochodu czasu. Wszędzie wokół leżało mnóstwo rozperek, płyt i drutów, a stal i polerowane drewno z roku 1938 wyglądało dziwnie nie na miejscu w tym antycznym lesie. Nie dostrzegłem klucza! Aż po same łokcie zanurzyłem ręce w gnijącym runie leśnym. Poszukiwania trwały wiele dręczących sekund, a przez cały ten czas diatryma odciągała swoją zdobycz w las.

I wtedy znalazłem! Wyciągnąłem prawe ramię z tej mazi, ściskając w ręku uchwyt klucza.

Z rykiem uniosłem klucz na wysokość ramienia i zacząłem się przedzierać przez bagnistą ściółkę. Paciorkowate ślepia diatrymy śledziły, jak się zbliżam. Bestia przestała potrząsać głową, ale nie puściła nogi Nebogipfela. Oczywiście nigdy przedtem nie widziała człowieka. Wątpiłem, czy rozumie, że mogę stanowić

dla niej zagrożenie. Nacieralem dalej, próbując nie zważać na straszną, łuskowatą skórę wokół pazurów przy stopach, wielkie rozmiary dzioba i odór gnijącego mięsa, który unosił się w pobliżu stwora.

W sposób typowy dla uderzenia w krykiecie machnąłem prowizoryczną maczugą, trafiając w łeb diatrymy. Siła ciosu została złagodzona przez pióra i warstwę ciała, ale poczułem, że metal skutecznie zderzył się z kością.

Ptaszysko otworzyło dziób, upuszczając Morloka, i wydało skrzek, który przypominał odgłos rozpruwania blachy. Teraz ten olbrzymi dziób zawisł nade mną i instynkt podpowiadał mi, żebym uciekał, ale wiedziałem, że jeśli to uczynię, obaj przepadniemy. Ponownie uniosłem klucz nad głową i machnąłem nim w kierunku czubka czaszki diatrymy. Tym razem bestia zrobiła unik i ledwie ją musnąłem, więc w następnej chwili uniosłem klucz i uderzyłem w spodnią część dzioba.

Rozległ się potworny chrzęst i łeb diatrymy odskoczył do tyłu. Bestia zatoczyła się, po czym obrzuciła mnie taksującym spojrzeniem. Wydała skrzekliwy głos, który był tak niski, że przypominał bardziej warknięcie.

A potem, całkiem nagle, stwór nastroszył czarne pióra, odwrócił się i odszedł utykającym krokiem w las.

Wsunąłem klucz za pas i uklęknąłem przy Morloku. Był nieprzytomny. Jego noga była zmiażdżona i zakrwawiona, a włosy na plecach przesiąknięte lepka śliną ptasiego potwora.

– No cóż, mój towarzyszu w czasie – szepnąłem. – Są sytuacje, kiedy warto mieć obok siebie antycznego dzikusa!

Znalazłem jego gogle w mazistej ściółce, wytarłem je o rękaw i założyłem Nebogipfelowi na oczy.

Spojrzałem w ciemny las, zastanawiając się, co powinienem teraz zrobić. Chociaż podróżowałem w czasie i przemierzyłem wielką przestrzeń w drodze do Sfery Morloków, to we własnym stuleciu nigdy nie byłem w żadnym kraju tropikalnym. W walce o przetrwanie mogłem się teraz kierować tylko mglistymi wspomnieniami opowieści podróżników i innych popularnych źródeł.

Pocieszałem się jednak, że przyszłe wyzwania będą stosunkowo łatwe! Nie będę musiał stanąć oko w oko z moim młodszym odpowiednikiem ani – ponieważ samochód czasu był zniszczony – borykać się z moralnymi i filozoficznymi dwuznacznościami wielorakich historii. Musiałem raczej poszukać jedzenia i schronienia przed deszczem oraz zabezpieczyć nas przed zwierzętami i ptakami tych zamierzchłych czasów.

Zdecydowałem, że moim pierwszym zadaniem będzie znalezienie świeżej wody. Nawet pomijając potrzeby Morloka, moje pragnienie było ogromne, gdyż po raz ostatni piłem jeszcze przed bombardowaniem Londynu.

Ułożyłem Morloka we wraku samochodu czasu, w pobliżu pnia drzewa. Uznałem, że jest to miejsce równie bezpieczne od ataków potworów tej epoki jak każde inne. Zdjąłem marynarkę i położyłem ją pod plecami Nebogipfela, by ochronić go przed wilgocią mazistej ściółki, a także wszystkimi pełzającymi i drapieżnymi stworzeniami, które mogły tam żyć! Po krótkim wahaniu wyciągnąłem klucz zza pasa i położyłem go na Morloku, zaciskając palce Nebogipfela wokół trzonka.

Nie chcąc zostawać bez broni, rozejrzałem się po wraku samochodu, aż znalazłem krótki, gruby kawałek żelaznego żebra. Zgiąłem go w bok, aż oderwał się od ramy. Zważyłem go w ręku.

Nie był taki solidny jak klucz, ale lepsze to niż nic.

Postanowiłem, że pójde tam, skąd dochodził odgłos wody. Wydawało mi się, że muszę iść w kierunku przeciwnym do słońca. Oparłem drąg na ramieniu i ruszyłem przez las.

Łatwo mi się szło, gdyż drzewa wyrastały z luźnych, mieszanych kęp, między którymi leżały duże połacie równej ziemi. Gęsty, równomiernie rozłożony baldachim liści i gałęzi nie dopuszczał światła do ziemi i powstrzymywał rozwój roślinności.

Baldachim aż roił się od pełnych witalności form życia. Porosła – orchidee i pnącza – trzymały się kurczowo kory drzew, a liany zwisały z konarów. Było tam wiele gatunków ptaków i kolonii stworzeń żyjących na gałęziach: małą lub jakichś innych naczelnych (tak mi się wydawało na pierwszy rzut oka). Dostrzegłem stworzenie podobne do kuny, o długości mniej więcej ośmiu cali, z giętkimi ramionami i stawami oraz bujnym, krzaczastym ogonem, które śmignęło i przeskoczyło z gałęzi na gałąź, wydając krzyk przypominający kasłanie. Inne zwierzę było dość duże – o długości około jarda – i miało pazurki oraz chwytny ogon. To stworzenie nie uciekło, gdy się zbliżałem. Raczej przywarło do spodniej powierzchni gałęzi i obrzuciło mnie badawczym spojrzeniem, które odebrało mi odwagę.

Poszedłem dalej. Miejscowe zwierzęta nie znały człowieka, ale najwidoczniej z powodu obecności diatrymy i bez wątpienia innych drapieżników wykształciły u siebie silny instynkt samozachowawczy i będą uważać na moje próby ich upolowania.

Gdy mój wzrok przyzwyczaił się do panującego w lesie

półmroku, dostrzegłem, że wszędzie widać dowody kamuflażu i oszustwa. Oto na przykład zobaczyłem gnijący liść, który przywarł do pnia drzewa – a przynajmniej tak mi się wydawało, dopóki ten „liść”, kiedy się zbliżyłem, nie wysunął owadzich nóżek, po czym podobne do świerszcza stworzenie uciekło w podskokach. Oto na głazie dostrzegłem coś, co wyglądało jak rozrzucone krople deszczu, które w świetle przefiltrowanym przez baldachim pobłyskiwały niczym klejnociki. Kiedy się jednak pochyliłem, by je obejrzeć, okazały się gromadą chrząszczy z przezroczystymi skorupami. Ujrzałem też czarno-białą plamę guano na pniu drzewa – nie zdziwiło mnie, kiedy zobaczyłem, jak ospale wysuwają się z niej pajęcze nogi.

Mniej więcej pół mili dalej drzewa się przerzedziły. Przeszedłem przez pas drzew palmowych i wynurzyłem się w oślepiającym świetle słonecznym. Gruby, biały piasek chrzęścił pod moimi nogami. Znalazłem się na plaży. Za pasem wybrzeża rozciągała się tafla błyszczącej wody, tak szeroka, że nie widziałem przeciwległego brzegu. Słońce stało nisko na niebie za moimi plecami, ale dość mocno grzało. Czulem jego ciepło na karku i głowie.

Na długim, prostym odcinku plaży w oddali dostrzegłem rodzinę ptaków diatryma. Dwoje dorosłych muskało sobie pióra, oplatając się nawzajem szyjami, natomiast trójka młodych brodziła na swoich niezgrabnych nogach, pluskając się i pohukując, albo siedziała w wodzie i nawilżała swoje tłuste pióra. Z czarnym upierzeniem, pokraczną budową ciała i małymi skrzydłami cała gromadka wyglądała komicznie, ale bacznie obserwowałem ich ruchy, kiedy tam byłem, gdyż nawet najmniejsze młode miały trzy lub cztery stopy wzrostu i były dość muskularne.

Podszedłem do krawędzi wody. Zwilżyłem i oblizałem palce. Poczulem smak soli: to była woda morską.

Słońce zniżyło się za las; najwyraźniej posuwało się na zachód; przynajmniej w tej kwestii nie zaszła zmiana. Dlatego przeszedłem jakieś pół mili na wschód w stosunku do położenia samochodu czasu i przypuszczałem, że jestem gdzieś w pobliżu skrzyżowania Knightsbridge i Sloane Street. W tej paleoceńskiej epoce znajdował się tam skraj morza! Wydawało się, że ocean zakrywa cały Londyn aż do wschodniej części Hyde Park Corner. Możliwe, że to morze było jakimś przedłużeniem Morza Północnego lub Kanału La Manche, które wdarło się na obszar Londynu. Jeżeli miałem rację, to mieliśmy dość dużo szczęścia. Gdyby poziom mórz podniósł się trochę bardziej, Nebogipfel i ja wylądowalibyśmy w głębinie oceanu, a nie na jego brzegu.

Zdjąłem skarpetki i buty, przywiązałem je sznurowadłami do pasa i wszedłem do wody. Zanurzając palce u nóg, poczułem, że jest chłodna. Kusilo mnie, żeby zanurzyć twarz, ale powstrzymałem się z obawy przed oddziaływaniem soli na moje rany. Znalazłem wgłębienie w piasku, które przy odpływie powinno utworzyć kałużę. Wsunąłem ręce w piasek w tym miejscu i wyciągnąłem zbieraninę żyjątek: małże, brzuchonogi i coś w rodzaju ostryg. Wyglądało na to, że jest tam niewiele gatunków, ale najwidoczniej w tym płodnym morzu występowały w ogromnych ilościach.

Na skraju tego oceanu, gdy bulgocząca woda lizała moje palce u rąk i nóg, a słońce ogrzewało mi kark, ogarnęło mnie wielkie uczucie spokoju. W dzieciństwie rodzice zabierali mnie na jednodniowe wycieczki do Lympe i Dungeness, gdzie chodziłem na brzeg morza – tak jak dzisiaj – i wyobrażałem sobie, że jestem sam na świecie. Teraz jednak to było niemal prawdą! Niezwykła

to była myśl, że nigdzie na świecie nie żeglują po tym nowym oceanie żadne statki; że po drugiej stronie dżungli za moimi plecami nie ma miast. Zaiste, ja i biedny, ranny Morlok byliśmy jedynymi inteligentnymi istotami na planecie. Nie była to jednak niemiła perspektywa – ani trochę – po strasznym mroku i chaosie roku 1938, od którego tak niedawno uciekłem.

Wyprostowałem się. Morze było czarujące, ale nie mogliśmy pić słonej wody! Starannie zapamiętałem miejsce, w którym wynurzyłem się z dżungli – nie chciałem zgubić Nebogipfela w tamtym leśnym półmroku – i ruszyłem bosą wzdłuż skraju wody, z dala od rodziny ptaków *Diatyma*.

Po przebyciu mniej więcej mili dotarłem do strumyka, który wypływał z lasu i ściekał plażą do morza. Spróbowałem wody. Była słodka i wydawała się czysta. Poczulem ogromną ulgę: przynajmniej nie umrzemy dziś! Upadłem na kolana i zanurzyłem głowę oraz kark w zimnej, musującej wodzie. Piłem ją dużymi haustami, po czym zdjąłem marynarkę i koszulę, i wymoczyłem sobie głowę oraz kark. Zakrzepła krew, która zbrązowiała pod wpływem powietrza, odpłynęła w kierunku morza. Gdy się wyprostowałem, czułem się znacznie odświeżony.

Teraz musiałem wymyślić, jak przetransportować ten skarb do Nebogipfela. Potrzebowałem filizanki lub jakiegoś innego pojemnika.

Siedziałem przez kilka minut przy strumieniu, rozglądając się z zakłopotaniem. Wydawało się, że cała moja pomysłowość wyczerpała się w trakcie ostatniej podróży przez czas i ten problem przekracza możliwości mojego zmęczonego mózgu.

W końcu odwiązałem buty od pasa, przepłukałem je jak najlepiej i napełniłem po brzegi wodą ze strumienia. Następnie przeniosłem ją, idąc wzdłuż plaży i przez las, do czekającego

Morloka. Kiedy obmywałem zmaltretowaną twarz Nebogipfela i próbowałem go ocucić, żeby się napił, obiecałem sobie, że nazajutrz znajdę jakieś naczynie stołowe bardziej odpowiednie niż stary but.

Prawa noga Nebogipfela była pokiereszowana wskutek napaści diatrymy. Kolano wydawało się zmiażdżone, a stopa skrzycona była pod nienaturalnym kątem. Używając ostrego kawałka kadłuba samochodu – nie miałem noża – spróbowałem wyciąć lniane włosy z miejsc obrażeń. Obmyłem odsłonięte ciało najlepiej, jak umiałem. Wydawało się, że przynajmniej rany powierzchniowe zasklepiły się i nie było oznak infekcji.

Nie jestem lekarzem, więc w trakcie moich niezdarnie wykonywanych czynności Morlok, nadal nieprzytomny, chrząknął i miauknął z bólu jak kot.

Oczyściwszy rany, przesunąłem rękami po zranionej nodze, ale nie wykryłem żadnego wyraźnego pęknięcia golenia lub kości łydkowej. Jak już wcześniej zauważyłem, uszkodzone były głównie kolano i kostka. To mnie przeraziło, gdyż może zdołałbym nastawić ręką złamaną piszczel, ale żadną miarą nie umiałbym wyleczyć takich ran, jakie odniósł Nebogipfel. Mimo to przetrząsałem wrak samochodu, aż znalazłem dwa proste pręty ramy. Przyłożyłem sklecony na poczekaniu nóż do marynarki – nie spodziewałem się, by ta część garderoby przydała mi się w tym klimacie – i pociąłem ją na bandaż, które wypłukałem w wodzie.

Zbierając odwagę, naprostowałem nogę i stopę Morloka. Mocno przywiązałem kończynę do łupków, a następnie do drugiej, zdrowej nogi, żeby ją lepiej podeprzeć.

Wrzaski Morloka, odbijające się echem od drzew, były

straszliwe.

Wyczerpany, posiliłem się tamtego wieczora ostrygami – surowymi, gdyż nie miałem siły, by rozpalić ogień – i usiadłem obok Morloka, opierając się plecami o pień drzewa i trzymając w ręku klucz Mosesa.

Rozbiłem obóz na brzegu paleoceńskiego morza, w pobliżu strumienia ze świeżą wodą, który znalazłem. Zdecydowałem, że tam będziemy zdrowsi i bezpieczniejsi niż w półmroku lasu. Skleciłem parasol przeciwsłoneczny dla Nebogipfela, konstruuując szkielet z kawałków samochodu czasu i rozciągając na nich skrawki płótna.

Zaniosłem tam Nebogipfela na rękach. Był lekki jak dziecko i nadal półprzytomny. Spojrzał na mnie bezradnie przez potłuczone gogle i niemal zapomniałem, że był przedstawicielem gatunku, który pokonał ograniczenia przestrzeni i ujarzmił Słońce!

Moim następnym priorytetowym zadaniem było rozpalenie ognia. Dostępne drewno – gałęzie, które pospadały z drzew – było wilgotne i spleśniałe. Zaniosłem je na plażę i położyłem, by wyschło. Używając opadłych liści na podpałkę i krzesając iskrę z kamienia uderzanego o metalową część samochodu czasu, dość szybko udało mi się zapalić płomień. Na początku rozniecałem ogień każdego dnia, ale wkrótce odkryłem niewątpliwie odwieczną sztuczkę, która polegała na pozostawianiu węgla żarzących się w dołku w ciągu dnia, dzięki czemu łatwo było powtórnie rozpać ogień, kiedy tylko człowiek chciał.

Proces rekonwalescencji Nebogipfela postępował powoli. Dla członka gatunku, który nie zna snu, przymusowa

nieprzytomność to poważna i niepokojąca sprawa, i kiedy Nebogipfel przyszedł wreszcie do siebie, siedział w cieniu przez kilka dni i nie chciał rozmawiać. Okazało się, że jednak może – choć robił to bardzo niechętnie – jeść ostrygi i małże, które przynosiłem z morza. Po pewnym czasie mogłem urozmaicić naszą dietę gotowanym mięsem żółwia, gdyż tych stworzeń było całkiem sporo na całym wybrzeżu. Kiedy nabyłem trochę praktyki, udało mi się strącać pęki owoców z palm przy plaży, rzucając kawałkami metalu i kamieniami w gałęzie. Kokosy okazały się bardzo przyteczne: ich mleko i miąższ urozmaiciły naszą dietę, puste skorupy służyły za pojemniki do różnych celów, a nawet z brązowych włókien przylegających do ich skorup można było utkać prymitywną tkaninę. Nie mam jednak wielkich zdolności do takich precyzyjnych prac i szczytem moich osiągnięć była czapka, którą sobie zrobiłem – o szerokim rondzie, przypominająca kapelusz kulisa.

Jednak, pomimo szczodrości morza i palm, nasz jadłospis był monotonny. Patrzyłem z zazdrością na soczyste stworzonka, które poruszały się, poza moim zasięgiem, wśród gałęzi nade mną.

Zbadałem przybrzeżny obszar morza. Wiele różnych stworzeń zamieszkiwało ten oceaniczny świat. Zaobserwowałem szerokie, rombowe cienie przesuwane po powierzchni wody, które uznałem za płaszczki, i dwukrotnie zauważyłem pionowo wystające płetwy o wysokości co najmniej stopy, które przesuwały się na wodzie i mogły jedynie oznaczać olbrzymie rekiny.

Zobaczyłem też falujący kształt, który pruł wodę w odległości około mili od lądu. Dostrzegłem białe ciało oraz szeroką, umocowaną jak na zawiasie szczękę wyposażoną w małe, ostre

zęby. Ta bestia miała jakieś pięć stóp długości i płynęła, wykonując faliste ruchy swoim krętym ciałem. Opowiedziałem o tym Nebogipfelowi. Odgrzebując trochę więcej encyklopedycznej wiedzy, którą miał zgromadzoną w swojej małej głowie, Morlok zidentyfikował zwierzę jako *Champsosaurusa*: starożytnie stworzenie spokrewnione z krokodylem, które przetrwało wiek dinozaurów, już dawno zastąpiony przez epokę paleoceńską.

Nebogipfel powiedział mi, że w tym okresie ssaki morskie z moich czasów – wieloryby, syreny i wiele innych – są w trakcie ewolucyjnej adaptacji do morza i żyją nadal jako duże, wolno poruszające się zwierzęta lądowe. Rozglądałem się uważnie za wygrzewającymi się w słońcu wielorybami lądowymi, gdyż na pewno zdołałbym upolować takie wolno poruszające się zwierzę, ale nigdy żadnego nie zobaczyłem.

Gdy po raz pierwszy zdjąłem łupki Morlokowi, rany wydawały się goić. Nebogipfel jednak zbadał stawy i orzekł, że kości zostały źle nastawione. Wcale mnie to nie zdziwiło, ale żaden z nas nie potrafił wymyślić sposobu, jak można by sytuację polepszyć. Mimo to, po pewnym czasie Nebogipfel mógł jako tako chodzić, korzystając z kuli wykonanej z odpowiednio ukształtowanej gałęzi; przyzwyczał się do utykania, chodząc po naszym małym obozowisku jak jakiś zasuszony czarownik.

Jednakże jego oko, które uszkodziłem podczas ataku w warsztacie samochodów czasu, nie zagoiło się i pozostało ślepe. Było to powodem mojego głębokiego żalu i wstydu.

Jako Morlok, biedny Nebogipfel czuł się bardzo niedobrze w silnym słońcu grzejącym za dnia. Dlatego spał w dzień w zbudowanym przeze mnie schronieniu i wstawał w nocy,

natomiast ja preferowałem światło dzienne. Tak więc każdy z nas spędzał bezsenne godziny sam. Spotykaliśmy się i rozmawialiśmy o zmierzchu i świcie, choć muszę przyznać, że po kilku tygodniach ciężkiej pracy fizycznej oraz przebywania na wolnym powietrzu i w upale byłem bardzo wyczerpany, kiedy słońce zachodziło.

Palmy miały szerokie liście i postanowiłem, że trochę ich zdobędę, zamierzając wykorzystać je do zbudowania lepszego schronienia. Ale wszystkie moje wysiłki związane z rzucaniem przedmiotów w drzewa spęzły na niczym, a nie miałem środków, by ściąć same drzewa. Zmuszony więc byłem rozebrać się do spodni i wdrapywać na palmy jak małpa. Gdy już znajdowałem się przy koronie drzewa, niedługo trwało zerwanie liści i upuszczenie ich na ziemię. Te wspinaczki były dla mnie wyczerpujące. Przebywając na świeżym powietrzu w pobliżu morza i w świetle słonecznym, nabierałem zdrowia i krzepkości, ale nie jestem już młody i wkrótce poznałem granice moich atletycznych możliwości.

Skonstruowałem solidniejsze schronienie, które składało się z opadłych gałęzi pokrytych zaplecionymi liśćmi. Zrobiłem też z liści szeroki kapelusz dla Nebogipfela. Kiedy Morlok siedział w cieniu, z tym kapeluszem zawiązanym pod brodą, lecz poza tym nagusieńki, wyglądał wręcz śmiesznie.

Jeżeli chodzi o mnie, to zawsze miałem bladą cerę, więc po kilku pierwszych dniach bardzo cierpiałem z powodu przebywania na słońcu i nauczyłem się ostrożności. Skóra zeszała mi z pleców, ramion i nosa. Zapuściłem gęstą brodę, żeby ochronić twarz, ale na moich ustach pojawiły się bardzo szkaradne pęcherze. Najgorzej jednak poparzyłem sobie łysinę na czubku głowy. Przyzwyczaiałem się do przemywania oparzeń

wodą i ciągłego noszenia kapelusza oraz tego, co pozostało z mojej koszuli.

Mniej więcej po miesiącu takiego życia, pewnego dnia, kiedy się goliłem (używając kawałków samochodu czasu jako brzytwy i lustra), zdałem sobie nagle sprawę z tego, jak bardzo się zmieniłem. Moje zęby i oczy odbijały się jaskrawą bielą na tle brązowej jak mahoń twarzy, brzuch był płaski jak za szkolnych czasów i chodziłem w kapeluszu z palmowych liści, skróconych spodniach i z gołymi stopami tak naturalnie, jakbym to robił od urodzenia.

Zwróciłem się do Nebogipfela.

– Spójrz na mnie! Moi przyjaciele mieliby trudności, by mnie rozpoznać. Przemieniam się w tubylca.

Jego twarz bez podbródka pozostała bez wyrazu.

– Jesteś tubylcem. To Anglia, przypominasz sobie?

Nebogipfel upierał się, żebyśmy przynieśli części rozbitego samochodu z lasu. Było to dla mnie logiczne, gdyż wiedziałem, że w nadchodzących dniach będziemy potrzebowali każdego skrawka surowców, zwłaszcza metali. Tak więc ocaliliśmy samochód i zgromadziliśmy jego resztki w dole w piasku. Gdy uporaliśmy się z najpilniejszymi potrzebami związanymi z przetrwaniem, Nebogipfel zaczął spędzać wiele czasu przy wraku. Z początku nie wypytywałem go zbyt szczegółowo, przypuszczając, że konstruuje jakieś dodatkowe wzmocnienie dla naszego schronienia lub może broń myśliwską.

Jednak pewnego ranka, gdy już zasnął, obejrzałem dokładnie jego dzieło. Zrekonstruował szkielet samochodu czasu. Rozłożył potrzaskaną podłogę i obudował ją klatką z prętów powiązanych kawałkami drutu odzyskanego z kolumny kierownicy. Znalazł

nawet niebieską dźwignię kolankową do zamykania obwodu plattnerytowego.

Gdy się obudził, zapytałem go bez ogródek:

– Próbujesz zbudować nowy wehikuł czasu, prawda?

Zatopił małe zęby w mięszu orzecha kokosowego.

– Nie. Odbudowuję stary.

– Twój zamiar jest oczywisty. Zrekonstruowałeś szkielec, w którym znajdował się niezbędny obwód plattnerytowy.

– Jak sam powiedziałaś, to oczywiste.

– Ależ to daremny trud, chłopie! – Spojrzałem na swoje zgrubiałe, krwawiące ręce i oburzyłem się, że Morlok zajmuje się takimi rzeczami, podczas gdy ja borykam się, by utrzymać nas przy życiu. – Nie mamy ani grama plattnerytu. Cały zapas, który mieliśmy podczas podróży, został wyczerpany albo i tak leży rozrzucony w dżungli. I nie mamy środków, by go wyprodukować.

– Jeżeli zbudujemy wehikuł czasu – powiedział – to tylko być może nie uda nam się uciec z tej epoki. Jeżeli jednak nie zbudujemy go, to na pewno nie uda nam się uciec.

Żachnąłem się.

– Nebogipfelu, chyba powinieneś spojrzeć realnie na fakty. Jesteśmy rozbitkami w odległej przeszłości. Nigdy tu nie znajdziemy plattnerytu, ponieważ ta substancja nie występuje w naturze. Nie możemy jej wytworzyć, a nikt nam jej nie przywiezie, bo nikt nie ma bladego pojęcia, że jesteśmy w tej erze!

Zamiast odpowiedzi polizał soczysty mięsz orzecha kokosowego.

– Uch! – Sfrustrowany i rozgniewany, zacząłem chodzić tam i z powrotem. – Lepiej byś włożył swoją pomysłowość i wysiłek

w skonstruowanie jakiejś broni dla mnie, żebym mógł ustrzelić kilka tych małąp.

– To nie są małąpy – sprostował. – Najczęściej spotykanymi gatunkami są *miacis* i *chriacits*...

– Obojętne, jak ich zwał... A niech to!

Odszedłem rozwścieczony.

Moje argumenty nie odniosły oczywiście żadnego skutku i Nebogipfel cierpliwie kontynuował odbudowę samochodu. Ale pomagał mi w wysiłkach, by utrzymać nas przy życiu i po pewnym czasie zaakceptowałem obecność prymitywnej maszyny – błyszczącej, skomplikowanej i całkowicie bezużytecznej – na tamtej paleocieńskiej plaży.

Doszedłem do wniosku, że wszyscy potrzebujemy nadziei, aby nasze życie miało sens i cel. Tamta maszyna, tak samo niezdolna do lotu jak wielka diatryma, stanowiła ostatnią nadzieję Nebogipfela.

Zachorowałem.

Nie mogłem wstać z prymitywnego siennika skleconego z palmowych liści, który sobie zrobiłem. Nebogipfel musiał mnie pielęgnować. Wypełniał ten obowiązek niezbyt umiejętnie, ale cierpliwie i wytrwale.

Pewnego razu, w środku czarnej nocy, odzyskałem częściowo przytomność, czując na twarzy i karku dotyk miękkich palców Morloka. Wyobraziłem sobie, że znów jestem uwięziony w piedestale białego sfinksa, a Morlokwie tłoczą się, by mnie zabić. Krzyknąłem. Nebogipfel uciekł do tyłu, ale zanim to zrobił, zdążyłem unieść pięść i grzmotnąć go w klatkę piersiową. Mimo osłabienia miałem dość siły, by zwalić Morloka z nóg.

To mnie wyczerpało i straciłem przytomność.

Po następnym przebudzeniu Nebogipfel znów był przy mnie, próbując cierpliwie nakłonić mnie do przełknięcia zupy z mięczaków.

W końcu odzyskałem świadomość i stwierdziłem, że leżę podparty na sienniku. Byłem sam w naszej chatce. Słońce stało nisko, ale całodzienny upał nadal dawał mi się we znaki. Nebogipfel zostawił obok mojego posłania skorupę orzecha napełnioną wodą. Napilem się.

Światło słoneczne przygasło i nasze schronienie ogarnęła

ciemność ciepłego, tropikalnego wieczoru. Zachód słońca był długi i wspaniały. Nebogipfel powiedział mi, że to z powodu nadmiaru popiołu wyrzucanego do atmosfery przez wulkany na zachodzie Szkocji. Pewnego dnia te wybuchy wulkaniczne doprowadzą do powstania Oceanu Atlantyckiego. Lawa docierała do Arktyki, Szkocji i Irlandii, a ciepła strefa klimatyczna, w której się znajdowaliśmy, rozciągała się na północ aż po Grenlandię.

Brytania była wyspą już w tej epoce paleoceńskiej, ale w porównaniu z jej dziewiętnastowiecznym ukształtowaniem północno-zachodni narożnik wznosił się na większą wysokość. Morze Irlandzkie jeszcze nie powstało, więc Brytania i Irlandia tworzyły jeden ląd, ale południowy wschód Anglii zalany był wodami morza, nad którym mieszkaliśmy. Moje paleoceńskie morze było przedłużeniem Morza Północnego. Gdybyśmy zdołali zbudować łódź, moglibyśmy przepłynąć przez Kanał La Manche i dotrzeć do serca Francji przez Basen Akwitański, klin wodny, który z kolei łączył się z Morzem Tetydowym – wielkim oceanem zalewającym kraje śródziemnomorskie.

Po nastaniu nocy Morlok wynurzył się z ciemności lasu. Przeciągnął się, rozciągając mięśnie bardziej jak kot niż człowiek, i rozmasował zranioną nogę. Potem przez kilka minut przeczesywał sobie palcami włosy na twarzy, klatce piersiowej i plecach.

W końcu podszedł do mnie utykając. Fioletowe światło zachodzącego słońca odbijało się od jego gwiazdzistych, popękanych gogli. Przyniósł mi wody. Po zwilżeniu ust szepnąłem:

- Jak długo?
- Trzy dni.

Z trudem powstrzymałem się od wzdrygnięcia na dźwięk jego

dziwnego, płynnego głosu. Można by pomyśleć, że już przywykłem do Morloka, ale po trzech dniach, w ciągu których leżałem bezradnie, doznałem pewnego wstrząsu, przypominając sobie, że z wyjątkiem tego obcego z odległej przyszłości jestem sam w tym wrogim świecie!

Nebogipfel przyrządził mi trochę zupy z mięczaków. Gdy skończyłem jeść, słońce już zaszło i jedyne światło dochodziło od sierpa księżyca, który wisiał nisko na niebie. Nebogipfel zdjął gogle i zobaczyłem, jak w ciemności chaty jego olbrzymie, szaroczerwone oko przypomina przeświecający cień księżyca.

– Chcę się dowiedzieć – odezwałem się – dlaczego zachorowałem.

– Nie jestem pewien.

– Nie jesteś pewien?

Zdziwiło mnie to niezwykle przyznanie się do własnych ograniczeń, gdyż rozległość i głębokość wiedzy Nebogipfela były nadzwyczajne. Wyobraziłem sobie umysł dziewiętnastowiecznego człowieka jako coś podobnego do mojego starego warsztatu: pełnego informacji, ale poukładanych dość chaotycznie, z otwartymi książkami i świstkami notatek oraz szkicami porzucanymi na wszystkich płaskich powierzchniach. W porównaniu z tym nieładem umysł Morloka – dzięki zaawansowanym technikom nauczania z roku 657 208 – uporządkowany był jak zawartość doskonałej encyklopedii, a księgi z wiadomościami empirycznymi i teoretycznymi skatalogowane i poukładane na półkach. To wszystko podnosiło praktyczną inteligencję i wiedzę do poziomu, o którym nie śniło się ludziom z moich czasów.

– Mimo to – dodał – nie powinien nas dziwić sam fakt choroby. Właściwie, dziwię się tylko, że nie zachorowałeś już wcześniej.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Odwrócił się do mnie.

– Że jesteś człowiekiem poza swoim czasem.

Nagle zrozumiałem, o co mu chodzi.

Zarazki zbierały żniwo ofiar ludzkich od samego początku. Zaiste, nawet w tych zamierzchłych czasach zabijały przodków człowieka. Ale z powodu tego ponurego przesiewu naszej rasy rozwinęła się u nas odporność. Nasze ciała walczą ze wszystkimi zarazkami i na niektóre uodparniają się całkowicie.

Wyobraziłem sobie wszystkie pokolenia ludzi, które miały się pojawić dopiero po zakończeniu tej prehistorycznej ery, te podobne do robaczków świętojańskich duszyczki ludzkie, które będą migotać jak iskierki, nim zostaną pogaszone na zawsze! Ale te maluczkie zmagania nie będą daremne, gdyż tym żniwem śmierci biliona istot człowiek kupi sobie prawo do Ziemi, przysługujące mu z tytułu urodzenia.

W przypadku Morloka sprawa wyglądała inaczej. W stuleciu Nebogipfela nie pozostanie już zbyt wiele z archetypu człowieka. Nebogipfel powiedział mi wcześniej, że wszystko w Morloku – kości, ciało, płuca, wątroba – zostało skorygowane, by stworzyć idealną równowagę między długowiecznością i pełnią życia. Nebogipfel mógł zostać zraniony, czego byłem świadkiem, ale – według niego – jego ciało było podatne na zarażenie nie bardziej niż zbroja. I rzeczywiście, nie dostrzegłem oznak infekcji ani w jego nodze, ani w oku. Przypomniałem sobie, że w pierwotnym świecie Elojów i Morloków znaleziono inne rozwiązanie, gdyż tam też nie widziałem żadnych chorób czy zakażeń, a także niewiele oznak gnicia, i domyśliłem się, że jest to świat oczyszczony ze szkodliwych bakterii.

Ja jednak nie posiadałem w sobie takiej ochrony.

Po moim pierwszym zetknięciu się z chorobą Nebogipfel zwrócił uwagę na bardziej subtelne aspekty naszych potrzeb związanych z przetrwaniem. Wysłał mnie po artykuły uzupełniające naszą dietę, w tym orzechy, bulwy, owoce i jadalne grzyby. Dodaliśmy to wszystko do podstawowych potraw z ryb i skorupiaków morskich oraz mięsa zwierząt i ptaków na tyle głupich, by dać się upolować za pomocą procy i kamieni. Nebogipfel spróbował również spreparować proste leki: kataplazmy, herbaty ziołowe i tym podobne.

Moja choroba bardzo mnie przygnębiła, gdyż było to niebezpieczeństwo podróžowania w czasie, które nie przyszło mi przedtem na myśl. Zadrżałem i objąłem ramionami swoje nadal osłabione ciało. Moja siła i inteligencja mogły odeprzeć diatrymę oraz innych drapieżców paleocenu, ale nie były w stanie zapewnić mi żadnej obrony przed atakami niewidzialnych potworów znajdujących się w powietrzu, wodzie i ciele.

Gdybym choć trochę znał tropikalne warunki przed naszym pobytem w paleocenie, być może byłbym przygotowany na burzę.

Dzień był duszny i bardziej wilgotny niż zwykle, a powietrze w pobliżu morza odznaczało się dziwną jasnością, którą człowiek kojarzy z nadchodzącą zmianą pogody. Tego wieczora, wyczerpany pracą i w złym samopoczuciu, z radością położyłem się na sienniku. Na początku jednak upał był tak wielki, że nie mogłem zasnąć.

Obudził mnie powolny grzechot kropli deszczu padających na nasz prowizoryczny dach z liści palmowych. Słyszałem deszcz, który padał w lesie za nami – wodne kule uderzające w liście – i bił w piasek na plaży. Nie słyszałem i nie widziałem Nebogipfela. To była najciemniejsza część nocy.

A potem zerwała się burza.

To było tak, jakby otwarto jakąś pokrywę w niebie. Spadły galony deszczowej wody i po chwili nasz dach z liści palmowych się zawalił. Szczątki naszej lichej chaty runęły wokół mnie i przemokłem do suchej nitki. Nadal leżałem na plecach i patrzyłem na proste trajektorie kropli deszczu, które ginęły w otchłani przesłoniętego przez chmury nieba.

Usiłowałem wstać, ale przeszkadzały mi przesiąknięte wodą liście z dachu. Mój siennik przemienił się w zabłoconą maź.

Wkrótce pokryła mnie warstwa błota i brudu. Woda waliła mnie w głowę i spływała mi do oczu, przez co byłem prawie ślepy.

Kiedy zdołałem wreszcie wstać, przeraziła mnie łatwość, z jaką nasze schronienie się zapadało. Wszystkie rozporki pospadały lub szaleńczo się przechylały. Dostrzegłem pudełkowaty kształt zrekonstruowanej przez Nebogipfela maszyny czasu, ale w tej chwili była już ona prawie pogrzebana wśród szczątków chaty.

Odgarniając liście i kawałki płótna, sprawdziłem wewnątrz tego przemoczonego, śliskiego wraka. Znalazłem Nebogipfela. Z włosami przyklejonymi do ciała i kolanami przyciągniętymi do klatki piersiowej wyglądał jak gigantyczny szczur. Zgubił gogle i drżał, był całkiem bezradny. Odczułem ulgę, że tak łatwo go znalazłem, gdyż zwykle to właśnie w nocy funkcjonował i mógł być dosłownie wszędzie w promieniu mniej więcej mili od chaty.

Pochyliłem się, żeby go wziąć na ręce, ale odwrócił się do mnie twarzą, ukazując ciemny oczodół po utraconym oku.

– Samochód czasu! Musimy ratować samochód czasu!

W hałasie burzy jego płynny głos był prawie niesłyszalny. Znow wyciągnąłem do niego ręce, ale odsunął się ode mnie resztkami sił.

Czując grad kropli deszczu na głowie, warknąłem na znak protestu, ale ochoczo przebrnąłem przez szczątki naszego domu do konstrukcji Nebogipfela. Usunąłem z niej mnóstwo liści i stwierdziłem, że rama pogrąży się w błocie, wraz z ubraniami, filizankami i resztkami naszych prowizorycznych mebli. Chwyciłem pionowe elementy ramy i spróbowałem wyciągnąć maszynę z błota, ale udało mi się tylko powykrzywić ramę, a potem poodrywać jej narożniki.

Wyprostowałem się i rozejrzałem. Chata była już niemal

doszczętnie zdemolowana. Zobaczyłem, że woda zaczyna wypływać z lasu, zalewając piasek i podążając ku oceanowi. Nawet nasz przyjazny strumień ze świeżą wodą robił się coraz szerszy, bardziej gniewny i groził, że wystąpi ze swoich płytkich brzegów i nas zaleje.

Zostawiłem samochód czasu i podszedłem do Nebogipfela.

– To już koniec – krzyknąłem do niego. – Musimy stąd uciekać.

– Ale machina czasu...

– Musimy ją zostawić! Nie rozumiesz? Jeśli pójdzie tak dalej, zostaniemy zepchnięci do morza!

Usiłował wstać. Kosmyki jego włosów zwisały jak kawałki przemoczonej tkaniny. Chciałem go chwycić, a on próbował wyrwać się z mojego uścisku. Gdyby był zdrowy, być może zdołałby mi uciec, ale przeszkadzała mu chora noga i bez trudu złapałem go.

– Nie mogę jej uratować! – krzyknąłem mu w twarz. – Będziemy mieli szczęście, jeśli zdołamy ująć z tego z życiem!

Po tych słowach przerzuciłem go sobie przez ramię i wyszedłem z chaty, zmierzając do lasu. Od razu zobaczyłem, że brnę przez kilkunastocentymetrową warstwę zimnej, bagnistej wody. Wiele razy poślizgnąłem się na grząskim piasku, ale bez przerwy trzymałem jedną ręką wijące się ciało Morloka.

Dotarłem do skraju lasu. Pod osłoną baldachimu liści deszcz nie zacinał już tak mocno. Nadal otaczała mnie czerń i musiałem posuwać się w ciemności, potykając się o korzenie i zderzając z pniami. Ziemia pod moimi stopami była rozmokła i zdradliwa. Nebogipfel przestał się szamotać i leżał spokojnie na moim ramieniu.

Wreszcie dotarłem do drzewa, które wydało mi się znajome: grube i stare, z nisko zwieszonymi bocznymi gałęziami, które

wyrastały z pnia na wysokości nieco powyżej głowy. Przerzuciłem Morloka przez gałąź. Zwisał z niej jak przemoczony płaszcz. Następnie sam podciągnąłem się z ziemi – z pewnym wysiłkiem, bo wieki minęły od czasu, kiedy ostatni raz wspinałem się na drzewa – i usadowiłem na gałęzi, opierając plecy o pień.

Pozostaliśmy tam aż do końca burzy. Trzymałem rękę na plecach Morloka, żeby mieć pewność, że nie spadnie lub nie spróbuje wrócić do chaty. Musiałem znieść strumienie wody, które spływały po pniu drzewa i zalewały mi plecy oraz ramiona.

Świt uwydatnił dziwne piękno tego lasu. Spoglądając do góry na baldachim, dostrzegłem, jak deszcz ścieka po liściach, a następnie po pniach ku ziemi. Nie jestem botanikiem, ale teraz zobaczyłem, że las przypomina wielką maszynę, którą zaprojektowano tak, aby przetrwała ataki takiej burzy znacznie lepiej niż prymitywne konstrukcje człowieka.

Gdy napłynęło światło, oddarłem pasek z resztek moich spodni – nie miałem na sobie koszuli – i obwiązałem nim twarz Nebogipfela, żeby ochronić jego oczy. Nie poruszył się.

Deszcz ustał w południe i zdecydowałem, że można zejść. Zdjąłem Nebogipfela na ziemię. Mógł chodzić, ale musiałem go prowadzić za rękę, gdyż bez gogli był ślepy.

Po wyjściu z dżungli zobaczyłem, że dzień jest pogodny, a powietrze orzeźwiające. Od morza wiał przyjemny wietrzyk, a po prawie angielskim niebie szybowały lekkie obłoki. Wyglądało to tak, jakby świat narodził się na nowo; po wczorajszej ciężkiej atmosferze nie było śladu.

Trochę niechętnie zbliżyłem się do szczątków chaty. Kawalki rozbitej konstrukcji, dziwaczny puchar ze skorupy orzecha kokosowego i pozostałe przedmioty zagrzebane były do połowy

w wilgotnym piasku. Pośrodku tego wszystkiego zobaczyłem małą diatrymę, która niezdarnie dziobała resztki. Krzyknąłem: „A sio!” i pobiegłem naprzód, klaszcząc w dłonie nad głową. Ptasia bestia uciekła. Fałdy jej obwisłego, żółtego ciała kołysały się przy tym na boki.

Pogrzebałem w gruzach. Większość naszego dobytku przepadła – została zmyta. To prawda, że nasze schronienie było nędzne, a przedmioty, które uważaliśmy za swój majątek, sklecone bądź naprawione na poczekaniu, ale był to nasz dom. Naruszenie naszej prywatności wstrząsnęło mną.

– Co z machiną? – zapytał mnie Nebogipfel, obracając obwiązaną twarz w różne strony. – Co z samochodem czasu?

Pogrzebałem trochę w ziemi i znalazłem kilka rozperek, rurek oraz płytek, kawałki pogruchotanego spiżu armatniego, które były jeszcze bardziej zniszczone niż przedtem. Jednak kadłub samochodu został zmyty do morza. Z zamkniętymi oczami Nebogipfel pomacał palcami szczątki.

– No cóż – stwierdził – będzie musiało wystarczyć to co zostało.

Usiadł na piasku, poszukał po omacku kawałków płótna i pnączy, po czym jeszcze raz zaczął cierpliwie budować machinę czasu.

Po burzy nie udało nam się nigdy odzyskać gogli Nebogipfela i okazało się to dużym utrudnieniem dla Morloka. Ale nie narzekał. Tak jak dotychczas, za dnia nie oddalał się od cienia, a jeśli musiał wychodzić przed nastaniem zmierzchu lub o świcie, zakładał kapelusz z szerokim rondem i ukrywał oczy pod maską ze szparami, którą zrobiłem mu ze zwierzęcej skóry, aby mógł cokolwiek widzieć.

Burza była dla mnie wstrząsem zarówno psychicznym jak i fizycznym, gdyż do tamtej pory wydawało mi się, że zabezpieczyłem się przed nieszczęściami, które mogły na mnie spaść w tym świecie. Zdecydowałem, że musimy sobie zapewnić większe bezpieczeństwo. Po namyśle doszedłem do wniosku, że trzeba zbudować solidną chatę na palach – po to, żeby nie zalała jej woda w trakcie przyszłych deszczów monsunowych. Nie mogłem jednak liczyć na to, że opadłe gałęzie będą odpowiednim budulcem, gdyż często były pokrzywione i czasami zbutwiałe. Potrzebowałem pni, a do tego potrzebna mi była siekiera.

Tak więc zabawiłem się w geologa-amatora, krążąc po okolicy w poszukiwaniu odpowiednich skał. Wreszcie w warstwie zwirowatej gleby na obszarze Hampstead Heath znalazłem kilka ciemnych, obłych krzemieni oraz czertów. Pomyślałem, że te gruzy musiała tu nanieść jakaś rzeka, której już nie ma.

Zaniosłem te skarby do obozowiska, obchodząc się z nimi tak

ostrożnie, jakby były ze złota lub czegoś jeszcze cenniejszego, gdyż złoto nie miałoby dla mnie żadnej wartości.

Zabrałem się do rozbijania krzemieni na plaży. Musiałem przeprowadzić sporo eksperymentów i zmarnowałem dość dużo krzemieni, nim odkryłem, jak rozłupywać bryły wzdłużnie, by ukształtować długie, ostre krawędzie. Robiłem to niezdarnie i niewprawnie. Dawniej zdumiewały mnie wyczelowane groty strzał i ostrza siekier, które wystawione są w szklanych gablotach w naszych muzeach, ale dopiero wtedy, gdy sam próbowałem zrobić takie narzędzia, zrozumiałem, jak wielkie umiejętności i zmysł praktyczny posiadali nasi przodkowie w epoce kamienia gładzonego.

Wreszcie zrobiłem ostrze, które uznałem za zadowalające. Przymocowałem je do krótkiego kawałka drewna, przywiązując paskami ze zwierzęcej skóry, i w wesołym nastroju ruszyłem do lasu.

Po niespełna piętnastu minutach wróciłem ze szczątkami siekiery w ręku. Roztrzaskała się przy drugim uderzeniu, robiąc zaledwie rysę na korze drzewa!

Jednak po dalszych eksperymentach zrobiłem siekiere właściwie i wkrótce ścinałem młode, proste drzewka.

Zdecydowałem, że nadal będziemy obozować na plaży, ale zadbałem o to, żeby nasza chata znajdowała się wysoko nad poziomem przyływu i żeby nie zagrażała jej powódź wskutek wezbrania wód strumienia. Wykopanie dołów pod fundamenty na głębokość, która mnie zadowalała, zabrało mi sporo czasu, ale w końcu wzniosłem kwadratowy szkielet z pionowych, bezpiecznie umocowanych pali, na których rozłożyłem platformę złożoną z powiązanych ze sobą cienkich kłód na wysokości mniej więcej jarda nad ziemią. Podłoga ta była nierówna

i postanowiłem, że pewnego dnia rozwinę swoje umiejętności w dziedzinie stolarstwa. Kiedy jednak położyłem się spać w nocy, podłoga wydawała się solidna i bezpieczna i uspokajała mnie myśl, że nie leżymy bezpośrednio na ziemi, na której czyhały rozmaite niebezpieczeństwa. Prawie pragnąłem nadejścia kolejnej burzy, by przetestować moją nową konstrukcję!

Po drabinie, którą dla niego zbudowałem, Nebogipfel wniósł szczątki samochodu czasu na platformę i tam kontynuował uparcie odbudowę maszyny.

Idąc pewnego dnia przez las, dostrzegłem parę jasnych oczu, które patrzyły na mnie uważnie z nisko zawieszanej gałęzi.

Zwolniłem kroku, starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów, i zdjąłem łuk z pleców.

Mały stwór miał ze cztery cale długości i przypominał miniaturowego lemura. Jego ogon i pysk nasuwały na myśl gryzonia. Widać było wyraźnie ostre siekacze i miał zakończone pazurami stopy oraz podejrzliwy wzrok. Albo był taki inteligentny, że wydawało mu się, iż nie zwrócę na niego uwagi, jeśli pozostanie w bezruchu, albo tak głupi, że nie spodziewał się żadnego zagrożenia z mojej strony.

Zaledwie chwilę trwało, nim naciągnąłem strzałę i wystrzeliłem.

Dzięki praktyce moje umiejętności polowania oraz zastawiania sideł bardzo się rozwinęły i pętle oraz pułapki, które stosowałem, odnosiły całkiem dobry skutek. Nie było tak jednak w przypadku moich łuków i strzał. Konstrukcja moich strzał była dość solidna, ale nigdy nie znalazłem odpowiednio giętkiego drewna na łuki. I na ogół, zanim niezdarnie naciągnąłem łuk, większość upatrzonych zwierząt, rozbawionych moimi

błazeństwami, zdążyło się schronić.

Ale nie ten stworek! Patrzył z umiarkowaną ciekawością, kiedy moja krzywa strzała mknęła w jego kierunku. Po raz pierwszy dobrze wycelowałem i krzemienny grot przyszpilił jego ciało do pnia drzewa.

Wróciłem do Nebogipfela, dumny z upolowanego zwierzęcia, gdyż ssaki były nam bardzo potrzebne, nie tylko jako źródło mięsa, ale także z powodu futra, zębów, tłuszczu i kości. Przez maskę z wyciętymi szparami Nebogipfel przyjrzał się małym zwłokom stworzenia podobnego do gryzonia.

– Być może upoluję ich więcej – powiedziałem. – To stworzonko właściwie do samego końca nie rozumiało, w jakim niebezpieczeństwie się znajduje. Biedactwo!

– Czy wiesz, co to za zwierzę?

– No powiedz.

– Przypuszczam, że to *Purgatoriis*.

– A zatem?

– Należy do naczelných. Najwcześniejszych, jakie znamy – powiedział z rozbawieniem.

Zakląłem.

– Myślałem, że mam to wszystko już za sobą. Ale nawet w tym paleocenie człowiek nie może się ustrzec przed krewniakami! – Przyjrzałem się malutkim zwłokom. – A więc to jest przodek małpy, człowieka i Morloka! Z tego niewiele znaczącego, małego żołądka wyrośnie dąb, który przygniecie nie tylko Ziemię, lecz wiele innych światów... Ciekaw jestem, ilu ludziom, narodom i gatunkom dałoby początek to skromne stworzonko, gdybym go nie zabił. Może jeszcze raz zniszczyłem własną przeszłość!

– Obaj nie możemy się ustrzec przed oddziaływaniem na historię – powiedział Nebogipfel. – Każdy nasz oddech, każde

ścięte przez ciebie drzewo, każde zwierzę, które zabijamy, powodują, że tworzymy nowy świat w wielorakości światów. Tak to wygląda. To nieuniknione.

Po tym wyjaśnieniu wręcz nie mogłem dotknąć ciała biednego stworzenia. Zniosłem je do lasu i zakopałem.

Pewnego dnia poszedłem wzdłuż naszego małego, czystego strumienia na zachód, w kierunku jego źródła, zagłębiając się w krainie.

Wybrałem się o świcie. Z dala od wybrzeża woń soli i ozonu osłabła i została zastąpiona przez zapachy gorącego, wilgotnego lasu porośniętego drzewami *dipterocarps* oraz odurzający aromat stłoczonych kwiatów. Droga nie była łatwa, ponieważ pod stopami miałem warstwę gęstej roślinności. W powietrzu unosiła się znacznie większa wilgoć i wkrótce moja czapka z włókien kokosu była przemoczona. W gęstniejącym powietrzu odgłosy wokół mnie – szelest roślin i nieustanne trele oraz pokasywania rozlegające się w lesie – przybrały głębszy ton.

Jeszcze przed południem przemierzyłem dwie lub trzy mile i dotarłem gdzieś w okolice Brentford. Znalazłem tu szerokie, płytkie jezioro, z którego oprócz naszego strumienia wypływało wiele innych, a z kolei jezioro było zasilane przez szereg pomniejszych strumyków i rzek. Wokół tego oddzielonego zbiornika wodnego rosły drzewa, a do ich pni i niższych gałęzi przywarły pnącza, włącznie z niektórymi, które rozpoznałem jako dynie i luffy. Woda była ciepła i słonawa. Nie odważyłem się jej pić, ale w lagunie roiło się od przeróżnych form życia. Powierzchnię wody pokrywały zgrupowania olbrzymich lilii w kształcie odwróconych butelek, o szerokości mniej więcej sześciu stóp – przypominały rośliny, które widziałem

w pawilonie nenufarów Turnera w Royal Botanic Gardens w Kew. (Uznałem to za ironię, że Kew znajdowało się nie dalej niż milę od miejsca, w którym stałem!) Spodki lilii wyglądały na dość silne i elastyczne, bym mógł na nich stanąć, ale nie odważyłem się sprawdzić tego w praktyce.

Zaledwie kilka minut zabrało mi sklecenie na poczekaniu wędki, którą zrobiłem z długiego, prostego, młodego drzewka. Przyczepiłem do niej linkę i na haczyk z metalowej części samochodu czasu nadziałem robaka.

Po kilku minutach nagrodzony zostałem energicznymi pociągnięciami linki. Uśmiechnąłem się szeroko na myśl o zazdrości niektórych moich przyjaciół-wędkarzy – na przykład kochanego, starego Filby’ego – że odkryłem tę nie odłowioną oazę.

Wieczorem rozpałem ognisko i nieźle się posiliłem smażoną rybą i bulwami.

Krótko przed świtem obudziło mnie dziwne pohukiwanie. Usiadłem i rozejrzałem się dokoła. Ogień prawie zgasł. Słońce jeszcze nie wstało, a niebo miało ten nieziemski, szaroniebieski odcień, który zwiastuje nowy dzień. Nie było wiatru i nie poruszał się żaden liść. Ciężka mgła wisiała nieruchomo nad wodą.

Po chwili rozpoznałem grupę ptaków, które obsiadły jezioro w odległości stu jardów ode mnie. Ich pióra były ciemnobrązowe i każdy z nich miał takie długie nogi jak flaming. Stąpały w wodzie przy brzegu jeziora lub stały nieruchomo na jednej nodze jak rzeźby. Miały głowy takie jak kaczki z moich czasów i zanurzały te znajomo wyglądające dzioby pod pobłyskującą powierzchnią oraz przesuwały je w wodzie, najwidoczniej poszukując jedzenia.

Mgła nieco ustąpiła i moim oczom ukazał się większy obszar jeziora. Zobaczyłem teraz wielkie stado tych stworzeń (które Nebogipfel później zidentyfikował jako *Presbyornis*) – tysiące ptaków wchodzących w skład wielkiej, niepoliczalnej kolonii. W podobnej do pary mgiełce poruszały się jak duchy.

Powiedziałem sobie, że ten krajobraz wcale nie jest bardziej egzotyczny od skrzyżowania Gunnersbury Avenue i Chiswick High Road, a jednak trudno było sobie wyobrazić widok bardziej niepodobny do Anglii!

Kiedy dni upływały w tamtej pełnej życia duchocie, moje wspomnienia Anglii roku 1891 wydawały się coraz bardziej odległe i nieistotne. Największe zadowolenie znajdowałem w budowaniu, polowaniu i zbieractwie. Wszechogarniające ciepło słońca i świeżość morza dawały mi poczucie zdrowia, siły i zatraconej w młodości bezpośredniości zmysłowych doznań. Postanowiłem, że kończę z myśleniem. W tym złożonym, paleoceńskim świecie były tylko dwa świadome umysły i doszedłem do wniosku, że od teraz mój nie przyniesie mi wiele dobrego, z wyjątkiem utrzymywania mnie przy życiu jeszcze przez jakiś czas.

Nadeszła pora, by do głosu doszło serce i ciało. I wraz z upływem dni stawałem się coraz bardziej świadomy wielkości świata, ogromu czasu i małości własnej osoby oraz moich trosk na tle tej wielorakiej panoramy historii. Nie byłem już ważny, nawet dla siebie. Zrozumienie tego przypominało wyzwolenie duszy.

Po pewnym czasie nawet śmierć Mojżesza przestała mnie nękać.

Nagle zbudził mnie wrzask Nebogipfela. Podniesiony głos Morloka przypomina bulgot, dziwny i dość przerażający.

Usiadłem w chłodnej ciemności i przez chwilę wyobrażałem sobie, że jestem w łóżku we własnym domu na Petersham Road, ale poczułem zapachy i usłyszałem odgłosy paleoceńskiej nocy.

Wygramoliłem się z siennika i zeskoczyłem z podłogi na piasek. Noc była bezksiężycowa, a ostatnie gwiazdy bladły na niebie, zapowiadając wschód słońca. Morze falowało łagodnie, a ściana lasu była czarna i nieruchoma.

W tym zimnym, przesiąkniętym błękitem spokoju Morlok utykał w moim kierunku, przesuwał się wzdłuż plaży. Zgubił kulę i wydawało mi się, że z ledwością może ustać, nie mówiąc już o biegu. Miał zmierzwiłone, rozwiane włosy i zgubił maskę. Jeszcze kiedy biegł, dostrzegłem, że musi unosić ręce, by osłonić swoje olbrzymie, wrażliwe oczy.

A za nim, w pościgu...

Miał jakieś dziesięć stóp długości i w sumie przypominał krokodyla, ale jego nogi były długie i gibkie, dzięki czemu poruszał się jak galopujący koń, całkiem niepodobnie do krokodyli z moich czasów – pościg i bieg najwyraźniej były dla tego stwora rzeczą zupełnie naturalną. Jego wąskie oczy utkwione były w Morloku i kiedy potwór otworzył usta, zobaczyłem rzędy ostrych jak piła zębów.

Koszmarna zjawia znajdowała się zaledwie kilka jardów od Nebogipfela!

Wrzasnąłem i ruszyłem do akcji, machając rękoma, ale już w chwili, kiedy to robiłem, wiedziałem, że Nebogipfel zginie. Bolałem nad Morlokiem, ale – ze wstydem to odnotowuję – pomyślałem najpierw o sobie, gdyż po jego śmierci zostałem sam w tym bezmyślnym paleocenie...

I to właśnie w tamtej chwili, z zaskakującą wyrazistością, rozległ się strzał ze skraju lasu.

Wydaje mi się, że pierwsza kula nie trafiła bestii, ale spowodowała, że potwór odwrócił wielki łeb i przestał tak szybko przebierać potężnymi nogami.

Morlok upadł jak długi na piasku, ale wsparł się na łokciach i zaczął czołgać na brzuchu.

Padł drugi, a potem trzeci strzał. Krokodyl wzdrygnął się, kiedy kule uderzyły w jego cielsko. Spojrzał buntowniczo na las, rozwarł szczęki najeżone ostrymi zębami i wydał ryk, który niczym grzmot odbił się echem od drzew. Następnie stwór ruszył z determinacją w kierunku źródła tych niespodziewanych ciosów.

Z lasu wynurzył się niski, krępy mężczyzna w szarym mundurze. Ponownie uniósł karabin, wycelował w krokodyla i czekał spokojnie na zbliżającą się bestię.

Dotarłem do Nebogipfela i postawiłem go na nogi. Drżał. Staliśmy na piasku i czekaliśmy, aż dramatyczna scena dobiegnie końca.

Krokodyl był nie dalej niż dziesięć jardów od żołnierza, kiedy padł kolejny strzał. Krokodyl potknął się – dostrzegłem krew spływającą z jego pyska – ale natychmiast energicznie się podniósł. Huknęły kolejne strzały i kule po kolei wbijały się

w olbrzymie cielsko.

Wreszcie w odległości mniejszej niż dziesięć jardów stwór runął na ziemię, kłapiąc wielką paszczą, a żołnierz – spokojny, jak gdyby nigdy nic – odsunął się na bok, robiąc bestii miejsce.

Odnalazłem maskę Nebogipfela, po czym obaj ruszyliśmy szlakiem krokodyla w górę plaży. Potwór rozrył piasek pazurami, kilka ostatnich śladów oznaczonych było śliną, śluzem i parującą krwią. Z bliska krokodyl wyglądał jeszcze bardziej przerażająco. Oczy i paszczę miał szeroko rozwarte. Kiedy dogorywał, olbrzymie mięśnie jego tylnych nóg drgały, a kopyta waliły o piasek.

Morlok obejrzał dokładnie gorące cielsko.

– *Pristichampus* – stwierdził niskim głosem podobnym do bulgotu.

Nasz zbawca stał z nogą wspartą na drgających zwłokach bestii. Miał mniej więcej dwadzieścia pięć lat, wyraźnie zarysowane szczęki i szczere spojrzenie. Mimo że otarł się o śmierć, wyglądał na całkiem spokojnego. Uśmiechnął się do nas ujmująco i zobaczyłem, że jest szczerbaty. Jego mundur składał się z brązowych spodni, ciężkich butów i bluzy w kolorze khaki, a na głowie miał zawadiacko nasunięty niebieski beret. Przypuszczałem, że może pochodzić z każdej epoki czy wersji historii, ale wcale mnie nie zdziwiło, kiedy młodzieniec odezwał się potocznym angielskim bez naleciałości obcego akcentu:

– Cholernie paskudny stwór, nieprawdaż? Twarda sztuka. Czy zauważyliście, że musiałem mu strzelić w pysk, zanim padł? A nawet jeszcze wtedy parł do przodu. Trzeba mu oddać sprawiedliwość: był niezgorszym przeciwnikiem!

W obliczu jego spokoju i oficerskich manier poczułem się niezręcznie i dość głupkowato w moim odzieniu ze skóry i z nie

ogoloną twarzą. Wyciągnąłem rękę.

– Chyba zawdzięczam panu życie mojego towarzysza.

Uścisnął moją dłoń.

– Nie ma o czym mówić. – Uśmiechnął się szeroko. – Jak sądzę, pan... – Tu wymienił moje nazwisko. – Wie pan, zawsze chciałem to powiedzieć!

– A pan jest...?

– Och, przepraszam. Nazywam się Gibson. Podpułkownik lotnictwa Guy Gibson. Jestem zachwycony, że pana odnalazłem.

Okazało się, że Gibson nie jest sam. Założył karabin na ramię, odwrócił się i skinął ręką w kierunku ciemnej dżungli.

Z półmroku wyszło dwóch żołnierzy. Koszule obładowanych mężczyzn były przesiąknięte potem i kiedy wkroczyli w napływające światło dnia, wydawali się bardziej podejrzliwi w stosunku do nas i bardziej skrępowani od podpułkownika lotnictwa. Obaj byli Hindusami – sipajami, żołnierzami Imperium. Mieli błyszczące, czarne oczy o zawziętym wyrazie, turbany na głowach i krótko przycięte bródki. Ubrani byli w drelichowe koszule i szorty w kolorze khaki. Jeden dźwigał ciężki karabin maszynowy na plecach i miał przy pasie dwie ciężkie, skórzane torby, najwidoczniej z amunicją do tej broni. Ich duże, srebrzyste epolety lśniły w paleoceńskim świetle słonecznym. Spojrzeli na ścierwo *Pristichampusa* z nie ukrywanym okrucieństwem.

Gibson powiedział nam, że wraz z tymi żołnierzami poszedł na zwiad. Oddalili się na mniej więcej milę od bazy, która usytuowana była w głębi kraju. (Zdziwiło mnie, że Gibson nie przedstawił żołnierzy po imieniu. Na tamtej odosobnionej plaży w paleoceńskim świecie, w którym znajdowała się zaledwie garstka ludzi, ta drobna niegrzeczność – spowodowana różnicą stopni wojskowych, do której Gibson najwyraźniej przywiązywał dużą wagę – wydawała mi się niedorzecznością!)

Jeszcze raz podziękowałem Gibsonowi za uratowanie Morloka i zaprosiłem go na śniadanie w naszym schronieniu.

– To niedaleko, idąc wzdłuż plaży – wyjaśniłem, pokazując ręką. Gibson spojrział w tamtym kierunku, osłaniając dłonią oczy.

– Cóż, konstrukcja wygląda na dość solidną.

– Solidną? No myślę! – odparłem i wdałem się w długi, dość obszerny wywód o naszym nie dokończonym schronieniu, z którego byłem przesadnie dumny, i o tym, jak udało nam się przeżyć w paleocenie.

Guy Gibson założył ręce za plecami i słuchał z kamiennym, uprzejmym wyrazem twarzy. Sipaje obserwowali mnie, zaintrygowani i podejrzliwi, trzymając ręce w pobliżu broni.

Po kilku minutach dostrzegłem z opóźnieniem obojętność Gibsona. Przesiałem paplać.

Gibson rozejrzał się bystro po plaży.

– Uważam, że poradził pan tu sobie nadzwyczaj dobrze. Nadzwyczaj. Przypuszczam, że po kilku tygodniach takiego życia w stylu Robinsona Crusoe zwariowałbym z powodu samotności. Puby zostaną otwarte dopiero za pięćdziesiąt milionów lat!

Uśmiechnąłem się na jego żart – nie podzielałem jego wesołości – i poczułem się zażenowany z powodu mojej przesadzonej dumy z takich marnych osiągnięć w obliczu tego ideału kompetencji.

– Ale proszę posłuchać – ciągnął łagodnym tonem Gibson. – Czy nie uważa pan, że lepiej by było, gdyby pan wrócił z nami do bazy oddziału ekspedycyjnego? Przecież przybyliśmy tu, żeby pana odnaleźć. Mamy przyzwoite zapasy, nowoczesne narzędzia i wszystko inne. – Zerknął na Nebogipfela i dodał nieco bardziej niepewnym tonem: – I być może lekarz zdoła pomóc temu biedakowi. Czy jest tu coś, czego potrzebujecie? Zawsze możemy

wrócić później.

Oczywiście, nie było niczego takiego – nie czułem potrzeby, by jeszcze kiedykolwiek przemierzać tych kilkaset jardów z powrotem wzdłuż plaży! – ale wiedziałem, że wraz z przybyciem Gibsona i jego żołnierzy moja krótkotrwała idylla dobiegła końca. Spojrzałem Gibsonowi w twarz, która była szczerą i świadczyła o jego praktycznym podejściu, i wiedziałem, że nigdy nie zdołam znaleźć słów, by uświadomić mu, jak wielką odczuwam stratę.

Z sipajami na czele i Morlokiem wspartym na moim ramieniu ruszyliśmy w głąb dżungli.

Z dala od wybrzeża powietrze było parne i wilgotne. Szliśmy gęsiego. Jeden sipaj był z przodu, jeden z tyłu, a Gibson, Morlok i ja w środku. Przez dużą część drogi niosłem wątłego Morloka w ramionach. Sipaje ciągle obrzucali nas podejrzliwymi, ukradkowymi spojrzeniami, choć po pewnym czasie odsunęli ręce od parcianych kabur. Przez całą drogę nie odezwali się słowem ani do mnie, ani do Nebogipfela.

Ekspedycja Gibsona przybyła z roku 1944 – sześć lat po naszym wyjeździe w chwili napaści Niemców na londyńską kopułę.

– Czy wojna nadal trwa?

– Niestety tak – odparł ponurym tonem. – Oczywiście, zareagowaliśmy na ten brutalny atak na Londyn. Odpłaciliśmy im pięknym za nadobne.

– Czy pan też brał udział w tych działaniach?

Spojrzał – najwyraźniej mimowolnie – na baretki przyszyte do piersi munduru. Nie rozpoznałem ich w tamtej chwili – nie jestem fanatykiem wojska, a zresztą niektórych tych odznaczeń

jeszcze nie było za moich czasów – ale dowiedziałem się później, że był to Order Za Wzorową Służbę i Krzyż Wzorowego Lotnika; faktycznie wysokie odznaczenia, zwłaszcza w przypadku takiego młodego żołnierza.

– Tak, brałem udział w niejednej akcji – odparł Gibson bez przesadnych emocji. – Miałem kilka niezłych misji. To szczęście, że mogę tu o nich opowiedzieć. Wielu dobrych żołnierzy nie może.

– I te misje odniosły sukces?

– A jakże. Po tym, jak zrobili wyłom w naszej kopule, bez większej zwłoki wyświadczyliśmy im tę samą przy usługę!

– A miasta pod kopułami?

Spojrzał na mnie.

– A jak pan myśli? Bez kopuły miasto jest bezbronne wobec ataków z powietrza. Rzecz jasna, można ustawić ogień zaporowy z dział o kalibrze osiemdziesiąt osiem...

– Osiemdziesiąt osiem?

– Niemcy mają dział przeciwlotnicze „Zapora 36” o kalibrze 8,8 centymetra, dość pożyteczne jako dział polowe i broń do zwalczania molochów, jak również skuteczne, jeśli chodzi o jego główny cel. Dobra konstrukcja... W każdym razie jeśli bombowiec przedostanie się przez taki ogień przeciwlotniczy, może zrzucić wszystko do wnętrza miasta, które nie jest osłonięte kopułą.

– A jakie są rezultaty po sześciu latach tej walki?

Wzruszył ramionami.

– Przypuszczam, że z miast pozostało niewiele. W każdym razie w Europie.

Oceniłem, że dotarliśmy w okolice South Hampstead. Przebrnęliśmy przez rząd drzew i wynurzyliśmy się na polanie. Był to kolisty obszar o średnicy mniej więcej ćwierć mili, ale nie

powstał w sposób naturalny: pniaki na obrzeżu świadczyły o tym, że las został wycięty. Jeszcze gdy się zbliżaliśmy, dostrzegłem oddziały rozebranych do połowy żołnierzy piechoty, którzy przebijali się przez poszycie za pomocą pił i maczet, poszerzając obszar. Ziemia na polanie ogołocoła była z poszycia i utwardzona kilkoma warstwami liści palmowych wdeptanych w błoto.

Na środku tej polany spoczywały cztery wielkie molochy, które napotkałem w 1873 i 1938 roku. Te bestie zajmowały cztery strony kwadratowego obszaru szerokości stu stóp, stojąc nieruchomo z otwartymi oknami podobnymi do ziejących paszcz zglodniałych zwierząt. Przeciwninowe cepy zwisały luźno i bezużytecznie z bębnow na przodzie, a zielono-czarne cętki znaczące ich metalowe kadłuby pokrywała warstwa guano i opadłych liści. Na terenie całego obozowiska porozsiewane były inne pojazdy i przedmioty, łącznie z lekkimi samochodami opancerzonymi oraz małymi działami artyleryjskimi zamontowanymi na wózkach o szerokich kołach.

Gibson dał mi do zrozumienia, że to będzie pewnego rodzaju cmentarz podróżujących w czasie molochów w roku 1944.

Wszędzie pracowali żołnierze, ale kiedy przy boku Gibsona wynurzyłem się na polanie, z kulejącym Nebogipfelem wspartym na moim ramieniu, wszyscy przestali pracować i spojrzeli na nas z niezwykłym zaciekawieniem.

Dotarliśmy do dziedzińca otoczonego czterema molochami. Na środku tego placu znajdował się pomalowany na biało maszt. Zwisała z niego flaga brytyjska, jaskrawa, zwiotczała, zupełnie niestosowna w tym miejscu. Na placu rozbito sporo namiotów. Gibson zaprosił nas, żebyśmy usiedli na brezentowych stołkach obok największego. Z jednego molocha wynurzył się chudy,

blady i najwyraźniej nieprzywykły do upału żołnierz. Uznałem, że to ordynans Gibsona, gdyż podpułkownik kazał mu przynieść napoje i zakąski.

Kiedy tam siedzieliśmy, wszędzie wokół nas postępowały prace w obozie. Działo się tam bardzo dużo, tak jak zawsze na placówkach wojskowych. Większość żołnierzy miała na sobie pełen ubiór złożony z koszuli z tkaniny diagonalnej w kolorze zieleni dżungli oraz spodni ze ściągaczami na kostkach. Na głowach nosili miękkie, filcowe kapelusze z osłonami na kark w jasnym kolorze khaki, lub australijskie (tak twierdził Gibson) kapelusze dżunglowe. Oznaki wojskowe mieli naszyte na koszule lub kapelusze i większość z nich nosiła broń: skórzane bandolety na amunicję do lekkiej broni, parciate torby i tym podobne. Wszyscy nosili ciężkie epolety, które pamiętałem z roku 1938. W upale i wilgoci większość tych żołnierzy wyglądała dość nieporządnie.

Zobaczyłem jednego żołnierza, który ubrany był na białą od stóp do głów. Miał grube rękawice i miękki hełm na głowie, z wbudowanym wizjerem, przez który patrzył. Pracował przy otwartych płytach bocznych jednego z molochów. W takim stroju biedak musiał się topić w upale. Gibson wyjaśnił mi, że strój wykonany był z azbestu, aby ochronić go przed ogniem z silnika.

Nie wszyscy żołnierze byli mężczyznami. Wydaje mi się, że mniej więcej dwie piąte personelu to były kobiety. Wielu żołnierzy miało ślady przeróżnych ran: blizny po oparzeniach lub szwach, a nawet, tu i ówdzie, zobaczyłem protezy kończyn. Uświadomiłem sobie, że oznaczało to, iż straty wśród młodzieży europejskiej powiększały się nieustannie od roku 1938 i trzeba było powoływać do wojska nawet kalekie osoby oraz coraz więcej młodych kobiet.

Gibson zdjął ciężkie buty i rozmasował ścierpnięte stopy, uśmiechając się do mnie smutno. Nebogipfel popijał wodę ze szklanki, podczas gdy ordynans podał Gibsonowi i mnie filiżankę tradycyjnej, angielskiej herbaty – herbaty w paleocenie!

– Niezłą pan tu utworzył kolonię – powiedziałem do Gibsona.

– Tak sędzę. Wie pan, to po prostu ćwiczenia. – Odstawił buty i wypił łyk herbaty. – Przypuszczam, że zauważył pan, iż są tu różne formacje.

– Nie – odrzekłem szczerze.

– Oczywiście większość to żołnierze wojsk lądowych. – Wskazał na szczupłego, młodego żołnierza, który na ramionach tropikalnej koszuli miał naszywki w kolorze khaki. – Ale kilku z nas, tak jak on i ja, jest z RAFu.

– Z RAFu?

– Royal Air Force. Faceci w szarych mundurach w końcu się domyślili, że my najbardziej się nadajemy do kierowania tymi wielkimi, żelaznymi potworami. – Jakiś żołnierz wojsk lądowych przeszedł obok, wybałuszając oczy na Nebogipfela, i Gibson posłał mu przyjazny uśmiech. – Naturalnie nie mamy nic przeciwko temu, żeby podwozić tych z piechoty. Tak jest lepiej, niż gdybyście sami to mieli robić, co, Stubbins?

Stubbins – szczupły, rudy mężczyzna o otwartej twarzy i przyjaznym spojrzeniu – odwzajemnił nieśmiało uśmiech, lecz z wyraźnym zadowoleniem, że Gibson zwrócił na niego uwagę: i to pomimo faktu, że był chyba o dobrą stopę wyższy od drobnego Gibsona i o kilka lat starszy. W swobodnym sposobie zachowania się Gibsona dostrzegłem cechy urodzonego przywódcy.

– Jesteśmy tu już od tygodnia – powiedział do mnie podpułkownik. – To dziwne, że nie natknęliśmy się na was

wcześniej.

– Nie spodziewaliśmy się gości – powiedziałem sarkastycznie. – W przeciwnym razie rozpalilibym ogniska, albo znalazłbym jakiś inny sposób, by zasygnalizować naszą obecność.

Mrugnął do mnie.

– Sami byliśmy bardzo zajęci. W ciągu pierwszych dni mieliśmy tu piekielnie dużo roboty. Chociaż mamy dobre wyposażenie. Przed wyjazdem naukowcy dali nam wyraźnie do zrozumienia, że klimat kochanej, starej Anglii jest dość zmienny, jeśli spojrzeć na to z dostatecznie szerokiej perspektywy, więc przyjechaliśmy ze wszystkim, od grubych płaszczy po krótkie spodnie. Ale nie spodziewaliśmy się takich tropikalnych warunków, nie tutaj, w centrum Londynu! Nasze ubrania rozlatują się, dosłownie gniją i spadają nam z pleców, metalowe części rdzewieją, a nasze buty grzęzną w tym błocku. Nawet moje cholerne skarpety się skurczyły! A wszystko podgryzają szczury. – Zmarszczył czoło. – Przynajmniej przypuszczam, że to szczury.

– Prawdopodobnie nie – zauważyłem. – A molochy? Są klasy Kitchenera, prawda?

Gibson uniósł brew, najwidoczniej zdziwiony moją wiedzą na ten temat.

– Prawdę mówiąc, molochów prawie nie można przesuwać, bo te nędzne, słoniowate nogi grzęzną w błocie...

W tym momencie za moimi plecami odezwał się wyraźny, znajomy głos:

– Obawiam się, że pańskie wiadomości są nieaktualne. Klasa Kitchenera, włącznie z kochanym, starym „Raglanem”, jest przestarzała już od wielu lat...

Obróciłem się na krześle. Zbliżała się do mnie postać ubrana w kombinezon i sztywny beret członka załogi molocha. Żołnierz

wyraźnie utykał. Wyciągnął do mnie rękę, którą chwyciłem – była mała, ale silna.

– Kapitan Hilary Bond – przywitałem się i uśmiechnąłem.

Zlustrowała mnie od stóp do głów, zwracając uwagę na moją brodę i ubranie ze zwierzęcej skóry.

– Jest pan trochę zaniedbany, ale nie można pana nie rozpoznać. Czy mój widok pana dziwi?

– Po moich dotychczasowych podróżach w czasie już nic mnie za bardzo nie dziwi, Hilary!

9

Czasowy Oddział Ekspedycyjny

Gibson i Bond wyjaśnili mi cel podróży czasowego oddziału ekspedycyjnego.

Dzięki udoskonaleniu reaktorów do rozszczepiania karolinu Brytania i Ameryka zdołały rozwinąć produkcję dostatecznej ilości plattnerytu wkrótce po mojej ucieczce w czas. Ówcześni inżynierowie już nie musieli zadowalać się resztkami z mojego starego warsztatu!

Nadal poważnie się obawiano, że niemieccy komandosi czasowi planują jakąś potajemną operację w przeszłości Brytanii, a poza tym z ruin w Imperiał College i innych wskazówek wywnioskowano, że Nebogipfel i ja prawdopodobnie zawędrowaliśmy kilkadziesiąt milionów lat w przeszłość. Tak więc zmobilizowano w pośpiechu flotę podróżujących w czasie molochów i wyposażono ją w czułe przyrządy do wykrywania obecności śladowych ilości plattnerytu (na podstawie radioaktywności tej substancji, jak mi dano do zrozumienia). W efekcie ten oddział ekspedycyjny zagłębiał się w przeszłość, wykonując skoki co pięć lub więcej milionów lat.

Misja oddziału polegała na zabezpieczeniu historii Brytanii przed atakiem na jej przeszłość!

W trakcie postojów podejmowano imponujący wysiłek, by dokładnie zbadać daną epokę. W tym celu wyszkolono, niestety w pośpiechu, wielu żołnierzy, którzy mieli spełniać funkcję naukowców-amatorów: klimatologów, ornitologów i tym podobnych. Ludzie ci zapoznawali się szybko, lecz skutecznie z florą, fauną, klimatem i geologią danej ery, i dziennik pokładowy Gibsona w dużej części poświęcony był rejestracji tych obserwacji. Dostrzegłem, że żołnierze, zarówno mężczyźni jak i kobiety, przyjmowali to zadanie z dużym poczuciem humoru i traktowali je na wpuł żartobliwie, co normalne u takich ludzi, ale wydawało mi się, że przejawiają duże zainteresowanie dziwną naturą doliny Tamizy w epoce paleoceńskiej.

W nocy wartownicy patrolowali obrzeża obozowiska, a żołnierze z lornetkami spędzali wiele czasu na obserwacji nieba i morza. Gdy pochłonięci byli tym zadaniem, żołnierze nie wykazywali oznak beztroskiego humoru i zainteresowania, które cechowały ich naukowe badania lub inne czynności. Wyraz ich twarzy i zwężone oczy świadczyły raczej o strachu i determinacji.

W końcu ten oddział znalazł się tutaj nie po to, żeby badać kwiaty, lecz szukać Niemców: wrogów, podróżujących w czasie pośród tych cudów przeszłości.

Pomimo wielkiej dumy z powodu przetrwania w tej obcej epoce odczułem ogromną ulgę, zrzucając łachmany oraz zwierzęce skóry i zakładając lekki, wygodny mundur tropikalny żołnierzy podróżujących w czasie. Zgoliłem brodę, umyłem się – mydłem, w ciepłej, czystej wodzie! – i z rozkoszą posiłem konserwą sojową. Wieczorem poszedłem spać z uczuciem spokoju i bezpieczeństwa, kładąc się w namiocie pod siatką

ochraniającą przed komarami, otoczony zewsząd potężnymi molochemi.

Nebogipfel nie zamieszkał w obozie. Chociaż fakt, że Gibson nas odnalazł, był powodem do radości i świętowania, gdyż uratowanie nas stanowiło główny cel ekspedycji, Morlok wkrótce stał się obiektem jawnej fascynacji żołnierzy, a także, jak podejrzewałem, złośliwych docinków. Tak więc Nebogipfel wrócił do naszego starego obozowiska na skraju paleoceńskiego morza. Nie zgłaszałem sprzeciwów, ponieważ wiedziałem, jak bardzo mu zależało na dalszej budowie swojej maszyny czasu – nawet pożyczył narzędzia od żołnierzy, żeby ułatwić sobie pracę. Kiedy jednak przypomniałem sobie jego groźne spotkanie z pristichampusem, nalegałem, żeby nie pozostawał tam sam, lecz w towarzystwie albo mojej osoby, albo uzbrojonego żołnierza.

Jeżeli chodzi o mnie, to po kilku dniach zmęczyła mnie bezczynność w tym kipiącym aktywnością obozowisku – nie jestem z natury leniwym człowiekiem – i poprosiłem, by pozwolono mi uczestniczyć w pracach żołnierzy. Niebawem udowodniłem swoją przydatność, dzieląc się boleśnie zdobytą wiedzą na temat lokalnej fauny, flory i geografii otoczenia. W obozie rozchorowało się wiele osób, gdyż żołnierze byli nie bardziej przygotowani na różne infekcje tej epoki niż ja, i pomagałem jednemu lekarzowi, dość młodemu i ciągle zmordowanemu naikowi, którego wcielono do 9 Oddziału Strzeleckiego Gurkhów.

Po pierwszym dniu rzadko widywałem Gibsona, który zajęty był drobiazgami związanymi z codziennym rozkładem zajęć swojego oddziału ekspedycyjnego i – co go doprowadzało do irytacji – nadmiarem czynności biurokratycznych w postaci

ciągłego wypisywania formularzy, pisania raportów i prowadzenia dzienników. I to wszystko dla potrzeb rządu brytyjskiego, który powstanie dopiero za pięćdziesiąt milionów lat! Odniosłem wrażenie, że podróżowanie w czasie wywołuje u Gibsona uczucie niepokoju i zniecierpliwienia. Myślę, że byłby bardziej zadowolony, gdyby mógł znów kierować nalotami bombowymi na Niemcy, które opisał mi zaskakująco dokładnie. Hilary Bond miała dużo wolnego czasu – najbardziej zajęta była w trakcie lotów wielkich pancerników przez czas – i była oddelegowana do sprawowania opieki nad mną i Nebogipfelem.

Pewnego dnia spacerowałem razem z nią wzdłuż skraju lasu, niedaleko brzegu. Bond przedzierała się przez gęstwinę podszycia. Utykała, ale szła zwawym, żołnierskim krokiem. Opisała mi, jak potoczyła się wojna po roku 1938.

– Wydawało mi się, że zburzenie kopuł doprowadzi do zaprzestania wojny – powiedziałem. – Czy ludzie nie widzą, że po takiej katastrofie nie ma o co walczyć?

– Chce pan powiedzieć, że to powinno doprowadzić do zakończenia wojny? Ależ skąd. Przypuszczam, że na pewien czas zamarło życie miejskie. Nasza ludność dostała niezłe baty. Ale istnieją oczywiście bunkry. To właśnie tam teraz toczy się wojna i w przeważającej części tam pracują fabryki amunicji oraz inne zakłady. Sądzę, że nie jest to stulecie sprzyjające rozwojowi miast.

Przypomniałem sobie oznaki zacofania kraju poza londyńską kopułą i spróbowałem wyobrazić sobie ciągłe życie w podziemnym schronie przeciwlotniczym. Wyobraziłem sobie dzieci z zapadłymi oczami, biegające w ciemnych tunelach oraz ludzi, którzy wskutek strachu stali się służalczy i prawie dzicy.

– A co z samą wojną? – zapytałem. – Co z frontami, z waszym

wielkim oblężeniem Europy?

Bond wzruszyła ramionami.

– Paplające maszyny informują o wielkich postępach: o Ostatniej Ofensywie i tym podobnych rzeczach. – Zniżyła głos. – Ale – tak w ogóle to nie sądzę, by miało większy sens roztrząsanie tego tematu w naszej sytuacji – lotnicy mają możliwość obejrzenia Europy, nawet pomijając fakt, że oglądają ją w nocy i w świetle błysków od ognia artyleryjskiego, i pogłoski się rozchodzą. Moim zdaniem linie okopów nie przesunęły się ani trochę od 1935 roku. Utknęliśmy w martwym punkcie.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, o co wszyscy jeszcze walczyacie. Kraje są potwornie zniszczone, zarówno pod względem przemysłowym, jak i gospodarczym. Na pewno żaden z nich nie może zbytnio zagrażać pozostałym i żaden nie posiada nic, co warto by było zdobywać.

– Być może to prawda – powiedziała. – Nie sądzę, by po wojnie Brytania była w stanie wiele zrobić poza odbudowaniem kraju. Długo nie będziemy nikogo podbijać! I przy obecnej równowadze Berlin musi to widzieć podobnie.

– Zatem po co to ciągnąć?

– Bo nie stać nas na to, by przerwać.

Pod opalenizną, której Bond nabrała w tej odległej epoce paleoceńskiej, dostrzegłem ślady dawnej bladości.

– Docierają do nas najróżniejsze raporty – ciągnęła. – Plotki, ale z tego, co słyszę, nie pozbawione znamion prawdy, o niemieckich wynalazkach technicznych.

– Wynalazkach technicznych? To znaczy broni.

Oddaliliśmy się od lasu i zeszliśmy do brzegu morza. Czulem gorące powietrze na twarzy. Pozwoliliśmy, by woda obmywała podeszwy naszych butów.

Wyobraziłem sobie Europę z roku 1944: zniszczone miasta i, od Danii po Alpy, miliony mężczyzn i kobiet, którzy próbują wyrządzić sobie nawzajem niepowetowane szkody... W tym tropikalnym spokoju to wszystko wydawało się absurdem – gorączkowym snem szaleńca!

– Ale cóż możecie jeszcze wynaleźć? – zaprotestowałem. – Co zdoła dokonać większych zniszczeń?

– Mówi się o bombach nowego rodzaju, potężniejszych od dotychczasowych... O bombach zawierających karolin.

Przypomniałem sobie, jak Wallis snuł podobne rozważania w 1938 roku.

– No i oczywiście – ciągnęła Bond – jest jeszcze wojna z wykorzystaniem skoków w czasie. Widzi pan, nie możemy zaprzestać walki, jeśli oznaczać to będzie monopol Niemców na taką broń. – W jej głosie słychać było spokojną desperację. – Pan to rozumie, prawda? Stąd ten pośpiech, by zbudować reaktory jądrowe, zdobyć karolin i wyprodukować więcej plattnerytu... Dlatego zainwestowano tyle pieniędzy i środków w te molochy podróżujące w czasie.

– I to wszystko po to, żeby cofnąć się w czasie przed Niemcami? Żeby ich załatwić, zanim oni zdążą załatwić was?

Uniosła głowę i spojrzała wyzywająco.

– Albo żeby naprawić szkody, które wyrządzają. Można też tak na to spojrzeć, czyż nie?

Nie kwestionowałem, tak jak pewnie zrobiłby to Nebogipfel, ostatecznej daremności takich wysiłków, gdyż jasne było, że filozofowie z roku 1944 nie zrozumieli jeszcze wielorakości historii w takim stopniu, w jakim mnie się to udało dzięki naukom Nebogipfela.

– Jednakże – zaprotestowałem – przeszłość to olbrzymi szmat

czasu. Przybyliście, żeby nas odszukać, ale skąd wiedzieliście, że wylądujemy akurat tutaj? Jak udało wam się dotrzeć do nas, nawet z dokładnością do kilku milionów lat?

– Mieliśmy kilka wskazówek – odparła.

– Jakich? Chodzi o wrak, który pozostawiliśmy w Imperial College?

– Częściowo. Ale były też wskazówki archeologiczne.

– Archeologiczne?

Spojrzała na mnie z zakłopotaniem.

– Proszę posłuchać, nie jestem pewna, czy chce pan to usłyszeć...

To oczywiście niezwykle zaostrzyło moją ciekawość! Nalegałem, żeby mi powiedziała.

– No dobrze. Ze szczątków w Imperial College’u naukowcy domyślili się, dokąd się udaliście w przeszłość. Rozpoczęli więc intensywne, archeologiczne badania tamtego obszaru. Wykopali doły...

– Dobry Boże – wtrąciłem. – Szukaliście moich skamieniałych kości!

– I kości Nebogipfela. Tok rozumowania był taki, że jeśli odkryte zostaną jakiegokolwiek anomalie – kości lub narzędzia – zdołamy dość dokładnie ustalić waszą pozycję na podstawie waszego położenia w warstwie skalnej...

– Czy coś znaleziono? Hilary...

Znów się powstrzymała i musiałem nalegać, by mi odpowiedziała.

– Znaleźli czaszkę.

– Ludzką?

– Podobną do ludzkiej. – Zawahała się. – Była mała, mocno zniekształcona i roztrzaskana, na pół. Znaleziono ją w warstwie

o pięćdziesiąt milionów lat starszej od warstwy, w której mogły się znajdować szczątki jakiegokolwiek człowieka.

„Mała i zniekształcona”. Uświadomiłem sobie, że to musiała być czaszka Nebogipfela! Czy mogła to być pozostałość po jego spotkaniu z pristichampusem – w jakiejś innej historii, w której nie doszło do ingerencji Gibsona?

I czy moje kości leżały zmiażdżone i skamieniałe w jakimś sąsiednim, nie odkrytym dole?

Pomimo żaru słońca padającego na moje plecy i głowę poczułem chłód. Nagle ten jaskrawy paleoceński świat wydał mi się przygaszony – przypominał przezroczyste okno, przez które przeświecało bezlitosne światło czasu.

– A więc odkryliście ślady plattnerytu i dzięki temu nas odnaleźliście – powiedziałem. – Wyobrażam sobie jednak, że rozczarowało was, iż – znów – zastaliście tylko mnie, a nie horde pruskich podżegaczy wojennych. Proszę jednak posłuchać. Czy nie dostrzega pani pewnego paradoksu? Budujecie swoje pancerniki czasu, ponieważ obawiacie się, że Niemcy robią to samo. No dobrze. Ale sytuacja jest symetryczna. Ze swojego punktu widzenia Niemcy muszą się obawiać, że wy pierwsi wykorzystacie takie maszyny czasu. Obie strony zachowują się dokładnie tak, że wywołują najgorsze reakcje u swoich przeciwników. Tym samym obie strony pogarszają sytuację.

– Możliwe – stwierdziła Bond. – Jednak technika czasowa w rękach Niemców byłaby katastrofą dla aliantów. Zadaniem tej ekspedycji jest wytropienie niemieckich podróżników i zapobieżenie wszelkim szkodom, jakie Niemcy mogą uczynić historii.

Wyrzuciłem ręce w powietrze, podczas gdy wody

paleoceńskiego morza obmywały mi kostki.

– A niech to licho porwie, pani kapitan Bond! Przecież jesteśmy w epoce odległej o pięćdziesiąt milionów lat od narodzin Chrystusa! Cóż może tutaj znaczyć ta walka między Anglią i Niemcami, która nastąpi w tak odległej przyszłości?!

– Nie możemy sobie pozwolić na odpoczynek – odrzekła ponuro i ze znużeniem. – Czy pan tego nie rozumie? Musimy tropić Niemców aż do początków Stworzenia, jeśli to będzie konieczne.

– Więc kiedy ta wojna się skończy? Czy nabruździecie w całej wieczności, zanim jej zaniechacie? Czy nie widzi pani, że to wszystko... – Zatoczyłem ręką łuk, mając na myśli całą straszną przyszłość, w której miasta zostaną zburzone, a ludność będzie się tłoczyć w podziemnych jaskiniach – ...jest absurdalne? A może będziecie to ciągnąć aż do chwili, gdy pozostanie tylko dwóch ludzi i jeden z nich roztrzaska temu drugiemu czaszkę kawałkiem cegły? Co?

Bond odwróciła się do mnie – światło odbijające się od morza uwypukliło zmarszczki na jej twarzy – ale nic nie odpowiedziała.

Nasza w miarę spokojna egzystencja po pierwszym spotkaniu z Gibsonem trwała pięć dni.

Było południe, niebo bezchmurne, a dzień pogodny. Przez cały poranek pomagałem nepalskiemu lekarzowi, odgrywając niezdarnie rolę pielęgniarza. Z ulgą przyjąłem zaproszenie Hilary Bond na kolejny wspólny spacer po plaży.

Dość łatwo przeszliśmy przez las – żołnierze zdążyli już wyrębać szerokie ścieżki, które rozchodziły się promieniowo od bazy – i kiedy dotarliśmy do plaży, w te pędy zsunąłem buty oraz skarpetki, rzuciłem je na skraju lasu i popędziłem do wody. Hilary Bond zdjęła obuwie w mniejszym pośpiechu, układając je na piasku wraz z bronią ręczną, którą miała przy sobie. Podwinęła nogawki – zobaczyłem, jak bardzo zniekształcona jest jej noga, a skóra pokurczona wskutek starego oparzenia – i weszła za mną do spienionej wody przy brzegu.

Zdjąłem koszulę (wszyscy zachowywaliśmy się dość swobodnie w tamtym obozie w starożytnym lesie, zarówno mężczyźni, jak i kobiety) i zanurzyłem głowę oraz górną część ciała w przezroczystej wodzie, nie zważając na to, że zamoczyłem sobie nogawki. Odetchnąłem głęboko, rozkoszując się tym wszystkim: gorącym słońcem, które przypiekało mi twarz, widokiem błyszczącej wody, miękkim piaskiem między palcami u nóg, ostrym zapachem soli i ozonu.

– Widzę, że cieszy pana ten wypad – powiedziała Hilary z pobłażliwym uśmiechem.

– Owszem. – Opowiedziałem jej o tym, jak rano pomagałem lekarzowi. – Bardzo chcę być do czegoś przydatny. Ale dziś rano tyle się nawąchałem odoru chloroformu, eteru i różnych antyseptyków – jak również bardziej przyziemnych zapachów, że...

Uniosła rękę.

– Rozumiem.

Wyszliśmy z morza. Wytarłem się do sucha koszulą. Hilary wzięła pistolet, ale buty pozostawiliśmy ułożone na plaży i ruszyliśmy skrajem wody. Po kilkadziesiąt jardach dostrzegłem płytkie wgłębienia zdradzające obecność corbiculi – małży, które zamieszkiwały tę plażę w bardzo dużej liczbie. Przykucnęliśmy na piasku i pokazałem jej, jak wykopać drobne żyjątka. Po kilku minutach mieliśmy ich całkiem sporo. Suszyły się na kupce obok nas.

Wilgotne, krótko przycięte włosy Hilary przylegały gładko do głowy. Kiedy oglądała małże z dziecięcym zafascynowaniem, twarz dziewczyny jaśniała radością i dumą, że sama zdołała je wykopać. Byliśmy zupełnie sami na plaży – z powodzeniem moglibyśmy być jedynymi ludźmi w tym paleoceńskim świecie. Czułem każdą kropelkę potu na głowie, każde ziarenko piasku, które ocierało się o moje golenie. A nad tym wszystkim królowało zwierzęce ciepło kobiety przy moim boku. Wydawało mi się, jakby wielorakie światy, które przebyłem, skurczyły się do tej jednej chwili żywych wrażeń – do terażniejszości.

Chciałem podzielić się swoimi odczuciami z Hilary.

– Wie pani...

Ale ona wyprostowała się i zwróciła twarz w kierunku morza.

– Proszę posłuchać.

Spojrzałem zaskoczony na skraj lasu, chlupoczącą o brzeg

wodę i puste niebo. Jedyne dźwięki, które słyszałem, to szelest lekkiego wietrzyku pośród koron drzew i cichy plusk drobnych fal uderzających o brzeg.

– Czego?

Jej inteligentna, zacięta twarz żołnierza przybrała surowy i podejrzliwy wyraz.

– Ma jeden silnik – powiedziała w skupieniu. – To Daimler-Benz DB, chyba dwunastocylindrowy...

Zerwała się na równe nogi i przyłożyła dłonie do czoła, robiąc z nich daszek nad oczami.

A potem ja też usłyszałem odległy odgłos, który przypominał brzęczenie jakiegoś olbrzymiego owada i dochodził do nas znad morza.

– Proszę spojrzeć – powiedziała Hilary, pokazując ręką. – Tam, w oddali. Widzi pan?

Spojrzałem we wskazanym kierunku i dostrzegłem jakiś niewyraźny kształt, który wisiał nad morzem daleko na wschodzie. Była to plama rodem z innego świata – tarcza nie większa od księżyca w pełni, krąg załamane światła, które błyszczało i zabarwione było na zielono.

Potem odniosłem wrażenie, że w środku znajduje się jakiś obiekt, który przemienia się w ciało stałe i wiruje. Na koniec wyłonił się wyraźny, ciemny, podobny do krzyża kształt, który pędził coraz niżej po niebie. Nadlatywał ze wschodu, z rejonu, w którym kiedyś miały powstać Niemcy. Brzęczenie stało się znacznie głośniejsze.

– Mój Boże – odezwała się Hilary Bond. – To messerschmitt Typ „Orzeł”. Wygląda na model Bf 109F...

– Messerschmitt... To niemiecka nazwa – powiedziałem idiotycznie.

Spojrzała na mnie.

– Oczywiście, że niemiecka. Czy pan wciąż nie rozumie?

– Co takiego?

– To niemiecki samolot. To *die Zeitmaschine*, która przyleciała, żeby nas wytropić!

Gdy samolot zbliżył się do brzegu, przechylił się lekko w powietrzu jak mewa na wietrze i zaczął lecieć równoległe do krawędzi morza. Z głośnym warkotem i tak dużą prędkością, że Hilary i ja musieliśmy obrócić się na pięcie, by śledzić lot maszyny, samolot przeleciał nad naszymi głowami na wysokości niespełna stu stóp.

Maszyna miała jakieś trzydzieści stóp długości i być może trochę większą rozpiętość skrzydeł. Na jej czubie wirowało śmigło, którego łopaty były rozmazane wskutek szybkich obrotów. Spód samolotu pomalowano na kolor niebieskoszary, a górne części w brązowo-zielone cętki. Czarne krzyże na kadłubie i skrzydłach wskazywały kraj pochodzenia samolotu, a na pomalowanym poszyciu widniały inne, bardziej krzykliwe symbole wojskowe: głowa orła, uniesiony miecz i tak dalej. Spód maszyny był dość gładki, z wyjątkiem pojedynczego ładunku: metalowego przedmiotu w kształcie łyżki o długości mniej więcej sześciu stóp, który pomalowano na wszechobecny kolor niebieski.

Przez pewien czas Bond i ja staliśmy w bezruchu, oszołomieni tym nagłym pojawieniem się samolotu, jakbyśmy byli świadkami zstąpienia istoty nadprzyrodzonej.

Łatwo ekscytujący się, młody człowiek pogrzebany gdzieś głęboko w mojej duszy – cień biednego, zmarłego Moseśa – doznał dreszczyku emocji na widok tej eleganckiej maszyny. Cóż

to za przygoda dla pilota! Cóż za wspaniały widok! I jakiej niezwyklej odwagi wymagało poderwanie tej maszyny w czarne od dymu powietrze Niemiec roku 1944 – wzniesienie samolotu na tak dużą wysokość, że krajobraz środkowej Europy musiał się zmniejszyć do rozmiarów mapy, urozmaiconego blatu pokrytego piaskiem, wodami mórz, lasami i maleńkimi ludźmi przypominającymi lalki – a potem zamknięcie obwodu i wyruszenie w czas. Wyobraziłem sobie, jak Słońce biegnie po łuku nad samolotem niczym meteoryt, podczas gdy pod dziobem krajobraz, uplastyczniony przez czas, przepływa i ulega deformacji...

Lśniące skrzydła znów się przechyliły i ogłuszył nas warkot silnika. Samolot wzbił się wysoko i poleciał nad lasem w kierunku oddziału ekspedycyjnego.

Hilary ruszyła pędem przez plażę, pozostawiając za sobą wskutek kuśtykania asymetryczne wgłębienia w piasku.

– Dokąd pani idzie?

Sięgnęła po buty i zaczęła je pospiesznie zakładać, nie dbając o skarpety.

– Oczywiście do obozu.

– Ale... – Spojrzałem na naszą małą, żalostną kupkę małży. – Przecież nie prześcignie pani messerschmitta. Co pani robi?

Podniosła pistolet i wyprostowała się. Zamiast odpowiedzieć, spojrzała na mnie oczami bez wyrazu, a następnie odwróciła się i przedarła przez pas palm, które stanowiły skraj lasu, po czym zniknęła w cieniu drzew *dipterocarps*.

Hałas silnika messerschmitta przycichł, wytłumiony przez leśny baldachim. Zostałem sam na plaży, z małżami i pluskiem fal uderzających o brzeg.

To wszystko wydawało się zupełnie nierealne: wojna

przeniesiona do tej paleoceńskiej idylli? Nie czułem strachu, doznawałem jedynie uczucia dziwacznej dyslokacji.

Otrząsnąłem się i przygotowałem, by ruszyć w ślad za Bond do lasu.

Nie zdążyłem dotrzeć do butów, kiedy dotarł do mnie płynny głos:

– Nie!... Idź do wody... Nie!...

To Nebogipfel szedł utykając przez plażę w moim kierunku. Jego sklecona na oczekaniu kula pozostawiła ciąg głębokich, wąskich dołków. Zobaczyłem, że luźny skraj jego maski trzepocze, kiedy Morlok podązał chwiejnym krokiem naprzód.

– O co chodzi? Czy nie widzisz, co się dzieje? *Die Zeitmaschine*...

– Do wody. – Wsparł się na kuli, wąły jak szmaciana lalka, a jego ciałem wstrząsały gwałtowne oddechy. Sapał tak mocno, że ledwie mogłem rozróżnić, co mówi. – Woda... Musimy wejść do...

– Nie czas na pływanie, chłopie! – ryknąłem z oburzeniem. – Czy nie widzisz...

– Nie rozumiesz – wysapał. – Ty... ty nie... Chodź...

Odwróciłem się z roztargnieniem i spojrzałem ponad lasem. Dostrzegłem znikający kształt *die Zeitmaschine*, kiedy przelatowała nisko nad drzewami, jej zielone i niebieskie plamy farby odbijały się wyraźnie na tle listowia. Maszyna leciała z nadzwyczajną prędkością, a jej odległy warkot przypominał brzęczenie rozgniewanego owada.

Potem usłyszałem stukot dział artyleryjskich i świst pocisków.

– Bronią się – powiedziałem do Nebogipfela, podekscytowany działaniami wojennymi. – Widzisz? Latająca maszyna najwidoczniej odkryła oddział ekspedycyjny, ale oni strzelają do niej z dział...

– Morze – powiedział Nebogipfel.

Chwycił moje ramię palcami słabymi jak u dziecka i zrobił to tak ponagląco, tak błagalnie, że musiałem oderwać wzrok od walki powietrznej. Ubrudzona maska ukazywała jedynie szpary oczu Morloka, a jego usta były szeroko otwarte i drżały.

– To jedyne schronienie w pobliżu – ciągnął. – Może wystarczy...

– Schronienie? Walka toczy się dwie mile stąd. Jaka może nam się stać krzywda, kiedy stoimy na tej pustej plaży?

– Bomba... Czy nie zauważyłeś bomby, którą Niemcy ze sobą przywieźli? – Włosy Nebogipfela były proste i przylegały gładko do jego głowy. – Bomby z tej historii wprawdzie nie są wyrafinowane, to zwykłe grudy karolinu... ale mimo to są dość skuteczne. Nie jesteś w stanie w żaden sposób pomóc ekspedycji! Nie teraz... Musimy poczekać, aż walka dobiegnie końca.

Podniósł na mnie wzrok.

– Rozumiesz? Chodź – powiedział i znów mnie pociągnął. Upuścił kulę i wsparł się na moim ramieniu.

Jak dziecko pozwoliłem się zaprowadzić do wody.

Wkrótce dotarliśmy na głębokość co najmniej czterech stóp. Woda sięgała Morloкови do ramion. Kazał mi przykucnąć, więc ja też byłem prawie cały zanurzony w słonej wodzie.

Nad lasem messerschmitt przechylił się i zawrócił, pikując jak jakiś drapieżny ptak z metalu. Działa artyleryjskie wystrzeliły w kierunku *die Zeitmaschine* i pociski rozerwały się, tworząc kłęby dymu, które rozpląnęły się w paleoceńskim powietrzu.

Przyznaję, że ta walka powietrzna – pierwsza, jaką kiedykolwiek widziałem – przyprawiła mnie o dreszczyk. W moim umyśle tłoczyły się wizje długich potyczek w powietrzu, które musiały odbywać się na niebie nad Europą w roku 1944.

Wyobraziłem sobie lotników, którzy unosili się na wietrze, zabijali i spadali jak anioły Miliona. Pomyślałem, że to apoteoza wojny. Czymże był brud okopów w porównaniu z tym wzniosłym triumfem, tym śmiałym lotem ku chwale lub śmierci?

Teraz messerschmitt oddalił się po spirali od wybuchających pocisków, nieomal że leniwie, i zaczął się wspinać wyżej. Kiedy zakończył ten manewr, wydawał się zawieszony w powietrzu – zaledwie przez chwilę, setki stóp nad ziemią.

I wtedy zobaczyłem, jak bomba – ten śmiercionośny, pomalowany na niebiesko strzał – dość delikatnie oddziela się od swego rodzica i zaczyna spadać na ziemię.

Pojedynczy pocisk wyleciał z lasu po łuku i zrobił dziurę w skrzydle latającej maszyny. Buchnął płomień i *die Zeitmaschine* w kłębach dymu oddaliła się, wykonując zwariowane pętle.

Krzyknąłem z radości.

– Dobry strzał! Nebogipfelu, czy widziałeś to?

Ale Morlok wynurzył się z wody i swoimi miękkimi rękami ściągnął moją głowę w dół.

– Schył się – powiedział. – Zanurz się w wodzie...

Ostatni obraz, który zdążyłem zobaczyć, to smuga dymu wyznaczająca trasę pikującego messerschmitta i poprzedzająca go spadająca bomba podobna do błyszczącej gwiazdy, prawie zbyt jasnej, by na nią patrzeć.

Zanurzyłem głowę w morzu.

W jednej chwili łagodne światło paleoceńskiego słońca zniknęło. Powietrze nad powierzchnią wody wypełnił purpurowo-fioletowy, oślepiający blask. Nade mną rozległ się potężny grzmot. Był to huk wielkiej eksplozji, któremu towarzyszył potworny ryk jakby rozdzieranej ziemi. To wszystko złagodzone zostało przez kilkucalową warstwę wody nade mną, ale mimo to hałas był taki głośny, że musiałem zatkać uszy rękami. Wykrzyknąłem i z ust wypłynęły mi bąbelki, które przemknęły po mojej twarzy.

Początkowy huk przycichł, ale ryk wciąż trwał. Niebawem zabrakło mi powietrza i musiałem się wynurzyć. Wziąłem głęboki oddech i potrząsnąłem głową, żeby strząsnąć krople wody z oczu.

Hałas był ogłuszający. Dochodzące z lasu światło było zbyt jasne, by na nie patrzeć, ale pomimo oślepienia dostrzegłem wielką, purpurową kulę ognia, która wydawała się wirować w środku lasu, prawie jak żywa istota. Drzewa zostały przewracane jak kręgle wokół tamtego robiącego piruety ognia, a olbrzymie odłamki roztrzaskanych drzew *dipterocarps* były unoszone i rozrzucone w powietrzu z taką łatwością, jak zapalki. Zobaczyłem zwierzęta wybiegające z lasu, które w popłochu uciekały z tego piekła. Rodzina ptaków diatryma, ze zmierzwionymi i przypalonymi piórami, szła utykając

w kierunku wody i pojawił się okazały, dorosły przedstawiciel pristichampusa, człapiąc po piasku.

Teraz ognista kula wydawała się atakować samą ziemię, jakby próbowała się w nią wgryźć. Kłęby ciężkich, żarzących się oparów i kawałki skał wyrzucone zostały wysoko i daleko z głębi zdruzgotanego lasu. Wszystkie te odłamki najwidoczniej były nasycone karolinem, gdyż każdy z nich stanowił źródło gorącej, rozpalonej energii, tak iż przypominało to obserwowanie narodzin rodziny meteorytów.

W odpowiedzi na boski dotyk zniszczenia karolinem w głębi lasu wybuchł teraz ogromny ogień. Buchnęły płomienie na wysokość setek stóp, formując się w słup światła otaczający epicentrum wybuchu. Niczym czoło burzy, nad płomieniem zaczęła się tworzyć chmura dymu i popiołu zmieszanego z fruującymi kawałkami gruzów.

A przez to wszystko, niczym pięść światła, przebijał się filar pary, wznosząc się z krateru wyłobionego przez bombę wykonaną z karolinu – filar oświetlony od dołu na czerwono, jakby światła użyczał mu miniaturowy wulkan.

Nebogipfel i ja mogliśmy jedynie kulić się w wodzie, pozostając pod powierzchnią tak długo, jak tylko byliśmy w stanie wytrzymać. W chwilach, gdy musieliśmy się wynurzać, by zaczerpnąć powietrza, trzymaliśmy ręce nad głową z obawy przed gradem rozżarzonych, spadających odłamków.

Wreszcie po kilku godzinach Nebogipfel zdecydował, że można bezpiecznie zbliżyć się do lądu.

Byłem wyczerpany i miałem ręce i nogi zdrtwiałe od długiego przebywania w wodzie. Na twarzy i szyi czułem pieczenie od oparzeń i byłem strasznie spragniony, ale mimo to musiałem

nieść Morloka przez większą część drogi powrotnej do brzegu, gdyż jego wątłe siły wyczerpały się na długo przed końcem naszej ciężkiej próby.

Plaża zmieniła się prawie nie do poznania. To już nie było to przyjemne miejsce, gdzie wykopywałem małże z Hilary Bond zaledwie kilka godzin wcześniej. Na piasku porozrzucane były szczątki lasu – wiele połamanych gałęzi i kawałków pni, niektóre z nich nadal się tliły – a po krostowatej powierzchni płynęły mętne rzeczutki. Docierający z lasu skwar był nadal prawie nie do wytrzymania – w wielu miejscach wciąż płonął ogień – a nad wzburzonymi wodami wznosiły się wysokie, fioletowoczerwone słupy płomieni ze spalającego się karolinu. Minąłem spalone zwłoki, chyba pisklęcia diatrymy, i znalazłem w miarę czystą połąć piasku. Odgarnąłem warstwę popiołu, która tam osiadła, i położyłem Morloka na ziemi.

Znalazłem strumyk i nabrałem wody w dłoń. Ciecz była mętna i zanieczyszczona czarną sadzą – domyśliłem się, że pływają w niej spalone resztki drzew i zwierząt – ale byłem tak spragniony, że nie miałem innego wyboru, jak tylko napić się jej wielkimi łykami z brudnej ręki.

– No cóż... – odezwałem się głosem, który wskutek dymu i wyczerpania przemienił się w charkot – Cholernie piękna sytuacja. Człowiek obecny jest w paleocenie niecały rok... a już zdarza się coś takiego!

Nebogipfel poruszył się. Próbował wsunąć pod siebie ręce, ale ledwie zdołał unieść głowę. Zgubił maskę i olbrzymie, luźne powieki zakrywające jego delikatne oczy pokryte były warstwą piasku. Poczujęm się dziwnie roztkliwiony. Jeszcze raz ten biedny Morlok musiał być świadkiem spustoszeń wojennych dokonywanych przez ludzi – członków mojej własnej, ohydnej

rasy – i w rezultacie cierpieć z tego powodu.

Delikatnie, jakbym miał do czynienia z dzieckiem, uniosłem go z piasku, odwróciłem i posadziłem. Jego nogi spoczywały bez czucia niczym kończyny szmacianej lalki.

– Spokojnie, staruszkule – powiedziałem. – Jesteś już bezpieczny.

Odwrócił się oślepiiony w moim kierunku, a z jego sprawnego oka płynęły rzęsiste łzy. Wymamrotał coś swoim płynnym głosem.

– Co? – Pochyliłem się, żeby go zrozumieć. – Co mówisz?

Przemówił w moim języku.

– ...nie jest bezpiecznie...

– Co takiego?

– Nie jesteśmy tu bezpieczni... Absolutnie...

– Ale dlaczego? Ogień nas teraz nie dosięgnie.

– Nie chodzi o ogień... ale o promieniowanie... Nawet po wygaśnięciu płomienia... po tygodniach, po miesiącach, radioaktywne cząstki nadal pozostaną... Promieniowanie przeniknie przez skórę... To nie jest bezpieczne miejsce.

Ująłem jego chudy, blady jak papier policzek w dłoń. I w tym momencie – poparzony, niewiarygodnie spragniony – doznałem uczucia, jakbym chciał to wszystko rzucić i posiedzieć sobie na tej zniszczonej plaży, bez względu na ogień, bomby i cząstki radioaktywne: posiedzieć i poczekać, aż pogrążę się w ostatecznej ciemności. Ale pozostały mi resztki sił i zaniepokoiło mnie słabe ożywienie Morloka.

– A zatem – odezwałem się – odejdziemy stąd i zobaczymy, czy uda nam się znaleźć jakieś miejsce, gdzie będziemy mogli odpocząć.

Ignorując ból popękanej skóry na ramionach i twarzy, wsunąłem ręce pod jego zwiotczałe ciało i podniosłem go.

Było już późne popołudnie i światło znikало z nieba. Po 337 przejściu mniej więcej mili znaleźliśmy się na tyle daleko od centrum ognia, że niebo nie było tu zasnuwane dymem, ale purpurowy słup nad wydrążonym przez karolin kraterem wciąż oświetlał ciemniejące niebo, prawie tak równomiernie jak reflektory, które rozjaśniały londyńską kopułę.

Przestraszył mnie młody pristichampus, który wyskoczył z lasu. Żółto-biały pysk bestii był szeroko rozwarty, kiedy zwierzę próbował zaczerpnąć powietrza, i zobaczyłem, że stworzenie wlecze za sobą jedną tylną nogę. Chyba był prawie ślepy i śmiertelnie przerażony.

Pristichampus minął nas utykając i uciekł z niesamowitym piskiem.

Znów czułem czysty piasek pod gołymi stopami i intensywny zapach słonej wody. Morskie powietrze zaczęło usuwać smród dymu i popiołu z moich nozdrzy. Pomimo całej głupoty ludzkości ocean pozostał spokojny i nieruchomy, a światło karolinu upodabniało jego powierzchnię do tafli oleju. Czułem wdzięczność wobec tego cierpliwego morza, ponieważ udzieliło mi schronienia, ratując życie, kiedy moi bliźni wysadzili się nawzajem w powietrze.

Te moje rozmyślenia podczas drogi przerwało wołanie w oddali:

– Heej...

Głos dobiegł z plaży i w odległości mniej więcej ćwierć mili przed sobą dostrzegłem postać, która machała ręką i zmierzała w moim kierunku.

Zatrzymałem się na chwilę, niezdolny iść dalej. Podejrzewam bowiem, że w głębi stroskanej duszy założyłem, iż atomowa

eksplozja pochłonęła wszystkich członków oddziału ekspedycyjnego i Nebogipfel i ja jeszcze raz pozostaliśmy sami w czasie.

Okazało się, że to żołnierz, który najwidoczniej znajdował się dostatecznie daleko od wybuchu, by nie odnieść żadnych obrażeń. Ubrany był w standardowy strój żołnierza: koszulę z tkaniny diagonalnej w kolorze zieleni dżungli, ciemnozielony kapelusz filcowy i spodnie ze ściągaczami na kostkach. Miał lekki karabin maszynowy i skórzane torby na amunicję. Był wysoki, chudy jak wiór i rudy. Wydawał mi się znajomy. Nie miałem pojęcia, jak ja sam wyglądam. Przypuszczałem, że strasznie. Białka moich oczu musiały wyraźnie kontrastować z twarzą oraz włosami, które były przypalone i poczerniałe, miałem na sobie jedynie spodnie, a w ramionach trzymałem nieludzką istotę – zwiniętego w kłębek Morloka.

Żołnierz zsunął kapelusz na tył głowy.

– Niezłe tarapaty, prawda, sir? – Skracał wyrazy, mówiąc z teutońskim akcentem północno-wschodniej Anglii.

Przypomniałem go sobie.

– Stubbins, prawda?

– Zgadza się, sir. – Odwrócił się i wskazał ręką w górę plaży. – Sporządzałem mapę w tamtym rejonie. Byłem w odległości sześciu lub siedmiu mil, kiedy dostrzegłem niemiecki samolot nad wodą. Gdy tylko zobaczyłem wielki słup ognia, wiedziałem, co się stało.

Spojrzał niepewnie w stronę obozowiska.

Przeniosłem ciężar na drugą nogę, próbując ukryć zmęczenie.

– Nie wracałbym jeszcze do obozu. Ogień nadal płonie, a Nebogipfel ostrzega przed radioaktywnym promieniowaniem.

– Kto?

Zamiast odpowiadać, trochę uniosłem Nebogipfela.

– Ach, on.

Stubbins podrapał się z tyłu głowy, gdzie miał bardzo krótkie włosy.

– W tej chwili nic pan tam nie pomoże, Stubbins.

Westchnął.

– A zatem, sir, co mamy robić?

– Uważam, że powinniśmy pójść plażą kawałek dalej i znaleźć jakieś schronienie na noc. Przypuszczam, że będziemy tu bezpieczni. Wątpię, czy po tym wszystkim jakiegokolwiek paleoceńskie zwierzę będzie na tyle nierozsądne, by dziś wieczorem zakłócać spokój ludziom. Być może jednak powinniśmy rozpalić ognisko. Czy ma pan zapałki, Stubbins?

– O tak, sir. – Poklepał się po kieszeni na piersi i zagrzechotały zapałki w pudełku. – Proszę się o to nie martwić.

– Dobrze.

Ruszyłem wzdłuż plaży, idąc równym krokiem, ale ramiona okropnie mnie bolały, a nogi mi drżały. Stubbins dostrzegł moje cierpienie i zachował się bardzo uprzejmie – bez słowa przewiesił karabin maszynowy przez swoje szerokie plecy i wziął nieprzytomnego Morloka z mych rąk. Był silny i wydawało się, że Nebogipfel wcale mu nie ciąży.

Szliśmy dalej, aż znaleźliśmy odpowiednie zagłębienie w ścianie lasu i tam rozbiliśmy obóz na noc.

Skutki bombardowania

Poranek był świeży i pogodny.

Obudziłem się przed Stubbinsem. Nebogipfel był nadal nieprzytomny. Zszedłem na plażę i zbliżyłem się do krawędzi morza. Przede mną nad oceanem wstawało słońce, dość mocno grzało. Usłyszałem trzaski i trele leśnych zwierząt, które już były zaabsorbowane swoimi drobnymi sprawami. W odległości kilkuset jardów od lądu po wodzie prześlizgnął się gładki, czarny kształt – wydawało mi się, że to płaszczka.

Podczas tych pierwszych chwil nowego dnia paleoceński świat był taki pełen życia i dziewiczy, jak przed przybyciem Gibsona i jego oddziału ekspedycyjnego. Jednakże słup fioletowego ognia nadal tryskał z epicentrum wybuchu w lesie na wysokość co najmniej tysiąca stóp. Po bokach tamtego słupa wystrzeliwały rozpalone snopy – kawałki stopionych skał i ziemi – zostawiając za sobą paraboliczne smugi jarzącego się światła. Nad tym wszystkim tkwiła chmura pyłu i pary w kształcie parasola; jej obrzeża były postrzępione wskutek podmuchów wiatru.

Zjedliśmy śniadanie złożone z wody i mięszu orzechów kokosowych. Nebogipfel był przygaszony, osłabiony i mówił chropawym głosem, ale odradził Stubbinsowi i mnie powrót do zniszczonego obozu. Powiedział, że być może jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy pozostali żywi w paleocenie, i musimy myśleć o tym, jak przeżyć. Nebogipfel przekonywał nas, że powinniśmy

odejść jeszcze dalej – w jego mniemaniu kilka mil – i rozbić obóz w jakimś spokojnym miejscu, bezpiecznym od radioaktywnego promieniowania karolinu.

– Ja wracam – oświadczył Stubbins bez ogródek, przewyciężając swój wrodzony szacunek dla przełożonych. – Słyszę, co pan mówi, ale prawda jest taka, że być może leżą tam chorzy i umierający ludzie. Nie mógłbym ich tak po prostu zostawić. – Odwrócił się do mnie, a jego otwarta, szczerą twarz była zmarszczona z powodu zatroskania. – To by było niewłaściwe, prawda, sir?

– Tak, Stubbins – odparłem. – Zupełnie niewłaściwe.

Tak więc jeszcze przed południem Stubbins i ja wybraliśmy się w drogę powrotną wzdłuż plaży w kierunku zniszczonego obozu. Stubbins nadal miał na sobie mundur w kolorze zieleni dżungli, który przetrwał poprzedni dzień prawie bez uszczerbku. Oczywiście, ja byłem ubrany w strzępy spodni w kolorze khaki, które miałem na sobie w chwili bombardowania. Zgubiłem nawet buty i czułem się wyjątkowo źle wyekwipowany, kiedy wyruszyliśmy w drogę. Nie mieliśmy żadnych środków medycznych z wyjątkiem apteczki z bandażami i maściami, którą Stubbins nosił na własny użytek. Zebraliśmy jednak kilka kokosów z drzew palmowych, wylaliśmy z nich mleko i napełniliśmy skorupy świeżą wodą. Obaj zawiesiliśmy sobie po pięć lub sześć takich skorup na szyi, nanizując je na kawałki liany. Pomyśleliśmy, że w ten sposób pomożemy ofiarom bombardowania, które uda nam się odnaleźć.

Odgłosy powolnej, nieprzerwanej eksplozji bomby rozlegały się w równych odstępach czasu: nijaki dźwięk podobny do ryku wodospadu, któremu towarzyszyły wstrząsy ziemi. Nebogipfel kazał nam obiecać, że nie podejmiemy bliżej niż na milę do

miejsca, w którym spadła bomba. Kiedy dotarliśmy do części plaży, która według naszych obliczeń leżała w odległości mili od centrum wybuchu, słońce wspięło się wysoko na niebie. Teraz znajdowaliśmy się w cieniu wiecznej, trującej chmury w kształcie parasola. Purpurowo-fioletowy blask nieustannej eksplozji w epicentrum był tak silny, że rzucał cień przede mną na plaży.

Zamoczyliśmy stopy w morzu. Zanurzyłem obolałe kolana i łydki w wodzie, i rozkoszowałem się ciepłem promieni słonecznych na twarzy. To ironia, ale dzień był piękny, niebo pogodne, a morze skąpane w świetle. Zauważyłem, że przypływ już naprawił wiele zniszczeń plaży, których poprzedniego dnia dokonaliśmy my, ludzie. Małże ponownie zagrzebały się piasku koloru sadzy i zobaczyłem żółwia, który przemykał przez płycizny, tak blisko, że prawie mogliśmy go dotknąć.

Poczułem się bardzo stary i niezmiernie zmęczony, całkowicie nie na miejscu w tych pradziejach świata.

Oddaliliśmy się od plaży i wkroczyliśmy w las. Wszedłem w półmrok zmalretowanej puszczy z obawą. Zamierzaliśmy przedrzeć się przez las wokół obozu, zataczając koło w bezpiecznej odległości jednej mili. Wystarczała znajomość szkolnej geometrii, by obliczyć, że będziemy musieli przejść sześć mil, nim okrążymy obóz i ponownie dotrzemy do plaży. Wiedziałem jednak, że poruszanie się dokładnie po łuku będzie trudne, lub nawet niemożliwe, i spodziewałem się, że w sumie cała droga będzie znacznie dłuższa i zajmie nam kilka godzin.

Zbliżyliśmy się do epicentrum wybuchu dostatecznie blisko, by zobaczyć przewrócone i roztrzaskane drzewa – drzewa zniszczone w jednej chwili, które przecież mogły stać przez sto lub więcej lat – i musieliśmy przedzierać się przez zwęglone,

zdruzgotane pniaki oraz zwęglone resztki leśnego baldachimu. Nawet w miejscach, gdzie skutki pierwszej fali uderzeniowej były mniej dotkliwe, zobaczyliśmy blizny po burzy ogniowej, która przemieniła całe kępy drzew *dipterocarps* w skupiska zwęglonych, ogołconych pni podobnych do olbrzymich zużytych zapalek. Baldachim był dość poszarpany i światło dzienne przebijające się do podłoża lasu było znacznie silniejsze niż to, do którego przywykłem. Mimo to w lesie królowały cienie i półmrok. Fioletowy żar śmiertelnej, nieustannej eksplozji rzucał niezdrowy blask na przypalone szczątki drzew i fauny.

Nic dziwnego, że zwierzęta i ptaki, które przeżyły – nawet owady – uciekły z pokieraszowanego lasu i szliśmy dalej w dziwnej ciszy, którą przerywał jedynie szeleszczący odgłos naszych kroków i równomierny, gorący oddech leja ogniowego po bombie.

W niektórych miejscach przewrócone drzewa nadal były tak gorące, że parowały lub nawet świeciły w ciemnoczerwonym kolorze. Niebawem moje gołe stopy były pokryte pęcherzami i poparzone. Obwiązałem sobie podeszwy trawą, by je ochronić, i przypomniałem sobie, jak zrobiłem tak samo, kiedy uciekałem z lasu, który spaliłem w roku Pańskim 802 701. Kilkakrotnie natknęliśmy się na zwłoki jakiegoś biednego zwierzęcia, które dostało się w wir niepojętej katastrofy. Pomimo pożaru procesy gnicia lasu postępowały w dość szybkim tempie i podczas drogi zmuszeni byliśmy wytrzymywać odór zgnilizny i śmierci. W pewnym momencie nastąpiłem na rozpływające się resztki jakiegoś małego stworzenia – chyba *planetarium* – i biedny Stubbins musiał zaczekać na mnie, kiedy z odgłosami obrzydzenia zeskrobywałem sobie szczątki zwierzątka z podeszwy stopy.

Po mniej więcej godzinie natrafiliśmy na nieruchomą, zgarbioną postać na ziemi. Smród był tak ostry, że musiałem przyłożyć postrzępioną chusteczkę do twarzy. Ciało było tak potwornie spalone i zniekształcone, że z początku myślałem, że być może to zwłoki jakiejś bestii – na przykład młodej diatrymy – ale potem usłyszałem krzyk Stubbinsa. Podeszedłem do niego i na końcu pocerniałej, wyciągniętej na ziemi kończyny zobaczyłem kobiecą dłoń. Jakimś dziwnym trafem ręka była zupełnie nietknięta przez ogień. Palce były zwinięte jak we śnie, a na czwartym palcu pobłyskiwała złota obrączka.

Biedny Stubbins oddalił się chwiejnym krokiem między drzewa i usłyszałem, jak wymiotuje. Stojąc w zniszczonym lesie z bezużytecznymi skorupami z wodą na szyi, czułem się jak bezradny, stroskany idiota.

– A co, jeżeli tak jest wszędzie, sir? – zapytał Stubbins. – No wie pan, tak jak tu. – Nie mógł się zmusić, by spojrzeć na zwłoki, czy choćby wskazać je palcem. – A co, jeżeli nie znajdziemy żywego człowieka? Jeżeli wszyscy zginęli, spłonęli tak jak ta kobieta?

Położyłem rękę na jego ramieniu i wydobyłem z siebie siłę, której nie czułem.

– Jeżeli tak jest, to wrócimy na plażę i znajdziemy jakiś sposób, by dalej żyć – odrzekłem. – Postaramy się z tego wybrnąć. Tak właśnie zrobimy, Stubbins. Nie możesz się jednak poddawać, chłopie. Dopiero co rozpoczęliśmy poszukiwania.

Jego oczy odbijały się białym kolorem na tle twarzy, która była czarna jak u kominiarza.

– Tak – powiedział. – Ma pan rację. Nie możemy się poddawać. Postaramy się z tego wybrnąć, bo cóż innego możemy zrobić? Ale...

– Tak?

– Ach, nic takiego – odparł i poprawił swoją apteczkę, gotowy do dalszej drogi.

Nie musiał kończyć zdania, bym zrozumiał, o co mu chodzi! Jeżeli z wyjątkiem nas dwóch i Morloka wszyscy członkowie ekspedycji zginęli, to – Stubbins to wiedział – cała nasza trójka będzie przesiadywać w chatach na plaży aż do śmierci. A potem przyplływ zaleje nasze kości i tak to się skończy. Będziemy mieli szczęście, jeśli pozostaną po nas skamieliny, które jakiś ciekawski właściciel domu wykopie w ogrodzie w Hampstead lub Kew za pięćdziesiąt milionów lat.

Była to ponura, bezsensowna perspektywa. Stubbins chciał wiedzieć, jak można było wybrnąć z tej sytuacji.

W przygnębiającym milczeniu zostawiliśmy zwęglone zwłoki kobiety i ruszyliśmy dalej.

Nie potrafiliśmy zmierzyć czasu w lesie i w otoczeniu tych przerażających zniszczeń. Dzień był długi, gdyż nawet słońce wydawało się zawiesić swój codzienny bieg po niebie, a cienie połamanych pni ani nie ulegały skróceniu, ani nie przesuwały się po ziemi. W rzeczywistości jednak minęło zaledwie jakieś pół godziny, nim usłyszeliśmy odgłos trzasku i miażdżenia, który zbliżał się do nas z wnętrza lasu.

Na początku nie widzieliśmy źródła hałasu. Stubbins ze strachu otworzył szeroko oczy, które w półmroku odznaczały się bielą kości słoniowej. Czekaliśmy, wstrzymując oddech.

Zbliżała się do nas jakaś sylwetka, która wynurzyła się z cienia. Potykała się i zderzała z kikutami drzew. Była to drobna postać, najwyraźniej cierpiąca, niemniej jednak niewątpliwie ludzka.

Z duszą na ramieniu popędziłem naprzód, nie zważając na

skorupiaste, poczerniałe podłoże pod nogami. Stubbins był przy moim boku.

To była kobieta, ale twarz i górną część ciała miała takie popalone i poczerniałe, że nie mogłem jej rozpoznać. Padła w nasze ramiona z bełkotliwym westchnieniem, jakby doznała ulgi.

Stubbins posadził kobietę na ziemi, opierając ją o pień złamanego drzewa. W trakcie tego mamrotał zdławionym głosem niezręczne słowa pocieszenia:

– Proszę się nie martwić. Wszystko będzie dobrze, zaopiekuję się panią...

Kobieta nadal miała na sobie zwęglone szczątki koszuli z tkaniny diagonalnej i spodni w kolorze khaki, ale całe ubranie było poczerniałe i podarte. Jej ramiona były mocno poparzone, zwłaszcza na wewnętrznych stronach przedramion. Twarz miała popaloną – prawdopodobnie stała zwrócona przodem podczas wybuchu – ale wokół jej ust i oczu dostrzegłem paski zdrowego ciała, które zachowały się w dość dobrym stanie. Domyśliłem się, że w chwili wybuchu zakryła twarz rękami, chroniąc przynajmniej jej część, lecz niszcząc sobie przy tym przedramiona.

Otworzyła oczy, które miały intensywny, niebieski kolor. Z jej ust wydobył się owadzi szept. Pochyliłem się, żeby ją usłyszeć, przewyciężając odrazę i grozę na widok poczerniałych szczątków jej nosa i uszu.

– Wody. Na litość boską, wody...

To była Hilary Bond.

Stubbins i ja pozostaliśmy z Hilary przez kilka godzin, podając jej wodę z naszych skorup. Od czasu do czasu Stubbins wyruszał na obchód lasu i krzyczał we wszystkie strony, by przyciągnąć uwagę innych ludzi pozostałych przy życiu. Próbowaliśmy opatrzyć rany Hilary za pomocą środków z apteczki Stubbinsa, ale jej zawartość – przeznaczona do leczenia siniaków, rozcięć i tym podobnych drobnych urazów – okazała się niewystarczająca, by poradzić poważnym oparzeniom Hilary.

Hilary była osłabiona, ale mówiła do rzeczy i zdała mi relację z tego, co widziała podczas bombardowania.

Po tym, jak zostawiła mnie na plaży, ruszyła jak najszybciej przez las. Mimo to nie była bliżej niż milę od obozu, kiedy nadleciał messerschmitt.

– Zobaczyłam, jak bomba spada w powietrzu – szepnęła. – Ze sposobu, w jaki się żarzyła domyśliłam się, że skonstruowano ją z karolinu. Nigdy dotąd nie widziałam takiej, ale słyszałam o niej. Pomyślałam, że ze mną koniec. Zamarłam w bezruchu jak królik – lub głupiec – a kiedy odzyskałam świadomość, wiedziałam, że nie mam czasu ani paść na ziemię, ani schować się za drzewami. Zakryłam twarz rękami...

Błysk był nieludzko oślepiający.

– Światłość przypaliła mi ciało... To było jak otwarcie drzwi do piekieł... Poczułam, że moje policzki się topią, a kiedy

otworzyłam oczy, zobaczyłam, że czubek mojego nosa płonie jak świeczka... To było niezwykle...

Zaczęła kaszleć.

Potem nadszedł wstrząs – „jak powiew huraganu” – i została ciśnięta do tyłu. Poturlała się po podłożu lasu, aż zderzyła się z twardą powierzchnią – prawdopodobnie pniem drzewa – i na pewien czas straciła przytomność.

Kiedy przyszła do siebie, słup purpurowo-fioletowego płomienia wznosił się jak wyrastający z lasu demon, któremu towarzyszyły smugi stopionej ziemi i pary. Otaczające ją drzewa były strzaskane i popalone, choć – szczęśliwym trafem – ona sama znajdowała się na tyle daleko od epicentrum, by uniknąć największej siły zniszczenia i nie odniosła dalszych obrażeń wskutek spadających gałęzi lub innych odłamków.

Dotknęła nosa i zapamiętała tylko otępiełą ciekawość, kiedy zobaczyła w ręce jego dużą część.

– Ale nie czułam żadnego bólu... To bardzo dziwne. Choć – dodała ponuro – wkrótce zostało mi to skompensowane z nawiązką...

Słuchałem tego w milczeniu połączonym z grozą, podczas gdy w wyobraźni widziałem żywy obraz szczupłej, dość niezgrabnej dziewczyny, z którą wyławiałem małże zaledwie kilka godzin przed tym strasznym wydarzeniem.

Hilary myślała, że zasnęła. Gdy odzyskała świadomość, w lesie panowała znacznie większa ciemność – pierwsze płomienie przygasły – i nie wiadomo czemu odczuwała mniejszy ból. Zastanawiała się, czy czasem jej nerwy nie zostały uszkodzone.

Oslabiona wskutek wielkiego pragnienia, dokonała ogromnego wysiłku, wstała i zbliżyła się do epicentrum wybuchu.

– Pamiętam żar spowodowany nieustanną eksplozją karolinu,

ten nieziemski fiolet, który robił się coraz jaśniejszy, gdy mijałam drzewa... Upał wzrastał i zastanawiałam się, jak blisko zdołam podejść, nim będę musiała się wycofać.

Dotarła do skraju otwartej przestrzeni wokół zaparkowanych molochów.

– Blask z ogniowego dołu karolinu był tak oślepiający, że ledwie cokolwiek widziałam i rozlegał się ryk przypominający odgłos wodospadu – powiedziała. – Bomba spadła w sam środek naszego obozu. Ten Niemiec miał niezłego cęla. To przypominało mały wulkan, z którego buchają dym i płomienie.

– Nasz obóz jest zrównany z ziemią i spalony – ciągnęła – a większość wyposażenia i zapasów zniszczona. Nawet molochy zostały roztrzaskane na kawałki. Z czterech pozostał tylko jeden, który zachował swój kształt, ale i tak został wypalony w środku. Pozostałe są rozwalone, przewrócone jak zabawki i zwęglone. Nie widziałam żadnych ludzi. Chyba spodziewałam się... – zawahała się na moment – ...strasznych widoków. Tak, spodziewałam się strasznych widoków. Ale nie pozostało po nich nic. Z wyjątkiem jednej rzeczy... bardzo dziwnej rzeczy. – Położyła rękę na moim ramieniu; ogień strawił ją do kości. – Na kadłubie tego jednego ocalałego molocha większość farby utworzyła pęcherze, z wyjątkiem jednego miejsca, gdzie pozostała plama przypominająca cień kucającego człowieka. – Spojrzała na mnie oczami błyszczącymi na zniszczonej twarzy. – Czy pan to rozumie? To był cień żołnierza... Nie wiem, kto to był... Żołnierza pochwyconego w chwili wybuchu tak olbrzymiego, że jego ciało wyparowało, a kości zostały rozrzucone. A jednak cień na farbie pozostał. – Mówiła spokojnym, beznamiętnym tonem, ale jej oczy były pełne łez. – Czy to nie dziwne?

Przez pewien czas Hilary chodziła chwiejnym krokiem po

obrzeżu obozowiska. Przekonana, że już nie znajdzie tam żywych ludzi, zamierzała choćby poszukać zapasów. Jej myśli były rozproszone i zagmatwane, a ból tak dotkliwy, że groziło to załamaniem nerwowym. Zdeformowanymi rękami nie potrafiła metodycznie przeszukać zwęglonych resztek obozowiska.

Odeszła więc, zamierzając dotrzeć do morza.

Potem prawie w ogóle nie pamiętała przeprawy przez las. Brnęła przez całą noc, a jednak przebyła tak niewielką odległość od miejsca wybuchu, że domyśliłem się, iż musiała chodzić w kółko, dopóki nie znalazłem jej wraz z Stubbinssem.

Wraz ze Stubbinsem postanowiliśmy, że najlepiej będzie, jeśli zabierzemy Hilary do lasu, z dala od szkodliwego promieniowania karolinu, i zaniemiemy ją do naszego obozowiska na plaży, gdzie pomysłowy Nebogipfel może znaleźć jakiś sposób, by przynieść jej ulgę. Jednakże Hilary nie miała siły, by dalej iść. Sklecieliśmy na poczekaniu nosze, tworząc je z dwóch prostych, opadłych gałęzi, które połączyliśmy moimi spodniami i koszulą Stubbinsa. Uważając na jej pokryte pęcherzami ciało, umieściliśmy Hilary na tej prowizorycznej konstrukcji. Krzyknęła, kiedy ją podnieśliśmy, ale z chwilą, gdy posadziliśmy ją na noszach, odczuła ulgę.

Ruszyliśmy z powrotem przez las, zmierzając w kierunku plaży. Stubbins szedł przede mną i niebawem zobaczyłem krople potu oraz plamy brudu na jego gołych, kościstych plecach. Potykał się w półmroku spalonego lasu, a liany i niskie gałęzie uderzały go w nie osłoniętą twarz, ale nie narzekał i wytrwale trzymał nosze. Jeżeli chodzi o mnie, to zataczałem się, ubrany jedynie w krótkie kalesony, i wkrótce moje siły się wyczerpały, a zwiotczałe mięśnie zaczęły mocno drżeć. Czasami myślałem, że nie zdołam unieść nogi i wykonać następnego kroku lub utrzymać szorstkich drążków w sztywniejących rękach. Widząc jednak niezłomny upór idącego przede mną Stubbinsa, usiłowałem ukryć zmęczenie i dotrzymywałem mu kroku.

Hilary leżała półprzytomna. Jej ręce i nogi konwulsyjnie drgały, a z ust wydobywały się bełkotliwe krzyki, kiedy ból atakował jej układ nerwowy.

Po dotarciu do wybrzeża położyliśmy Hilary w cieniu lasu. Stubbins uniósł jej głowę jedną ręką i dał jej pić. Był niezdarny, ale postępował z podświadomą delikatnością i wrażliwością, które zrekompensowały jego wrodzone ograniczenia wynikające z nieproporcjonalnej budowy ciała. Wydawało mi się, że wkłada całe swoje serce w te proste czynności mające pomóc Hilary. Uznałem, że Stubbins jest zasadniczo dobrym, życzliwym człowiekiem i przyjąłem, że jego troskliwa opieka nad Hilary umotywowana jest w dużym stopniu po prostu zwyczajną litością. Ale zobaczyłem też, że biedny Stubbins nie zniósłby sytuacji, gdyby się okazało, iż sam przeżył – tylko dzięki temu, że szczęśliwym trafem podczas katastrofy wykonywał zadanie z dala od obozu – natomiast wszyscy jego towarzysze zginęli. Przewidywałem, że wiele pozostałych dni poświęci podobnym aktom skruchy.

Zrobiwszy co w naszej mocy, podnieśliśmy nosze i ruszyliśmy w dalszą drogę plażą. Prawie nadzy, pokryci skorupą sadzy i popiołu ze spalonego lasu, niosąc zmaltretowane ciało Hilary Bond, stąpaliśmy po twardszym, wilgotnym podłożu na skraju morza. Chłodny, wilgotny piasek wchodził nam między palce u nóg, a drobne fale słonej wody obmywały nasze golenie.

Po dotarciu do małego obozowiska Nebogipfel objął dowództwo. Stubbins kręcił się w pobliżu, ale tylko przeszkadzał Nebogipfelowi i Morlok posłał mi kilkakrotnie wrogie spojrzenie, aż chwyciłem żołnierza za ramię i odprowadziłem go na bok.

– Posłuchaj, chłopie – odezwałem się. – Może Morlok wygląda trochę dziwnie, ale zna się na medycynie znacznie lepiej niż ja

czy, zaryzykuję twierdzenie, ty. Najlepiej będzie, jeśli przez pewien czas nie będziemy mu wchodzić w drogę i pozwolimy, by leczył kapitan Bond.

Stubbins zacisnął wielkie dłonie.

W końcu wpadłem na pewien pomysł.

– Nadal musimy szukać pozostałych – powiedziałem. – Może rozpali pan ognisko? Jeżeli weźmie pan świeże drewno i narobi dużo dymu, będziemy mieli sygnał widoczny z odległości wielu mil.

Stubbins ochoczo przystał na tę propozycję i niezwłocznie wybrał się do lasu. Kiedy wynosił stamtąd naręcza gałęzi, wyglądał jak jakieś niezdarne zwierzę, ale poczułem ulgę, że znalazłem pożyteczny cel dla bezradnej energii, która w nim kipiała.

Nebogipfel przygotował szereg otwartych skorup kokosów, które umieścił w zagłębieniach w piasku. We wszystkich skorupach była mleczkowata substancja, którą przyrządził według własnej receptury. Poprosił Stubbinsa o składany nóż, którym zaczął rozcinać ubranie Hilary. Nabrał mleczko w dłoń i swoimi miękkimi, morlokowskimi palcami zaczął je wcierać w najbardziej poranione części jej ciała.

Na początku Hilary, nadal prawie nieprzytomna, krzyczała w trakcie tych zabiegów, ale wkrótce jej ból zelżał i wydawało się, że zapada w głębszy, spokojniejszy sen.

– Co to za mleczko?

– Balsam – odparł, nie przerywając pracy – oparty na mleczku z kokosów, olejku z maź i roślinach leśnych. – Poprawił sobie maskę na twarzy, pozostawiając na niej strużki kleistej substancji. – Złagodzi ból po oparzeniach.

– Imponuje mi, że okazałeś taką zdolność przewidywania

i przygotowałeś balsam – powiedziałem.

– Nie trzeba było wielkiej przenikliwości – odrzekł lodowatym tonem – by się domyślić, że po wczorajszej katastrofie, którą sami sobie zgotowaliście, pojawiają się ofiary z takimi obrażeniami.

To mnie zirytowało. „Sami sobie zgotowaliście?” Nikt z nas nie prosił przekłętego Niemca o to, żeby wybrał się w przeszłość z bombą zbudowaną na bazie karolinu.

– Niech cię diabli wezmą! Próbowałem ci tylko pogratulować z powodu tego, co zrobiłeś dla tej dziewczyny!

– Wolałbym jednak, żebyś nie przyprowadzał mi takich smutnych ofiar szaleństwa, testując moją litość i pomysłowość.

– Niech to licho porwie!

Pomyślałem, że czasami Morlok jest naprawdę nieznośny – zupełnie nieludzki!

Stubbins i ja podtrzymywaliśmy ogień, dorzucając do niego świeże drewno, tak że iskrzył, strzelał i buchał kłębamii dymu w kolorze białych chmur. Stubbins robił krótkie wypadki poszukiwawcze do lasu, ale bez skutku. Musiałem mu obiecać, że jeśli w ciągu kilku dni ogień nie da pomyślnych rezultatów, pójdziemy ponownie na obchód rejonu wokół epicentrum wybuchu.

Ocalali zaczęli zjawiać się w czwartym dniu po bombardowaniu. Przychodzili pojedynczo lub parami. Byli poparzeni i zmaltretowani, ubrani w strzępy strojów dżunglowych. Wkrótce Nebogipfel prowadził dość duży szpital polowy – rząd sienników z palmowych liści, które leżały w cieniu drzew *dipterocarps* – natomiast ci, którzy byli sprawni, zajęli się pielęgnacją chorych i zbieraniem dalszych zapasów.

Przez pewien czas żywiliśmy nadzieję, że gdzie indziej istnieje

jakieś inne obozowisko, które jest lepiej wyposażone od naszego. Snułem domysły, że być może Guy Gibson przeżył i wziął sprawę w swoje ręce, podchodząc do nowej sytuacji z charakterystycznym dla siebie spokojem i zmysłem praktycznym.

Przeżyliśmy chwilę optymizmu, kiedy na plaży pojawił się lekki pojazd mechaniczny. W samochodzie siedziało dwóch żołnierzy. Okazało się, że to młode kobiety. Doznaliśmy jednak rozczarowania. Te dwie dziewczyny były najdalej wysuniętą grupą badawczą, którą oddział wysłał z bazy. Grupa ta jechała wzdłuż wybrzeża na zachód, szukając drogi umożliwiającej wjazd w głąb kraju.

Przez kilka tygodni po ataku wysyłałiśmy grupy, które patrolowały plażę i las. Czasami odkrywały one szczątki jakiejś biednej ofiary bombardowania. Wydawało się, że niektórzy żyli przez pewien czas po pierwszym wybuchu, ale, osłabieni wskutek doznanych obrażeń, okazali się niezdolni, by przeżyć lub wezwać pomoc. Niekiedy grupa wracała z resztkami wyposażenia. (Nebogipfel nalegał, by przynosić wszelkie odłamki metalu. Argumentował, że minie jeszcze sporo czasu, nim nasza mała kolonia będzie w stanie wytapiać rudę.) Nie znaleźliśmy już jednak nikogo więcej żywego. Dwie kobiety w samochodzie były ostatnimi osobami, które do nas dołączyły.

Mimo to paliliśmy ognisko w dzień i w nocy, jeszcze długo po tym, jak straciliśmy wszelkie uzasadnione nadzieje, że pojawią się kolejne osoby, które przeżyły katastrofę.

Z ponad stu członków ekspedycji bombardowanie i burzę ogniową przeżyło dwadzieścia jeden osób: jedenaście kobiet, dziewięciu mężczyzn i Nebogipfel. Po Guyu Gibsonie nie było śladu. Nepalski doktor również zginął.

Zajęliśmy się więc opieką nad rannymi, zbieraniem zapasów niezbędnych do przeżycia i rozważaniem, jak stworzyć przyszłą kolonię, gdyż po zniszczeniu molochów wkrótce stało się dla nas wszystkich jasne, że nie wrócimy do rodzimego stulecia, że w końcu złożymy kości w tej paleocieńskiej ziemi.

Cztery osoby zmarły wskutek oparzeń i innych ran wkrótce po przyniesieniu ich do obozu. Wydawało się, że przynajmniej niewiele cierpiały. Zastanawiałem się, czy czasem Nebogipfel nie domieszał czegoś do swych leków, by skrócić ich męki.

Zachowałem jednak te podejrzewania dla siebie.

Każda śmierć bardzo przygnębiała naszą małą kolonię. Jeżeli chodzi o mnie, to czułem się odrętwiały, jakby groza wypełniła moją duszę po brzegi, zabijając wszelkie uczucia. Obserwowałem, jak zmaltretowani, młodzi żołnierze w postrzępionych, zakrwawionych mundurach wykonują swoje ponure prace i wiedziałem, że kolejne zgony w twardych, prymitywnych warunkach brudu i nędzy, w których walczyliśmy o przetrwanie, zmuszały ich wszystkich do tego, by ponownie stanęli oko w oko ze swoją śmiertelnością.

Na domiar złego po kilku tygodniach nasze przerzedzone szeregi zaczęła nękać nowa choroba. Dotknęła kilka osób, które już wcześniej odniosły rany, lecz – co było niepokojące – także innych, z pozoru zdrowych. Objawy były przerażające: wymioty, krwotoki zewnętrzne i wypadanie włosów, paznokci, a nawet zębów.

Nebogipfel wziął mnie na stronę.

– Potwierdzają się moje obawy – szepnął. – To choroba spowodowana działaniem promieniowania karolinu.

– Czy ktokolwiek z nas jest bezpieczny, czy wszyscy zachorujemy?

– Nie ma sposobu, by leczyć tę chorobę, można jedynie łagodzić niektóre najcięższe objawy. Jeżeli chodzi o bezpieczeństwo...

– Tak?

Wsunął ręce pod maskę i przetarł oczy.

– Nie istnieje bezpieczny poziom radioaktywności – wyjaśnił. – Są jedynie stopnie ryzyka. Być może wszyscy przeżyjemy lub wszyscy zachorujemy.

To wszystko bardzo mnie zmartwiło. Widok tych młodych ciał, które już nosiły blizny wieloletniej wojny, a teraz, wskutek działań bliźnich, leżały zmalretowane na piasku, mogąc liczyć jedynie na niefachową pomoc medyczną Morloka – obcej istoty, która znalazła się na mieliźnie historii... Wstyd mi było za moją rasę i za siebie.

– Wiesz – powiedziałem Nebogipfelowi – kiedyś skłonny byłem wysuwać argumenty za tym, że wojna może się w końcu okazać siłą pozytywną, ponieważ zdolna jest zburzyć stary, skostniały porządek, i otworzyć świat na zmiany. Wierzyłem też we wrodzoną mądrość ludzkości: że doświadczywszy tylu zniszczeń w wojnie takiej jak ta, ludzie będą się kierować zdrowym rozsądkiem i położą temu wszystkiemu kres.

Nebogipfel pogładził się po twarzy.

– Zdrowym rozsądkiem? – powtórzył.

– Tak to sobie wyobrażałem – powiedziałem. – Ale nigdy dotąd nie doświadczyłem prawdziwej wojny. Gdy ludzie zaczynają się wyrzynać, nic ich nie powstrzyma przed całkowitym wyczerpaniem i wyniszczeniem! Teraz widzę, że wojna nie ma sensu. Nawet jej wynik nic nie znaczy...

Jednak z drugiej strony, powiedziałem Nebogipfelowi, zdziwił mnie altruizm tej garstki ludzi, którzy poświęcili się wzajemnej trosce i opiece. Teraz, gdy wszystko zostało sprowadzone do podstaw – do prostego ludzkiego cierpienia – zatarły się różnice związane z klasą społeczną, rasą, wiarą i stopniem wojskowym, które zaobserwowałem w oddziale ekspedycyjnym przed bombardowaniem.

W ten sposób – przyjmując beznamiętny sposób patrzenia Morloka – dostrzegłem tę sprzeczną mieszaninę sił i słabości, które stanowią istotę mojego gatunku! Ludzie są bardziej brutalni i zarazem pod pewnymi względami bardziej anielscy, niż sądziłem na podstawie pierwszych czterdziestu lat mojego życia.

– To trochę późno – przyznałem – by wyciągać takie głębokie nauki o gatunku, z którym dzieliłem planetę przez czterdzieści kilka lat. Tym niemniej, tak właśnie sprawa wygląda. Wydaje mi się teraz, że jeśli człowiek ma kiedykolwiek osiągnąć stan pokoju i stabilności – przynajmniej zanim przekształci się w coś nowego, na przykład w Morloka – to zjednoczenie gatunku musi się rozpocząć na samym dole: poprzez oparcie się na solidnym fundamencie – jedynym fundamencie polegającym na wytworzeniu instynktownego odruchu pomagania bliźnim. – Spojrzałem na Nebogipfela. – Czy widzisz, do czego zmierzam? Czy sądzisz, że to, co mówię, ma jakiś sens?

Ale Morlok ani nie potwierdził, ani nie zanegował mojej najnowszej hipotezy. Po prostu odwzajemnił mi się spokojnym, uważnym, badawczym spojrzeniem.

Choroba popromienna pochłonęła jeszcze trzy ofiary.

U wielu wystąpiły objawy – na przykład Hilary Bond straciła

większość włosów – ale żadna z tych osób nie zmarła. Niektórzy, nawet jeden mężczyzna, który był bliżej pierwszego wybuchu niż większość osób, nie wykazywali żadnych oznak choroby. Jednakże Nebogipfel ostrzegł mnie, że to jeszcze nie koniec działania karolinu, gdyż w późniejszym życiu na każdego z nas mogą spaść inne choroby – rak i rozmaite dolegliwości.

Hilary Bond była najstarszym oficerem, który pozostał przy życiu. Gdy tylko zdołała się unieść na swoim posłaniu, zaczęła spokojnie i autorytatywnie rządzić. W naszej grupie zapanowała naturalna, wojskowa dyscyplina – choć znacznie uproszczona, gdyż z oddziału ekspedycyjnego przeżyło zaledwie trzynaście osób – i sądzę, że żołnierzom, zwłaszcza młodszym, bardzo odpowiadało przywrócenie tego znajomego porządku życia. Oczywiście, dryl wojskowy nie mógł się na stałe utrzymać. W przypadku przetrwania i pomyślnego rozwoju naszej kolonii w przyszłym pokoleniu organizacja oparta na hierarchii wojskowej okazałaby się niepożądana i niepraktyczna. Na razie jednak istniała taka potrzeba.

Większość żołnierzy miała żony czy mężów, rodziców, przyjaciół – nawet dzieci – w rodzinnym dwudziestym wieku. Teraz musieli pogodzić się z faktem, że nikt z nas nie wróci do domu. Gdy ich pozostały sprzęt powoli rozpadał się w wilgoci dżungli, żołnierze uświadomili sobie, że w przyszłości przeżyją tylko dzięki owocom własnej pracy i pomysłowości oraz wzajemnej pomocy.

Nadal pomny na niebezpieczeństwa radioaktywnego promieniowania, Nebogipfel nalegał, żebyśmy założyli stały obóz kawałek dalej na plaży. Wysłaliśmy grupy zwiadowcze, jak najlepiej wykorzystując nasz samochód, dopóki starczyło mu paliwa. Wreszcie zdecydowaliśmy się na deltę szerokiej rzeki,

jakieś pięć mil na południowy zachód od pierwotnego obozowiska ekspedycji – przypuszczam, że było to w okolicy Surbiton. Gdybyśmy postanowili rozwinąć w przyszłości rolnictwo, ziemia granicząca z równiną przy naszej rzece byłaby żyzna i nawodniona.

Przeprowadziliśmy się etapami, gdyż wielu rannych trzeba było nieść przez większą część drogi. Na początku korzystaliśmy z samochodu, ale wkrótce benzyna się skończyła. Nebogipfel naciskał jednak, żebyśmy zabrali pojazd ze sobą. Miał nam służyć jako źródło gumy, szkła, metalu i innych materiałów. Tak więc załadowaliśmy samochód rannymi, zapasami i sprzętem i podczas ostatniej podróży pchaliśmy go po piasku jak taczkę.

Szliśmy utykając wzdłuż plaży – czternastu ludzi, którzy przeżyli – w poszarpanych ubraniach i z powierzchownie zaleczonymi ranami. Przyszła mi do głowy myśl, że gdyby jakiś beznamienny obserwator zobaczył tę małą karawanę, chyba by się nie domyślił, że ta garstka obdartusów to jedyni w tej epoce przedstawiciele należący do gatunku, który pewnego dnia będzie w stanie zatrzeć światem!

Nasza nowa kolonia znajdowała się w tak dużej odległości od pierwotnego obozowiska ekspedycji, że w pobliskim lesie nie widać było większych zniszczeń. Nie mogliśmy wszakże jeszcze zapomnieć o bombardowaniu, gdyż w nocy nadal żarzył się fioletowy płomień na wschodzie. Nebogipfel powiedział, że będzie widoczny przez wiele następnych lat. Wyczerpany całodzienną pracą, często siadałem na skraju obozu, z dala od światła i rozmów, i obserwowałem, jak gwiazdy wschodzą nad tamtym stworzonym przez człowieka wulkanem.

Na początku nasze nowe obozowisko było prymitywne – tworzył je rząd zadaszeń skleconych z opadłych gałęzi i liści

palmy. Kiedy jednak zainstalowaliśmy się i zapewniliśmy sobie zapas wody oraz jedzenia, wdrożyliśmy program szybszej rozbudowy. Uzgodniliśmy, że zadaniem priorytetowym jest wspólny budynek, który będzie dostatecznie duży, by pomieścić nas wszystkich w razie burzy lub innych klęsk żywiołowych. Nowi koloniści zabrali się do budowy tego budynku z zapalem. Skorzystali z ogólnych planów, które sporządziłem dla własnego schronienia: drewniana platforma ustawiona na szczudłowatych fundamentach. Obecne przedsięwzięcie było jednak zakrojone na większą skalę.

Oczyściliśmy pole przy naszej rzece, aby Nebogipfel mógł kierować cierpliwą uprawą czegoś, co pewnego dnia mogło się stać pożytecznymi zbiorami wyhodowanymi z lokalnej flory. Zbudowaliśmy pierwszą łódź – prosty, wydrążony kajak – aby można było łowić w morzu.

Po wielu próbach złapaliśmy małą rodzinę diatrym i umieściliśmy zwierzęta w zagrodzie. Choć te ptasie bestie wydostawały się kilkakrotnie na wolność, pustosząc teren kolonii, uparliśmy się, by je trzymać w zamknięciu i oswoić, gdyż perspektywa uzyskiwania mięsa i jaj ze stada udomowionych diatrym była kusząca. Próbowaliśmy je nawet przystosować do ciągnięcia pługa.

Stopniowo koloniści zaczęli mnie traktować z pewnego rodzaju uprzejmością i szacunkiem, które – zgadzałem się z tym! – należne mi były z racji wieku i większego doświadczenia, które nabyłem w paleocenie. Jeżeli chodzi o mnie, to stwierdziłem, że wprawdzie dzięki doświadczeniu pierwszego okresu stałem na czele kilku naszych projektów, ale pomysłowość młodszych ludzi połączona z ich wyszkoleniem w zakresie przetrwania w dżungli pozwoliła im szybko prześcignąć moją ograniczoną wiedzę.

Wkrótce odkryłem, że traktują mnie z pewną wyrozumiałością połączoną z rozbawieniem. Nadal jednak z zapałem uczestniczyłem w coraz liczniejszych przedsięwzięciach kolonii.

W tym społeczeństwie młodych ludzi Nebogipfel naturalnie stronił od towarzystwa.

Gdy tylko uporał się z najpilniejszymi zadaniami związanymi z leczeniem i miał więcej wolnego czasu, zaczął go spędzać z dala od kolonii. Odwiedzał naszą starą chatę, która nadal stała kilka mil dalej na plaży, na północnym wschodzie. I chodził na wyprawy badawcze do lasu. Nie wtajemniczył mnie w cel tych wycieczek. Przypomniałem sobie samochód czasu, który próbował zbudować przed przybyciem oddziału ekspedycyjnego, i podejrzewałem, że Morlok znów się za to zabrał. Wiedziałem jednak, że plattneryt z lądowych krążowników oddziału uległ zniszczeniu podczas bombardowania, więc w staraniach Nebogipfela nie widziałem żadnego sensu. Mimo to nie narzucałem mu się z pomocą. Uznałem, że z nas wszystkich on musi odczuwać największe wyobcowanie, niemal izolację od naszej małej społeczności i właśnie dlatego jego zachowanie powinniśmy traktować ze zrozumieniem i tolerancją.

Założenie Pierwszego Londynu

Pomimo strasznych obrażeń, koloniści byli pogodnymi, młodymi ludźmi, skorymi do śmiechu. Gdy już nikt więcej nie umarł wskutek promieniowania po bombardowaniu i gdy stało się jasne, że nie umrzemy z głodu i nie zostaniemy zmyć i do morza, wszystkich stopniowo ogarniał radosny nastrój.

Pewnego wieczora, gdy cienie drzew *dipterocarps* wydłużały się w kierunku oceanu, podszedł do mnie Stubbins. Jak zwykle siedziałem na skraju obozu, patrząc w stronę żaru bijącego z leja po bombie. Ku mojemu zdumieniu zapytał mnie nieśmiało, czy nie chciałbym wziąć udziału w meczu w piłkę nożną! Moje protesty, że nigdy w nianie grałem, nic nie znaczyły. Wróciłem więc z nim plażą do miejsca, w którym wyznaczono boisko na piasku. Za bramki służyły słupki z drewnianych pali, które wzięto ze szkieletu konstrukcji naszego budynku. Piłką była skorupa orzecha kokosowego, z którego wylano mleko. Osiem osób spośród naszej grupki, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, przygotowało się do gry.

Nie sądzę, by ten przygnębiający mecz przeszedł do historii sportu. Ja sam niewiele wniosłem do gry, poza tym, że obnażyłem swój kompletny brak koordynacji ruchów, który

przysporzył mi tylu kłopotów, kiedy chodziłem do szkoły. Stubbins o niebo przerastał nas wszystkich w grze. Tylko trójka zawodników, w tym Stubbins, była w pełni sprawna – i jedną z tych osób byłem ja, a opadłem zupełnie z sił już po pierwszych dziesięciu minutach meczu. Reszta tworzyła zbieraninę z zabandażowanymi ranami i – co było komiczne, wręcz żałosne – brakującymi lub sztucznymi kończynami! Mimo to, gdy graliśmy dalej i rozlegało się coraz więcej śmiechów oraz okrzyków zachęty, wydawało mi się, że uczestnicy meczu to właściwie jeszcze dzieci: z maltretowanymi i zdezorientowanymi, a teraz wyrzucone na mieliznę w tej starożytnej erze, tym niemniej dzieci.

Zastanawiałem się, jakim gatunkiem jesteśmy naprawdę, skoro sprowadzamy takie kataklizmy na swoich potomków?

Po meczu zeszedliśmy z boiska, roześmiani i wyczerpani. Stubbins podziękował mi, że przyłączyłem się do gry.

– Nie ma o czym mówić – odrzekłem. – Jest pan dobrym piłkarzem, Stubbins. Może powinien pan to robić zawodowo.

– Prawdę mówiąc, grałem zawodowo – powiedział z tęsknotą w głosie. – Zapisalem się do drużyny United Newcastle... Ale to było na początku wojny. Wojna wkrótce położyła kres piłce nożnej. Oczywiście urządzano turnieje – mistrzostwa lig okręgowych i puchary ligii wojennej – ale w ciągu ostatnich pięciu czy sześciu lat nawet to się skończyło.

– Szkoda – stwierdziłem. – Ma pan talent, Stubbins.

Wzruszył ramionami. Jego wrodzona skromność walczyła z ewidentnym rozczarowaniem.

– Widocznie kariera nie była mi sądzona.

– Teraz jednak dokonał pan czegoś znacznie ważniejszego – pocieszyłem go. – Zagrał pan w pierwszym meczu piłkarskim na

Ziemi. I na dodatek strzelił trzy gole. – Poklepałem go po plecach.
– Z tego każdy mógłby być dumny, Albercie!

W miarę upływu czasu coraz bardziej stawało się dla nas jasne – chodzi mi o poziom świadomości głębszy od rozumu, gdzie zgromadzona jest wiedza – że naprawdę nigdy nie wrócimy do domu. Powoli – przypuszczam, że nieuchronnie – związki i więzi partnerskie z dwudziestego wieku popadały w zapomnienie i koloniści zaczęli się łączyć w pary. W tych związkach nie zwracano uwagi na stopień wojskowy, klasę społeczną czy rasę: sipaje, Gurkhowie i Anglicy łączyli się bez żadnych uprzedzeń. Tylko Hilary Bond, pamiętając swoje dawne stanowisko, trzymała się od tego wszystkiego z daleka.

Powiedziałem Hilary, że z racji swojego stopnia mogłaby udzielać ślubu – tak jak kapitan na morzu. Podziękowała mi za tę sugestię, ale wyczułem w jej głosie sceptycyzm i więcej nie rozmawialiśmy na ten temat.

Wzdłuż wybrzeża i w górę doliny rzeki od naszej nadmorskiej sadyby wyrosły kwatery. Hilary przypatrywała się temu z dużą dozą tolerancji. Jej jedyny wymóg był taki – na razie – aby żadna kwatery nie znajdowała się poza zasięgiem wzroku sąsiedniej i nie była położona dalej niż milę od budynku. Koloniści bez sprzeciwu przyjęli te ograniczenia.

Mądrość Hilary w odniesieniu do spraw małżeńskich – i mojego przeciwnego, szalonego stanowiska – wkrótce stała się oczywista, gdyż pewnego dnia zobaczyłem, jak Stubbins spaceruje po plaży, obejmując ramionami dwie młode kobiety. Powitałem ich wszystkich z radością, ale dopiero kiedy mnie minęli, uświadomiłem sobie, że nie wiem, która z nich jest żoną Stubbinsa!

Zapytałem Hilary i dostrzegłem, że z trudem tłumi śmiech.

– Widziałem, jak Stubbins tańczy polkę szkocką z Sara – zaprotestowałem – ale kiedy zaszedłem do jego chaty nazajutrz rano w zeszłym tygodniu, była tam ta inna dziewczyna...

Hilary wreszcie wybuchnęła śmiechem i położyła pokiereszowane ręce na moich ramionach.

– Mój drogi przyjacielu – odrzekła. – Żeglowałeś po morzach czasu i przestrzeni, wielokrotnie zmieniłeś historię, bez wątpienia jesteś geniuszem, a jednak zupełnie nie znasz ludzi!

Byłem zakłopotany.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Zastanów się. – Przesunęła ręką po okaleczonej głowie, na której rosły kępki posiwiałych włosów. – Jest nas trzynastu – nie licząc twojego przyjaciela, Nebogipfela. I w tej trzynastce jest osiem kobiet oraz pięciu mężczyzn. – Spojrzała na mnie. – Taka jest nasza sytuacja. Nie ma za horyzontem żadnej wyspy, skąd mogliby przybyć młodzieńcy, by poślubić nasze dziewczyny... Gdybyśmy wszyscy połączyli się w stałe pary... Gdybyśmy utworzyli związki monogamiczne – tak jak to proponujesz – nasza kolonia wkrótce by się rozpadła. Bo osiem i pięć to nierówne cyfry. Dlatego myślę, że pewna dowolność w naszych związkach jest jak najbardziej na miejscu. Dla dobra wszystkich. Nie uważasz? A poza tym to korzystne dla genetycznej różnorodności, o której poucza nas Nebogipfel.

Byłem zszokowany. Nie z powodu (w co głęboko wierzyłem) jakichkolwiek oporów moralnych, lecz wyrachowania, które się za tym wszystkim kryło!

Wstałem zatroskany i zamierzałem odejść. I wtedy przyszła mi do głowy pewna myśl. Odwróciłem się z powrotem.

– Ale, Hilary, przecież i ja jestem jednym z pięciu, o których

mówisz.

– Oczywiście.

Spostrzegłem, że się ze mnie nabija.

– Ale ja nie... To znaczy...

Wyszczrzyła zęby w uśmiechu.

– Może nadeszła pora, żebyś to zrobił. Wiesz, tylko pogarszasz sytuację.

Wyszedłem z mętlikiem w głowie. Najwidoczniej między rokiem 1891 i 1944 społeczeństwo rozwinęło się w sposób, o jakim nigdy mi się nie śniło!

Prace przy wielkim budynku postępowały szybko i w niespełna kilka miesięcy po bombardowaniu zasadnicza część budowli była zrobiona. Hilary Bond ogłosiła, że odprawione zostanie nabożeństwo, by uczcić zakończenie budowy. Z początku Nebogipfel sprzeciwiał się – z charakterystyczną dla Morloków przesadną logiką nie widział w tym żadnego sensu – ale przekonałem go, że jego uczestnictwo będzie dobrym posunięciem politycznym, jeżeli chodzi o przyszłe stosunki z kolonistami.

Umyłem się, ogoliłem i zadbałem o swój wygląd najlepiej, jak mogłem, zważywszy na to, że byłem ubrany jedynie w postrzępione spodnie.

Nebogipfel uczesał i przyciął swoją grzywę konopiastych włosów. Zważywszy na względy praktyczne naszej sytuacji, wielu kolonistów chodziło prawie nago, okrywając intymne części ciała wąskimi paskami z płótna lub zwierzęcej skóry. Dziś jednak założyli resztki mundurów, które starannie wyczyścili i zreperowali. Choć była to defilada, która nie przeszłaby szczęśliwie przeglądu w Aldershot, zaprezentowaliśmy się

z elegancją i dyscypliną, które mnie wzruszyły.

Weszliśmy po niskich, nierównych schodach do nowego budynku, gdzie panowała ciemność. Choć wyboista, podłoga była zakryta i zamieciona, a poranne światło słoneczne wsączało się ukośnie przez okna bez szyb. Poczulem lęk połączony z podziwem: pomimo prymitywności architektury i konstrukcji budynek sprawiał wrażenie solidnego, zdolnego przetrwać dłuższy okres.

Hilary Bond stanęła na podwyższeniu utworzonym ze zbiornika samochodu i wsparła się ręką na szerokim ramieniu Stubbinsa. Od jej zniszczonej twarzy, okolonej dziwaczными kępkami włosów na głowie, biła godność.

Oświadczyła, że nasza nowa kolonia została utworzona i trzeba ją jakoś nazwać. Zaproponowała nazwę „Pierwszy Londyn”. Potem poprosiła nas wszystkich, żebyśmy się przyłączyli do niej w modlitwie. Wraz z innymi spuściłem głowę i złożyłem dłonie przed sobą. Wychowałem się w domu, gdzie wyznawano surowe zasady odłamu kościoła anglikańskiego, zbliżonego do rzymskokatolickiego. Pod wpływem słów Hilary odczułem teraz nostalgię za czasami, które były prostsze i dawały poczucie pewności oraz bezpieczeństwa.

I w końcu, gdy Hilary mówiła dalej, prosto i dobitnie, zrezygnowałem z prób dokonywania analizy, poddając się nastrojowi tego wspólnego nabożeństwa.

Dzieci i potomkowie

Pierwsze owoce nowych związków pojawiły się po roku, pod nadzorem Nebogipfela.

Nebogipfel starannie zbadał naszego pierwszego nowego kolonistę. Słyszałem, że matka miała duże opory, by pozwolić Morlokowi zająć się dzieckiem i gwałtownie protestowała. Hilary Bond była jednak na miejscu, by ją uspokoić. Wreszcie Nebogipfel ogłosił, że dziecko to zdrowa dziewczynka, po czym zwrócił ją rodzicom.

Dość szybko – tak mi się przynajmniej wydawało – w obozie pojawiło się kilkoro dzieci. Często można było zobaczyć, jak Stubbins podrzuca synka na ramionach, ku wyraźnej rozkoszy malca. Wiedziałem, że niebawem Stubbins każe chłopcu kopać po plaży muszle po małżach, jakby to były piłki.

Dzieci stanowiły źródło niezmiernej radości dla kolonistów. Przed pierwszymi narodzinami kilku kolonistów skłonnych było do głębokich depresji spowodowanych tęsknotą za domem i samotnością. Teraz jednak trzeba było myśleć o dzieciach: o dzieciach, których jedynym domem będzie Pierwszy Londyn, i których przyszła pomyślność dostarczała celu – największego z możliwych – ich rodzicom.

Jeżeli chodzi o mnie, to kiedy widziałem miękkie, nie poznaczone bliznami kończynki dzieci przytulone do pokiereszowanych ciał rodziców, którzy sami przecież nadal byli

młodzi, to wydawało mi się, jakbym widział, że cień tamtej straszliwej wojny wreszcie usuwa się sponad nich, wyrugowany przez obfite światło paleocenu.

Mimo to jednak Nebogipfel nadzorował narodziny każdego dziecka.

Wreszcie nadszedł dzień, kiedy Morlok nie mógł oddać niemowlaka matce. Poród ten okazał się powodem do prywatnego smutku, w który pozostali z nas się nie mieszała. Nebogipfel zniknął potem w lesie, zajmując się swoimi sprawami przez wiele długich dni.

Nebogipfel spędzał wiele czasu, prowadząc zajęcia, które nazywał „grupami naukowymi”. Mogli w nich uczestniczyć wszyscy koloniści, choć w praktyce zjawiały się trzy lub cztery osoby na raz, zależnie od zainteresowania i innych zobowiązań. Nebogipfel rozwodził się nad praktycznymi aspektami życia w warunkach paleoceńskich, takich jak wytwarzanie świeczek i płótna z miejscowych składników. Nawet wynalazł pewnego rodzaju mydło: gruboziarnistą pastę utworzoną z sody i tłuszczu zwierzęcego. Rozprawiał również o szerszych dziedzinach: medycynie, fizyce, matematyce, chemii, biologii i zasadach podróżowania w czasie...

Wysłuchałem wielu tych wykładów. Pomimo niezziemskiego charakteru jego głosu i sposobu prezentacji, opisy Morloka zawsze były niezwykle jasne. Nebogipfel miał talent do zadawania pytań, by sprawdzić stopień zrozumienia u swojej publiczności. Słuchając go, uświadomiłem sobie, że niejednej rzeczy mógłby nauczyć wykładowców przeciętnego brytyjskiego uniwersytetu!

Jeżeli chodzi o treść, to Nebogipfel starał się ograniczać do

kompetencji językowych swoich słuchaczy – do słownictwa, jeśli nie żargonu roku 1944 – ale streścił im w skrócie główne kierunki rozwoju w każdej dziedzinie w ciągu następnych dziesięcioleci. Gdy było to możliwe, stosował demonstracje, używając kawałków metalu i drewna lub rysował szkice na piasku za pomocą patyków. Kazał studentom zapisywać swoją wiedzę na wszystkich skrawkach papieru, jakie zdołaliśmy odzyskać.

W pewną ciemną, bezksiężycową noc porozmawiałem z nim o tym wszystkim około północy. Zdjął swoją maskę i jego szaroczerwone oczy wydawały się fosforyzować. Pracował przy prymitywnym móździerzu, w którym ubijał tłuczkiem liście palmowe na jakąś maź.

– To papier – wyjaśnił. – A przynajmniej eksperyment w tym kierunku... Musimy mieć więcej papieru! Ludzka pamięć werbalna jest zbyt niedokładna. Po kilku latach po moim wyjeździe zapomną o wszystkim...

Uznałem – błędnie, jak się okazało – że jest to wynikiem strachu, a przynajmniej oczekiwania na śmierć. Usiadłem przy nim i wziąłem móździej oraz tłuczek.

– Ale czy to wszystko ma jakiś sens? Nebogipfelu, nadal ledwie udaje nam się utrzymać przy życiu. I ty im mówisz o mechanice kwantowej oraz zunifikowanej teorii fizyki! Na co im to potrzebne?

– Na nic – odparł. – Ale ich dzieciom się przyda. O ile przeżyją. Posłuchaj, zgodnie z uznaną teorią potrzeba populacji kilkuset osobników dowolnego gatunku dużych ssaków, by odpowiednia genetyczna różnorodność zapewniła ich przetrwanie na dłuższą metę.

– Genetyczna różnorodność. Hilary już mi o tym wspominała.

– Najwyraźniej obecny zbiór ludzi jest zbyt mały, by zapewnić żywotność kolonii, nawet jeśli cały potencjalny materiał genetyczny zostanie wrzucony do jednego tygla.

– A więc? – zapytałem.

– A więc ci ludzie mogą przetrwać dłużej niż dwa lub trzy pokolenia tylko wtedy, jeśli szybko pojmą zasady zaawansowanej techniki. Tym sposobem mogą się stać panami własnego przeznaczenia genetycznego: nie będą musieli się godzić z konsekwencjami rozmnażania w obrębie tej samej grupy czy chronicznymi uszkodzeniami genetycznymi spowodowanymi przez radioaktywność karolinu. Tak więc widzisz, że potrzebna im jest mechanika kwantowa i cała reszta.

Pchnąłem tłuczek.

– Tak. Powstaje jednak pytanie: czy rasa ludzka powinna przeżyć w paleocenie? Chodzi mi o to, że nie powinno nas tu być. Jeszcze przez pięćdziesiąt milionów lat.

Popatrzył na mnie badawczo.

– A jaka istnieje alternatywa? Czy chcesz, żeby ci ludzie wymarli?

Przypomniałem sobie, z jaką determinacją chciałem wymazać istnienie wehikułu czasu, zanim kiedykolwiek został wysłany w czas – by położyć kres temu nieustannemu rozszczepianiu historii. Teraz, dzięki mojej włóczędze pośrednio doprowadziłem do założenia tej kolonii ludzi w głębokiej przeszłości, do powstania tworu, który z pewnością doprowadzi do najbardziej znaczącego rozbitcia historii, jakie kiedykolwiek miało miejsce! Nagle doznałem uczucia spadania – trochę podobnego do przyprawiającego o zawrót głowy nurkowania podczas podróżowania w czasie – i odniosłem wrażenie, że rozłupywanie historii całkowicie wymknęło się spod mojej kontroli.

A potem pomyślałem o wyrazie twarzy Stubbinsa, kiedy rudy młodzieniec patrzył na swoje pierwsze dziecko.

Jestem człowiekiem, a nie bogiem! Musiałem się poddać ludzkim instynktom, gdyż na pewno nie byłem w stanie świadomie kierować ewolucją historii. Pomyślałem, że żaden z nas nie może zmienić biegu wydarzeń – zaiste, wszelkie nasze próby musiały być na tyle chaotyczne, by wyrządzić więcej szkód niż pożytku – a jednak na zasadzie przeciwności nie powinniśmy dać się przytłoczyć olbrzymiej panoramie wokół nas, ogromowi wielorakości historii. Perspektywa wielorakości sprawiała, że każdy z nas i wszelkie nasze działania były błahе, ale przecież nie bez znaczenia. I każdy z nas powinien wieść dalsze życie ze stoicyzmem i hartem ducha, jak gdyby jego reszta – ostateczny los ludzkości, nieskończona wielorakość – nie była błaha.

Pomyślałem, że bez względu na to, co będzie za pięćdziesiąt milionów lat, ta paleoceńska kolonia wydaje się zdrowa i właściwa. Tak więc moja odpowiedź na pytanie Nebogipfela była nieunikniona.

– Nie. Oczywiście, że musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by pomóc kolonistom i ich potomkom przeżyć.

– Dlatego...

– Tak?

– Dlatego muszę znaleźć jakiś sposób, by zrobić papier.

Pracowałem dalej, wbijając tłuczek w mózdzierz.

Uczta i to, co stało się później

Pewnego dnia Hilary Bond oznajmiła, że za tydzień będzie pierwsza rocznica bombardowania, i że odbędzie się uroczysta uczta z okazji założenia naszej małej wioski.

Koloniści ochoczo zabrali się do pracy i niebawem prawie wszystko było przygotowane. Budynek udekorowano lianami i olbrzymimi girlandami kwiatów zebranych w lesie. Poczyniono przygotowania, by zabić i ugotować jednego osobnika z naszego cennego stada diatrym.

Jeżeli chodzi o mnie, to przejrzałem lejkowate i podłużne kawałki rurek i w zaciszu starej chaty zacząłem przeprowadzać intensywne eksperymenty. Koloniści chcieli wiedzieć, co robię, więc musiałem spać w chacie, by nie poznali tajemnicy mojego skleconego na poczekaniu urządzenia. Zdecydowałem, że nadszedł czas, abym choć raz wykorzystał swoją wiedzę naukową dla dobra ludzi!

Nadszedł dzień uczty. W jasnym świetle poranka zebraliśmy się przed budynkiem. Kolonistów ogarnęło wielkie podniecenie i podniosły nastrój. Jeszcze raz wyczyścili i założyli strzępy mundurów, a trzymane w ramionach niemowlaki wystrojone były w nowe tkaniny, które Nebogipfel wytworzył z odmiany

miejscowej bawełny, pofarbowanej na jaskrawą czerwień i fiolet za pomocą barwników roślinnych. Akurat przechodziłem przez grupkę ludzi, wyszukując moich bliższych przyjaciół, kiedy rozległ się trzask łamanych gałęzi i głęboki, skrzekliwy ryk.

Podniósł się krzyk.

– Pristichampus. To pristichampus! Uwaga...

Rzeczywiście, ryk był charakterystyczny dla tego wielkiego, biegającego po lądzie krokodyla. Ludzie rozbiegli się, a ja rozejrzałem się za bronią. Przeklinałem własny brak przezorności.

A potem dotarł do nas łagodniejszy i bardziej znajomy głos.

– Cześć! Nie bójcie się. Spójrzcie!

Koloniści uspokoiли się i rozległy się śmiechy.

Pristichampus – dumny samiec – wkroczył na plac przed budynkiem. Cofnęliśmy się, żeby mu zrobić miejsce. Jego kopyta robiły wielkie, podobne do dołków po ospie ślady na piasku. Na grzbiecie zwierzęcia siedział Stubbins! Na jego twarzy widniał szeroki uśmiech, a rude włosy dosłownie płonęły w świetle słonecznym.

Zbliżyłem się do krokodyla. Łuskowata skóra cuchnęła gnijącym mięsem. Kiedy do niego podchodziłem, patrzył na mnie jednym, zimnym okiem. Stubbins, który siedział na zwierzęciu na oklep, uśmiechnął się do mnie. W żyłastych rękach trzymał wodze, wykonane z zaplecionych lian i zawiązane wokół łba pristichampusa.

– Stubbins – odezwałem się – to duży sukces.

– No cóż, wiem, że przystosowaliśmy diatrymę do ciągnięcia pługa, ale ten stwór jest znacznie bardziej zwinny. Ba, będziemy mogli pokonywać na nim wiele mil, jest lepszy od konia...

– Mimo to proszę zachować ostrożność – upomniałem go. –

Aha, Stubbins, jeśli pan do mnie później wpadnie...

– Tak?

– Być może ja pana też czymś zaskoczę.

Stubbins ściągnął wodze. Musiał się sporo natrudzić, ale udało mu się zmusić bestię, by wykonała obrót. Wielki zwierz ruszył z powrotem do lasu, mięśnie jego olbrzymich nóg pracowały jak tłoki.

Podszedł do mnie Nebogipfel. Spod ogromnego kapelusza z szerokim rondem prawie nie widać było jego głowy.

– To wspaniałe osiągnięcie – zauważyłem. – Ale... czy zauważyłeś?... Stubbins ledwie panował nad bestią.

– Zwycięży – stwierdził Nebogipfel. – Ludzie zawsze zwyciężają.

Podszedł do mnie bardzo blisko. Jego biała skóra lśniła w słonecznym świetle poranka.

– Posłuchaj – wymruczał.

Zaskoczył mnie ten nagły, niestosowny szept.

– Co? O co chodzi?

– Skończyłem budowę.

– Jaką budowę?

– Jutro wyjeżdżam. Jeśli chcesz się przyłączyć, zapraszam.

Odwrócił się i bezszelestnie odszedł w kierunku lasu. Po chwili jego białe plecy zniknęły w ciemności drzew. Stałem w miejscu, czując promienie słońca na karku, i patrzyłem za enigmatycznym Morlokiem. Wydawało mi się, jakby dzień uległ przeobrażeniu. Mój umysł był wzburzony, gdyż doskonale wiedziałem, o czym Morlok mówi.

Poczułem klepnięcie ciężkiej ręki na plecach.

– Jakąż to wielką tajemnicę ma pan dla mnie? – zapytał Stubbins.

Odwróciłem się do niego, ale przez kilka chwil miałem trudności ze skupieniem wzroku na jego twarzy.

– Niech pan pójdzie ze mną – powiedziałem wreszcie z taką dozą energii i dobrego humoru, na jaką potrafiłem się zdobyć.

Po kilku minutach Stubbins i pozostali koloniści unosili skorupy, które po brzegi napełnione były moim napojem alkoholowym własnej roboty, wytworzonym z mleka orzecha kokosowego.

Pozostała część dnia minęła w radosnym nastroju. Mój napój alkoholowy okazał się nadzwyczaj popularny, choć ja sam znacznie bardziej wolałbym znaleźć sposób na wynalezienie tytoniu! Długo tańczono przy niewprawnym śpiewie i klaskaniu, które imitowały wesołą muzyką roku 1944. Stubbins określił ją nazwą „swing” i myślę, że chętnie posłuchałbym więcej tej muzyki. Kazałem im zaśpiewać „Raj” i jak zwykle z powagą wykonałem jeden z moich własnych, improwizowanych tańców, który wzbudził wielki podziw i wesołość. Upieczono diatrymę na różnie – zabrało to prawie cały dzień – i wieczorem leżeliśmy na piasku, trzymając w ręku talerze pełne soczystego mięsa.

Z chwilą gdy słońce schowało się za linią drzew, towarzystwo szybko się przerzedziło, ponieważ większość z nas przyzwyczała się do życia w porze od świtu do zmierzchu. Po raz ostatni powiedziałem: „Dobranoc” i wycofałem się do ruin swojej zaimprovizowanej destylatorni. Usiadłem w wejściu do chaty, dopijając resztę mojego napoju alkoholowego, i obserwowałem, jak cień lasu zaściela paleoceńskie morze. Po wodzie prześlizgnęły się ciemne kształty: płaszczyk lub może rekinów.

Zastanawiałem się nad rozmową z Nebogipfelem

i próbowałem pogodzić się z decyzją, którą musiałem powziąć.

Po pewnym czasie rozległ się odgłos cichych, nierównych kroków na piasku.

Odwróciłem się. To była Hilary Bond. Ledwie rozpoznałem jej twarz w zapadających ciemnościach, a jednak, nie wiedzieć czemu, nie zdziwił mnie jej widok.

Uśmiechnęła się.

– Czy mogę się przysiąc? Zostało ci jeszcze trochę tego bimbru?

Wskazałem ręką miejsce obok siebie i podałem jej moją skorupę. Napiała się chętnie.

– To był dobry dzień – powiedziała.

– Dzięki tobie.

– Nie. Dzięki nam wszystkim.

Całkiem niespodziewanie wyciągnęła rękę i chwyciła moją dłoń. Dotyk jej skóry przypominał wstrząs elektryczny.

– Chcę ci podziękować za wszystko, co dla nas zrobiłeś. Ty i Nebogipfel – powiedziała.

– Nie zrobiliśmy...

– Wątpię, czy bez ciebie przeżylibyśmy tych pierwszych kilka dni. – Jej łagodny i spokojny ton był mimo wszystko dość stanowczy. – A teraz, po tym wszystkim, co nam pokazałeś, a Nebogipfel nas nauczył... Cóż, myślę, że mamy duże szansę, by zbudować tu nowy świat.

Mimo delikatności jej długich palców, wyczuwałem blizny po oparzeniach.

– Dziękuję za tę pochwałę. Ale mówisz, jakbyśmy odjeżdżali...

– Bo wyjeżdżacie – powiedziała. – Czyż nie?

– Znasz plany Nebogipfela?

Wzruszyła ramionami.

– Mniej więcej.

– A więc wiesz więcej ode mnie. Jeśli zbudował samochód czasu, to skąd na przykład zdobył plattneryt? Molochy zostały zniszczone.

– Oczywiście z wraka *die Zeitmaschine*. – Sprawiała wrażenie rozbawionej. – Czy naprawdę nie przyszło ci to do głowy? – Przerwała. – A ty chcesz pojechać z Nebogipfelem, prawda?

Pokręciłem głową.

– Sam nie wiem. Czasami czuję się stary i zmęczony, jakbym już dość zobaczył!

Zachnęła się z pogardą na te słowa.

– Bzdury. Posłuchaj, ty zacząłeś... – machnęła ręką – to wszystko, co tu jest. Podróże w czasie i wszystkie wyniki z tego zmiany. – Spojrzała na spokojne morze. – A to jest największa zmiana, prawda? – Pokręciła głową. – Wiesz, miałam trochę do czynienia ze strategicznymi planistami w RWWSC i za każdym razem wychodziłam przygnębiona ograniczonym myśleniem tych typów. Tu chcieli ustalić przebieg bitwy, tam dokonać zamachu na jakąś pomniejszą figurę... Jeśli człowiek ma takie narzędzie jak PPC i jeśli wie, że można zmienić historię, tak jak my to wiemy, to czy powinien się ograniczać do takich błahostek? Po co się ograniczać do kilkudziesięciu lat i mieszania w dzieciństwo Bismarcka oraz kajzera, kiedy można się cofnąć o miliony lat, tak jak my? Nasze dzieci będą miały pięćdziesiąt milionów lat, by przebudować świat... Może przekształcimy ludzką rasę, prawda? – Odwróciła się do mnie. – Ale ty jeszcze nie dotarłeś do końca. Jak sądzisz, jaka będzie ostateczna zmiana? Czy można wrócić do chwili stworzenia i zacząć wszystko od początku? Jak daleko można posunąć te zmiany?

Przypomniałem sobie Gödela i jego marzenia o ostatecznym

świecie.

– Nie wiem, jak daleko można to posunąć – odparłem zgodnie z prawdą. – Nawet nie potrafię sobie tego wyobrazić.

Widziałem przed sobą jej twarz, która wydawała mi się ogromna. W pogłębiającym się mroku jej oczy przypominały ciemne studnie.

– A zatem – powiedziała – musisz podróżować dalej i dowiedzieć się tego, prawda?

Przysunęła się bliżej i poczułem, jak moja ręka zaciska się wokół jej dłoni, a jej ciepły oddech muska mi policzek.

Wyczułem w Hilary pewną sztywność, powściągliwość, którą próbowała przezwyciężyć, przynajmniej siłą woli. Dotknąłem jej ramienia, napotykając pokiereszowane ciało. Hilary wzdrygnęła się, jakby moje palce były z lodu. Potem jednak zacisnęła rękę wokół mojej dłoni i przycisnęła ją do swego ramienia.

– Musisz mi wybaczyć – powiedziała. – Nie jest mi łatwo być blisko kogoś.

– Dlaczego? Z powodu obowiązków wynikających ze stanowiska dowódcy?

– Nie – odparła tonem, który sprawił, że poczułem się głupio i niezręcznie. – Z powodu wojny. Rozumiesz? Z powodu tych wszystkich, którzy odeszli... Czasami trudno jest mi zasnąć. Człowiek cierpi teraz, a nie potem, i właśnie to jest tragedia dla tych, którzy pozostają przy życiu. Czujesz, że nie potrafisz zapomnieć i że to nawet niewłaściwe, iż żyjesz dalej.

Zacytowała wiersz:

Jeśli zapomnisz o nas, którzy umarliśmy,
Nie zaśniemy, choć maki rosną na polu Flanders...

Przyciągnąłem ją do siebie i Hilary poddała mi się, krucha, ranna istota.

W ostatniej chwili szepnąłem:

– Dlaczego, Hilary? Dlaczego teraz?

– Z powodu genetycznej różnorodności – odparła z coraz szybszym oddechem. – Genetycznej różnorodności...

I wkrótce na brzegu tego pierwotnego morza wybraliśmy się w podróż, nie do końca czasu, lecz do granic naszej ludzkości.

Kiedy się obudziłem, nadal panowała ciemność, a Hilary już nie było.

Przyszedłem do naszego starego obozowiska, kiedy jaśniało już pełne światło dnia. Nebogipfel obrzucił mnie krótkim spojrzeniem zza maski. Najwidoczniej moja decyzja nie zdziwiła go bardziej niż Hilary.

Jego samochód czasu był ukończony. Miał kształt pudełka o powierzchni około pięciu stóp kwadratowych i wokół niego dostrzegłem kawałki nieznanego metalu: przypuszczałem, że to były fragmenty messerschmitta, które Nebogipfel uratował z wraka. Znajdowała się tam ławka, sklecona z drewna *dipterocarps*, i mały pulpit sterowniczy – prymitywna konstrukcja złożona z przycisków i przełączników, której główny element stanowiła dźwignia kolankowa, uratowana przez Nebogipfela z naszego pierwszego samochodu czasu.

– Mam dla ciebie ubranie – oznajmił Morlok. Podniósł buty, koszulę z diagonalnej tkaniny i spodnie. Wszystkie te rzeczy były w dość dobrym stanie. – Wątpię, czy naszym kolonistom będzie ich teraz brakować.

– Dziękuję.

Dotychczas nosiłem szorty ze zwierzęcej skóry. Szybko się ubrałem.

– Dokąd chcesz pojechać? – zapytał.

Wzruszyłem ramionami.

– Do domu. Do roku 1891.

Skrzywił się.

– On już przepadł w wielorakości.

– Wiem. – Wdrapałem się do maszyny. – W każdym razie jedźmy naprzód i przekonajmy się, co zastaniemy.

Po raz ostatni spojrzałem na paleocieńskie morze. Pomyślałem o Stubbinsie i udomowionej diatrymie oraz świetle, które codziennie rano odbijało się od morza. Wiedziałem, że tutaj prawie osiągnąłem stan szczęścia – zadowolenia, które umykało mi przez całe życie – ale Hilary miała rację: to było za mało.

Nadal czułem wielką tęsknotę za domem. Pomyślałem, że w rzece czasu to zew tak silny, jak instynkt, który każe łososiowi wrócić do miejsca tarła. Wiedziałem jednak – zgodnie z tym, co powiedział Nebogipfel – że mój rok 1891, przytulny świat Richmond Hill, przepadł w rozłupionej wielorakości.

Zdecydowałem, że jeśli nie mogę wrócić do domu, to będę kontynuował wędrówkę. Podążę drogą zmian, aż dojdę do samego końca!

Nebogipfel spojrzał na mnie badawczo.

– Jesteś gotowy?

Pomyślałem o Hilary. Nie jestem jednak człowiekiem, który zaprzęta sobie głowę pożegnaniem.

– Tak – odparłem zdecydowanie.

Nebogipfel wszedł z trudem do maszyny, uważając na swoją źle zrosniętą nogę. Bez zbędnych ceregieli wyciągnął rękę do pulpitu sterowniczego i zamknął obwód niebieskiej dźwigni

kolankowej.

Po raz ostatni zobaczyłem dwoje nagich ludzi – mężczyznę i kobietę, którzy wydawali się pędzić przez plażę. Przez chwilę na samochód padał cień, rzucony być może przez jedno z olbrzymich zwierząt żyjących w tej erze. Niebawem jednak poruszaliśmy się już zbyt szybko, by dostrzegać takie szczegóły i wpadliśmy w bezbarwny zamęt podróży w czasie.

Ciężkie paleoceńskie słońce przeskakiwało nad morzem i wyobraziłem sobie, jak z punktu widzenia naszego przejścia przez czas Ziemia wiruje wokół swojej osi niczym baje i okrąża swoją gwiazdę. Księżyc również sprawiał wrażenie pędzącej tarczy i z powodu migotania związanego ze zmianą faz wyglądał niewyraźnie. Wkrótce codzienna wędrówka słońca stopiła się we wstęgę srebrnego światła, które oscylowało między punktami równonocy, a dzień i noc zlały się w opisany przez mnie już wcześniej jednorodny, niebieskoszary blask.

Drzewa *dipterocarps* z drzeniem wyrastały i umierały, wypierane przez energicznie rosnące młode rośliny, ale krajobraz wokół nas – las, morze wygładzone wskutek naszej podróży w czasie i podobne do trawiastej równiny – pozostawały w zasadzie nieruchome. Zastanawiałem się, czy pomimo wszystkich wysiłków moich i Nebogipfela ludziom w ostatecznym rozrachunku udało się przeżyć w paleocenie.

Potem – całkiem niespodziewanie – las zwiędnął i zniknął. To

wyglądało tak, jakby dywan zieleni został wyrwany z gleby. Jednakże ziemia nie pozostała goła. Gdy tylko las został usunięty, Ziemię okryła mieszanina bryłowatego brązu i zieleni – budynki rozwijającego się Pierwszego Londynu. Budynki zaścieliły wyludnione wzgórze i ciągnęły się w dół ku morzu, by przemienić się w doki i porty. Poszczególne konstrukcje drżały i znikwały, niemal zbyt szybko, byśmy mogli prześledzić ich historię, choć kilka z nich pozostało tak długo – przypuszczam, że przez kilka stuleci – iż stały się prawie nieprzezroczyste, przypominając prymitywne szkice. Morze straciło swoje niebieskie zabarwienie i przemieniło się w brudnoszarą płachtę, a jego fale i pływy stały się rozmazane. Powietrze przybrało brązowy odcień, jak podczas londyńskiej mgły lat 1890-tych, przez co pejzaż wydawał się brudny, pogrążony w półmroku. Odnosiliśmy wrażenie, że powietrze wokół nas jest cieplejsze.

To było uderzające, że pomimo upływu stuleci, niezależnie od losu poszczególnych budynków, ogólne kontury miasta były wciąż takie same. Zauważyłem, że wstęga centralnej rzeki – proto-Tamizy – i trasy głównych dróg pozostały w zasadzie nie zmienione. To był zadziwiający pokaz, jak geomorfologia, rzeźba terenu, wywiera dominujący wpływ na geografie człowieka.

– Najwidoczniej nasi koloniści przetrwali – powiedziałem do Nebogipfela. – Stali się rasą Nowych Ludzi i zmieniają swój świat.

– Tak. – Morlok poprawił swoją skórzaną maskę na twarzy. – Nie zapominaj jednak, że podróżujemy z szybkością kilku stuleci na sekundę. Jesteśmy w środku miasta, które istnieje już od kilku tysięcy lat. Wątpię, czy wiele pozostało z Pierwszego Londynu, jaki zapamiętaliśmy.

Rozejrzałem się z dużym zainteresowaniem. Moja grupka wygnańców musiała już być tak odległa dla tych Nowych Ludzi,

jak Sumerowie od, powiedzmy, roku 1891. Czy w tej niezwykle rozwiniętej i bardzo aktywnej cywilizacji zachowały się jakieś wspomnienia o kruchych początkach gatunku ludzkiego w antycznej epoce paleocenu?

Uświadomiłem sobie, że na niebie zaszła zmiana: pojawiło się dziwne, zielone, migoczące światło. Wkrótce domyśliłem się, że to Księżyc, który nadal żegluje wokół Ziemi. Jego odwieczny cykl przybywania i ubywania przebiegał zbyt szybko, bym zdołał go prześledzić, ale tarcza tego cierpliwego towarzysza była teraz zabarwiona na zielono i niebiesko – kolorami Ziemi i życia.

Zamieszkany Księżyc podobny do Ziemi! Ci Nowi Ludzie najwyraźniej polecili na bratni świat w machinach kosmicznych, przekształcili go i skolonizowali. Może przeobrazili się w rasę księżycowych ludzi, tak wysokich i wrzecionowatych jak niskograwitacyjni Morlokwie, których spotkałem w roku 657 208! Oczywiście, nie mogłem rozpoznać szczegółów, ponieważ z powodu jednomiesięcznego ruchu po swojej orbicie Księżyc wirował na niebie podczas mojej szybkiej wędrówki. Żałowałem, że tak jest, ponieważ w przeciwnym razie, gdybym miał teleskop, mógłbym przyjrzeć się dokładnie wodom nowych oceanów, chlupoczącym w głębokich, odwiecznych kraterach, oraz lasom porastającym zakurzone obszary wielkich księżycowych mórz. Jak by to było stać na tamtych skalistych równinach, zostać uwolnionym od grawitacyjnych szelek matki Ziemi? Przy tamtym zmniejszonym ciężeniu człowiek przy każdym kroku frunąłby w rzadkim, zimnym powietrzu, mając nad głową ogniste, nieruchome słońce. Pomyślałem, że byłby to krajobraz jak z bajki – oślepiający blask i rośliny bardziej niepodobne do ziemskiej flory niż te, które wyobrażałem sobie pośród skał w głębinach morza...

Cóż, był to widok, którego nie mogłem nigdy zobaczyć. Z wysiłkiem wróciłem w wyobraźni z Księżyca do rzeczywistości i skupiłem się na naszej obecnej sytuacji.

Na zachodnim niebie, nisko nad horyzontem, zapanował teraz jakiś ruch: drobne światełka ożyły, przeskoczyły po niebie i ustawiły się na miejscu, pozostając tam na wiele tysiącleci, nim zniknęły i zostały zastąpione przez inne. Niebawem zaroiło się od tych iskierek, które scaliły się w pewnego rodzaju most łączący niebo od horyzontu do horyzontu. Na szczycie tego mostu naliczyłem kilkadziesiąt światełek w tym mieście na niebie.

Pokazałem je Nebogipfelowi.

– Czy to są gwiazdy?

– Nie – odrzekł spokojnie. – Ziemia nadal wiruje i prawdziwe gwiazdy są niewidoczne. Światła, które widzimy, wiszą nieruchomo nad Ziemią...

– A więc czym one są? Sztucznymi księżycami?

– Być może. Na pewno umieszczone tam zostały przez ludzi. Te obiekty mogą być sztuczne – skonstruowane z materiałów ściągniętych z Ziemi lub Księżyca, na którym grawitacja jest o tyle mniejsza, albo naturalne, przyholowane i rozstawione wokół Ziemi przez rakiety: być może są to pochwycone asteroidy lub komety.

Spojrzałem na tamte stłoczone światła z takim lękiem, z jakim jaskiniowiec mógłby patrzeć na światło komety przebiegającej nad jego podniesioną głową dzikusa!

– Jaki byłby cel takich stacji kosmicznych?

– Taki satelita przypomina unieruchomioną nad Ziemią wieżę o wysokości dwudziestu tysięcy mil...

Skrzywiłem się.

– Niezły widok! Człowiek mógłby w niej siedzieć i obserwować rozwój pogody nad półkulą.

– Lub stacja mogłaby służyć do przekazu telegraficznych wiadomości z jednego kontynentu na drugi. Albo też, idąc jeszcze dalej, można sobie wyobrazić przeniesienie wielkich gałęzi przemysłu – może przemysłu ciężkiego lub energetycznego – do stosunkowo bezpiecznego środowiska orbity okołozemskiej.

Rozłożył ręce.

– Pewnie sam już zaobserwowałeś pogorszenie się jakości powietrza i wody wokół nas. Ziemia ma ograniczoną zdolność wchłaniania odpadów przemysłowych. Gdy sytuacja osiągnie punkt krytyczny, planeta może się nawet nie nadawać do zamieszkania.

– Na orbicie jednak – ciągnął – ograniczenia rozwoju dosłownie nie istnieją. Przypomnij sobie Sferę, którą zbudowali moi ziomkowie.

W miarę gdy powietrze psuło się coraz bardziej, temperatura otoczenia rosła. Sklecony na poczekaniu samochód czasu Nebogipfela był funkcjonalny, ale kiepsko wyważony i dlatego chwiało się i kołysało. Przywarłem żałośnie do ławki, gdyż połączenie upału, kołysania i zawrotów głowy, które zawsze towarzyszą podróżowaniu w czasie, wywołało u mnie mdłości.

Nasze równikowe miasto orbitalne rozwijało się dalej. Dostrzegłem, że wśród chaotycznie rozrzuconych sztucznych światel zapanował porządek. Teraz widać było siedem lub osiem oślepiająco jasnych stacji, rozmieszczonych wokół globu w równych odstępach. Przypuszczałem, że poniżej linii horyzontu musi znajdować się więcej takich stacji, które kontynuują swój stały marsz wokół obwodu planety.

Pasemka światła, cienkie i delikatne, zaczęły spływać z pobłyskujących stacji równomiernie w dół, kierując się niepewnie ku Ziemi jak palce. Poruszały się jednostajnie i dostatecznie wolno, byśmy mogli prześledzić ich bieg. Uświadomiłem sobie, że obserwuję zdumiewające wyczyny inżynierii – przedsięwzięcia obejmujące odległości rzędu tysięcy mil i zajmujące okres wielu tysiącleci – i byłem pełen nabożnego szacunku dla oddania oraz zdolności umysłowych Nowych Ludzi.

Po kilku sekundach pierwsze pasemka wślizgnęły się w nieprzejrzystą mgłę na horyzoncie. Jedno pasemko zniknęło i stacja, z którą było połączone, zgasła jak płomień świeczki na wietrze. Najwidoczniej pasemko spadło lub się urwało i jego stacja kotwiczna została zniszczona. Obserwowałem blade, bezdźwięczne obrazy, zastanawiając się, jakąż to olbrzymią katastrofę – i ile śmiertelnych ofiar – reprezentują! Ale po kilku

chwilach w pustym miejscu na opasującym równik paśmie ustawiono nową stację i wysunęło się kolejne pasemko.

– Nie wierzę własnym oczom – powiedziałem Morlokowi. – Wygląda mi na to, że ustawiają te kable z przestrzeni kosmicznej do Ziemi!

– Też mi się tak zdaje – potwierdził Morlok. – Jesteśmy świadkami budowy windy kosmicznej: ogniwa między powierzchnią Ziemi i stacjami na orbicie.

Uśmiechnąłem się na tę myśl.

– Winda kosmiczna! Chciałbym się nią przejechać, wznieść się ponad chmury i wkroczyć w milczącą majestatyczność przestrzeni kosmicznej. Ale gdyby ta winda była oszklona, nie mógłby nią jechać człowiek, który łatwo dostaje zawrotów głowy.

– To prawda.

Teraz dostrzegłem powstanie kolejnych snopów światła między geosynchronicznymi stacjami. Wkrótce jarzące się punkty zostały połączone i smugi przeobraziły się w grube, błyszczące pasmo, tak szerokie i jasne jak same stacje. Choć wcale nie chciałem przerywać naszej podróży w czasie, znów żałowałem, że nie mogę zobaczyć więcej szczegółów tego olbrzymiego, opasującego świat miasta na niebie.

Tymczasem rozwój Ziemi nie był taki spektakularny. Zaiste, wydawało mi się, że Pierwszy Londyn jest statyczny, prawie opuszczony. Niektóre budynki istniały tak długo, że wydawały nam się prawie wieczne, choć były ciemne, przysadziste i brzydkie, natomiast inne popadały w ruinę i w ich miejsce nie powstawały żadne nowe. (Jawiło nam się to jako brutalnie gwałtowny proces powstawania luk na tle złożonego nieba.) Wydawało mi się, że powietrze robi się jeszcze gęstsze, a ciepłe morze przybiera jeszcze bardziej nijaki odcień

szarości. Zastanawiałem się, czy zmaltretowana Ziemia nie została w końcu opuszczona, albo na korzyść gwiazd, albo może przyjemniejszych schronień pod ziemią.

Zagadnąłem Morloka, co o tym myśli.

– Niewykluczone – odparł. – Musisz jednak pamiętać, że minęło już ponad milion lat od chwili, kiedy Hilary Bond i jej ludzie założyli pierwotną kolonię. Między tobą i Nowymi Ludźmi z tej ery istnieje większa przepaść ewolucyjna, niż między tobą i mną. Możemy więc jedynie snuć naukowe domysły na temat sposobu życia tutejszych ras, ich pobudek, a nawet ich budowy biologicznej.

– Tak – powiedziałem powoli. – A jednak...

– Tak?

– A jednak słońce nadal świeci. Tak więc historia tych Nowych Ludzi różni się od twojej. Mimo że mają takie maszyny kosmiczne jak twoja, nie chcą zamykać Słońca tak, jak to zrobili Morlokowie.

– Widocznie nie. – Uniósł bladą rękę w kierunku nieba. – Właściwie ich cel wydaje się w sumie ambitniejszy.

Odwróciłem się, żeby zobaczyć, na co Nebogipfel wskazuje. Ponownie zobaczyłem, że wielkie miasto orbitalne nadal się rozwija. Wokół błyszczącego linearnego miasta wyrastały teraz ogromne skorupy – nieregularne, najwidoczniej szerokie na wiele tysięcy mil – niczym jagody na trzcinnie. I gdy tylko budowa skorupy dobiegała końca, obiekt odbijał się od Ziemi, zionął ogniem, który oświetlał ład, i znikał. Z naszego punktu widzenia rozwój takiego wytworu ludzkiej ręki od formy embrionalnej do lecącego żółtodzioba trwał niespełna sekundę, lecz każda dawka jaskrawego światła musiała w moim przekonaniu oświetlać Ziemię przez kilkadziesiąt lat.

To był zdumiewający widok, który obserwowaliśmy przez pewien czas – według moich obliczeń kilka tysięcy lat.

Tymi skorupami były oczywiście olbrzymie statki kosmiczne.

– Tak więc – odezwałem się do Morloka – ludzie podróżują z dala od Ziemi w tamtych wielkich jachtach kosmicznych. Ale według ciebie, dokąd lecą? Do planet? Do Marsa, Jowisza czy...

Nebogipfel siedział z zamaskowaną twarzą skierowaną ku niebu, rękami złożonymi na podołku i światłami statków rzucającymi swoje odbicie na włosy jego twarzy.

– Nie potrzeba tak spektakularnych eksplozji energii, jakie tu zobaczyliśmy, by przebyć takie krótkie odległości. Mając taki silnik... Myślę, że ci Nowi Ludzie mają większe ambicje. Myślę, że opuszczają Układ Słoneczny, tak jak wydawało nam się, że opuszczają Ziemię.

Z lękiem spojrzałem za odlatującymi statkami.

– To muszą być niezwykle istoty, ci Nowi Ludzie! Nie chcę być niesprawiedliwy dla Morloków, stary przyjacielu, ale mimo wszystko... Cóż to za zdolność pojmowania, cóż za ambicja! Chodzi mi o to, że Sfera wokół Słońca to jedno, ale wysyłanie dzieci do gwiazd...

– To prawda, że nasze ambicje ograniczały się do starannego zagospodarowania jednej gwiazdy. I miało to logiczne uzasadnienie, gdyż taką metodą można uzyskać więcej przestrzeni życiowej dla gatunku niż drogą tysiąca, miliona wypraw międzygwiazdnych.

– Być może – powiedziałem. – Ale to nie robi takiego wrażenia, prawda?

Poprawił przybrudzoną maskę na twarzy i spojrzał na zrujnowaną Ziemię.

– Może i nie. Jednak zagospodarowanie skończonego źródła –

nawet tej Ziemi – wydaje się zdolnością, której nie posiadli twoi Nowi Ludzie.

Spostrzegłem, że ma rację. Ogień międzygwiazdnych statków nadal buchał na morze, a resztki Pierwszego Londynu popadały w dalszą ruinę; padające gruzy wydawały się kotłować, jakby topniały, morze przybrało jeszcze bardziej szarą barwę, a powietrze zrobiło się jeszcze bardziej niezdrowe. Upał był teraz ogromny. Oderwałem koszulę od piersi, do której się przykleiła.

Nebogipfel poruszył się na ławce i rozejrzał niespokojnie.

– Myślę, że jeśli to się zdarzy, to szybko...

– Co takiego?

Nie odpowiedział. Skwar był teraz bardziej nieznośny niż ten, którego doświadczyłem w paleoceńskiej dżungli. Ruiny miasta, rozsiane na wzgórzach pokrytych brązowym błotem, wydawały się migotać, stawały się nierealne...

I wtedy – z błyskiem tak jaskrawym, że przyćmił słońce – miasto wybuchło, przemieniając się w morze płomieni!

Trawiący ogień połknął nas na ułamek sekundy. Nowy skwar – nie do wytrzymania – zapulsował nad samochodem czasu i krzyknąłem. Na szczęście jednak upał zelżał z chwilą, gdy miasto przestało płonąć jak pochodnia.

W tamtej chwili pożaru odwieczne miasto zniknęło. Pierwszy Londyn został zmieciony z powierzchni Ziemi. Pozostały po nim jedynie kupki popiołu i stopionych cegieł oraz tu i ówdzie fragmenty fundamentów. Niebawem gołą glebę ponownie skolonizowały aktywne procesy życiowe – niemrawa zieleń zaścieliła wzgórza i równinę, a karłowate drzewa zaczęły pokrywać skraj morza – ale postęp tej nowej fali życia był powolny i wydawał się skazany na ograniczoną egzystencję, gdyż nad wszystkim rozpościerała się perłowoszara mgła, przesłaniając cierpliwy blask miasta orbitalnego.

– A zatem Pierwszy Londyn został zniszczony – powiedziałem zdumiony. – Czy myślisz, że była tam wojna? Ten ogień musiał płonąć dziesiątki lat, aż nie pozostało nic, co mogło się palić.

– To nie była wojna – stwierdził Nebogipfel. – Myślę jednak, że to była katastrofa spowodowana przez człowieka.

Teraz dostrzegłem bardzo dziwną rzecz. Nowe, rzadko rosnące drzewa zaczęły zamierać, ale nie wskutek wędnięcia, tak jak drzewa *dipterocarps*, które zaobserwowałem wcześniej. Te drzewa raczej buchały płomieniem – paliły się jak olbrzymie

zapalki – a potem znikaly w jednej chwili. Zobaczyłem też, że ogień ogarnął trawę i krzewy, poczerniając je na wiele pór roku, aż trawa przestała rosnać, a gleba stała się goła i ciemna.

Perłowszare chmury nad głową jeszcze bardziej zgęstniały, a wstęgi Słońca i Księżyca zostały przesłonięte.

– Wydaje mi się, że te chmury to popiół – powiedziałem do Nebogipfela. – To tak, jakby Ziemia się wypalała... Nebogipfelu, co się dzieje?

– Potwierdza się to, czego się obawiałem – powiedział. – Twój marnotrawni przyjaciele... ci Nowi Ludzie...

– Tak?

– Swoją ingerencją i nieuwagą zniszczyli podtrzymującą życie równowagę klimatu planety.

Zadrzałem, gdyż zrobiło się chłodniej. To było tak, jakby ciepło wyciekało ze świata przez jakiś niewidoczny spływ. Z początku powitałem z radością to wytchnienie od skwarne go upału, ale chłód szybko zaczął być nieprzyjemny.

– Przechodzimy przez fazę nadmiaru tlenu, wyższego ciśnienia na poziomie morza – wyjaśnił Nebogipfel. – W takich warunkach budynki, rośliny i trawa – nawet wilgotne drewno – ulegną samoistnemu spaleni u. Ale nie potrwa to długo. To przejście do nowej równowagi... To okres niestabilności.

Temperatura gwałtownie spadła – zrobiło się zimno jak w listopadzie – i otuliłem się swoją koszulą. Przez chwilę miałem wrażenie, że widzę białe migotanie – to było sezonowe zakrywanie i odkrywanie ziemi przez zimowy śnieg i lód – a potem lód i trwała zmarzlina osiadły na ziemi, nie ustępując porom roku; twarda, szarobiała powłoka, która usadowiła się z wszelkimi pozorami pozostania tam na zawsze.

Ziemia uległa przeobrażeniu. Na zachodzie, północy i południu kontury lądu zamaskowane były przez warstwę śniegu i lodu. Na wschodzie nasze stare paleoceńskie morze cofnęło się o kilka mil. Na jego skraju dostrzegłem lód na plaży i – daleko na północy – błysk równomiernej bieli, która świadczyła o górach lodowych. Powietrze było przejrzyste i jeszcze raz zobaczyłem, jak Słońce i zielony Księżyc przemykają po łuku po niebie, ale teraz powietrze miało perłowszary odcień, który kojarzy się z głęboką zimą, tuż przed opadami śniegu.

Nebogipfel skulił się, wsuwając ręce pod pachy i nogi pod siebie. Dotknąłem ramienia Morloka; jego ciało było lodowate w dotyku, jakby cała jego istota wycofała się do najcieplejszego zakątka jego ciała. Włosy na jego twarzy i klatce piersiowej przyłgnęły do ciała na modłę ptasich piór. Poczujęm się winny z powodu jego cierpienia, gdyż – jak już może wspomniałem – uważałem, że jestem pośrednio lub bezpośrednio odpowiedzialny za obrażenia Nebogipfela.

– Nie poddawaj się, Nebogipfelu. Przechodziliśmy już przez takie okresy lodowcowe – było znacznie gorzej niż teraz – i przeżyliśmy. Co kilka sekund przebywamy tysiąclecie. Na pewno miniemy ten okres i niebawem wrócimy do światła słonecznego.

– Nie rozumiesz – syknął.

– Co takiego?

– To nie jest zwykła epoka lodowcowa. Czy ty tego nie widzisz? To jakościowo zupełnie coś innego... Niestabilność...

Ponownie zamknął oczy.

– Co masz na myśli? Czy to będzie trwać dłużej niż poprzednio? Sto tysięcy, pół miliona lat? Jak długo?

Morlok jednak nie odpowiedział.

Objąłem się rękami, próbując się rozgrzać. Pazury zimna wpiły się głęboko w powierzchnię ziemi i z każdym stuleciem warstwa lodu się pogrubiała, jak powoli wzbierający przypływ. Niebo się przejaśniło – światło wstęgi słonecznej było jaskrawe i intensywne, ale najwidoczniej zimne – i domyśliłem się, że teraz, gdy człowiek już nie dominował na Ziemi, rany tej cienkiej warstwy życiodajnych gazów powoli się goiły. Lśniące i niedostępne, orbitalne miasto nadal wisiało na niebie nad zamarzniętym lądem, ale na Ziemi nie było żadnych oznak życia ani działalności człowieka.

Po upływie miliona lat zacząłem podejrzewać prawdę!

– Nebogipfelu – odezwałem się. – Ta epoka lodu nigdy się nie skończy, prawda?

Odwrócił głowę i coś wymamrotał.

– Co? – Przysunąłem ucho do jego ust. – Co powiedziałaś?

Zamknął oczy i stracił przytomność.

Chwyciłem go i uniosłem z ławki. Ułożyłem go na drewnianej podłodze samochodu czasu, a następnie sam się położyłem i przytuliłem do jego ciała. Nie było mi zbyt wygodnie: Morlok przypominał kawał surowego mięsa od rzeźnika i sprawiał, że było mi jeszcze zimniej; no i musiałem przewyciężyć wstręt, który nadal do pewnego stopnia czułem do rasy Morloków. Ale zniosłem to wszystko, gdyż miałem nadzieję, że ciepło mojego ciała pomoże mu dłużej pozostać przy życiu. Mówiłem do niego i rozcierałem jego barki oraz ramiona. Nie przestawałem tego robić, dopóki się nie obudził, gdyż przypuszczałem, że jeśli pozwolę mu pozostać w nieprzytomności, to może umrzeć zupełnie bez udziału świadomości.

– Opowiedz mi o tej twojej niestabilności klimatycznej – powiedziałem.

Obrócił głowę i wymamrotał:

– Po co? Twoi przyjaciele z rasy Nowych Ludzi zabili nas...

– Chodzi o to, że wolałbym wiedzieć, co mnie zabija.

Po dalszej perswazji w podobnym stylu Nebogipfel uległ.

Wyjaśnił mi, że atmosfera Ziemi charakteryzuje się dynamicznością. Możliwe są tylko dwa naturalne stany, w których pozostaje stabilna, i w żadnym z nich nie mogłoby istnieć życie. W przypadku zbyt dużego zakłócenia dynamiczności atmosfery, powietrze osiągnęłoby jeden z tych stanów, daleki od wąskiego zakresu warunków umożliwiających życie.

– Nic z tego nie rozumiem. Jeżeli atmosfera jest taką niestabilną mieszanką, jak sugerujesz, to jakim cudem powietrze zdołało utrzymać nas przy życiu przez tyle milionów lat?

Wyjaśnił mi, że ewolucja atmosfery została poważnie zmodyfikowana przez aktywność samego życia.

– Istnieje równowaga – gazów atmosferycznych, temperatury i ciśnienia – która jest idealna dla życia. Dlatego życie – za pośrednictwem wielkich, nieświadomych cykli, z których każdy obejmuje miliardy ślepo harujących organizmów – stara się utrzymać tę równowagę.

– Ale ta równowaga już sama w sobie jest niestabilna – ciągnął.
– Rozumiesz? To tak, jakby postawić ołówek na zaostrej końcówce: przy najmniejszym zakłóceniu bardzo szybko się przewróci. – Obrócił głowę. – My, Morlokowie, dowiedzieliśmy się, że ingerujecie w te cykle życia na własne ryzyko. Dowiedzieliśmy się, że jeśli postanowicie rozregulować rozmaite mechanizmy zapewniające utrzymanie stabilności atmosfery, wówczas trzeba je będzie naprawić lub wymienić.

– Jaka szkoda – dodał po chwili z ciężkim westchnieniem – że

ci Nowi Ludzie, gwiazdni bohaterowie z twojej rasy, nie nauczyli się takich prostych prawd!

– Opowiedz mi o tych dwóch rodzajach stabilności, Morloku, gdyż wydaje mi się, że czeka nas spotkanie z jednym z nich!

Nebogipfel wyjaśnił mi, że w pierwszym z tych dwóch śmiertelnych stanów stabilnych powierzchnia Ziemi uległaby spaleni. Atmosfera prawdopodobnie stałaby się tak nieprzezroczysta, jak chmury nad Wenus, i uwięziłaby ciepło Słońca. Takie chmury, o grubości wielu mil, przesłoniłyby większą część światła słonecznego. Pozostałaby jedynie matowa, czerwona poświata. Z powierzchni Ziemi nie można by nigdy zobaczyć ani Słońca, ani planet lub gwiazd. W mrocznej atmosferze bez przerwy błyskałyby wyładowania, a ziemia byłaby rozgrzana do czerwoności i pozbawiona wszelkiego życia.

– No tak – powiedziałem, próbując opanować drżenie – ale w porównaniu z tym cholernym zimnem przypomina to pobyt w przyjemnym kurorcie... A jak wygląda drugi stan stabilny?

– To biała Ziemia.

Zamknął oczy i już więcej się do mnie nie odezwał.

Opuszczenie i przybycie

Nie wiem, jak długo tak leżeliśmy, skuleni na podłodze samochodu czasu, podtrzymywani resztkami ciepła naszych ciał. Przypuszczałem, że jesteśmy jedynymi okruchami życia pozostałymi na planecie – z wyjątkiem, być może, jakichś odpornych porostów, które przywarły do zmarzniętych skał.

Szturczałem Nebogipfela i bez przerwy do niego mówiłem.

– Daj mi spać – wymamrotał.

– Nie – zaprzeczyłem najżywiej, jak potrafiłem. – Morlokowie nie śpią.

– Ja tak. Za długo przebywałem w otoczeniu ludzi.

– Jeśli zaśniesz, to umrzesz... Nebogipfelu, myślę, że musimy zatrzymać samochód.

Przez chwilę milczał.

– Dlaczego?

– Musimy wrócić do paleocenu. Ziemia jest martwa, zamknięta w uścisku tej wstrętnej zimy, więc musimy wrócić do bardziej przyjaznej przeszłości.

– Świetny pomysł... – Zakaszłał. – Tylko że to niemożliwe. Nie miałem środków, by wyposażyć tę maszynę w rozbudowane urządzenia sterownicze.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że ten samochód czasu to w zasadzie pojazd balistyczny. Mogłem go skierować w przyszłość lub przeszłość, na określony

czas podróży. Dotrzemy do roku 1891 tej historii lub mniej więcej do tego momentu, ale po nakierowaniu i starcie nie mam kontroli nad jego trajektorią. Rozumiesz? Samochód podąża przez czas trasą wyznaczoną przez początkowe ustawienie i zależną od mocy niemieckiego plattnerytu. Zatrzymamy się nie wcześniej niż w roku 1891, lodowatym i martwym roku 1891...

Poczułem, że drzę trochę mniej, ale nie było to spowodowane poprawą warunków, lecz tym, że – uświadomiłem sobie – moje siły zaczęły się w końcu wyczerpywać.

Snulem opętańczo domysły, że może jeszcze nie przepadliśmy. Jeżeli Ziemia nie została opuszczona – jeżeli ludzie mieli ją odbudować – to może istniała szansa, że znajdziemy klimat, w którym będziemy mogli zamieszkać.

– A człowiek? Co z człowiekiem? – naciskałem Nebogipfela.

Chrząknął i wywrócił oczy.

– Jak mogła przeżyć ludzkość? Ludzie z pewnością opuścili planetę, bowiem w przeciwnym razie by wyginęli...

– Opuścili Ziemię? – zaprotestowałem. – Ba, nawet wy, Morlokwie, ze swoją Sferą wokół Słońca, nie posunęliście się tak daleko!

Odsunąłem się od niego i wsparłem na łokciach, aby spojrzeć z samochodu czasu na południe. Byłem teraz pewien, że wszelka nadzieja nadejdzie właśnie stamtąd, od strony miasta orbitalnego.

Jednak to, co zobaczyłem, przejęło mnie zgrozą.

Pas wokół Ziemi pozostał na swoim miejscu, a ogniwa między błyszczącymi stacjami były jasne jak zawsze, ale zobaczyłem teraz, że biegnące w dół linie, które łączyły miasto z planetą, zniknęły. Kiedy zajęty byłem Morlokiem, orbitalni mieszkańcy rozmontowali windy, zrywając w ten sposób swe pępowiny

łączące ich z matką Ziemią.

Kiedy tak dalej patrzyłem, na kilku stacjach rozbłysnęło jaskrawe światło. Blask odbijał się od lodowych pól Ziemi jak od wianka słońc. Metalowy pierścień wyslizgnął się ze swojej pozycji nad równikiem. Z początku ta migracja przebiegała powoli, ale potem wydawało się, że miasto obróciło się wokół własnej osi – płonąc niczym ogniste koło – aż poruszało się tak szybko, iż nie mogłem rozpoznać poszczególnych stacji.

W chwilę później miasto oddaliło się od Ziemi i zniknęło.

Symbolizm tej wielkiej ucieczki był zaskakujący. Bez ognia od wielkich silników lodowe pola na opuszczonej Ziemi wydawały się zimniejsze, bardziej szare niż przedtem.

Położyłem się z powrotem w samochodzie.

– To prawda – powiedziałem do Nebogipfela.

– Co takiego?

– Ziemia została porzucona. Orbitalne miasto uwolniło się od niej i odleciało. Historia planety dobiegła końca, Nebogipfela, i obawiam się, że nasza też!

Mimo mych wysiłków, by nie dopuścić do jego zaśnięcia, Nebogipfel stracił przytomność. Po pewnym czasie zabrakło mi sił, by dalej go cucić. Przytuliłem się do Morloka, próbując ochronić jego wilgotne, zimne ciało przed najgorszym chłodem, ale obawiałem się, że z niewielkim powodzeniem. Wiedziałem, że przy naszej prędkości przez czas nasza podróż nie potrwa dłużej niż trzydzieści godzin. Ale co, jeżeli niemiecki plattneryt lub sklecona na oczekaniu konstrukcja Nebogipfela były wadliwe? Mogłem powoli zamarać, uwięziony w tym „rozcieńczonym” wymiarze na zawsze – lub w dowolnej chwili zostać wyrzucony na powłokę wiecznego lodu.

Chyba zasnąłem lub zemdlałem.

Wydawało mi się, że widzę, jak Obserwator – ta wielka, szeroka głowa – wisi w powietrzu przed moimi oczami, a za jego pozbawionym kończyn ścierwem dostrzegam tamto wymykające się, zabarwione na zielono gwiazdne pole. Spróbowałem wyciągnąć rękę ku gwiazdom, gdyż wydawały się takie jasne i ciepłe, ale nie mogłem się poruszyć – może to wszystko było tylko snem – a potem Obserwator zniknął.

Jęk i szarpnięcie oznaczały, że plattneryt wreszcie stracił swoją moc i samochód ponownie wślizgnął się w historię.

Perłowy blask nieba rozproszył się i blade światło słońca zniknęło, jak gdyby ktoś je wyłączył. Byłem pogrążony w ciemności.

Resztki naszego paleoceńskiego ciepła rozplynęły się w wielkiej umywalce nieba. Lód chwycił moje ciało w swoje szpony – czułem, jakbym płonął – i nie mogłem oddychać, choć nie wiedziałem, czy to z powodu zimna, czy trucizn w powietrzu. Czułem wielkie parcie w płucach, jakbym tonął.

Wiedziałem, że za chwilę stracę przytomność. Postanowiłem, że przed śmiercią przynajmniej zobaczę ten rok 1891, tak bardzo różny od mojego świata. Wsunąłem pod siebie ramiona – już nie czułem rąk – i dźwignąłem się do półsiedzącej pozycji.

Ziemia skąpana była w srebrnym świetle podobnym do blasku księżyca (tak przynajmniej myślałem). Samochód czasu spoczywał niczym pogruchotana zabawka na środku równiny pokrytej warstwą odwiecznego lodu. Była noc i na niebie nie widać było żadnych gwiazd. Na początku myślałem, że przesłaniają je chmury, ale potem dostrzegłem nisko na niebie sierp księżyca i nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie ma gwiazd. Zastanawiałem się, czy moje oczy nie zostały uszkodzone

wskutek zimna. Zauważyłem, że ten bratni świat jest nadal zielony i poczułem radość. Może ludzie nadal tam żyli. Jak zmarznięta Ziemia musiała błyszczeć na niebie tego młodego świata! Niedaleko Księżycy lśniło jasne światło. Znajdowało się tak blisko, że nie mogła to być gwiazda. Może odbicie słońca od jakiegoś księżycowego jeziora?

Jakaś część mojego zamierającego mózgu kazała mi zastanowić się nad źródłem srebrzystego światła księżyca, gdyż teraz odbijało się ono od zmarzliny, która już się tworzyła na szkielecie samochodu czasu. Jeżeli Księżyc był nadal zielony, to nie mógł być źródłem tego nadnaturalnego blasku. A zatem co?

Ostatkiem sił obróciłem głowę. Na bezgwiezdnym niebie, wysoko nade mną, świeciła tarcza: migocząca, cienka i delikatna, jakby utkana z pajęczyny, kilkadziesiąt razy większa od księżyca w pełni.

A na lodowej równinie za samochodem czasu stała cierpliwie...

Nie mogłem rozpoznać, co to jest. Zastanawiałem się, czy wzrok rzeczywiście mnie nie zawodzi. Zobaczyłem piramidalną postać, która była mniej więcej wzrostu człowieka, ale miała zamazane kontury, jakby poruszała się niestrudzenie niczym owad.

– Czy ty żyjesz? – Chciałem pytać dalej tę szkaradną zjawę, ale miałem ściśnięte gardło, a głos osłabiony wskutek mrozu i nie byłem w stanie zadawać kolejnych pytań.

Ogarnęła mnie ciemność i zimno wreszcie ustąpiło.

Księga Piąta

Biała Ziemia

Otworzyłem oczy, a raczej doznałem wrażenia, jakby moje powieki zostały podniesione lub odcięte. Wzrok miałem zamglony, a świat widziałem jakby w załamanej świetle. Zastanawiałem się, czy moje gałki oczne nie są oblodzone, a może nawet zamrożone. Zapatrzyłem się w punkt na ciemnym, bezgwiazdnym niebie. Kątem oka dostrzegłem plamę zieleni – może to Księżyc? – ale nie mogłem się odwrócić, żeby lepiej się przyjrzeć.

Nie oddychałem! Łatwo to powiedzieć, ale trudno oddać szok, jakiego doznałem, kiedy to sobie uświadomiłem! Czułem się, jakby mnie oddzielono od ciała. Nie wyczuwałem żadnych mechanicznych czynności organizmu – oddechu, bicia serca czy miliona drobnych boli i skurczów mięśni, które – zwykle niemal nie zauważane – składają się na codzienne życie człowieka. To było tak, jakby moja cała istota, cała tożsamość, skupiła się w otwartym, nieruchomym spojrzeniu.

Pomyślałem, że powinienem być przerażony, powinienem usilnie łapać oddech, jak tonący człowiek, ale wcale nie odczuwałem takiej potrzeby, czułem się senny, jakby mnie uśpiono eterem.

Myślę, że to właśnie ten brak strachu przekonał mnie, iż nie żyję.

Przesunął się nade mną jakiś kształt, przesłaniając mi puste

niebo. Był w przybliżeniu piramidalny, a jego krawędzie niewyraźne zarysowane. Przypominał zacienioną górę, która majaczyła nade mną.

Oczywiście rozpoznałem tę zjawę. To był stwór, który stał przede mną, kiedy leżeliśmy bezwładnie na lodzie. Teraz ta maszyna – gdyż za takową ją uznałem – ruszyła posuwicie w moim kierunku. Poruszała się jakoś dziwnie, płynnie; jeśli wyobrazicie sobie złożony ruch ziarenek piasku w klepsydrze po odwróceniu urządzenia, będziecie mieli pojęcie, jak to wyglądało. Kątem oka dostrzegłem, jak rozmazana krawędź dolnej części tej maszyny zakrywa moją klatkę piersiową i brzuch. Potem poczułem w tamtych miejscach serię ukłuc – delikatnych dźgnięć.

I nagle odzyskałem czucie! I to z szybkością przypominającą wystrzał z karabinu. Poczułem delikatne drapanie na skórze klatki piersiowej, jakby rozcinano i zdejmowano materiał mojego ubrania. Teraz ukłucia były głębsze, jakby maleńkie, owadzie czułki wbijały się w moją skórę, atakując ją. Poczułem ból w brzuchu – milion drobnych ukłuc jak od szpilki.

To tyle, jeżeli chodzi o śmierć – tyle, jeżeli chodzi o bezcielesność! Gdy uświadomiłem sobie, że nadal żyję, zacząłem ponownie się bać. Strach pojawił się nagle i towarzyszyło mu uczucie przyspieszonego krążenia krwi.

Teraz majaczący cień górzystej istoty, zamazany i złowieszczy, przeczołgał się wzdłuż mojego ciała w kierunku głowy. Wkrótce czekało mnie uduszenie! Chciałem krzyknąć, ale nie miałem czucia w ustach i szyi.

Nigdy w trakcie żadnej z moich podróży nie czułem się taki bezradny, jak w tamtym momencie. Leżałem rozciągnięty niczym żaba na stole sekcyjnym.

W ostatniej chwili poczułem, że coś przesuwają się po mojej ręce. Wyczułem słaby chłód i dotyk włosów. To była ręka Nebogipfela, który ścisnął moją dłoń. Zastanawiałem się, czy cały czas leżał obok mnie, kiedy odbywała się ta przerażająca wiwisekcja. Spróbowałem objąć jego palce, ale moje mięśnie ani drgnęły.

Piramidalny cień dotarł do mojej twarzy i przestałem widzieć przyjazny skrawek nieba. Igły zagłębiły się w mojej szyi, podbródku, policzkach i czole. Na powierzchni odsłoniętych oczu poczułem lekkie klucie, jakby nieznośne świerzbiecie. Chciałem odwrócić wzrok, zamknąć oczy, ale nie mogłem. To były najwymyślniejsze tortury, jakie mogę sobie wyobrazić!

A potem, kiedy ten piekący ból wniknął nawet w moje gałki oczne, na szczęście straciłem przytomność.

Zacząłem powoli przychodzić do siebie; odzyskiwanie przytomności nie było takim koszmarem, jak za pierwszym razem. Powróciłem do świata przez warstwę snów rozjaśnionych światłem słonecznym: pławiłem się we fragmentarycznych wizjach piasku, lasu i oceanu. Znowu smakowałem twarde, słonawe małże i leżałem z Hilary Bond w ciepłe i ciemności.

A potem rozbudziłem się zupełnie.

Leżałem na jakimś twardym podłożu. Moje plecy, które zareagowały skurczem, kiedy próbowałem się poruszyć, były aż nadto realne, tak jak moje rozciągnięte nogi, ramiona, ścięte palce, świst powietrza, które wciągałem przez nos i pulsowanie krwi w żyłach. Leżałem w całkowitej ciemności, ale fakt ten, który niegdyś mógłby mnie przerazić, teraz wydawał się nieistotny, gdyż znowu żyłem i słyszałem znajome odgłosy funkcjonowania własnego ciała. Odczułem ogromną, niewysłowioną ulgę i krzyknąłem z radości!

Usiadłem. Kiedy położyłem ręce na podłodze, stwierdziłem, że pokrywają ją grube ziarna, jakby na jakiejś twardszej powierzchni leżała warstwa piasku. Choć miałem na sobie jedynie koszulę, spodnie i buty, było mi całkiem ciepło. Pozostawałem w całkowitej ciemności, ale echa idiotycznego krzyku powróciły szybko do moich uszu i odnosiłem wrażenie, że znajduję się w jakiejś zamkniętej przestrzeni.

Rozejrzałem się, szukając okna lub drzwi, ale nie dało to żadnego skutku. Uświadomiłem sobie jednak, że coś mi ciąży na głowie – jakiś przedmiot napierał na mój nos – i kiedy uniosłem ręce, żeby zobaczyć, co jest tego powodem, natrafiłem na parę ciężkich okularów. Szkła tworzyły jedną całość z ramką.

Pomajstrowałem przy tym niezgrabnym urządzeniu i pomieszczenie zostało zalane przez jaskrawe światło.

Z początku byłem oślepiiony i odruchowo zacisnąłem powieki. Zdjąłem szybko okulary i stwierdziłem, że światło zniknęło, pozostawiając mnie pogrążonego w ciemności. Kiedy założyłem okulary z powrotem, jasność wróciła.

Nie musiałem zbyt wyęźać mózgowicy, by zrozumieć, że w rzeczywistości panuje tu ciemność i że światła dostarczają mi okulary, które nieumyślnie uaktywniłem. Okulary podobne były do gogli Nebogipfela, które biedny Morlok stracił podczas paleoceńskiej burzy.

Mój wzrok przyzwyczał się do oświetlenia, wstałem i przyjrzałem się sobie. Wydawało się, że jestem zdrowy i cały. Ani na skórze rąk, ani ramion, nie dostrzegłem śladów działania tamtej rozłożystej, piramidalnej istoty. Zauważyłem jednak ciąg białych śladów na mojej koszuli z tkaniny diagonalnej i spodniach. Kiedy przesunąłem po nich palcem, odkryłem grube

wybrzuszenia szwów, jakby ktoś niezdarnie naprawił moje ubranie.

Znajdowałem się w komorze szerokiej na jakieś dwanaście stóp i mniej więcej tak samo wysokiej. Było to najdziwniejsze pomieszczenie, w jakim miałem okazję przebywać w ciągu moich dotychczasowych podróży. By je sobie wyobrazić, musicie mieć pojęcie, jak wygląda dziewiętnastowieczny pokój. Jednak tego pokoju nie zbudowano w formie prostokąta, tak jak za moich czasów. Miał raczej kształt zaokrąglonego stożka, który przypominał wnętrze namiotu. Nie było tam drzwi i żadnych mebli. Podłogę pokrywała równa warstwa piasku, na którym dostrzegłem wgłębienia w miejscu, w którym spałem.

Ściany oklejono dość krzykliwą tapetą w fioletowe, wymyślne wzory i było tam coś na kształt okien, które zakrywały ciężkie zasłony. W oknach jednak nie było szyb, lecz jedynie płyty pokryte taką samą wzorzystą tapetą.

W pokoju nie było żadnego źródła światła. Zamiast tego w powietrzu rozchodził się równomierny, rozproszony blask podobny do światła zachmurzonego dnia. Obecnie byłem już pewien, że widziane przeze mnie oświetlenie to jakiś wytwór moich okularów, a nie zjawisko fizyczne. Sufit nade mną był ozdobny, udekorowany nadzwyczajnymi malowidłami. Tu i ówdzie w tej barokowej gmatwaninie dostrzegłem ludzkie postacie, ale tak zdeformowane i okaleczone, że niemożliwe było rozpoznanie wzoru: nie były groteskowe, ale niezgrabne i niedokładne, jakby artysta miał techniczne zdolności Michała Anioła, lecz wizję opóźnionego w rozwoju dziecka. Tak to wyglądało: elementy, jak sądzę, taniego hotelu z moich czasów, lecz przemienione w tę osobliwą geometrię, niczym obraz ze snów!

Przeszedłem się po pokoju. Piasek chrząścił pod moimi butami. Nie znalazłem ani jednego łączenia w ścianach, żadnego śladu drzwi. W jednej części pokoju znajdowała się komórka o szerokości mniej więcej trzech stóp, wykonana z białej porcelany. Kiedy zszedłem z piasku na porcelanową platformę, z otworów w ścianie dość niespodziewanie syknęła para. Cofnąłem się zaskoczony i strumienie przestały buchać. Resztki pary omiotły mi twarz.

Znalazłem szereg małych półmisek ustawionych na piasku. Miały szerokość dłoni i były płytkie jak spodki. W niektórych znajdowała się woda, w innych jedzenie: proste artykuły takie jak owoce, orzechy, jagody i tym podobne, lecz niczego nie potrafiłem rozpoznać. Ponieważ byłem spragniony, opróżniłem kilka półmisek z wodą. Stwierdziłem, że naczynia są niewygodne w użyciu. Ich płytkość powodowała, że zawartość łatwo się wylewała i ściekała mi po brodzie. Pomyślałem, że bardziej przypominają miski, których się używa do napojenia psa lub kota, niż filiżanki. Podziubałem trochę jedzenia. Owoce miały mdły, ale znośny smak.

Po tym posiłku moje ręce i usta były lepkie. Rozejrzałem się za zlewem lub jakimiś urządzeniami sanitarnymi. Oczywiście, nie było żadnych. Umyłem się wodą z innego półmiska i wytarłem twarz skrajem koszuli.

Zbadałem atrapy okien i podskoczyłem, próbując dotknąć niezdarnie wzorów na suficie, lecz bez skutku. Powierzchnia ścian i podłogi była gładka jak skorupka jajka, lecz nietłukąca. Rozkopałem piasek na podłodze i zobaczyłem, że jest głęboki na dziewięć cali lub stopę, a pod nim leży jasno-kolorowa mozaika w stylu romańskim. Podobnie jak ta na suficie, mozaika nie przedstawiała żadnego portretu lub sceny, które mógłbym

rozpoznać, lecz raczej fragmentaryczne, chaotyczne wzory.

Byłem zupełnie sam; zza ścian nie dochodził żaden dźwięk. Właściwie, w tym wszechświecie panowała absolutna cisza, zakłócona jedynie moim szeleszczącym oddechem i biciem serca – odgłosami, które niedawno powitałem z taką radością!

Po pewnym czasie dały znać o sobie pewne ludzkie potrzeby. Opierałem im się tak długo, jak tylko mogłem, ale w końcu musiałem się uciec do wykopania płytkich dołków w piasku, by się załatwić.

Zасыpując pierwszy z tych dołków, poczułem się nadzwyczaj zawstydzony. Zastanawiałem się, co sobie o tym myślą gwiazdni ludzie z tego odległego 1891 roku!

Gdy się zmęczyłem, usiadłem na piasku, opierając się plecami o ścianę owego pokoju. Z początku nie zdejmowałem świetlnych okularów, ale światło było zbyt jaskrawe, bym mógł zasnąć, więc w końcu je zdjąłem i trzymałem w dłoni podczas snu.

Tak się rozpoczął mój pobyt w tej dziwacznej klatce. Kiedy mój początkowy strach osłabł, ogarnęła mnie nuda połączona z niepokojem. Było to więzienie podobne do świetlnej klatki Morloków, a wcale nie pragnąłem ponownie przeżywać tej samej izolacji. Nabrałem przekonania, że wszystko, nawet niebezpieczeństwo, byłoby lepsze od pozostawania w tym nudnym więzieniu. Wydaje mi się, że okres mojego wygnania w epoce paleoceńskiej – pięćdziesiąt milionów lat przed powstaniem gazet – wyleczył mnie z wszelkich starych nawyków czytania. Mimo to czasami myślałem, że oszaleję z powodu braku osoby, z którą mógłbym porozmawiać.

Półmiski najedzenie i wodę uzupełniane były za każdym razem, kiedy spałem. Nigdy nie odkryłem, jak to się dokonuje.

Nie zauważyłem śladów urządzeń do wyłaczania, które przypominałyby maszynę Morloków, ani nigdy też nie widziałem, by jakikolwiek służący napełniał półmiski. W ramach eksperymentu pewnego razu poszedłem spać z półmiskiem wsuniętym pod siebie. Obudziłem się, czując wilgoć w okolicach żeber. Gdy się podniosłem, stwierdziłem, że półmisek jest ponownie napełniony wodą, jak gdyby za sprawą czarów.

Doszedłem do wniosku, że to jakaś subtelna maszyna w samych półmiskach wytwarza ich zawartość – albo z tworzywa naczyń, albo z gazów w powietrzu. Przyszło mi do głowy – choć nie miałem ochoty tego sprawdzać! – że moje zakopane odchody rozkładane są za pośrednictwem takich samych, dyskretnych mechanizmów. Była to dziwaczna i niezbyt apetyczna perspektywa.

Po trzech lub czterech dniach poczułem potrzebę, by się dokładnie umyć. Jak już powiedziałem, nie było tu żadnych urządzeń sanitarnych, a przestała mi się podobać prowizoryczna toaleta, którą byłem w stanie robić z pomocą półmisków z wodą do picia. Tęskniłem za kąpielą w wannie, lub jeszcze lepiej, w moim paleoceńskim morzu.

Trochę trwało – możecie uznać, że zbyt długo nad tym rozważałem – nim ponownie zwróciłem uwagę na opisaną już wcześniej porcelanową komórkę, ignorowaną przeze mnie od chwili pierwszej, niepewnej lustracji pomieszczenia, w którym się znajdowałem. Zbliżyłem się teraz do tej komórki i postawiłem ostrożnie jedną nogę na jej porcelanowej podłodze. Ponownie ze ścian buchnęła para.

Nagle zrozumiałem. Zachwycony, zdjąłem buty i ubranie (pozostawiając jednak okulary na oczach) i wszedłem do małej kabiny. Zewsząd otoczyły mnie kłęby pary. Zacząłem się pocić i wilgoć osiadła na moich okularach. Spodziewałem się, że para rozejdzie się po całym pokoju i przemieni go w saunę, ale jej zasięg ograniczony był tylko do kabiny, na pewno dzięki jakiejś układowi stymulującemu, wykorzystującemu różnicę ciśnienia powietrza.

To była moja łazienka, nie wyposażona tak bogato jak łazienki z moich czasów, ale czy przez to mniej funkcjonalna? W każdym

razie, mój dom na Petersham Road przypadł w innej historii. Przypomniałem sobie Rzymian, którzy nie znali mydła i detergentów i musieli się w podobny sposób gotować, by wypocić brud z porów ciała. Również w moim przypadku parowe oczyszczanie okazało się całkiem skuteczne, choć w zastępstwie stosowanych przez Rzymian skrobaków musiałem używać paznokci do zdrapywania warstwy błota z ciała.

Kiedy wyszedłem z sauny, rozejrzałem się za czymś, czym mógłbym się wytrzeć, gdyż nie miałem ręcznika. Pomyślałem niechętnie o wykorzystaniu ubrania, a potem, z natchnieniem, skierowałem uwagę na piasek. Stwierdziłem, że choć zwirowate ziarna ocierały mi skórę, dość dobrze usunęły wilgoć.

Doświadczenie z sauną skłoniło mnie do refleksji. Ależ jestem tępy, pomyślałem, skoro tyle czasu zajęło mi odgadnięcie tak oczywistego urządzenia! Przecież za moich czasów w wielu częściach świata nie znano przyjemności wypływających z nowoczesnej instalacji wodno-kanalizacyjnej i kąpieli w porcelanowych wannach – właściwie nie znano nawet w wielu dzielnicach Londynu, jeśli wierzyć co bardziej drastycznym opowieściom w „Pall Mall Gazette”.

Nie ulegało wątpliwości, że nieznani gwiazdni ludzie z tego wieku dołożyli wielu starań, by zapewnić mi miejsce, gdzie mogłem przeżyć. Przecież byłem teraz w zupełnie innej historii. I być może dziwny charakter tego pomieszczenia – brak znajomych urządzeń sanitarnych, niezwykle jedzenie i tak dalej – nie był taki znaczący czy niezwykle, jak mi się wydawało.

Zapewniono mi wygody hotelowego pokoju z moich czasów, ale pomieszano jeż czymś, co wydawało się urządzeniami sanitarnymi z czasów Chrystusa, a jeżeli chodzi o jedzenie, to te orzechy i owoce wydawały się bardziej odpowiednie dla kogoś

z moich odległych przodków trudniących się zbieraniem owoców – powiedzmy z okresu czterdziestu tysięcy lat przed moim narodzeniem.

To był istny galimatias, mieszanka fragmentów z zasadniczo różnych epok rozwoju ludzkości! Pomyślałem jednak, że dostrzegam w tym jakąś metodę.

Rozważyłem przepaść między mną i mieszkańcami tego świata. Od chwili założenia Pierwszego Londynu minęło pięćdziesiąt milionów lat rozwoju – ponad sto ewolucyjnych luk między mną i Morlokiem. W ciągu tylu niewyobrażalnych wieków czas ulega ścieśnieniu – przypomina to ściskanie warstw skał osadowych przez masę złóż nad nimi – aż odstęp między mną i Gajuszem Juliuszem Cezarem, lub nawet między mną i pierwszymi ludźmi stąpającymi po ziemi – który z mojej perspektywy wydawał się taki olbrzymi – kurczy się właściwie do zera.

Pomyślałem, że biorąc to wszystko pod uwagę, moi niewidoczni gospodarze nieźle się spisali, jeżeli chodzi o odgadnięcie warunków, w jakich może mi być wygodnie.

W każdym razie wydawało się, że moje oczekiwania, pomimo wszystkiego, czego doświadczyłem, nadal zakorzenione są w moim własnym wieku i maleńkiej części globu! Była to upokarzająca myśl – uzmysłwić sobie ograniczoność własnego intelektu – i niechętnie poświęciłem trochę czasu, by to przemyśleć. Z natury nie jestem jednak człowiekiem skłonny do refleksji i stwierdziłem, że ponownie niecierpliwę się z powodu uwięzienia. Być może było to niewdzięcznością, ale ponad wszystko pragnąłem odzyskać wolność! Tyle że nie byłem sobie w stanie wyobrazić, w jaki sposób mógłbym tego dokonać.

Myślę, że przebywałem w tej klatce przez około dwa tygodnie. Gdy nadeszło wyzwolenie, było ono równie nagłe, co niespodziewane.

Obudziłem się w ciemności.

Usiadłem, bez okularów na oczach. Z początku nie potrafiłem powiedzieć, co mnie zaniepokoiło, a potem to usłyszałem: cichy odgłos delikatnego, odległego oddychania. Był to bardzo słaby głos – prawie niesłyszalny – i wiedziałem, że gdyby dochodził z ulic Richmond we wczesnych godzinach porannych, wcale by mnie nie zaniepokoił. Tutaj jednak moje zmysły były wyostrzone wskutek długotrwałej izolacji. Nie słyszałem żadnych odgłosów przez dwa tygodnie – z wyjątkiem cichego syku kąpieli parowej – których sam nie byłem źródłem. Założyłem pospiesznie okulary. Światło zalało moje oczy i zamrugałem, by usunąć łzy i jak najszybciej widzieć.

Przez okulary dostrzegłem łagodny blask, blady jak światło księżyca, który przesączał się do mojego pokoju. W ścianie mojej celi zobaczyłem otwarte drzwi. Były w kształcie rombu, z parapetem, który znajdował się jakieś sześć cali nad podłogą, i znajdowały się w miejscu atrapy okna.

Wstałem, włożyłem koszulę – gdyż przyzwyczailem się do spania z koszulą służącą mi za poduszkę – i ruszyłem do drzwi. Delikatne oddychanie stało się głośniejsze i – niczym szept strumyka wybijający się ponad szum wietrzyku – usłyszałem płynny, prawie ludzki gulgot, który od razu rozpoznałem!

Drzwi prowadziły do innego pomieszczenia, które wielkością i kształtem przypominało moje własne. Tu jednak nie było żadnych fałszywych ram okiennych, żadnych pozorów dekoracji, żadnego piasku na podłodze. Zamiast tego ściany były gołe, o odcieniu zwykłej, metalicznej szarości i znajdowało się w tym

pomieszczeniu kilka okien zakrytych siatkami oraz drzwi z prostą klamką. Nie było tu żadnych mebli i w pokoju dominował jeden ogromny przedmiot: ta sama piramidalna maszyna (lub jej duplikat), którą po raz ostatni widziałem, gdy powoli i boleśnie pełzała po moim ciele. Już powiedziałem, że była wzrostu człowieka i odpowiednio szeroka u podstawy. Powierzchnię miała w zasadzie metaliczną, ale złożoną i ruchomą. Jeśli wyobrazicie sobie wielką piramidalną postać o wysokości sześciu stóp, pokrytą kolonią krzątających się, metalicznych mrówek-robotnic, to będziecie mieli pojęcie, jak ten stwór wyglądał.

To nie monstrum jednak przyciągnęło moją uwagę, gdyż przed nim sztywno stał i najwyraźniej wpatrywał się w powierzchnię piramidy za pośrednictwem jakiegoś urządzenia ocznego Nebogipfel we własnej osobie.

Ruszyłem chwiejnie naprzód i wyciągnąłem radośnie ramiona. Morlok jednak stał cierpliwie i nie zareagował na moją obecność.

– Nebogipfelu – odezwałem się. – Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię odnalazłem. Chyba traciłem już zmysły z powodu izolacji!

Dostrzegłem teraz, że jego prawe, uszkodzone oko zakryte jest przez urządzenie oczne. Rurka połączona była z ciałem tamtego stwora i wykonywała takie same mrówcze ruchy jak piramida. Patrzyłem na to z pewną odrazą, ponieważ nie chciałym mieć takiego urządzenia we własnym oku.

Drugie, nie osłonięte oko Nebogipfela, olbrzymie i szaroczerwone, obróciło się w moim kierunku.

– Właściwie to ja cię znalazłem i poprosiłem o spotkanie z tobą – powiedział. – I pomijając twój stan psychiczny widzę, że

przynajmniej jesteś zdrowy. Jak twoje odmrożenia?

Pytanie wprawiło mnie w zakłopotanie.

– Jakie odmrożenia?

Pomacałem skórę, ale dobrze wiedziałem, że nie ma na niej żadnych śladów.

– A więc dobrze się spisali – stwierdził Nebogipfel.

– Kto taki?

– Uniwersalni Konstruktorzy.

Uznałem, że ma na myśli piramidalną maszynę i jej kuzynów.

Zauważyłem, że trzyma się prosto, a jego włosy są porządnie ułożone i wypielęgnowane. Uświadomiłem sobie, że w tym świetle podobnym do blasku księżyca nie potrzebuje gogli, tak jak ja, by dobrze widzieć. Najwidoczniej nasze pomieszczenia zaprojektowano bardziej z myślą o nim, niż o mnie.

– Świetnie wyglądasz, Morloku – powiedziałem ciepło. – Twoja noga została wyprostowana, a także twoje uszkodzone ramię.

– Konstruktorom udało się naprawić moje bardzo stare rany. Prawdę mówiąc, jestem teraz równie zdrowy, jak w chwili, kiedy po raz pierwszy wsiadłem do twojego wehikułu czasu.

– Z wyjątkiem jednego oka – powiedziałem z pewnym żalem, gdyż nawiązywałem do incydentu, kiedy to poharatałem je w chwili strachu i wściekłości. – Rozumiem, że ci twoi Konstruktorzy nie potrafili go uratować.

– Moje oko?

Wydawało się, że jest zaskoczony. Odsunął twarz od oczoskopu; rurka odkleiła się z cichym plasknięciem i zwisiała z piramidalnego stwora, wycofując się do jego metalicznej powłoki.

– Ależ skąd – powiedział. – Sam postanowiłem je odbudować w ten sposób. Ma to pewne zalety, choć przyznaję, że trudno mi

było wyjaśnić moje życzenia Konstruktorom...

Odwrócił się teraz do mnie. Miał pusty oczodół. Jego pokieroszowane oko zostało wydłubane i wydawało się, że kość została rozwiercona, a otwór pogłębiony. W oczodole lśnił wilgotny, wijący się metal.

Okazało się, że w przeciwieństwie do mojej małej celi Nebogipfel otrzymał prawdziwy apartament. Były tam cztery pokoje, każdy tak duży jak mój i w kształcie mniej więcej stożka, wyposażone w drzwi i okna, w które nasi gospodarze nie uznali za stosowne zaopatrzyć mojego pomieszczenia. Najwidoczniej mieli lepsze zdanie o jego rozumie niż o moim!

Tak jak i u mnie, u Nebogipfela nie było mebli, ale Morlokwie mają proste potrzeby i jemu to nie przeszkadzało. W jednym pokoju znalazłem jednak dziwaczny przedmiot: podobną do stołu konstrukcję o długości jakichś dwunastu stóp i szerokości sześciu, na której leżało miękkie, pomarańczowe przykrycie. Wokół obrzeża tego stołu rozmieszczone były kieszenie, wszystkie obramowane twardą substancją, która pobłyskiwała na zielono. Stół był w przybliżeniu prostokątny, choć jego krawędzie miały nieregularny kształt. Na blacie spoczywała jedna biała kula z jakiegoś lekkiego materiału. Kiedy ją pchnąłem na drugą stronę stołu, potoczyła się płynnie, ale – ponieważ powłoka nie była z sukna – turlała się trochę chaotycznie i energicznie odbijała od band na obrzeżach.

Próbowałem dociec jakiegoś głębszego znaczenia tego urządzenia, ale ni mniej, ni więcej – jak się pewnie domyślicie z mojego opisu – był to zwyczajny stół bilardowy! Z początku zastanawiałem się, czy aby nie jest to jakaś inna zniekształcona

wersja dziewiętnastowiecznego pokoju hotelowego, lecz jeśli tak, to raczej dziwaczna. Ponieważ nie dostrzegłem żadnego kija, a tylko jedną bilę, wydawało się mało prawdopodobne, bym miał ze stołu jakąś uciechę.

Odszedłem zaskoczony od stołu i sprawdziłem drzwi oraz okna. Drzwi otwierały się za pomocą prostych klamek, które należało chwycić i obrócić, ale prowadziły jedynie do innych pokoi w obrębie apartamentu lub do mojego pomieszczenia. Nie było wyjść do świata na zewnątrz. Stwierdziłem jednak, że płyty zakrywające przezroczyste okna można podnieść i po raz pierwszy mogłem się przyjrzeć temu nowemu rokowi 1891, tej białej Ziemi.

Miałem widok z wysokości mniej więcej tysiąca stóp nad ziemią! Wydawało się, że jesteśmy na szczycie jakiejś olbrzymiej cylindrycznej wieży, której boki opadały stromo pode mną. Wszystko, co zobaczyłem, umacniało moje pierwsze wrażenie, kiedy po raz ostatni spojrzałem ponad obrzeżem samochodu czasu, tuż zanim ogarnęła mnie fala chłodu: że jest to świat, który na zawsze pogrążył się w lodzie. Kolor nieba przypominał odcień spżu armatniego, a skutu lodem ląd szarobiałą barwę gołej kości. Nie pozostało nic z przyjemnej niebieskości, którą człowiek może czasami dostrzec na ładniejszych polach śniegu. Gdy teraz wyglądałem przez okno, ujrzałem dość wyraźnie, jak strasznie stabilny jest ten świat, dokładnie tak, jak to opisał Nebogipfel. Światło dzienne odbijało się ostro od płaszcza utworzonego z popękanego lodu, który okrywał ziemię, i biel tej wszechogarniającej skorupy odrzucała ciepło słońca z powrotem w otchłań kosmosu. Biedna Ziemia była martwa, na zawsze uwięziona na dnie tego dołu lodowatej, klimatycznej stabilności – to była ostateczna stabilność śmierci.

Gdzieś dostrzegłem Konstruktorów – podobnych z wyglądu do naszego – którzy stali na zmarzniętej ziemi. Każdy z nich był zawsze sam, przypominając jakiś źle wykuty pomnik, plamę stalowej szarości na tle białego jak kość lodu. Nie zauważyłem, żeby którykolwiek z nich się poruszał! Wyglądało to tak, jakby po prostu pojawiali się w miejscach, w których stali, być może czerpiąc budulec z powietrza. (Jak się później dowiedziałem, ta moja pierwsza hipoteza nie była daleka od prawdy.)

Ziemia była martwa, ale nie pozbawiona śladów inteligencji. Wokół dostrzegłem więcej wielkich budowli podobnych do naszej. Miały kształt prostych figur geometrycznych: walców, stożków i sześciąt. Z mojego punktu obserwacyjnego miałem widok na południe i zachód, a z wysokości, na której się znajdowałem, mogłem dostrzec, że te wielkie budowle rozproszone są na terenie sięgającym aż do Battersea, Fulham, Mitcham, a nawet jeszcze dalej. O ile mogłem się zorientować, poustawiano je średnio w odstępach około jednej mili. Cała ta panorama – lodowe pola, niemi Konstruktorzy i z rzadka rozsiane, anonimowe budowle – tworzyła krajobraz posępnego, nieludzkiego Londynu.

Wróciłem do Nebogipfela, który nadal tkwił przed Konstruktozem. Metalowa powłoka stwora zafalowała i zalśniła, jak gdyby była powierzchnią przechylonego stawu, w którym pływają metalowe ryby, a potem wyskoczył z niej jakiś guz – rurka o szerokości kilku cali – pobłyskując srebrzystą, metaliczną barwą piramidy. Rurka skierowała się ku twarzy czekającego Nebogipfela.

Oczywiście, natychmiast rozpoznałem to urządzenie:

oczoskop, który już wcześniej widziałem. Za chwilę miał zostać przymocowany do głowy Nebogipfela.

Obszedłem ostrożnie Konstruktorą. Jak już powiedziałem, z wyglądu przypominał kupę stopionego żużlu. Był w pewnym sensie żywy – i mógł się poruszać, gdyż widziałem, jak ten lub jakiś podobny do niego pełzał po moim ciele – ale nie miałem zielonego pojęcia, czym się zajmuje, jaki jest cel jego istnienia. Przyglądając mu się badawczo, zobaczyłem, że jego powierzchnię pokrywa szereg metalowych włosków: rzęsków, które podobne były do opiłków żelaza i kiwały się w powietrzu na wszystkie strony. Były dość ruchliwe i poruszały się inteligentnie. Wyteżałem wzrok do bólu, gdyż odnosiłem wrażenie, doprowadzające mnie do wściekłości, że za tym wszystkim kryje się więcej szczegółów, których moje starzejące się oczy nie pozwalają mi dostrzec. Struktura tej ruchomej powierzchni była zarazem fascynująca i odrażająca: mechaniczna, ale do pewnego stopnia żywa. Nie kusilo mnie, by jej dotknąć – nie mogłem znieść myśli, że te wijące się rzęski przyczepią się do mojej skóry – a nie miałem żadnych przyrządów. Nie mając żadnych środków do przeprowadzenia dokładniejszych badań, nie mogłem zbadać wewnętrznej struktury piramidy.

Dostrzegłem, że najniższa część piramidy wykazuje pewną aktywność. Przykucnąłem i zobaczyłem, jak maleńkie grupki metalowych rzęsków – wielkości mrówek lub jeszcze mniejszych – bez przerwy oddzielają się od Konstruktorą. Ogólnie biorąc, te oddzielone kawałeczki wydawały się rozpływać wraz z upadkiem na podłogę, z pewnością rozpadając się na cząstki zbyt małe, bym zdołał je dojrzeć. Czasami jednak widziałem, jak te oderwane fragmenciki Konstruktorą wędrują w różne strony

po podłodze, znów na modłę mrówek, zmierzając do nieznanych miejsc przeznaczenia. Zobaczyłem teraz, że w podobny sposób inne skupiska rzęsków wyłaniają się z podłogi, wspinają po dolnym obramowaniu Konstruktorą i wtapiają w jego substancję, jakby zawsze były jego częścią!

Powiedziałem o tym Nebogipfelowi.

– To zdumiewające – stwierdziłem – ale nietrudno się domyślić, co tu się dzieje. Częstki składowe Konstruktorą przyczepiają się i odczepiają. Oddalają się węzowym ruchem po podłodze. O ile mogę się zorientować, to może nawet odlatują. Oderwane kawałki muszą albo jakoś umierać, jeżeli są wadliwe, albo przyłączać się do błyszczącego cielska jakiegoś innego niefortunego Konstruktorą. – Urwałem i zamyśliłem się. – Niech to lichy porwie – zakląłem – planeta musi być pokryta cienką, szlamowatą warstwą tych odłączonych rzęsków, które wiją się we wszystkie strony! I po jakimś czasie – może za sto lat – z pierwotnego ciała tej bestii, którą tu widzimy, nie pozostanie dosłownie nic. Wszystkie jego częstki, odpowiedniki włosów, zębów i oczu wybiorą się w odwiedziny do sąsiadów!

– To nie jest żadna wyjątkowa konstrukcja – odrzekł Nebogipfel. – W twoim – a także moim – ciele komórki ciągle umierają i zostają wymieniane.

– Być może, ale mimo wszystko... Czy tego Konstruktorą można nazwać jednostką? Chodzi mi o to, że jeśli kupię szczotkę, a potem wymienię jej rączkę, a następnie główkę, to czy nadal będę miał tę samą szczotkę?

Czerwono-szare oko Morloka zwróciło się z powrotem w kierunku piramidy i wytłoczona, metalowa rurka zatopiła się z mlaśnięciem w jego pustym oczodole.

– Ten Konstruktor nie jest pojedynczą maszyną w znaczeniu

na przykład samochodu – odpalił. – Jest strukturą złożoną z wielu milionów podmaszyn... kończyn, jeśli wolisz. Są one ustawione w hierarchicznym porządku, od centralnego pnia poprzez konary do gałęzi, na modłę krzewu. Najmniejsze kończyny na obrzeżu są zbyt małe, byś mógł je dostrzec: funkcjonują na poziomie molekularnym lub atomowym.

– Ale po co te owadzie kończynki? – zapytałem. – Można przestawiać atomy i molekuły, ale po co? Cóż to za nużące i bezproduktywne działanie.

– Wręcz przeciwnie – zaprzeczył ze znużeniem. – Jeśli można przeprowadzać manipulacje na najbardziej fundamentalnym poziomie materii – i jeśli się ma dość czasu oraz cierpliwości – to można osiągnąć dosłownie wszystko. – Podniósł na mnie wzrok. – Ba, bez inżynierii molekularnej Konstruktorów obaj zginęlibyśmy po przybyciu na białą Ziemię.

– Co masz na myśli?

– „Operacji”, którą przeszedłeś – wyjaśnił – dokonano na poziomie komórkowym, na poziomie, na którym wystąpiły odmrożenia...

Z przerażającymi szczegółami Nebogipfel opisał mi, jak w ostrym zimnie, które napotkaliśmy, ścianki moich (i jego) komórek popękały wskutek zamarznienia i rozszerzenia się ich zawartości, i żadna operacja chirurgiczna z gatunku tych, które znałem, nie byłaby w stanie uratować mi życia.

Zamiast tego mikroskopijne kończynki zewnętrzne Konstruktorów oddzieliły się od macierzystego ciała i przeszły przez mój uszkodzony organizm, naprawiając moje odmrożone komórki na poziomie molekularnym. Kiedy – oględnie mówiąc – dotarły na drugą stronę, wyszły z mojego ciała i połączyły się z powrotem ze swoim rodzicem.

Zostałem odbudowany od wewnątrz przez armię metalowych mrówek. Nebogipfel również.

Zadrzałem, czując większe zimno niż kiedykolwiek od chwili mojego odratowania. Prawie bezwiednie podrapałem się po ramionach, jakbym próbował wyskrobać tę technologiczną infekcję.

– Ale taka ingerencja to potworność – zaprotestowałem. – Myśl o tym, że ci ruchliwi robotnicy przeszli przez moje ciało...

– Rozumiem, że wolałbyś tępe skalpele chirurgów z własnych czasów.

– Może nie, ale...

– Przypominam ci, że w przeciwieństwie do nich ty nie umiałeś nawet nastawić kości i zrobiłeś ze mnie kalekę.

– Ale to było co innego. Nie jestem lekarzem!

– A myślisz, że to stworzenie jest? W każdym razie, jeśli wolałbyś umrzeć, jestem pewien, że można by to załatwić.

– Oczywiście, że nie!

Ale podrapałem się i wiedziałem, że dużo czasu upłynie, nim znów poczuję się wygodnie we własnym, odbudowanym ciele! Pomyślałem jednak, że chyba zapomnę o wygodzie.

– Przynajmniej – odezwałem się – te kończynki Konstruktora to tylko mechaniczne urządzenia.

– Co masz na myśli?

– Nie są żywe. Gdyby były...

Odsunął twarz od Konstruktora i zwrócił jaw moim kierunku. W jego pustym oczodole iskrzyły się metalowe rzeski.

– Nie. Mylisz się. Te struktury są żywe.

– Co takiego?!

– Zgodnie z każdą rozsądną definicją tego słowa. Mogą się rozmnażać. Mogą manipulować światem zewnętrznym, tworząc

lokalne warunki o wyższym porządku. Przechodzą wewnętrzne stany, które mogą się zmieniać niezależnie od wpływów z zewnątrz, posiadają wspomnienia, do których można w dowolnej chwili dotrzeć... To wszystko cechy charakterystyczne życia, umysłu. Konstruktorzy żyją i mają świadomość – taką jak ty lub ja. A właściwie większą.

Teraz czułem się naprawdę zakłopotany.

– Przecież to niemożliwe. – Wskazałem na piramidalne urządzenie. – To tylko maszyna. Wytwór techniki.

– Już wcześniej zetknąłem się z ograniczeniami twojej wyobraźni – powiedział poważnym tonem. – Dlaczego mechaniczny robotnik miałby być zbudowany z ograniczeniami charakterystycznymi dla ludzkiej konstrukcji? Mając żywą maszynę...

– Żywą?

– ...można swobodnie badać inne morfologie, inne formy.

Uniosłem brew, spoglądając na Konstruktora.

– Na przykład morfologię ligustrowego żywopłotu!

– A poza tym – dodał – on mógłby na przykład wyprodukować ciebie. Czy byłbyś przez to mniej żywy?

Ta debata stawała się dla mnie zbyt metafizyczna! Obszedłem Konstruktora.

– Ale jeśli on żyje i ma świadomość, to czy jest osobą? A może kilkoma osobami? Czy ma jakieś imię? Duszę?

Nebogipfel ponownie odwrócił się do Konstruktora i pozwolił, by oczoskop przyssał się do jego twarzy.

– Duszę? – zapytał. – To twój potomek. Tak samo jak ja, tyle że z innej historii. Czy ja mam duszę? A ty?

Odwrócił się ode mnie i spojrzał w serce Konstruktora.

Później Nebogipfel przyłączył się do mnie w pomieszczeniu, które nazwałem pokojem bilardowym. Jadł z talerza, na którym leżało coś podobnego do sera.

W dość posępnym nastroju siedziałem na krawędzi stołu bilardowego i kulałem po nim bilę. Kula zachowywała się trochę dziwnie. Celowałem do łuzы po przeciwnej stronie stołu i przeważnie trafiałem, po czym truchtałem naokoło stołu, by ją wyjąć z siatki. Czasami jednak na torze bili występowały pewne zakłócenia. Na środku pustej powierzchni stołu rozlegało się grzechotanie – bila podskakiwała dziwnie, zbyt szybko, by można ją było dokładnie widzieć – po czym zwykle toczyła się dalej do wybranego przeze mnie miejsca. Czasami jednak kula dość znacznie zbaczała z wyznaczonego kursu; raz nawet wróciła z tamtego miejsca niezbyt widocznych zakłóceń do mojej ręki!

– Nebogipfelu, widziałeś? To nadzwyczaj dziwne – powiedziałem. – Wydaje się, że na środku stołu nie ma żadnych przeszkód. A jednak w połowie przypadków trasa tej bili jest zakłócona.

Pokazałem mu to jeszcze kilka razy. Patrzył na to z roztargnieniem.

– No cóż – powiedziałem. – Tak czy owak cieszę się, że nie rozgrywam tu żadnej partii. Znam paru facetów, którzy mogliby

się pobić z powodu takich nieprawidłowości. – Zmęczony bezproduktywną zabawą, położyłem bilę na środku stołu i pozostawiłem w tamtym miejscu. – Ciekaw jestem, dlaczego Konstruktorzy wstawili tu ten stół. To nasz jedyny konkretny mebel, chyba że liczyć samego Konstruktora... Ciekaw jestem, czy to stół do snookera czy tradycyjnego bilardu.

Nebogipfel wydawał się rozbawiony tym pytaniem.

– Czy to sprawia jakąś różnicę?

– No pewnie! Pomimo swej popularności snooker to zwykle wbijanie bil do łuz – świetna rozrywka dla znudzonych oficerów w Indiach, którzy go wymyślili, ale według mnie nie ma w nim nic z naukowej natury bilardu...

A potem – patrzyłem, kiedy to się działo – z jednej łuzi samorzutnie wyskoczyła druga bila i zaczęła się toczyć prosto w kierunku kuli spoczywającej na środku stołu.

Pochyliłem się, żeby to zobaczyć.

– Co tu, u diabła, się dzieje?

Kula posuwała się dość wolno i mogłem ją dokładnie obejrzeć. Moja bila już nie była gładka i biała; po moich rozmaitych eksperymentach na jej powierzchni pojawił się szereg rys, w tym jedna dość wyraźna. Ta nowa kula nosiła takie same ślady.

Nowa bila uderzyła w moją z głośnym puknięciem. Zatrzymała się wskutek zderzenia, natomiast moja poleciała na drugą stronę stołu.

– Wiesz – powiedziałem do Nebogipfela – gdybym tego nie widział, przysięgłbym, że ta bila, która przed chwilą pojawiła się znikąd, jest taka sama jak ta pierwsza.

Morlok podszedł trochę bliżej i pokazałem mu wyraźną, długą rysę.

– Widzisz? Rozpoznałbym tę rysę w ciemności... Obie bile są

bliźniaczo do siebie podobne.

– A zatem – stwierdził spokojnie Morlok – być może to jedna i ta sama bila.

Teraz moja bila zderzyła się z bandą po drugiej stronie stołu i odbiła. Geometryczna nierówność stołu była taka, że teraz kula zmierzała z powrotem w kierunku łuzy, z której się wyłoniła druga bila.

– Ale jak to możliwe? Przypuszczam, że wehikuł czasu może przenieść dwie kopie tego samego przedmiotu do jednego miejsca – przypomnij sobie mnie i Moseśa! Ale tutaj nie widzę żadnych urządzeń do podróżowania w czasie. Poza tym, jaki byłby tego cel?

Po kilku odbiciach pierwotna bila w dużym stopniu utraciła swój pęd i kiedy docierała do łuzy, poruszała się dość wolno. Ale wślizgnęła się do niej i zniknęła.

Pozostała nam kopia bili, która tak tajemniczo wyskoczyła z łuzy. Podniosłem ją i obejrzałem. Według mnie była dokładną repliką naszej pierwszej kuli. A kiedy zerknąłem do łuzy, była pusta! Nasza pierwotna bila zniknęła, jakby nigdy nie istniała.

– No cóż – powiedziałem do Nebogipfela. – Ten stół płata większe figle, niż myślałem. Co twoim zdaniem tu zaszło? Czy myślisz, że to właśnie takie rzeczy się dzieją, gdy dochodzi do zakłóceń – tego całego grzechotania – które ci przed chwilą pokazałem?

Nebogipfel nie odpowiedział od razu, lecz – po tamtym wydarzeniu – poświęcił wraz ze mną sporo czasu, by wyjaśnić zagadki tamtego dziwnego stołu bilardowego. Jeżeli chodzi o mnie, to próbowałem zbadać sam stół, mając nadzieję, że odkryję jakieś ukryte urządzenie, ale nic nie znalazłem – żadnego oszustwa, żadnych ukrytych klap, które mogłyby

połykać i wypluwać bile. A zresztą, nawet gdyby tam było takie prymitywne, iluzjonistyczne urządzenie, to i tak musiałbym wyjaśnić pozorną identyczność „starych” i „nowych” bil!

Zafrapował mnie – choć nie potrafiłem wtedy tego wyjaśnić – dziwny, zielonkawy blask obramowań łuz. Przypominał mi plattneryt.

Nebogipfel powiedział mi, czego się dowiedział o Konstruktorach.

Wydawało się, że nasz milczący przyjaciel w salonie Nebogipfela to członek gatunku, który rozprzestrzenił się szeroko we wszechświecie: Konstruktorzy zamieszkiwali Ziemię, przekształcone planety, a nawet gwiazdy.

– Musisz się pozbyć uprzedzeń – powiedział mi Morlok – i podejść do tych stworzeń z otwartym umysłem. Oni nie są tacy jak ludzie.

– To jestem w stanie pojąć.

– Nie – upierał się – raczej nie jesteś. Przede wszystkim nie wolno ci wyobrażać sobie, że Konstruktorzy to odrębne osobowości, takie jak ty lub ja. Oni nie są ludźmi w metalowych przebraniach! Oni są czymś jakościowo innym.

– Dlaczego? Ponieważ składają się z wymiennych części?

– Częściowo. Dwóch Konstruktorów mogłoby się złączyć w jednego, stapiając się jak dwie krople cieczy i tworząc jedną istotę, a potem równie łatwo rozdzielić, tworząc ponownie dwóch. Próby wykrycia źródła tej czy innej cząstki byłyby prawie niemożliwe i daremne.

Kiedy to usłyszałem, zrozumiałem, dlaczego nigdy nie widziałem, żeby Konstruktorzy poruszali się po skutym lodem lądzie na zewnątrz. Nie było potrzeby, by taszczyli swoje wielkie,

niezgrabne ciała (chyba że w razie jakiejś specjalnej potrzeby, jak na przykład wtedy, gdy naprawiali Nebogipfela i mnie). Wystarczało, by Konstruktor się zdemontował na opisane przez Nebogipfela molekularne cząstki, które mogły się wić po lodzie jak dżdżownice!

– Ale świadomość Konstruktorów to coś więcej – ciągnął Nebogipfel. – Oni żyją w świecie, którego nie potrafimy sobie wyobrazić, zamieszkują niewyobrażalne morze – Morze Informacji.

Opisał mi, jak za pomocą fonografu i innych złącz Uniwersalni Konstruktorzy są ze sobą powiązani i jak wykorzystują te złącza do stałej łączności między sobą. Informacje – a także świadomość i coraz głębsze zrozumienie – wypływają z mechanicznego umysłu każdego Konstruktora i każdy otrzymuje wiadomości oraz interpretacje od wszystkich swoich braci, nawet z najodleglejszych gwiazd.

Nebogipfel powiedział, że łączność między Konstruktorami jest właściwie tak szybka i wszechogarniająca, iż nie można jej przyrównać do ludzkiej mowy.

– Ale ty z nimi rozmawiałeś. Udało ci się uzyskać od nich informacje. W jaki sposób?

– Naśladując ich sposoby interakcji – odparł Nebogipfel. Ostrożnie dotknął palcem pustego oczodołu. – Musiałem się zdobyć na to poświęcenie. – Jego zdrowe oko błyszczało.

Okazało się, że Nebogipfel próbował zanurzyć swój mózg w morzu informacji, o którym mówił. Przez oczodół mógł wchłaniać informacje bezpośrednio z morza – bez pośrednictwa konwencjonalnej mowy.

Zadrzałem na myśl o takim wtargnięciu do wygodnej ciemności w mojej czaszce!

– I uważasz, że warto to było zrobić? – zapytałem. – Poświęcić oko?

– O tak. I nie tylko oko... Posłuchaj, czy rozumiesz już istotę Konstruktorów? – zapytał z naciskiem. – Oni należą do innego rodzaju żywych stworzeń. Są zjednoczeni, nie tylko przez to, że wspólnie korzystają z siebie na prymitywnym poziomie fizycznym, lecz również z powodu tego, że dzielą się swoimi doświadczeniami. Czy potrafisz sobie wyobrazić, jak to jest istnieć w takim ośrodku informacji jak ich Morze?

Pogrążyłem się w zadumie. Pomyślałem o seminariach w Royal Society – o tamtych ożywionych dyskusjach, kiedy ktoś przedstawiał jakąś nową koncepcję i trzy tuziny sprężystych umysłów zabierały się do jej analizy, modyfikując ją przy tym i szlifując – a nawet o niektórych moich dawnych czwartkowych kolacjach, kiedy z pomocą dość dużych ilości wina idee pojawiały się często tak gęsto, że trudno było powiedzieć, w którym momencie jeden dyskutant skończył, a następny zaczął mówić.

– Tak – wtrącił Nebogipfel, kiedy mu to zrelacjonowałem. – Właśnie o to chodzi. Rozumiesz? Ale w przypadku tych Uniwersalnych Konstruktorów takie rozmowy odbywają się nieprzerwanie i to z prędkością światła, przy czym myśli przechodzą bezpośrednio z jednego umysłu do drugiego. I w takim tyglu komunikacyjnym któż może stwierdzić, gdzie kończy się świadomość jednego, a zaczyna drugiego? Czy to moja myśl, moje wspomnienie, czy twoje? Rozumiesz? Widzisz, co to oznacza?

Na Ziemi, a być może na każdym zamieszkanym świecie, musiały istnieć olbrzymie centralne umysły, złożone z milionów Konstruktorów, scalone w wielkie, podobne do Boga byty, które utrzymywały świadomość rasy. Nebogipfel powiedział, że

w pewnym sensie sama rasa posiada świadomość.

Znów mi się wydawało, że za bardzo zbaczamy w stronę metafizyki.

– To wszystko jest pasjonujące – powiedziałem – i niewykluczone, że to prawda, ale może powinniśmy wrócić do praktycznych aspektów naszej sytuacji. Co to wszystko oznacza dla nas?

Odwróciłem się do naszego cierpliwego Konstruktorza, który spoczywał nieruchomo na środku podłogi i migotał.

– Co z tym jegomościem? – zapytałem. – Wszystko ładnie pięknie z tym całym gadaniem o świadomości i tak dalej, ale czego on pragnie? Dlaczego tu jest? Dlaczego uratował nam życie? I czego teraz od nas chce? A może mamy do czynienia z przypadkiem, w którym ci wszyscy mechaniczni ludzie współpracują ze sobą – jak pszczoły w ulu, zjednoczeni przez te wspólne umysły, o których mówisz – po to, żebyśmy stanęli w obliczu gatunku mającego wspólne cele?

Nebogipfel potarł się po twarzy. Podszedł do Konstruktorza i spojrzał w oczoskop. Po kilku minutach z wnętrza błyszczącego ciała konstruktora wytłoczony został talerz z mdłą, serowatą potrawą, którą tyle razy widziałem w rodzinnym stuleciu Nebogipfela. Patrzyłem z obrzydzeniem, jak Morlok bierze talerz i zaczyna jeść to zwrócone jedzenie. Prawdę mówiąc, nie było to straszniejsze od wytłaczania materiałów z podłogi Sfery Morloków, ale w Konstruktorze, który stanowił połączenie żywej istoty i maszyny, było coś, co budziło we mnie odrazę. Z determinacją starałem się nie snuć domysłów na temat źródła własnego jedzenia i wody!

– Nie możemy twierdzić, że Konstruktorzy są zjednoczeni – powiedział Nebogipfel. – Są ze sobą połączeni, ale nie mają

wspólnego celu, w takim sensie jak, powiedzmy, różne części twojej osobowości.

– Ale dlaczego nie? To by się wydawało bardzo rozsądne. Przy idealnej, nieprzerwanej łączności nie trzeba się wysilać, by drugiego zrozumieć, nie trzeba się z drugim spierać...

– Ale tak nie jest. Cały wszechświat mentalny Konstruktorów jest zbyt duży. – Znowu nawiązał do Morza Informacji i opisał, jak struktury myśli i domysłów – złożone, ewoluujące, przelotne – powstają i znikają, wyłaniając się z surowców tamtego oceanu umysłowości. – Te struktury są analogiczne do naukowych teorii z twoich czasów – ciągle poddane presji wywieranej przez nowe odkrycia i wnikliwe analizy nowych myślicieli. Świat rozumienia nie pozostaje w bezruchu... A zresztą przypomnij sobie swojego przyjaciela, Kurta Gödela, który nauczył nas, że żadna wiedza nie może zostać skodyfikowana i doprowadzona do stanu skończonego.

– Morze Informacji jest niestabilne – ciągnął. – Hipotezy i pojęcia, które się z niego wyłaniają, są złożone i wielopłaszczyznowe. Konstruktorzy rzadko są całkowicie jednomyślni w jakiegokolwiek kwestii. To przypomina debatę, która ciągle rozgrzewa się na nowo i w trakcie tego debatowania mogą wyłonić się frakcje: ugrupowania pseudo jednostek, które zgadzają się w jakimś względzie. Można by powiedzieć, że Konstruktorzy są zjednoczeni w swoim dążeniu do podnoszenia poziomu rozumienia swojego gatunku, ale nie w kwestii środków, za pomocą których można ten cel osiągnąć. Właściwie można by postawić hipotezę, że im bardziej zaawansowane procesy myślowe, tym więcej pojawia się frakcji, ponieważ tym bardziej skomplikowany wydaje się świat...

– I w ten sposób rasa się rozwija.

Przypomniałem sobie, co Barnes Wallis powiedział mi o nowym porządku debat parlamentarnych w 1938 roku, gdzie opozycja została w zasadzie zakazana jako działalność kryminalna – osłabianie jedynie słusznej, oczywistej linii postępowania! Ale jeśli to, co mówił Nebogipfel, było prawdą, to nie może istnieć tylko jedna, poprawna odpowiedź na jakiegokolwiek pytanie: zgodnie z tym, czego się nauczyli Konstruktorzy, różnorakie poglądy stanowią niezbywalną cechę charakterystyczną wszechświata, w którym się znajdujemy!

Nebogipfel przeżuwał cierpliwie serowate jedzenie. Gdy skończył jeść, wepchnął talerz z powrotem w cielsko Konstruktorza, gdzie naczynie zostało wchłonięte. Przyszło mi do głowy, że to go uspokajało, gdyż proces ten bardzo przypominał wytłaczającą podłogę w jego rodzimej Sferze.

Wiele godzin spędzałem samotnie, lub z Nebogipfelem, przy oknach naszego mieszkania.

Nie dostrzegłem żadnych oznak zwierzęcego lub roślinnego życia na powierzchni białej Ziemi. O ile mogłem się zorientować, byliśmy wyizolowani w oświetlonej i ciepłej bańce na szczycie olbrzymiej wieży. I w ciągu całego pobytu nigdy nie opuściliśmy tamtej bańki.

W nocy niebo za naszymi oknami było przeważnie przejrzyste, pocętkowane jedynie jasnymi chmurami pierzastymi wysoko w zubożałej, śmiertelnej atmosferze. Ale pomimo tej przejrzystości – nadal nie mogłem tego zrozumieć – nie było tam gwiazd, a raczej bardzo niewiele, zaledwie garstka w porównaniu z mnogością ciał niebieskich, które kiedyś świeciły nad Ziemią. Zauważyłem to zaraz po naszym przyjeździe, ale chyba uznałem za jakiś efekt zimna lub mojej dezorientacji. Potwierdzenie tego w tej chwili, gdy było mi ciepło i miałem jasny umysł, zaniepokoiło mnie. To była chyba najdziwniejsza rzecz w tym nowym świecie.

Księżyc – ten cierpliwy towarzysz naszej planety – nadal okręzał Ziemię, przechodząc przez swoje fazy z odwieczną regularnością, ale jego starożytne równiny pozostały zabarwione na zielono. Jego światło już nie było srebrne, lecz oblewało krajobraz białej Ziemi bardzo łagodnym, zielonym blaskiem,

odsyłając ku planecie echo zieleni, którą Ziemia się kiedyś cieszyła, a która teraz pozostawała uwięziona pod nieubłaganą warstwą lodu.

Znów dostrzegłem lśnienie, jakby od pojmanej gwiazdy, które nieprzerwanie docierało do nas z najdalej wysuniętego na wschód skraju Księżyca. Z początku myślałem, że widzę odbicie Słońca od jakiegoś jeziora na Księżycu, ale oślepiające światło było takie równomierne, że w końcu doszedłem do wniosku, iż musi w tym tkwić jakiś cel. Wyobraziłem sobie lustro – sztuczny twór – które być może jest zamontowane na którymś księżycowym szczycie i zaprojektowane tak, aby jego odbicie zawsze padało na Ziemię. Jeżeli chodzi o cel takiego urządzenia, to snułem domysły, że lustro może pochodzić z czasów, kiedy warunki atmosferyczne na macierzystej planecie nie były jeszcze tak katastrofalne, by wypędzić ludzi z Ziemi, lecz dostatecznie surowe, by spowodować upadek kultury, która tam przetrwała.

Wyobraziłem sobie księżycowych ludzi – Selenitów, jak moglibyśmy ich nazwać, potomków ludzkości. Selenici musieli obserwować śmiertelny pochód wielkich pożarów, które wybuchły na powierzchni zubożałej w tlen Ziemi. Selenici wiedzieli, że ludzie nadal żyją na Ziemi, lecz są to ludzie niecywilizowani, ludzie, którzy żyją jak dzikusy, a nawet – niczym kiedyś zwierzęta – cofają się do jakiegoś przedrozumnego stanu. Być może upadek Ziemi też wywarł na nich wpływ, gdyż niewykluczone, że społeczeństwo Selenitów nie było w stanie przeżyć bez dostaw z matki Ziemi.

Możliwe, że Selenici boleli nad swoimi kuzynami na macierzystym świecie, ale nie mogli do nich dotrzeć... Dlatego próbowali przesyłać do nich sygnały. Zbudowali olbrzymie lustro, które musiało mieć szerokość co najmniej pół mili, aby

można je było zobaczyć z międzyplanetarnych odległości.

Możliwe, że Selenicy mieli nawet jakiś cel ambitniejszy od prostego przekazywania słów pocieszenia z nieba. Mrugając lustrem na modłę jakiegoś odpowiednika alfabetu Morse'a, mogli na przykład przesyłać instrukcje dotyczące uprawy roli lub inżynierii – powiedzmy utracone tajemnice maszyny parowej – a w każdym razie coś pożyteczniejszego od zwykłych życzeń pomyślności.

Jednakże w ostatecznym rozrachunku nie dało to żadnego skutku: pięć lodowca zacisnęła się wokół lądu. I wielkie księżycowe lustro zostało porzucone, kiedy ludzie zniknęli z Ziemi.

W każdym razie takie były moje domysły, kiedy stałem i wyglądałem przez okna w mojej wieży. Nie mogłem sprawdzić, czy miałem rację – gdyż Nebogipfel nie był w stanie tak szczegółowo odczytać tej nowej historii ludzkości – ale tak czy owak lśnienie tamtego odosobnionego lustra na Księżycu stało się dla mnie najwymowniejszym symbolem upadku ludzkości.

Najbardziej uderzającą cechą naszego nocnego nieba nie był jednak Księżyc ani nawet nieobecność gwiazd, lecz wielka, przypominająca pajęczynę tarcza o szerokości tuzina Księżyców, którą zauważyłem zaraz po naszym przybyciu. Ta konstrukcja była niezwykle złożona i ruchliwa. Wyobraźcie sobie oświetloną od tyłu pajęczynę z kroplami rosy pobłyskującymi i przetaczającymi się po jej powierzchni, a następnie sto pajęczków, które powoli lecz w widoczny sposób pełzają po tej powierzchni, najwidoczniej starając się wzmocnić i poszerzyć konstrukcję, a potem ogarnijcie wzrokiem wielomilową połą międzyplanetarnej przestrzeni! To wam da przybliżony obraz tego, co zobaczyłem.

Najwyraźniej widziałem pajęczą tarczę we wczesnych godzinach porannych – około trzeciej – i w tamtych chwilach byłem w stanie rozpoznać widmowe nitki światła, cienkie i wiotkie, które wychodziły z odległego krańca Ziemi i sięgały przez atmosferę do tarczy.

Omówiłem to z Nebogipfelem.

– To nadzwyczajne... Jakby te promienie tworzyły świetlny szkielet wiążący tarczę z Ziemią, tak iż całość przypomina żagiel, który holuje Ziemię przez przestrzeń kosmiczną na jakimś widmowym wietrze!

– Mówisz obrazowo – powiedział – ale tak to mniej więcej jest.

– Co masz na myśli?

– To rzeczywiście jest żagiel – odparł. – Ale nie holuje Ziemi. Raczej Ziemia stanowi bazę dla wiatru, który porusza żaglem.

Nebogipfel opisał mi ten nowy typ jachtu kosmicznego. Powiedział, że zbudowany został w kosmosie, ponieważ ma zbyt kruchą konstrukcję, by go dźwigać z Ziemi. Jego żagiel składał się w zasadzie z lustra, a „wiatrem”, który dął w żagiel, było światło, gdyż cząstki światła padające na lustrzaną powierzchnię dostarczają siły napędowej, tak jak molekuly powietrza powodują po wstanie wietrzyku.

– „Wiatr” pochodzi z promieni spójnego światła, wytwarzanych przez naziemne projektory o szerokości miasta – wyjaśnił. – To właśnie te promienie zaobserwowałeś jako nitki łączące planetę z żaglem. Napór światła jest niewielki, ale stały, i niezwykle skuteczny w przekazywaniu pędu – zwłaszcza przy zbliżaniu się do prędkości światła.

Przypuszczał, że Konstruktorzy nie żeglują na takim statku jako odrębne jednostki, tak jak pasażerowie wielkich statków z moich czasów. Konstruktorzy raczej się rozkładają i pozwalają,

by ich części się rozbiegły i utworzyły sam statek. Na miejscu przeznaczenia montują się ponownie jako poszczególni Konstruktorzy, w takiej formie, jaka jest najbardziej odpowiednia w świecie, który zastają.

– Ale twoim zdaniem jakie jest miejsce przeznaczenia jachtu kosmicznego? Księżyc, któraś z planet czy...

Swoim spokojnym, morlokowskim tonem Nebogipfel odpowiedział beznamiętnie:

– Nie. Gwiazdy.

Nebogipfel kontynuował eksperymenty ze stołem bilardowym. Kula wielokrotnie stukotała dziwnie na środku stołu, tak jak już wcześniej zauważyłem, i kilkakrotnie wydawało mi się, że widzę, jak bile – kolejne kopie naszego oryginału – pojawiają się znikąd i zakłócają trajektorię naszej kuli. Czasami po tych zderzeniach bila toczyła się torem, którym mogłaby podążać bez względu na zakłócenia, ale innymi razy kierowana była w zupełnie inną stronę i – raz czy dwa – zaobserwowaliśmy zjawisko, które opisałem już wcześniej, a które polegało na tym, że nieruchoma bila wytrącana była ze swojego miejsca bez mojej czy Nebogipfela ingerencji.

To wszystko było zabawne – i niezwykle tajemnicze – ale za żadne skarby nie mogłem odkryć przyczyny tego zjawiska, pomimo blasku plattnerytu przy luzach. Zaobserwowałem jedynie to, że im wolniej bila się poruszała, tym większe było prawdopodobieństwo, że jej tor zostanie zmieniony.

Morlok jednak stopniowo był coraz bardziej tym podekscytowany. Zagłębiał się we wnętrzu cierpliwego Konstruktor, zatapiając się ponownie w Morzu Informacji, i wynurzał się z jakimś następnym fragmentem wiedzy, który zdołał wyłowić – mamrotał wtedy do siebie w swym niewyraźnym, płynnym dialekcie – a potem pędził do stołu bilardowego, by tam testować to, czego się dowiedział.

Wreszcie wydawało się, że jest gotowy, by się podzielić ze mną swoją hipotezą. Wezwał mnie w chwili, kiedy brałem kąpiel parową. Wytarłem się koszulą i pospieszyłem za nim do pokoju bilardowego. Jego małe, wąskie stopy tupwały po twardej podłodze, kiedy prawie że biegł do stołu. Dawno nie widziałem, żeby był tak podekscytowany.

– Chyba rozumiem, po co stoi tu ten stół – oznajmił bez tchu.

– Tak?

– Służy on... Jak by to wyrazić... Tylko do demonstracji, niczym zabawka, ale to generator wielorakości. Rozumiesz?

Uniosłem rękę.

– Obawiam się, że ni w ząb.

– Już dość dobrze się orientujesz w koncepcji wielorakości historii...

– No myślę! To podstawa twojego wyjaśnienia rozbieżnych historii, które odwiedziliśmy.

W każdym momencie, w każdym wydarzeniu (relacjonowałem krótko stan mojej wiedzy) historia się rozwidla. Ciężki motyl może paść w takim czy innym miejscu, kula zamachowca może przelecieć obok i nie wyrządzić żadnej krzywdy lub śmiertelnie ugodzić króla... Każdemu ewentualnemu rezultatowi każdego wydarzenia odpowiada nowa wersja historii.

– I wszystkie te historie są prawdziwe – dodałem na koniec. – I jeśli pojmuję to właściwie, znajdują się obok siebie w jakimś czwartym wymiarze, jak strony książki.

– No dobrze. I wiesz też, że działanie wehikułu czasu, włącznie z twoim prototypem, powoduje szersze rozwidlenia, tworzy nowe historie... Niektóre z nich, tak jak ta – Nebogipfel zatoczył ręką łuk – byłyby niemożliwe bez ingerencji wehikułu! Bez

twojej maszyny, która zapoczątkowała cały szereg wydarzeń, ludzie nigdy nie mogliby zostać przeniesieni do paleocenu. Nie znajdowałibyśmy się na szczycie pięćdziesięciomilionowego okresu inteligentnej modyfikacji kosmosu.

– Rozumiem to wszystko – powiedziałem, tracąc cierpliwość. – Ale co to ma wspólnego z tym stołem?

– Spójrz. – Popchnął kulę przez stół. – Oto nasza bila. Musimy sobie wyobrazić, że w każdej chwili roztacza się wokół niej wiele historii. Oczywiście, najbardziej prawdopodobna historia to ta, która obejmuje klasyczną trajektorię – to znaczy prostą drogę bili przez stół. Ale inne historie – sąsiednie, ale niektóre z nich bardzo odległe – istnieją równoległe. To nawet możliwe, choć mało prawdopodobne, że w jednej z tych historii ożywienie termiczne molekuł bili skumuluje się i spowoduje, że podskoczy ona w powietrze i uderzy cię w oko.

– Pojmuję.

– A teraz... – Przesunął palcem po obrzeżu najbliższej łuzy. – Ta zielona inkrustacja jest kluczem.

– To plattneryt.

– Tak. Łuzy spełniają funkcję miniaturowych wehikułów czasu, ograniczonych w zasięgu i wielkości, ale całkiem skutecznych, tak, jak to sami widzieliśmy, kiedy wehikuły czasu funkcjonują, kiedy przedmioty przemieszczają się w przyszłość lub przeszłość, by spotkać swoje odpowiedniki, łańcuch przyczynowo-skutkowy może zostać rozerwany, a historie rozrosnąć się jak chwasty...

Przypomniał mi o dziwnym incydencie, którego byliśmy świadkami w przypadku nieruchomej bili.

– Może to był najbardziej dobitny przykład tego, co tu przedstawiam – ciągnął. – Bila spoczywała nieruchomo na stole –

nazwiemy ją naszą bilą. Potem kopia naszej bili wyskoczyła z łuzy i odepchnęła naszą bilę na bok. Nasza bila doleciała do bandy, odbiła się i wpadła do łuzy, pozostawiając kopię w nieruchomej pozycji na stole, dokładnie w miejscu oryginału.

– Potem – kontynuował powoli Nebogipfel – nasza bila wróciła w czasie, rozumiesz? I wynurzyła się z łuzy w przeszłości...

– I wybiła samą siebie, po czym zajęła własne miejsce. – Popatrzyłem na niewinnie wyglądający stół. – Niech to licho porwie, Nebogipfelu, teraz to rozumiem! To była ta sama bila. Spoczywała sobie wygodnie na stole, ale z powodu dziwacznych możliwości podróżowania w czasie zdolna była do wykonania pętli czasowej i odbicia samej siebie na bok!

– Właśnie – potwierdził Morlok.

– Ale co spowodowało, że się poruszyła? Żaden z nas nie pchnął jej w kierunku łuzy.

– Pchnięcie nie było konieczne – odrzekł Nebogipfel.

– W kontakcie z wehikułami czasu – i to jest właściwie sedno pokazu – musisz zapomnieć o swoich starych koncepcjach przyczynowości. Sprawy nie są takie proste! Zderzenie z kopią było tylko jedną z możliwości, co zademonstrował nam stół. Rozumiesz? Z powodu wehikułu czasu przyczynowość zostaje tak zachwiana, że nawet nieruchoma bila znajduje się w otoczeniu nieskończonej liczby takich dziwacznych możliwości. Twoje pytania „jak to się zaczęło?” są bez znaczenia: mamy do czynienia z zamkniętą pętlą przyczynową – nie było pierwszej przyczyny.

– Być może – powiedziałem, – Ale posłuchaj: to wszystko nadal mnie niepokoi. Wróćmy jeszcze raz do dwóch bili na stole, a raczej jednej, prawdziwej bili i jej kopii. Nagle mamy dwa razy tyle materiału co przedtem. Skąd się to wszystko wzięło?

Spojrzał na mnie.

– Martwi cię pogwałcenie prawa zachowania masy – jej pojawianie się i znikanie?

– Właśnie.

– Nie zauważyłem takiego zatroskania, kiedy zanurkowałeś w czas w poszukiwaniu swojego młodszego odpowiednika. Bo doszło wtedy do takiego samego – a nawet większego! – pogwałcenia prawa zachowania masy.

– Tym niemniej – powiedziałem, nie dając się sprowokować – mój zarzut jest uzasadniony, prawda?

– W pewnym sensie – przyznał. – Ale tylko w wąskim zakresie jednej historii. Uniwersalni Konstruktorzy już od wieków analizują te paradoksy podróżowania w czasie – wyjaśnił. – Lub raczej pozorne paradoksy. Sformułowali prawo zachowania masy, które funkcjonuje w wyższym wymiarze wielorakości historii.

– Zaczynij od jakiegoś przedmiotu – ciągnął. – Na przykład siebie. Jeżeli w jakimś danym momencie dodasz kopię własnej osoby, która może być nieobecna, ponieważ wyruszyłeś w przeszłość lub przyszłość, a potem odejmiesz wszelkie podwójnie obecne kopie, ponieważ jeden z was wybrał się w przeszłość, to stwierdzisz, że suma pozostaje stałą wartością – w rzeczywistości jesteś tylko jeden – bez względu na to, ile razy podróżujesz w przyszłość i przeszłość. A więc wszystko zostaje w pewnym sensie zachowane – mimo że w dowolnym momencie w jakiegokolwiek danej historii może się wydawać, że prawo zachowania masy jest pogwałcone, ponieważ nagle albo jest was dwóch, albo nie ma żadnego.

Kiedy to przeanalizowałem, zrozumiałem. – Paradoks istnieje tylko wtedy, gdy człowiek ograniczy myślenie do jednej historii –

zauważyłem. – Paradoks znika, jeśli człowiek myśli w kategorii wielorakości.

– Właśnie. Tak samo jak problemy przyczynowości zostają rozwiązane w większej strukturze wielorakości.

– Widzisz – kontynuował – to dzięki swojej mocy ten stół jest w stanie zademonstrować nam te niezwykle możliwości... Jest w stanie wykorzystać technikę wehikułu czasu, by nam pokazać możliwość – nie istnienie – wielorakich, rozbieżnych historii na poziomie makroskopowym. Zaiste, może wybrać poszczególne historie. Ma bardzo subtelną konstrukcję.

Opowiedział mi więcej o prawach wielorakości Konstruktorów.

– Można sobie wyobrazić sytuacje – powiedział – w których wielorakość historii jest równa zero, jeden lub wiele. Zero występuje w przypadku, gdy dana historia jest niemożliwa – jeżeli nie jest konsekwentna w stosunku do samej siebie. Wielorakość równa jeden to sytuacja, którą wyobrażali sobie twoi wcześniejsi filozofowie – może z pokolenia Newtona – kiedy to jeden bieg wydarzeń rozwija się z każdego punktu w czasie, spójny i niewzruszony.

Zrozumiałem, że Nebogipfel opisuje mój pierwotny – i naiwny! – pogląd na historię jako pewnego rodzaju ogromny pokój, mniej więcej niezmienny, w którym mój wehikuł czasu pozwalałby mi podróżować do woli.

– Niebezpieczna ścieżka dla przedmiotu, takiego jak ty lub nasza bila, to ta, która może prowadzić do wehikułu czasu – podsumował.

– Cóż, to dość jasne – powiedziałem. – To oczywiste, że rozszczepiałem nowe historie z prawej i lewej strony oraz ze środka od chwili, gdy mój wehikuł czasu został po raz pierwszy

uruchomiony. To rzeczywiście niebezpieczne!

– Tak. I w miarę, gdy wehikuł oraz jego następcy zagłębiają się jeszcze bardziej w przeszłość, wytworzona wielorakość zmierza ku nieskończoności, a rozbieżność nowych kopii historii staje się coraz większa.

– Ale – wtrąciłem lekko sfrustrowany – wracając do aktualnej sprawy... Jaki jest cel tego stołu? Czy to zwykły trick? Dlaczego Konstruktorzy nam go dali? Co próbują nam powiedzieć?

– Jeszcze nie wiem – odrzekł. – To trudna sprawa... Morze Informacji jest szerokie i wśród Konstruktorów istnieje wiele frakcji. Informacje nie są mi udzielane bez ograniczeń. Rozumiesz? Muszę wychwytywać tyle, ile mogę, starać się to jak najlepiej zrozumieć i w ten sposób tworzyć interpretację... Myślę, że jest wśród nich frakcja posiadająca jakiś plan, ogromny projekt, którego zarysy ledwie pojmuję.

– Jaka jest natura tego projektu?

– Posłuchaj – nie odpowiedział mi wprost. – Wiemy, że z każdego wydarzenia wyłania się wiele, być może nieskończona liczba, historii. Wyobraź sobie, że znajdujesz się w dwóch takich sąsiednich historiach, które oddzielone są, powiedzmy, szczegółami odbicia się twojej kuli bilardowej. Czy te dwie kopie mogłyby się ze sobą porozumiewać?

Przemyślałem to.

– Już to omawialiśmy. Nie widzę takiej możliwości. Wehikuł czasu zabierałby mnie w przyszłość i przeszłość jednej gałęzi historii. Gdybym wrócił, by zmienić odbicie się kuli, spodziewałbym się, że po wędrówce w przyszłość zauważę różnicę, ponieważ wydaje się, iż jeśli wehikuł powoduje rozwidlenie, to wykazuje wówczas tendencję, by podążać śladem tej nowo utworzonej historii. Absolutnie nie – odrzekłem

stanowczo. – Dwie wersje mojej osoby nie mogłyby się porozumiewać.

– Nawet gdybym pozwolił ci mieć jakikolwiek wyobraźalny wehikuł lub urządzenie pomiarowe?

– Nie. Byłyby dwie kopie takiego urządzenia, a każda z nich byłaby tak oddalona od bliźniaka jak ja.

– No dobrze. To rozsądne i dające się obronić stanowisko. Opiera się na założeniu, że po rozszczepieniu bliźniacze historie w żaden sposób na siebie nie wpływają. Formalnie rzecz ujmując, zakładasz, że kwantowo-mechaniczne operatory są liniowe...

– Jednakże – dodał po chwili z podekscytowaniem – okazuje się, że może istnieć sposób, by się porozumieć z drugą historią, jeżeli na jakimś podstawowym poziomie wszechświat i jego bliźniak pozostaną splecione ze sobą. Jeżeli powstanie najmniejsza nieliniowość w kwantowych operatorach... prawie za mała, by ją wykryć...

– I taka łączność byłaby możliwa?

– Widziałem już coś takiego... To znaczy, w Morzu Informacji... Konstruktorom to się udało, ale jedynie w znikomych skalach eksperymentalnych.

Nebogipfel opisał mi coś, co nazwał „fonografem Everetta”.

– ...od nazwiska dwudziestowiecznego naukowca z twojej historii, który pierwszy wpadł na ten pomysł. Oczywiście, Konstruktorzy stosują inną nazwę, ale niełatwo ją przetłumaczyć na angielski.

Nieliniowości, o których mówił Nebogipfel, funkcjonowały na najbardziej subtelnych poziomach.

– Musisz sobie wyobrazić, że dokonujesz pomiaru, powiedzmy, spinu atomu. – Opisał nieliniową interakcję między spinem

atomu i jego polem magnetycznym. – Wszechświat oczywiście rozpada się na dwie części, zależnie od wyniku eksperymentu. Potem, po eksperymencie pozwalasz, by atom przeszedł przez twoje nieliniowe pole. To jest właśnie nienormalny kwantowy operator, o którym wspomniałem. Okazuje się, że później możesz zaaranżować wszystko tak, aby twoje działanie w jednej historii zależało od decyzji powziętej w drugiej historii...

Wdał się w szczegóły, włącznie z niuansami technicznymi czegoś, co nazwał „urządzeniem Sterna-Gerlacha”, ale puściłem to mimo uszu. Staralem się zrozumieć istotę sprawy.

– A więc – przerwałem mu – to jest możliwe? Czy chcesz mi powiedzieć, że Konstruktorzy wynaleźli takie urządzenia do łączności między historiami? Czy jest nim nasz stół?

Podeksytowała mnie ta myśl. Całe to gadanie o kulach bilardowych i wirujących atomach było dość pasjonujące, ale gdybym tak mógł, za pośrednictwem jakiegoś fonografu Everetta, porozmawiać z moimi odpowiednikami w innych historiach – może z Richmond z roku 1891...

Nebogipfel miał mnie jednak rozczarować.

– Nie – powiedział. – Jeszcze nie teraz. Stół wykorzystuje efekt nieliniowości, ale tylko po to, by... ach... uwydatnić poszczególne historie. Przynajmniej widać jakąś metodę, jakąś kontrolę nad tymi procesami, ale... efekty są dość niewielkie. I nieliniowości tłamszone są przez ewolucję czasu.

– W porządku – uciałem ze zniecierpliwieniem. – Ale jakie są twoje domysły? Czy poprzez umieszczenie tego stołu w tym miejscu Konstruktor próbuje nam powiedzieć, że to wszystko – nieliniowość, łączność między historiami – jest dla nas ważne?

– Być może – odparł Nebogipfel. – Na pewno jednak jest to ważne dla niego.

7

Mechaniczni spadkobiercy człowieka

Nebogipfel zrekonstruował część historii ludzkości na przestrzeni pięćdziesięciu milionów lat. Ostrzegł mnie, że obraz ten jest w dużym stopniu niepewny – kruchy gmach domysłów usadowiony na niewielkiej liczbie bezspornych faktów, które zdołał wydobyć z Morza Informacji.

Powiedział, że prawdopodobnie było kilka fal kolonizacji gwiazd przez człowieka i jego potomków. Podczas naszej podróży przez czas w samochodzie widzieliśmy start jednej generacji takich statków z orbitalnego miasta.

– Nietrudno zbudować międzygwiazdny pojazd – powiedział – jeśli ktoś jest cierpliwy. Przypuszczam, że twoi przyjaciele z roku 1944 w paleocenie mogli wynaleźć taki statek zaledwie sto lub dwieście lat po naszym wyjeździe. Oczywiście, potrzebna by była jednostka napędowa – chemiczna, jonowa lub laserowa rakietka albo może słoneczny żagiel podobny do tego, który zaobserwowaliśmy. Poza tym istnieją sposoby wykorzystania zasobów Układu Słonecznego, by uciec od Słońca. Można by na przykład prześlizgnąć się obok Jowisza i wykorzystać masę tej planety do pchnięcia międzygwiazdowego statku w kierunku

Słońca. Z energią uzyskaną w punkcie przy słonecznym można by bardzo łatwo osiągnąć prędkość ucieczki od Słońca.

– I wtedy można by się uwolnić od Układu Słonecznego?

– Na końcu podróży konieczny byłby proces odwrotny: wykorzystanie studni grawitacyjnych gwiazd i planet, by wyhamować w nowym układzie. Z powodu ogromnych odległości między gwiazdami taka podróż zabrałaby dziesięć, może sto tysięcy lat...

– Tysiąc wieków? Ale kto by tak długo przeżył? Jaki statek, już choćby z punktu widzenia zapasów...

– Nie rozumiesz sedna sprawy – powiedział. – To nie ludzi by wysłano. Statek byłby automatem. Maszyną ze zręcznością i inteligencją co najmniej taką jak u człowieka. Zadaniem maszyny byłoby wykorzystanie zasobów docelowego układu gwiazdowego – planet, komet, asteroid, pyłu, wszystkiego, co statek zdołałby znaleźć, aby stworzyć kolonię.

– Twoje automaty – zauważyłem – przypominają naszych przyjaciół, Uniwersalnych Konstruktorów.

Nie odpowiedział.

– Widzę cel w wysyłaniu maszyny, by zebrała informacje. Ale poza nim, jaki to ma sens? Cóż oznacza kolonia bez ludzi?

– Ale z zasobami i dostateczną ilością czasu maszyna mogłaby zbudować dosłownie wszystko – powiedział Morlok. – Znając technikę syntezy komórek i tworzenia sztucznego łona mogłaby nawet stworzyć człowieka, który zasiedliłby nową kolonię. Rozumiesz?

W tym momencie zaprotestowałem – perspektywa ta wydawała mi się nienaturalna i odrażająca – dopóki nie przypomniałem sobie, z niechęcią, że kiedyś obserwowałem dokładnie taką samą „budowę” Morloka!

– Jednak najważniejszym zadaniem sondy byłyby budowa dalszych kopii samej siebie – ciągnął Nebogipfel. – Te kopie zostałyby wyposażone w paliwo – na przykład gazy wydobywane z gwiazd – i wysłane dalej, do dalszych systemów gwiazdnych. W ten sposób, powoli lecz systematycznie, postępowałyby kolonizacja Galaktyki.

– Ale – zaprotestowałem – mimo wszystko zajęłoby to mnóstwo czasu. Dziesięć tysięcy lat, by dotrzeć do najbliższej gwiazdy, która znajduje się w odległości kilku lat świetlnych...

– Czterech.

– A sama Galaktyka...

– Ma szerokość stu tysięcy lat świetlnych – dokończył. – To byłby powolny proces, przynajmniej na początku. Ale potem kolonie zaczęłyby wzajemnie oddziaływać na siebie. Rozumiesz? Mogłyby powstać imperia, które łączyłyby gwiazdy. Inne grupy stawiałyby opór imperiom, proces rozrostu uległby dalszemu spowolnieniu... ale postępowałyby nieubłagane. Z takimi technikami, jakie opisałem, całkowite skolonizowanie Galaktyki zabrałoby dziesiątki milionów lat, ale byłoby możliwe. I ponieważ po starcie nie można by było odwołać lub zmienić kierunku mechanicznych sond, nieuchronnie tak by się stało. To już się stało po pięćdziesięciu milionach lat po założeniu Pierwszego Londynu.

– Myślę – ciągnął – że kilka pierwszych pokoleń Konstruktorów zbudowano z antropocentrycznymi ograniczeniami zaszczerpionymi w ich świadomości. Zbudowano ich po to, żeby służyły człowiekowi. Ale Konstruktorzy nie byli prostymi urządzeniami mechanicznymi, byli jednostkami obdarzonymi świadomością. I kiedy wyruszyli do Galaktyki, badając światy, o jakich człowiekowi się nie śniło, i modyfikując

swoją konstrukcję, wkrótce wyrosli ponad zdolność rozumienia ludzkości i wykroczyli poza ograniczenia swoich autorów... Maszyny się uwolniły.

– Na wielkiego Scotta – powiedziałem. – Nie wyobrażam sobie, by wojskowi z tamtego odległego wieku przyjęli to z radością.

– Tak. Były wojny... Dane są poszatkowane. W każdym razie w takim konflikcie mógł być tylko jeden zwycięzca.

– A co z ludźmi? Jak oni to wszystko przyjęli?

– Niektórzy dobrze, inni źle. – Nebogipfel skrzywił się lekko i przymrużył oko. – A jak myślisz? Ludzie to zróżnicowany gatunek posiadający wiele partykularnych celów, nawet w twoich czasach. Wyobraź sobie, jak bardzo wszystko się zróżnicowało, kiedy ludzie rozproszyli się w stu, tysiącu układów gwiazdnych. Konstruktorzy też szybko się podzielili. Są bardziej zjednoczeni jako gatunek niż człowiek kiedykolwiek był, ze względu na swoją naturę fizyczną, ale – z powodu znacznie większej puli informacji, do których mają dostęp – ich cele są o wiele bardziej złożone i zróżnicowane.

Nebogipfel powiedział, że pomimo nieustannych konfliktów powolny podbój gwiazd postępował dalej.

Wystrzelenie pierwszych statków kosmicznych stanowiło największe zaobserwowane przez nas odchylenie od mojej pierwotnej, nie zakłóconej historii.

– Ludzie – twoi przyjaciele, Nowi Ludzie – pozmieniali wszystko na świecie, nawet w geologicznej, kosmicznej skali. Ciekaw jestem, czy rozumiesz...

– Co takiego?

– Ciekaw jestem, czy naprawdę rozumiesz, co to znaczy milion, dziesięć lub pięćdziesiąt milionów lat.

– No myślę. Przebyłem takie okresy z tobą w drodze do

paleocenu i z powrotem.

– Ale wtedy podróżowaliśmy przez historię pozbawioną inteligencji. Posłuchaj, powiedziałem ci o międzygwiazdnej migracji. Jeśli umysł ma szansę działać w takich skalach...

– Zrozumiałem, co można zrobić Ziemi.

– A nawet czemuś więcej, niż tylko jednej planecie! Cierpliwe rycie umysłu może podkopać nawet strukturę wszechświata – szepnął – jeśli będzie ku temu dość czasu... Nawet my mieliśmy zaledwie pół miliona lat od czasów afrykańskich równin, a pojмалиśmy Słońce...

– Spójrz na niebo – kontynuował. – Gdzie są gwiazdy? Na niebie jest niewiele nagich gwiazd. Pamiętaj, że mamy rok 1891 lub coś koło tego. Tutaj nie może być żadnego kosmologicznego powodu wyginięcia gwiazd w porównaniu z niebem nad twoim Richmond. Moimi przystosowanymi do ciemności oczami widzę trochę więcej od ciebie. I mówię ci, że tam w górze znajduje się szereg ciemnoczerwonych punkcików. To promieniowanie podczerwone, ciepło.

Dopiero wtedy to do mnie dotarło i uderzyło prawie że z siłą fizyczną.

– To prawda – powiedziałem. – Twoja hipoteza podboju Galaktyki jest prawdziwa. Dowód tego widać na samym niebie! Gwiazdy, prawie wszystkie, muszą być zamknięte w sztucznych skorupach, tak jak twoja morłokowska Sfera. – Popatrzyłem na puste niebo. – Dobry Boże, Nebogipfelu, ludzie i ich maszyny zmienili samo niebo!

– Z chwilą wysłania pierwszego Konstruktora to było nieuniknione. Rozumiesz?

Z lękiem spojrzałem na ciemne niebo. Nie byłem tak bardzo zdumiony zmienioną naturą nieba, lecz myślą, że to wszystko –

aż po najdalszy zakątek Galaktyki – spowodowane było tym, iż zdruzgotałem historię za pośrednictwem wehikułu czasu!

– Pojmuję, dlaczego ludzie opuścili Ziemię – powiedziałem. – Załatwiła nas tu klimatyczna niestabilność. Ale gdzieś tam – machnąłem ręką – muszą być mężczyźni i kobiety w tych rozproszonych domach!

– Nie – zaprzeczył. – Pamiętaj, że Konstruktorzy widzą i wiedzą wszystko. I nie dostrzegłem śladów ludzi takich jak ty. Och, gdzieś tam można znaleźć biologiczne istoty będące potomkami ludzi, ale są one tak różne od twojej ludzkiej postaci jak ja. A czy uznałbyś mnie za człowieka? A poza tym, te biologiczne formy są przeważnie zwyrodniałe...

– Nie ma prawdziwych ludzi?

– Wszędzie są potomkowie ludzi, ale nigdzie nie znajdziesz istoty, która jest spokrewniona z tobą bliżej niż, powiedzmy, wieloryb lub słoń...

Zacytowałem mu to, co pamiętałem z Charlesa Darwina:

– „Sądząc po przeszłości, możemy bezpiecznie wnioskować, że żaden żyjący gatunek nie przetrwa w niezmienionej postaci w odległej przyszłości...”

– Darwin miał rację – przytaknął łagodnym tonem Nebogipfel.

Tę ideę – że sam reprezentujesz swój gatunek w Galaktyce! – trudno zaakceptować i umilkłem, spoglądając na przesłonięte gwiazdy. Czy każda z tych wielkich kul była tak gęsto zaludniona jak Sfera Nebogipfela? Mój płodny umysł zaczął wnikać w te olbrzymie planetarne konstrukcje z potomkami prawdziwych ludzi – z rybakami, ptasznikami, ludźmi ognia i lodu – i zastanawiałem się, jaką opowieść można ułożyć, gdyby jakiś nieśmiertelny Guliwer mógł podróżować od świata do świata, odwiedzając najprzedziwniejszych potomków ludzkości.

– Ludzie być może wymarli – powiedział Nebogipfel. – Na dość długiej skali czasowej każdy gatunek biologiczny wymiera. Ale Konstruktorzy nie mogą wymrzeć. Rozumiesz, o co mi chodzi? W przypadku Konstruktorów istotą rasy nie jest forma, biologiczna czy jakakolwiek inna, lecz informacje, które rasa zebrała i zmagazynowała. I to jest nieśmiertelne. Z chwilą oddania się takim dzieciom, metalowym, maszynowym i informatycznym, rasa nie może wymrzeć. Rozumiesz to?

Odwróciłem się, spoglądając na panoramę białej Ziemi za naszym oknem. I zrozumiałem to wszystko – aż nadto dobrze!

Ludzie wysłali tych mechanicznych robotników do gwiazd, by znaleźli nowe światy, stworzyli kolonie. Wyobraziłem sobie, jak wielka flota świetlna oddala się od Ziemi, która zrobiła się zbyt mała, i migoczące statki wzlatają w niebo, pomniejszając się aż do punkcików w otchłani błękitu... Pomyślałem, że teraz już nikt nie usłyszy miliona opowieści o tym, jak ludzie nauczyli się znosić dziwne grawitacje, rozrzedzone i nieznajome gazy oraz wszystkie inne stresy związane z przebywaniem w przestrzeni kosmicznej.

To była epokowa migracja – zmieniła naturę kosmosu – ale stanowiła chyba ostatni wysiłek, konwulsyjną drgawkę przed upadkiem cywilizacji na matce Ziemi. W obliczu rozpadu atmosfery ludzie na Ziemi osłabli, zmarnieli – mieliśmy dowód tego w postaci żałosnego lustra na Księżycu – i w końcu umarli.

Potem jednak, znacznie później, na opuszczoną Ziemię wróciły wysłane przez człowieka maszyny kolonizacyjne lub ich ogromnie rozwinięci potomkowie: Uniwersalni Konstruktorzy. W pewnym sensie Konstruktorzy pochodzili od ludzi, a jednak znacznie przekroczyli granice tego, co człowiek mógł osiągnąć, gdyż odrzucili dziedzictwo starego Adama i wszystkie przymioty

zwierząt i gadów, które czaiły się w jego ciele i duszy.

Zrozumiałem wszystko! Ziemia została zaludniona na nowo, ale nie przez człowieka, lecz jego mechanicznych spadkobierców, którzy powrócili zmienieni z gwiazd.

A przyczyną tego wszystkiego była mała kolonia w paleocenie. Pomyślałem, że Hilary częściowo to przewidziała: do przebudowania kosmosu doszło dzięki grupce dwunastu bezbronnych ludzi, dzięki temu mało znaczącemu ziarenku, które zostało zasiane pięćdziesiąt milionów lat temu.

W tym dziwacznym, zamkniętym miejscu czas płynął powoli. Nebogipfel wydawał się całkiem zadowolony z naszej sytuacji. Codziennie większość czasu spędzał z twarzą przyciśniętą do lśniącej powierzchni Uniwersalnego Konstruktor, zanurzony w Morzu Informacji. Dla mnie miał niewiele czasu i cierpliwości. Najwyraźniej był to dla niego wysiłek – strata! – gdy odrywał się od bogatego źródła odwiecznej wiedzy i stawał oko w oko z moją ignorancją, a jeszcze bardziej z moim prymitywnym pragnieniem przebywania w towarzystwie.

Wałęsałem się bez celu po mieszkaniu. Żułem jedzenie, korzystałem z kąpieli parowej, bawiłem się stołem wielorakości, spoglądałem przez okna na Ziemię, która stała się dla mnie równie niegościnna jak powierzchnia Jowisza.

Nie miałem nic do roboty! W tym nastroju bezradności, gdyż byłem teraz tak oddalony od domu i moich ziomków, że nie widziałem żadnych perspektyw dalszego życia, zacząłem odkrywać nowe otchłanie przygnębienia.

A potem, pewnego dnia Nebogipfel przyszedł do mnie z czymś, co nazwał propozycją.

Znajdowaliśmy się w pokoju, w którym siedział nasz przyjazny Konstruktor, przysadzisty i pogodny jak zawsze. Nebogipfel jak zwykle był podłączony do niego za pomocą rurki złożonej

z lśniących rzęsków.

– Musisz zrozumieć, skąd to wszystko się wzięło – zaczął i obrócił zdrowe oko, by na mnie spojrzeć. – Przede wszystkim musisz uświadomić sobie, że cele Konstruktorów są bardzo odmienne od dążeń twojego lub mojego gatunku.

– To zrozumiałe – powiedziałem. – Już same różnice fizyczne...

– To nie wszystko.

Na ogół, gdy wdawaliśmy się w taką dyskusję – ze mną w roli ignoranta – Nebogipfel okazywał zniecierpliwienie, pragnienie powrotu do cudownych głębin Morza Informacji. Tym razem jednak mówił cierpliwie i ostrożnie, i uświadomiłem sobie, że niezwykle uważa na to, co mówi.

Zaczynał ogarniać mnie niepokój. Najwyraźniej Morlok uważał, że musi mnie do czegoś przekonać!

Omawiał dalej cele Konstruktorów.

– Widzisz, gatunek nie może przetrwać zbyt długo, jeśli ciągle będzie obciążony ciężarem antycznych motywacji, które ty dźwigasz. Bez obrazy.

– Nie obraziłem się – odparłem oschle.

– Chodzi mi oczywiście o podziały terytorialne, agresję, rozstrzygnięcie sporów drogą przemocy... Gdy technika przekracza pewien punkt, imperializm i tym podobne trendy stają się nierealne. Gdy istnieje taka potężna broń, jak zrzucona przez *die Zeitmaschine* bomba zbudowana na bazie karolinu – lub jeszcze gorsze środki niszczenia – sytuacja musi się zmienić. Pewien człowiek z twoich czasów powiedział, że wynalezienie broni atomowej zmieniło wszystko z wyjątkiem sposobu myślenia ludzi.

– Nie mogę się spierać z twoim twierdzeniem – powiedziałem – gdyż rzeczywiście, tak jak mówisz, wydaje się, że ograniczenia

ludzkości, przymioty starego Adama, wystarczyły, by doprowadzić nas do upadku... Ale co z celami twoich metalowych nadludzi, Konstruktorów?

Zawahał się.

– W pewnym sensie gatunek, potraktowany jako całość, nie posiada celów. Czy ludzie w twoich czasach mieli wspólne cele oprócz tego, by dalej oddychać, jeść i się rozmnażać?

Chrząknąłem.

– Cele identyczne, jak u najbardziej prymitywnego bakcyła.

– Pomimo jednak tej zawilóści uważam, że można sklasyfikować cele gatunku, zależnie od stanu jego rozwoju i zasobów, których w konsekwencji potrzebuje.

Nebogipfel powiedział, że cywilizacja preindustrialna – pomyślałem o średniowiecznej Anglii – potrzebuje surowców, aby zapewnić sobie jedzenie, odzież, ciepło i tak dalej.

Jednakże dzięki rozwojowi przemysłu materiały można wzajemnie zastępować, by skompensować niedobór danego surowca. Tak więc głównymi potrzebami są wtedy kapitał i siła robocza. Taki stan pasował do mojego stulecia i uznałem, że działalność ludzi w tamtym nieoświeconym wieku rzeczywiście można by w ogólnym sensie uznać za wynik rywalizacji o tamte dwa kluczowe zasoby: siłę roboczą i kapitał.

– Ale po fazie industrialnej – powiedział Nebogipfel – następuje kolejny etap: postindustrialny. Mój gatunek wszedł na ten etap – w chwili twojego przybycia istnieliśmy już ponad pół miliona lat – ale to etap, który nie ma końca.

– Powiedz mi, co to znaczy. Jeżeli kapitał i siła robocza już nie są czynnikami determinującymi rozwój społeczny...

– Nie są, ponieważ ich brak mogą skompensować informacje. Rozumiesz? Tym samym przekształcająca się podłoga Sfery, za

pośrednictwem wiedzy umieszczonej w jej strukturze, mogłaby kompensować wszelkie niedobory zasobów, nie tylko podstawowej energii...

– Chcesz powiedzieć, że Konstruktorzy, pomijając ich podział na niezliczone, różnorodne frakcje, dążą w zasadzie do zdobycia większej wiedzy?

– Zbieranie, interpretacja i magazynowanie informacji to ostateczny cel wszystkich inteligentnych istot żywych. – Spojrzał na mnie pośpiesznie. – My to zrozumieliśmy i zaczęliśmy wykorzystywać zasoby Układu Słonecznego do tego celu, natomiast wy, ludzie z dziewiętnastego wieku, zaledwie zaczęliście iść po omacku drogą wiodącą ku zrozumieniu tej prawdy.

– No dobrze – powiedziałem. – Musimy zatem zapytać: co ogranicza zbieranie informacji? – Spojrzałem przez okno na splecione gwiazdy. – Wydaje mi się, że Uniwersalni Konstruktorzy już ogrodzili dużą część Galaktyki.

– A za nią są kolejne galaktyki – oświadczył Nebogipfel. – Milion milionów układów gwiazdnych tak dużych jak ten.

– A więc może nawet w tej chwili wielkie statki żaglowe Konstruktorów niczym ziarna mlecza dryfują do tego, co leży poza Galaktyką... Może Konstruktorzy zdołają w końcu podbić cały materialny wszechświat i przeznaczyć go do magazynowania i klasyfikacji informacji, które opisujesz. Taki wszechświat stałby się wielką biblioteką – największą, jaką można sobie wyobrazić, nieskończoną pod względem zasięgu i pojemności...

– To rzeczywiście wspaniały projekt. Faktycznie większa część energii Konstruktorów nakierowana jest na ten cel, a także na badania, jak inteligencja może przetrwać do odległej przyszłości,

kiedy umysł ogarnie cały wszechświat i kiedy wszystkie gwiazdy umrą, a planety oddalą się od swych słońc... i sama materia zacznie się rozkładać.

– Ale mylisz się – ciągnął. – Wszechświat nie jest nieskończony. I dlatego dla niektórych frakcji Konstruktorów nie jest wystarczający. Rozumiesz? Ten wszechświat jest ograniczony w czasie i przestrzeni. Zaczął się w określonej chwili w przeszłości i musi się skończyć wraz z ostatecznym rozkładem materii, gdy czas definitywnie dobiegnie końca...

– Pewna frakcja Konstruktorów nie chce zaakceptować tej skończoności – wyjaśniał dalej Nebogipfel. – Nie przyjmują żadnych ograniczeń wiedzy. Skończony wszechświat im nie wystarcza! I przygotowują się, żeby coś w tej sprawie zrobić.

To mnie przejęło czystą, nieklamana grozą. Spojrzałem na ukryte gwiazdy. To był gatunek, który już osiągnął nieśmiertelność, który podbił Galaktykę, który wchłonie wszechświat – jak mogli mieć jeszcze większe ambicje?

Zastanawiałem się ponuro, jaki to może mieć związek z nami?

Nadal podłączony do oczoskopu, Nebogipfel usunął resztki jedzenia z owłosionej brody, ocierając twarz grzbietem dłoni, tak jak to robi kot.

– Jeszcze nie całkiem rozumiem ten ich plan – powiedział. – Ma to jakiś związek z podróżowaniem w czasie, plattnerem i, jak sądzę, koncepcją wielorakości historii. Dane są skomplikowane, takie jaskrawe...

Zdziwiło mnie, że użył takiego niezwykłego słowa. Po raz pierwszy pomyślałem, jak wielką odwagę i intelektualną siłę musi mieć Morlok, by zagłębiać się w Morzu Informacji Konstruktorów, stawać oko w oko z tym oceanem frapujących idei.

– Konstruktorzy budują flotę statków – oznajmił Nebogipfel. – Olbrzymich wehikułów czasu, które znacznie przekraczają możliwości twojego i mojego stulecia. Myślę, że Konstruktorzy chcą spenetrować przeszłość. Odległą przeszłość.

– Jak daleko chcą się cofnąć? Dalej niż do paleocenu?

Spojrzał na mnie.

– Znacznie dalej.

– A co z nami, Nebogipfelu? Co to za propozycja, którą masz?

– Nasz protektor – Konstruktor, który tu z nami jest – należy do tej frakcji. Był w stanie wykryć, że się zbliżamy. Nie potrafię ci podać szczegółów. Oni są bardzo rozwinięci, wyczuli, że przyjeżdżamy z paleocenu w naszym prymitywnym samochodzie czasu. Dlatego tu był, by nas przywitać.

Konstruktor potrafił prześledzić naszą wędrówkę ku powierzchni czasu, jakbyśmy byli bojaźliwymi rybami głębinowymi!

– Cóż – powiedziałem – to mnie cieszy. Przecież gdyby nie wyszedł nam na spotkanie i nie wyleczył nas swoją metodą molekularnej chirurgii, bylibyśmy martwi.

– Zaiste.

– A teraz?

Odsunął twarz od oczoskopu Konstruktora. Urządzenie odkleіło się z nieprzyjemnym plaśnięciem.

– Sądzę – odrzekł powoli – że oni rozumieją twój wkład... To, że twój wynalazek spowodował zmiany, eksplozję w wielorakości, która doprowadziła do tego wszystkiego.

– Co masz na myśli?

– Sądzę, że oni wiedzą, kim jesteś. I chcą, żebyśmy wraz z nimi polecieeli w ich wielkich statkach do początku czasu.

Podróż do początku czasu... Moja dusza wzdrygnęła się ze strachu! Możecie mnie uznać za tchórza z powodu takiej reakcji. Cóż, może nim byłem. Ale musicie pamiętać, że już raz widziałem jeden kraniec czasu – jego gorzki koniec – w pierwszej historii, gdzie obserwowałem śmierć Słońca nad opuszczoną plażą. Przypomniałem sobie też mdłości i dezorientację, które wtedy czułem, oraz to, że tylko większy strach przed leżeniem bezradnie w tamtym mroku skłonił mnie, by jeszcze raz wsiąść do wehikułu czasu i wrócić do przeszłości.

Wiedziałem, że obraz, który bym ujrzał u zarania dziejów, byłby inny – niewyobrażalnie! – ale wahałem się właśnie z powodu wspomnienia o tamtym strachu i słabości.

Jestem człowiekiem – i jestem z tego dumny! – jednakże moje przeżycia, przypuszczalnie bardziej niezwykle od doświadczeń jakiegokolwiek człowieka z mojego pokolenia, pozwoliły mi zrozumieć ograniczenia duszy ludzkiej – a przynajmniej mojej. Mogłem sobie poradzić z potomkami człowieka, takimi jak Morlokowie, i nie bałem się walczyć z takimi prehistorycznymi potworami jak pristichampus. A kiedy wdawałem się w zwykłe rozważania teoretyczne w ciepłym salonie Linnaean Society, mogłem posunąć się jeszcze dalej i godzinami debatować o skończoności czasu lub poglądach von Helmholtza dotyczących nieuchronnej śmierci ciepłej wszechświata.

Prawda jest jednak taka, że rzeczywistość wydawała mi się bardziej przerażająca.

Jednak alternatywne rozwiązanie nie wyglądało zachęcająco!

Zawsze byłem człowiekiem czynu – lubię panować nad sytuacją – ale tutaj znajdowałem się w rękach metalowych stworzeń tak rozwiniętych, że nawet nie przyszło im do głowy, by ze mną porozmawiać, tak jak ja nigdy bym nie pomyślał, by prowadzić filozoficzne dyskusje z fiolką pełną bakcyli. Na białej Ziemi nie mogłem nic zrobić, gdyż Uniwersalni Konstruktorzy już wszystko zrobili.

Wielokrotnie żałowałem, że nie zignorowałem zaproszenia Nebogipfela i nie pozostałem w paleocenie! Tam byłem częścią społeczności, która się rozrastała i rozwijała, a moje umiejętności i intelekt oraz siła fizyczna mogły odegrać bardzo ważną rolę w przetrwaniu i rozwoju ludzkości w tamtej gościnnej epoce. Stwierdziłem, że zacznym też myśleć o Weenie, o tamtym świecie roku Pańskiego 802 701, do którego zawędrowałem podczas pierwszej podróży i zamierzałem powrócić, lecz przeszkodziło mi w tym pierwsze rozwidlenie historii. Pomyślałem, że gdyby sprawy wyglądały inaczej, gdybym ja zachował się wtedy inaczej, być może zdołałbym wyratować Weenę z płomieni, nawet kosztem własnego zdrowia lub życia. Lub gdyby udało mi się wtedy przeżyć, mógłbym dokonać prawdziwej zmiany w tamtej nieszczęśliwej historii, doprowadzając Elojów i Morloków do uświadomienia sobie ich degradacji.

Oczywiście, nic takiego nie uczyniłem. Zaraz po odzyskaniu wehikułu czasu uciekłem do domu. I teraz musiałem się pogodzić z tym, że z powodu nieustannych rozszczępień historii nie będę mógł nigdy wrócić do roku 802 701 ani do własnych czasów.

Wyglądało na to, że szlak moich wędrówek kończy się tutaj, w tych kilku nic nie znaczących pokojach!

Wydawało się, że Konstruktorzy będą utrzymywać mnie przy życiu dopóty, dopóki moje ciało będzie funkcjonować. Ponieważ zawsze byłem krzepki, przypuszczałem, że mogę oczekiwać, iż pożyję jeszcze kilkadziesiąt lat, a być może nawet dłużej, jeżeli bowiem Nebogipfel miał rację co do submolekularnych zdolności Konstruktorów, to (takie domysły snuł Nebogipfel, ku mojemu zdumieniu) będą w stanie nawet zatrzymać lub odwrócić procesy starzenia się mojego ciała!

W każdym razie wszystko wskazywało na to, że na zawsze będę pozbawiony towarzystwa, z wyjątkiem moich nierównorzędnych stosunków z Morlokiem, który – już przewyższając mnie rozumem i korzystając dalej z Morza Informacji – na pewno wkrótce przejdzie do spraw zbyt skomplikowanych, bym zdołał je pojąć.

Miałem zatem przed sobą perspektywę długiego i wygodnego życia, ale było to życie zwierzęcia w zoo, zamkniętego w tych kilku pokojach i pozbawionego możliwości dokonania czegokolwiek znaczącego. Taka przyszłość przypominała zamknięty i nie kończący się tunel...

Z drugiej jednak strony wiedziałem, że wyrażenie zgody na plan Konstruktorów może okazać się zgubą dla mojego rozumu.

Zwierzyłem się Nebogipfelowi z tych wątpliwości.

– Rozumiem twoje obawy i cenię to, że uczciwie stajesz oko w oko z własną słabością. Od chwili naszego pierwszego spotkania twoje rozumienie własnej natury znacznie się pogłębiło...

– Oszczędź mi tych uprzejmości, Nebogipfelu!

– Nie musisz podejmować decyzji w tej chwili.

– Co masz na myśli?

Opisał mi olbrzymią skalę techniczną projektu Konstruktorów. Do napędu statków trzeba było przygotować ogromne ilości plattnerytu.

– Czas trwania prac Konstruktorów jest długi – wyjaśnił Morlok. – Ale i tak ten projekt jest ambitny. Według własnych obliczeń Konstruktorów (a jest to niejasne, ponieważ Konstruktorzy nie planują tak jak ludzie; po prostu budują, wspólnie, systematycznie i z pełnym oddaniem, na modłę termitów) statki będą gotowe za milion lat.

– Milion lat? Konstruktorzy rzeczywiście muszą być cierpliwi, by obmyślać tak długoterminowe plany!

Ta liczba tak mnie zaskoczyła, że zdumiałem się skalą tego całego przedsięwzięcia! Kiedy wyobraziłem sobie projekt, którego czas trwania rozciągał się na kilka epok geologicznych, a celem było wysłanie statków do początku czasu, poczułem podziw pełen szacunku, coś w rodzaju lęku. Powiedziałem o tym Nebogipfelowi.

Morlok obdarzył mnie spojrzeniem wyrażającym sceptycyzm.

– Wszystko to bardzo piękne – powiedział – ale musimy być praktyczni.

Powiedział, że wynegocjował, aby przyniesiono nam szczątki naszego skleconego na poczekaniu samochodu czasu, a także narzędzia, surowce i zapas świeżego plattnerytu...

Od razu pojąłem tok jego myślenia.

– Proponujesz, żebyśmy wsiedli do samochodu czasu i przeskoczyli odległość miliona lat, podczas gdy cierpliwi Konstruktorzy dokończą budowę statków?

– Czemu nie? Nie ma innego sposobu, byśmy dotrwali do chwili startu statków. Być może Konstruktorzy są nieśmiertelni,

ale my nie.

– No cóż, sam nie wiem! Po prostu wydaje się, że... Czy Konstruktorzy są pewni, że przy tak gigantycznych okresach czasu zrealizują swój program punktualnie i zgodnie z założeniami? Ba, w moim stuleciu czas istnienia gatunku ludzkiego był równy zaledwie jednej dziesiątej tego okresu.

– Musisz pamiętać – wyjaśnił Nebogipfel – że Konstruktorzy nie są ludźmi. Są naprawdę nieśmiertelnym gatunkiem. Świadomość jednostek może się tworzyć i rozpląwać w ogólnym morzu, ale ciągłość zbierania informacji i konsekwencja w dążeniu do celu są niezachwiane... W każdym razie – zakończył, patrząc na mnie – co masz do stracenia? Jeśli powędrujemy w przyszłość i stwierdzimy, że mimo wszystko konstruktorzy zrezygnowali z przedsięwzięcia przed ukończeniem budowy statków, to co z tego?

– Cóż, po pierwsze moglibyśmy zginąć. Co się stanie, gdy po przebyciu miliona lat nie będzie żadnego Konstruktora, który nas powita i zatroszczy się o nasze potrzeby?

– Co z tego? – powtórzył Morlok. – Czy w tej chwili możesz szczerze powiedzieć, że jesteś szczęśliwy – machnął ręką, wskazując nasze mieszkanie – mając przed sobą perspektywę życia w takich warunkach do samej śmierci?

Nie odpowiedziałem, ale Nebogipfel chyba wyczytał odpowiedź z mojej twarzy.

– A zresztą... – ciągnął.

– Tak?

– Istnieje możliwość, że po zbudowaniu samochodu czasu postanowimy, iż lecimy w innym kierunku.

– Co masz na myśli?

– Dostaniemy mnóstwo plattnerytu, moglibyśmy dotrzeć

nawet do paleocenu, gdybyś chciał.

Rozejrzałem się ukradkiem, czując się jak przestępca!

– Nebogipfelu, a jeżeli Konstruktorzy słyszą, że mówisz takie rzeczy?

– No to co? Nie jesteśmy więźniami. Konstruktorzy uważają nas za interesujące istoty i sądzą, że z powodu twojego historycznego i przyczynowego znaczenia powinieneś uczestniczyć w ich ostatniej wyprawie. Ale nie zmuszaliby nas ani nie zatrzymywali, gdyby nasze cierpienie uniemożliwiało nam dalsze życie w tym miejscu.

– A ty? – zapytałem go ostrożnie. – Co ty chcesz zrobić?

– Nie powziąłem jeszcze żadnej decyzji – odrzekł. – Moją główną troską w tej chwili jest zapewnić sobie jak najwięcej opcji odnośnie przyszłości.

Było to bardzo rozsądne podejście i – dając sobie spokój z wątpliwościami – zgodziłem się z Nebogipfelem, że powinniśmy zacząć odbudowę samochodu czasu. Szczegółowo omówiliśmy potrzebne materiały i narzędzia.

Przygotowania

Konstruktor wygrzebał z lodu i przyniósł nam samochód czasu. By tego dokonać, rozdzielił się na cztery mniejsze piramidy, które umieścił pod narożnikami pogruchotanej ramy samochodu. Składowe piramidalne maszyny poruszały się płynnie – wyobraźcie sobie, jak wydmy, ziarno po ziarnie, przesuwiają się pod wpływem wiatru – i dostrzegłem, jak podczas tej dziwnej procesji wędrujące nitki metalowych rzęsków łączą te składowe maszyny ze sobą.

Kiedy szczątki naszego samochodu zostały złożone na środku pokoju, składowe maszyny ponownie połączyły się w swojego macierzystego Konstruktora, unosząc się i scalając, jak gdyby się stapiały. Uznałem to za fascynujący, choć odrażający widok. Wkrótce jednak Nebogipfel z radością podłączył się ponownie do swojego oczoskopu bez żadnych skrupułów.

Zasadniczą dolną część samochodu czasu stanowił szkielet naszego pojazdu do przemieszczania się w czasie z roku 1938, ale jego nadbudówka – zaledwie kilka płyt ściennych i podłogowych – została sklecona na poczekaniu przez Nebogipfela z wraków zbombardowanych molochów oddziału ekspedycyjnego oraz messerschmitta. Proste urządzenia sterownicze cechowały się podobną prymitywnością. Większość tej aparatury była teraz zdekompletowana i zniszczona. Jasne więc było, że oprócz uzupełnienia plattnerytu musimy przeprowadzić dość

gruntowną renowację samochodu.

Pod kierunkiem Nebogipfela wykonywałem wiele prac manualnych wymagających wprawy. Z początku ten układ niezbyt mi się podobał, ale to Nebogipfel miał dostęp do Morza Informacji, a tym samym zgromadzonej wiedzy Konstruktorów. I to on mógł wskazać Konstruktorowi materiały, których potrzebowaliśmy: rurę o takiej a takiej średnicy oraz z takim czy innym gwintem i tak dalej.

Konstruktor wytwarzał potrzebne nam surowce na swój zwykły, nowatorski sposób – po prostu wyłaczał je ze swojego ciała. Wydawało się, że nic go to nie kosztuje, z wyjątkiem ubytku materiału, ale to było wkrótce kompensowane zwiększonym napływem wędrujących rzęsków, które podtrzymywały go przy życiu.

Trudno mi było zaufać wynikom tego procesu. Podczas produkcji komponentów do mojego wehikułu czasu i wcześniejszych wynalazków odwiedzałem stalownie i tym podobne zakłady. Obserwowałem, jak stopione żelazo spływa z wielkich pieców do konwerterów Bessemera, gdzie poddawano je utlenianiu i mieszano z surówką zwierciadlistą oraz węglem... I tak dalej. Dlatego trudno mi było uwierzyć w coś, co wyrzucała z siebie bezkształtna, lśniąca masa!

Morlok oczywiście wykazał, że moje uprzedzenie jest niedorzeczne.

– Subatomowa przemiana, którą potrafi przeprowadzić Konstruktor, to proces znacznie doskonalszy od opisywanego przez ciebie topienia, mieszania i młotkowania, które wydają się prawie tak prymitywne, jak w okresie tuż po wyjściu człowieka z jaskiń.

– Być może – powiedziałem – ale mimo wszystko... Przecież

tego nie widać!

Wziąłem do ręki klucz. Tak jak wszystkie inne zamówione przez nas narzędzia i ten klucz został wytworzony przez Konstruktora niedługo po tym, jak Nebogipfel o niego poprosił: był gładki, bez spoin, złącz, śrub czy śladów prasowania.

– Kiedy biorę ten przedmiot do ręki – ciągnąłem – wydaje mi się, że będzie ciepły, ociekający kwasem żołądkowym lub pokryty tymi okropnymi żelaznymi rzeskami...

Nebogipfel pokręcił głową, świadomie wyrażając tym gestem kpinę.

– Jesteś taki nietolerancyjny, jeżeli chodzi o odmienne sposoby wykonywania jakichkolwiek rzeczy!

Pomimo moich zastrzeżeń zmuszony byłem pozwolić, by Konstruktor zaopatrywał nas w dalszy sprzęt i zapasy. Obliczałem, że podróż potrwa trzydzieści godzin, jeśli cofniemy się do paleocenu – nie więcej jednak niż trzydzieści minut, jeśli wykonamy krótki skok do przyszłości, w której gotowe będą statki czasu. Chcąc zatem lepiej przygotować się tym razem, zaopatrzyłem nasz nowy samochód czasu w dostateczną ilość jedzenia i wody, zgodnie z naszymi różnymi potrzebami, byśmy mogli przetrwać kilka dni. I poprosiłem, żeby dostarczono nam obu grube, ciepłe ubranie. Mimo to byłem niespokojny, kiedy na strzępy mojej koszuli z tkaniny diagonalnej nakładałem ciężki płaszcz, który Konstruktor dla mnie zrobił. Płaszcz był z jakiejś srebrzystej, bliżej nie określonej tkaniny i miał dość grubą podszewkę.

– To po prostu wydaje się nienaturalne – zaprotestowałem przed Nebogipfelem – nosić coś, co zostało wytworzone w taki sposób.

– Twoje zastrzeżenia stają się nużące – odrzekł Morlok. – To

dla mnie jasne, że czujesz chorobliwy strach przed ciałem i jego funkcjami. Dowodem tego jest nie tylko ta irracjonalna reakcja na zdolności wytwórcze Konstruktorów, lecz również twoja wcześniejsza reakcja na Morloków...

– Nie wiem, o czym mówisz – odrzekłem zaskoczony.

– Wielokrotnie opisywałeś mi swoje spotkania z tamtymi... z moimi kuzynami, używając terminów związanych z ciałem. Wspominałeś o odchodach, przyrównywałeś palce do glist i tak dalej.

– A więc... chwileczkę... Twierdzisz, że mój strach przed Morlokami i wytworami Konstruktorów oznacza, iż boję się własnej biologii?

Bez ostrzeżenia przysunął rękę do mojej twarzy. Bładość gołego ciała jego dłoni, glistowatość jego palców – to wszystko mnie oczywiście przerażało, tak jak zawsze! – i wzdrygnąłem się.

Morlok najwyraźniej uważał, że udowodnił swoje twierdzenie. Poza tym przypominałem sobie też wcześniejszy związek między moim strachem przed ciemnymi, podziemnymi siedzibami Morloków i dziecięcą obawą przed szybami wentylacyjnymi umieszczonymi na terenie domu moich rodziców.

Zbyteczne dodawać, że poczułem się bardzo nieswojo z powodu tej obcesowej diagnozy Nebogipfela, na myśl o tym, że moimi reakcjami nie kieruje rozum, jak mógłbym przypuszczać, lecz takie dziwne, ukryte cechy właściwe mojej naturze!

– Myślę – powiedziałem z godnością, na jaką zdołałem się zdobyć – że niektóre rzeczy najlepiej pominąć milczeniem!

W ten sposób uciałem rozmowę na ten temat.

Ukończony samochód czasu był dość prymitywną konstrukcją: zwykłą metalową skrzynką, nie zakrytą od góry, nie

pomalowaną i surowo wykończoną. Ale urządzenia sterownicze były znacznie lepsze od niewymyślnych mechanizmów, które Nebogipfel zdołał zrobić z materiałów dostępnych w paleocenie – znajdowały się tam nawet proste tarcze chronometryczne, aczkolwiek z ręcznie napisanymi oznaczeniami – i okazało się, że będziemy mogli poruszać się w czasie tak swobodnie, jak mogłem to czynić za pośrednictwem mojego pierwszego wehikułu.

Kiedy pracowałem i zbliżał się ustalony przez nas dzień wyjazdu, moja obawa i niepewność narastały. Wiedziałem, że nie będę mógł nigdy wrócić do domu, ale wyruszając stąd z Nebogipfelem w przyszłość lub przeszłość, mogłem wejść w dziwną rzeczywistość, której nie przeżyję, albo cieleśnie, albo umysłowo. Wiedziałem, że mogę się zbliżyć do krańca mojego życia i ogarnęło mnie lekkie przerażenie.

W końcu nadeszła ta chwila. Nebogipfel usiadł na siodełku. Ubrany był w ciężki, watowany kombinezon ze srebrzystego materiału Konstruktora. Na małej twarzy miał nowe gogle. Wyglądał trochę jak małe dziecko opatulone przed zimowym chłodem – przynajmniej dopóki człowiek nie zauważył włosów opadających kaskadą z jego twarzy oraz lśnienia oka za niebieskimi goglami.

Usiadłem obok niego i po raz ostatni sprawdziłem zawartość naszego samochodu.

Kiedy tam siedzieliśmy, w jednej sekundzie ściany naszego mieszkania przemieniły się bezgłośnie w szkło! Wszędzie wokół nas, widoczne teraz przez przezroczyste ściany naszego pokoju, rozciągały się na dużą odległość posępne równiny białej Ziemi, złotoczerwone w świetle zachodzącego słońca. Rzęski Konstruktora – znów zgodnie z instrukcją Nebogipfela –

przekształciły materiał ścian komory, w której znajdował się samochód czasu. Potrzebowaliśmy co prawda jakiejś ochrony przed dzikim klimatem białej Ziemi, ale pragnęliśmy widzieć świat podczas naszej podróży.

Choć temperatura powietrza nie uległa zmianie, od razu zrobiło mi się zimniej. Zadrzałem i owinąłem się szczelnie płaszczem.

– Chyba jesteśmy gotowi – stwierdził Nebogipfel.

– Gotowi – przyznałem – z wyjątkiem jednej rzeczy: nie powzięliśmy decyzji! Czy lecimy do przyszłości, w której statki będą ukończone, czy...

– Myślę, że decyzja należy do ciebie – odrzekł, ale – lubię tak myśleć – na jego twarzy obcej istoty malował się wyraz współczucia.

Nadal czułem niewielki strach, gdyż, z wyjątkiem pierwszych rozpaczliwych godzin po stracie Mosea, nigdy nie zastanawiałem się nad śmiercią! A jednak wiedziałem, że mój obecny wybór może doprowadzić do mojej śmierci. Mimo to...

– Naprawdę nie wydaje mi się, bym miał duży wybór – powiedziałem Nebogipfelowi. – Nie możemy tu zostać.

– Tak – przyznał. – Obaj jesteśmy wygnańcami. Myślę, że musimy to ciągnąć... do samego końca.

– Tak – potwierdziłem. – Chyba do końca samego czasu... Cóż! Niech tak będzie, Nebogipfelu. Niech tak będzie.

Nebogipfel pchnął dźwignie samochodu do przodu – poczułem, jak mój oddech robi się coraz szybszy, a krew łomocze w skroniach – i pogrążyliśmy się w szarości typowej dla podróżowania w czasie.

Podróż w przyszłość

Jeszcze raz Słońce zakołysało się na niebie, a nadal zielony Księżyc przechodził płynnie swoje fazy i miesiące mijały szybciej niż uderzenia serca. Wkrótce oba ciała niebieskie nabrały takiej prędkości, że zlały się w gładkie, precyzyjne wstęgi światła, które opisałem już wcześniej, a niebo przybrało odcień stalowej szarości, charakterystyczny dla połączenia dnia i nocy. Wszędzie wokół nas, wyraźnie widoczne z naszego podwyższonego punktu obserwacyjnego, lodowe pola białej Ziemi ciągnęły się aż poza horyzont, prawie niezmiennie podczas przemijania nic nie znaczących lat, ukazując nam jedynie połysk powierzchni wygładzony wskutek szybkości naszej podróży.

Chętnie zobaczyłbym, jak te wspaniałe statki międzygwiazdne wznoszą się w przestrzeń kosmiczną, ale wirowanie Ziemi uniemożliwiało mi dostrzeżenie kruchych pojazdów i gdy tylko rozpoczęliśmy podróż w czasie, żaglowce stały się dla nas niewidoczne.

Po kilku sekundach od naszego wyjazdu – patrząc z perspektywy szybkiego pokonywania czasu – nasze mieszkanie uległo zniszczeniu. Zniknęło jak rosa, pozostawiając nasz przezroczysty pęcherz w odosobnieniu na płaskim dachu wieży. Pomyślałem o naszym dziwacznym, a jednak wygodnym apartamencie – z kąpielą parową, tapetą o bzdurnym wzorze, osobliwym stołem bilardowym i całą resztą. To wszystko stopiło

się teraz z powrotem w jedną bezkształtną masę, a nasze mieszkanie, już niepotrzebne, zredukowane zostało do snu: platonicznego wspomnienia w metalowej wyobraźni Uniwersalnych Konstruktorów!

Nie opuścił nas jednak nasz cierpliwy Konstruktor. Przy takiej dużej szybkości zobaczyłem, jak spoczywa tu, zaledwie kilka jardów od nas – przysadzista piramida, z wijącymi się rzęskami wygładzonymi przez podróż w czasie – a potem nagle przeskakuje do następnego miejsca, by pozostać tam przez kilka chwil i tak bez końca. Ponieważ zwykła sekunda dla nas trwała wieki w świecie poza samochodem czasu, zdołałem obliczyć, że Konstruktor pozostaje blisko nas, prawie nieruchomy, przez tysiąc lat za każdym razem.

Powiedziałem o tym Nebogipfelowi.

– Tylko wyobraź sobie! Być nieśmiertelnym to jedno, ale tak się poświęcić jednemu zadaniu... On jest jak samotny rycerz strzegący swojego Graala, podczas gdy epoki historyczne i drobne troski zwykłych ludzi szybko przemijają.

Jak już to opisałem, sąsiednie budowle były wieżami, które stały w odstępach dwóch do trzech mil w całej dolinie Tamizy. W ciągu kilku tygodni, które spędziliśmy w naszym mieszkaniu, nie dostrzegłem śladu zmian w tych wieżach – nawet otwarcia drzwi. Teraz jednak, dzięki przyspieszonej perspektywie, zobaczyłem, jak ewolucja powoli wpełza na powierzchnie budowli. Gładka jak lustro ściana pewnej cylindrycznej budowli w Hammersmith nabrzmiała i przybrała kolor czerwonej ochry, jakby zaatakowała ją jakaś „metaliczna” choroba, a potem przemieniła się w nowy wzór kanciastych guzów i kanałów. Inna wieża, w okolicach Fulham, zniknęła bez śladu! W jednej chwili tam była, a w następnej już nie. Nie mogłem nawet dostrzec

fundamentów, które pokazywałyby, gdzie się znajdowała, gdyż lód zakrywał odsłoniętą ziemię zbyt szybko dla mojego oka.

Taka płynna ewolucja przebiegała przez cały czas. Uświadomiłem sobie, że tempo zmian w tym nowym Londynie musi być mierzone raczej w stuleciach, a nie latach, tak jak w Londynie z moich czasów. Niemniej jednak zmiany następowały.

Zwróciłem na to uwagę Nebogipfelowi.

– Możemy się jedynie domyślać celu tej przebudowy – oświadczył. – Być może zmiana w zewnętrznym wyglądzie oznacza, że miasto wykorzystywane jest teraz do innych celów. Ale nawet tutaj następuje powolny rozkład. I być może od czasu do czasu zdarzają się tu bardziej spektakularne incydenty, takie jak upadek meteorytu.

– Na pewno istoty tak inteligentne jak Konstruktorzy potrafiłyby przewidzieć takie wypadki, jak upadek meteoru! Wykrywając spadające głazy za pomocą teleskopów i być może wykorzystując statki z raketami i żaglami do odbicia tych odłamków.

– Do pewnego stopnia. Ale Układem Słonecznym rządzi przypadek i chaos – powiedział Nebogipfel. – Nie można mieć nigdy pewności, że się wyeliminuje wszystkie kataklizmy, bez względu na dostępne środki oraz planowanie i obserwacje... Dlatego nawet Konstruktorzy muszą czasami dokonywać przebudowy – nawet wieży, w której mieszkamy.

– Co masz na myśli?

– Przemyśl to – powiedział Nebogipfel. – Czy jest ci ciepło? Czy czujesz się wygodnie?

Jak już zauważyłem, to, że znalazłem się na pustkowiu białej Ziemi i ochraniała mnie jedynie ta niewidoczna kopuła

Konstruktorów, przyprawiło mnie o zimny dreszcz. Wiedziałem jednak, że może to być tylko reakcja emocjonalna.

– Jest mi całkiem dobrze.

– Oczywiście. Mnie też. I ponieważ jesteśmy w drodze od mniej więcej kwadransa, wiemy, że stałe warunki przetrwały w tej budowli przez ponad pół miliona lat.

– Ale – powiedziałem, idąc za tokiem jego myślenia – ta nasza wieża podatna jest na niszczące wpływy czasu tak jak każda inna... Dlatego nasz Konstruktor musi bez przerwy naprawiać to miejsce, by nadal nam służyło.

– Tak. W przeciwnym razie kopuła, która nas chroni, z pewnością już dawno by się rozszczepiła i rozpadła.

Nebogipfel miał oczywiście rację – to był kolejny dowód nadzwyczajnej wytrwałości Konstruktorów w dążeniu do celu – ale nie poczułem się przez to bardziej uspokojony! Rozejrzałem się, badając podłogę pod nami. Poczułem, jakby wieża stała się krucha niczym kopiec termitów, bez końca rozgrzebywana i przebudowywana przez Uniwersalnych Konstruktorów, i doznałem zawrotów głowy!

Teraz dostrzegłem zmianę w jakości światła. Oblodzony krajobraz rozciągał się wokół nas, na pozór nie zmieniony, ale wydawało mi się, że na lód pada ciemniejsze światło niż przedtem.

Wstęgi słońca i księżyca, rozmyte i niewyraźne wskutek swoich ruchów precesyjnych, nadal kołysały się na niebie, ale – choć Księżyc nadal lśnił jaskrawą zielenią przesadzonej tam roślinności – wyglądało na to, że Słońce przechodzi cykl zmiany.

– Wydaje się – zauważyłem – że Słońce migoce ze zmienną jasnością na przestrzeni co najmniej kilku stuleci.

– Chyba masz rację.

Byłem teraz pewien, że to właśnie to niepewne światło rzuca dziwne, dezorientujące złudzenie cienia na lodowy krajobraz. Jeśli staniecie przy oknie, ustawicie rękę z rozcapierzonymi palcami przed twarzą i zaczniecie ją szybko przybliżać oraz oddalać przed oczami, to będziecie mieli pojęcie, o co mi chodzi.

– Niech licho porwie to migotanie – zaprotestowałem. – Włazi człowiekowi w głąb oczu, zakłóca rytm umysłu...

– Obserwuj światło – nakazał Nebogipfel. – Śledź jego jakość. Znów się zmienia.

Spełniłem jego polecenie i wkrótce nagrodzony zostałem widokiem nowego aspektu osobliwego zachowania się Słońca. Zobaczyłem jakąś zieleni – tylko w nielicznych chwilach, kiedy widziałem, jak pewnego rodzaju blada zieloność kładzie się na niebiańskiej ścieżce Słońca – niemniej jednak była ona rzeczywista.

Teraz, gdy wiedziałem, że ta zieloność istnieje, odkryłem szmaragdowe błyskanie nad zmarzniętymi wzgórzami i posępnymi budynkami Londynu. To był przejmujący widok, jak wspomnienie życia, które zniknęło z tych wzgórz.

– Podejrzewam – powiedział Nebogipfel – że migotanie i zielone błyski są ze sobą powiązane...

Podkreślił, że Słońce jest największym źródłem energii i materii w Układzie Słonecznym. Sami Morlokwie to wykorzystali, by zbudować Sferę wokół Słońca.

– Myślę – ciągnął – że Uniwersalni Konstruktorzy też wgryzają się w to wielkie źródło. Eksploatują Słońce w celu uzyskania potrzebnych im surowców...

– Plattneryt – podsunąłem, czując coraz większe podniecenie. – To właściwie oznaczają zielone błyski, prawda? Konstruktorzy

wydobywają plattneryt ze Słońca.

– Albo wykorzystują swe alchemiczne umiejętności do przemiany materii i energii Słońca w plattneryt, co wychodzi na to samo.

Nebogipfel twierdził, że widzimy blask plattnerytu dzięki temu, iż Konstruktorzy budują wielkie skorupy z tego materiału wokół gwiazdy. Gdy konstrukcja zostanie ukończona, skorupy zostaną wysyłane w wielkich konwojach do innych miejsc budowy w Układzie Słonecznym i zacznie się tworzenie nowej skorupy. Widziane przez nas migotanie musiało oznaczać przyspieszony montaż i demontaż tych wielkich hałd plattnerytu.

– To nadzwyczajne – wysapałem. – Konstruktorzy muszą brać ten materiał ze Słońca w partiach, które równają się masie największych planet! To przyćmiewa nawet budowę twojej wielkiej Sfery, Nebogipfelu!

– Wiemy, że Konstruktorzy nie są pozbawieni ambicji.

Teraz wydawało mi się, że migotanie cierpliwego Słońca zanika, jak gdyby konstruktorzy kończyli prace wydobywcze. Dostrzegłem kolejne, charakterystyczne zielone plamy plattnerytu na niebie, ale te oddzielone były od wstęgi Słońca i przypominały pędzące po nieboskłonie fałszywe księżyce. Uświadomiłem sobie, że są to plattnerytowe struktury – olbrzymie twory z tej substancji, spinające przestrzeń kosmiczną – które formują się powoli w jakąś orbitę okołoziemską.

Przesuwające się światło plattnerytu odbijało się od powłoki naszego cierpliwego Konstruktorza, który stał przy nas, podczas gdy niebo przechodziło te nadzwyczajne zmiany!

Nebogipfel spojrzał na chronometryczne liczniki.

– Przebyliśmy prawie osiemset tysięcy lat... Myślę, że to wystarczy.

Pociągnął dźwignie do siebie. Samochód czasu zakołysał się z typową dla podróży w czasie niezdarnością i musiałem zмагаć się nie tylko z uczuciem strachu, lecz również z mdłościami.

Nasz Konstruktor od razu zniknął nam z widoku. Krzyknąłem – nie mogłem się powstrzymać – i chwyciłem ławkę w samochodzie. Myślę, że nigdy nie czułem się taki zagubiony i samotny, jak w tamtej chwili, gdy nasz wierny towarzysz podróży liczącej osiem tysięcy wieków nagle – przynajmniej tak mi się wydawało – pozostawił nas na pastwę losu w obcym otoczeniu.

Drganie związane z precesją wstęgi słonecznej stało się wolniejsze i słabsze, aż w końcu ustało. Po kilku sekundach dostrzegłem niepokojące migotanie światła oznaczające zmianę dni i nocy, a niebo utraciło swój wszechobecny kolor lśniącej szarości.

Teraz powietrze wokół mnie wypełniło zielone światło plattnerytu, które zewsząd otaczało naszą kopułę i migotało niewyraźnie, przesłaniając niewzruszone równiny białej Ziemi.

Trzepotanie dni i nocy stało się wolniejsze od mojego tętna. W ostatniej chwili przez ułamek sekundy widziałem pole gwiazd, które przebiły się na pierwszy plan, oślepiające i bliskie. Dostrzegłem niewyraźnie kilka szerokich głów i olbrzymie, ludzkie oczy. Następnie Nebogipfel przesunął dźwignie do skrajnej pozycji, samochód zatrzymał się i wynurzyliśmy się w historii, a tłum Obserwatorów zniknął. Zalała nas powódź zielonego światła.

Znajdowaliśmy się w statku z plattnerytu!

Ja, Morlok, mechanizmy i wyposażenie naszego małego samochodu czasu skąpani byliśmy w szmaragdowym świetle plattnerytu, które otaczało nas z wszystkich stron. Nie miałem pojęcia, jakie są prawdziwe rozmiary statku, jego wielkość utrudniała mi orientację. Nie był podobny do pojazdów z mojego stulecia, gdyż brakowało w nim podwozia, na którym ustawiono by ściany i płyty odgradzające poszczególne pomieszczenia, komory silnikowe i tym podobne. Zamiast tego musicie sobie wyobrazić sieć z nici i węzłów pobłyskujących zielenią plattnerytu, jakby zarzuconą na nas przez jakiegoś niewidzialnego rybaka, tak iż Nebogipfel i ja byliśmy uwięzieni w gąszczu prostych i zakrzywionych promieni światła.

Ta sieć nie dochodziła do samochodu czasu. Wydawało się, że kończy się mniej więcej w odległości wyznaczonej przez naszą kopułę. Nie miałem żadnych trudności z oddychaniem i nie było mi zimniej niż dotychczas. Musieliśmy mieć taką ochronę, jaką do tej pory zapewniała nam kopuła, i pomyślałem, że sama kopuła nadal tam jest, gdyż dostrzegłem bardzo słabe odbłaski na powierzchni nad głową. Światło plattnerytu było jednak takie niepewne i ruchliwe, że nie mogłem mieć pewności.

Nie mogłem też dojrzeć podłogi pod samochodem czasu. Wydawało się, że tkanina sieciowa rozciąga się pod nami, wnikając głęboko w strukturę budowli, którą pamiętałem. Nie

mogłem jednak zrozumieć, jak ta krucha konstrukcja zdolna jest podtrzymać taką dużą masę naszego samochodu czasu i poczułem nagle nieprzyjemne zawroty głowy. Z determinacją stłumiłem w sobie te prymitywne reakcje. Moja sytuacja była niezwykła, ale chciałem się zachowywać z godnością – zwłaszcza jeśli to miały być ostatnie chwile mojego życia! – i nie zamierzałem tracić energii na uspokajanie drzemiącej we mnie przestraszonej mały, która myśli, że może spaść z tego błyszczącego zielono drzewa.

Przyjrzałem się badawczo sieci wokół nas. Jej główne nitki wydawały się grubości mojego palca wskazującego, choć świeciły tak jasno, że trudno było mieć pewność, czy ta grubość to nie zwykłe złudzenie optyczne. Nitki te otaczały komórki, które miały szerokość mniej więcej stopy i nieregularne kształty. O ile mogłem się zorientować, nie było dwóch komórek o takim samym kształcie. W poprzek tych głównych komórek i pomiędzy nimi biegły cieńsze nitki, tworząc złożony wzór podkomórek. Te podkomórki też były podzielone przez cieńsze nitki i tak dalej, aż do miejsca, do którego sięgał mój wzrok. Przypomniałem sobie rozgałęziające się rzęski, które pokrywały zewnętrzną warstwę Konstruktorą.

Przy węzłach łączących główne nitki pobłyskiwały punkciki świetlne, tak samo zielone jak reszta. Te grudki nie pozostawały w spoczynku, lecz wędrowały wzdłuż nitek lub eksplodowały, dając maleńkie, bezgłośnie błyski. Musicie sobie wyobrazić nieustanny ruch tych punkcików na całej sieci, tak iż całą konstrukcję cechowały łagodny, zmieniający się blask i ciągła ewolucja struktury oraz światła.

Sprawiało to na mnie wrażenie kruchości – jakby człowieka otaczały warstwy jedwabistej pajęczyny – ale cała konstrukcja

tworzyła pewną organiczną całość i wydawało mi się, że gdybym wyciągnął niezdarnie ręce do góry i zrobił wielkie dziury w tej skomplikowanej sieci, wkrótce sama by się naprawiła.

Musicie sobie też wyobrazić, że wokół całego statku roztaczał się ten dziwny, niepewny, zielony blask plattnerytu, dający poczucie, że statek nie jest mocno osadzony w materialnym świecie, że jest urojony i nietrwały.

Struktura była na tyle luźna, że przez przejrzysty kadłub naszego pojazdu widziałem świat na zewnątrz. Wzgórza i anonimowe budowle Londynu Konstruktorów nadal tam były, a wieczny lód wydawał się niewzruszony. Była pora nocna, a niebo przejrzyste. Srebrny sierp Księżyca żeglował wysoko pośród nieobecnych gwiazd...

I nagle na opustoszałym niebie tej porzuconej Ziemi zobaczyłem kolejne plattnerytowe statki. Były olbrzymie, miały soczewkowaty kształt i przypominały taką samą strukturę sieciową, jak statek, w którym znajdowałem się ja i Nebogipfel. W ich ogromnych, skomplikowanych wnętrzach błyszczały mniejsze światła, niczym pojmane gwiazdy. Lodowa powłoka białej Ziemi skąpana była w blasku plattnerytu. Statki przypominały olbrzymie, milczące chmury, które żeglowały nienaturalnie blisko lądu.

Nebogipfel przyjrzał mi się uważnie; plattneryt nadawał zielony połysk włosom pokrywającym jego ciało.

– Czy dobrze się czujesz? Wydajesz się trochę wzburzony.

Wybuchnąłem nerwowym śmiechem.

– Masz dar do niedopowiedzeń, Morloku. Wzburzony? No myślę...

Obróciłem się na siedzeniu, wyciągnąłem rękę i znalazłem półmisek wypełniony bliżej nie określonymi orzechami oraz

owocami, które dostarczył mi Konstruktor. Zagłębiłem palce w żywności i podniosłem ją do ust. Stwierdziłem, że proste, zwierzęce czynności związane zjedzeniem stanowią miłą odskocznnię od zdumiewających, prawie niepojętych spraw, które się wokół mnie rozgrywały. Właściwie zastanawiałem się, czy to będzie mój ostatni posiłek – ostatnia kolacja na Ziemi!

– Myślałem, że nasz Konstruktor wyjdzie nam na spotkanie.

– Ależ on tu chyba jest – powiedział Nebogipfel. Uniósł rękę i szmaragdowe światło odbiło się od jego palców. – Ten statek zaprojektowano najwyraźniej według tych samych zasad co Konstruktorów. Chyba możemy powiedzieć, że nasz Konstruktor nadal tu jest, ale teraz jego świadomość stanowi jakiś układ tych przesuwających się punktów światła w sieci plattnerytu. I statek na pewno połączony jest z Morzem Informacji. Zaiste, chyba można powiedzieć, że to sam nowy Uniwersalny Konstruktor. Statek jest żywy... tak jak Konstruktorzy. A jednak, ponieważ skonstruowany jest z plattnerytu, musi być czymś znacznie bardziej rozwiniętym.

Przyjrzał mi się badawczo, jego zdrowe oko było ciemne i głębokie za goglami, które miał na oczach.

– Rozumiesz? – zapytał. – Jeżeli to życie, to nowe... plattnerytowe życie... Pierwsze, którego nie ogranicza, tak jak reszty nas, powolne obracanie się trybów historii. I ten statek skonstruowano z myślą o nas... Statek jest do naszego użytku, by zabrać nas wstecz, tak jak Konstruktor obiecał. Widzisz, Konstruktor tu jest.

Nebogipfel oczywiście miał rację. Z pewną nieśmiałością połączoną z niepokojem zastanawiałem się teraz, ile innych statków, grasujących po bezgwiezdnym niebie Ziemi jak olbrzymie zwierzęta, też się tu w jakiś sposób znalazło z powodu naszej

obecności.

Teraz jednak, gdy spojrzałem w pokryte warstwą plattnerytu niebo, zdumiała mnie inna rzecz, którą zaobserwowałem.

– Nebogipfelu, spójrz na Księżyc!

Morlok odwrócił się. Zobaczyłem, że zielone światło, które igrało na włosach jego twarzy, pokryła teraz powłoka delikatnej srebrzystości.

Moja obserwacja sprowadzała się jedynie do tego, że Księżyc utracił swą zieloną barwę. Kolor życia, który dotarł tam z Ziemi i okrył jego powierzchnię na okres tych wszystkich milionów lat, wyblakł, obnażając białą jak kość nagość zakurzonych gór i księżycowych mórz. Teraz, w swojej martwej bladości, satelita był całkiem podobny do Księżyca z moich czasów, z wyjątkiem może jaśniejszego blasku nad swoją ciemną stroną. W ramionach Nowego Księżyca spoczywał żywy Stary Księżyc i wiedziałem, że powodem tej większej jasności musi być wyłącznie zwiększony blask powleczonej lodem Ziemi, która błyszczy na bezwietrznym niebie Księżyca jak drugie słońce.

– Może to skutek wymuszonych zmian Słońca – domyślał się Nebogipfel. – Plattnerytowy projekt Konstruktorów... Być może to właśnie on w końcu zakłócił równowagę życia.

– Wiesz – powiedziałem z pewną goryczą – sądzę, że – nawet po tym wszystkim, co zobaczyliśmy i usłyszeliśmy – pocieszała mnie trwałość tamtej ziemskiej zieloności na niebie. Pokrzepiała mnie myśl, że gdzieś... nie tak niemożliwie daleko... skrawek zapamiętanej przeze mnie Ziemi może nadal trwać, że może istnieć jakaś nieprawdopodobna dżungla o niskiej grawitacji, w której nadal stąpają synowie człowieka... Teraz jednak pozostały tam prawdopodobnie jedynie ruiny i płytkie odciski stóp na posępnej powierzchni, które konkurują ze śladami

rozproszonymi na zwłokach Ziemi.

I to właśnie w tamtej chwili, kiedy byłem w tym cklwym nastroju, rozległ się huk podobny do wystrzału armatniego i nasza ochronna kopuła pękła jak skorupka jajka!

Dostrzegłem, że na powierzchni całej kopuły rozciąga się seria pęknięć w kształcie skomplikowanej delty. Jeszcze kiedy to obserwowałem, kawałek kopuły, nie większy od mojej ręki, obluzował się i poszybował w powietrzu, dryfując niczym płatek śniegu.

A spoza rozbijającej się kopuły wsuwały się nitki plattnerytowej sieci statku, pęczniejąc i zbliżając się do nas.

– Nebogipfelu, co się dzieje? Czy bez kopuły zginiemy?

Byłem rozgorączkowany i straszliwie spięty, pełen obaw i podejrzeń.

– Musisz starać się przezwyciężyć strach – odparł Nebogipfel, a potem wykonał prosty, zdumiewający gest: chwycił moją dłoń swoimi cienkimi, morlokowymi palcami i trzymał ją tak, jak dorosły trzyma rękę dziecka. Po raz pierwszy od tamtych strasznych chwil, kiedy Konstruktor mnie odbudowywał, poczułem dotyk jego zimnych palców i powróciło do mnie odległe echo naszego wspólnego pobytu w paleocenie, dodając mi teraz otuchy pośród lodów białej Ziemi. Obawiam się, że z powodu strachu, który wytrącił mnie z równowagi, krzyknąłem. Wcisnąłem się głębiej w siedzenie, pragnąc jedynie stąd uciec. Nebogipfel zacisnął mocniej swoje słabe palce wokół moich.

W kopule pojawiły się kolejne pęknięcia i usłyszałem łagodny stukot deszczu odłamków spadających na samochód czasu. Plattnerytowe nitki zagłębiały się coraz bardziej w naszej

rozpadającej się kopule, a po nich sunęły węzły światła.

– Konstruktorzy – te istoty z plattnerytu – zamierzają zabrać nas ze sobą do początku czasu, a może nawet dalej... Ale nie w takiej postaci. – Wskazał na własne, wątłe ciało. – Nie przeżylibyśmy tego, ani przez minutę... Rozumiesz?

Plattnerytowe macki otarły się o moją głowę, czoło i ramiona. Uchyliłem się, żeby uniknąć ich zimnego uścisku.

– To znaczy – powiedziałem – że musimy być tacy jak oni. Jak Konstruktorzy... musimy się poddać dotykowi tych plattnerytowych rzęsków! Dlaczego mnie nie ostrzegłeś?

– Czy to by coś pomogło? To jedyny sposób. Twój strach to naturalna reakcja, ale musisz go powściągnąć jeszcze przez chwilę, a potem... potem będziesz wolny...

Czułem, jak chłodne plattnerytowe zwoje usadawiają się na moich nogach i ramionach. Próbowałem pozostać w bezruchu, lecz po chwili miałem wrażenie, że jeden z tych wijących się kabli przesuwają się po moim czole i całkiem wyraźnie poczułem dotyk rzęsek na ciele, i nie mogłem się powstrzymać, by nie krzyknąć i nie próbować uwolnić się od tego lekkiego ciężaru, ale już nie mogłem wstać z siedzenia.

Teraz pogrążony byłem w zieloności i nie widziałem świata na zewnątrz: Księżyca, lodowych pól Ziemi, a nawet większych elementów konstrukcji statku. Te ruchome, quasi-żywe węzły światła przesunęły się po moim ciele i stanęły mi przed oczami, oślepiając mnie. Półmisek z owocami wyslizgnął mi się z drętwiejących palców i upadł z brzękiem na podłogę samochodu, ale nawet ten brzęk szybko ucichł, gdy moje zmysły się przytępiły.

Kopuła w końcu zawaliła się do reszty, a wokół mnie posypał się grad odłamków. Czułem na czole chłód, odległy oddech zimy,

a potem jedynie dotyk zimnych palców Nebogipfela, który trzymał moją dłoń. To było wszystko, co czułem, z wyjątkiem płynnego przemieszczania się plattnerytu po całej mojej skórze. Wyobraziłem sobie, jak rzeski odłączają się i – tak jak kiedyś – włożą w szczeliny mojego ciała. Ta inwazja światła postępowała tak szybko, że już nie mogłem ani ruszyć palcem, ani krzyknąć. Byłem skrępowany, jakby założono mi kaftan bezpieczeństwa. Następnie macki wepchnęły się między moje wargi jak chmara dżdżownic i dotarły do języka, na którym się rozplynęły. Poczulem chłód i nacisk na oczy...

Byłem zagubiony, oddzielony od ciała, pogrążony w szmaragdowym świetle.

Księga Szósta

Statki Czasu

Znajdowałem się poza czasem i przestrzenią.

Nie przypominało to snu, gdyż nawet we śnie mózg jest aktywny, funkcjonuje, przeglądając swój bagaż informacji i wspomnień. Twierdzę, że nawet we śnie człowiek pozostaje świadomy własnej jaźni i tego, że ciągle żyje.

Ten beczasowy okres nie był podobny do takiego stanu. Wydawało mi się raczej, że plattnerytowa pajęczyna delikatnie i po cichu mnie rozmontowała. Mnie tam po prostu nie było, a okruchy mojej osobowości, strzępy pamięci, zostały porozdzielane i rozrzucone w tamtym ogromnym i niewidzialnym Morzu Informacji, które tak bardzo się podobało Nebogipfelowi.

A potem stała się rzecz znacznie bardziej tajemnicza! Stwierdziłem, że znów tam jestem. Nie potrafię tego wyrazić w bardziej zrozumiały sposób. Nie było to podobne do przebudzenia, lecz raczej włączenia, tak jak się zapala żarówkę. W jednej chwili nic, w następnej pełna, rozdygotana świadomość.

Odzyskałem zdolność widzenia. Zobaczyłem wyraźnie świat: jarzący się zieloną barwą kadłub statku czasu wokół mnie, błady blask Ziemi w oddali.

Znów istniałem! Przepeliła mnie paniczna trwoga z powodu tamtego okresu nieobecności. Bardziej od piekła obawiałem się nieistnienia – już dawno temu doszedłem do wniosku, że

z radością powitałbym męki, które Lucyfer rezerwuje dla inteligentnego człowieka niewierzącego, gdyby te cierpienia były dowodem, że moja świadomość nadal istnieje!

Nie pozwolono mi jednak rozmyślać o moim niepokoju, gdyż teraz doznałem niezwykłego wrażenia, że jestem unoszony. Uświadomiłem sobie, że działa na mnie coraz większa siła, jakby jakiś olbrzymi magnes ciągnął mnie w górę. Siła wzrastała – wydawało się, że jestem pyłkiem, o który walczą dwie potęgi – a potem nagle to napięcie ustało. Poleciałem do góry, czując się dokładnie tak, jakbym znów był małym dzieckiem i mój ojciec bezpiecznie mnie podnosił w swoich silnych rękach. Doznawałem tego samego uczucia lekkości, wrażenia, że frunę. Substancja statku czasu uniosła się wraz ze mną, tak iż przypominało to przebywanie w środku olbrzymiego, otwartego, błyszczącego zieloną barwą balonu, który wzlatuje w powietrze.

Spojrzałem w dół, a przynajmniej próbowałem to zrobić. Nie czułem ani głowy, ani karku, ale mój panoramiczny widok przesunął się w dół. Musicie sobie wyobrazić, że statek, w którym się znajdowałem, przypominał ogromnie powiększony parowiec – jego soczewkowata stępka była długa na wiele mil – a jednak płynął nad krajobrazem z taką łatwością jak chmura. Przez rozwartą, pajęczynowatą strukturę statku widziałem ląd w dole i teraz patrzyłem bezpośrednio z góry na nasz samochód czasu. Choć widok przesłaniały mi zawile, ewoluujące błyski statku, wydawało mi się, że dostrzegam dwa ciała w samochodzie, mężczyzny i trochę mniejszej postaci, które ześlizgnęły się na podłogę pojazdu i już były zeszywniałe z powodu wdzierającego się zimna.

Mój wzrok wyczytniał dziwaczne rzeczy. Nie był skierowany na jedną, konkretną rzecz, lub raczej brakowało mu centralnego

punktu obserwacji. Kiedy patrzycie na coś, powiedzmy filiżankę, widzicie ją i w danej chwili stanowi ona centrum waszego świata, a wszystko inne usunięte zostaje na bok, na peryferie waszego pola widzenia. Teraz jednak stwierdziłem, że mój świat nie ma żadnego centrum ani peryferii. Widziałem lód, statek i samochód czasu tak, jakby te wszystkie rzeczy zajmowały centrum lub peryferie równocześnie! To było bardzo mylące.

Wydawało się, że mój brzuch i głowa zdrętwiały, całkowicie straciłem w nich czucie. Widziałem bardzo dobrze, ale w ogóle nie czułem twarzy, szyi, reszty ciała – właściwie niczego z wyjątkiem lekkiego, prawie upiornego dotyku palców Nebogipfela, które nadal zaciskały się wokół moich. To mnie trochę pocieszyło, gdyż dobrze było wiedzieć, że przynajmniej on tu ze mną jest!

Myślałem, że jestem martwy, ale przypomniałem sobie, że już raz tak myślałem, kiedy wchłonął mnie i odnowił Uniwersalny Konstruktor. Co miało się ze mną stać teraz, nie potrafiłem przewidzieć.

Statek zaczął się znów unosić, tym razem znacznie szybciej. Samochód czasu i wieża, na której spoczywał, zostały zmiecione. Zostałem uniesiony milę, dwie mile, dziesięć mil nad powierzchnię. Poda mną rozłożona była cała mapa tego odległego Londynu, widoczna pomimo błysków statku czasu.

Nadal się wznosiliśmy – musieliśmy mknąć szybciej od kuli armatniej – a jednak nie słyszałem świstu powietrza, nie czułem wiatru na twarzy. Miałem poczucie bezpieczeństwa i doznawałem dziecięcego wrażenia lekkości, o którym już wspominałem. Krąg widzenia poda mną się poszerzał, szczegóły budynków oraz lodowych pól stały się niewyraźne, a fosforyzująca szarość mieszała się coraz bardziej z zimną bielą

lodu. Gdy zasłona atmosfery między mną i zewnętrzną przestrzenią kosmiczną zrobiła się cieńsza, nocne niebo, które miało kolor szarego żelaza, przybrało głębszy odcień.

Teraz znajdowaliśmy się tak wysoko, że widać było krzywiznę planety. Wyglądało to tak, jakby Londyn stał na szczycie jakiegoś olbrzymiego wzgórza. Rozpoznałem kształt biednej Brytanii, uwięzionej w okowach morza lodu.

Nie czułem rąk i nóg, brzucha i ust. Wydawało się, że gwałtownie odcięto mnie od materii i patrzyłem na wszystko z pewnego rodzaju pogodą ducha.

Nadal się wspinaliśmy. Wiedziałem, że już jesteśmy wysoko nad atmosferą. Zmarznięte równiny przeobraziły się z krajobrazu w powierzchnię kulistego świata, który obracał się – biały, pogodny i zupełnie martwy – pode mną. Za migoczącą Ziemią znajdowały się kolejne statki czasu. Zobaczyłem teraz setki tych pojazdów: błyszczące zieloną barwą, soczewkowate łodzie o długości wielu mil. Tworzyły rozproszoną armadę, która żeglowała po powierzchni kosmosu, a ich światło odbijało się od pomarszczonej powłoki okrywającego Ziemię lodu.

Usłyszałem dźwięk własnego imienia, a raczej dotarł on do mojej świadomości za pośrednictwem środka, którego nie miałem ochoty próbować objaśniać. Usiłowałem się obrócić, ale stwierdziłem, że pole mojego widzenia samo wykonuje skręt.

– Nebogipfel? Czy to ty?

– Tak. Jestem tutaj. Czy nic ci nie jest?

– Nebogipfelu... Nie widzę cię.

– Ani ja ciebie. Ale to nie ma znaczenia. Czy czujesz moją rękę?

– Tak.

Teraz Ziemia zdryfowała na bok i nasz statek ustawił się w szeregu z innymi. Wkrótce zewsząd otoczyły nas statki czasu,

wypełniając międzyplanetarną pustkę na przestrzeni wielu mil. Przypominało to przebywanie w środku eskadry wielkich, błyszczących wielorybów. Światło plattnerytu było jaskrawe, a jednak wydawało się trochę nierzeczywiste, jakby odbijało się od jakiejś niewidocznej płaszczyzny. Znowu doznałem wrażenia, że statki są nietrwałe, jakby nie należały ani do tej, ani do żadnej innej rzeczywistości.

– Nebogipfelu, co się z nami dzieje? Dokąd lecimy?

– Przecież znasz odpowiedź – odparł łagodnie. – Mamy polecieć wstecz przez czas... do jego granicy, do jego najgłębszego, ukrytego jądra.

– Czy już niedługo wyruszymy?

– Już wyruszyliśmy – odparł. – Spójrz na gwiazdy.

Obróciłem się – a raczej czułem, że to robię – odwróciłem wzrok od białej Ziemi i zobaczyłem, że na całym niebie wyłaniają się gwiazdy.

Kiedy wracaliśmy w czasie, kolonizacyjne floty z Ziemi kolejno wracały falami do swojego początku i zmiany, które ludzie zaprowadzili na światach i gwiazdach, zostały wycofane. I kiedy ta powódź cywilizacji oraz rozwoju usunęła się z kosmosu, sfery, które maskowały gwiazdy, po kolei się padły. Rozglądałem się ze zdumieniem, kiedy stare konstelacje zaczynały ponownie świecić niczym niezliczone kandelabry. Syriusz i Orion lśniły tak wspaniale, jak zawsze podczas zimowej nocy. Gwiazda Polarna tkwiła nad moją głową i rozpoznałem znajomą Wielką Niedźwiedzicę, która z profilu przypominała patelnię. Daleko przede mną, poza krzywizną Ziemi, znajdowały się dziwne zgrupowania gwiazd, których nigdy nie widziałem na angielskim niebie. Nie znałem gwiazdozbiorów na antypodach tak dobrze, bym mógł je wszystkie rozpoznać, ale dostrzegłem Krzyż Południa w kształcie groźnie wyglądającego noża, słabo świecące kłęby będące Obłokami Magellana oraz jaskrawe bliźniaki, Alfę i Betę Centauri.

Gdy dalej penetrowaliśmy przeszłość, gwiazdy zaczęły się prześlizgiwać po niebie. W ciągu kilku sekund znajome gwiazdozbiory rozmazały się, gdy ruchy właściwe gwiazd – zbyt powolne, by człowiek zdołał je dostrzec w swoim krótkim życiu – stały się widoczne dla moich oczu, którymi widziałem cały kosmos.

Zwróciłem uwagę Nebogipfelowi na to nowe zjawisko.

– Tak. I popatrz na Ziemię...

Spojrzałem. Lodowa maska, która zeszpeciła kochany, wycieńczony glob, już się zsuwała. Zobaczyłem, jak biel cofa się wielkimi falami w kierunku biegunów, odsłaniając brąz lądu i błękit mórz.

Nagle lód zniknął – wypędzony z powrotem do swych twierdz na biegunach – i świat obracał się powoli pod nami, a jego znajome kontynenty zostały przywrócone. Ale Ziemię spowijały chmury o niezdrowych, nienaturalnych kolorach: brązowych, fioletowych, pomarańczowych. Wzdłuż wybrzeży biegły obwódki światła, a na środku każdego kontynentu jarzyły się wielkie miasta. Zobaczyłem, że nawet na centralnych obszarach oceanów znajdują się olbrzymie, pływające miasta. Powietrze było takie niezdrowe, że w tych wielkich miastach – o ile ktokolwiek chodził po powierzchni – ludzie musieli nosić maski lub filtry, by móc oddychać.

– Najwidoczniej jesteście świadkami ostatnich dni, kiedy Nowi Ludzie dokonywali zmian na Ziemi – stwierdziłem. Z każdą minutą musimy pokonywać miliony lat...

– Tak.

– A zatem dlaczego nie widzimy, by Ziemia wirowała wokół własnej osi jak bąk i pędziła wokół Słońca?

– To nie takie proste... Te statki nie są podobne do prototypu twojego wehikułu czasu.

– Wszystko, co widzimy – ciągnął Nebogipfel – to rekonstrukcja. To pewnego rodzaju projekcja oparta na obserwacjach, które w trakcie naszej podróży dostają się do Morza Informacji, a w każdym razie tej jego części, którą transportują statki. Takie zjawiska jak rotacja Ziemi zostały

wyeliminowane.

– Nebogipfelu, czym jestem? Czy nadal jestem człowiekiem?

– Jesteś nadal sobą – odparł stanowczym tonem. – Jediną różnicą jest teraz to, że maszyna, która utrzymuje cię przy życiu, nie jest zbudowana z ciała i kości, lecz konstrukcji zawartych w Morzu Informacji... Twoje kończyny nie składają się z krwi i mięśni, lecz segmentów danych.

Jego głos unosił się gdzieś w przestrzeni wokół mnie. Już nie pokrębiało mnie uczucie wywołane dotykiem jego ręki i nie potrafiłem stwierdzić, czy Morlok jest blisko mnie, ale odnosiłem wrażenie, że ta bliskość już nic nie znaczy, gdyż nie miałem pojęcia, gdzie „ja” się znajduję. Bez względu na to, czym się stałem, wiedziałem, że już nie jestem jednostką, świadomą istotą, która patrzy ze swojej kościstej jaskini.

Powietrze na Ziemi zrobiło się przejrzyste. Z zaskakującą nagłością światła miast na całej planecie przyciemniły się i zaczęły mrugać, i niebawem na Ziemi nie było widać żadnych śladów działalności człowieka.

Wybuchły wulkany, wyrzucając z siebie wielkie, błyskające kłęby popiołu, które migotały nad światem – lub raczej w miarę, gdy cofaliśmy się w czasie, te chmury chowały się w wylotach wulkanów – i wydawało mi się, że kontynenty oddalają się od swoich pozycji jak na mapach szkolnych. Na wielkich równinach półkuli północnej doszło do zmagania – powolnych, trwających wiele tysięcy lat – między dwiema klasami roślinności: z jednej strony były blade, zielono-brązowe pastwiska i lasy, porośnięte zrzucającymi liście drzewami, które obramiały kontynenty na skraju lodowej czapy, a z drugiej agresywna zieleń tropikalnych dżungli. Przez chwilę zwyciężały dżungle i z rozmachem przesunęły się na północ od równika, aż pokryły lądy od tropiku

po Europę i Amerykę Północną. Nawet Grenlandia stała się na krótko zielona. A potem, tak szybko, jak podbiły Ziemię, wielkie dżungle wycofały się do swoich równikowych twierdz i powierzchnie kontynentów na północy zostały szybko zasnuwane ciemniejszymi odcieniami zieleni i brązu.

Kontynenty zaczęły się przesuwać i obracać w bardziej widoczny sposób. I kiedy wkraczały w inną strefę klimatyczną, ich kolory życia odpowiednio się zmieniały, tak iż nieszczęśliwe lądy okrywane były wielkimi pasami zieleni i brązu. Te geologiczne kroki w rytmie walca przerywane były olbrzymimi, druzgocącymi spazmami wybuchających wulkanów.

Teraz kontynenty się połączyły – jakby ktoś dobrał elementy układanki – by utworzyć jedną, olbrzymią masę lądową, która zajęła połowę globu. Wnętrze tej wielkiej krainy od razu przeobraziło się w pustynię.

– Cofnęliśmy się już trzysta milionów lat w przeszłość... – oznajmił Nebogipfel. – Nie ma ssaków i ptaków. Nie narodziły się jeszcze nawet gady.

– Nie miałem pojęcia – odparłem – że to wszystko przypomina taki pełen wdzięku, rozkołysany balet. Geolodzy z moich czasów muszą jeszcze wiele zrozumieć! Wygląda to tak, jakby cała planeta żyła i ewoluowała.

Teraz wielki kontynent rozpadł się na trzy olbrzymie części. Już nie mogłem rozpoznać znajomych kształtów lądów z moich czasów, gdyż kontynenty wirowały jak talerze na wypolerowanym blacie stołu. Gdy ta ogromna, centralna pustynia została podzielona, klimat stał się znacznie bardziej urozmaicony i dostrzegłem szereg płytkich mórz, które obramiałały lądy.

– Teraz płazy wracają do mórz – wyjaśnił Nebogipfel – a ich

prototypowe kończyny zanikają. Ale na lądzie nadal istnieją owady i inne bezkręgowce: stonogi, roztocza, pająki i skorpiony...

– Niezbyt to gościnne miejsce – zauważyłem.

– Są też olbrzymie ważki i inne cuda. Świat nie jest pozbawiony piękności.

Teraz ląd zaczął tracić swą zieloność – pewnego rodzaju błada brązowość przelazła przez wycofującą się falę życia – i domyśliłem się, że mijamy okres, kiedy na lądzie pojawiły się pierwsze rośliny liściaste. Niebawem powierzchnia Ziemi przekształciła się w jednolitą masę w kolorze brązu i mętnej niebieskości. Wiedziałem, że życie nadal istnieje w morzach, ale przybiera coraz prostsze formy, a całe rasy znikają w łonie historii: najpierw są ryby, następnie mięczaki, a potem gąbki, meduzy i dżdżownice... W końcu uświadomiłem sobie, że w ciemnych morzach muszą pozostawać jedynie cienkie, zielone wodorosty, które starają się przetworzyć światło słoneczne w tlen. Ziemia była jałowa i skalista, a atmosfera zrobiła się gęsta, zabarwiona przez szkodliwe gazy na żółto i brązowo. W jednej chwili na Ziemi wybuchnęły wielkie pożary. Gęste chmury zasnuły glob, a morza cofnęły się jak wysychające kałuże. Ale chmury nie istniały zbyt długo. Atmosfera coraz bardziej się rozrzedzała, aż w końcu zniknęła. Odślonięta skorupa jarzyła się jednorodną, matową czerwienią, z wyjątkiem miejsc, gdzie wielkie pomarańczowe rany otwierały się i zamykały jak usta. Nie było żadnych mórz, żadnych różnic między lądem i oceanem. Istniała tylko ta nieskończona, zmaltretowana skorupa, nad którą unosiły się uważnie spoglądające i pełne wdzięku statki czasu.

W następnej chwili blask skorupy stał się jaśniejszy – nieznośnie jasny – i wraz z eksplozją jarzących się odłamków

młoda Ziemia zatrzęsała się na swej osi, zadrżała i rozpadła się na kawałki!

Wyglądało to tak, jakby niektóre z tych odłamków przeszły pędem przeze mnie. Błyszcząca skała przedarła się przez moją świadomość i pomknęła w przestrzeń kosmiczną.

A potem to wszystko się skończyło! Teraz było tylko Słońce... i bezkształtna, wirująca tarcza, która kręciła się wokół lśniącej gwiazdy.

Przez naszą chmurę statków czasu przetoczyła się fala, jakby odwrotne zrastanie się Ziemi wywołało fizyczny wstrząs, który przeszedł przez tamtą rozproszoną armadę.

– To dziwny okres, Nebogipfelu – powiedziałem.

– Rozejrzyj się...

Zrobiłem tak i zobaczyłem na całym niebie kilka gwiazd – może tuzin – które robiły się coraz jaśniejsze. Teraz gwiazdy utworzyły pewien szyk, rozsianą na niebie formację, choć nadal były tak daleko, że stanowiły jedynie punkty świetlne. Wydawało się, że wiązki gazów skupiają się w chmurę, rozproszoną na niebie i spowijającą ten zbiór gwiazd.

– To prawdziwi towarzysze Słońca – powiedział Nebogipfel. – Jego rodzeństwo, jeśli wolisz: gwiazdy, które dzieliły ze Słońcem pierwotną chmurę. Kiedyś tworzyły skupisko tak jasne i zwarte jak plejady... ale grawitacja nie utrzyma ich w kupie i rozejdą się przed narodzinami życia na Ziemi.

Bezpośrednio nad moją głową rozbłysła jedna z młodych gwiazd. Tak się rozszerzyła, że utworzyła tarczę, lecz wkrótce stała się bardziej czerwona i słabsza... aż wreszcie zgasła, a blask tamtej części chmury zniknął.

Teraz kolejna gwiazda, prawie naprzeciwko tamtej pierwszej, przeszła ten sam cykl: błysk, po którym nastąpiło rozszerzenie

się w jaskrawą, purpurową tarczę, a potem śmierć.

Musicie sobie wyobrazić, że całe to wspaniałe widowisko odbywało się w całkowitej ciszy.

– Jesteśmy świadkami narodzin gwiazd – powiedziałem – ale w odwrotnym kierunku.

– Tak. Embrionalne gwiazdy rozpalają swoją narodzinową chmurę gazową – takie mgławice to piękny widok – ale po gwiazdnym zapłonie lżejsze gazy uciekają od gorąca, pozostawiając jedynie cięższy gruz...

– Gruz, z którego powstają światy – dokończyłem.

– Tak.

Teraz – tak szybko! – nadeszła kolej na Słońce. Nastąpił niepewny błysk żółtobiałego światła, oślepiający blask, który odbił się od plattnerytowych dziobów statków czasu, a potem szybko przekształcił w ogromną kulę, która zalała armadę statków czasu chmurą purpurowego światła... W końcu całość rozproszyła się w ogólnej pustce.

Statki zawisły nagle w ciemności. Ostatni towarzysz Słońca rozbłysnął, nabrzmiął i zgasł. Pozostaliśmy w chmurze zimnego, bezwładnego wodoru, w której odbijało się nasze światło zieleni plattnerytu.

Niebo pocętkowane było jedynie odległymi gwiazdami i zobaczyłem, że one też migoczą, rozbłyskują i znikają. Wkrótce niebo pociemniało i domyśliłem się, że liczba gwiazd coraz bardziej się zmniejsza.

A potem nagle na niebie rozbłysły gwiazdy nowej generacji. Wydawało się, że jest ich tam mrowie: kilkadziesiąt było tak blisko siebie, że tworzyły tarczę. Jestem pewien, że przy świetle tych nowych gwiazd można było przeczytać gazetę – nie znaczy

to jednak, że mogłem przeprowadzić taki eksperyment!

– Niech to licho porwie, Nebogipfelu, cóż za zdumiewający widok! Pod takim niebem astronomia wyglądałaby trochę inaczej, prawda?

– To pierwsza generacja gwiazd. To jedyne światła w nowym kosmosie... Każda z tych gwiazd ma masę sto tysięcy razy większą od naszego Słońca, ale wszystkie spalają swoje paliwo bardzo szybko – ich okres istnienia wynosi zaledwie kilka milionów lat.

Rzeczywiście, jeszcze kiedy to mówił, zobaczyłem, że gwiazdy się rozszerzają, czerwienieją i rozpraszają niczym wielkie, przegrzane balony.

I ten proces wkrótce dobiegł końca i niebo znów pogrążyło się w ciemności, z wyjątkiem zielonego blasku statków czasu, które równomiernie i zdecydowanie brnęły w przeszłość.

3

Granica przestrzeni i czasu

Otoczającą mnie przestrzeń zaczął wypełniać nowy, jednorodny blask. Zastanawiałem się, czy to nie jakaś wcześniejsza generacja gwiazd świeci w tych pierwotnych czasach – generacja, o której nie śniło się Nebogipfelowi i jego duchowym towarzyszom – Konstruktorom. Wkrótce jednak zauważyłem, że blask nie pochodzi z pojedynczych źródeł takich jak gwiazdy. Było to światło, które wydawało się lśnić wokół mnie, jakby pochodziło od struktury samej przestrzeni kosmicznej. Gdzieś jednak blask był pocętkowany. Domyślałem się, że przyczyną tego są gęste skupiska embrionalnej materii gwiazdnej, która świeci jaśniej. To światło miało z początku barwę bardzo ciemnej purpury – przypominało mi zachód słońca, który przebija się przez chmury – ale rozjaśniło się i przeszło przez znajomą skalę barw widmowych: od pomarańczowej, poprzez żółtą i niebieską, do fioletowej.

Dostrzegłem, że flota statków czasu skupia się w jednym miejscu. Pojazdy wyglądały jak tratwy z zielonego drutu, dryfujące na tle oślepiającej pustki i zbliżające się do siebie, jakby szukały wygodnej pozycji. Macki w postaci plattnerytowych sznurów przekroczyły iskrzącą się, pustą

przestrzeń między statkami i połączyły się ze sobą, a ich końcówki wchłonięte zostały przez złożone konstrukcje statków. Niebawem całą armadę wokół mnie łączyła swego rodzaju pajęczyna z rzęsków.

– Nawet na tym wczesnym etapie – powiedział Nebogipfel – wszechświat ma strukturę. Rodzące się galaktyki stanowią kałuże zimnego gazu zgromadzonego w studniach grawitacyjnych... Ale struktura imploduje, kurczy się w trakcie naszej podróży wstecz do granicy.

– A zatem przypomina eksplozję w odwrotnym kierunku – podsunąłem Nebogipfelowi. – To kosmiczny szrapnel, który zapada się do miejsca detonacji. W końcu cała materia we wszechświecie skupi się w jednym punkcie – w jakimś dowolnym punkcie środkowym – i nastąpi coś, co będzie przypominać narodziny wielkiego słońca w środku nieskończonej i pustej przestrzeni.

– Nie. To proces znacznie subtelniejszy...

Przypomniał mi o zakrzywieniu osi czasu i przestrzeni – zniekształceniu, które leży u podstaw podróżowania w czasie.

– Właśnie teraz dokonuje się to skrócenie osi wokół nas – powiedział. – Kiedy cofamy się w czasie, materia i energia nie zbiegają się do ustalonego punktu, jak muchy, które zlatują się na środku pustego pokoju... Przestrzeń raczej się zwija – spręża – kurczy jak przebity balon lub zgnieciona w rękę kartka papieru.

Zrozumiałem jego opis, ale poczułem lęk, gdyż nie wiedziałem, w jaki sposób życie czy umysł mogą przetrwać takie zgniatanie!

Wszechobecne światło zrobiło się jaśniejsze i z zaskakującą prędkością wspięło się po spektralnej skali do oślepiającego fioletu. Grupki i wiry w morzu wodoru zakręciły się jak płomień w piecu. Połączone sznurami z rzęsków statki czasu

były ledwie widoczne niczym mizerne sylwetki na tle tamtego nierównego blasku. Wreszcie niebo stało się tak jasne, że wydawało mi się, iż widzę tylko biel. Przypominało to patrzenie w słońce.

Nastąpił bezgłośny wstrząs. Poczułem się, jakbym usłyszał brzęk czyneli. Światło pomknęło w moim kierunku jak fala jakiegoś płynu i ogarnęła mnie biała ślepotą. Byłem pogrążony w bardzo jasnym świetle, które wydawało się zalewać moje jestestwo. Już nie potrafiłem rozróżnić tych cętkowanych grupek ani dostrzec statków czasu – nawet własnego!

– Nic nie widzę – zawołałem do Nebogipfela. – Światło...

W tej eksplozji światła jego głos brzmiał cicho i spokojnie.

– Dotarliśmy do epoki ostatniego rozproszenia... Przestrzeń kosmiczna jest teraz wszędzie tak gorąca, jak powierzchnia Słońca i wypełniona naładowaną elektrycznie materią. Wszechświat już nie jest przezroczysty, tak jak to będzie w naszych czasach...

Zrozumiałem, dlaczego statki połączone zostały za pomocą tych sznurków z substancji Konstruktorów: przez ten oślepiający blask na pewno nie mógł się przedostawać żaden sygnał. Błysk stał się jeszcze bardziej jaskrawy, aż nabrałem pewności, że musiał znacznie wykroczyć poza granice widzenia oczu człowieka – nie znaczy to, że człowiek mógłby choćby chwilę przetrwać w tamtym jarzącym się, kosmicznym piecu!

Czułem się tak, jakbym tkwił samotnie zawieszony w niewyobrażalnym bezmiarze. Jeśli Konstruktorzy tam byli, nie wyczuwałem ich obecności. Moje poczucie upływu czasu zachwiało się i rozregulowało. Nie potrafiłem powiedzieć, czy widzę wydarzenia w skali stuleci, czy sekund, lub czy obserwuję ewolucję gwiazd, czy atomów. Przed wejściem w tę ostatnią zupę

światła zachowałem resztki orientacji przestrzennej – wiedziałem, gdzie jest góra, a gdzie dół, co jest blisko, a co daleko... Otaczający mnie świat ukształtowany był jak wielki pokój, w którym tkwiłem zawieszony. Ale teraz, w tej epoce ostatniego rozproszenia, to wszystko się ode mnie odsunęło. Byłem pyłkiem świadomości podskakującym na powierzchni tamtej wielkiej rzeki, która wszędzie wokół mnie wiła się z powrotem do swojego źródła, i mogłem tylko pozwolić, by ten ostateczny strumień zawiódł mnie tam, gdzie chciał.

Zupa promieniowania stała się nieznośnie gorąca i zobaczyłem, że materia wszechświata, materia, z której kiedyś miały powstać gwiazdy, planety oraz moje własne, opuszczone ciało, stanowi zaledwie bardzo nietrwałą substancję zanieczyszczającą w tym kipiącym potoku światła i gwiazd. Wreszcie – wydawało mi się, że dokładnie to widzę – nawet jądra atomów się rozpadły pod wpływem tego nieznośnego światła. Przestrzeń kosmiczna wypełniona była zupą jeszcze bardziej elementarnych cząstek, które zmieniały swoje konfiguracje wokół mnie w zawiłych, mikroskopijnych kolizjach.

– Jesteśmy blisko granicy – szepnął Nebogipfel – początku samego czasu... A jednak musisz wyobrazić sobie, że nie jesteśmy sami, że nasza historia – ten młody, iskrzący się wszechświat – to tylko jedna z nieskończonej ich liczby, która się wyłoniła z tamtej granicy. I że w miarę, jak się cofamy, wszystkie części składowe tej wielorakości zbiegają się ku tej chwili, tej granicy, jak pikujące ptaki...

Wszystko nadal się kurczyło, wciąż wzrastała temperatura i zwiększała się gęstość materii i energii. I teraz nawet te ostatnie szczątki promieniowania i materii wchłonięte zostały z powrotem do zniekształcającego korpusu czasu i przestrzeni,

a ich energie zmagazynowane w sile tamtego wielkiego skręcania.

Aż w końcu...

Ostatnie, iskrzące się cząstki odsunęły się ode mnie łagodnie i natężenie oślepiającego blasku promieniowania zwiększyło się do poziomu pewnego rodzaju niewidzialności.

Moją świadomość wypełniało teraz tylko szarobiałe światło, ale to metafora, gdyż wiedziałem, że to, czego teraz doświadczam, to nie światło w sensie fizycznym, lecz hipotetycznie przyjęty przez Platona blask, światło, które leży u podstaw wszelkiej świadomości – światło, na tle którego materia, zdarzenia i umysły to tylko cienie.

– Dotarliśmy do momentu nukleacji – szepnął Nebogipfel. – Przestrzeń i czas są tak skręcone, że nie można ich rozróżnić. Nie ma tu fizyki... Nie ma struktury. Nie można wskazać i powiedzieć: to jest tam, w takiej odległości, a ja jestem tutaj. Nie ma żadnej miary, niemożliwe są żadne obserwacje... Wszystko stanowi jedność. I tak, jak nasza historia skurczyła się do jednego, rozpalonego punktu, tak samo zbiegły się wielorakie historie. Sama granica rozpływa się – rozumiesz to? – zagubiona w nieskończonych możliwościach zapadłej wielorakości...

I wtedy zabłysnął pojedynczy, bardzo jasny promień światła: w zielonym kolorze plattnerytu.

Scalona wielorakość zadrżała. Poczułem, że jestem skręcany – rozciągany i maltretowany – jakby unosząca mnie wielka rzeka przyczynowości stała się wzburzona i wroga.

– Nebogipfelu?

W jego głosie słychać było szaloną radość.

– To Konstruktorzy! Konstruktorzy...

Drganie ustało. Zielony blask zniknął i znów pograżony byłem w szarej bieli momentu stworzenia. Potem napłynęło nowe, zwykłe białe światło, ale trwało to zaledwie chwilę, po której obserwowałem, jak energia i materia skraplają się niczym rosa podczas nowej fazy rozrastania się czasoprzestrzeni.

Ponownie podróżowałem naprzód w czasie, oddalając się od granicy. Zostałem ciśnięty w nową historię, która wyłoniła się z nukleacji. Wszechobecny blask był nadal oślepiający, z pewnością wielokrotnie jaśniejszy od jądra Słońca.

Już nie towarzyszyły mi statki czasu – być może ich konstrukcja nie była w stanie przetrwać podróży przez nukleację – a otaczająca mnie plattnerytowa sieć zniknęła. Nie byłem jednak sam. Wszędzie wokół widziałem cętki zielonego światła plattnerytu – podobne do płatków śniegu w błysku flesza – które podskakiwały i krążyły wokół siebie. Wiedziałem, że to rozczłonkowana świadomość Konstruktorów i zastanawiałem się, czy wśród cząstek tego bezcielesnego gospodarza znajduje się

Nebogipfel, i czy reszta też mnie postrzega jako tańczący punkcik.

Czy kierunek mojej podróży w czasie został odwrócony? Czy miałem ponownie popłynąć w górę strumienia historii ku mojej epoce?

– Nebogipfelu? Czy nadal mnie słyszysz?

– Jestem tutaj.

– Co się dzieje? Czy znów podróżujemy w czasie?

– Nie – zaprzeczył. W jego bezcielesnym głosie nadal pobrzmiwała nuta szalonej radości, wręcz triumfu.

– A więc co? Co się z nami dzieje?

– Nie widzisz? Nie rozumiesz? Wykroczyliśmy poza nukleację. Dotarliśmy do granicy. I...

– Tak?

– Wyobraź sobie wielorakość jako powierzchnię – powiedział.

– Wielorakość jako całość jest gładka, zamknięta i niczym się nie wyróżniająca, to kula. A historie przypominają południki, które łączą bieguny tej kuli...

– I statki czasu dotarły do jednego bieguna.

– Tak. Do punktu, w którym zbiegają się wszystkie południki. I dokładnie w tamtej chwili nieskończonych możliwości Konstruktorzy uruchomili silniki nieliniowości... Konstruktorzy przebyli historie – ciągnął. – Wraz z nimi podążyliśmy ścieżkami urojonego czasu, ścieżkami biegnącymi w poprzek całej powierzchni kuli wielorakości, aż dotarliśmy do tej nowej historii...

Teraz chmara Konstruktorów – wydawało mi się, że są ich miliony – rozproszyła się niczym iskry dziecięcych fajerwerków. Wyglądało to tak, jakby Konstruktorzy próbowali wypełnić niedawno powstałą próżnię światłem i świadomością, które

przynieśliśmy z innego kosmosu. I gdy ten nowy wszechświat się rozrastał, poświata stworzenia przemieniła się w gęstą ciemność.

To był ostateczny rezultat – logiczne zakończenie – moich badań nad właściwościami światła, a także zniekształcenia ram czasoprzestrzeni, które się z tym wiązało. Uświadomiłem sobie, że to wszystko – nawet zapasć wszechświata i ta wielka wędrówka przez historie – było nieuchronnym efektem moich eksperymentów, budowy mojego pierwszego, kochanego wehikułu z mosiądzu i kwarcu...

Doprowadziło to do przejścia umysłu z jednego wszechświata do drugiego.

– Ale dokąd dotarliśmy? Co to za historia? Czy jest taka jak nasza?

– Nie – odparł Nebogipfel. – Nie jest taka jak nasza.

– Czy będziemy mogli tu żyć?

– Nie wiem... – odrzekł. – Nie była przeznaczona dla nas. Pamiętaj, że z całej nieskończonej gamy możliwości, która stanowi wielorakość, Konstruktorzy odszukali wszechświat, który jest dla nich optymalny.

– Tak, tylko jak Konstruktor rozumie tę optymalność?

Wyobraziłem sobie mgliście niebo – miejsce pokoju, bezpieczeństwa, piękna, światła – ale wiedziałem, że te wyobrażenia są beznadziejnie antropomorficzne.

Teraz zobaczyłem nowe światło, które rozproszyło ciemności wokół nas. Najpierw pomyślałem, że to odbłask ognistej kuli, którą widziałem na początku czasu, ale był zbyt łagodny, zbyt uporczywy. Bardziej przypominał światło gwiazd...

– Konstruktorzy nie są ludźmi – powiedział Morlok. – Ale są spadkobiercami ludzkości. I śmiałość ich udanego przedsięwzięcia jest zdumiewająca. Spośród wszystkich

niezliczonych możliwości Konstruktorzy wyszukali ten jeden jedyny wszechświat, który jest nieskończony i wieczny, w którym ta granica na początku czasu została zepchnięta w nieskończoną przeszłość.

– Wyszliśmy poza nukleację, do granicy samej czasoprzestrzeni – podsumowałem. – I odziedziczone po małpie ręce wyciągnęły się w kierunku istniejącej tam osobliwości i odepchnęły ją!

Światło zaczęło buchać z otaczającej mnie ciemności i wszędzie zapalały się gwiazdy. Wkrótce całe niebo płonęło tak jasno, jak powierzchnia Słońca.

Nieskończony wszechświat!

Równie dobrze moglibyście spojrzeć – przez powłokę przesyconych dymem chmur nad Londynem – na gwiazdy, które wytyczają granice sklepienia niebieskiego. To wszystko jest takie ogromne, takie niezmiennie, że z łatwością można przypuścić, iż kosmos jest nieskończony i wieczny.

Ale to jest niemożliwe. Aby zrozumieć dlaczego, wystarczy tylko postawić zdroworozsądkowe pytanie: „Dlaczego nocne niebo jest ciemne?”

Gdyby wszechświat był nieskończony, z gwiazdami i galaktykami rozmieszczonymi w całej nieskończonej próżni, to patrząc w dowolnym kierunku, musielibyście widzieć promień światła dochodzący z powierzchni gwiazd. Całe nocne niebo jarzyłoby się tak jasno jak Słońce...

Konstruktorzy rzucili wyzwanie ciemności samego nieba.

Obraz przed moimi oczami cechował się bezlitosną ostrością. Nie było tam ani łagodnego blasku, ani atmosfery, tylko nieskończona jaskrawość nakrapiana niezliczonymi wyraźnymi punkcikami i plamkami światła. Wydawało mi się, że gdzieś dostrzegam konkretne wzory i cechy charakterystyczne – konstelacje złożone z jaśniejszych gwiazd na jednorodnym tle – ale byłem tak oślepiiony, że nie mogłem nigdy powtórnie dojrzeć tego samego wzoru.

Towarzyszące mi iskry plattnerytowego światła, które widziałem nad i pod sobą – Konstruktorzy, a wśród nich Nebogipfel – oddaliły się ode mnie jak błyszczące zieloną barwą fragmenty snu. Zostałem sam. Nie czułem strachu, nie było mi niewygodnie. Drgania, których doświadczyłem w okresie nieliniowości, ustały, i straciłem poczucie miejsca, czasu oraz trwania...

Potem jednak – po czasie, którego nie potrafiłem zmierzyć – dostrzegłem, że już nie jestem sam.

Na tle światła gwiazd uformowała się przede mną postać, jakby przed moimi oczami ustawiono przezrocze. Najpierw stanowiła zwykły cień na tle wszechobecnego, oślepiającego blasku – z początku nie byłem pewien, czy tam w ogóle coś jest z wyjątkiem urojonych wytworów mojej rozgorączkowanej wyobraźni – ale w końcu przybrała trwały kształt.

Była to kula, na pozór żywego ciała, która tak jak ja tkwiła zawieszona w przestrzeni. Ocenilem, że znajduje się osiem do dziesięciu stóp ode mnie (gdziekolwiek i czymkolwiek byłem) i jest szeroka na jakieś cztery stopy. Z dolnej części kuli zwisały macki. Usłyszałem cichy szmer. Stwór pozbawiony był nozdrzy, miał mięsisty dziób i dwie olbrzymie powieki, które teraz uniosły się jak kurtyny, odsłaniając oczy – ludzkie oczy! Utkwił we mnie wzrok.

Oczywiście, rozpoznałem go. Należał do stworzeń, które nazwałem Obserwatorami. Był jedną z tych tajemniczych wizji, które nawiedzały mnie podczas moich podróży w czasie.

Stwór przybliżył się do mnie. Wyciągnął macki i zobaczyłem, że jego palce mają połączenia przegubowe i tworzą dwie garście podobne do zniekształconych, wydłużonych rąk. Macki nie były

miękkie i bezkostne jak u kałamarnicy, lecz połączone wieloma stawami i wydawały się zakończone paznokciami lub kopytami – właściwie przypominały ludzkie palce.

Po chwili wydało mi się, że Obserwator mnie unosi. Pomyślałem z desperacją, że to nie może być rzeczywistością, gdyż ja już nie byłem rzeczywisty, czyż nie? Byłem punktem świadomości. Nie miałem ciała, które można by w ten sposób podnieść...

A jednak czułem się tulony przez niego – dziwnie bezpieczny.

Wiszący przede mną Obserwator wydawał się ogromny. Jego ciało było gładkie i pokryte delikatnymi, puszystymi włosami. Miał olbrzymie, błękitne oczy, które piękną, złożoną budową dorównywały oczom człowieka. Teraz mogłem nawet wyczuć jego zapach. Roztaczał delikatny, zwierzęcy zapach piżmowy, podobny do woni mleka. Zdziwiło mnie, jak bardzo Obserwator przypomina człowieka. Może wam się to wydawać dziwne, ale kiedy byłem tak blisko bestii i tkwiłem zawieszony w tamtym chaotycznym bezmiarze, jej wspólne cechy z formą ludzką były bardziej uderzające od rażących różnic. Nabrałem przekonania, że Obserwator naprawdę jest człowiekiem: być może zniekształconym przez ogromne okresy ewolucyjnego czasu, lecz w jakiś sposób spokrewnionym ze mną.

Wkrótce Obserwator uwolnił mnie i poczułem, że odpływam od niego.

Mrugnął oczami. Usłyszałem powolny szelest jego powiek. Następnie spojrzenie jego olbrzymich oczu objęło rozpalone, jednorodne niebo, jakby czegoś szukał. Z bardzo lekkim westchnieniem odwrócił się i odsunął ode mnie, wlokąc za sobą macki.

Przez chwilę czułem trwogę – nie chciałem bowiem znów być

skazany na własne towarzystwo w tej wyludnionej, doskonałej optymalności – ale po chwili podążyłem za Obserwatorem. Pomknąłem bezwolnie jak jesienny liść zmieciony przez koło przejeżdżającego powozu.

Wspomniałem już o widzianych przeze mnie konstelacjach, lśniących na tle zalanej światłem, nieskończonej przestrzeni kosmicznej. Obecnie wydawało mi się, że jedno zgrupowanie gwiazd bezpośrednio przed nami rozpraszało się jak stado ptaków, natomiast inne za mną (mogłem swobodnie zmieniać kierunek widzenia) ulegało skurczeniu.

Czy to możliwe? – zastanawiałem się. Czy mogłem podróżować z tak ogromną prędkością, że nawet same gwiazdy przesuwały się w polu mojego widzenia jak latarnie widziane z pociągu?

Nagle pojawiło się mnóstwo fruujących cząstek skał, które migotały w promieniu słonecznym jak drobinki kurzu. Zawirowały wokół mnie, po czym w mgnieniu oka zniknęły za mną w oddali. Kiedy znajdowałem się w tamtej optymalnej historii, oprócz ławicy drobinek kurzu nie dostrzegłem żadnych planet czy innych skalistych przedmiotów i zastanawiałem się, czy tutejsze wielkie ciepło i intensywne promieniowanie zakłóca proces formowania się planet z rozrzuconych gruzów.

Wszechświat coraz szybciej przemykał w postaci gradu wirujących drobinek na tle wszechobecnej jaskrawości. Gwiazdy stawały się jaśniejsze, rozbłyskując, eksplodując z punktów w kule, które pędziły w moim kierunku, by po chwili za mną zniknąć.

Wznieśliśmy się i krążyliśmy nad płaszczyzną galaktyki. To było wielkie okno rozetowe gwiazd, których zróżnicowane kolory lśniły, blade i przyćmione, na ogólnym, białym tle. Wkrótce jednak nawet ten olbrzymi układ zaczął się pode mną

kurczyć do postaci wirującej, fosforyzującej tarczy, a wreszcie do miniaturowej plamy zamglonego światła, zagubionej wśród miliona innych.

I musicie sobie wyobrazić, że w trakcie tego całego zdumiewającego lotu widziałem ciemne, zaokrąglone ramiona Obserwatora, kiedy podskakiwał na fali światła tuż przede mną, całkiem niewzruszony gwiazdnymi krajobrazami, które przemierzaliśmy.

Pomyślałem o chwilach, kiedy widziałem tego stwora i jego towarzyszy. Przypomniałem sobie słaby odgłos paplania podczas moich pierwszych podróży w czasie, a potem mój pierwszy bliski kontakt z Obserwatorem, kiedy w świetle umierającego Słońca odległej przyszłości obserwowałem zmagania dziwnego obiektu na oddalonej od brzegu mieliźnie – czegoś podobnego do piłki, pobłyskującego wodą. Myślałem wtedy, że jest to mieszkaniec tamtego skazanego na zgubę świata, ale był nim w nie większym stopniu niż ja. A potem były kolejne wizje – widziane poprzez zielony blask plattnerytu – Obserwatorów, którzy okrążali wehikuł, kiedy mknąłem przez czas.

Uprzytomniłem sobie teraz, że w trakcie całej mojej krótkiej, spektakularnej kariery Podróżnika w Czasie byłem śledzony – i analizowany – przez Obserwatorów.

Obserwatorzy musieli być w stanie dowolnie podążać ścieżkami urojonego czasu, przekraczając nieskończone historie wielorakości z łatwością parowca pokonującego prądy oceanu. Obserwatorzy wzięli prymitywne, wybuchowe silniki nieliniowości wynalezione przez Konstruktorów i udoskonali je.

Wkroczyliśmy w olbrzymią pustkę – dziurę w przestrzeni – odgrodzoną nitkami i płaszczyznami, płachtami światła złożonymi z galaktyk i chmur luźnych gwiazd. Nawet tutaj,

miliony lat świetlnych od najbliższej mgławicy gwiazdnej, przestrzeń wypełniona była promieniowaniem, a niebo wokół mnie rozświetlone. Za chropowatymi ścianami tej jaskini rozpoznałem większą strukturę: zobaczyłem, że moja pustka jest tylko jedną z wielu w bezkresnym morzu układów gwiazdnych. Wyglądało to tak, jakby wszechświat wypełniała pewnego rodzaju piana, której bańki utworzone były z lśniącej materii gwiazdnej.

Wkrótce zacząłem dostrzegać dziwną regularność w tej pianie. Na przykład z jednej strony moją pustkę odgradzała płaska powierzchnia galaktyk. Ta płaszczyzna – z materii zagęszczonej do takiego stopnia, że jarzyła się znacznie jaśniejszym światłem niż tło – była tek wyraźnie zarysowana i widoczna, tak rozległa, iż w moim płodnym umyśle zrodziła się nagle myśl, że być może nie jest tworem naturalnym.

Rozejrzałem się uważniej. Zobaczyłem inną płaszczyznę o wyraźnych konturach, a za nią liniową smugę światła, która wydawała się łączyć brzegi przestrzeni kosmicznej – tam znów dostrzegłem pustkę, ale w kształcie dość wyraźnie zarysowanego walca...

Teraz Obserwator kołysał się przede mną, jego macki były skąpane w świetle gwiazd. Wpatrywał się we mnie rozwartymi oczami.

To sztuczna konstrukcja. Wniosek ten był nieodparty i uświadomiłem sobie, że już dawno bym do niego doszedł, gdyby nie olbrzymia skala tego wszystkiego!

Optymalna historia była tworem inżynierii i Obserwator zabrał mnie w tę daleką podróż, abym to pojął.

Przypomniałem sobie, jak dawniej przepowiadano, że nieskończony wszechświat zmierzałby ku zgubnej zapaści

gravitacyjnej – był to kolejny powód, dla którego nasz kosmos nie mógł z logicznego punktu widzenia być nieskończony, gdyż tak jak Ziemia i inne planety utworzyły się ze skupisk gruzów kotłujących się w chmurze wokół nowo powstałego Słońca, tak w tej większej chmurze galaktyk wypełniających optymalną historię musiały pojawić się wiry, w które powinny wpaść gwiazdy i galaktyki.

Jednakże Obserwatorzy najwidoczniej kierowali ewolucją swojego kosmosu, by zapobiec takim katastrofom. Już wcześniej przekonałem się, że przestrzeń i czas to dynamiczne parametry, które można regulować. Obserwatorzy sterowali zakrzywieniem, zapaściami, skręcaniem się i zrywaniem samej czasoprzestrzeni, aby osiągnąć swój cel – utrzymać kosmos w stanie stabilności.

Jeżeli ten wszechświat miał pozostać zdolny do podtrzymywania życia, to te ostrożne manipulacje nie mogły mieć oczywiście końca – i jeśli był wieczny, nie mogły też mieć początku. Ta refleksja niepokoiła mnie przez chwilę, gdyż był to paradoks, pętla przyczynowa. Musiałoby istnieć życie, aby sztucznie stworzyć warunki wymagane do zaistnienia życia...

Wkrótce jednak odrzuciłem takie łamigłówki! Uświadomiłem sobie, że moje myślenie jest zbyt ograniczone: nie uwzględniłem nieskończoności wszechrzeczy. Ponieważ ten wszechświat był nieskończenie stary, a życie istniało tu od nieskończenie długiego czasu, nie było żadnego początku zbawiennego cyklu, w którym życie utrzymywało warunki potrzebne do tego, by samo mogło trwać. Życie tu istniało, ponieważ wszechświat był zdolny do jego podtrzymywania, a wszechświat był zdolny do podtrzymywania życia, ponieważ ono tu istniało... I tak dalej, nieskończony ruch wsteczny, bez początku – i bez paradoksu!

Byłem wielce rozbawiony własną dezorientacją. Widocznie

musiało trochę potrwać, nim dojdę do ładu ze znaczeniem pojęć nieskończoności i wieczności!

Mój Obserwator zatrzymał się i obracał w przestrzeni jak jakiś mięsisty balon. Przybliżył do mnie swoje olbrzymie, ciemne oczy; w jego źrenicach wielkości spodków odbijał się oślepiający blask roświetlonego nieba. Byłem tak zaabsorbowany jego hipnotyzującym spojrzeniem, że nie widziałem nic innego, nawet ognistego nieba...

Wtedy jednak Obserwator jakby się roztopił. Już nie widziałem garstki odległych gwiazdozbiorów, pianistej struktury galaktycznej, a nawet oślepiającego blasku płonącego nieba. Byłem świadomy, że te rzeczy są aspektem rzeczywistości, ale tylko powierzchownym. Jeśli wyobrazicie sobie, że skupiacie wzrok na szybie przed sobą, a potem celowo rozluźnicie mięśnie oczu, by dojrzeć krajobraz w oddali, tak iż kurz na tamtej szybie znika z waszej świadomości, pojmiecie, o czym mówię.

Oczywiście w moim przypadku zmiana percepcji nie miała nic wspólnego z manipulacją mięśniami oczu, a przesunięcie perspektywy, którego doświadczyłem, wiązało się raczej z czymś więcej niż tylko zmianą głębi ostrości.

Wydawało mi się, że mam wgląd w strukturę natury.

Zobaczyłem atomy: podobne do gwiazdek punkciki świetlne, które wszędzie wokół mnie wypełniały przestrzeń i ciągnęły się w nieskończoność. Ujrzałem to wszystko tak wyraźnie, jak

lekarz, który bada układ żeber pod skórą klatki piersiowej pacjenta. Atomy pryskały, skrzyły się i wirowały wokół swych małych osi; były połączone za pomocą skomplikowanej siatki nitek światła, a przynajmniej tak mi się wydawało. Uświadomiłem sobie, że z pewnością widzę jakiś graficzny model wiązań elektrycznych, magnetycznych, grawitacyjnych i innych. Wyglądało to tak, jakby cały wszechświat zajęty był przez jakiś atomowy mechanizm zegarowy. I spostrzegłem, że to wszystko cechuje się dynamiką, a kombinacje połączeń i atomów ciągle się zmieniają.

Od razu wiedziałem, co ta dziwna wizja oznacza, gdyż odkryłem tu kolejny przykład regularności, którą zaobserwowałem wśród galaktyk i gwiazd. Wtopiony w pasemka gazu i błędzące atomy, dostrzegłem ich znaczenie i strukturę. W położeniu każdego atomu, w kierunku jego spinu i w jego połączeniach z sąsiednimi atomami był jakiś cel. Wyglądało to tak, jakby cały wszechświat stał się biblioteką, w której gromadzono kolektywną mądrość tej starożytnej rasy. Każdy skrawek materii, do ostatniego błędzącego pasemka, był skatalogowany i wykorzystywany... To było zgodne z przewidywaniami Nebogipfela odnośnie ostatecznego celu inteligencji!

Ale ten układ był czymś więcej niż tylko zwykłą biblioteką – czymś więcej niż tylko zbieraniem zakurzonych danych – gdyż wszędzie wokół wyczuwałem atmosferę życia, pośpiechu. Wyglądało to tak, jakby na tych olbrzymich skupiskach materii rozpostarto świadomość.

Wszechświat ten wypełniony był przez umysł, który wsączał się w samą jego strukturę! Wydawało mi się, że widzę, jak myśl i świadomość przelewają się wielkimi falami po tym

wszechogarniającym zbiorze faktów. Zdumiewała mnie skala tego wszystkiego, nie potrafiłem pojąć jej bezgranicznej natury. Dla porównania działania mojego własnego gatunku ograniczały się do manipulowania zewnętrzną powłoką niewiele znaczącej planety, a Morlokowie nie wyszli poza swoją Sferę. Nawet Konstruktorzy mieli tylko galaktykę – jeden system gwiazdny z milionów...

Tutaj jednak umysł miał wszystko – nieskończoność.

Teraz wreszcie zrozumiałem – zobaczyłem na własne oczy – znaczenie i cel nieskończonego, wiecznego życia.

Wszechświat był nieskończenie stary i nieskończenie wielki. Umysł też był nieskończenie stary; opanował całą materię i wszystkie siły, zgromadził nieskończoną liczbę informacji.

Umysł był wszechwiedzący, wszechmocny i wszechobecny. Swoją śmiałą wyprawą do początków czasu Konstruktorzy osiągnęli swój cel. Wyszli poza to, co skończone, i skolonizowali to, co nieskończone.

Atomy i siły usunęły się na dalszy plan i moje oczy ponownie wypełniło nie kończące się światło oraz gwiazdne konstelacje tego kosmosu. Towarzyszący mi Obserwator zniknął i pozostałem sam, obracając się powoli, zawieszony niczym bezcielesna istota obdarzona wzrokiem.

Zewsząd otaczało mnie silne, jednostajne światło gwiazd. Odczuwałem małość wszystkich rzeczy, małość własnej osoby, nieważność moich drobnych spraw. Zobaczyłem, że w nieskończonym i wiecznym wszechświecie nie ma środka, nie może być ani początku, ani końca. Wszystkie wydarzenia, wszystkie punkty są identyczne w nieskończonej konstrukcji, w której są umieszczone... W nieskończonym wszechświecie

stałem się bardzo mały.

Nigdy nie byłem miłośnikiem poezji, ale przypomniałem sobie wiersz Shelleya:

Życie, niczym kopała z wielobarwnego szkła,
Plami biały blask wieczności...

I tak dalej. Cóż, już skończyłem z życiem. Powłoka cielesna, płytka iluzja samej materii – to wszystko zostało mi wydarte i byłem pogrążony, być może na zawsze, w tym białym blasku, o którym mówił Shelley.

Przez chwilę czułem dziwny spokój. Kiedy po raz pierwszy byłem świadkiem wpływu mojego wehikułu czasu na rozsypianie historii, nabrałem przekonania, że mój wynalazek jest źródłem niezrównanego zła, a to z powodu jego samowolnego niszczenia i zniekształcania historii, z powodu tego, że jednym, nieznacznym ruchem dźwigni sterowniczych nie dopuściłem do narodzin wielu ludzi. Teraz jednak wreszcie dostrzegłem, że wehikuł czasu nie zniszczył historii, a raczej je stworzył. Wszystkie możliwe historie istnieją w szerszej wielorakości, stykając się ze sobą w nieskończonym katalogu potencjalności. W którymś zakątku wielorakości istniała każda możliwa historia, z całym swoim ładunkiem umysłu, miłości i nadziei.

Teraz jednak wzburzyła mnie raczej nie tyle realność wielorakości, ile to, co ona oznacza dla losu człowieka.

Odkąd po raz pierwszy przeczytałem dzieła Darwina, zawsze wydawało mi się, że człowiek miota się w konflikcie między bezgranicznie wzniosłymi aspiracjami duszy i nikczemnością swojej natury fizycznej, która może w końcu wziąć nad nim górę.

Pomyślałem, że na przykładzie Elojów zobaczyłem, jak martwa ręka ewolucji – nasze zwierzęce dziedzictwo – w końcu zniweczy marzenia człowieka i przemieni jego panowanie nad Ziemią w krótki, wspaniały blask intelektu.

Myślę, że ten konflikt, zakorzeniony w naturze człowieka, wrósł w mój umysł. Jeżeli Nebogipfel miał rację, że czuję pewien wstręt do ciała, to być może źródłem tej odrazy było właśnie to, że aż za dobrze zdawałem sobie sprawę z tego konfliktu, który trwał od miliona lat! W moich poglądach i argumentach oscylowałem między ponurą rozpaczą, wstrętem do zwierzęcych cech naszych umysłów, a niespełnionym, dość głupim utopizmem – marzeniem, że pewnego dnia nasze umysły się rozjaśnią, jakby wyzwolą od powszechnego delirium, i ustanowimy społeczeństwo oparte na zasadach logiki, oczywistej sprawiedliwości i nauce.

Teraz jednak odkrycie – lub budowa – i kolonizacja tej ostatecznej historii zmieniły to wszystko. Tutaj człowiek wreszcie pokonał swoje pochodzenie i degradację naturalnej selekcji. Tutaj nie będzie powrotu do nieświadomości tamtego pierwotnego, bezmyślnego morza, z którego się wynurzyliśmy. Przyszłość stała się raczej nieskończonością, wspinaczką do bezkresnych historii.

Poczułem, że wreszcie się wynurzyłem z ciemności ewolucyjnej rozpacz w światło nieskończonej mądrości.

Jeżeli śledziliście moją relację do tej pory, być może nie zdziwi was, że ten nastrój – pewnego rodzaju smutna akceptacja – nie trwał u mnie zbyt długo!

Zacząłem się rozglądać. Wysiłałem się, by coś usłyszeć, dostrzec jakieś szczegóły, najmniejsze cętki w skorupie światła, które mnie otaczało. Ale przez chwilę nie było niczego oprócz nieskończonej ciszy, nieznośnej jasności.

Stałem się bezcielesnym pyłkiem, przypuszczalnie nieśmiertelnym, osadzonym w tym największym z tworów: we wszechświecie, którego siły i cząstki były całkowicie podporządkowane umysłowi. To było wspaniałe, lecz zarazem straszne, nieludzkie, mrozące krew w żyłach, i ogarnęło mnie przygniatające przerażenie.

Czy przestałem istnieć i przemieniłem się w coś, co nie było ani bytem, ani niebytem? Cóż, jeśli tak się stało, to – jak przypuszczałem – nie osiągnąłem jeszcze spokoju wieczności. Nadal miałem duszę człowieka ze wszystkimi atrybutami ciekawości i żądzy działania, które zawsze stanowiły część natury ludzkiej. W zbyt dużym stopniu jestem człowiekiem Zachodu i niebawem miałem dość tej kontemplacji bezcielesnej istoty!

A potem, po nieokreślonym odstępie czasu, uświadomiłem sobie, że jaskrawość nie obejmuje całego nieba. Na skraju pola

mojego widzenia dostrzegłem mgiełkę, lekkie zaciemnienie.

Wydawało mi się, że wypatruję geologicznych epok i podczas tego długiego oczekiwania mgiełka zrobiła się wyraźniejsza, utworzyła okrąg wokół pola mojego widzenia, jakbym wyglądał przez otwór jaskini. A potem w środku tamtego widmowego otworu jaskini dostrzegłem postrzępioną chmurę, cętkę na tle wszechobecnego blasku. Ujrzałem zbiór niewyraźnych, chropowatych prętów i tarcz, rozmieszczonych jak duchy nad gwiazdami. W jednym rogu znajdował się zielony walec.

Poczułem się niezwykle zniecierpliwiony. Co to za najazd cieni na nieskończone południe tej optymalnej historii?

Otoczający mnie obrys jaskini stał się wyraźniejszy. Zastanawiałem się, czy jest to jakieś zawołane wspomnienie paleocenu. A jeśli chodzi o tamten mglisty zbiór prętów i tarcz, odniosłem wrażenie, że już to kiedyś widziałem: pomyślałem, że znam to jak własną kieszeń, a jednak, w tej przekształconej formie nie mogłem tego przedmiotu rozpoznać...

A potem szybko się zorientowałem. Pręty i inne komponenty stanowiły mój wehikuł czasu. Linie przesłaniające tamten gwiazdozbiór były mosiężnymi prętami, które tworzyły ramę pojazdu. A otoczone galaktykami tarcze musiały być moimi wskaźnikami chronometrycznymi. To była moja pierwotna machina, którą uznałem za straconą, zdemontowaną i w końcu zniszczoną podczas ataku Niemców na Londyn w roku 1938!

Wizja szybko się krystalizowała. Mosiężne pręty błyszcząły – dostrzegłem, że na szkiełkach chronometrycznych tarcz, których wskazówki wirowały, zebrał się kurz – i rozpoznałem zielony blask plattnerytu, którym zalane były kwarcowe pręty podwozia. Rozejrzałem się i rozpoznałem dwa szerokie, grube, ciemniejsze cylindry – to były moje nogi odziane w diagonalną tkaninę

tropikalną! – a te blade, owłosione, skomplikowane przedmioty musiały być moimi rękami spoczywającymi na dźwigniach sterowniczych maszyny.

Wreszcie pojąłem znaczenie tego „otworu jaskini”, który widziałem. To były moje oczodoły, nos i policzki, otaczające pole mojego widzenia. Jeszcze raz wyglądałem z najciemniejszej jaskini – własnej czaszki.

Poczułem, jakby mnie opuszczono do mojego ciała. Palce i nogi dołączyły się do mojej świadomości. Czułem zimne i twarde dźwignie w rękę i na czole wystąpiły mi drobne krople potu. Przypuszczam, że przypominało to trochę przebudzenie po narkozie. Wchodziłem w siebie powoli i delikatnie. Doznałem uczucia kołysania i spadania, które towarzyszą podróży w czasie.

Za wehikułem czasu była jedynie ciemność. Nie widziałem w ogóle świata. Coraz słabsze wstrząsy upewniły mnie jednak, że wehikuł zwalnia. Rozejrzałem się – nagrodzony zostałem uczuciem ciężaru głowy na szyi; po moim stanie bezcielesności wydawało mi się, że obracam działo artyleryjskie – ale widziałem jedynie nikłe ślady optymalnej historii: tu pasemko skupisk galaktyk, tam fragment światła gwiazd. W ostatniej chwili, nim moje nienamacalne połączenie zostało w końcu przerwane, znów dostrzegłem okrągłą, poważną twarz Obserwatora z olbrzymimi, zamyślonymi oczami.

A potem stwór zniknął i znów znalazłem się całkowicie w swoim ciele. I poczułem dziką, prymitywną radość!

Wehikuł czasu zatrzymał się z szarpnięciem i przekoziółkował. Poleciałem naprzód, pogrążając się w całkowitej ciemności.

W moich uszach rozległ się grzmot. Gwałtowny, długotrwały

deszcz bił ze zwierzęcą siłą w moją głowę i koszulę tropikalną. Po chwili byłem przemoczony do suchej nitki. Pomyślałem, że to niezły powrót do cielesności!

Umieszczono mnie na skrawku wilgotnej darni przed przewróconym wehikułem. Było zupełnie ciemno. Wydawało się, że jestem na niewielkim trawniku, otoczony przez krzewy, których liście tańczyły w rytmie padających kropli deszczu. Odbijające się krople lśniły na całej machinie. Niedaleko usłyszałem bulgotanie wody, w którą deszcz uderzał z pluskiem.

Wstałem i rozejrzałem się. W pobliżu stał budynek, który widziałem jedynie w postaci plamy na tle ciemnoszarego nieba. Zauważyłem teraz, że spod przewróconego wehikułu dochodzi słaby, zielony blask. Zobaczyłem, że jego źródłem jest buteleczka, szklany cylinder o wysokości około sześciu cali: to była zwykła, ośmiuncjowa fiolka z podziałką. Najpewniej umieszczono ją w ramie wehikułu, lecz spadła na trawę.

Wyciągnąłem rękę, żeby podnieść buteleczkę. Zielonkawy blask pochodził od proszku, który znajdował się w środku: to był plattneryt.

Usłyszałem, jak ktoś woła moje imię.

Odwróciłem się zaskoczony. Głos był łagodny, prawie zagłuszony przez syk deszczu bijącego o trawę.

Nie dalej niż dziesięć stóp ode mnie stała jakaś postać: niska, prawie dziecięca, lecz z głową i plecami pokrytymi długimi, prostymi włosami, które pod wpływem deszczu przylepiły się do bladego ciała. Patrzyły na mnie olbrzymie, szaro-czerwone oczy.

– Nebogipfel?

A potem nagle coś zaskoczyło w moim oszołomionym mózgu.

Odwróciłem się i jeszcze raz przyjrzałem masywnym konturom tamtego budynku. Zobaczyłem żelazny balkon,

jadalnię, kuchnię z uchylonym okienkiem i bryłowaty kształt laboratorium...

To był mój dom. Wehikuł czasu umieścił mnie na trawiastym zboczu między budynkiem i Tamizą. Po tych wszystkich przeżyciach wróciłem do Richmond!

Tak jak już kiedyś, tyle cykli historii temu, Nebogipfel i ja jeszcze raz szliśmy wzdłuż Petersham Road do mojego domu. Deszcz szemrał, uderzając w bruk. Było prawie zupełnie ciemno. Właściwie jedyne światło dochodziło z fiolki z plattnerytem, który żarzył się jak słaba żarówka, rzucając przyćmiony blask na twarz Nebogipfela.

Przesunąłem palcami po znajomym, delikatnym pręcie metalowej poręczy przed domem. Myślałem, że już nigdy nie ujrzę tego widoku: pseudoeleganckiej fasady, filarów werandy, ciemnych, prostokątnych okien.

– Znów masz dwoje oczu – szepnąłem do Nebogipfela.

Spojrzał na swoje odnowione, blade ciało, które lśniło w świetle plattnerytu, kiedy rozłożył ręce.

– Teraz – powiedział – gdy zostałem odbudowany, podobnie jak i ty, już nie potrzebuję protezy.

Przyłożyłem ręce do klatki piersiowej. Tkanina koszuli była szorstka w dotyku, a mój mostek pod spodem twardy. Wydawało się, że wszystko jest w porządku. I nadal czułem, że jestem sobą – chodzi mi o to, że zachowałem ciągłość świadomości, wyrazistą ścieżkę pamięci, która przez całą płataninę historii biegła wstecz do mniej skomplikowanych czasów, kiedy byłem mały. Ale nie mogłem być tym samym człowiekiem, gdyż zostałem rozczłonkowany w optymalnej i złożony w obecnej historii.

Zastanawiałem się, jak wiele we mnie pozostało z tamtego błyszczącego wszechświata.

– Nebogipfelu, czy dużo pamiętasz z tego, co się wydarzyło po naszym przedarciu się przez granicę na początku czasu? Rozjarzone niebo i wszystko inne?

– Wszystko. – Jego oczy były czarne. – A ty nie?

– Nie jestem pewien – odparłem. – Teraz to wszystko wydaje mi się snem, zwłaszcza tutaj, w tym zimnym, angielskim deszczu.

– Ale optymalna historia to rzeczywistość – szepnął. – Snem jest to wszystko... – Robiąc zamaszysty ruch, wskazał rękami na niewinne Richmond. – ...te cząstkowe, suboptymalne historie.

Uniosłem buteleczkę plattnerytu w rękę. Była to zwykła fiolka zatkana gumowym korkiem. Zbyteczne dodawać, że nie miałem pojęcia, skąd pochodziła ani jak się znalazła między rozporkami mojego wehikułu.

– Cóż, ta fiolka jest dostatecznie rzeczywista – stwierdziłem. – To naprawdę niezłe rozwiązanie, prawda? Przypomina zamknięcie koła.

Ruszyłem do drzwi.

– Lepiej się schowaj, zanim zadzwonię – poradziłem.

Cofnął się w cień werandy i po chwili nie było go widać.

Pociągnąłem za dzwonek.

Z wnętrza domu dobiegł mnie odgłos otwieranych drzwi i podniesiony głos: – „Ja otworzę!”, a potem usłyszałem ciężkie, pośpieszne kroki na schodach. Rozległ się szcęk klucza w zamku i drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem.

Skwiercząca w mosiężnym lichtarzu świeca wysunęła się przez drzwi w moim kierunku i zobaczyłem szeroką, okrągłą twarz młodego człowieka z oczami podpuchniętymi od snu. Był w wieku dwudziestu trzech lub czterech lat i miał na sobie

podniszczony, wyświechtany szlafrok, zarzucony na pomiętą koszulę nocną. Mysie włosy odstawały od skroni jego dziwnej, szerokiej głowy.

– Tak? – warknął. – Jest już po trzeciej nad ranem...

Jeszcze zanim zadzwoniłem, nie byłem pewien, co zamierzam mu powiedzieć, a teraz, gdy nadeszła ta chwila, kompletnie zapomniałem języka w gębie. Jeszcze raz doznałem dziwnego, nieprzyjemnego szoku. Nie wydaje mi się, by człowiek z mojego stulecia mógł kiedykolwiek się przyzwyczać do spotykania samego siebie, obojętne, ile razy by to ćwiczył. A teraz do tych wszystkich mieszanych uczuć doszedł jeszcze przejmujący żal, gdyż to już nie była tylko młodsza wersja mojej osoby, lecz również i Mosesa. Poczułem się, jakbym stanął twarzą w twarz z młodszym bratem, którego uważałem za zmarłego.

Znów przyjrzał się badawczo mojej twarzy, tym razem z podejrzliwością.

– Czegóż to, u diabła, pan chce? Nie prowadzę interesów z domokrążcami, nawet gdyby była odpowiednia pora dnia.

– Tak – powiedziałem łagodnie. – Wiem o tym.

– Ciekawe skąd.

Zaczął zamykać drzwi, ale dostrzegł coś w mojej twarzy – poznałem to po jego minie – jakiś cień podobieństwa.

– Lepiej proszę powiedzieć, czego pan chce.

Niezdarnie wysunąłem fiolkę z plattnerytem zza pleców.

– To dla pana.

Kiedy zobaczył dziwny, zielony blask buteleczki, uniósł brwi.

– Co to jest?

– To... – Jak mogłem mu to wyjaśnić? – To próbka. Dla pana.

– Próbka czego?

– Nie wiem – skłamałem. – Chciałbym, żeby się pan

dowiedział.

Wyglądał na zaciekawionego, ale nadal się wahał. Po chwili na jego twarzy pojawił się wyraz uporu.

– Czego mam się dowiedzieć?

Te głupie pytania zaczynały mnie wprawiać w rozdrażnienie.

– Niech to licho porwie, człowieku, czy nie ma pan za grosz inicjatywy? Niech pan przeprowadzi jakieś testy...

– Nie podoba mi się pański ton – powiedział napuszony. – Jakie testy?

– No nie! – Przeczesałem ręką przemoczone włosy. Pomyślałem, że taka pompatyczność nie pasuje do takiego młodego człowieka. – To nowy minerał. Chyba tyle pan widzi!

Zmarszczył brwi, stał się jeszcze bardziej podejrzliwy.

Pochyliłem się i postawiłem fiolkę na stopniu.

– Zostawię to tutaj. Może pan rzucić na to okiem, kiedy będzie pan gotów, a wiem, że tak się stanie. Nie chcę marnować pańskiego czasu.

Odwróciłem się i ruszyłem ścieżką, odgłos moich kroków na żwirze przebijał się przez hałas padającego deszczu.

Kiedy spojrzałem przez ramię, zobaczyłem, że podniósł buteleczkę, a jej zielony blask trochę rozjaśnił cienie rzucone przez świecę na jego twarz.

– Ale jak się pan nazywa? – zawołał.

– Plattner – odrzekłem odruchowo.

– Plattner? Czy ja pana znam?

– Plattner – powtórzyłem z desperacją, szukając w ciemnych zakamarkach mózgu jakichś szczegółów, które uwiarygodnią moje kłamstwo. – Gottfried Plattner...

Miałem wrażenie, jakbym to nie ja mówił, ale gdy tylko te słowa wypłynęły z moich ust, wiedziałem, że to było

nieuniknione.

Sprawa była załatwiona, koło się zamknęło!

Nadal za mną wołał, ale oddaliłem się pewnym krokiem od bramy, a potem zacząłem schodzić ze wzgórza.

Nebogipfel czekał na mnie na tyłach domu, w pobliżu wehikułu czasu.

– Załatwione – oświadczyłem.

W zachmurzone niebo wsączało się pierwsze światło brzasku i zobaczyłem sylwetkę Morloka. Miał ręce założone z tyłu, a włosy gładko przylegały mu do pleców. Jego oczy przypominały olbrzymie, krwistoczerwone kałuże.

– Wyglądasz na zmęczonego – powiedziałem współczująco. – Ten deszcz...

– To nie ma większego znaczenia.

– Co teraz zrobisz?

– A co ty zrobisz?

Zamiast odpowiadać, pochyliłem się i dźwignąłem wehikuł czasu. Obrócił się, trzeszcząc jak stare łóżko, i opadł na trawę z głuchym uderzeniem. Przesunąłem ręką po podniszczonym ramieniu wehikułu. Do kwarcowych prętów i siodełka przylgnęły mech i kawałki trawy, a jedna poręcz była dość mocno skrzywiona.

– Wiesz, mógłbyś wrócić do domu – zaproponował. – Do roku 1891. Obserwatorzy najwyraźniej sprowadzili nas z powrotem do twojej historii, do pierwotnej wersji. Musisz jedynie przemieścić się kilka lat naprzód.

Rozważyłem tę perspektywę. Pod pewnymi względami wygodnie by było wrócić do tamtego przytulnego wieku, do mojej skorupy, którą tworzy majątek, przyjaciele i osiągnięcia.

I z chęcią spotkałbym się ponownie z niektórymi starymi kompanami – z Piłbym i innymi. Ale...

– W 1891 roku miałem przyjaciela – powiedziałem Nebogipfelowi. (Miałem na myśli Pisarza.) – Był młody i pod pewnymi względami dziwny – w gorącej wodzie kąpany – a jednak z określonym sposobem patrzenia na świat... Wydawało się, że sięga wzrokiem poza powierzchnię wydarzeń – poza teraźniejszość, która nas wszystkich tak bardzo absorbuje – i dostrzega istotę rzeczy: trendy, głębsze prądy, które nas łączą zarówno z przeszłością, jak i przyszłością. Myślę, że dostrzegał małość ludzkości na tle wielkiego odcinka czasu ewolucyjnego i dlatego nie mógł ścierpieć świata, w którym ugrzązł, nieskończonych, powolnych procesów społecznych, a nawet własnej, słabowitej natury ludzkiej. Wydawało się, że jest obcy we własnych czasach – podsumowałem. – I to właśnie tak bym się czuł, gdybym wrócił. Miałbym wrażenie, że jestem w niewłaściwym czasie. Bez względu bowiem na to, jak solidny ten świat może się wydawać, ja zawsze bym wiedział, że wokół niego, prawie w zasięgu ręki, znajduje się tysiąc wszechświatów, w mniejszym lub większym stopniu różnych. Przypuszczam, że stałem się potworem... Moi przyjaciele będą musieli mnie uznać za zaginionego w czasie i opłakiwać.

Jeszcze w trakcie naszej rozmowy powziąłem postanowienie.

– Nadal mam misję do spełnienia. Nie wykonałem jeszcze zadania, które sobie postawiłem, kiedy wróciłem w czasie po pierwszej wizycie. Tutaj zamknęło się jedno koło, ale inne pozostaje otwarte, sięgając w odległą przyszłość niczym złamana kość...

– Rozumiem – powiedział Morlok.

Wdrapałem się na siodełko wehikułu.

– A co z tobą, Nebogipfelu? Czy polecisz ze mną? Wyobrażam sobie, co mógłbyś tam robić i nie chcę cię tu pozostawiać na lodzie.

– Dziękuję, ale nie. Nie pozostanę tu zbyt długo.

– Dokąd się wybierzesz?

Uniósł twarz. Deszcz nie był teraz taki ulewny, ale z rozjaśniającego się nieba nadal padały kropelki, tworząc rzadką mgiełkę i rozpryskując się na wielkich rogówkach oczu Morloka.

– Ja też jestem świadomy zamykających się kół – odrzekł. – Ale ciekawi mnie, co się znajduje za tymi kołami...

– Co masz na myśli?

– Gdybyś tu wrócił i zastrzelił swojego młodszego odpowiednika, nie byłoby żadnej sprzeczności przyczynowej. Zamiast tego stworzyłbyś nową historię, świeży wariant w wielorakości, w którym zginąłbyś młodo z ręki obcego człowieka.

– Teraz to wszystko jest dla mnie dość jasne. Z powodu istnienia wielorakości, w pojedynczej historii nie jest możliwy żaden paradoks.

– Ale – ciągnął spokojnie Morlok – Obserwatorzy sprowadzili cię tutaj, abyś mógł dostarczyć plattneryt samemu sobie – abyś mógł zapoczątkować serię wydarzeń, które doprowadziły do zbudowania pierwszego wehikułu czasu i stworzenia wielorakości. Istnieje zatem większe koło, które się zamyka: koło wielorakości.

Zrozumiałem, do czego zmierza.

– Jak by nie było, istnieje jakaś zamknięta pętla przyczynowości – stwierdziłem – dżdżownica, która pożera własny ogon... Wielorakość nie mogłaby zaistnieć, gdyby już nie

istniała!

Nebogipfel powiedział, że Obserwatorzy wierzą, iż rozwiązanie tego ostatecznego paradoksu wymaga istnienia większej liczby wielorakości: wielorakości wielorakości!

– Aby rozplatać pętlę przyczynową, logiczną koniecznością jest wyższy porządek – wyjaśnił Nebogipfel. – Tak jak musiała istnieć nasza wielorakość, aby można było rozwikłać paradoksy pojedynczej historii.

– Ale... Niech to licho porwie, Nebogipfelu! Aż kręci mi się w głowie na tę myśl. Równoległe zbiory wszechświatów... Czy to możliwe?

– Jak najbardziej – odparł. – I Obserwatorzy zamierzają tam się udać.

Opuścił głowę. Zrobiło się już dość jasno i zobaczyłem, jak ciastowata skóra wokół jego oczu marszczy się, kiedy zmrużył oczy.

– I zabiorą mnie ze sobą – dodał. – Nie wyobrażam sobie większej przygody... A ty?

Siedząc na siodełku w wehikule, po raz ostatni rzuciłem okiem na zwyczajny, dżdżysty poranek w dziewiętnastym wieku. Wzdłuż całej Petersham Road widać było zarysy domów pełnych śpiących ludzi. Poczulem zapach wilgotnej trawy. Gdzieś trzasnęły drzwi, gdy jakiś mleczarz lub listonosz rozpoczął swój dzień pracy.

Wiedziałem, że już nigdy tu nie wrócę.

– Nebogipfelu, gdy dotrzesz do tej większej wielorakości, co wtedy?

– Istnieje wiele porządków nieskończoności – odparł spokojnie, drobny deszcz ściekał mu po twarzy. – Przypomina to hierarchię: struktur wszechświatowych i ambicji. – Nadal mówił

swoim morłokowym, trochę bełkotliwym głosem z całkowicie obcą intonacją, a jednak słycać było w tym głosie zdumienie. – Konstruktorzy mogliby mieć wszechświat na własność, ale to im nie wystarczało. Rzucili więc wyzwanie skończoności i dotarli do granicy czasu, przekroczyli ją, a następnie umożliwili umysłowi skolonizowanie wszystkich wszechświatów wielorakości. Ale Obserwatorom z optymalnej historii nawet to nie wystarczało i szukają sposobów, by dotrzeć do dalszych porządków nieskończoności...

– A jeśli im się uda? Czy spoczną?

– Nie ma spoczynku, granicy, końca drogi. Nie ma granic, których życie i umysł nie mogłyby zakwestionować i przekroczyć.

Zacisnąłem rękę na dźwigni i przysadzisty wehikuł zadrżał.

– Nebogipfelu, ja...

Uniósł rękę.

– Jedź – powiedział.

Wziąłem oddech, chwyciłem dźwignię rozruchową obiema rękami i ruszyłem z głuchym odgłosem.

Księga Siódma

Dzień 292 495 940

Wskazówki chronometrycznych tarcz zawirowały. Słońce stało się smugą ognia, a potem jaskrawym łukiem, natomiast Księżyc falującą wstęgą. Drzewa drżały, przechodząc przez swoje roczne cykle zbyt szybko, bym mógł je prześledzić. Niebo przybrało kolor cudownie głębokiego błękitu przypominającego zmierzch w środku lata, a chmury stały się niewidoczne.

Majająca, przezroczysta sylwetka mojego domu wkrótce zniknęła mi z oczu. Krajobraz rozmazał się i jeszcze raz wspaniała architektura Wieku Budowli zalała Richmond Hill jak fala przyływu. Nie dostrzegłem żadnych oznak charakterystycznych dla konstrukcji historii Nebogipfela: zatrzymania ruchu wirowego Ziemi, budowy Sfery wokół Słońca i tak dalej. Obecnie obserwowałem, jak fala ciemniejszej zieleni pokrywa zbocze wzgórza i pozostaje tam nie zakłócona przez zimę. Wiedziałem, że dotarłem do tamtej szczęśliwszej przyszłości, kiedy do Brytanii powrócił cieplejszy klimat – z bolesną tęsknotą pomyślałem, że przypomina to epokę paleoceńską.

Rozglądałem się uważnie za Obserwatorami, ale nie było po nich śladu. Obserwatorzy – te olbrzymie, niewyobrażalne umysły, twory wielkich raf intelektu, które zamieszkują optymalną historię – przestali się mną interesować i mój los spoczywał w moich rękach. Poczulem ponure zadowolenie z tego

powodu i – gdy licznik dni przekroczył liczbę dwieście pięćdziesiąt tysięcy – pociągnąłem ostrożnie dźwignię zatrzymującą.

Po raz ostatni zobaczyłem Księżyc, kiedy wirując przechodził przez swoje fazy i gasnął. Przypomniałem sobie, że po raz ostatni wybrałem się z Weeną do Pałacu z Zielonej Porcelany tuż przed porą, którą Eloje nazywali Ciemną Nocą, czyli okresem ciemności, kiedy nie świecił księżyc i Morlokwie wychodzili na powierzchnię, by się rozprawić z Elojami. Jakże bezgranicznym byłem wtedy głupcem! Jak wielką się wykazałem popędliwością i bezmyślnością – jak bardzo nie dbałem o biedną Weenę – że podjąłem taką wyprawę o tak niebezpiecznej porze.

Cóż, teraz powróciłem – pomyślałem z pewną zaciętością. Byłem zdecydowany naprawić swoje błędy z przeszłości lub zginąć.

Wehikuł z szarpnięciem wyskoczył z szarej kotłowaniny i nagle zalało mnie silne, ciepłe światło słoneczne. Wskazówki tarcz chronometrycznych zatrzymały się z grzechotem. Był dzień 292 495 940, dokładnie ten w roku Pańskim 802 701, w którym straciłem Weenę.

Znajdowałem się na znajomym zboczu. Światło słoneczne było jaskrawe i musiałem osłonić oczy. Jako że wyruszyłem z ogrodu na tyłach domu, a nie z laboratorium, nie byłem w miejscu, w którym wylądowałem podczas mojej pierwszej podróży, lecz jakieś dwadzieścia jardów dalej na małym trawniku porośniętym rododendronami. Trochę wyżej na wzgórzu za moimi plecami zobaczyłem znajomy profil białego sfinksa z niezmiennym, nieodgadnionym półuśmiechem. Podstawę z brązu nadal pokrywała gruba warstwa śnieży, choć gdzieś tam modelowane inkrustacje były spłaszczone wskutek moich

dawnych, daremnych prób wdarcia się do wnętrza i odzyskania skradzionego wehikułu czasu. Trawa była poharatana i poprzecinana, wskazując trasę, którą Morlokwie zawlekli wehikuł do piedestału.

Ze wstrząsem uświadomiłem sobie, że skradziony wehikuł właśnie teraz tam jest. Dziwne to było uczucie, kiedy pomyślałem, że tamten wehikuł stoi w ciemnej komorze nie dalej niż kilka jardów ode mnie, podczas gdy ja siedzę w jego idealnej kopii, która błyszczy na trawie!

Odkręciłem dźwignie sterownicze i schowałem je do kieszeni, po czym zszedłem na ziemię. Na podstawie kąta padających promieni słonecznych oceniłem, że jest być może trzecia po południu. Powietrze było ciepłe i wilgotne.

By lepiej się zorientować w sytuacji, przeszedłem jakieś pół mili w kierunku południowo-wschodnim, na przedni skraj dawnego Richmond Hill. W moich czasach stał tu Terrace, z ekskluzywnymi frontonami i rozległymi widokami na rzekę oraz krainę ciągnącą się w dal na zachód. Teraz grzbiet wzgórza porastała rzadka kępa drzew – nie było śladu po Terrace i przypuszczałem, że nawet fundamenty domów musiały zostać zniszczone przez korzenie drzew – ale mimo wszystko, tak jak w roku 1891, krajobraz na południu i zachodzie był niezwykle przyjemny dla oka.

Stała tu ławka z żółtego metalu, którą już poprzednio widziałem. Pokryta była czerwoną rdzą, a jej boczne oparcia nadzarte, przypominające stwory z jakiejś zapomnianej mitologii. Wdrapała się na nią jakaś pokrzywa o dużych liściach zabarwionych na piękny brąz. Odgarnąłem ją – nie parzyła – i usiadłem, gdyż byłem już zgrzany i spocony.

Słońce stało dość nisko na zachodniej stronie nieba; jego

światło odbijało się migotliwie od rozproszonych budowli i zbiorników wodnych, które cętkowały zielony krajobraz. Nad całym łądem unosiły się opary gorąca. Czas i cierpliwe procesy geologiczne sprawiły, że ten krajobraz już nie był taki jak w moich czasach, ale rozpoznałem kilka charakterystycznych elementów, choć uległy one zmianie. „Niezrównaną dolinę Tamizy” z wiersza poety nadal cechowało marzycielskie piękno. Srebrna wstęga rzeki znajdowała się w pewnej odległości ode mnie. Jak już spostrzegłem wcześniej, Tamiza wygięła się w łuk i biegła teraz bezpośrednio z Hampton do Kew. Pogłębiła również swe koryto; tym samym Richmond znajdowało się teraz wysoko na zboczu szerokiej doliny, jakąś milę od wody. Wydawało mi się, że z dawnej wyspy Glover zrobił się zadrzewiony pagórek na środku starego łożyska. Łąki Petersham zachowały w dużym stopniu swój pierwotny kształt, ale teraz znajdowały się wysoko nad poziomem rzeki. Przypuszczałem, że cały ten obszar jest znacznie mniej bagnisty niż w moich czasach.

Wszędzie rozsiane były wielkie budowle z tego wieku, z zawile rzeźbionymi gzymsami i wysokimi kolumnami, eleganckie i opuszczone. To były kolce architektonicznej kości wystające z porośniętego zielenią zbocza wzgórza. W odległości około mili zobaczyłem wielką budowlę z granitu i aluminium, do której dotarłem pierwszego wieczoru podczas pierwszej wyprawy. Tu i ówdzie z zielonej powłoki unosiły swe głowy olbrzymie posągi, piękne i tajemnicze jak sam sfinks, i wszędzie widziałem kopuły oraz kominy będące wizytówką Morloków. Dookoła rosły olbrzymie kwiaty z błyszczącymi, białymi płatkami i lśniącymi liśćmi. Nie po raz pierwszy ten krajobraz, ze swym nadzwyczajnym i pięknym kwieciami oraz usadowionymi w zieleni pagodami i kopułami, przywiódł mi na myśl Royal

Botanical Gardens w Kew z moich czasów. Był to jednak ogród, który porastał całą Anglię i stał się dziki oraz zaniedbany.

Na horyzoncie widniała duża budowla, której poprzednio nie zauważyłem. Prawie ginęła w mgłach północnego zachodu, w kierunku Windsoru; była zbyt odległa i niewyraźna, bym mógł rozpoznać szczegóły. Obiecałem sobie, że pewnego dnia wybiorę się do Windsoru, gdyż jeśli cokolwiek z moich czasów przetrwało ewolucję i zaniedbanie minionych tysiącleci, to na pewno tamten zabytek po masywnej twierdzy normańskiej.

Odwróciłem się i zobaczyłem krajobraz rozciągający się w dół w kierunku Banstead. Rozpoznałem układ lasków i wzgórz, upstrzonych zbiornikami pobłyskującej wody, z którym zaznajomiłem się podczas moich wcześniejszych wypraw. To właśnie w tamtych stronach – w odległości osiemnastu lub dwudziestu mil – stał Pałac z Zielonej Porcelany. Spoglądając w tamtym kierunku, wydawało mi się, że dostrzegam wieżyczkę tamtej budowli, ale mój wzrok już nie był taki dobry jak dawniej i nie miałem pewności.

Wtedy poszedłem z Weeną pieszo do tego Pałacu, by poszukać broni i innych zapasów, które pozwoliłyby mi podjąć walkę z Morlokami. Zaiste, o ile pamięć mnie nie myliła, to ja – a właściwie mój młodszy odpowiednik – nawet w tej chwili musiałem tkwić wewnątrz tamtych wypolerowanych, zielonych murów!

W odległości około dziesięciu mil między mną i Pałacem stała bariera: zwarty, ciemny las. Nawet przy świetle dziennym rzucał mroczny, złowieszczy cień o szerokości co najmniej mili. Niosąc Weenę, przeszedłem dość bezpiecznie przez ten las za pierwszym razem, gdyż zaczekaliśmy na światło dzienne; za drugim jednak razem, podczas naszego powrotu z Pałacu (dziś

wieczorem!), uległem zniecierpliwieniu i zmęczeniu. Zdecydowany jak najwcześniej wrócić do sfinksa, by spróbować odzyskać wehikuł, zagłębiłem się w las w ciemności i zasnąłem, po czym Morlokwie napadli na nas, zabierając Weenę.

Wiedziałem, że miałem szczęście, iż uszedłem z tego szaleństwa z życiem. A jeśli chodzi o biedną Weenę...

Teraz jednak odsunąłem to uczucie wstydu na bok. Przypomniałem sobie bowiem, że jestem tu, by to wszystko naprawić.

Było jeszcze dość wcześnie, bym zdołał dotrzeć do lasu przed zmrokiem. Nie miałem oczywiście broni, ale nie przybyłem tu po to, by walczyć z Morlokami – już z tym skończyłem – lecz po prostu uratować Weenę. A kalkulowałem sobie, że do tego nie będę potrzebował żadnej broni potężniejszej od własnego rozumu i pięści.

Stojąc na tamtym zboczu, z mosiężnymi i niklowymi częściami pobłyskującymi w słońcu, wehikuł czasu rzucał się w oczy, więc – choć nie zamierzałem z niego ponownie korzystać – postanowiłem go ukryć. W pobliżu rósł laszek. Zaciągnąłem tam przysadzistą maszynę i zakryłem gałęziami oraz liśćmi. Musiałem się przy tym mocno natrudzić, gdyż wehikuł sporo ważył. Po skończeniu całej operacji byłem spocony, a w darni, po której wlokłem maszynę, pozostały głębokie bruzdy wyryte przez podwozie.

Odpočząłem przez kilka minut, a potem ochoczo zacząłem schodzić po zboczu w kierunku Banstead.

Przeszedłem zaledwie kilkaset jardów, kiedy usłyszałem głosy. Przez chwilę byłem zaskoczony, gdyż myślałem, że być może to Morlokowie, którzy wyszli na powierzchnię pomimo światła dziennego. Jednakże głosy były podobne do ludzkich i charakteryzowały się osobliwym, prostym, monotonnym rytmem mowy Elojów. Po chwili grupka pięciu lub sześciu tych małych ludzi wyszła z lasku na ścieżkę prowadzącą do sfinksa. Znowu uderzyło mnie, że są tacy drobni i mali – nie więksi od dzieci z moich czasów, zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Odziani byli w proste, fioletowe tuniki oraz sandały.

Od razu dostrzegłem podobieństwa z moją pierwszą wizytą w tym wieku, gdyż wtedy natknąłem się na grupkę Elojów w tym

samym miejscu. Przypomniałem sobie, jak podeszli do mnie bez obaw – raczej z zaciekawieniem – wybuchnęli śmiechem i odezwali się do mnie.

Teraz jednak zbliżali się ostrożnie; właściwie wydawało mi się, że nie chcą podejść. Rozłożyłem ręce i uśmiechnąłem się, chcąc im pokazać, że nie mam złych zamiarów. Dość dobrze jednak znałem powód tego zmienionego stosunku do mnie: było nim niebezpieczne i nieobliczalne zachowanie mojego wcześniejszego wcielenia, które zdążyli już poznać, zwłaszcza w chwili mojej złości po kradzieży wehikułu czasu. Ci Eloje mieli prawo zachowywać ostrożność!

Nie narzucałem im się dalej i Eloje obeszli mnie, idąc w górę zbocza w kierunku trawnika z rododendronami. Gdy tylko zniknąłem im z oczu, znów zaczęli świergotać w monotonnym rytmie.

Ruszyłem do lasu. Wszędzie widziałem studnie, które prowadziły do podziemnego świata Morloków i z których – gdy podchodziłem dość blisko – dochodziły niezmordowane, głuche odgłosy pracy ich wielkich maszyn. Pot zlał moje czoło i klatkę piersiową – gdyż pomimo tego, że popołudniowe słońce chyliło się ku zachodowi, dzień nadal był upalny – i poczułem, że oddychanie sprawia mi trudność.

Gdy coraz bardziej zagłębiałem się w tym świecie, budziły się też we mnie dawne uczucia. Mimo że ograniczona, Weena była jedyną istotą w roku 802 701, która okazała mi czułość. Jej strata sprawiła mi bardzo dotkliwy ból. Gdy jednak relacjonowałem opowieść moim przyjaciołom przy znajomym blasku ognia z własnego kominka w 1891 roku, smutek przybrał jakby bledszy odcień; Weena stała się wspomnieniem zupełnie nierealnego snu.

Cóż, teraz znów tu byłem, przemierzając tę znajomą krainę, i cały smutek z tamtych chwil powrócił do mnie – jakbym nigdy nie opuścił tego świata – i dodawał mi sił przy każdym kroku.

Kiedy tak szedłem, poczułem wielki głód. Uświadomiłem sobie, że nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłem. Musiało to być jeszcze zanim wyruszyłem z Nebogipfelem z epoki białej Ziemi, choć – snułem domysły – być może prawda była taka, że moje obecne ciało nigdy nie zakosztowało jedzenia, jeśli zostało powtórnie skonstruowane przez Obserwatorów, tak jak zasugerował Nebogipfel! Cóż, bez względu na filozoficzne niuanse głód wkrótce ścisnął mi żołądek i zacząłem odczuwać zmęczenie z powodu upału. Przechodziłem obok gmachu z jedzeniem – wielkiej, szarej budowli z ciosanego kamienia – i zboczyłem z trasy.

Minąłem rzeźbiony łuk bramy, na którym ornamenty były mocno podniszczone przez burze i skruszałe. Wewnątrz ujrzałem wielką salę obitą brązową materią. Podłoga wykonana była z brył twardego, białego metalu, który zauważyłem poprzednim razem, i powydeptywana przez miękkie stopy niezliczonych pokoleń Elojów. Na stołach zrobionych z bloków polerowanego kamienia leżały stosy owoców, a wokół nich zebrały się grupki Elojów, odzianych w swoje ładne tuniki, którzy jedli i świergotali do siebie jak ptaszki w klatce.

Kiedy tam stałem w wyświechtanej koszuli tropikalnej z tkaniny diagonalnej – ta pamiątka z paleocenu była całkiem niestosowna w tej zalanej słońcem, ładnej krainie i pomyślałem, że Obserwatorzy mogli mnie ubrać bardziej elegancko – podeszła do mnie grupka Elojów, którzy mnie otoczyli. Poczułem, jak małe ręce, podobne do miękkich macek, ciągną mnie za koszulę. Mieli małe usta, spiczaste podbródki i maleńkie uszy

charakterystyczne dla swej rasy, ale wydawało się, że nie są to ci Eloje, których napotkałem w pobliżu sfinksa. Ci mali ludzie odznaczyli się niezbyt dobrą pamięcią, więc nie czuli przede mną strachu.

Przybyłem tu, by uratować jedną Elojkę, a nie dopuszczać się kolejnych aktów bezwstydnego barbarzyństwa, którym zhańbiłem się podczas pierwszej wizyty. Poddałem się więc ich kontroli z chęcią.

Skierowałem się do stołów, zewsząd dochodziło do mnie szczebiotanie Elojów. Znalazłem kiść ogromnych truskawek i włożyłem je do ust. Nie trwało długo, nim znalazłem kilka sztuk mączystego owocu w trójkątnej łupinie, który poprzednio stał się mym przysmakiem. Gdy zebrałem ich dostatecznie dużo, poszukałem ciemniejszego kąta i usiadłem, by się posilić. Otoczył mnie mały tłumek zaciekawionych Elojów.

Uśmiechnąłem się do nich zapraszająco i spróbowałem sobie przypomnieć to, czego nauczyłem się poprzednio z ich prostej mowy. Gdy się odezwałem, przybliżyli do mnie małe twarze. Ich oczy były szeroko otwarte w ciemności, a czerwone usta rozchylone jak u dzieci. Rozluźniłem się. Sądzę, że zachwylił mnie wtedy prosty, ludzki charakter tego spotkania – zbyt często przebywałem ostatnio w nieludzkim, obcym otoczeniu! Wiedziałem, że Eloje nie są ludźmi, na swój sposób byli dla mnie tak samo obcy jak Morlokowie, ale stanowili dość zbliżoną do nich kopię.

Zamknąłem oczy.

Obudziłem się z wzdrygnięciem. Zrobiło się dość ciemno! Teraz było mniej Elojów wokół mnie. Wydawało mi się, że w półmroku widzę lśnienie ich łagodnych oczu, które patrzyły spokojnie.

Z trwogą zerwałem się na równe nogi. Owoce i kwiaty pospadały z mojego tułowia, gdzie położyli je psotni Eloje. Ruszyłem na oślep przez główną salę. Było tam teraz wielu Elojów, którzy spali w grupkach na metalowej podłodze. Wreszcie przeszedłem przez bramę i wynurzyłem się w świetle dziennym... A raczej tym, co z niego pozostało!

Rozglądając się opętańczo, zobaczyłem ledwie widoczny, ostatni paseczek słońca – za ledwie skrawek światła na zachodnim horyzoncie – a na wschodzie jedną jasną planetę, być może Wenus.

Krzyknąłem i uniosłem ręce ku niebu. Powziąłem wcześniej postanowienie, że naprawię szkody wyrządzone wskutek mojej dawnej, głupiej popędliwości, a oto przespałem popołudnie jak skończony leń!

Wróciłem na ścieżkę, którą wcześniej podążałem, i skierowałem się do lasu. To tyle, jeżeli chodzi o moje plany przybycia do lasu za dnia! W zapadającym wokół mnie zmierzchu dostrzegałem kątem oka ledwie widoczne, szarobiałe upiory. Za każdym razem obracałem się w ich kierunku, ale uciekały, pozostając poza moim zasięgiem.

To byli oczywiście Morlokwie – przebiegli, brutalni Morlokwie z tej historii. Śledzili mnie tak dyskretnie i umiejętnie, jak tylko potrafili. Moje wcześniejsze postanowienie, że podczas tej wyprawy nie będę potrzebował broni, wydawało się teraz dość głupie, i przyrzekłem sobie, że zaraz po dotarciu do lasu poszukam opadłej gałęzi lub czegoś podobnego, co posłuży mi za maczugę.

Potknąłem się kilka razy na nierównym podłożu i pewnie skręciłbym sobie kostkę, gdyby moje żołnierskie buty nie były takie sztywne.

Kiedy dotarłem do lasu, była już noc.

Spojrzałem badawczo na rozległy obszar wilgotnego, czarnego lasu. Naszło mnie uczucie daremności moich wysiłków. Przypomniałem sobie, jak poprzednio otoczyła mnie wielka zgraja Morloków. Jak miałem teraz znaleźć tę garstkę, która uprowadzi Weenę?

Zastanawiałem się, czy nie zanurzyć się w las – przypominałem sobie z grubsza drogę, którą szedłem za pierwszym razem – dzięki czemu być może natknąłbym się na moje wcześniejsze wcielenie z Weeną. Natychmiast jednak uświadomiłem sobie, że to szaleńczy krok. Po pierwsze straciłem orientację w trakcie walki z Morlokami i skończyło się na tym, że błądziłem po lesie. A poza tym nie miałem żadnej ochrony: w ciemnym lesie byłbym zupełnie bezbronny. Bez wątpienia nieźle bym dał popalić niektórym z nich, zanim zdołaliby mnie powalić, ale na pewno w końcu zdołaliby mnie pokonać. Zresztą, walka nie była moim zamiarem.

Wycofałem się zatem i po przejściu mniej więcej ćwierć mili natrafiłem na pagórek, z którego miałem widok na las.

Zapanowała całkowita ciemność i gwiazdy wyłoniły się

w pełnej krasie. Tak jak już kiedyś to zrobiłem, oderwałem się od rzeczywistości, wyszukując starych konstelacji, ale stopniowy ruch gwiazd całkiem zniekształcił znajomy obraz. Mimo to jednak planeta, którą dostrzegłem poprzednio, rzucała na mnie swe światło, niezmienna niczym prawdziwy przyjaciel.

Przypomniałem sobie, że kiedy ostatnio przyglądałem się badawczo temu zmienionemu niebu, miałem przy boku Weenę, którą opatuliłem w moją marynarkę, aby było jej ciepło, kiedy odpoczywaliśmy w nocy podczas wyprawy do Pałacu z Zielonej Porcelany. Przypomniałem sobie, co wtedy czułem: zastanawiałem się nad znikomością ziemskiego życia w porównaniu z tysiącletnimi migracjami gwiazd i przez chwilę dumałem nad smutnym rozdźwiękiem między majestatycznością czasu i moimi ziemskimi kłopotami.

Teraz jednak wydawało mi się, że mam to wszystko za sobą. Już dość się napatrzyłem na nieskończoność i wieczność. Czułem się zniecierpliwiony i spięty. Zawsze byłem tylko człowiekiem i teraz ponownie pochłaniały mnie drobne troski ludzkości, a moją świadomość zajmowały jedynie moje własne plany.

Spuściłem wzrok, przestając patrzeć na odległe, niezgłębione gwiazdy, i spojrzałem w dół na las przed sobą. Kiedy go obserwowałem, na południowo-zachodnim horyzoncie zaczął się rozprzestrzeniać różowawy blask. Tak się ucieszyłem, że wstałem i wykonałem swego rodzaju taniec radości. Oto miałem potwierdzenie, że po moich wszystkich przygodach znalazłem się we właściwym dniu, i to tutaj, w tym odległym stuleciu! Blask bowiem pochodził od pożaru w lesie – pożaru, który z beztroską swobodą sam wznieciłem.

Usiłowałem sobie przypomnieć, co się potem stało podczas tamtej rozstrzygającej nocy, jaka była dokładna kolejność

wydarzeń...

Pożar, który wzniciłem, był całkowicie nowym i cudownym zjawiskiem dla Weeny. Chciała się pobawić z jego czerwonymi płomieniami i iskrami. Musiałem ją powstrzymać, żeby się nie rzuciła w to ruchliwe światło. Potem ją podniosłem – opierała się – i brnąłem dalej przez las. Drogę oświetlało mi światło mojego pożaru.

Wkrótce oddaliliśmy się od blasku tamtych płomieni i szliśmy dalej w ciemności, którą rozjaśniały jedynie skrawki ciemnoniebieskiego nieba za drzewami. Nie trwało długo, nim w tamtej gęstej ciemności usłyszałem tupot wąskich stóp i jakby ciche gruchanie, które dochodziło do mnie ze wszystkich stron. Pamiętam, że ktoś mnie pociągnął za marynarkę, a potem za rękę.

Ułożyłem Weenę na ziemi, aby poszukać zapalek, i wokół moich kolan doszło do szarpaniny, kiedy Morlokwie, niczym natarczywe owady, rzucili się na jej biedne ciało. Zapaliłem zapalną. W jej świetle zobaczyłem rząd białych, morlokowych twarzy, jakby oświetlonych lampą błyskową – wszystkie zwróciły się w moim kierunku, spoglądając na mnie czerwono-szarymi oczami – a potem stwory w jednej chwili uciekły.

Postanowiłem rozpalić nowe ognisko i zaczekać do rana. Zapaliłem kawał kamfory i rzuciłem go na ziemię. Zerwałem z drzew suche gałęzie i ze świeżego drewna roznieciłem ogień, który dawał dużo dymu...

Stałem na palcach i spojrzałem na las. Musicie sobie wyobrazić, jak stałem w atramentowej ciemności pod bezksiężycowym niebem, gdy jedyne światło dochodziło od rozprzestrzeniającego się pożaru na drugim końcu lasu.

I wtedy to zobaczyłem! Wstążkę dymu, który unosił się w powietrze, tworząc wąską smugę na tle większego płomienia,

który za nią buchał. To musiało być miejsce, w którym postanowiłem stawić opór wrogowi. Znajdowało się w pewnej odległości ode mnie – jakieś dwie mile w kierunku wschodnim i głęboko w lesie. Nie tracąc więcej czasu na rozmyślenia, ruszyłem w las.

Przez pewien czas słyszałem jedynie trzask łamanych gałązek pod stopami i odległy, usypiający szum, który pewnie pochodził od większego ognia. Ciemność rozjaśniał jedynie blask płomieni w oddali oraz skrawki ciemnoniebieskiego nieba nad głową. Widziałem tylko sylwetki pni i korzeni i potknąłem się kilka razy. Potem usłyszałem dreptanie, ciche jak odgłos padającego deszczu, i ten dziwny bulgot morlokowych głosów. Poczułem szarpanie za rękaw i lekkie ciągnięcie za pasek oraz dotyk palców na szyi.

Zacząłem młócić rękami, trafiając w ciało i kość. Napastnicy cofnęli się, ale wiedziałem, że nie na długo. No i oczywiście po kilku sekundach znów usłyszałem dreptanie, które zewsząd się do mnie przybliżało. Musiałem przedzierać się przez gąszcz zimnych rąk, które mnie dotykały i obłapiały. Czuję zuchwałę, ostre ukłucia zębów i wszędzie wokół widziałem olbrzymie, czerwone oczy.

To był powrót do mojego największego koszmaru, do strasznej ciemności, której bałem się przez całe życie! Ale brnąłem dalej i nie zaatakowali mnie, w każdym razie nie od razu. Dostrzegłem pewne poruszenie w ich szeregach – Morlokowie biegali coraz szybciej – gdy blask tamtego ognia w oddali pojaśniał.

A potem w powietrzu rozszedł się nagle nowy zapach. Był słaby, ginął w dymie...

To były opary kamfory.

Musiałem znajdować się nie dalej niż kilka jardów od miejsca,

w którym Morlokowie napadli na mnie i Weenę, kiedy spaliśmy – miejsca, w którym walczyłem, a Weena zaginęła!

Natknąłem się na gęstą chmarę Morloków, ledwie widocznych za następną linią drzew. Tłoczyli się jak larwy, pragnąc przyłączyć się do walki lub uczyty. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek widział ich w tak wielkiej liczbie. Pośrodku tej zgrai zobaczyłem jakiegoś człowieka, który usiłował wstać. Zasłaniała go masa Morloków, którzy złapali go za szyję, włosy i ręce. Upadł, ale potem zobaczyłem, jak z tego gąszczu napastników wynurza się ręka z żelaznym prętem – przypomniałem sobie, że drąg został wyrwany z jakiejś maszyny w Pałacu z Zielonej Porcelany – i mężczyzna zaczął energicznie młócić Morloków. Na chwilę uwolnił się od nich i niebawem oparł plecami o pień drzewa. Włosy sterczały mu na całej, szerokiej głowie, a na nogach miał jedynie podarte i pokrwawione skarpety. Rozsierdzeni Morlokowie znów na niego natarli. Machnął żelaznym prętem i usłyszałem tępy, miękki odgłos miażdżenia głów Morloków.

Przez chwilę rozważałem, czy nie przyjść mu z pomocą, ale wiedziałem, że to nie jest konieczne. Przeżyje, wydostanie się z tego lasu – sam, bolejąc nad Weeną – i odzyska wehikuł czasu, wydzierając go z rąk przebiegłych Morloków. Pozostałem w cieniu drzew i jestem przekonany, że mnie nie widział...

Uświadomiłem sobie jednak, że Weeny tu nie ma. Już ją porwali Morlokowie!

Rozejrzałem się zdesperowany. Znów przegapiłem sprawę. Czy przegrałem? Czy znów ją straciłem?

Teraz Morlokowie byli już bardzo zatrwożeni z powodu pożaru i uciekali od płomieni. Ich przygarbione, włochate plecy zabarwione były na czerwono. I wtedy zobaczyłem grupkę

czterech Morloków, którzy szli chwiejnie między drzewami, oddalając się od ognia. Zobaczyłem, że coś niosą: coś nieruchomego, bladego, zwiotczałego, pobłyskującego bielą i złotem...

Ryknąłem i zacząłem się przedzierać przez poszycie. Morlokowie szybko odwrócili głowy i popatrzyli na mnie nieruchomo swoimi czerwono-szarymi oczami. Rzuciłem się na nich z uniesionymi pięściami.

Walka była krótka. Morlokowie upuścili swoją cenną zdobycz. Stanęli naprzeciwko mnie, ale przez cały czas rozpraszał ich uwagę coraz większy blask za ich plecami. Jeden stworek wbił zęby w mój nadgarstek, ale grzotnąłem go pięścią w twarz, miażdżąc mu kości, i Morlok puścił mnie po kilku sekundach. Cała czwórka uciekła.

Pochyliłem się i podniosłem Weenę – biedna kruszynka była lekka jak lalka – i aż serce mi pękało, kiedy widziałem, w jakim jest stanie. Jej sukienka była podarta i zabrudzona, a twarz i złote włosy poplamione od sadzy i dymu. Wydawało mi się, że widzę oparzenia na jej policzku. Na jej karku i ramionach zauważyłem też małe ślady ukłuc zębów Morloków.

Była nieprzytomna i nie potrafiłem stwierdzić, czy oddycha. Pomyślałem, że może już nie żyje.

Tuląc Weenę w ramionach, pobiegłem przez las.

W ciemności przesyconej dymem widziałem wszystko bardzo niewyraźnie. Ogień dawał żółtawoczerwony blask, ale powodował, że las pełen był cieni, które przesuwały się i myliły oko. Kilkakrotnie wpadłem na drzewa i potknąłem się na wybojach, i obawiam się, że w trakcie tego biedna Weena doznała dość wielu nieprzyjemnych wstrząsów.

Znajdowaliśmy się pośród gromady Morloków, którzy uciekali przed płomieniami równie szybko jak ja. Ich włochate plecy świeciły na czerwono w blasku ognia, a oczy były szeroko rozwarte z bólu. Błąkali się po lesie, wpadając na drzewa i uderzając się nawzajem piąstkami, lub pełzali po ziemi, jęcząc i szukając jakiejś iluzorycznej ulgi od gorąca i światła. Kiedy wpadali na mnie, waliłem ich pięścią i kopałem, żeby odsunąć od siebie. Widać jednak było wyraźnie, że oślepieni nie stanowią dla mnie żadnego zagrożenia, i po pewnym czasie stwierdziłem, iż wystarczy, bym ich po prostu odpychał.

Teraz, gdy przywykłem do spokojnego, pełnego godności zachowania się Nebogipfela, zwierzęca natura tych pierwotnych Morloków, z ich obwisłymi szczękami, brudnymi i splątanymi włosami oraz zgarbionymi plecami – niektórzy z nich biegali, wlokąc ręce po ziemi – przygnębiała mnie w najwyższym stopniu.

Nagle znaleźliśmy się na skraju lasu. Minąłem chwiejnym krokiem ostatnią linię drzew i wyszedłem na łąkę.

Zaczerpnąłem kilka głębokich oddechów i obróciłem się, żeby spojrzeć na płonący las. Kłęby dymu unosiły się, tworząc słup, który sięgał nieba i przesłaniał gwiazdy. Ujrzałem olbrzymie płomienie, które wzbijały się z wnętrza lasu na wysokość stu stóp i tworzyły konstrukcje podobne do budynków. Morlokwie nadal uciekali, ale ich liczba zmniejszała się i ci, którzy wynurzali się z lasu, wyglądali na przerażonych i byli poranieni.

Odwróciłem się i zacząłem brnąć przez wysoką, sztywną jak drut trawę. Z początku żar przypiekał mi plecy, ale po przejściu jakiejś mili zelżał i purpurowy, oślepiający blask ognia zbladł. Potem nie widziałem już żadnych Morloków.

Minąłem wzgórze i w dolinie za nim dotarłem do miejsca,

które odwiedziłem już wcześniej. Były tu akacje, wiele domów sypialnych i posąg – niekompletny i potrzaskany – który przywiódł mi na myśl fauna. Zszedłem po zboczu i w zagłębieniu tej doliny znalazłem rzeczkę, którą pamiętałem. W jej wzburzonych wodach odbijało się światło gwiazd. Usiadłem na brzegu i ułożyłem ostrożnie Weenę na ziemi. Woda była zimna, a nurt wartki. Oddarłem kawałek koszuli i zamoczyłem go w rzece, po czym obmyłem twarz biednej Weeny. Wlałem trochę wody do jej ust.

Przesiedziałem resztę ciemnej nocy z głową Weeny ułożoną na moich kolanach.

Rano zobaczyłem, jak wyłania się ze spalonego lasu w oplakany stan. Jego twarz była upiornie blada i poznaczona nie zaleczonymi rozcięciami. Miał na sobie zakurzoną i brudną marynarkę. Kulał gorzej niż włóczęga z obolałymi nogami, jego stopy obwiązane były jedynie pokrwawioną, przypaloną trawą. Kiedy zobaczyłem, w jak nędznym jest stanie, poczułem litość – lub może zażenowanie. Czy to naprawdę jestem ja, zastanawiałem się. Czy takim mnie widzieli przyjaciele po powrocie z tamtej pierwszej przygody?

Znów chciałem zaoferować swą pomoc, ale wiedziałem, że nie jest potrzebna. Moje wcześniejsze wcielenie odeśpi zmęczenie w ciągu dnia, a potem, gdy zbliży się wieczór, powróci do białego sfinksa, żeby odzyskać wehikuł czasu.

W końcu – po ostatniej walce z Morlokami – ucieknie, zatapiając się w wirze podróży w czasie.

Pozostałem więc z Weeną przy rzece i pielęgnowałem ją w świetle wschodzącego słońca. Modliłem się, by Elojka się obudziła.

Epilog

Pierwsze dni były dla mnie najtrudniejsze, gdyż przybyłem tu bez narzędzi.

Z początku musiałem żyć z Elojami. Jadłem owoce, które przynosili im Morlokwie i mieszkalem z nimi w ruinach, które wykorzystywali w charakterze sypialni.

Gdy Księżycyca ubyło i nastąpiły kolejne ciemne noce, zdumiała mnie zuchwałość, z jaką Morlokwie wychodzili z jaskiń i napadali na swoje ludzkie bydło! Usadowiłem się przy bramie domu sypialnego, trzymając w rękach bryły z żelaza i kamienia, które miały mi służyć za broń. W ten sposób mogłem stawić opór tym stworom. Nie mogłem jednak odpędzić ich wszystkich – Morlokwie roją się jak robactwo, nie są tak zorganizowanymi wojownikami jak ludzie. Poza tym mogłem bronić tylko jednego domu sypialnego spośród setek, które rozsiane były w całej dolinie Tamizy.

Te czarne godziny strachu i głębokiego współczucia dla bezbronych Elojów to najbardziej ponure chwile w moim życiu. A jednak wraz z nastaniem dnia ciemność już umknęła ze świadomości Elojów i ci mali ludzie byli tacy skorzy do zabawy i śmiechu, jakby Morlokwie w ogóle nie istnieli.

Postanowiłem to zmienić, gdyż prócz uratowania Weeny taki był właśnie cel mojego powrotu tutaj.

Zapуściłem się w otaczającą mnie krainę. Kiedy włóczyłem się po wzgórzach, musiałem przedstawiać niezły widok, z bujną i potarganą brodą, opaloną twarzą i zwałistym ciałem odzianym w jaskrawe, elojskie ubranie! Oczywiście, nie ma tu żadnych środków transportu i zwierząt pociągowych, które by mnie prznosiły, a moje stopy ochraniały jedynie szczątki butów z roku 1944. Ale dotarłem aż do Hounslow i Staines na zachodzie, Barnet na północy i Epsom oraz Leatherhead na południu, a w kierunku wschodnim poszedłem wzdłuż nowego koryta Tamizy, docierając do Woolwich.

Wszędzie napotykałem ten sam widok: zielony krajobraz z garstką ruin stanowiących pałace i domy Elojów oraz wszechobecne, przerażające szyby Morloków. Być może we Francji lub Szkocji krajobraz wygląda zupełnie inaczej, ale ja w to nie wierzę! Cała ta kraina zarobaczona jest przez Morloków i ich podziemne wylęgarnie.

Zmuszony więc byłem zrezygnować z mojego pierwszego, wstępnego planu, który polegał na odsunięciu Elojów poza zasięg Morloków. Wiem bowiem teraz, że Eloje nie mogą uciec przed Morlokami i tak samo to wygląda z drugiej strony, ponieważ zależność Morloków od Elojów – choć dla mnie mniej odrażająca – jest poniżająca również dla tych nocnych podludzi.

Zacząłem metodycznie szukać innych sposobów, by tu przeżyć.

Postanowiłem zamieszkać na stałe w Pałacu z Zielonej Porcelany. Taki był jeden z planów mojej poprzedniej wizyty, gdyż pomimo tego, że widziałem tam ślady działalności Morloków, to starożytne muzeum ze swoimi dużymi salami i mocną konstrukcją wyglądało mi na najpewniejszą twierdzę

zdolną obronić się przed przebiegłymi i zręcznymi Morlokami i miałem nadzieję, że wiele zmagazynowanych tu przedmiotów i zabytków może mi się przydać w przyszłości. A poza tym coś przemówiło do mojej wyobraźni w tamtym porzuconym pomniku epoki rozumu, z jego opuszczonymi skamieniałościami i zniszczonymi bibliotekami! Przypominało to wielki statek z przeszłości, ze stępką rozplataną na rafie czasu. A ja byłem rozbitkiem, Robinsonem Crusoe ze starożytności.

Powtórzyłem i poszerzyłem badania przepastnych sal oraz komór Pałacu. Postanowiłem, że moją bazą będzie odkryta podczas pierwszej wizyty galeria mineralogiczna, pełna dobrze zachowanych, lecz bezużytecznych próbek minerałów, których nie zdołałbym nazwać. Ta galeria jest mniejsza od pozostałych i dlatego łatwiej ją zabezpieczyć. Kiedy ją odkurzyłem i rozpałem ognisko, wydawała mi się prawie tak przytulna jak dom. Reperując popękane zawiasy drzwi i łatając dziury w starożytnych ścianach, dołączyłem do mojej twierdzy przyległe sale. Badając galerię paleontologii, gdzie znajdowały się olbrzymie i bezużyteczne szczątki brontozaura, natknąłem się na zbiór poprzewracanych i porozrzucanych na całej podłodze kości. Najwidoczniej sprawcami tego bałaganu byli figlarni Eloje. Z początku nie wiedziałem, co to za kości, ale kiedy z grubsza poskładałem szkielety, wydawało mi się, że należą one do konia, psa, wołu i – jak sądzę – lisa. Krótko mówiąc, były to szczątki zwykłych zwierząt z mojej dawnej Anglii. Kości były jednak za bardzo porozrzucane i potrzaskane, a moja wiedza anatomiczna zbyt niedokładna, bym mógł je jednoznacznie zidentyfikować.

Wróciłem też do tamtej źle oświetlonej, pochylej galerii, która zawiera masywne wraki wielkich machin, gdyż była to dla mnie kopalnia najróżniejszych, skleconych na oczekaniu narzędzi –

i to nie tylko broni, jak za pierwszym razem. Spędziłem trochę czasu przy jednej maszynie, która przypominała prądnicę. Nie wyglądała na zbyt zniszczoną i łudziłem się, że ją uruchomię i zapalę przynajmniej niektóre rozbite banie, które zwisają z sufitu galerii. Kalkulowałem sobie, że płomień elektrycznego światła i hałas wywołany przez prądnicę odstraszy Morloków bardziej niż cokolwiek innego! Nie mam jednak paliwa i smarów, a poza tym części maszyny są zatarte i skorodowane. Siłą rzeczy zrezygnowałem z tego projektu.

W trakcie wędrowki po Pałacu natrafiłem na nowy eksponat, który spodobał mi się. Znajdował się w pobliżu galerii z modelem kopalni cyny, który już wcześniej widziałem. Wydawało się, że jest to model miasta. Eksponat ten był wykonany z dużą dbałością o szczegóły i tak duży, że zajmował prawie całe pomieszczenie. Całość ochraniała pewnego rodzaju piramidalna osłona szklana, z której musiałem zetrzeć wielowiekowy kurz, by coś zobaczyć. To miasto najwyraźniej skonstruowano w przyszłości bardzo odległej od moich czasów, ale nawet ten model był taki stary w tym schyłkowym wieku, że jego jaskrawe kolory wyblakły wskutek światła słonecznego, które przesączało się przez warstwę kurzu. Przypuszczałem, że to może być „potomek” Londynu, gdyż wydawało mi się, iż widzę charakterystyczną morfologię Tamizy reprezentowaną przez szklaną wstęgę wijącą się w centrum eksponatu, ale był to Londyn bardzo zmieniony w porównaniu z moimi czasami. Dominowało nad nim siedem lub osiem olbrzymich pałaców ze szkła – jeśli pomyślicie o Crystal Palace, ogromnie rozbudowanym i kilkakrotnie pomnożonym, to będziecie mniej więcej wiedzieć, o co chodzi – które połączone były pewnego rodzaju powłoką szklaną okrywającą całe miasto. Nie panował tu

taki ponury nastrój, jak w londyńskiej kopule z roku 1938, gdyż, jak mi się wydawało, ten olbrzymi dach wychwytywał i wzmacniał światło słoneczne i w całym mieście ciągnęły się sznury lamp elektrycznych, ale żadna żarówka już nie funkcjonowała w moim modelu. Nad dachem umieszczono mnóstwo olbrzymich wiatraków – choć ich łopaty już się nie obracały – a gdzieś na jego powierzchni ustawiono wielkie platformy, nad którymi wisały miniaturowe wersje latających maszyn. Z wyglądu te maszyny przypominały ogromne ważki: na górze znajdowały się olbrzymie żagle, które ustawiono piętrowo, a pod nimi były gondole z rzędami maleńkich ludzi, którzy w nich siedzieli.

Tak! Ludzie, mężczyźni i kobiety, podobni do mnie! To miasto najwidoczniej pochodziło z czasów, które nie były aż tak niemożliwie odległe od moich, by twarda ręka ewolucji zdążyła przekształcić ludzkość.

W całej krainie wiły się wielkie drogi, łącząc ten przyszły Londyn z innymi miastami – tak przynajmniej się domyślałem. Na drogach tych znajdowały się ogromne pojazdy: monocykle, z których każdy wiozł dwudziestu ludzi, olbrzymie wozy towarowe bez kierowców, a więc na pewno sterowane mechanicznie, i tak dalej. Nie było tam jednak żadnych elementów, które obrazowałyby to, co znajdowało się między drogami. Widziałem jedynie nijaką, szarą po wierzchnie.

Konstrukcja była tak olbrzymia – przypominała ogromny budynek – że według moich przypuszczeń mogła pomieścić dwadzieścia do trzydziestu milionów ludzi w przeciwieństwie do skromnych czterech milionów mieszkających w Londynie z moich czasów. W wielu miejscach modelu odcięto ściany i podłogi, i mogłem zobaczyć figurki ludzi, które poustawiano na

kilkudziesięciu poziomach miasta. Na górnych poziomach mieszkańcy mieli pstre i krzykliwe ubiory: szkarłatne peleryny, kapelusze, które były równie efektowne i niepraktyczne jak koguci grzebienie, i tym podobne rzeczy. Wydawało mi się, że będąc niejako wielopiętrową mozaiką sklepów, parków, bibliotek i wspaniałych domów, te górne poziomy to miejsce wielkich wygód i spokoju.

Ale w dolnej części miasta – że tak powiem, na parterze i w piwnicy – sytuacja wyglądała inaczej. Na podłogach stały wielkie maszyny, a na sufitach wiły się przewody, rury i kable o przekroju dziesięciu lub dwudziestu stóp (w naturalnej skali). Tu też były figurki, ale wszystkie miały blado-niebieskie, płócienne ubrania, a ich warunki życiowe ograniczone były do wielkich, wspólnych jadalni i sypialni. I wydawało mi się, że ci robotnicy z dołu na ogół rzadko widywali światło, w którym pławili się ludzie na górze.

Model był stary i daleki od doskonałości. W jednym narożniku piramidalna osłona zawaliła się i potrzaskała makietę, natomiast gdzie indziej figurki i małe maszyny zostały poprzewracane lub uszkodzone wskutek drobnych wypadków, które zdarzyły się w ciągu wielu stuleci; z kolei w innym miejscu figurki w niebieskich strojach tworzyły kółka i inne wzory, jakby bawili się nimi psotni Eloje. Mimo to miniaturowe miasto stanowi dla mnie źródło nieustannej fascynacji, gdyż jego ludzie i urządzenia tak niewiele się różnią od ludzi i urządzeń z moich czasów, że wciąż jestem tym zaintrygowany i spędzam wiele godzin na wyszukiwaniu nowych szczegółów w jego konstrukcji.

Wydaje mi się, że ta wizja przyszłości może przedstawiać pośredni etap w rozwoju przerażającego porządku rzeczy, w którym się znalazłem. Oto był moment, w którym podział ludzi

na górnych i dolnych pozostawał w dużym stopniu wytworem społecznym i nie zaczął jeszcze wpływać na ewolucję samego gatunku. Miasto było piękną i wspaniałą konstrukcją, ale – jeżeli doprowadziło do powstania świata Morloków i Elojów – stanowiło pomnik największego szaleństwa ludzkości!

Pałac z Zielonej Porcelany stoi na wysokim płaskowyzu pokrytym darnią, ale w pobliżu znajdują się dobrze nawodnione łąki. Rozmontowałem wehikuł czasu, poszukałem w Pałacu potrzebnych materiałów i skonstruowałem proste motyki oraz grabie. Rozkopałem ziemię na łąkach wokół Pałacu i zasiałem nasiona z morlokowych owoców.

Namówiłem kilku Elojów, żeby się do mnie przyłączyli. Z początku pracowali dość chętnie – myśleli, że to jakaś nowa zabawa – ale stracili zapał, kiedy kazałem im wykonywać te same czynności przez wiele godzin. I miałem wyrzuty sumienia, kiedy widziałem brudne plamy na ich cienkich tunikach oraz łyż frustracji na ich ładnych, owalnych twarzach. Nie ustawałem jednak, a kiedy monotonia stawała się zbyt dokuczliwa, przypocholebiałem im się zabawami i tańcem, niewprawnym wykonaniem „Raju” i fragmentów, które zdołałem sobie przypomnieć z muzyki swingowej z 1944 roku – to im się szczególnie podoba – i stopniowo się rozpogadzali.

W tej epoce, w której brakuje pór roku, nie można przewidzieć okresów wegetacyjnych. Czekałem nie dłużej niż kilka miesięcy, nim pierwsze źdźbła i rośliny przyniosły owoce. Kiedy dałem je Elojom, mój zachwyt bardzo ich zaskoczył, gdyż moje pierwsze, kiepskie plony nie mogły konkurować w zakresie smaku i pożywności z produktami Morloków. Ja jednak nie zwracałem uwagi na kaloryczność i smak tej żywności, ponieważ dostrzegałem jej znaczenie: tymi pierwszymi plonami

zapoczątkowałem powolny proces uwalniania Elojów od Morloków.

Znalazłem dość Elojów ze smykałką do pracy, by założyć kilka małych farm w całej dolinie Tamizy. Tak więc teraz, po raz pierwszy od niezliczonych tysiącleci, są tu grupy Elojów, którzy potrafią się utrzymać bez pomocy Morloków.

Czasami jestem zmęczony i czuję, że nie uczę, lecz raczej modyfikuję instynkt inteligentnych zwierząt, ale jest to przynajmniej jakiś początek. Poza tym pracuję z bardziej pojętymi Elojami nad poszerzeniem ich słownictwa i podsyceciem ich ciekawości. Zamierzam powtórnie rozbudzić ich umysły!

Wiem jednak, że pobudzenie Elojów to za mało, gdyż nie są oni jedynymi istotami, które tu żyją. I jeśli będę dalej przeprowadzał reformy wśród Elojów, to równowaga między Elojami i Morlokami – obojętne, jak niezdrowa – zostanie zachwiana. I nastąpi nieunikniona reakcja Morloków.

Wydaje mi się, że nowa wojna między tymi postludzkiemi gatunkami byłaby katastrofą, gdyż nie wyobrażam sobie, by słabe farmy, które powstały z mojej inicjatywy, przetrwały napaść znacznie silniejszych Morloków. Muszę przestać myśleć w kategoriach lojalności wobec którejkolwiek ze stron! Jako człowiek z dziewiętnastego wieku, naturalnie czuję sympatię do Elojów, gdyż wydają się bardziej ludzcy, a moja praca z nimi jest przyjemna i produktywna. Właściwie prawie zapominam, że nie są ludźmi – myślę, że gdybym teraz ujrzał człowieka z mojego stulecia, zdumiałaby mnie jego wzrost, wielkość i niezdarność!

Ale ani Eloje, ani Morlokwie nie są ludźmi – są postludźmi – bez względu na moje stare uprzedzenia. I nie mogę rozwiązać równania tej zwyrodniałej historii, jeśli nie uwzględnię obu

stron, a to znaczy, że muszę stawić czoło ciemności.

Postanowiłem, że jeszcze raz zejść do podziemnej siedziby Morloków. Muszę znaleźć sposób, by negocjować z tą podziemną rasą – by pracować z nimi tak, jak z Elojami. Nie mam powodu przypuszczać, że to niemożliwe. Wiem, że Morlokwie obdarzeni są pewną inteligencją: widziałem ich wielkie podziemne maszyny i przypominam sobie, że gdy mój wehikuł znajdował się w ich posiadaniu, rozmontowali go, wyczyścili, a nawet naoliwili! Być może pod szkaradną powłoką Morloków kryje się instynkt, który jest bliższy technicznym trendom moich czasów niż bierna natura podobnych do bydła Elojów.

Dobrze wiem – dzięki Nebogipfelowi – że mój strach przed Morlokami jest instynktowny i wypływa z różnorodnych doświadczeń, koszmarów i obaw, które zakorzenione są w mojej duszy i nie mają żadnego związku z tym miejscem. Od dziecka bałem się ciemności i piwnic; tkwi we mnie ujawniony przez Nebogipfela strach przed ciałem i jego zepsuciem – strach, który moim zdaniem odczuwa wielu ludzi z moich czasów. A poza tym, jestem na tyle uczciwy, by przyznać się do tego, że należę do pewnej klasy społecznej i jako jej członek niewiele miałem wspólnego z robotnikami moich czasów. I obawiam się, że w swej niewiedzy wykształciłem u siebie podejście nacechowane pewnym lekceważeniem oraz strachem. Te wszystkie części składowe koszmaru są stokrotnie wyolbrzymione w moich reakcjach na Morloków! Ale taki prymitywizm duszy nie jest godny ani mnie, ani moich ziomków, ani pamięci Nebogipfela. Jestem zdecydowany odrzucić tę wewnętrzną ciemnotę i uważać Morloków nie za potworów, lecz potencjalnych Nebogipfelów.

Ten świat jest bogaty i nie ma potrzeby, by resztki ludzkości pożerały się w taki okropny sposób. Światło rozumu przygasło

w tej historii, ale nie zniknęło całkowicie. Eloje zachowali strzępy języka ludzi, a Morlokowie swoje oczywiste zdolności do mechaniki.

Marzę, że przed śmiercią uda mi się rozniecić z tych węgla nowy ogień racjonalnego myślenia.

Tak! To szlachetne marzenie i wspaniałe zadanie dla mnie.

Te skrawki papieru znalazłem w piwnicy, która znajduje się głęboko pod Pałacem z Zielonej Porcelany. Kartki przetrwały dzięki temu, że umieszczono je w hermetycznej paczce, do której nie dochodziło powietrze. Nie miałem trudności ze zrobieniem stalówki z kawałka metalu i atramentu z barwników roślinnych. By spisać tę relację, powróciłem do mojej ulubionej ławki z żółtego metalu, na przednim skraju Richmond Hill, nie dalej niż pół mili od miejsca, gdzie stał mój dawny dom. Gdy piszę te słowa, moim towarzyszem jest dolina Tamizy: śliczna kraina, której ewolucję śledziłem na przestrzeni wielu geologicznych epok.

Skończyłem z podróżowaniem w czasie – już dawno się z tym pogodziłem. Zaiste, jak już napisałem, rozmontowałem maszynę i jej części posłużyły mi za motyki i inne narzędzia bardziej użyteczne od wehikułu czasu. (Zatrzymałem jedynie dwie białe dźwignie sterownicze – leżą teraz na ławce obok mnie, kiedy piszę te słowa). Choć byłem zadowolony z tego, co tu robię, irytowało mnie to, że nie mam możliwości przekazania ludziom z mojej epoki odkryć, obserwacji i relacji o moich przygodach. Być może to tylko moja próżność! Teraz jednak te kartki dały mi szansę, bym to uczynił.

By uchronić te strony przed zniszczeniem, postanowiłem, że zamknę je szczelnie w pierwotnym pudełku, a potem umieszczę

całość w pojemniku, który skonstruowałem z zalanych plattnerytem prętów kwarcowych wehikułu czasu. Następnie zakopię pojemnik jak najgłębiej.

Nie znam żadnego niezawodnego sposobu, by przekazać moją relację do przyszłości lub przeszłości – a jeszcze mniej do jakiegokolwiek innej historii – i cała ta relacja być może zgnije w ziemi. Wydaje mi się jednak, że plattnerytowa powłoka zapewni mojej paczce największe szansę, by mógł ją odkryć jakikolwiek nowy Podróżnik w Czasie z wielorakości. I być może za sprawą jakiegoś przypadkowego nurtu strumieni czasu moje słowa wrócą do stulecia, w którym żyłem.

W każdym razie, to wszystko, co mogę zrobić! I teraz, gdy obrałem ten kurs, osiągnąłem pewne zadowolenie.

Dokończę i zapieczętuję moje zapiski przed zejściem do podziemnego świata, gdyż mam świadomość, że moja wyprawa do Morloków jest niebezpieczna – może okazać się podróżą, z której nie powrócę. Jest to jednak zadanie, którego nie mogę zbyt długo odkładać: już przekroczyłem pięćdziesiątkę i wkrótce nie będę w stanie zejść do studni!

Zobowiązuję się, że po powrocie dołączę do niniejszej relacji dodatek, streszczenie moich przygód pod ziemią.

Jest już późno. Jestem gotowy do zejścia.
Jak to wyraził poeta?

Gdyby drzwi percepcji zostały oczyszczone,
Człowiek ujrzałby wszystko w prawdziwej postaci,
Jako nieskończone...

W każdym razie coś w tym guście. Wybaczcie mi błędny cytat,

gdyż nie mam tu żadnych dzieł podręcznych...

Widziałem nieskończoność i wieczność. Nigdy nie zapomniałem o sąsiednich wszechświatach, które znajdują się wokół tego zalanego słońcem krajobrazu, bardziej ściśnięte niż strony książki. I nie zapomniałem gwiazdnego blasku optymalnej historii, która – jak sądzę – zawsze będzie żyć w mojej duszy.

Ale żadna z tych wspaniałych wizji nie liczy się dla mnie nawet w połowie tak bardzo, jak przelotne chwile czułości, które rozświetliły ciemność mojego samotnego życia. Cieszyłem się lojalnością i cierpliwością Nebogipfela, przyjaźnią Mosea i ludzkim ciepłem Hilary Bond. Żadne moje osiągnięcia czy przygody – wizje czasu czy nieskończone krajobrazy gwiazdne – nie będą we mnie żyć tak długo, jak ta chwila podczas pierwszego jasnego poranka po moim powrocie do tego świata, kiedy siedziałem przy rzece i obmywałem diamentową twarz Weeny, a jej pierś wreszcie się uniosła i dziewczyna zaczęła kaszleć, po czym po raz pierwszy otworzyła śliczne oczy i zobaczyłem, że żyje – a gdy mnie rozpoznała, rozchyliła usta w radosnym uśmiechu.

Od wydawcy _____

W tym miejscu kończy się relacja; nie znaleziono żadnego dodatku.

Spis treści

- [karta tytułowa](#)
- [Dedykacja](#)
- [Od wydawcy](#)
- [Prolog](#)
- [Księga Pierwsza Ciemna Noc](#)
 - [Podróżowanie w czasie 1](#)
 - [Nowa wizja 2](#)
 - [W mroku 3](#)
 - [Ciemna noc 4](#)
 - [Studnia 5](#)
 - [Spotkanie z Morlokami 6](#)
 - [Świetlna klatka 7](#)
 - [Gość 8](#)
 - [Rewelacje i wymówki 9](#)
 - [Rozmowa z Morlokiem 10](#)
 - [Wyjście z klatki 11](#)
 - [Morlokowie ze sfery 12](#)
 - [Życie Morloków 13](#)
 - [14 Konstrukcje i rozbieżności](#)
 - [15 Życie i śmierć u Morloków](#)
 - [Decyzja i odejście 16](#)
 - [We wnętrzu 17](#)
 - [Nowielloje 18](#)
 - [19 Przekroczenie przestrzeni międzyplanetarnej](#)
 - [20 Moja relacja o odległej przyszłości](#)
 - [Na Richmond Hill 21](#)
 - [Rotacje i oszustwa 22](#)
- [Księga Druga Paradoks](#)

- [Czasowy Argo 1](#)
- [Dom 2](#)
- [Moses 3](#)
- [Eksperyment 4](#)
- [Uczciwość i wątpliwości 5](#)
- [Perswazja i sceptycyzm 6](#)
- [Mołoch „Lord Raglan” 7](#)
- [8 Odnowienie starej znajomości](#)
- [W czas 9](#)
- [Księga Trzecia WOJNA Z NIEMCAMI](#)
 - [Nowa Wizja Richmond 1](#)
 - [Podróż pociągiem 2](#)
 - [Londyn w stanie wojny 3](#)
 - [4 Dom Na Queen’s Gate Terrace](#)
 - [Teoria wielu światów 5](#)
 - [Hyde Park 6](#)
 - [Papłająca maszyna 7](#)
 - [Świetlana przyszłość 8](#)
 - [Imperiał College 9](#)
 - [Profesor Gödel 10](#)
 - [Nowy porządek świata 11](#)
 - [12 Napaść Niemców na Londyn](#)
 - [Bombardowanie 13](#)
 - [Mina rotacyjna 14](#)
 - [Samochód Czasu 15](#)
 - [Wejście w czas 16](#)
 - [Obserwator 17](#)
- [Księga Czwarta Paleocenske Morze](#)
 - [DIATRYMA GIGANTICA 1](#)
 - [Paleoceńskie Morze 2](#)
 - [Nasze życie 3](#)
 - [Choroba i wyzdrowienie 4](#)

- [Burza 5](#)
- [Serce i ciało 6](#)
- [Pristichampus 7](#)
- [Obozowisko 8](#)
- [9 Czasowy Oddział Ekspedycyjny](#)
- [Zjawy 10](#)
- [Bomba 11](#)
- [Skutki bombardowania 12](#)
- [Relacja Bond 13](#)
- [Ocaleni 14](#)
- [Nowa osada 15](#)
- [16 Założenie Pierwszego Londynu](#)
- [Dzieci i potomkowie 17](#)
- [18 Uczta i to, co stało się później](#)
- [Światła na niebie 19](#)
- [Orbitalne Miasto 20](#)
- [Niestabilności 21](#)
- [Opuszczenie i przybycie 22](#)
- [Księga Piąta Biała Ziemia](#)
 - [Uwięzienie 1](#)
 - [Eksperymenty i refleksje 2](#)
 - [Uniwersalny konstruktor 3](#)
 - [Pokój Bilardowy 4](#)
 - [Biała Ziemia 5](#)
 - [Generator wielorakości 6](#)
 - [7 Mechaniczni spadkobiercy człowieka](#)
 - [Propozycja 8](#)
 - [Opcje i wątpliwości 9](#)
 - [Przygotowania 10](#)
 - [Podróż w przyszłość 11](#)
 - [Statek 12](#)
- [Księga Szósta Statki Czasu](#)

- [Odłot 1](#)
- [Historia Ziemi 2](#)
- [3 Granica przestrzeni i czasu](#)
- [Silniki nieliniowości 4](#)
- [Końcowa wizja 5](#)
- [Triumf umysłu 6](#)
- [Wyjście 7](#)
- [Zamknięcie koła 8](#)
- [Księga Siódma Dzień 292 495 940](#)
 - [Dolina Tamizy 1](#)
 - [Spacer 2](#)
 - [W ciemności 3](#)
- [Epilog](#)
- [Od wydawcy](#)